This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

**Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

**About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

**Zasady użytkowania**

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

**Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

S2aV 7130.1.11

THE SLAVIC COLLECTION

Harvard College Library

GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.
(Class of 1887.)

Received 1 July, 1895.

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY.

# NA KRESACH.

POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW ~~W TRZECH~~ CZĘŚCIACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1867.

# BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

**TOM XLIX.**

# NA KRESACH.

## POWIEŚĆ Z NASZYCH CZASÓW

W TRZECH CZĘŚCIACH.

NAPISAŁ

JAN ZACHARJASIEWICZ.

LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.
—
1867.

Slav 7130.1.11

Harvard College Library
Gift of
Archibald Cary Coolidge, Ph. D.
July 1, 1908.

JUN 28 1911

KAROLOWI I JOANNIE

# SZAJNOCHOM

POŚWIĘCAM.

Nie jeden promień światła zapaliłeś w ciemniach przeszłości naszej, Bracie kochany — a pośród nas ogarnęła Cię ciemność nocy. Oprowadziłeś nas po katakombach dziejów ojczystych, a dzisiaj nie widzisz bratniej dłoni, którą Ci podajemy. — Lecz świat Twego ducha czysty i jasny. Świeci w nim jasna gwiazda Twego anioła, świecą szczere uczucia Twoich przyjaciół! — Oby Ci one wystarczyły choć za jeden promyk tego słońca, które dzisiaj dla Ciebie zachodzi!

Lwów, dnia 1. stycznia 1860.

# SPIS RZECZY.


Strona

Część pierwsza . . . . . 1
Część druga . . . . . 103
Część trzecia . . . . . 215
Epilog . . . . . 338

# CZĘŚĆ PIERWSZA.

## I.

Mieszkańcy Radziejewa mieli dzisiaj noc bezsenną. Jędrzej Maciejaszek, najrozumniejszy chłop w całej osadzie, widział na własne oczy dziwne rzeczy.

— I jakże to było? — pytał po raz dwudziesty Marek Paliwoda, największy niedowiarek i farmazon.

— A jużci nie inaczej, jak mówiłem — odpowiadał po raz dwudziesty Maciejaszek.

— I poszło prostą drogą do młyna?

— Jakby strzelił.

— Święty Boże!... a w browarze?

— Świeci się jeszcze, a ten czarny pan chodzi po izbie i czegoś ręce łamie.

— To coś na złe wróży.

— Patrzy na wojnę.

— Może zaraza morowa...

— A najprędzej, że nowe podatki nałożą — zakonkludował Marek Paliwoda, niespokojny duch gromady.

— Wam bo tylko lutry w głowie!

— Wszak sami mówicie — odburknął Paliwoda — że djabeł, który niósł młynarza, był kubek w kubek podobny...

Maciejaszek splunął trzy razy i przeżegnał się, a Paliwoda zaproponował swemu sąsiadowi, aby z nim udał się do młyna i tam na miejscu przekonał się, że ani djabła, ani mielnika w młynie nie ma.

Oburzyła się na to cała gromada Radziejewa, a farmazon Paliwoda musiał chyłkiem do domu uciekać, aby za swoją protestację przeciw tradycyjnej wierze ludowej kilka szturkańców nie oberwać. Pozostali włościanie uwolniwszy się

tym sposobem od niewiernego Tomasza, zgodzili się wszyscy w tem mniemaniu, że mielnika djabli wzięli; nie wiedzieli tylko, jakie tą skutki za sobą pociągnąć może. Jedni byli za wojną, drudzy za morowem powietrzem... o nowych podatkach i lutrach nikt nie mówił, bo nie było już między nimi Marka Paliwody.

Poczciwi to ludzie, ci włościanie Radziejewscy! Wierzą oni w Boga, w przenajświętszą Marję, wierzą w powszechny kościół katolicki, ale wierzą też i w djabła, z całą niezachwianą wiarą ludu polskiego, i w tem się tylko od innych różnią, że ten djabeł w ich wyobraźni często podobny jest do burmistrza z Dąbczyna. Jest to jedyny przesąd tych prostaczków, zresztą są to ludziska bardzo poczciwe; płacą należycie podatki, nie dopuszczają nigdy do sekwestru, z wyjątkiem Marka Paliwody, który jest oczywisty farmazon i wartogłowy.

Lecz zkądże ta sprawa djabła z mielnikiem Radziejewa?

Wieś Radziejewo należy do rzędu tych osad polskich, które jak stracone czaty wysunęły się naprzód, na sam kraniec ziemi wielkopolskiej. Długi czas gospodarował tu jakiś podstarości, aż wreszcie po wielu latach powrócił dziedzic, a wrócił smutny i strapiony. Chciał on tutaj w cieniu strzechy rodzinnej dośnić owych snów złotych, które mu rzeczywistość wydarła. Miał on kiedyś jakiś wysoki zawód publiczny, a gdy go opuścić musiał, wszedł zgarbiony do dworca, z którego niegdyś młodzieńcem w świat wyruszył. Czynny jego umysł nie mógł tutaj leżeć odłogiem. Zważyło się koło jego czynności, w tem wązkiem kole jednak chciał odtworzyć dawniejszą przeszłość swoją. Nie mogąc zakładać instytucji na większy rozmiar, założył w wiosce swojej szkółkę dla włościan, szpichlerz i infirmerję, w której spracowany robotnik mógłby bez grzechu i nędzy dokończyć swego żywota, a w chorobie znaleźć potrzebny ratunek.

Zawiódł się jednak w swoich oczekiwaniach poczciwy fundator. Jeszcze szkółka prosperowała jako tako w zimie, bo była obszerna i dobrze ogrzana, ale inne dwie instytucje wcale się nie przyjęły. Szpichlerz gromadzki stał pustką, chociaż co tygodnia wywożono zboże na targ do Dąbczyna, a w szpitalu gnieździły się sowy i kawki, chociaż wiele kalek rozłaziło się z wioski o kiju żebraczym.

Inaczej też być nie mogło. Wspólność majątku gromadzkiego nie mogła się jeszcze pomieścić w głowach chłopskich, w których ekonomja polityczna jeszcze nie zaświtała, a umierać nie na swojem śmieciu, umierać w szpitalu, za receptą cyrulika, umierać bez bab, ziół, czarów i zażegnywań, byłoby występkiem przeciw tradycji ludowej. Do tego szpital

gromadzki urządzono w starym, spalonym browarze, a przecież i dziecku wiadomo, że w każdym starym, polskim browarze mieszka djabeł. Browar Radziejewa tem się różnił od innych, że zamiast jednego, miał dwóch takich lokatorów, jakto sobie na ucho opowiadali pastuchy radziejewscy. Nie dziw więc, że chory włościanin zapychał się w najciemniejszy kąt swojej izby, trzymał się rękami i nogami śmiertelnej pościeli i wolał starym obyczajem nawet przed upływem terminu oddać ducha Bogu, niżeli za receptą lekarza przytrzymywać ją czas niejaki w atmosferze spalonego browaru!

A cóż dopiero dać się zamknąć w infirmerji na łaskawym chlebie! Któryż to polski kaleka, lub stary wiejski proletarjusz, dałby sobie wziąść ten poetyczny epilog swego życia, który z niewysłowioną roskoszą przebiega o kiju żebraczym? Wszak to najsmaczniejsza zakąska po chudej strawie jego żywota! Ten ruch ustawiczny, ta rozmaitość przygód, ta niepewność jutrzejszego obiadu, owe strategiczne marsze i kontramarsze w obec psów i żandarmów, ileż to poezji, ileż uroku, ileż snów romantycznych! I jakżeto zrzec się owej brody malowniczej, owych fantastycznie zawieszonych łachmanów i w siwym kubraku z krzyżem na piersiach gnić na łóżku szpitalnem, czekając jak zwierzę wymierzonego karmu!

Otóż zbawienna fundacja dziedzica okryła się w oczach dziadów hańbą i sromotą; zamieszkały ją sowy i kawki, a biada człowiekowi, któryby pod jej dachem dziurawym szukał w nocy schronienia!

Długo walczył poczciwy dziedzic z nałogiem swoich włościan, a gdy mu w końcu i w tem małem kółku za przestrono się zrobiło i gospodarstwo podupadać zaczęło, oddał swoją wioskę w młodsze, jak się wyrażał, ręce, czując się za starym dla dzisiejszego świata. I jeszcze więcej zwęził swój zakres, zwęził go do czterech ścian małego pokoiku, w którym porozwieszał na ścianach wszystkie pamiątki dziejów ojczystych i po całych dniach rad się w nie wpatrywał.

Następca dziedzica nie o wiele był młodszy i jemu nie powiodło się nadać tym filantropijnym instytucjom jako tako znaczenia. Spichlerz spalił się niepojętym sposobem, a infirmerja gromadzka, vulgo spalony browar, pochylił się z powagą ku ziemi, jak każde dzieło rąk ludzkich.

Po niejakim czasie zmieniły się rzeczy. Prostą drogą z Berlina przyjechał jakiś młody człowiek, czarno ubrany, z czarnym na twarzy zarostem. Miał on w zanadrzu dyplom szkoły medycznej, przekazujący mu prawo łaski i miecza na cały rodzaj ludzki. Zamieszkał w Dąbczynie, a chodził po

wsiach, bo do włościan szczególniejszą miał passję. Pan na Dąbczynie uśmiechał się dziwnie, gdy o tem mówił. Utrzymywał on, że dla młodego lekarza taka praktyka jest najlepsza, bo mu pozwala czynić różne eksperymenta in anima villi...

Otóż młody lekarz będąc razu jednego w Radziejewie, dowiedział się o zacnych chęciach szanownego dziedzica, o rzeczywiście spalonym szpichlerzu gromadzkim, oraz o tak zwanym «spalonym browarze» i jego przeznaczeniu, a witając z zapałem wschodzącą jutrzenkę postępu i cywilizacji, wymógł usilnemi prośbami na właścicielu Radziejewa, że infirmerję gromadzką na nowo wskrzesić postanowił.

W tym celu ponaprawiano dach dziurawy, wypędzono sowy i kawki, ale djabeł został, a pobożna instytucja razem z djabłem przyjąć się nie mogła. Zaledwie bowiem po skończonej reperacji, młody lekarz radziejewskiej gromadzie o znaczeniu szpitalu i infirmerji wykładać począł, wszyscy chorzy nagle, jakby cudem ozdrowieli: ślepi przejrzeli, niemi przemówili, a co było dziadów i niedołęgów, wszystko to powymykało się chyłkiem ze wsi, mimo pruskiego patentu «o włóczykijach». Słowem, wieś stała się nagle młodą i zdrową, jak bursztyn, każdy miał przytułek i był syty na dni kilka.

Ale młody lekarz nie dał się zbić z drogi. Mówił, dowodził, napominał, a gdy wreszcie rządową zagroził egzekucją, gromada poczęła się naradzać, co w takim razie uczynić wypada. Sądząc prostym sposobem, że do dwóch własnych djabłów, mieszkających w spalonym browarze, nie trzeba nowych przywoływać, zgodzono się wreszcie na wydanie jakiej ofiary z pomiędzy swego grona, aby dobrym chęciom dziedzica i lekarza zadość uczynić.

Los padł na mielnika, któremu przed kilkoma dniami koło młyńskie rękę zgruchotało. Cały ten nieszczęsny wypadek opowiedziano lekarzowi, który natychmiast z przełożonym gminy udał się do młyna.

Na brudnej pościeli, śród kłębów mgły mącznej, leżał biedny mielnik. Kilka osób krzątało się koło niego. Przy nim siedział chłop z Owszyny, znany, samorodny konował w całej okolicy. Nikt lepiej od niego nie naprawiał nóg złamanych. Grubym sznurem powiązał zgruchotaną rękę chorego, zakręcił polanem i zmaczał wodą dla lepszego ściśnienia.

Biedny mielnik ani się skarżył, leżał spokojnie, podczas gdy jego medyk wódeczką się zakrapiał. A cała izba trzęsła się i skrzypiała, turkot kół i pytlów, oraz huk spadającej wody był przerażający.

Stan chorego był niebezpieczny. Rana przeszła w gangrenę, na głowie ukazały się znaki silnego uderzenia. Z wielkim uporem licznej jego rodziny, zaniesiono chorego w przygotowanej do tego lektyce do spokojnej i wygodnej izby gromadzkiego szpitalu. Zrobiwszy, co mu nauka i sumienie nakazywały, zostawił lekarz chorego śród czuwającej przy nim rodziny i nocnych stróżów gromadzkich, a sam udał się już późnym wieczorem do izdebki, która po drugiej stronie szpitalu dla nadzorcy przyrządzoną była.

Chory mielnik leżał na świeżem, miękkiem łóżku i patrzał osłupiałem okiem na siedzącą przy nim rodzinę. Najstarszy syn przyniósł tymczasem sporą flaszkę wódki.

— Życie człowieka to jak kropla wody! — ozwał się zięć mielnika i pociągnął z flaszki.

— Bez Boga nic się nie dzieje! — rzekła żona, dodając pszennego placka.

— Wszyscy musimy umierać! — dodał wujaszek chorego, biorąc do ręki flaszkę.

— Człowiek jak robak na drodze! — mówił stróż gromadzki, spluwając na widok wódeczki.

I gdy tak wszyscy zgodziwszy się mniej więcej w sentencjach o znikomości życia ludzkiego, po wypróżnieniu flaszki, za przykładem nocnego stróża do snu się zabierali, ozwał się chory słabym głosem, prosząc zgromadzonych o ostatnią przysługę. Smutno mu było bez turkotu kół młyńskich i pytlów; jego pierś zapragnęła jeszcze raz napoić się owym mącznym pyłem, który jak mgła poranna unosi się po kątach jego izby. Zgromadzeni słuchali go ze czcią należną, a wysławszy nocnego stróża na zwiady pod drzwi lekarza, wzięli mielnika na barki i przez rowy i płoty zanieśli go do młyna, ku zgorszeniu Jędrzeja Maciejaszka, który właśnie stał na podwórzu swego obejścia i na własne oczy te figle czartowskie widział.

Uśmiechnął się chory mielnik, słysząc ulubiony turkot kół i pytlów, i pełną piersią zachwycił dusznego, mącznego powietrza ubogiej zwojej izdebki. Konował z Owszyny stanął znowu przy jego brudnej pościeli, odwiązał bandaże, opasał sznurem rękę zgruchotaną, a nim na północ kury zapiały, dusza mielnika ulatywała na białym obłoku mącznego pyłu, śród huku i stuku kół młyńskich, w blade, sine przezrocze nocy majowej!...

---

W małej izdebce po drugiej stronie szpitalu, siedział młody lekarz smutny i zadumany. Twarz miał bladą, czoło

piękne, wypukłe, a ciemne, marzące oko jego powlokło się szklistą osłonką. Najwięcej mógł liczyć lat dwadzieścia sześć lub ośm; mimo to ponad piękną brwią zarysowało się kilka zmarszczek, ślady kilku głębszych myśli, uczuć, lub marzeń zawiedzionych.

Do izdebki wszedł człowiek o siwych włosach, poczciwej, rumianej twarzy. Postawa jego i kilka blizn na czole świadczyły, że kiedyś służył wojskowo. Wyprostował się z należytem uszanowaniem i czekał zapytania.

— I cóż tam, Jakubie? — zapytał lekarz.

Jakub Mietlica, ekonom folwarku radziejewskiego, były wachmistrz ułanów, odkrząknął z należytą subordynacją, jaką miał zawsze dla ludzi uczonych, i rzekł:

— Mielnik umarł, wielmożny panie, a umarł tak po cichu, że nawet żona i dzieci nie słyszały, kiedy z niego wyszła dusza.

Dwie łzy zakręciły się w oczach lekarza; wstał szybko od stołu i obrócił się do okna. Ekonom nie dojrzał łez, a gdy milczenie dłuższe nie przypadło do smaku staremu gadule, odkrząknął znowu i mówił dalej:

— Wszyscy zawodzą, aż młyn cały chodzi, wielmożny panie, a piją, co się wlezie... Ja też mówiłem, że z tego szpitalu nic nie będzie. A nasza pani, aż odmłodniała z radości, gdy się dowiedziała, że będzie mieć chorych na swoim wikcie! Pożal się Boże, to szkoda było kołka i siekiery; chłop chłopem...

Lekarz odwrócił się szybko od okna i tak dziwnym wyrazem na twarzy spojrzał na ekonoma, że się tenże przestraszył i kilka kroków w tył się cofnął.

— Gdzieś się rodził, Jakubie? — zapytał go lekarz.

— Ja... ja... — mówił zmięszany ekonom — ja... rodziłem się w Kaliskiem...

— Kto byli twoi rodzice?

— Moi rodzice... to już tak dawno... moi rodzice byli... ja byłem przy ułanach i dzięki naszemu panu, byłem wachmistrzem.

— Ale twoi rodzice, kochany Jakubie?

— Moi rodzice — rzekł po chwili ekonom, spuszczając oczy ku ziemi — moi rodzice byli poddani we wsi Smarzewie. Nie wstydzę się wcale tego, i owszem, gdy się człowiek otrząsł z śmiecia i czegoś w świecie się dosłużył, to jakoś milej spojrzeć na siebie i po za siebie...

— Bardzo dobrze — odpowiedział na to lekarz — praca nasza i dobry żywot podnoszą nas coraz więcej, ale nie powinniśmy pogardzać tymi, co za nami zostali. Widzisz, panie Jakubie, nazywasz mię wielmożnym panem„ a rodzice moi może byli ubodzy, ubożsi od ciebie!

Stary ekonom pokręcił wąsa i potarł czoło szeroką, opaloną dłonią. Nie kontent był z siebie, że się wyrwał ze zdaniem, które jakkolwiek było namacalnie prawdziwem, jednak nie podobało się młodemu lekarzowi, któremu ze względów subordynacyjnych nie chciał się sprzeciwiać. Według niego regulamin był drugą biblją: starszego słuchaj i basta. Ale kogo miał za starszego, to znowu rzecz inna. Najstarszym był jego pan, któremu w wojnie i pokoju służył, a po panu następował ten, którego pan jego czcił i poważał. Księdza proboszcza słuchał tylko przy mszy i na spowiedzi, a że burmistrza z Dąbczyna cum sortibus za boskie nie miał stworzenie, to wypływało z jego gorliwości religijnej, bo wszystkim niedowiarkom zaprzysiągł był wieczną nienawiść, za co od księdza proboszcza spodziewał się przy każdej wielkanocnej spowiedzi powszechną otrzymywać absolucję.

Niejaki czas milczał stary ekonom, kręcąc wąsy to w tę, to w ową stronę. Mimo największej subordynacji, nie mógł jednak przypuścić, aby chłop miał jakie takie znaczenie u niego; a gdy o sobie i o swoich rodzicach rozmyślać począł, przyszła mu nagle do głowy myśl szczęśliwa: że urodzić się chłopem, znaczy wprawdzie to samo, co mieć na sobie grzech pierworodny, ale kto był ułanem, ten grzech swój już zmazał, a cóż dopiero wachmistrzem, mości dobrodzieju?...

Tak myślał sobie stary ekonom, przychodząc powoli do równowagi zmysłów swoich, które nieszczęsne zagadnięcie lekarza było nieco pomięszało.

Lekarz tymczasem przystąpił był znowu do okna i utopił wzrok w szary, nocny krajobraz. Tam gdzieś z daleka, z wody Noteci wstają mgły białe i ciągną powoli ku północy, jak szaty grobowe. I zaścielają strzechy wieśniacze, spuszczają się do okien i wołają na uśpionych mieszkańców: żegnamy was, my dzieci ziemi polskiej; wkrótce zawieje wiatr i poniesie nas do obcych. A gdy nas obaczą lecące po nad swoje dachy czerwone, rzekną między sobą: Oto szaty grobowe, które wiatr przyniósł do nas z za brzegów Noteci — tam muszą być trupy, pójdźmy tam!... I mówią dalej mgły białe do uśpionych mieszkańców: Wstańcie i czuwajcie, bo już blizko jest wasz nieprzyjaciel!... A fale sinej, dalekiej rzeczki pomrukują głucho, jak płacz córki, gdy opuszcza dom rodzinny; jasne i szkliste, płyną zwolna, jak płynie łza pożegnania, a stojące po nad brzegiem drzewa szumią żałośnym wtórem, jak krewni i przyjaciele, żegnając rozstającą się z nimi dziewicę!... Płyń dziecię gór naszych, pieszczotko dolin polskich, płyń rzeko polska do obcej ziemi, gdzie głosu fal twoich nikt nie zrozumie, nikt nie

upoi się twemi wdziękami! Z tęsknotą wspomnisz o ziemi macierzyńskiej, która cię wychowała, młodość twoją stroiła w kwiaty, dała ci posag bogaty z wód błękitnych, a tyś je zaniosła do obcych, ty dziecię sławiańskie poszłaś do nich w służbę, nosząc na swoich dziewiczych barkach ich towary i bogactwa, pracując w ich młynach i fabrykach jako czarna niewolnica, rozdzielając swe ciemne warkocze na tysiące ramion obcych...

Stary ekonom stał ciągle przy drzwiach i kręcił wąs to w tę, to w ową stronę. Milczenie młodego lekarza mocno go niecierpliwiło. Nie mógł pojąć, jak można w nocy przez okno patrzeć, jak można obrócić się plecyma do starego wachmistrza, który miałby tyle ciekawych rzeczy do opowiadania! Ale już to świat dzisiejszy taki, pomyślał sobie stary ekonom, młode pokolenie nie ma czci dla żadnej tradycji, a zamiast w nią jak w tęczę patrzeć, obraca się do niej plecyma, aby po ciemnej jak noc przyszłości bezmyślnie błądzić!

Może nie tym stylem myślał sobie stary ekonom, ale coś podobnego musiało mu przelecieć przez głowę, bo nią potężnie pokiwał, a wyjąwszy z kieszeni krótką fajeczkę, zapalił ją sobie w sekrecie.

Młody lekarz nie widział wcale tej szczególnej konfidencji starego ekonoma. Oparty o okno, patrzał ciągle przed siebie, w daleką, szarą przestrzeń. A tam daleko, na ciemnem niebie malują się wieże Dąbczyna, masa czarnego muru wznosi się wysoko, a u jego stóp wije się obłudna kochanka, rzeczka błękitno-oka, usypiając go ostatnim zdradliwym pocałunkiem!... Śpij stary, siwy grodzie, ostatnia strażnico ziemi sławiańskiej, upojony złotym snem i roskoszą; śpij słodko na kresach ziemi polskiej! Ale biada ci, gdy się zbudzisz. Zdradziła cię kochanka twoja błękitno-oka, poszła do obcych, a oni za jej śladem przyjdą do ciebie, stary, siwy grodzie, ostatnia nasza strażnico, i mury twoje rozbiorą i podzielą między siebie, aby pamięć po tobie nie została!... Oto już stanęli w koło ciebie białym szeregiem, ściskają cię coraz więcej, upadniesz stary, siwy grodzie, strażnico ziemi naszej!...

— Młody lekarz odwrócił się nagle od okna i rzekł do starego ekonoma, który tymczasem z ułańską zręcznością zakrywał po za sobą ulubioną fajeczkę:

— Czy to Dąbczyn tam na prawo?

— Dąbczyn, wielmożny panie — odpowiedział ekonom.

— A ten biały pas po za nim?

— To niemiecka osada Siegesfeld, dawniej po naszemu Żegocin.

— Żegocin? to dawniej było polskie!

— Bardzo dobrze jeszcze pamiętam! należał do klucza Dąbczyńskiego. Powoli odkupili Prusacy pustką stojące grunta i nazwali po swojemu, co ma znaczyć pole zwycięztwa. Djabła tam, kiedy tu zwyciężyli. Pytałem już o to starego pana naszego, który wie o każdej wyoranej tutaj kości polskiej, ale o zwycięztwie Niemców ani śladu tutaj nie ma!

— Zwyciężyli, zwyciężyli — mówił półgłosem młody lekarz.

— Jakto? Wszak stary nasz pan...

— Byłeś żołnierzem, kochany Jakubie, a nie wiesz, co to zwycięztwo. Gdy cię nieprzyjaciel spędzi z placówki i sam tam ogień rozłoży, nie straciłżeś kilkaset kroków ziemi, nie cofnąłeś się na drugą linję?

— To prawda; sam pan major nazywał Mogiły redutą, a gdy je Warner kupił i po niemiecku gospodarować począł, rzekł pan do mnie: «Jakubie, strąć ten mostek na rzeczce granicznej, Mogiły już nie nasze, redutę wziął nieprzyjaciel! I jeszcze tego samego dnia własną ręką podciąłem kładkę, przez którą długi czas chodziliśmy wszyscy do Mogił, do pana Górnickiego. Był to bardzo poczciwy człowiek, tylko... Czy znał wielmożny pan Górnickiego, dawnego dziedzica Mogił?

Młody lekarz zrobił znak zaprzeczenia i usiadł na krześle. Korzystając z rozbudzonej ciekawości lekarza, zaczął stary ekonom tem, że sobie już otwarcie fajeczkę zapalił, a usiadłszy w kącie na stołku, rzekł:

— Jeżeli już wielmożny pan koniecznie chce dzisiaj w spalonym browarze nocować, to gawędka starego wcale nie zawadzi. Do tego mielnik oddał już ducha Bogu, a w całej wsi śpią ludzie, że aż miło. Poczciwy to nasz lud, ale głupi, jak wół. Sam pan widział, że do niczego. Mielnik wolał umrzeć przed czasem, niżeli zaufać ludziom, którzy więcej umieją od chłopa. I nie ma dziwu, że tym ludziom odbierają koloniści z rąk grunta i domy, nazywają wsi po swojemu, a nasi idą w rozsypkę i giną pod obcym płotem. Ale jeżeli pan całą wieś obcym sprzeda, to już grzech śmiertelny, jak mówi starszy pan, za który nie ma odpuszczenia ani na tym, ani na tamtym świecie!

— I bardzo słusznie mówi starszy pan — ozwał się lekarz.

— Otóż widzi wielmożny pan — mówił dalej ekonom, puszczając z należytą subordynacją kilka kłębów dymu — starszy pan zawsze rozsądnie mówi. A Mogiły, to znowu mówił starszy pan, dla tego tak się nazywają, że kiedyś mieli tutaj Polacy pobić Krzyżaków, rycerzy niemieckich,

i ich ciała pogrzebać. Nawet na samej granicy Dąbczyna i Radziejewa są wysokie kopce, w których bodaj czy nie leżą Krzyżacy. Psy lepiej się znają od nas na takich rzeczach, a mój Widu, to wyje jak wściekły, gdy tamtędy ze mną przechodzi. Stary to pies i nie głupi!

W tem, jakby wiedział, że pan o dobrych instynktach jego właśnie w tej chwili mówi, zaszczekał Widu przeraźliwie tuż pod oknami spalonego browaru. Lekarz i ekonom wyjrzeli oknem i widzieli obaj, jak ciemna jaka postać przesunęła się ukradkiem wzdłuż ściany i znikła poza węgłem. Widu rzucił się wściekle za nią. Za chwilę okazała się postać wysoka z kijem w ręku. Widu począł skomlić i łasić się do niej.

— Kto był ten pierwszy, tego nie wiem — mruknął ekonom — ale ten drugi, to może być tylko Marek Paliwoda, bo tylko do niego może się Widu łasić. Ale co on tak późno robi z kijem?...

Tymczasem Widu pożegnał na rogu browaru swego dobrego znajomego i wrócił pod okno izdebki, w której według jego przekonania miał się znajdować ekonom. Było to szpetne, czarne, kudłate psisko, o małych nogach i łbie ogromnym. Obaczywszy w oknie ekonoma, zaszczekał z widoczną radością, a zwróciwszy się ku północy, począł wyć przeraźliwie.

— Czy widzi wielmożny pan? — zawołał ekonom, tak zawsze po całych nocach wyje, zwrócony do Mogił i Dąbczyna, a nieraz to biegnie aż na kopce. Nieraz bywało, wstanę w nocy i patrzę, czy nie złodzieje. Nie ma i żywego ducha, a on wyje i wyje, jakby tam ćmę nieprzyjaciół widział!

— Widu, Widu! — zawołał lekarz, chcąc się bliżej przypatrzyć tej rozumnej istocie.

Widu jednak nic nie słyszał, wył tylko żałośnie, zwrócony do Mogił i Dąbczyna.

— I nawet biedę miałem z tem psiskiem w Dąbczynie — mówił dalej ekonom. — Bo muszę panu powiedzieć, że Wojna z Dąbczyna, zegarmistrz, tak go nazwał i mnie darował. Razu jednego pyta mnie jakiś luter, jak się ten pies nazywa. «Widu», odpowiedziałem, nie mając nic złego na myśli. A w tem zapieni się luter, aż zgłupiałem, i takiego narobił krzyku, aż się ludzi moc zbiegła. Nie dosyć na tem. Wzięli nawet mnie do burmistrza, a ten dał mi admonicję dość surową, abym ludzi nie znieważał. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że powiedziałem lutrowi wielką impertynencję, bo na jego pytanie, jak się pies nazywa, powiedziałem po prostu: «Widu» (wie du), co znaczy po polsku: «jak ty». A to wszystkiemu temu winien był Wojna, który dowiedziawszy

się o tem, spoił mnie jak cztery dziewki. Chciał mi psa odebrać, ale nie dałem mu, bo jakoś bardzo dobrze mi się podobało, odpowiadać lutrom, jak się ten pies nazywa.

Rzekłszy to stary ekonom, wytrzepał z fajki popiół, a zapaliwszy ją na nowo, mówił dalej:

— Otóż i psisko sprowadziło mnie z drogi. O panu Górnickim miałem mówić. Wieś Mogiły, ot tam, gdzie ta kupka drzew się czernieje, jest to piękna i rozległa osada. Ma wprawdzie grunt mokry, ale jakie takie rowy, a w życie mógłby się człowiek schować. Ale pan Górnicki nie wiele dbał o to i nie bardzo zaglądał do gospodarki. Chociaż był nieżonaty, dom jednak prowadził wielki; miał ładne konie i karetę, polował i ucztował z gośćmi, których zawsze było pełno u niego. Pan major często napominał go, aby się powściągnął, bo wieś pójdzie na takie życie, na co pan Górnicki śmiejąc się, odpowiadał: «Kochany szefie, nic tu nie pomoże. Gdybym żył o suchym chlebie, to wieś Niemcy wezmą, bo ja z nimi sąsiaduję i widzę, co oni robią. I wszyscy pójdziemy z torbami, jeśli się tymczasem na lepsze nie zmieni, bo szlachcic polski nie utrzyma się przy ziemi. Oni i na piaskach pszenicę mieć będą, a szlachcic i na gnoju ma pustki. Już niebo nam nie sprzyja. Ja pierwej, bom z brzegu, a ty po mnie, kochany szefie, pójdziesz z torbami, a Niemcowi zrobisz miejsce.» Tak mówił zawsze do majora pan Górnicki i w niczem trybu życia nie zmienił.

Widu obrócił się znowu do ściany szpitalu i począł szczekać przeraźliwie. Znowu jakiś niewyraźny cień przesunął się przez szyby okienka, ale Widu rzucił się z wściekłością na niego i znowu zapędził go po za węgły browaru.

— Otóż raz już było bardzo krucho z panem Górnickim. Kilku Niemców zjechało się do Mogił i chcieli wieś sprzedać na licytacji publicznej. Mój pan i kilku innych panów udało się do Mogił i gadu gadu z Niemcami, ale ani rusz przyjść do jakiejś ugody. W tem jeden z tych Niemców, niejaki Warner, którego pan nieraz widzi w Dąbczynie, przyjął cały dług na siebie i obiecał czekać panu Górnickiemu jeszcze lat kilka. Tymczasem sąsiedzi nasadzili się na hrabiego z Dąbczyna, że pana Górnickiego wziął na komisarza i rządcę dóbr swoich. Tym sposobem mógł pan Górnicki wyjść z biedy i Mogiły oczyścić. Od tego czasu był Warner częstym u niego gościem; on to wprowadził go do Dąbczyna, gdzie teraz większym jest panem od samego hrabiego i niby rad mu gospodarskich udziela.

Widu obiegł tymczasem szpital na około, a zwróciwszy się ku Mogiłom, począł wyć przeraźliwie.

— Otóż w styczniu — mówił dalej ekonom — roku 1846 przyjechał Warner do Mogił. U pana Górnickiego było kilku sąsiadów i mój pan z nimi. Ja siedziałem w kredensie i czekałem na mego pana. Co się tam między nimi działo, tego nie wiem, ale widziałem, że pan Górnicki wnet wyszedł do sieni mocno zmięszany, a za nim Warner. Poszli do przyległej izdebki, z której jedne drzwi wychodziły do kredensu. A że w kredensie nie było nikogo, bo służba gdzieś się rozbiegła, przyłożyłem oko do dziurki od klucza, aby widzieć, co się tam dziać będzie. Mówiąc prawdę, miałem zawsze wstręt do tego Niemca i mogłem coś najgorszego sobie wyobrazić. Pan Górnicki był mocno blady, chodził po pokoju i łamał ręce, ale co między sobą mówili, tego słyszeć nie mogłem. Wreszcie wyciągnął Warner jakieś papiery z zanadrza, a pan Górnicki siadł i coś w nich pisał. Widziałem, jak mu łzy kapały... Potem wyszli obaj, a Warner pożegnawszy się w sieni z panem Górnickim, siadł na bryczkę i odjechał. Panowie zaraz się rozjechali, a pan major powtarzał często w drodze: «Poczciwy Niemiec, biedny Górnicki!...» Jeszcze tej samej nocy wyjechał pan Górnicki z Mogił, a nazajutrz rano przyszedł do dworu komisarz rządowy z żołnierzami; ale we dworze już nikogo nie było. Okazało się, że Warner jeszcze przed pół rokiem kupił już był Mogiły od pana Górnickiego, miał nawet to od niego na piśmie.

— I gdzież jest teraz pan Górnicki? — zapytał lekarz, który z ciekawością słuchał opowiadania starego ekonoma.

Ekonom podniósł oczy do nieba i machnął ręką.

— Pan Górnicki — mówił po chwili — wyjechał był do Galicji i ztamtąd więcej nie wrócił. Pan major, gdy się o tem dowiedział, poszedł po raz ostatni nad rzeczkę graniczną, a widząc na łące jadącego młodego Warnera ze szpicrutem w ręku, którym mu się z daleka kłaniał, rzekł do mnie: «Zrzuć tę kładkę, Jakubie, redutę naszą już wziął nieprzyjaciel.» I uczyniłem zaraz, jak mi rozkazano, ale droga, którąśmy niegdyś wydeptali do Mogił, dotąd jeszcze nie zarosła. Starszy nasz pan mówi na to, że ścieszki naszego żywota zostaną wiecznie, bo według nich sądzić nas będzie Bóg w dniu ostatecznym! Biedny Górnicki, niech mu Bóg nie pamięta, że kilkaset dusz wiernych zaprzedał lutrowi.

Młody lekarz wstał z krzesła, a przystąpiwszy do starego ekonoma, wziął go za rękę i rzekł:

— Poczciwy Jakubie! opowiedziałeś mi rzeczy, które mnie boleśnie dotknęły, ale oraz cieszę się, że podobne wypadki i dla nas są smutnemi. Każda piędź ziemi naszej, którą obcy nabywa, jest zwycięztwem odniesionem nad nami.

Myśmy ich niegdyś zwyciężali żelazem, oni teraz zwyciężają nas pracą przemyślną, a my upadamy gnuśnością i marnotrawstwem.

— Tak samo kubek w kubek i starszy pan mówi — odpowiedział ekonom — i w Bogu nadzieja, że nam tak łatwo karku nie złamią.

Rzekłszy to, pokręcił wąsa stary wachmistrz, a ukłoniwszy się z należytą subordynacją, wyszedł z izdebki, dążąc na folwark, do ukochanej swojej Małgosi, na której wspomnienie coś strasznie posmutniał stary wiarus.

Długo w noc czuwał jeszcze młody lekarz. Różne obrazy z dnia dzisiejszego przesuwały się przed jego oczyma. On widział dzisiaj lud przesądny, nie ufający najlepszym chęciom, lud żyjący w tradycjach wiekowego swego bóstwa, odtrącający od siebie każde lepsze, śmielsze marzenie... A naprzeciw niemu stanął lud obcy, przemyślny, zagarniający jak fala coraz więcej ziemi polskiej, niszcząc jej święte pamiątki... Trudna walka z takim ludem, a każda chwila usuwa granice ziemi, które niegdyś zakreślił jej naród mieczowy i mogiłami pobitych nieprzyjaciół naznaczył... I znowu wyjrzał młody lekarz z okna ku wieżom Dąbczyna, ale tym razem łagodniejszy wyraz miał na twarzy. Jego ciemne oko rozświeciło się uczuciem szczęścia, drzemiącego tam gdzieś w głębi duszy, o którem świat jeszcze nic nie wie, a które może pozostanie wieczną dla niego tajemnicą. Tylko czasem zdradzi je łza boleści, kilka zmarszczek wskażą ślady, którędy przemknęło uczucie gorętsze... A na szarej osłonie nieba szybuje biały obłok; zwiesił się na czarnej wieży Dąbczyna, a tysiące złotowłosych aniołków igrają na jego białej, łabędziej piersi. To ona śni o tobie, szepcze mu stara grusza, a jej sny czyste i dziecinne, jak te aniołki złotowłose, kołyszące się na jej białej, łabędziej piersi... Zlicz moje liście, mówi stara grusza, a będziesz miał miarę szczęścia, które cię czeka, gdy z jej ust pić będziesz nektar roskoszy... Z czoła twego zdmuchnij chmury, wołają liście starej gruszy, ona wystarczy ci za cały świat, powiedzie cię przez wonne kwiaty, a śnić będziesz sny roskoszy i szczęścia...

Lekarz stał przy oknie i śnił jeszcze słodko, gdy nagle sny jego poczęły się ożywiać. Biały obłok, wiszący u wieży Dąbczyna, zniżył się ku ziemi; a kilka złotowłosych aniołków zstąpiło na piękną, zieloną łąkę. Liście starej gruszy zaszumiały głośno, a oni zanucili śpiew słodki i zwolna postępowali ku niemu. Na ich czołach błyszczały światła, za nimi szedł zły duch w niemocy swojej i warczał ze złości, że był niemocen. A w koło nich ulatywały westchnienia, ulatywały na zawsze z ziemi, bo w piersi ludzkiej, napojonej szczę-

ściem, już więcej nie zagoszczą... to wysłańcy nieba zstąpili na ziemię... odtąd niebo zamieszka między ludźmi...

W tem znany głos starego ekonoma i szczekanie psa ozwały się tuż pod oknem. Lekarz wpatrzył się w grupę, stojącą przed nim.

— Wielmożny panie — zawołał stary ekonom zachrypniętym głosem — otóż dzisiaj karanie boże. Bestja pijana jak kloc, a chrześciański człowiek jeszcze lutra ratować musi.

Towarzysze ekonoma położyli na ziemi ciało człowieka, który ani znaku życia nie dawał. Ekonom zaświecił mu w oczy latarką i rzekł:

— Trzeba mu krew puścić, to przyjdzie do siebie... Ależ bestja wypił kufę wódki!

Z poza ekonoma wybiegł czarny, kudłaty pies i warczał i szczekał. Lekarz potarł ręką po czole i zdawało się mu, że go nagle oblano zimną wodą.

A gdzież są owi aniołowie o złotych włosach, z jasną gwiazdą u czoła? Gdzież ów zły duch, co warczał w niemocy?...

Widu szczekał przeraźliwie i szarpał z wściekłością szaty człowieka, którego do szpitalu wnoszono.

---

Przypomnijmy sobie owego Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka gromady radziejewskiej, który z nią w ciągłej żył wojnie i tylko z kudłatym pieskiem w jakiej takiej był zgodzie, jak to sam ekonom niedawno nam opowiadał. Otóż ten Marek Paliwoda, który niedawno przed sądem gromady chyłkiem uciekać musiał, nie mógł w domu dosiedzieć, ani doleżeć do dnia białego, bo go coś paliło jak rozpalonem żelazem. Zdawało się mu, że ten djabeł, który z browaru porwał mielnika, nie mógł być djabłem, bo dobry gospodarz z własnego domu nikogo nie wykrada. I gdy to i owo w swojej głowie rozbierać począł, uczuł nagle w sercu jakieś dziwne natchnienie, które wyraźnie mówiło mu do prawego ucha: «Wstań, Paliwodo, i weź kij dobry, a reszta stanie się według tego, co komu z góry jest przeznaczone.»

I posłuszny temu natchnieniu, wstał Paliwoda, a wziąwszy do ręki kij sękaty, pokropił go wodą święconą i wyszedł z izby.

Długi czas chodził Paliwoda po wsi, nie zdybawszy ani żywego ducha, ani stróża nocnego; chodził od młyna do browaru i od browaru do młyna, odmawiając w duchu modlitwę do N. Panny Matki Częstochowskiej, aż w tem nagle

ktoś mu w drogę przeszedł i chyłkiem pod okna szpitalu pobiegł. Paliwoda za nim z kijem, ale tam już go nie było, bo Widu nie dał mu do ściany przystąpić.

— Musi w tem coś być — mówił do siebie Paliwoda — nie na darmo miałem takie przeczucie, jakby mi coś do ucha gadało — ale znikł gdzieś jak kamfora.

Mówiąc tak do siebie Paliwoda, obaczył nagle, tuż przed nosem, gospodę, w której jeszcze światło się paliło. Przez szyby widać było kilku siedzących przy stole. Noc była już późna. Paliwoda pokiwał głową i jeszcze więcej utwierdził się w swojem przekonaniu: że w tem musi coś być. — Poczem przystąpił do drzwi gospody, pocisnął klamkę i wszedł do izby.

Izba była duża i ciemna: Jedna świeczka świeciła się na stole, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był to człowiek średniego wieku. Granatowa czamara znamionowała mieszczanina z małego miasteczka. Na głowie miał czapkę trójgraniastą, której dziwną symbolikę nie każdemu rad opowiadał. Miała ona jakieś jeograficzne znaczenie. Siedzący naprzeciw niego mężczyzna mógł mieć lat czterdzieści kilka. Był mocno chudy, miał twarz czerwoną, obrzękłą, nos duży, trędowaty. Włosy pomierzwione i spłowiałe, nakrywał biały, połamany kapelusz; od wielkich, sterczących uszów spadały na dół rudawe bakenbardy. Miał na sobie surdut jasnego koloru, pomięty i zatłuszczony.

— Marku! Marku! — zawołał mężczyzna w trójgraniastej czapce — a cóż cię tam za licho tak późno do gospody prowadzi? A kij tak trzymasz, jakbyś tu kogo chciał wybić!

Mówiąc to mieszczanin w trójgraniastej czapce, spojrzał z ukosa na swego sąsiada i uśmiechnął się do Paliwody.

— Zdrowiście, panie Wojna — odpowiedział Paliwoda — biorąc podaną rękę mieszczanina — a cóż was tak późno w gospodzie zatrzymało?

— Byłem na folwarku — mówił mieszczanin — ale Mietlicy nie ma w domu, a żonce nie chciałem się naprzykrzać, bo wiecie, co to za kobieta.

— Hm! — mruknął Paliwoda, zerkając na gościa z trędowatym nosem — to pójdźcie do mnie, panie Mateuszu, ale pierwej...

— Co pierwej?... potem, nie pierwej — przerwał mu mieszczanin, mrugając na niego — ot siadaj i wypij z nami.

— Ach, panie Link — zawołał Paliwoda — a cóż wy tutaj? wszak do Mogił nie daleko?

Mężczyzna z nosem trędowatym obrócił się na to zapytanie, a zmierzywszy sękaty kij Paliwody, rzekł:

— A cóż to wy, Marku, dzisiaj stróżem nocnym? Taki bogaty gospodarz wstydziłby się...

— Cóż robić, ot człowiek spać nie może... A nie ma tam jakiego nowego patentu, panie Link?

Link, włóczący się pisarz pokątny i ajent różnych kupców, zrobił minę urzędową, przeliczył coś na palcach, a wychyliwszy z kieliszka ostatek wódki, odpowiedział:

— Ostatni patent był o nowym podatku, a teraz jest w robocie o lasach pańskich, które między chłopów podzielone będą.

— A to łże, aż się kurzy — poderwał mieszczanin.

— Luter psia wiara — szepnął Paliwoda, gdy Link do szynkarki się obrócił.

Korzystając z tego mieszczanin, rzekł Paliwodzie do ucha:

— Ty coś Linka masz na wątróbce!

— Ano! — mruknął Paliwoda.

— Pijże z nim i upij go dobrze.

— A to na co, alboż nie podołam?

— Głupiś, burmistrz z Dąbczyna sam ci powie, że po trzeźwemu w pysk dać, to gorzej, jak pijanemu kość złamać; rozumiesz?

Paliwoda uśmiechnął się na znak, że mieszczanina dobrze zrozumiał; kazał postawić na stole flaszę wódki i rzekł:

— No, panie Link, napijemy się wódeczki, bo już dawno nie byliście w Radziejewie.

Ajent otarł gębę, połknął ślinę i z słodkim uśmiechem posunął do flaszy, jak do dawnej swojej przyjaciołki. Rozmowa szła zwykłym trybem, jak się to dzieje, jeźli nikomu o nią nie chodzi. Ajent wypytywał się o niektóre szczegóły wsi, mówił o restauracji szpitalu i napomknął coś o młodym lekarzu, który dzisiaj był w Radziejewie. Paliwoda opowiedział mu, co zaszło, a czyniąc zadość ciekawości ajenta, musiał mu każde słowo powtórzyć, które młody lekarz do gromady był powiedział. Jakoś szczególnie upodobał sobie Link tego człowieka, i mieszczanina to uderzyło, bo kilka razy Paliwodę nogą trącił. Wreszcie opowiedział Paliwoda całe zdarzenie z mielnikiem, a gdy mówił o wielkiem młyńskiem kole, które mu rękę zgruchotało i całe krwią zlane zafarbowało wodę na rzece... ajent pobladł mimowolnie i tak jakoś stał się niespokojny, tak się wiercił na swojem miejscu, jakoby gdzieś z pod stołu chwytało go za nogę wielkie koło młyńskie, aż mieszczanowi żal się zrobiło. Nalawszy nową kolej, rzekł do niego:

— Pij, mości Linku, i nie lękaj się koła. Śmierć kołem już skasowana, tylko hak został. W koło już cię nie wplotą; pij Linku, pij!

Ajent chwycił za kieliszek, wychylił go duszkiem, nalał drugi i wypił; ale jakieś dziwne złowieszcze widmo stało mu przed oczyma. Słyszał łoskot koła, widział mielnika we krwi... kroplisty pot wystąpił mu na czoło...

— Pij, Linku, pij! wołał Paliwoda, nalewając kieliszek — a potem będziemy skakać!

Link pił, ale nic nie odpowiadał. Zdawało się, że jakaś otchłań nagle w nim się otworzyła, którą chciał zalać, a nie mógł... Link pił, aż mu trądy posiniały na nosie.

Wreszcie poczerniał jak mak czerwony i nagle jak bez posiniał.

— Pij, Linku, pij! — wołał Paliwoda.

Link zrobił gest ręką, jakby sobie oczy chciał zasłonić i pochylił się na ławie. Twarz mu poczerniała aż po włosy.

— Tam do kata! — krzyknął mieszczanin — jeszcze lutra ratować trzeba.

— Dajcie mu pokój — zawołała szynkarka — to już taka jego choroba. On ją już nieraz miał tutaj. Po chwili sam przyjdzie do siebie.

Mieszczanin i Paliwoda zafrasowali się nie mało i sami nie wiedzieli, co począć, gdy Link nagle ze stołka się zerwał i rękami machać począł.

— Precz, precz! — wołał chrypliwym głosem, patrząc szklannem okiem w najciemniejszy kąt izby — zapal trzy świece i cztery lampy, wysuń katafalk, a trumnę schowaj!.. Cztery a sześć jest dziesięć, weź przetak na deszcz... tam duszno i gorąco... wolę śnieg, śnieg... co za śnieg... ha! ha! ha!... Śnieg wpas, a cztery dzieci nagie, a z każdego krew cieknie... brrrrr... zimno, śnieg wpas... czworo ich było... cztery psy, a trzy koty... zaświeć świece, a nasyp kadzidła i śpiewaj resurexit... precz, już go nie ma... grzyb rośnie po deszczu, czarny wielki grzyb... już go schowali, czworo dzieci, piękne, tłuste dzieci...

— Tam do kata — krzyknął mieszczanin — plecie aż strach człowiekowi.

— Zły duch opętał go — zawołał Paliwoda.

Link rzucił się na środek izby, piana okryła mu usta, oczy krwią nabiegły.

— Precz z czapką o trzech rogach — rzekł do mieszczanina — bo ich było czworo, rozumiesz, czworo ich było, a jego już wzięli... czarny wilk z białym psem nie idą w parze... Warner za mnie zapłaci, da cztery chmury deszczu, a trzy gradu... cztery a trzy jest siedm, a ich było czworo... kret nie ma oczu, a widzi... zaświeć, bo ciemno... weź przetak na deszcz... brrr, śnieg w pas... zaświeć świece i postaw krucyfiks, a przysięgnę...

Obecni przeżegnali się krzyżem świętym, a Link wyciągnął rękę jakby do przysięgi. Wtem wpadł Widu przez otwarte drzwi i rzucił się na ajenta.

— Precz, precz szatanie — wołał nieszczęśliwy — precz, nie mam duszy... głupi proboszcz i pastor głupi... precz, tam stoi krucyfix, a tam katafalk, a tam czworo ich, czworo... pod ziemią nikt nie widzi... po deszczu grzyb rośnie... weź przetak na deszcz...

Widu szarpał go za poły i szczekał przeraźliwie.

Do izby wszedł stary ekonom. Link upadł na ławę jak bez duszy.

— Wojna! Paliwoda! — zawołał ekonom — wszelki duch chwali Pana Boga!

— Pst, pst! — odparł mieszczanin — nie budź go, niech się uspokoi.

Ekonom spojrzał zdziwionym okiem po izbie.

— Mówią ludzie — ozwała się zakłopotana szynkarka — że go kiedyś wściekły pies pokąsał i od tego czasu napada go często taka choroba.

— Do kata — odparł mieszczanin — widział ja wściekłych ludzi, ale jego choroba nie w ciele siedzi.

— Zwarjował albo co? — zapytał ekonom.

— Upił się i kwita — zakonkludował Paliwoda.

— Chociaż luter psia wiara, ale przecież człowiek... — wycedził zwolna ekonom.

— A jużci, trzeba go jakoś ratować — dodał mieszczanin.

— No, i ja mu nie życzę, aby tutaj zdechł jak pies — zakończył Paliwoda — może się choć wyspowiada i od djabła wykręci...

Po krótkiej naradzie zgodzono się na to, aby ajenta zanieść do spalonego browaru i lekarza zbudzić. A Paliwoda z wielkim strachem myślał o jutrze, gdy go gromada opadnie i zapyta, czy nie wierzy w djabła, który mielnika porwał i wlazł w Linka, aby go nastraszyć. Niektórzy nawet, a najbardziej Jędrzej Maciejaszek, będą się uśmiechać i powiedzą, że gdyby Link nie był nadszedł, toby djabeł wlazł był w niego, Marka Paliwodę, farmazona i niedowiarka. Biedny Paliwoda!

---

Gdy Link oczy otworzył; ujrzał się w łóżku przyzwoitem, pod ciepłem nakryciem, i tak mu się jakoś podobało, że nie rzekłszy ani słowa, przewrócił się na prawy bok i jakby miał sumienie najspokojniejsze, usnął szczęśliwie snem spra-

wiedliwego. Lekarz nie znalazł na nim żadnej oznaki jakiejbądź choroby i był tego zdania, że się upił przyzwoicie i że sen przyzwoity uwolni go od wizji kar piekielnych. A chociaż mieszczanin o trójgraniastej czapce coś strasznie sentencjonalnie na to głową potrząsał, a Paliwoda nie dowierzając temu wszystkiemu, z największą rubasznością się uśmiechał, rozstrzygnął całą tę sprawę stary ekonom, przystosowaniem jednej z licznych swoich reminiscencji wojskowych.

— Czy tak, czy owak — ozwał się z należytym akcentem — myśmy zrobili swoje, a reszta nie do nas. Wprawdzie postąpiliśmy sobie aż nadto po samarytańsku, jak mówi ksiądz proboszcz, przywlokłszy tego lutra aż tutaj, ale dla dobrych katolików było to zawsze obowiązkiem. Pamiętam, gdym był ranny pod Lipskiem, już mi chciał rajtar głowę od karku oddzielić, gdy nagle krzyknął wachmistrz: «Hola, nie zabijaj go, bo on wtedy twoim nieprzyjacielem, gdy stoi naprzeciw tobie na własnych nogach, ale przestał nim być, gdy leży jakby bez duszy.» Niechże Link leży sobie zdrów, a że leży bez duszy, to rzecz oczywista, bo nawet nóg swoich nie czuje.

Uspokoiwszy tym sposobem zbyt drażliwe sumienie obu swoich towarzyszy, chciał właśnie stary wachmistrz zatrąbić do odwrotu, gdy mieszczanin naprzód postąpił i rzekł do lekarza:

— Otóż i byłbym zapomniał, że właśnie miałem panu coś powiedzieć od panny Janiny.

— Od panny Janiny? — poderwał lekarz, rzuciwszy okiem na śpiącego Linka. Zdawało się mu, że Link nieznacznie ucho odsłaniał.

— Tak jest, od samej panny Janiny — odpowiedział mieszczanin.

— Zapewnie chora?

— Zdrowa dzięki Bogu, wygląda jak róża.

— Może margrabina?

— Wszyscy zdrowi, widziałem na własne oczy — mówił dalej mieszczanin — bo właśnie dzisiaj byłem w zamku po tę skrzyneczkę, aby ją przynieść panu. Spóźniłem się jednak i nie chciałem nocą pana nachodzić.

Rzekłszy to, wyjął z pod poły coś zawiniętego w dużą kraciastą chustkę i właśnie chciał końce chustki rozwiązywać, gdy lekki szelest dał się słyszeć w łóżku, na którem leżał chory. Wszyscy spojrzeli na Linka, ale ten leżał spokojnie i zdawało się, że śpi twardo. Na twarzy jednak lekarza widać było niepokój; dał znak mieszczaninowi, aby szedł za nim do osobnej izdebki.

— Siadaj sobie, panie Wojna — rzekł do mieszczanina

o trójgraniastej czapce — bo spory kawał drogi z Dąbczyna do Radziejewa. A najprzód mów mi pan o pannie Janinie.

— Chociaż nie wiele dziesiątek lat siedzi u mnie na karku — odparł mieszczanin, przysuwając stołek — a jednak siły już nie dopisują. Przez wszystkie lata żyłem tak, jak mi moje imię nakazywało; o tem wie cały Dąbczyn. Bo też wojnę prowadzę od dziecka z tymi lutrami, ale wkrótce Wojna uspokoi się... z każdym dniem opadają siły, a grób tuż pod nogami. Lecz prawdę mówiąc, nie zazdroszczę tym, co po mnie zostaną. Może być, że się z lutrami pokumają, że założą spółkę z nimi, ale ja na to nie chcę patrzeć...

— Przedwczesny jeszcze smutek, panie Wojna... a cóż tam zleciła panna Janina?

— Panna Janina, ot młode stworzenie sobie i kwita. Skacze jak wiewiórka, aż się człowiekowi w oczach kręci, ale kto ma górą lat czterdzieści i widzi, jak marnie giną jego nadzieje...

— To zwykły bieg życia na świecie, panie Wojna. Nadzieje i marzenia starszych odziedziczają młodzi, cieszą się niemi i pieszczą, a za kilka dziesiątek lat oddają je znowu w ręce młodszego pokolenia.

— Nie, panie, nie... dzisiejsze pokolenie to już nie takie...

— Cóż panna Janina? — przerwał z niecierpliwością lekarz.

— Mój nieboszczyk rodzic był zegarmistrzem nadwornym u pana w Dąbczynie — bo musi pan wiedzieć, że ten kunszt jest dziedziczny w naszem imieniu. Mój pradziad wyuczył się był kunsztu w Norymbergji, a dziad mój robił ten zegar na wieży zamkowej. Co to za zegar, mój panie! to arcydzieło! Siedemnaście kółek i trzy tryby, nie licząc w to wiatraków i szaleńców. Dzisiaj zaledwie dziewięć kółek jest w ruchu, a inne spoczywają od dawna, bo ani mój ojciec, ani ja, nie mogliśmy odgadnąć, co im właściwie brakuje. Są tam i piszczałki, w które dmuchać miał zegar, oznajmiając godziny i dając różne sygnały w czasie publicznego niebezpieczeństwa. Dzisiaj milczą one, jakby im kto gębę zamknął; i słusznie, bo cóżby to był za głos bolesny!...

— Bardzo słusznie, panie Wojna... ale —

— Mój ojciec — przerwał mieszczanin — mój ojciec był nadwornym zegarmistrzem u nieboszczyka pana, a był to pan całą gębą. Ale czem później, tem gorzej. Dzisiaj nie stało już Dąbczyńskich na własnego zegarmistrza — ja osiadłem w mieście. Nie chciałem iść gdzieindziej, bo mi żal było oddalić się od dzieła mego pradziada; przecież człowiek kocha to, co mu przypomina jego przodków. A zresztą miałżem dopuścić, aby jaki luter świętokradzką ręką dotknął się

tego arcydzieła, do którego ja od lat trzydziestu z równą zawsze czcią i strachem przystępuję? Wpatrując się w rdzę, która te koła trawi, zdaje się mi, że widzę Sebastjana Wojnę, jak się gniewa na mnie, jak mi grozi palcem, że obojętnie patrzę, jak dzieło jego marnieje... Wtedy biorę prędko pilnik do ręki, oczyszczam żelazo z rdzy i spokojny kładę się spać, żem pamiątkę pradziada uszanował.

— Jest to bardzo piękne uczucie, kochać pamiątki ojców naszych.

— Otóż po śmierci mego ojca poszedłem do zamku i rzekłem do margrabiego: «Jeźli nie mogę być nadwornym zegarmistrzem u jaśnie wielmożnego margrabiego, to niechże przynajmniej wolno mi będzie posiedzieć z godzinę na dzień przy zegarze, który jest dziełem mego pradziada, Sebastjana Wojny.» I dobry pan nie odmówił mojej prośbie. Odtąd chodzę codziennie na wieżę zamkową i mam klucze od wschodów. A nawet potrzeba zawsze między szóstą a siódmą godziną posunąć skazówki o dwa kwadranse, bo się coś od niejakiego czasu spóźnia starowina i jak mnie, tchu mu nie staje. Mimo to jest to zawsze arcydzieło, na jakie dzisiejszy niemiecki fabrykant nie zdobędzie się!...

— Powinniśmy wszystko, co nasze, kochać sercem matki, kochać nawet wtedy, gdyby nie było...

— Gdyby nie było tak doskonałem jak obce! chciałeś pan powiedzieć — przerwał mieszczanin z pobłażającym uśmiechem. — Sądzisz pan, że ślepa miłość mówi ze mnie, gdy tu rozpowiadam o dziele Sebastjana Wojny...

— Wierzę i bardzo wierzę — ozwał się lekarz z widocznym niepokojem — wierzę nawet, że temu arcydziełu nic nie ma równego.

— Wyjąwszy Ołomuniec — uzupełnił mieszczanin, nie chcąc, by go posądzono o niesprawiedliwość.

— Tak, słusznie, wyjąwszy zegar ołomuniecki... ale mówiłeś pan o pannie Janinie?

— Wprzódy o tej skrzyneczce, którą tu mam, a która pochodzi od pana Górnickiego.

— Górnickiego?

— Tak jest, pana Górnickiego, byłego dziedzica Mogił.

— Młody lekarz rzucił się na krzesle z niecierpliwości. Wojna zniżył głos:

— Było to w styczniu — mówił zwolna i wyraźnie — śnieg leżał na dwa łokcie, a burza była na świecie, żeby i psa nie był wypędził za próg. Już dobrze po północy zapukał ktoś do okna. I wchodzi pan Górnicki, cały owiniony w niedźwiedzie. «Mateuszu, rzeknie do mnie, wiem, żeś człowiek poczciwy i że ci we wszystkiem zaufać można. Ja wyjeżdżam, a może już nigdy nie wrócę. Weź tę skrzynkę,

w której są różne papiery i schowaj ją u siebie. W moim dworze już kto inny mieszkać będzie, nie chcę jej tam zostawić. Może być, że kiedyś, jeśli będę przy życiu, upomnę się o nią, a jeźlibym już nie żył, to ją spal lub zakop w ziemię, bo mi już wtedy nic po niej.»

Mówiąc to mieszczanin, rozwinął chustkę kraciastą i dobył z niej małą szkatułkę z ciemnego drzewa i postawił na stole. Szkatułka, Górnicki i panna Janina, plątały się dziwnie przed oczyma młodego lekarza, a biedny Wojna byłby umarł z rozpaczy, gdyby w tej chwili zajrzał do duszy lekarza i swego zegaru o siedmnastu kółkach, trzech trybach i kilku szaleńcach, arcydzieła ś. p. Sebastjana Wojny, tam by nie znalazł!

— Otóż tę skrzyneczkę przyniósł mi w nocy zimowej roku 1846 pan Górnicki, a zaraz nazajutrz medytowałem nad tem, gdzieby ją dobrze i bezpiecznie schować można. Przyszła mi na myśl wieża zamkowa i zegar, w którymby i wołu ukryć można. Więc tam włożyłem ją pod lewe skrzydło wiatraku, który już od stu może lat nie obraca się. I leżała tam od tego czasu aż do wczoraj. Pan Górnicki, jak słychać, już nie żyje, a mnie już także nie długo na tym świecie. Już z trudnością przychodzi mi wyleźć na wieżę, a gdy kiedy zaniemogę, to jeszcze kto wie, komu by ta skrzynka wpadła w rękę. Oto poszedłem wczoraj po nią, aby ją wziąść ztamtąd i gdzie do wody wrzucić, lub w ziemię zakopać, jak to sobie życzył nieboszczyk Górnicki.

— I właśnie ta oto skrzyneczka — poderwał lekarz, korzystając z chwili wytchnienia opowiadającego —

— Tak jest; ta oto skrzyneczka leżała na lewem skrzydle wiatraku — ciągnął dalej zegarmistrz. — Wyjąłem ją, otarłem z prochu, zawinąłem w chustkę i wyszedłem na ganek, jakto co dnia czynić zwykłem. I opanowało mnie jakieś dziwne uczucie. Zdawało się mi, że poraz ostatni patrzę z tej wieży. Hej, mój mocny Boże! ileż to wspomnień bolesnych ma dla mnie ten widok z wieży zamkowej!... Przed laty trzydziestu wyprowadzał mnie nieraz ojciec na ten sam ganek, zakreślał ręką szerokie koło na wszystkie części świata i mówił do mnie: «Patrz Mateuszku, to wszystko, co ztąd widzisz, to ziemia nasza...» Mój Boże! Nie wiem, dla czego, ale serce rosło mi w piersi; zdawało mi się, że na tej szerokiej ziemi jest coś i mego, że i ja nie jestem bez dziedzictwa! A ja tymczasem znałem tylko tych ludzi, co tam mieszkali: każdą wieś, każdy dwór, każdy kościołek znałem. Byli to moi dobrzy znajomi, chociaż tylko z okien podzamcza na nich patrzyłem, gdy przyjeżdżali do zamku! A co to byli za panowie! A jak gościnnie podejmował ich nieboszczyk pan!

— Miłe nam jest wspomnienie tych dawnych czasów.. Ale wspominałeś pan...

— Aha! mówiłem, żem stał na ganku z tą oto skrzyneczką pod pachą. Mocny Boże! pomyślałem sobie, gdzież się te dawne czasy podziały? Gdyby mój rodzic dzisiaj wstał z grobu, cóżby mi mógł pokazać z tego ganku? Oto dziedzice tych pięknych włości pomarli, opuścili dwory, opuścili kościoły boże i lud boży, a nieznajomi ludzie, z obcą mową, bez Boga w sercu, przyszli i zajęli ich domy pradziadowskie, pohańbili pamiątki narodowe, mury kościołów rozebrali na browary i stajnie, a lud biedny, lud został bez opieki! I zaginęły imiona wsi i miasteczek, powymyślano nowe nazwy, a nim kilka dziesiątek lat minie, i śladu nie będzie polskiej ziemi!...

— Lekarz wstał z krzesła i począł przechadzać się po izdebce. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Przystąpił do mieszczanina i wyciągnął rękę. Ale ten nie widział teraz podanej ręki, on był myślą na wieży zamkowej i patrzył szeroko w nieszczęsną krainę.

— I obróciłem się do wieży — mówił dalej mieszczanin — bo mi łzy w oczach stanęły. Słońce zbliżało się właśnie do zachodu i czerwonem światłem oświecało mury wieży. I pomyślałem sobie: kto wie, czyli ta wieża nie będzie kiedyś kominem jakiej fabryki nieswojskiej, a bezbożny fabrykant strąci zegar, dzieło mego pradziada, z tej wysokości, a te misterne koła założy do pługa, który z każdym dniem worywa się w rolę polską!... I gdy tak smutno sobie dumałem, w tem słyszę, ktoś idzie po schodach... suknia szeleści... i ledwie oczy z łez otarłem, aż tu przedemną stoi... nigdy nie zgadłby pan... stoi panna Janina!

— Panna Janina! — zawołał młody lekarz i niecierpliwie rzucił się ku mówiącemu.

— Tak jest, panna Janina. W białej sukni, z czerwoną przepaską, wyglądała jak zaklęta księżniczka, o której, gdym był młodszy, opowiadano mi, że mieszka gdzieś na zamku Dąbczyńskim. Śliczna to panna i dobra panna, każdemu da dobre słowo i zawsze ma uśmiech na twarzy. Nie tak, jak ta panna Terenia, jak ją nazywają, która nigdy się nie rozśmieje i wygląda zawsze ponuro, jakby kogo zabiła.

— I cóż panna Janina?

— Myślałem sobie, że ot zapyta mnie, czego ja tutaj stoję na ganku, albo czego mam oczy zapłakane, a ja byłbym jej wtedy opowiedział to wszystko, com panu teraz mówił, i jakoś lżej byłoby mi na sercu.

— Ale ona... cóż mówiła?

— Ale ona uśmiechnęła się do mnie i kiwnęła głową, jak to zawsze czyni, gdy mnie obaczy, i rzekła: «Dobry wieczór

panie Wojna. Pokaż mi, które to Radziejewo!» Pokazałem jej te trzy lipy i rzekłem: «I to wkrótce nie będzie nasze!» Musiałem jakoś bardzo głupio powiedzieć to, bo panna Janina spojrzała na mnie dziwnie i rzekła: «Jakto nasze?» Poprawiłem się i powiedziałem: «Polskie, wielmożna panno, polskie.»

— A panna Janina?

— Panna Janina na to nic nie odpowiedziała, tylko rozsunęła długą perspektywę, którą w ręku miała, i poczęła z uwagą patrzeć w to miejsce, gdzie jest Radziejewo. Po chwili zwróciła się znowu do mnie i zapytała: «Czy można ztąd widzieć szpital w Radziejewie?» Pokazałem jej na końcu wsi czarny budynek i starą gruszę koło niego. Panna Janina zwróciła perspektywę w tę stronę i długo przez nią patrzała.

— I cóż dalej?... cóż dalej? — zapytał niecierpliwie lekarz.

— Dobry kawał czasu upłynął, nim się znowu do mnie obróciła. Miała twarz smutną, bardzo smutną. Biedna! pewnie moje słowa wzięła sobie do serca.

— Zapewne, zapewne.

— Po chwili rzekła: «Nikogo nie widzę.» I znowu jakby się zamyśliła.

— I nic więcej?

— Potem zarumieniła się nieco, ale to może słońce tak czerwono zachodziło, i rzekła: «Kochany panie Wojna! Czy nie będziesz dzisiaj w Radziejewie?» «Jak wielmożna panna rozkaże, odpowiedziałem, i tak od kilku dni wybieram się tam na folwark.» «Tam jest dzisiaj pan Jerzy, mówiła dalej, pójdź do niego i powiedz mu, aby przyszedł do zamku.»

Blada twarz młodego lekarza okryła się rumieńcem.

— Zapewne ktoś tam chory — mówił zwolna, pokrywając zmięszanie.

— Pytałem się panny Janiny, ale na to nic pewnego nie mogła mi odpowiedzieć. Raz mówiła, że mama chora, drugi raz znowu o ojcu, a w końcu dodała, że panna Teresa przeziębiła się.

Lekarz wstał z krzesła i otworzył okno. Chłodny strumień powietrza wpłynął do izdebki.

— I pomyślałem sobie: — mówił dalej mieszczanin — Ot idąc do Radziejewa, wezmę z sobą tę szkatułkę. Bóg wie, co w niej jest. Może nieboszczyk pan Górnicki w jakiej rozpaczy to uczynił, że ją spalić kazał, a w niej tymczasem mogą być rzeczy komuś przydatne. Pan Jerzy to najlepiej osądzi, a wszyscy mamy dla niego wielki szacunek i pokładamy w nim zaufanie. Otóż niech pan przy wolnym

czasie zajrzy do tej szkatułki, co tam w niej jest, a potem pomyślemy, co z nią zrobić.

Rzekłszy to mieszczanin, wstał i pożegnał lekarza. Lekarz podał mu rękę machinalnie i odprowadził go do sieni. Tam czekali ekonom i Paliwoda.

— Aha! cóż mam powiedzieć pannie Janinie? — zapytał w sieni mieszczanin.

— Jutro będę sam w zamku — odpowiedział lekarz.

Przekonawszy się, że pacjent śpi jak w najlepsze i prócz atmosfery spirytusowej, która łóżko otaczała, żadnej innej niebezpiecznej oznaki nie ma, wrócił lekarz do swojej izdebki, aby tam w gorącej głowie uporządkować wrażenia dnia dzisiejszego.

Szkatułka była z drzewa palisandrowego z srebrnem okuciem. Jerzy — tak się nazywał młody lekarz — oglądał ją na wszystkie strony, a że była zamknięta i kluczyka do niej nie miał, odłożył jej rewizję do jutra.

Było już późno po północy. Na ciemnym szafirze nieba drżały miljardy gwiazd; małe obłoczki jak trzoda rozbiegła przemykały się na krańcach widnokręgu, a lekki powiew wiatru odzywał się jakimś dziwnym, harmonijnym akordem! Tylko na liściach starej gruszy kołyszą się puchy niedobre. Wykrzywiają twarz i śmieją się, a szepcą sobie do uszu jakieś wieści złośliwe. — Śmiej się, śmiej, ty czarny duchu; sąsiad twój spadł z liścia i złamał nogę, a ty szara gąsienico pospieszaj co prędzej uszczknąć ziela żywota, aby nie bolał twój czarny ulubieniec, na którego gody weselne zeszli się już kumy i swatowie!... Zabrzęcz kosmata mucho, niech tańczą i śpiewają weselni; woń jaśminu i macierzanki niech ich łechce do szaleństwa....

---

Już wielki był dzień, gdy się młody lekarz obudził. Niebo było czyste i świeże, ani jeden listek nie ruszył się na drzewie. Pod starą gruszą przechadzały się spiesznie stada mrówek. Jakiś nocny wypadek poburzył im siedzibę; szukały miejsca dla nowej ojczyzny. A nad niemi skacze konik polny i urąga się pracy drobnego owadu, poświstując sobie: Ja nie mam gniazda, ja konik polny, cały świat mój, lecę, gdzie zechcę!... A pod nim mrówki zataczają bryłki ziemi, sypią wały i okopy, budują miny i krużganki... A na gałęzi starej gruszy usiadł ptaszek złotopióry i słucha z uwagą, co mu szepcą liście o niedobrych duchach nocy, które tutaj biesiadowały...

Młody lekarz patrzał przez okno, lecz nie widział mró-

wek, zbierających pył ziemi dla nowej ojczyzny... nie słyszał śpiewania polnego konika, ani owych przecudnych gadek, które złotopióremu ptakowi szeptały liście starej gruszy...

Pacjent spał jeszcze smaczno i zdawało się, że dawno już nie leżał w tak wygodnem i ciepłem łóżku. Z roskoszą sybaryty wyciągał się na wszystkie strony, ziewał, przecierał oczy i znowu zasypiał, jakby dopiero co się spać był położył.

Lekarz wyszedł na drogę przed szpitalem, aby odetchnąć majowem powietrzem. Rozmyślając o tem wszystkiem, co dzisiejszej nocy zaszło, sam nie wiedział, jaką drogę wybrał sobie do przechadzki. Szedł groblą ponad stawem, który rozciągał się aż po kopce Dąbczyna. Zwierciadło wody było ciche i gładkie, jak szyba lazurowa, na której rysowały się wierzby i topole, idące wzdłuż brzegu.

Wyszedłszy na kopiec, stanowiący granicę między Radziejewem a Dąbczynem, spojrzał mimowoli na wieżę zamkową, której szczyt odbijał się w stawie pod jego stopami. I zdawało się mu, że widzi owego starego mieszczanina w czapce trójgraniastej, a obok niego stoi jakaś biała postać z czerwoną przepaską i zwróciwszy się ku niemu, śledzi tęsknem okiem owej starej gruszy... W tem zaszeleściały za nim zioła, widzenie wionęło jak mgła poranna, a tuż przy nim stał mężczyzna w brudnym, białym kapeluszu o rudych bakenbardach.

Link wyglądał zdrów, jakby nigdy mu się nic nie stało, a nawet uśmiechał się tak grzecznie i słodko, jakby przez całą noc miał sny najroskoszniejsze.

— Przychodzę podziękować panu za łaskawą pomoc — mówił z łagodnym uśmiechem — bo przypominam sobie, żem wczoraj był mocno chory. Biedny wiele na świecie przebyć musi, a to wszystko zostawia tam ślady.

Tu wskazał na brudną koszulę na piersiach, gdzie według jego wiary miała mieszkać dusza. Komicznie jednak wyglądał ten gest jego przy spirytusowej atmosferze, która otaczała go jeszcze, a której nie mogły przemódz ani jasmin, ani macierzanka. Lekarz uśmiechnął się z politowaniem.

— W mojej młodości raniono mnie w głowę — mówił dalej ajent — i odtąd cierpię czasem na obłąkanie. W tym stanie, jak mnie zapewniano, mówię zazwyczaj dziwne rzeczy, a nawet takie, które ludzi przestraszają. Pan jako człowiek uczony, łatwo to sobie wytłumaczy. Ale nieszczęśliwy jestem, gdy mnie ta choroba między prostymi ludźmi najdzie. Wtedy żegnają się przedemną jak przed djabłem.

Mówiąc to, tak szyderczo jakoś twarz wykrzywił i tak brzydki wyraz strzelił z jego zielonych oczu, że Jerzy cofnął się o dwa kroki i radby był pozbyć go się jak najprędzej.

— Nie jest mi pan wcale obowiązany — rzekł do niego — ale właścicielowi Radziejewa.

— To swoją drogą; to bardzo godny obywatel, jakich rzadko już dzisiaj... Ale prócz tego nie zapomnę nigdy, że i pan byłeś tak łaskaw... A może kiedy przyjdę jeszcze prosić łaski pana i tylko panu będę obowiązany...

— Mojej łaski?

— Dąbczyn, to ładny, starożytny zamek.

Jerzy wypatrzył się zdziwiony na mówiącego.

— Panna Janina to ładna, śliczna panna, w całej okolicy nie ma ładniejszej — mówił dalej ze złośliwym uśmiechem ajent. Pan Von der Mark sam to mówił, chociaż nie bardzo lubi polskie damy.

— Von der Mark?

— Ale za trzy dni może już nie będzie tego mówił — dodał z tajemniczą miną ajent.

— Jakto? Nie rozumiem...

— Pan biednemu Linkowi dałeś pomoc, a Link za to już powiedział, co mógł powiedzieć... Ale oto jedzie sama panna Janina i panna Terenia... Nie przeszkadzam... Tu tak ładnie, miło, zielono — na stawie woda cicha — a tam łódka u brzegu... Jak to ładnie, jak to miło — żegnam pana...

Rzekłszy to, wykrzywił usta szyderskim uśmiechem, włożył kapelusz na głowę i oddalił się w kierunku do miasteczka, zkąd białe chmury pyłu zbliżały się coraz więcej ku granicznym kopcom Dąbczyna.

Jerzy stał chwilę jakby piorunem rażony. Pełną piersią zachwycił powietrza, usta mu zadrżały, kilka słów niezrozumiałych uleciały w powietrze, ale wkrótce osiadł spokój na jego pięknej, bladej twarzy.

Tentent koni i chmury kurzu zbliżały się coraz więcej. Wreszcie jakby z białej mgły wynurzyła się szafirowa amazonka w białym kapelusiku na głowie. Obok niej, o pół kroku w tyle, okazała się druga, czarna cała, w czarnym kapeluszu o czarnych piórach. Za niemi w oddali jechał służący.

Amazonki zbliżyły się już tak blisko do kopca, że Jerzy mógł swobodnie widzieć wszystkie ich ruchy i gesta. Rozmawiały coś żywo między sobą.

Dama w szafirowej amazonce miała wzrost smukły i jak się zdawało, dosyć wysoki. Wiotka jej kibić wyginała się uroczo na wszystkie strony. Z pod białego kapelusika wyglądały ciemne pukle włosów i odbijały się ślicznie od bladó-

różowej inkarnacji ciała. Oczy miała ciemne, zmrożone; usta koralowe, na pół otwarte, z których wyglądały dwa rzędy najpiękniejszych pereł. Na twarzy malowała się jakaś niecierpliwość i zdawało się, że śmiała amazonka wyprzedza myślą szalone skoki białego araba. Rysy jej twarzy były ostro odznaczone, ruchy jednak wdzięczne i starannie zaokrąglone.

Czarna jej towarzyszka we wszystkiem z nią kontrastowała. Była wątłej budowy, siedziała przygarbiona i dużem niebieskiem okiem patrzyła bezmyślnie przed siebie. Na gładkiej, prawie chorowitej twarzy nie było żadnego wydatniejszego wyrazu, prócz znużenia i jakiejś dziwnej apatji. Pewna omdlałość rozlewała się w całej postaci, jej ruchy były na pół urwane, niedokończone. Obojętną była na bieg czarnego rumaka i zdawała się zostawać myślą daleko po za nim.

— Tereniu, Tereniu! — ozwała się pierwsza, a jej twarz zarumieniła się — czy nie widzisz? czy nie poznajesz? C'est drôle! Patrz, pan Jerzy! A to dziwne spotkanie — dodała, zatrzymując konia. — Dzień dobry, panie doktorze! Dzień dobry!... Milej mi było powiedzieć panu przed kilku laty: Dzień dobry, panie poeto! Nieprawda, że to jakoś lepiej brzmi: poeto! a przy «doktorze» przychodzą mi zaraz na myśl krew i pijawki.

— Bo pani lubisz tylko kwiaty — odparł Jerzy — i nie chcesz przypuścić, że każdy kwiat upaść musi, jeźli jaki owoc ma wydać.

— Eh bien! Otóż pan byłeś pięknym bladoróżowym kwiatem jabłoni, a teraz jesteś cierpką, kwaśną, nie dobrą płonką! Nie lepiejże to było uschnąć wonnym kwiatem, tak poetycznie...

— Pani sympatyzujesz z dzisiejszym porankiem, który jest tak przejrzysty i eteryczny.

— A pan sympatyzujesz z ciemnym, brudnym szpitalem... Nie dajesz się widzieć dobrym znajomym — chorym...

— Chorym? Czy pani margrabina...

— Nie, mama zdrowa... Terenia była trochę cierpiąca... prawda, ma chère?

Czarna amazonka spojrzała na nią dużem, niebieskiem okiem, jakby wcale nie wiedziała, o co ją zapytała towarzyszka. Chciała niewiadomość tę pokryć uśmiechem, ale uśmiech jej zaledwo tylko zarysował się koło ust bladych i zginął, nie doszedłszy do oczu. Na jej twarz wróciła znowu dawna bezmyślna omdlałość.

— A teraz niedobry, nieznośny panie doktorze a expoeto — mówiła dalej panna Janina — teraz możesz sobie

na prawdę myśleć, żeśmy się stęskniły za panem i żeśmy naumyślnie tu przyjechały... Nie prawdaż?...

— Nigdy nie byłem tak śmiałym — odparł Jerzy spokojnie.

— A to był tylko czysty przypadek — przerwała amazonka — przypadek, którego winną jest Terenia... N'est ce pas?

Towarzyszka próbowała znowu uśmiechnąć się, ale uśmiech ten zastygł znowu gdzieś w pół drogi.

— Tak jest — podchwycił młody lekarz — wierzę w ten przypadek, jakiejkolwiek on jest natury, a nawet więcej, bo wierzę, że wszystko to jest przypadkowe, coby zachwycić mogło, gdyby było prawdziwe —

— Bardzo słusznie pan sądzisz — wpadła panna Janina — inaczej stałbyś się pan nieznośnie zarozumiałym... Ale najprzód, kiedy pan będziesz u nas?

— Jeżeli powołaniu memu tutaj zadość uczynię.

Odkąd pan zacząłeś mówić wiele o powołaniu, o misjach jakichś, jesteś pan nawet niegrzeczny.

— Poprawiam się i czekam rozkazu, kiedy mam przyjść do zamku?

— Nie, nigdy — odpowiedziała amazonka, a ukłoniwszy się nieznacznem schyleniem głowy, uderzyła konia szpicrutem, puszczając mu wodze. Z pod jej pięknej, spuszczonej rzęsy wymknęła się biała, przejrzysta łza. Arab zwinął się w kłębek, rzucił za siebie kilka chmur pyłu i w oka mgnieniu zmalał do małej karty białego papieru.

O! schowaj tę łzę, piękna dziewico, łzę uronioną w majowym poranku; schowaj ją do głębi serca, aby jej nie wykradły owe czarne psotniki, kołyszące się nocą na liściach starej gruszy, śmiejące się z szczęścia ludzkiego. Niech szara gąsienica nie ma z niej djademu przy biesiadzie północnej, z tej pięknej, przejrzystej łzy, uronionej w poranku majowym!...

Jerzy stał długo i patrzał na drogę wzdłuż stawu, ale na drodze już nikogo nie było.

Wrócił do swojej izdebki. Przypomniał sobie o szkatułce, którą mu mieszczanin był powierzył. Dla odpędzania różnych niemiłych myśli chciał się właśnie zabrać do przejrzenia zawartych w niej papierów, gdy nagle spostrzegł, że jej nie ma na miejscu, na którem ją był odchodząc zostawił. Przetrząsł wszystkie kąty izdebki, ale szkatułki nigdzie nie było.

## II.

Majątek radziejewski składał się z dwóch włości: Radziejewa i Czarnowody. Czarnowody stanowiły wprawdzie tylko mały przysiołek, stykający się z Radziejewem, ale położenie tego przysiołka było tak miłe, tak ciche i ustronne, że dawny tego majątku właściciel tutaj założył swoją siedzibę. postawił dwór z cegły, nakrył go dachówką i otoczył wieńcem lip i kasztanów.

Było coś klasztornego w całej fizjonomji Czarnowód. Jakiś błogi spokój, jakaś cisza szczęśliwego życia rozlewała się w powietrzu. Niebo wiecznie jednakie, nieco przysępione, otoczyło w sine ramy cały spokojny krajobraz. Nie było w nim żadnych gorętszych barw, żadnych jaskrawszych odcieni. Niebo i ziemia zdawały się sympatyzować ze sobą, jako starzy kochankowie, którzy już wszystkie zwierzenia się wyczerpali, wyspowiadali się z wszystkich uczuć swoich, zużyli pieszczoty i zachwycenia, a teraz patrzą na siebie czystem, lecz spokojnem, beznamiętnem okiem; zdają się używać jakichś wyższych, kontemplacyjnych roskoszy. Złośliwy człowiek powiedziałby po prostu: że się nudzą; zkąd jednak wcale nie wypływa, aby niebo wielkopolskie znudziło się Czarnowodami, lub Czarnowody miały zobojętnieć dla nieba wielkopolskiego. Ma i starość swe pieszczoty, ale świat złośliwy ich nie widzi.

W ciemnej, zakonnej szacie legły Czarnowody na zielonym kobiercu, zaścielonym nad brzegiem jeziora. Długie wieki spierała się wieś z jeziorem, kto od kogo imienia sobie pożyczył. Jezioro bowiem, nazwane Czarnowody, miało w samej rzeczy wodę dosyć czarną; wieś jednak miała w samem łonie czarne trzęsawiska, z których sączyły się zdroje brunatnej wody. Jezioro wygrało sprawę, a skromna osada cofnęła się od brzegów adwersarza, zasłoniwszy się wysoką groblą od jego wód napastniczych. Z rezygnacją, godną lepszego pola i lepszej wody, posuwała się biedna wioszczyna coraz więcej ku zachodowi, ale białe domki sąsiedniej niemieckiej osady trwożyły ją znowu, jak białe widma upiorów, jak białe płaszcze rycerzów krzyża, którzy niegdyś po kilkakroć najeżdżali ją, pustosząc ogniem i mieczem. W tak ciężkiej chwili zaślubiła się z niebem biedna polska wioszczyna, jak Wenecja z morzem, i przez długie wieki wpatrywali się w siebie z roskoszą szczęśliwi kochankowie. A nawet dzisiaj, gdy już oboje jakoś postarzeli i szary, żałobny strój przywdzieli, nawet dzisiaj nie ustały ich pieszczoty,

chociaż ich oko zwyczajne nie dojrzy. Tylko samotny wędrowiec widzi pod wieczór ich łzy pożegnania, gdy się do snu zabierają, i widzi, jak te łzy ze wschodem słońca gorącym oddechem wypija niebo zbudzone, a oblubienica stroi się rada w kwiaty i uśmiecha się zalotnie, odmłodniona snami dawnych, szczęśliwszych wspomnień.

Dwór tylko śmielej wysunął się na brzeg jeziora i z dumą spoglądał na ciche, u jego podnóża wijające się fale. Była to dawna, bardzo dawna budowa. I widać było, że nie jedna ręka, nie jeden budowniczy, kierowali tą robotą. Do czworobocznego domku przydano później jedno skrzydło z małym ganeczkiem, prowadzącym na ogród. Z jednej strony rzęd topol, z drugiej kasztany, ocieniały ten dworek szlachecki i tylko kiedy niekiedy z pomiędzy gęstych liści i ciemnych konarów zabłysły białe jego ściany. Cały ten dworek jakby schowany w jednej olbrzymiej altanie, wydawał się podobny do świątyni, ukrytej w ciemnym borze, a jakiemuś tajemniczemu bóstwu poświęconej.

W samej rzeczy jakaś cisza tajemnicza otaczała ten dworek szlachecki. Wejdźmy do jego wnętrza.

W nowo przybudowanem skrzydle, w małej, ciemnej izdebce znajdujemy wszystkich mieszkańców tego jakby zaczarowanego dworka. W dużem, poręczowem krześle, wybitem skórą safianową i osadzonem na kółkach, siedzi siwy staruszek. Jest on nizkiego wzrostu, twarzy bladej i zwiędłej, ale żywych, szybko biegających oczu. Nad oczami zawieszona brew jest jeszcze czarna prawie i dziwny stanowi kontrast z włosami na głowie, które są białe jak mleko. Widać z postawy staruszka, że długie lata przesiedział już w tem krześle, i że własną siłą nigdy z niego nie wstanie. Po ciemnej podłodze rozchodzą się w różnych kierunkach koleje od kółek krzesła, a jedne z nich wychodzą aż gdzieś za próg do drugiego pokoju. Jest to zapewne jedyny rodzaj ruchu, jakiego używa biedny staruszek za pomocą swego sługi.

Koło niego siedzi duchowny, zapewnie proboszcz miejscowy. Twarz ma okrągłą i dobroduszną, na głowie trochę siwych włosów okazuje, że wiele lat musiał przebyć z tym staruszkiem. Dalej blizko drzwi siedzi mężczyzna, także już nie młody. Postawa wyprostowana świadczy, że kiedyś był wojskowym, a małe, siwe bakenbardy, idące wężykiem do ust, i krótko podstrzyżone siwe wąsy, okazują, że zawód swój wojskowy rozpoczął był jeszcze w czasach napoleońskich, gdzieś pod księciem Józefem. Trzyma w ustach małą fajeczkę i cienkim sznurkiem, zwolna wypuszcza dymek błękitny, wypychając go czemprędzej za drzwi nieustannem machaniem ręki. Staruszek bowiem nie lubił fajki, uważając

ją za wymysł wcale niepotrzebny; z szczególnego jednak afektu dla swego przyjaciela, pozwalał czasami na ten jego ulubiony specjał poobiedni. I ksiądz proboszcz był tego samego co staruszek zdania, ale zdanie to nie miało tutaj wielkiego znaczenia, bo mówiąc contra fajce, mówił pro domo sua poczciwy kapłan, wielki amator tabaczki, która według niego miała krew oczyścić i pamięć wzmacniać. Mimo to słynął starowina z swojej krótkiej pamięci.

Na nizkim taboreciku, po lewej ręce staruszka, oparta o poręcz jego krzesła, siedziała młoda, piękna kobieta. Dziwnie kontrastowała jej młodość w tem poważnem zgromadzeniu. Włosy miała ciemne, połyskujące, oczy przytem niebieskie, osłonione jakąś mgłą młodych, smutnych marzeń. Zdawało się, że dla tych młodych marzeń nie było już miejsca w jej życiu. Patrzyła na nie jak na kwiaty bez życia i woni, zasuszone w książce pamiątek. Głowę pochyliła na ramię staruszka; usta jej piękne, różowe, dotykały się jego wyschłej ręki, a pierś jej pełna, podniesiona lekkiem westchnieniem, zdawała się snuć z siebie jakieś dziwne, urocze obrazy, do których boleśnie uśmiechały się jej usta. Za nią przy oknie stał młody lekarz, którego już widzieliśmy w Radziejewie. Patrzył przez okno, chociaż prócz gęstych liści kasztanów nic ztamtąd nie widział.

Na ścianach tej małej izdebki porozwieszane były wizerunki dawnych Radziejewa dziedziców. Trzy strzały, umieszczone przy każdym u góry, oznaczyły ród Dębiczów. Obok nich wisiały wizerunki Stefana Batorego w różnych wydaniach i różnej wielkości. Był to ulubiony król naszego staruszka. Od lat kilkunastu pracował on nad obszernym poematem, którego przedmiotem miał być król Batory.

Cała atmosfera tego pokoiku była jakoś duszna i przyćmiona. Liście kasztanów zasłaniały okno do połowy, a wysokie krzaki agrestu i malin stykały się z niemi. Zielonawe, zimne światło wciskało się przez nie do izdebki i oblekało wszystko wewnątrz jakimś zimnym, melancholijnym pokostem. Do tego czyste, majowe niebo, zachmurzyło się posępnie; duszna cisza była w powietrzu.

Mieszkańcy tego dworka schadzali się tutaj codziennie; po spożyciu bożych darów przy obiedzie na tak zwane «spiritualia», jak się wyrażał sędziwy staruszek. Myślałby kto z dzisiejszych ludzi, że owe «spiritualia» składały się z jakich wódek holenderskich, albo że przynajmniej podawano tutaj «chasse-café». Wielki to byłby błąd. Owe «spiritualia», na które staruszek po każdym obiedzie domowych i gości zapraszał do swojej izdebki, był to wielki akt łaski z jego strony, bo do tego pokoiku w innym czasie nikt nie mógł mieć przystępu. Była to świątynia, poświęcona muzom

i medytacjom nabożnym. W niej to odczytywał zgromadzonym i objaśniał przykładami z własnego życia jakie miejsce z pisma świętego, opowiadał coś z żywotów świętych, a na smaczną zakąskę przeczytał jaki rozdział z swojego poematu z wszelkiemi warjantami, o które zasięgał rady każdego z osobna, chociaż w końcu z nikim się nie zgodził. Najżwawsze utarczki w tym względzie staczał z księdzem proboszczem, który tego był przekonania, że co do poetyki gruntowne miał wiadomości. Jeszcze w jednej rzeczy nieubłagany był poczciwy proboszcz, co sędziwego poetę nieraz całą bezsenną noc kosztowało. Ogłosił on był zaraz z góry najzawiętszą krucjatę przeciw wszystkim bogom olimpu i nie pozwolił nigdy, aby obok N. Panny z Jasnej Góry stanęła nieunikniona w poemacie bohaterskim Bellona; a obok świętego archanioła Michała nie mógł znieść wojennego Marsa, do którego jeszcze z czasów szkolnych miał jakiś wstręt najsłuszniejszy. Można sobie wyobrazić, jak strasznym dla klasycznego poety był poczciwy proboszcz, a z jaką roskoszą uśmiechał się do siebie, zażywając tabaczkę, gdy po wczorajszej perorze, której wcale niby nie akceptował poeta, obaczył powykreślane jak najsumienniej imiona niektórych bogów pogańskich, które jakoś wraz z rymem prawie same cisnęły się pod pióro sędziwemu poecie.

Dzisiaj jednak było w atmosferze tego pokoiku coś ciężkiego. Jakaś chmura niewidoma ciężyła wszystkim na głowach. Staruszek swoim zwyczajem przeczytał długi rozdział o stu wierszach, a chociaż dwa razy przychodziła w nim Bellona, a pięć razy tarczozbrojny Mars z Zamojskim pod Byczyną rozmawiał, a nawet i gromowładny Jowisz na polskim sztandarze się ukazał, ksiądz proboszcz bynajmniej się temu nie sprzeciwił, a nawet w końcu silny wiersz i dobitne obrazy z wielkim pochwalił aplauzem. Reszta zgromadzenia milczała i zdawało się, że każdy z nich był w tej chwili więcej sobą zajętym. A nawet możnaby i księdza proboszcza posądzić o jakieś dziwne roztargnienie, inaczej nie byłby Bellony, Marsa i Jowisza przepuścił.

Dalsza więc literacka pogadanka była z braku opozycji ze strony proboszcza wprost niemożliwą. Staruszek zamknął spiesznie tekę, aby proboszcz Marsa, Jowisza i Bellony nie zwąchał i rzekł, zwracając się do młodej kobiety i całując ją w czoło:

— Moja Zuzia coś smutna dzisiaj; zapewnie ten trzpiot Tadzio zapomniał po obiedzie rączkę ci pocałować.

Ów trzpiot Tadzio nie był to nikt innny, jak ów napoleonista z krótką fajeczką, który na słowa staruszka uśmiechnął się z zadowoleniem, jak człowiek, który swój obowiązek należycie wypełnił. Młoda kobieta uśmiechnęła się także,

a nawet z wyrazem tkliwego przywiązania spojrzała na męża, który z całą szczerością poczciwego serca patrzał w nią jak w obrazek świętej.

— No i cóż za przyczyna tego smutku — mówił dalej staruszek — czy cię głowa boli, czy mak może nie chce schodzić?

Młoda kobieta przycisnęła twarz z gorączkowem jakiemś uczuciem do ramienia staruszka, a gdy na niego spojrzała, miała ocze zwilżone jak po łzach. Wzięła rękę staruszka, przyłożyła do gorącego swego czoła i rzekła cichym głosem:

— Głowa mnie boli, kochany dziadziu, i nic więcej.

— Wypij herbatę z polnych bratków, a ból przestanie — mówił dalej staruszek, odgartując jej włosy z białego czoła.

— Usłucham dziadzia — odpowiedziała piękna wnuczka — i zaraz pójdę kazać zgotować.

— Ale proszę cię, moja Zuziu — zawołał staruszek za odchodzącą — przyjdź tutaj napowrót i nie bądź sama, bo jak widzę, masz dzisiaj znowu wielką ochotę do płaczu.

— Przyjdę, kochany dziadziu — odrzekła, zamykając drzwi za sobą.

Napoleonista z krótką fajeczką puścił raźno kilka kłębów dymu, a spostrzegłszy się, wyjął z ust czemprędzej zdradliwą kochankę i rzekł do proboszcza z dobrotliwym uśmiechem:

— Już to ksiądz proboszcz wiele w tem zawinił, że moja Zuzienka tak jest tkliwą na wszystko. Jako jej spowiednik musiał jej sumienie zanadto roztkliwić. Ona dzisiaj już nawet i kury nie daje zarżnąć, bo zdaje się jej, że to grzech, odbierać życie temu, któremu Bóg je dał. A takie sumienie to przecież rzecz niepraktyczna. Gdybym ja miał takie sumienie, czyż mógłbym z zimną krwią kazać strzelać w trzy bataljony piechoty, zbite w kare, z których w przeciągu dziesięciu minut zrobiłem taką siekaninę, jak potrawka z drobiu...

— To widzisz, kochany panie majorze — odpowiedział ksiądz proboszcz — altera rei conditio. Sam Mojżesz wybił mnóstwo Izraela kamienną tablicą, aby dać zwycięztwo prawdzie objawionej. To hart duszy męskiej, a kobieta....

— Kobieta — poderwał staruszek — powinna być czułą matką, dobrą żoną, ale nie powinna żadnym wymarzonym słabostkom ulegać, jakich się u nas namnożyło wraz z romansami francuzkiemi. Zuzia — mojem zdaniem — ciągnął dalej staruszek, patrząc z uwagą na drzwi — Zuzia jest to złote dziecko. Nie mówię to dla tego, żem ją sam na wła-

snych rękach wychował, bo od dziecka była sierotą, ale mówię szczerze i otwarcie, jakby mi zupełnie obcą była. Gdzieżby inna tak prędko rady starego dziadka była usłuchała, gdy jej przyprowadził starego żołnierza, który chociaż był skarbem dla mnie z powodu zasług swoich, był jednak trzy razy od niej starszy! Miała wtedy lat szesnaście, była piękna i świeża jak róża majowa, a jam rzekł do niej: «Zuziu, czy pamiętasz ty wszystkie lekcje moje? Czy wiesz, jaka najwyższa jest cnota na ziemi? Wiesz, jaki szacunek, jaką miłość, powinniśmy mieć dla ludzi, którzy życie swoje tylekrotnie poświęcali dla dobra powszechnego?...» A gdy z drugiego pokoju wyszedł major, wprawdzie z siwą czupryną, ale z piękną szramą na czole i po staropolsku kolano przed nią ugiął, a nawet jak młody mazgaj jaki w głos się rozbeczał, Zuzia natychmiast się rozpłakała, siwą głowę konkurenta przycisnęła do piersi i dotąd jeszcze, chociaż to już ośm lat minęło, mile wspomina o tej chwili, a nawet śmieje się figlarnie z kłopotów Tadeusza, który wolałby pójść zdobyć redutę, niżeli oświadczyć się pannie szesnastoletniej! A co, któraż panna dzisiaj tak uczyni?

Podczas gdy ksiądz proboszcz w swojej niezawodnej tabaczce, która krew czyści i pamięć wzmacnia, konceptu szukał, poczciwy major uśmiechał się z wyrazem najzupełniejszego szczęścia, które po wielu trudach wojennych zaświtało mu w nagrodę przy schyłku życia. Tymczasem przyszedł proboszcz do słowa:

— Już to pani majorowa jest kobietą, jakich dzisiaj rzadko na świecie. Zeszłej niedzieli, przygotowując się w duchu do kazania na temat o aniołach stróżach, którzy wiodą człowieka po ścieżkach jego żywota, i gdy tak sobie takiego anioła idącego po prawej stronie człowieka in persona wyobrazić chciałem, a jakoś nie mogłem, w tem wchodzi do kościoła nasz kochany major, a koło niego prawdziwy anioł. Otóż obraz anioła stróża, pomyślałem sobie, a wyszedłszy na ambonę, zwracałem się zawsze mimowolnie w kazaniu do ławki, w której siedziała pobożna kolatorka. A nawet i malarz lepiej nie mógłby tego obrazu pochwycić. Bo człowiek obok anioła stróża musi wyglądać jako stary, spracowany, znużony pielgrzym, któremu już tchu nie staje; źrenica przygasa, nogi się plączą, a całą jego nadzieją jest młody, hoży towarzysz, którego młodość i siła są wieczne, który nie opuści go, póki aż wraz z duszą jego nie odleci do nieba...

Major posunął się niecierpliwie na krześle. Proboszcz zapędził się jakoś w zapale i w tak niezręczny sposób zdjął z niego konterfekt człowieka, którego anioł-stróż prowadzi, że jako żywy model tego konterfektu uczuł się nieco

skrzywdzony i kilka potężnych kłębów dymu rzucił aż na sam środek pokoju. Co widząc staruszek, uśmiechnął się i rzekł:

— Zwolna, zwolna, Tadeuszku, bo zbombardujesz mi proboszcza na prask. Patrz, aż się zakrztusił, tak dmuchnąłeś na niego dymem. Gdyby gęba twoja nabita była kartaczami, już by nie żył ksiądz Maciej.

Proboszcz zażył tabaczki, aby sobie na prędce przypomnieć, czy czego niedorzecznego nie powiedział; ale właśnie na jego nieszczęście zawiodło go tym razem niechybne jego remedium, jak to sobie w duchu pomyślał. Nic sobie nie mógł przypomnieć, a nie rozumiejąc tym sposobem alluzji słów, dopiero co przez staruszka wyrzeczonych, odpowiedział na nie zwykłą swoją formułą, której wtedy zawsze używał, gdy nie był pewny, że rzecz zrozumiał lub dobrze zasłyszał:

— Wszystko się tak na świecie dzieje, że i najrozumniejszy człowiek przyzna sobie jutro, że to było głupie, co wczoraj mówił lub uczynił. Est ego quidem, mówię to dzisiaj, com mógł dopiero może jutro powiedzieć.

A gdy znowu tej tak hazardownej sentencji ani staruszek, ani major, ani nawet młody lekarz, który stał ciągle przy oknie jak niemy, zrozumieć i do czegoś zostosować nie umieli, wróciła pogadanka znowu do miejsca, w którem ją był zatrzymał ksiądz Maciej niezręcznym swoim konterfektem anioła-stróża.

— A że jest czasem smutną i nawet zapłacze sobie — mówił dalej staruszek — to temu wcale się nie dziwię. Ludziom na ziemi zawsze jest czegoś brak.

— «Ciernie i głogi będzie odtąd rodzić dla was» — wtrącił ksiądz Maciej.

— Tak jest, ciernie i osty są tutaj dla człowieka; a to tem słodszą jest dla nas nadzieją, że kiedyś zaświta nam inne życie, w którem nie ma ni łzy, ni bolu, a za którem tutaj koniecznie tęsknić i płakać musimy.

— Tęsknota do życia zagrobowego — ozwał się ksiądz Maciej — jest wrodzoną wszystkim ludziom, a nawet tym, których łaska Boga nie oświeciła jeszcze prawdą religji objawionej.

— To jest, cośmy wzięli z sobą, wychodząc z raju — mówił dalej staruszek, a blada twarz jego ożywiła się wyrazem głębokiej pobożności — tę tęsknotę do lepszego życia wzięliśmy z sobą; bez niej bylibyśmy zwierzętami, jak inne, niższe od nas stworzenia. Ta tęsknota kołacze ustawicznie nam w sercu i przypomina, abyśmy dbali o żywot wieczny. Ona wyciska nam łzy, których sobie nieraz wytłumaczyć nie możemy, nasyła nam niepokojące przeczucia, dziwne, zagad-

kowe pragnienia, które często przypisujemy ziemskim jakim przedmiotom lub zdarzeniom, gdy to tymczasem dusza nasza wzbija się po za mgły ziemskiego widnokręgu i pożądliwem okiem patrzy w roskosze niebieskie!... I cóż ty na to Farysie? — dodał, zwrócony do młodego lekarza.

Jerzy przysunął do okna opróżniony taborecik, a usiadłszy na nim, rzekł do staruszka:

— Bardzo szczytne jest takie tłumaczenie naszej tęsknoty, która nas trapi i niepokoi na wszystkich ścieżkach naszego żywota; ale ja nadałbym jej obok tego ostatecznego celu jeszcze inne cele, a mianowicie te, które ona na ziemi dosięgnąć może. Jak nie możemy żądać od młodej rośliny, aby natychmiast nasienie na przyszły plon wydała, tak również nie można wymagać od człowieka, aby, zaledwie w świat wstąpiwszy, już o niczem innem nie myślał, jak o przyszłem życiu swojem. Do tego musi on iść stopniowo. Jak roślina bowiem wydaje najprzód kwiat: z kwiatu, który opada, zawięzuje się owoc, w którym dopiero dojrzewa zwolna ziarno przyszłego plonu, taki sam perjod i ludzie muszą przebyć na ziemi. I to ich życie ziemskie musi mieć swój kwiat i swoje owoce, bo bez nich trudna jest potem droga do nieba.

— Otóż jest wasza nowa szkoła — poderwał staruszek żywo — wybryki romantyzmu, dokądże zaszliście za mistrzami tej waszej szkoły? Otóż słuchaj, kochany Jerzy, co ci powiem, gdy się wydarza dobra sposobność. Znałem cię dzieckiem na rękach nieboszczki matki twojej, gdy mieszkała w Kaliskiem; widziałem cię młodzieńcem, gdyś tutaj do nas przyszedł; słyszałem cię w końcu czytającego swój własny poemat o Bolesławie Chrobrym i cieszyłem się w duchu, że ci słuchacze przyklaskują. Od tego czasu zdawało się mi, żeś zapomniał o starych ludziach, bo Oda do młodości nazwała ich starą, spleśniałą korą. Czytałem wiele w waszych dzisiejszych pismach o tobie i pomyślałem sobie: Szczęść mu Boże, snać ja za stary, ja ich już nie rozumiem. Ale będę czekał, dokąd oni zajdą. I cóż? Oto przebiegłeś jak Farys całą krainę poezji i znalazłeś na niej tylko piaski i szkielety! A gdzież owe kwiaty czarodziejskie, owe zaklęte dziewice, owe pałace rajskich roskoszy?... Z czemże wróciłeś z krainy romantycznej poezji?... Oto wypaliłeś serce i duszę piaskami pustyni, na której szukałeś kwiatów i zdroju życia!... I roztrzaskałeś lutnię o skały Olimpu i poszedłeś do kliniki, aby na trupie, z nożem w ręku, uczyć się tego, czego cię nie mogło nauczyć samo natchnienie, ów wasz Bóg wszechwładny, wasza Alfa i Omega. Taki jest koniec waszych wyobrażeń romantycznych; daj Boże, aby trzeźwe przebudzenie nastąpiło jeszcze dość wcześnie.

Staruszek odetchnął i zamilkł na chwilę. Ksiądz proboszcz i Jerzy zabierali się właśnie do jakiejś odpowiedzi, gdy staruszek uczynił ręką znak, aby mu nie przerywali.

— Oto — mówił dalej — wzięliście ludziom Boga i religję, a natomiast cóżeście im postawili?... Namiętność i żądze! Szczęście według was jest to zadosyć uczynienie żądzom i namiętnościom, czy to ciała, czy ducha. Według was w młodości trzeba szaleć, szaleć aż do znużenia, trzeba łamać szranki, które nam wkłada społeczeństwo, a potem zebrać to całe życie jaką garść błota i z satyrą na ustach rzucić je po za siebie z pogardą bajrońską, a zamiast Epopei napisać Donżuana... Według nas wszystko musiało iść ubitym gościńcem; przed nami były tylko obowiązki, a wypełnienie tych obowiązków napawało serca owem cichem, spokojnem szczęściem, o jakiem wy dzisiaj pojęcia nie macie! Bo człowiek tyle tylko na ziemi używać powinien, ile mu sumienie jego mówi, że obowiązkom zadość uczynił. Reszta jest grzechem i bałwochwalstwem. Postawmy tylko zamiast Boga i religji — żądze i namiętności, a najwięksi zbrodniarze oczyszczą się w obec nas i będą biali jak aniołowie w niebie. Dzisiaj bierzemy jedną lub drugą namiętność, nazywamy ją szlachetną, albo przynajmniej konieczną, malujemy z upodobaniem jaskrawe jej barwy, a tymczasem ta sama namiętność rozrywa węzły rodzinne, odbiera mężowi żonę, a dzieciom matkę... Bo namiętność jest u was większa od zaprzysiężonych obowiązków!

Staruszek spoczął. Na jego twarz wystąpił rumieniec. Dawno nie mówił z takim zapałem.

— Jakby mnie kto z ust wyjął, mości dobrodzieju — rzekł rozrzewniony proboszcz — tylko nie byłoby to tak gładkie i dosadne, jakeś pan dobrodziej powiedział.

Widząc, że ksiądz proboszcz na tem, co powiedział, poprzestać zamyźla, a poczciwy pan major wcale do tej pogadanki, jako do materji zupełnie mu obcej, mięszać się nie chce, posunął Jerzy swój taborecik bliżej staruszka i rzekł:

— Jakkolwiek srogi jest wyrok, który dzisiejszą literaturę dopiero co spotkał, nie myślę jej tutaj bronić, bo zbyt wielki jest przedział wieku, doświadczenia i zasług między sędzią a obrońcą. Niech mi tylko wolno będzie wspomnieć, że zarzuty powyższe tyczą się więcej dzisiejszej literatury francuzkiej, ale nie naszej narodowej. Nie znam u nas żadnego pisarza, któryby piórem swojem chciał rozrywać węzły rodziny i społeczeństwa, schlebiając rozkiełzanym żądzom i namiętnościom. U wszystkich prawie powtarza się jeden i ten sam akord, owa tęskna nuta, która u nas idzie jeszcze zawsze przed niebieską, zagrobową ojczyzną. Ta

nuta i moją sprawiła metamorfozę. Wyśpiewawszy to, co mi w duszy grało, spostrzegłem, że mnie tylko ci słyszą i rozumieją, którym mojej pieśni już nie trzeba, bo sami mają ją w sobie. Ale spostrzegłem opodal stojących słuchaczy, którzy nas nie rozumieją — obaczyłem lud nasz. Do niego pismem nie dojść — trzeba samemu wnijść do chatki i rękę mu podać. Dla tego nauczyłem się leczenia chorób cielesnych, a na myśli mam zawsze choroby ducha, którym coraz więcej ulega kraj nasz biedny. Wyższy cywilizacją naród przygniata nas coraz więcej swoją oświatą; a my niebaczni na to, zaumieramy zwolna pod tym ciężarem, jak zasypiający człowiek śród śnieżnej zawiei! I pół wieku nie minie, a kołyska plemienia naszego stanie się pierwszą jego mogiłą!...

Jerzy poczuł łzę w oczach i szybko wstał z taborecika. Spostrzegł ją staruszek, a wziąwszy go za rękę i przyciągnąwszy do siebie, wycisnął pocałunek na jego czole.

— Jest zawsze coś herezji i bałwochwalstwa w twoich słowach, kochany Jerzy — ozwał się staruszek z słodkim uśmiechem — ale za to i ksiądz proboszcz może ci kiedy dać absolucję, jeźli się szczerze w piersi uderzysz. To «coś», co kładziemy ante omnia, a nawet i przed ojczyzną niebieską, jest naszym grzechem pierworodnym, a nawet nie wiem, czyli i za grób nie weźmiemy sobie jakiej śpiewki naszej.

Ksiądz proboszcz zażył tabaczki, widać, że rad był jakoś z siebie i z mowy staruszka.

— Ale wy młodzi — ciągnął dalej staruszek — jesteście wszyscy gorąco kąpani. Cokolwiek bądź wam się w nocy przyśni, już rano chcecie się za to poświęcić, nie mając na względzie, że i przed wami nie żyli na świecie sami pasibrzuchy, że i przed wami próbowali ludzie różnych poświęceń. Oto chcesz pracować dla ludu, a zaraz u mnie znalazłeś ślady, żem taką pracę także miał na celu. Praca moja upadła, i twoje nadzieje zostały zawiedzione. Mielnik umarł w młynie, gdzie się urodził, a inni okradli cię nawet. Zapewnie z antypatji ku wszelkiej nauce wzięli ci szkatułkę z medykamentami, abyś ich więcej nie nudził. Ale mniejsza o to. Trzeba mieć cierpliwość. Trzeba zacząć od elementarza, a reszta sama się znajdzie. Nam oświata obca nic nie odbierze, ale ich pługi, ich prace i przemysł wszystko nam wydrze. Otóż przedewszystkiem trzymać się nam ziemi naszej, naszych majątków dziedzicznych. Dla tego to dla Zuzi sam wybrałem męża. Pomyślałem sobie: Tadeuszowi nikt nie odebrał baterji, otóż pod jego komendę oddam Radziejewo i Czarnowody; dam mu kobietę jak aniół, a przy boskiej pomocy nic nam się nie stanie... Pamiętaj Tadeuszu —

rzekł zwrócony do męża Zuzanny — pamiętaj zawsze, że ziemia Dębiczów, ich dwór i grobowiec, są pod twoją obroną. Jeźli nieprzyjaciel tu wnijdzie, ja się mu już nie ustąpię; ostatni Dębicz legnie w grobowcu z przekleństwem na ustach, że go oddano obcym ludziom.

Wszyscy mieli łzy w oczach, a poczciwy major słuchając, przysięgał staruszkowi, że grobowiec Dębiczów będzie dla nieprzyjaciół fortecą niezdobytą.

Na tem zakończono dzisiejsze «spiritualia», które się jakoś dłużej przeciągnęły jak zwykle. Major otarł spłakane oczy, nałożył świeżą fajeczkę i wyszedł w pole, ksiądz proboszcz pospieszył do szkółki, staruszek oparł głowę o poręcz krzesła i zmrużył oczy, a Jerzy wysunął się cicho z izdebki, aby mu snu nie przerywać.

Zaledwie kilka kroków ku bramie dziedzińca był postąpił, gdy ujrzał wjeżdżającą w nią czterokonną karetę z herbami Dąbczyńskich.

— Ach! jakby pana kto wołał! — rzekła do niego margrabina, wychylając się z karety. Oczekiwaliśmy dzisiaj pana na zamku — moja Nińcia jest trochę cierpiąca. Jeźli to panu nie sprawi dywersji, czekamy na niego z herbatą.

Rzekłszy to, uśmiechnęła się uprzejmie, żegnając Jerzego lekkiem uchyleniem głowy.

Kareta zaturkotała i posunęła się przed dworzec Dębiczów, a młody marzyciel widział w tej chwili mnóstwo wież i ganków w koło siebie, oraz całe grono białych postaci z różową u piersi przepaską. Jego serce uderzyło mocniej, twarz zafarbowała się lekkim rumieńcem.

---

Margrabina nie zastała majorowej w pokoju, a widząc, że służący do ogrodu po nią się puścił, dała mu znak ręką, aby się wrócił. Wywiedziawszy się należycie, w której stronie ogrodu majorowej szukać potrzeba, otworzyła zgrabny, ciemnozielony «en-tout-cas» i puściła się ścieżką, wysypaną żółtym piaskiem.

— Przecudnie, prześlicznie! — mówiła sama do siebie, oglądając się na wszystkie strony — ta cisza, to ustronie... un peu triste... ale co za myśli swobodne...

I tak dalej rozmawiała z sobą margrabina. Była to niska, we wszystkich swoich kształtach jeszcze dosyć zaokrąglona dama, mimo, że twarz poprzecinana licznemi zmarszczkami, okazywała już wiek stateczniejszy, w którym zazwyczaj uspakaja się każda kobieta. Margrabina zdawała się jednak czynić wyjątek. Jakkolwiek w jej sercu, które dobijało już

lat czterdzieści i kilka, mógł już zamieszkać pewien spokój i statek, zewnętrzne jednak jej ruchy nagłe i gwałtowne, najczęściej na pół urwane, oznaczały nerwowe, wiecznie niespokojne usposobienie. Jej twarz grała ustawicznie odcieniem barw najróżnorodniejszych, a ta rozmowa samej z sobą zdradzała nieustanny natłok myśli, które głośną mową starała się przytrzymać w pewnym ładzie.

— Ach! to klasztor prawdziwy — mówiła dalej, zaginając w ciemną ulicę lip odwiecznych — to pensjonat... nigdzie oddechu... ah! la belle nature prend ici son haleine...

Margrabina odetchnęła; ciemna ulica lip skończyła się w wązką ścieżkę. Widok obszerny otworzył się przed jej oczyma, ale majorowej nigdzie widać nie było.

Była ona samotną w tej chwili i nie marzyła o tem, że na jej czyste, chociaż przyćmione niebo wypłynie chmura udręczeń i niepokojów.

Wyszedłszy z izdebki, w której odbywały się tak zwane «spiritualia», przebiegła szybko przez kredens, nie dając rozkazu przygotowania herbaty, jakiej jej doradził poczciwy staruszek. Chciała się czemś rozerwać, zapragnęła świeżego powietrza. Wyszła do ogrodu, aby uzbierać dziko rosnących bratków. Poobchodziła wszystkie klomby drzew, przeszła kilka razy przez wielki gazon, okrążyła cały ogród do koła, ale żadnego bratka nie znalazła. A przecież było ich pełno pod klombami, pełno na wielkim gazonie i w każdym zakątku ogrodu. Ale Zuzanna nie widziała ich, chociaż krocie skonały pod jej stopami. Jakieś złe demony, psotniki, zasłaniały jej wzrok, pląsały przed nią i skakały z trawki na trawkę, z kwiatka na kwiatek. Zuzanna przypatrywała się ich pląsom, szła za niemi do ciemnej, lipowej alei; a tak zapomniała o bratkach i przyrzeczeniu danem staruszkowi, że wkrótce powróci.

Ostrożnie, młoda, piękna kobieto! W ciemnej, lipowej alei pełza mnóstwo gadów czarnych; brzydkie, stubarwne gąsienice kołyszą się na liściach lipowych, a twoje czyste, białe ramiona obnażone, twoja stopa często dotyka się brzydkich, plugawych gadów, chociaż na pozór ubrane są w kolory tęczowe!... Strzeż się, młoda kobieto, dotknąć się tych złudnych, złocistych postaci; one cię wabią coraz dalej, coraz dalej, aż tam, gdzie cię przemienią w brzydkie potwory! A wtedy już późno będzie wracać, wtedy już nie wrócisz?...

Zuzanna szła zwolna długą, ciemną aleją, W jej sercu był jakiś dziwny niepokój. Przyspieszyła kroku i wyszła na piękną, zieloną polankę, która ciągnęła się wzdłuż brzegu jeziora. Nad samym brzegiem była grupa drzew, a pośrodku

nich bielała się mała altanka. Było to ulubione jej miejsce wypoczynku. Tam lubiła siadywać z książką lub robótką w ręku, a spokojne, ciche zwierciadło wody napawało jej duszę błogiem urojeniem. Tam czytywała często staruszkowi coś o dawnych czasach, podczas gdy szczęśliwy major mógł całą gębą puszczać dym, tworząc z niego najrozmaitsze kółka i zygzaki.

Do tej altany weszła i usiadła. Spojrzała na jezioro. Było ono wprawdzie i teraz ciche i spokojne, ale lice jego zmatowały się i zasępiły, jak twarz nieszczęśliwej, marzącej kobiety. Złe duchy-psotniki pływały po tych ciemno-zielonych falach i uganiały jedne za drugiemi z wielkim śmiechem i chichotem. Zuzanna czuła niepokój w sercu.

Na drugim brzegu jeziora była mała wysepka, zasadzona staremi drzewami, a połączona z brzegiem szeroką groblą. Na tej wysepce stały ruiny klasztoru Bożogrobców. Nie mógł milszego ustronia wybrać pobożny fundator. Wyspa ta utworzyła się w skutek jakiegoś gwałtownego wezbrania jeziora, którego wody wdarły się w wysoki brzeg i wykroiły z niego część lasku, co niegdyś ciągnął się wzdłuż jeziora. Później wycięto las i zamieniono na orne pola, tylko na wysepce zostało kilkaset drzew starych, do których przystęp tamowały wody jeziora. W tym gaiku wybudował pobożny człowiek dom Boży i oddał go w opiekę Bożogrobców. Fryderyk Wielki zniósł zakon Bożogrobców; klasztor stał się pustką i rozsunął się w gruzy, tylko mały kościołek wyglądał jeszcze z poza drzew i z smutną twarzą patrzał w ciemnozielone wody jeziora, w którem odbijały się pochylone jego krzyże. Pokrycie bowiem jego już dawno zapadło, tylko dwa główne mury z krzyżami sterczały jeszcze i wyglądały jak dwie w niebo wzniesione ręce, błagające ratunku! Drzwi do niego były zamknięte i opieczętowane. Na progu porosła trawa i dzikie zielsko; sowy i kawki gnieździły się w wyłomach muru. Wązka tylko ścieżeczka wiła się przez gęste zarośle; wydeptali ją mali, ubodzy pastuszkowie, niosąc wieńce z maików i bławatków dla Najświętszej Panny Marji, której wizerunek wymalowany był na murze frontowym kościołka z podpisem: «Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko!»

Na ten kościołek lubiła Zuzanna patrzeć po całych godzinach. Doznawała przyjemnego, pobożnego wzruszenia, patrząc na te wązkie okna cel klasztornych, z których wyglądając niegdyś na cichy, ustronny świat, pobożny Miechowita używał cichej słodyczy życia kontemplacyjnego. Tam z tamtej wieżyczki brzmiał niegdyś śrebrny dzwonek na «Ave Maria» i zdawało się jej, że słyszy chór mnichów, śpiewających na cześć Przeczystej Panny!... I przychodziły

jej na pamięć opowiadania staruszka, który jej tłumaczył zwyczaj katolicki dzwonienia na Anioł Pański i o jego powstaniu prześliczne opowiadał jej rzeczy... «W gorącej, czarodziejskiej krainie, śród gaju pomarańcz i cyprysów, bieleje klasztor ś. Franciszka. Na krużganek kościoła wyszedł blady mnich w grubej odzieży, aby wieczorem odmówić modlitwę. I wzniósł ręce ku niebu i wymówił pierwsze dwa słowa modlitwy. W tem jakiś miły dźwięk zaleciał do jego uszu. Spojrzał w dolinę ubraną w kwiat pomarańczy, z której wznosiła się woń jak z kadzielnicy świątecznej. A tam w dolinie, pod oknami białej chatki śpiewa młody trubadur swojej ulubionej piosnkę miłości... Z okienka wychyla się piękna, młoda dziewczyna, a pieśń trubadura ustaje, milknie: ich usta zbliżają się do siebie... Reszta pieśni sączy się w serce długim, gorącym pocałunkiem... Gorące słońce zachodzi za mgły wieczorne, z pod każdej chatki słychać pieśń miłosną, a każda ustaje na ustach pięknej, młodej dziewicy... Bo o tej godzinie zwyczajem kraju każdy kochanek żegna piosenką swoją wybranę, aby ją znowu ze wschodem słońca piosenką przebudzić...' I opuścił ręce mnich blady, słowa modlitwy zamarły na jego ustach. I przyszła mu na myśl jego cela samotna, te smutne, grobowe mury, ta wieczna, głucha cisza... A tam w dolinie brzmi znowu piosnka miłosna... z okienka wychyla się młoda dziewczyna... Mnisi szukają brata i znachodzą go na krużganku kościoła, z bladą twarzą, a płonącem okiem patrzącego w dolinę... «Bracia, rzecze do nich mnich blady, dla naszych serc potrzeba wielkiej, gorącej miłości. Miłość jest potrzebą ludzi, bez niej nie ma życia, tylko grób, wielki, zimny grób!...» I zadrżał mnich, wskazując ręką ku dolinie, zkąd było słychać piosnki trubadurów. Potrwożyli się zakonnicy, widząc w tych słowach pokusę czarta, i zaczęli odmawiać modlitwy. Wypogodziła się twarz przełożonego zakonu, niebieska roskosz strzeliła z jego oczu. «Bracia, rzekł z utkwionem w niebo wejrzeniem ojciec Bonawentura, nam potrzeba wielkiej, gorącej miłości! Królowa niebios, przeczysta Panna, niech owładnie serca nasze! Śpiewajmy, niebiescy trubadurowie, rano i wieczór jej pieśń pozdrowienia i niech śpiewa z nami każdy wierny, który jak my samotny jest na tym świecie, dla którego żadne ziemskie serce nie bije, żadna pierś nie podniesie się tęsknotą za nim, niech śpiewa każdy nieszczęśliwy wraz z nami: Ave Maria!» I ozwał się dzwonek klasztorny, mnisi uklękli na krużganku kościelnym i odśpiewali pierwsze Ave Maria, pierwsi trubadurowie Przeczystej Panny Marji!»

Wszystkie te szczegóły opowiadania staruszka stanęły teraz żywo przed oczyma Zuzanny. Ów mnich blady, pragnący

miłości, ów trubadur młody, śpiewający pod oknem cichej, białej chatki, owa piękna dziewica, chwytająca pieśń kochanka w swoje usta różowe, owi nieszczęśliwi, dla których żadne serce nie bije... wszystko przechodziło zwolna przed jej duszą, grało w jej sercu jakąś smutną melodję. I zdawało się młodej, pięknej kobiecie, że jest jak ów mnich blady, patrzący w jakąś wonną, zaczarowaną dolinę... W jej sercu obudziło się pragnienie nieodgadnione; słyszała jakieś dziwne, niezrozumiałe pieśni, a przecież pieśni te brały za serce, wciskały się do duszy... Spojrzała w swoje życie. Było ono ciche i czyste jak to zwierciadło jeziora, ale jak te wody było smutne, jednostajne, przyćmione. Żadna silniejsza fala nie przeszła po niem; było ciche i spokojne, jak każde poświęcenie się.

A tam z ruin klasztornych wyłażą złe duchy-psotniki, nurzają się w wody jeziora i podnoszą je na barkach swoich. Fala za falą mknie już do brzegu, biała piana pryska do góry, a duchy psotniki śmieją się i chichoczą, oraz skaczą po wzburzonem jeziorze. I szepczą do ucha młodej, pięknej kobiety: «Twoje życie smutne i nudne jak grobowce starych Dębiczów, a ty więdniesz, piękna liljo, kryjesz twoją pierś białą przed roskoszą, jakiej jeszcze nie zaznałaś w życiu twojem!»

I śmieją się i chichoczą duchy-psotniki, i coraz to inne rzeczy szepczą do ucha młodej kobiety, budzą w jej sercu dziwne, nieznane uczucia: a na krużganku kościołka smutno i cicho, na rozwalonej wieży głucho, nie ozwie się dzwonek na Ave Maria!... Wiedzą o tem dobrze duchy psotniki i śmieją się w oknach wieży, kołysząc się na głuchych, nieruchomych dzwonach!...

— Otóż znalazłam cię, ma chère — ozwał się głos za altanką.

Zuzanna krzyknęła przestraszona.

— Przepraszam, jak najmocniej przepraszam — rzekła margrabina — wystraszyłam cię z miłych snów, przyjemnych marzeń... Ah! co za prześliczny widok!

Mówiąc to, wyjęła szyldkretową lornetkę i nie troszcząc się wcale o przestraszoną Zuzannę, która jeszcze do siebie przyjść nie mogła, poszła kilkanaście kroków naprzód, na sam brzeg jeziora, przypatrując się ruinom kościołka.

— Ah! to może oczarować: Nigdy sobie tych ruin tak malowniczo nie wyobrażałam!... Ma chère, witam cię — rzekła do majorowej, ściskając ją za rękę — i cieszę się, że cię znajduję tak ładną i młodą jeszcze, jakbyś jutro dopiero miała iść do ślubu...

— Pani zbyt łaskawa...

— Nie lubię mówić grzeczności — odpowiedziała z akcentem margrabina — a nawet i wtedy, gdy po długiem niewidzeniu się, kogoś po raz pierwszy obaczę.

— A ci — mówiła Zuzanna z słodkim uśmiechem — ci, którzy po długiem zaniedbaniu widzą się znowu zaszczyceni tak przyjemną wizytą, tyle w tem mają uciechy, że byliby zdolni wszystkiemu uwierzyć, co się ładnego i dobrego im powie.

Margrabina ukłoniła się z wielką afektacją, która jej zdawała się już być wrodzoną, i rzekła:

— Już to, ma chère, nie powinnaś nam tego za złe wziąć, żeśmy was czas niejaki zaniedbali. Ach, na wielkim świecie jest się niewolnikiem różnych, tysiącznych fraszek, o których wy nie macie ani wyobrażenia. Cela me fatigue beaucoup, i wierz mi, moja droga, żebym się szczęśliwszą czuła w waszym wiejskim, skromnym dworku, gdyby jeszcze można, pod strzechą słomianą, przy woni ruty i macierzanki... Wierz mi, to pokrzepia ciało i duszę... A tak muszę zawsze być, jak na deskach teatralnych... nudzą mię serdecznie, a z grzeczności uśmiechać się muszę i wołać: «Ach, jakże to zabawnie!»... Tamtego roku byliśmy w stolicy, zeszłego lata jeździliśmy do wód morskich, tę zimę przesiedzieliśmy w Paryżu, a za to teraz skazani jesteśmy na całe lato, wyobraź sobie, na całe lato!... siedzieć tutaj w Dąbczynie. Od zmysłów odchodzę, gdy sobie przypomnę, co za nudy będę musiała tutaj wycierpieć. Ja, która przyzwyczajona co wieczora przyjmować liczne, dobrane towarzystwo, wyobraź sobie, moja droga, ja mam teraz codziennymi gośćmi tłustego proboszcza i naszego rządcę, którego wołamy na herbatę, aby mój mąż miał partję. W takim razie sama przyznasz moja droga, że grzechem byłoby zaniedbywać najbliższych swoich sąsiadów, z którymi przecież słowo pomówić można.

— Za wiele łaski wyświadczasz nam pani — odpowiedziała Zuzanna, uśmiechając się na tak otwarte wyznanie margrabiny, a wstawszy z ławki, prosiła ją do salonu.

— Ach nie, moja droga, pozwól mi napoić moją zbolałą duszę tym przecudnym widokiem — rzekła margrabina, przykładając lornetkę do oczu — ach! w naszem życiu tak mało chwil szczęśliwych, tak skąpo obdzielono nas prawdziwem szczęściem... Tylko złudzenia, rozczarowania i nadzieja!...

Zuzanna westchnęła; margrabina mówiła dalej:

— Te ruiny mają jakiś niepojęty urok; wpatrując się w nie, zdaje się, żeby można stać się zakonnicą. Dawno nie znałam tak silnego wrażenia.

— Wszak znane od dawna są pani te ruiny —

— O! tak jest, moje dziecię, znam je oddawna, znam dobrze. Ale dusza nasza ma to do siebie, że coraz to inaczej widzi rzeczy. Zależy to od jej usposobienia. Pokaż kochankom najpiękniejszą okolicę, opowiadaj im najciekawsze rzeczy, oni nic widzieć, nic słyszeć nie będą. Ale niech serce zajdzie mgłą smutku, niech oko powlecze łza zadumania, wtedy będziesz szukać owych pięknych, cichych widoków i poić się niemi będziesz bez końca... A nasze całe życie, jak innem wydaje się nam, gdy na nie patrzymy z końca! Gdzież owe złote barwy, które widzieliśmy w niem, patrząc na nie z początku?...

Margrabina zrobiła ręką ruch gorączkowy, jakby z przed oczu chciała odpędzić jakieś mary niemiłych wspomnień.

— Wierzaj mi — mówiła dalej — w naszem życiu nie jedną taką mamy ruinę, która niegdyś była świątynią, mieszkaniem Boga i aniołów, a dzisiaj... chwasty porosły na gruzach, dziki grad wije się między zielem, a sowy i puszczyki gnieżdżą się w nyżach, w których lśniły się niegdyś nasze ideały! O, serce kobiece!...

Zuzanna podparła ręką głowę i zamyśliła się. Słowa margrabiny obudziły w jej sercu jakąś smutną stronę. Tymczasem margrabina obróciła obraz w inną stronę.

— Tak, moja droga — ozwała się po chwili — w sercu człowieka nie jedna taka spoczywa ruina. Zrazu nie zważamy na nią; później, gdy nam zawadza przy każdem uderzeniu serca jako mara wspomnień złowieszczych, okrywamy ją jak grób świeżą murawą, aby mieć nowe kwiaty, piękną, zieloną łąkę... A tymczasem nadchodzi czas smutku i bolu, wszystkie kwiaty więdną nam w ręku: przeszłość snem tylko. Nasze lica przedstawiają obraz burzy, zastygłej nagle na powierzchni wody. Wtedy rozkopujemy mogiłę wspomnień naszych, dobywamy zarosłą chwastami ruinę i w braku innej świątyni klękamy przed nią i modlimy się do własnych grzechów naszych, bo one tylko przypominają nam, żeśmy chwil kilka byli szczęśliwemi na ziemi!...

Zuzanna zadrżała; dziwna filozofja margrabiny drasnęła boleśnie o jej serce.

— Dla czegoż nazywa pani to grzechem, co stanowi szczęście nasze? — zapytała po chwili.

— Grzechem, grzechem?... Nie, nie, nigdy. To świat tak nazywa, a ju mówię tylko jego językiem. O, świat jest okrutny dla nas! O! ten świat... Kobiecie nic nie jest wolno: jej nie wolno iść za pędem serca, ona musi stać na swojem miejscu, na które rzucił ją przypadek, stać nieruchomie jak piękna, marmurowa statua, póki nie zbliży się do niej jakiś mężczyzna, nie weźmie jej i nie ozdobi nią supraporty swego domu. O! stójże spokojnie wtedy, piękna

marmurowa statuo; twemu towarzyszowi wolno wszystko, a tobie nic, nic... Bo twoje życie ma odtąd być pokutą, pokutą za twoje wszystkie marzenia, za twoje piękne i wzniosłe ideały!... O, Georges Sand! ty wielki kobiecy geniuszu!...

— Zakres kobiety jest wprawdzie szczupły i ograniczony, zabrała głos Zuzanna —

— Szczupły i ograniczony? — przerwała margrabina, a jej twarz okryta zmarszczkami, zajaśniała gorączkowym rumieńcem — któż go uszczuplił i ograniczył? Czyż Ten, który wlał w serce kobiece ten ogień nieugaszony, który ją rwie do duszy pokrewnej, prowadzi do poświęceń, a nawet do grobu?... Morzu nadano brzeg skalisty i powiedziano mu: «Dotąd, a nie dalej!» Któż podobne słowa rzekł kiedy do kobiety?...

— Morze ma za granicę brzeg skalisty — rzekła Zuzanna — a granicę kobiety stanowią jej obowiązki!

— Obowiązki! Daruj mi droga, ale to sentencja z konwiktu klasztornego. Zielone, wyschłe mniszki, patrząc na życie okiem żółciowem, fabrykują podobne sentencje i karmią niemi biedne trusiątka. Życie to wcale co innego... Przyłóż ucho do serca, a ono ci powie, że obowiązki nie są wszystkiem dla kobiety. Obowiązki zaczynają się tam, gdzie uczucie umiera. Na przykład, wyobraź sobie, czyż byłby w tem sens jaki, gdybyś była dobrą żoną z obowiązku, czułą matką z obowiązku, miłosierną dla bliźnich z obowiązku? Czyż znaczyło by to, co kochać męża, dzieci i bliźnich? Po cóż ta hipokryzja?

Zuzanna spuściła oczy w ziemię, jej serce było w tej chwili wymowniejsze od niej. Przycisnęła je ręką, jakby się lękała jego mocniejszych uderzeń. A tam z okien ruin klasztornych wychylają się duchy-psotniki, śmieją się i chichoczą, że z rozwalonej wieży nie ozwie się dzwonek na Ave Maria...

— Obowiązki nasze — rzekła po chwili — zaczynają się od chwili naszego poświęcenia się.

Margrabina roześmiała się z cierpką ironją.

— Dziecko jeszcze jesteś, mówiła, zazdroszczę ci twego serca. Gdybym była mężczyzną, leżałabym już u twych nóg, błagając wzajemności. Byłabyś wyborną kochanką. Ta walka między sercem a obowiązkami, te łzy, spazmy omdlenia, wszystko to byłoby nieoszacowanem dla mężczyzny!...

— Nie rozumiem pani — rzekła Zuzanna z godnością.

— Jesteś kobietą, a nie znasz sama siebie?

— Jakto?

— Bo kobieta nigdy nie poświęca się.

— Nie poświęca się? — zawołała Zuzanna, cudownie piękna w zapale swojej dumy.

Margrabina potrząsła głową zamiast wszelkiej odpowiedzi.

— A jeśli kobieta dla miłości bliźniego zrzeknie się bogactwa, dostatków...

— To się zrzeka tego, czego nie ceni. Miłość jest dla niej roskoszą, a poświęcenie powinno być bolem.

— A jeśli kobieta wyrzeka się swojej miłości dla drugiej, z którą jej kochanek szczęśliwszym być może?

— To czyni głupstwo.

— A jeśli do kobiety przyjdzie człowiek godny wszelkiej czci i szacunku, człowiek, który w życiu swojem dowiódł wzniosłej, pięknej duszy, szczyci się pięknemi czynami... Jeśli taki człowiek, dajmy na to, już w sędziwym wieku zbliży się do kobiety...

— To niech go w rękę pocałuje.

— A jeśli on żąda — mówiła dalej Zuzanna drżącym głosem — jeśli on żąda w nagrodę swoich czynów i trudów od niej ręki i serca, a ona mu je odda, aby w późnej zimie jego życia być mu słońcem majowem...

— To czyni głupstwo, wierutne głupstwo! — odparła krótko i sucho margrabina.

— Więc to nie jest poświęcenie się? — krzyknęła Zuzanna, chwytając za serce, aby z niego nie uleciała myśl ukojenia.

— Posłuchaj mnie, moje dziecię. Poświęcić się można, ale po dokonanem poświęceniu nie trzeba żyć. Poświęcenie jest aktem jednej chwili, a ta chwila powinna zniszczyć całą naszą istotę. Można ponieść śmierć, to rozumiem, ale oddać całe życie na długą, dobrowolną torturę, tego i święci nie praktykowali! To szaleństwo!

Zuzanna zwiesiła głowę i zamyśliła się.

— Całem szczęściem kobiety — mówiła dalej margrabina — jest uczucie. Uczucie nie lubi żadnych granic, lepiej je zmieniać, niżeli ograniczać. Można mieć pasję do psów, kotów, kanarków, można mieć pasję do dobrych uczynków, a nawet do nabożeństwa, ale nie można nigdy tej pasji sobie wybierać. Trzeba ją brać jak przyjdzie. Kobieta, która się wyrzeka wzruszeń, przestaje żyć, jest mumją.

Zuzanna patrzała na ruiny klasztoru; przed jej oczyma biegały jakieś dziwne, potworne gady.

— Jabym już dawno była umarła — ciągnęła margrabina — gdybym chciała memu sercu więzy narzucić. Wyobraź sobie moje położenie. Miałam lat nie spełna dwadzieścia, gdym poszła za mąż. Mój mąż był więcej jak dwa razy starszy odemnie, ale stosunki familijne i towarzyskie

kazały mi oddać mu rękę. Ty nazwałabyś to poświęceniem! O, mój kochany, najdroższy mój Achil, nie pragnął odemnie tego męczeństwa.

— I pani byłaś szczęśliwą?

— Ach! byłam szczęśliwą i jesteśmy dotąd szczęśliwi, jak niewielu z śmiertelnych — odparła żywo z gorączkowym gestem margrabina — ale wyobraź sobie, co się w rok po ślubie naszym wydarza!

— Zapewnie jakie nieszczęście domowe?

— Byliśmy na wieczorze u księcia ambasadora. Różni członkowie dyplomacji przychodzili do mnie i mówili mi mnóstwo grzeczności. Byłam wtedy młodą i jak mi się zdaje, dosyć piękną. Najdłużej rozmawiał ze mną sekretarz ambasady, Francuz z rodu. Był to nadzwyczaj przyjemny i przystojny mężczyzna. O! mon cher Arthur!...

Margrabina przestała mówić. Z jej oczu puściły się łzy.

— I zapewnie mąż pani dowiedziawszy się o tem, zmartwił się... — poderwała szybko wzruszona Zuzanna.

Margrabina zaprzeczyła głową, a otarłszy łzy, mówiła dalej z wyrazem boleści na twarzy:

— Jest to najboleśniejsze wspomnienie w mojem życiu. Nigdy nie zwykłam odgrzebywać go. Od kilku dni jednak nieprzerwanie myślę o niem. Zrobiłam sobie bowiem plan ułożenia pamiętników «confessions d'une femme», w których chcę złożyć wszystkie łzy i boleści kobiety, wszystkie jej sny i roskosze!

— To będzie książka zajmująca... A cóż mąż pani, gdy się dowiedział —

— Mój mąż długi czas o niczem nie wiedział, przynajmniej nic mi o tem nie mówił. Schadzaliśmy się często z Artiurem i byliśmy szczęśliwi! Oh! szczęśliwi!... W tem odjeżdża on do Paryża, a ja biedna, zrozpaczona, widzę przed sobą tylko śmierć i grób!...

— A mąż pani?

— Położyłam się do łóżka, blada i spłakana, a stan mego zdrowia stawał się z każdym dniem niebezpieczniejszy. I tak trwały tygodnie i miesiące. Wreszcie zażądałam spowiednika. Mój mąż usiadł przy mnie na łóżku, pieścił się moją słabą, zżółkłą ręką i rzekł do mnie: «Hermino, zaczekaj jeszcze ze spowiedzią, może przyjdziesz do zdrowia. Gdy wstaniesz z łóżka, pojedziemy do Paryża, a tam odzyskasz zdrowie i siły.» Mówiąc to, pocałował mnie serdecznie w czoło. Słowa jego pocieszające takie wrażenie zrobiły na mnie, żeśmy za kilka tygodni zaledwie wyjechali do Paryża. Na pierwszy obiad, który jedliśmy w Paryżu, zaprosił mój mąż Artiura — i zaklinał go, aby codziennym był naszym gościem.

O, mój kochany, najdroższy Achil! Nie uwierzysz, z jaką namiętnością pokochałam go za to!

— A biedny Artiur?

— Artiur był codziennym naszym gościem — i byliśmy znowu szczęśliwi jak niegdyś!...

— A mąż pani?

— Mąż mój cieszył się mojem szczęściem i każdą przysługą nam wyświadczoną, przywiązywał mnie więcej do siebie. Nazywał mnie l'enfant gatée, które się cackiem bawić musi, i całował mi ręce i pieścił się ze mną, a jam go też nigdy goręcej nie kochała, jak wtedy... Wtedy byłabym w stanie poświęcić się za niego, oddać życie moje!

Zuzanna spojrzała na mówiącą, aby się przekonać, czy z niej nie szydzi; ale na twarzy margrabiny malowało się tak żywe wzruszenie, z jej oczu płynęły łzy, usta drżały i całą jej postać wstrząsały od czasu do czasu tak gwałtowne, gorączkowe ruchy, że mimowolnie musiała w szczerość jej słów uwierzyć. Margrabina należała do owych istot gorączkowych i wrażliwych, które są w stanie, pociąwszy siebie na niezliczone atomy, żyć całem życiem w każdym atomie i wierzyć w to dziwne, w najdrobniejsze szczerupki roztłuczone życie.

Nastąpiło długie milczenie. Zuzanna dziwiła się tak otwartej spowiedzi margrabiny, która ją w niemały kłopot wprawiła. Jako kobieta tkliwa czuła litość dla nieszczęśliwej, a wyobrażenia jej nie pozwalały okazać współczucia dla błędów serca. Czekała sposobniejszej chwili do podjęcia rozmowy. Otarłszy łzy z oczu, mówiła dalej margrabina:

— A dzisiaj mój Artiur w grobie, w zimnym grobie!

Zasłoniła twarz chustką i poczęła łkać jak dziecię. Zuzanna nie wiedziała, co począć. Z niepokojem patrzała na nią. Wreszcie odjęła margrabina chustkę od twarzy, otworzyła oczy i poprawiła włosów. Była tak spokojna, tyle pogody miała na twarzy, pogody cichej, melancholijnej, że podziwiać należy tę sprężystość duszy, która po największej burzy zdoła wrócić do pokoju i owładnąć samą siebie.

Zupełnie spokojnym, dźwięcznym głosem mówiła dalej margrabina:

— Dajmy pokój wspomnieniom. Są one jak te ruiny klasztorne. Miło patrzeć na nie z daleka, ale gdy się do nich zbliżymy, ujrzymy w ich rozpadlinach gady i jaszczurki!... Muszę sobie w mojem album odrysować tę ruinę, bo musisz wiedzieć, moją droga, że teraz mam passję zbierania albumów z różnemi widokami. Mówiłam ci, że kobieta musi mieć zawsze pewną namiętność w życiu. Ja maluję i rysuję, a ty, moja droga, czem się zajmujesz?

— Bardzo pragnęłam teraz jakiego zajęcia — odpowiedziała Zuzanna, zbliżona współczuciem do margrabiny. — Jakaś czczość, okropna czczość opanowała moją duszę.

— Aha! stan przechodowy serca do innej passji — wtrąciła margrabina. — I jakież zajęcie wybrałaś sobie?

— W Radziejewie zrestaurowaliśmy szpital wiejski. Marzyłam o tem, że będę tam codzień chodziła, będę pielęgnowała chorych, będę ich opiekunką, matką!...

— Ah! Toś wybrała za prędko. Jest to ostatnia namiętność kobiety!...

— Ale wszystko to napróżno. Nikt nie chciał we wsi korzystać z naszych dobrych chęci! Dzisiaj nie wiem, czem wypełnię tę próżnię mego serca, bo szczerze mówię, mimo wszelkiej pracy i krzątania się, czuję, że mi czegoś innego koniecznie do życia potrzeba!

— Prędzej czy później obudza się to pragnienie w naszem sercu. Trzeba mu samemu zostawić wybór przedmiotu, do którego przylgnie i ukoi się.

— Daj Boże! — rzekła Zuzanna, myśląc o jakich pięknych, dobrych uczynkach.

— Przedewszystkiem — zaczęła znowu margrabina — potrzeba ci rozrywki. W twoim domu sami starzy, tyś jedna młoda między nimi. Oni nie pojmują, czego potrzeba dla serca młodej kobiety. U nich lada fraszka jest grzechem. Przyjeżdżaj często do nas, a tak przepędzimy to nieznośne lato.

Zuzanna podziękowała za łaskę margrabiny; serce jej coraz więcej przywiązywało się do nieszczęśliwej, egzaltowanej kobiety.

— Do tego — mówiła dalej margrabina — nie będziemy tego roku sami. Będziemy mieli gościa, który godzien jest studjów?

— Studjów? — zapytała ciekawie młoda kobieta i zarumieniła się, nie wiedząc wcale przyczyny.

— Tak jest, studjów. Wyobraź sobie, młody, przystojny człowiek, znakomitego rodu, z jakiemś nieodgadnionem pragnieniem w sercu, które mu cały świat zasłania... Zapatrujący się na świat okiem Byrona, a przecież widać, że całe życie jeszcze przed nim... Ten człowiek przebiegł prawie świat cały i szuka czegoś, czego jeszcze sformułować nie może... Na pozór zimny i obojętny, a kto bliżej go pozna, ujrzy duszę gorącą, namiętną... Poznaliśmy go w Paryżu.

— Radabym go poznać — szepnęła z cicha Zuzanna.

— Jedynym jego towarzyszem jest stary, milczący kozak, od którego nic nie można się dowiedzieć.

— Może jaka tajemnica familijna —

— Jest i to; ktoś z jego przodków, chcąc się zasłużyć ojczyznie, wyprzedał się w spokojnej ziemi sandomierskiej i poszedł na Ukrainę na tak zwane kresy. Tam walczył ustawicznie z Hajdamakami, broniąc ziemi i sławy polskiej. Umierając, przekazał wszystkim swoim potomkom pod karą przekleństwa, aby wprzód w związek małżeński nie wchodzili, póki każdy z nich nie uczyni jakiej szczęśliwej wyprawy na kresach ojczyzny.

— I to przekleństwo?...

— To przekleństwo ma ciężyć na potomkach. Hrabia Leon sam ci to kiedy opowie.

Zuzanna spojrzała na wody jeziora, a na jej ciemnem tle zdawała się rysować jakaś dziwna, fantastyczna postać...

W tem ozwał się w dali dzwonek na pozdrowienie anielskie... Za altanką słychać było turkot krzesła i głos staruszka, odmawiającego głośno Ave Maria!...

---

## III.

Właśnie wybiła siódma godzina na wieży zamkowej, gdy kareta margrabiny wtłoczyła się na dziedziniec zamku. W tymże samym czasie wychodził Jerzy z małego domku przy ulicy zamkowej, spiesząc do swego mieszkania, zkąd miał się udać na wieczór do zamku.

Domek, z którego właśnie Jerzy wychodził, była to licha, drewniana klatka, nakryta ogromnym, szpiczastym dachem. Snać ciężko było ścianom pod tym olbrzymim parasolem, który, mówiąc prawdę, nie osłaniał ich ani od słońca, ani deszczu, bo się powyginały na wszystkie strony i pokurczyły, jakby je dotknęła angielska choroba. Mianowicie dwa słupki które niegdyś miały tworzyć ganeczek, tak się przygięły środkiem do siebie, że miały podobieństwo do krzywych nóg kowala, o których jest mniemanie, że w skutek ciężaru młota koniecznie do środka wygiąć się muszą.

Na tym domku, pomiędzy temi słupkami u góry wisiała duża tablica, na której wyobrażona była jednem olbrzymiem okiem Opatrzność boska, a pod nią stał napis żółto-brunatny: «Mateusz Wojna, zegarmistrz miejski.» Na zielonej okiennicy, którą czas i jakieś inne, domowe niepowodzenia nieco

z zawiasów zwichnęły, wymalowana była kolosalna forteca z różnemi krużgankami i basztami, a w samym środku zamiast bramy, bielał się również kolosalnych rozmiarów cyferblat, z dużemi, rzymskiemi liczbami, wskazujący godzinę dwunastą. Po obu bokach tej ogromnej, białej kuli stało dwóch francuzkich, sześciocalowych grenadjerów na straży z rusznicą w lewym ręku, podczas gdy unoszący się nad fortecą Saturn mimo wszelkiej czujności straży, zdawał się posuwać index czasu drzewcem olbrzymiej swojej kosy.

Zaiste, był to wzruszający symbol czasu, który pędzi mimo wielkiej naszej czynności, a którego smutne ślady widać było na tym małym, drewnianym domku. Zdawało się, że właściciel tego domku na gwałt chciał powstrzymać czas w swoim pędzie, podpierał i lepił starą klatkę, podczas gdy obok niego stawały piękne, murowane domki, czerwoną pokryte dachówką. Ale złośliwy Saturn machał nieustannie kosą po pod niskie, pokrzywione ściany, odzierał wapno i glinę, a Opatrzność boska patrzała suchem okiem na wiecznie zamknięte drzwi biednego mieszczanina.

Wewnątrz domku było smutno i cicho. Nie słychać ani krzyku dziecka, ani wesołej śpiewki dziewczyny, ani zrzędów gospodyni. Tylko kilkadziesiąt starych zegarków rozmawiało dniem i nocą między sobą, kilkanaście kukułek zakukało co godzina do siebie głosem smutnym, jednostajnym i znowu było cicho i głucho.

Tak wydawało się obcemu mieszkanie zegarmistrza Wojny. On zaś widział w niem i słyszał wcale co innego. Dla niego żyło wszystko w tych smutnych i cichych izdebkach. Ten krótki, szeroki, wiecznie tyrkoczący i skrzypiący zegar z nieznośną piszczałką, co pięć minut poświstujący, jest to ukochana jego Basia. Nazwał on go tem imieniem na cześć nieboszczki swojej małżonki. Biedny zegarmistrz często wspomina o niej, a czasem nawet zawiesi się biała łza na jego znużonej powiece... bo umarłym pamiętają się tylko dobre ich uczynki. A tamten pyzaty, okrągły zegar, z wieńcem kwiatów u dołu cyferblatu, to burmistrz z Dąbczyna. Ma on być regulatorem całej plebejuszowskiej czeredy, ale w istocie bałamuci ją nieustannie i przez niezrozumiałe swoje liczby arabskie sprawia nie małe zamięszanie. Sąsiad jego, z kukułką na czole, często pokazuje fałszywie godziny, a gdy mu stary zegarmistrz w dobry sposób to przygania, skrobiąc mu pilnikiem po zepsutym żołądku, biedny pacjent woła w niebogłosy, że jest zdrów zupełnie i że go tylko burmistrz niezrozumiałem pismem swojem bałamuci. Słowem, wszystkie pamiątki życia swego ma tutaj biedny zegarmistrz; jest i ekonom z Radziejewa Mietlica, jest i szalony Paliwoda, który na dobę dziesięć godzin więcej ubieży, a dla którego

już nie ma ratunku w całym warsztacie zegarmistrza. Jest i kilku złośliwych, bezbożnych sąsiadów, którym codziennie gada Paternoster, przypisuje im wszystko złe, co go kiedykolwiek spotkało.

I tak spokojnie i cicho żyje tutaj śród wspomnień swoich mieszczanin o trójgraniastej czapce. Drzwi jego rzadko się otwierają, mało zarobku wpływa do jego kieszeni, ale on nie dba o to, bo umie żyć prawie niczem. Jeden tylko widok z okna jego domku martwi go i niepokoi. Jest to piękny, okazały sklep z zabawkami dla dzieci. Właściciel tego sklepu to wielki jego nieprzyjaciel. Wybudował on sobie piękny domek z cegły, wyzłocił ramy u drzwi sklepowych i złotemi literami napisał nad sklepem imię swoje; jest przytem nizki i tłusty, nosi okrągłą czapeczkę z aksamitu na głowie i każdym razem głaszcze się po brzuchu z uśmiechem szyderskim, gdy Wojna przed jego sklepem przechodzi w długiej, granatowej czamarze i w czapce trójgraniastej. Wojna nigdy z nim nie mówił, a jednak znieść go nie może, jakby mu coś najgorszego był uczynił. Jego uśmiech szyderczy, jego brzuch tłusty i okrągła aksamitna czapeczka, zasłaniają staremu zegarmistrzowi cały świat boży, gdy się raz tylko na niego popatrzy. Już mu wtedy wszystkie zegary wydają się podobne do jego nieprzyjaciela, a nawet burmistrz z arabskiemi liczbami na twarzy śmieje się szyderczo i ogromnym wahadłem głaszcze się po tłustym brzuchu...

Na wieży zamkowej wybiła siódma godzina. Wojna spojrzał na burmistrza — nie dostawało mu jeszcze kilka minut. Smutno potrząsł głową i wyjrzał oknem na zamek.

— Starowina coś spieszy znowu — rzekł do siebie — żeby to tylko nie była przedśmiertna gorączka!

I właśnie chciał się oddać smutnym medytacjom, które co wieczora zwykły go nagabywać i w tym celu bezmyślnie na ulicę spojrzał, gdy naprzeciwko we drzwiach sklepu pokazał się jego nieprzyjaciel; uśmiechnął się szydersko, a pogładziwszy swój brzuch tłusty, kazał chłopcu sklep zamknąć. Wojna odskoczył od okna, a cofając się w głąb izdebki, przypomniał sobie nagle, że ważne na głowie ma rzeczy. Dopiero co od niego wyszedł Jerzy, a długo naradzał się nad ważnym jakimś przedmiotem.

Wreszcie wziął czapkę trójgraniastą, kilka narzędzi swego kunsztu włożył w mały, skórzany worek, kilka par okularów schował w zanadrze, a ponakręciwszy zegary, chciał właśnie wyjść z izdebki, gdy burmistrz nagle dał sygnał, że wkrótce bić będzie. Nie mógł sobie odmówić tej roskoszy poczciwy zegarmistrz, jaką miał w chwili, gdzie wszystkie jego wspomnienia i jego znajomi zaczęli głośno do niego przemawiać.

Wrócił do izdebki i stanął na środku, jak dziadek śród wnucząt swoich. Za chwilę odezwał się burmistrz; jego sąsiad zadmuchał w gardło kukułki, stary ekonom wyrecytował bez zająknienia, a Paliwoda pozwolił sobie na pożegnanie wybić trzydzieści razy, przez co ukochanej basi słychać nie było. Ale ucho Wojny słyszało wszystkich z osobna, jego serce zrozumiało ich głosy pożegnania.

Prędko otworzył drzwi i wybiegł do sieni. Pozamykawszy dom cały, wyszedł na ulicę, a jeszcze słyszał szalonego Paliwodę, który właśnie trzydziesty raz w dzwonek uderzył.

— Poczciwe chłopisko — pomyślał sobie i właśnie jeszcze chciał coś do tego dodać, gdy przechodząc koło sklepu swego nieprzyjaciela, ucieszył się niewymownie, że drzwi sklepu już były zamknięte. Śmiało więc spojrzał przed siebie, spojrzał do sieni białego domku: a w sieni domu stał jego nieprzyjaciel, w okrągłej, aksamitnej czapeczce na głowie, uśmiechał się szyderczo i głaskał po tłustym brzuchu....

— A kysz djable, kysz! — krzyknął Wojna, zasunął czapkę na uszy i nie obejrzał się, aż na granicznym kopcu Dąbczyna i Radziejewa.

Na granicznym kopcu stał stary ekonom i czekał na przyjaciela.

— Pochwalony! — zawołał na mieszczanina, który skulony we dwoje, szedł drogą.

— Na wieki wieków! — odpowiedział Wojna — to wy, Jakubie? Już szaro, a człowiek wtedy jak ślepy. Właśnie idę do was po radę.

— I jakże stanęło? — zapytał ekonom.

— Nad tem stanęło, że Link musiał wziąść tę szkatułkę.

— We wsi nigdzie jej nie ma. Pytałem wszędzie.

— Trzeba iść za Linkiem.

— A Bóg wie, kiej bieda polazła.

— Pan Jerzy mówi, że najlepiej dowiedzieć się o nim u Warnera.

— Sześć mil drogi i kraj niemiecki!

— Cóż robić! moja to wina, Jakubie, bom powinien był ostrożniej obchodzić się z powierzoną rzeczą.

— Nieszczęście nie chodzi po lasach... Widu, Widu! — zawołał ekonom na czarnego, kudlatego psiska, który biegając po grobli tam i nazad, oszczekiwał zawzięcie jakiegoś nieprzyjaciela, który według jego wyobrażenia miał być między Mogiłami a Dąbczynem.

— Widu, Widu! — wołał ekonom, ale Widu nie słyszał swego pana, zaciekając się coraz więcej w złości ku niewidomemu nieprzyjacielowi.

— Coś mi źle wróży na podróż! — westchnął zegarmistrz, patrząc na czarnego, kudłatego psa.

— To już taka natura — uspokoił go ekonom.

— Do tego dzisiaj przez całe popołudniu stał mój sąsiad we drzwiach swego sklepu, patrzył się widocznie w moje okna i uśmiechał się szyderczo.

— To wam się tylko tak wydawało.

— A gdym wychodził z domu, to schował się naumyślnie do sieni, aby mnie jeszcze dzisiaj dokuczyć.

— Tabo wy coś cierpicie do niego.

— Nic mi nie zrobił, nigdy z nim ani słowa nie mówiłem, a jednak strach mnie bierze, gdy go obaczę.

— Przeżegnać się i kwita. Ja tak zawsze robię, gdy mnie coś w drogę wlezie. A tymczasem pójdźcie na folwark, zjemy razem kawałek chleba na drogę.

Kilka chwil szli w milczeniu koło siebie obaj starzy przyjaciele. Widu powrócił z grobli, nie znalazłszy nigdzie nieprzyjaciela, a zwiesiwszy pysk do ziemi, mruczał nieukontentowany.

Wreszcie ozwał się zegarmistrz:

— Ciężko mi bardzo na sercu! Kilka dni zabawię w podróży, a nikogo w domu przez ten czas nie będzie. Przecież to smutno człowiekowi samemu na świecie. Ani żony, ani dziecka, nikt wiedzieć nie będzie, kiedy zamknę powieki.

— No, dobra żona, to już nie żal człowiekowi — rzekł stary ekonom — ale gdy już kogo Pan Bóg ukarze...

I posmutniał stary wachmistrz, a wyjąwszy krótką fajeczkę, zapalił sobie ku lepszej fantazji.

— Nie będzie komu zegarów ponakręcać! — mówił dalej zegarmistrz. — Basia zaśnie, a burmistrz położy swe wagi na ziemi i ani się ruszy!

— Mogę dochodzić co noc do Dąbczyna i zegary ponakręcać. W dzień mam wiele roboty.

— A co tymczasem starowina na wieży ze sobą zrobi, to już Bogu tylko wiadomo!

— I tam mógłbym pójść, gdybym miał klucze.

— Nie, nie — odparł żywo mieszczanin — tam nikt iść nie może, nikt iść nie powinien... Rozumiecie, Jakubie, ja jestem zazdrosny, zazdrosny jestem, bo to mój skarb jedyny, to dzieło mego dziada.

Ekonom znał dobrze swego przyjaciela, który zbyt często był mizantropem, aby mu w takiej chwili coś odpowiadać. Wydmuchnął kilka kłębów dymu i w milczeniu postępowali dalej prostą drogą ku folwarkowi w Radziejewie.

Przechodząc koło karczmy, usłyszeli gwar wielki i krzyk jakiś niezrozumiały. Mnóstwo wiejskich dzieci otoczyło budynek i krzyczały na wyścigi.

— Kaszeba! Kaszeba!

— A tam do kata! — krzyknął ekonom, któremu chociaż nie de jure, przynajmniej de facto szło o porządek i pokój w Radziejewie; ale dzieci śmiały się, a pokazując palcami, wołały na całe gardło:

— Kaszeba! Kaszeba!

To słowo Kaszeba było według ich wyobrażenia obelżywe przezwisko człowieka, który się zcudzoziemczy.

Stary ekonom przedarł się przez kupę stojących spektatorów, aby zobaczyć, co się tam w tłumie dzieje. Zmierzch już był gruby, z daleka nie można było nic rozpoznać.

W samym środku ciekawych spektatorów stał mężczyzna z chłopska ubrany w długiej, zielonej kapocie. Mógł liczyć lat pięćdziesiąt. Włosy miał długie, twarz ładną, smutną, a w oczach stały mu łzy. Na ramieniu niósł wypakowany worek jakiemś rupieciem, a w ręku trzymał kilka zabawek dziecięcych, pomalowanych w jaskrawe barwy.

— Kaszeba! Kaszeba! — wołały dzieci, szarpiąc go za worek i poły zielonej kapoty. Biedny podróżny obracał się na wszystkie strony i prawie ze łzami prosił, aby mu dali pokój, i właściwym sobie akcentem polskiego języka mówił im, że jest taki sam jak oni katolik.

— Cicho do sta... — krzyknął ekonom głosem dawnego wachmistrza — i zrobiło się cicho jakby mak siał; do czego nie mało przyczynił się mrukliwy Widu, który całe swe nieukontentowanie przeniósł na długie koszule dzieci.

W oka mgnieniu zrobiło się pusto koło karczmy, kilku tylko włościan zostało na placu.

— Co za człowiek, gdzie i zkąd? — zapytał podróżnego ekonom.

— Ja jestem, mój Panje, Kaszeba.

— Co to za Kaszeba? — szepnął półgłosem ekonom do Wojny, wstydząc się przed publiką swojej niewiadomości.

— To Kaszub od Gdańska — rzekł Wojna — dawniej z polskiej ziemi.

Ekonom zmierzył okiem podróżnego, spoczął dłużej nieco na jego ładnej, poczciwej twarzy, i już łagodniejszym zapytał go głosem:

— I gdzież idziecie?

— O tak, przyszedłem do was — odpowiedział Kaszub — bo u nas źle mi było.

— Tam do kata — mruknął ekonom — to jakiś poczciwy człowiek; wartoby go przyjąć, może umie jakie rzemiosło.

— A dla czegóż wam źle u was? — rzekł głośniej do Kaszuba.

— Oj, Panje miłościwy, to dużo mówić o tem.

— Weźcie go na folwark — szepnął ekonomowi Wojna do ucha — niech zje wieczerzę i niech nam co opowie.

Ekonom poskrobał się w głowę, pomedytował trochę, a odkrząknąwszy głośno na znak powziętej rezolucji, rzekł do Kaszuba:

— Pójdźcie ze mną, zjecie co Bóg dał i spoczniecie po drodze.

Kaszub skłonił się nizko, przerzucił worek na drugie ramię i puścił się drogą za swoim dobrodziejem.

---

Do folwarku był spory kawał drogi, a stary ekonom za nadto był ciekawy i gadatliwy, aby tak długie wytrzymać milczenie. Nałożywszy fajeczkę, skrzesał ognia, w czem od lat pięćdziesięciu niewymowną posiadał praktykę, odrzucając wszelkie wynalazki fosforu i gazu; a gdy już dym gęsty jak z komina począł buchać z rogowego cybuszka, odkrząknął i rzekł do Kaszuba;

— To daleko ztąd te Kaszuby?

— Oj daleko, panje miłościwy, dziesięć dni idę — odparł Kaszub.

— To gdzieś aż za morzem? — wtrącił ekonom, nie wiele biegły w jeograficznych wiadomościach.

— Nad samem morzem — odpowiedział Kaszub — tak jak Danzig.

— Gdańsk, Gdańsk! — poprawił Wojna.

— Dawniej mówiliśmy Gdańsk, a teraz już tylko Danzig.

— Tam do kata... — mruknął ekonom — a wy co za jedni, Szlązaki, czy co?

— Nie, panje miłościwy, my nie Szlązaki, my Kaszubi.

— A jakże mówicie?

— Tak po wsiach między sobą mówimy po polsku.

— A msza jaka?

— W kościele śpiewamy po niemiecku i na weselu.

— A kiedyż po polsku?

— Po polsku, miłościwy Panje, śpiewamy tylko przy zargu.

— Przy zargu, co to jest zargu?

— To jest, jak człowieka do grobu chowają.

Wojna machnął ręką, nasunął czapkę na uszy i podwoił kroku. Coś mu naglę humor popsuło. Zapewne wspomniał sobie o biednym starowinie na wieży zamkowej, który za kilka dni wszystkich mieszkańców zamku pobałamuci, ubiegłszy godzinę lub dwie więcej na dobę, jakby się mu należało. A może wspomnienie burmistrza o różowych faworytach drasnęło boleśnie o jego serce, a może ukochana Basia, szalony Paliwoda... Dosyć, że Wojna był w złym humorze i nie radby więcej słuchać opowiadania Kaszuba. Ale ekonom dopiero się rozciekawił, słysząc o ludziach, którzy tylko przy pogrzebie po polsku śpiewają,..

— A jakież tam miasta wasze? — zapytał z rosnącą coraz więcej ciekawością.

— W miastach mówią wszyscy po niemiecku, miłościwy panie! A kto ze wsi pójdzie do miasta i tam kilka lat służy, już go swoi na wsi nie rozumieją, a nawet inaczej się nazwie jak mu było imię.

— Jak to inaczej? — poderwał stary wachmistrz, którego nieraz to gniewało, że się nazywa Mietlica.

— Oj! to właśnie jest, co mnie z domu wypędziło!

Ekonom wydmuchnął chmurę dymu, odgiął kołnierz, który mu nieco ucho zasłaniał i przygotował się z wielkim apetytem do jakiejś smacznej potrawy. Nawet Wojna zwolnił kroku i ciekawie zmierzył Kaszuba.

— Nasz ojciec — zaczął Kaszub — gdy poszedł do zargu, zostawił grunt i dwóch synów! mnie i Jantka. A nazywamy się po przezwisku Grzanka. Otóż Janek powiedział do mnie, gdyśmy przyszli od zargu: «Słuchaj bracie. Ja starszy, mnie należy się grunt. Ale gospodarstwo nie do smaku mi. Ja wolę pójść do miasta, a ty tymczasem rób na gruncie.» — Zgodziłem się na to, choć miałem w ręku inny zarobek.

— Jaki zarobek? — zapytał ekonom, chcąc mieć dokładną historję Kaszuba.

— Ot taki — odpowiedział Kaszub, pokazując kilka zabawek dziecięcych, które niósł w ręku. Gdym był mały, nauczyłem się robić z drzewa różne takie rzeczy, a kupiec z miasta kupuje co roku u mnie wiela tego.

Ekonom spojrzał na zabawki, które mu Kaszub pokazywał, a że już ciemno było i nic obaczyć nie mógł, ograniczył się tylko na dokładnem obmacaniu jakiejś olbrzymiej ropuchy, która za pociśnięciem mieszka wydała z siebie głos przerażający.

— Tam do kata! — mruknął stary wachmistrz — i w wojsku nie służył, a ma spryt djabli. Ktoby to wymyślił! chłop, i do tego Kaszub, który tylko przy pogrzebie po polsku śpiewa...

— Otóż mając taki zarobek — mówił dalej Kaszub — nie dbałem o grunt, ale że mój brat chciał iść do miasta, więc zostałem i pracowałem. Dwadzieścia lat nie było nic słychać o Jantku. Mówiono tylko, że był w wojsku, a potem służył gdzieś w mieście za stróża. Dopioro tego roku przyszedł do domu. Przyprowadził ze sobą żonkę i syna, który ma lat szesnaście. Coś do mnie zaczął mówić, ale już go nie rozumiałem; tylko piąte przez dziesiąte. A żony i jego syna to już wcale nic. Ci mówią wszystko po niemiecku, a on tylko co trzecie, co czwarte słowo.

— I dla tego rozeszliście się?

— A jeszcze nie dla tego. Ale on nazwał się «Butterbrod» i tak ma w swoich pismach. A gdy się we wsi o tem dowiedzieli, to jakoś się stało, że jego syna zamiast «Butterbrod» po ojcu, nazwali ludzie «Zwejbak». I tak na jednym gruncie było nas trzech z jednej krwi: jeden nazywał się Grzanka, drugi Butterbrod, a trzeci Zwejbak. A Bóg wie, jakby czwartego nazwano!

— Hm, hm! — odkrząknął ekonom i puścił chmurę dymu przed sam nos Grzanki.

— Otóż smutno było mi zostać w domu, miłościwy Panje, bo w niedzielę wszyscy ludzie śmiali się ze mnie, nazywając mnie to Butterbrod, to Zwejbak. Do tego brat mój i syn jego, czyli Butterbrod i Zwejbak, dokuczali mnie, kazali mi wynieść się z ich chałupy, i tak wziąłem trochę towaru na plecy i puściłem się w świat, a zdaje mi się, że mi tu lepiej będzie między tymi ludźmi.

— Hm, hm! — krząknął ekonom, rozbierając w głowie tragiczną historję imienia «Grzanków», i dziękując Bogu, że jego imię Mietlica, przeszedłszy wprawdzie wiele metamorfos podczas wojaczki, wróciło jednak pod strzechę rodzinną czyste i nieskazitelne.

A chcąc nieszczęśliwemu Grzance w nagrodę jego opowiadania dać jakie takie wyobrażenie o kolejach losu swego imienia Mietlicy, opowiedział mu w grubych zarysach curiculum vitae, w jakiem niebezpieczeństwie w cudzoziemskich autoramentach było jego imię; przyznał się, że raz już tak się poplątało przy obcej ortografii, że go sam rozpoznać nie mógł; ale koniec końców, imię Mietlica wyszło czyste na wierzch jak kropla oliwy z brudnej wody. Wszedłszy raz na ten przedmiot, opowiadał mu wiele o swojej waleczności i odwadze w bitwach i aktach, mianowicie nieco obszerniej opisał niebezpieczeństwo przy asekuracji dział, kiedy to człowiekowi w piersiach duszno się robi... A na zakończenie dał opis ataku, wykonanego na redutę przez drugi pułk ułanów, w którym on zaszczytny miał udział. Mówiąc o nieprzyjacielskim artylerzyście, przykładającym

lont do armaty, wpadł w ferwor niepospolity. I właśnie, gdy go już trupem miał położyć i uzmysłowiając Kaszubowi tę manipulację, kilka razy pchnął kijem w starą wierzbę, koło której właśnie przechodzili — gdy nagle jakiś dziwny głos zaleciał do jego uszu. Zamilkł, jakby mu kto gębę zawiązał, a tak jakoś zmalał i zgarbił się waleczny wachmistrz, że trudno było poznać w nim owego Mietlicę, który przed chwilą z wielkim zamachem zabijał artylerzystę przy samej panewce armaty...

Stali już przed bramą folwarku. Gdzieś w głębi słychać było głos kobiecy, mający w sobie wszelkie cechy namiętności.

Ekonom stanął jak wryty i zdawało się, że nie wiedział nagle, co dalej począć. Po chwili przyszedł jakoś do siebie i rzekł:

— Hola! tutaj zatrzymacie się. Ja pójdę pierwej, bo... psy są złe na folwarku.

Wojna uśmiechnął się i ścisnął przyjaciela za rękę. Zrozumiał go dobrze.

— Tutaj zaczekacie trochę — mówił dalej ekonom — a ja wam dam znać, kiedy przyjść macie. Gdy mi się uda złapać Tyrana na łańcuchu, to zagwizdam z okna na nutę: «Jechał Maciej od Szkalbierza», a wtedy prosto w bramę i na ganek. A gdy zagwizdam: «Hiszpan dumny i ponury», to niebezpiecznie wchodzić. Wtedy idźcie prosto do szpitalu, a ja tam przyjdę za chwilę i przyniosę co zjeść i wypić.

Rzekłszy to, ścisnął za rękę przyjaciela, który jego nieszczęście dobrze pojmował, a otworzywszy bramkę, z ciężkiem sercem wsunął się na dziedziniec waleczny żołnierz drugiego pułku ułanów.

---

Na ganku małego domu stała kobieta z światłem w ręku. Nizka, pękata, różowa na twarzy, była już w kompletnym negliżu. Włosy miała rozczochrane, oczy czerwone, i wrzaskliwym głosem, który naraz z kilku tonów się składał, recytowała długi paternoster jakiejś biednej istocie, rodzaju żeńskiego, która skulona stała przed gankiem.

— To ty włóczęgo! — krzyknęła kobieta w negliżu, zaświeciwszy w oczy przysuwającemu się zwolna małżonkowi.

— Ja, moja Małgosiu — odpowiedział pokornie waleczny ułan.

— Ty się włóczysz od świtu do nocy — krzyczała Małgosia — a tu Maryśka straszne rzeczy wyrabia! Wszystkie naczynie tłucze!

I ogromny garnek z ogromniejszym jeszcze trzaskiem upadł na ziemię. Ekonom wstrząsł się; przypomniała mu się assekuracja przy działach. Zdawało się mu, że bomba koło niega padła.

— Małgosiu, kochana Małgosiu! — szepnął jak mógł najsłodziej.

— Milcz, stary dziadzie! — wrzasnęła Małgosia, rzucając na ganek ogromną rynkę, z którą miała iść do śpiżarni.

— Tam do kata! — pomyślał sobie stary ułan — że zła baba, to gorzej niż assekuracja przy działach.

— I cóż stoisz, i czego się patrzysz? — wrzasnęła kochana Małgosia z taką energją, że waleczny żołnierz drugiego pułku ułanów uznał za rzecz przyzwoitą, kapitulować jak można najprędzej.

Z smutną miną wszedł do izdebki i już zbliżył się do okna, aby przyjacielowi umówiony sygnał: «Hiszpan dumny i ponury» jak najciszej wygwizdać, gdy ukochana Małgosia wtoczyła się do izby, a z nią jakaś genialna myśl do jego skłopotanej wleciała głowy. Czekał tylko uspokojenia małżonki.

— Kochana Małgosiu — rzekł po chwili — powiedziałbym ci coś, gdybyś się nie gniewała.

— Ciekawam, co ty mi powiedzieć możesz! — odburknęła kochana Małgosia.

— Śniło mi się wczoraj o tobie, kochana Małgosiu!

— I cóż tam takiego?

— Gdym się przebudził, to pot kroplami jak orzechy lał się ze mnie.

— No, cóż? — krzyknęła już zniecierpliwiona małżonka.

— Bo ja bym ciebie nie przeżył... Na starość smutno zostać sierotą.

Jakaś dziwna myśl, zimna jak bryła lodu, wpadła w wiecznie kipiące serce kochanej małżonki. Usiadła na stołku i założyła ręce. Ekonom oblizał się z radości, że mu się jakoś szczęścić zaczyna.

— Śniło się mi, żeś ty umarła! — wyjąknął stary ułan tak melodramatycznie, że się aż sam rozweselił.

— Ja umarła?... pfe, pfe! czyś zwarjował? Ja umarła? ja, stary dziadzie... Ja umrzeć przed tobą?... A toś oszalał, albo twój sen był szalony!...

— Położono cię nogami do drzwi, na dużym stole...

— W imię Ojca i Syna i Ducha... pfe, pfe... zwarjował!...

— Na białem prześcieradle, z krzyżykiem w ręku...

— Oszalał!

— Sześć świec zaświecone przy tobie, a w nogach lampę!

— Sześć świec!

— Przyszedł stolarz, wziął miarę na trumnę...

— Brrr...

— Włożyli cię do trumny... wynieśli... zaśpiewali...

— Brrr... Trzeba dać na mszę świętą —

— Postawili nad grobem... a grób był ciemny, głęboki, zimny!...

— Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna...

— Ksiądz pokropił trumnę święconą wodą, a grabarz zarzucił sznur...

— Błogosławiony owoc twego żywota, Jezus!

— A grób był ciemny, głęboki, zimny...

— Módl się za nami grzesznemi...

— Spuścili trumnę na sam dół i poczęli sypać ziemią....

— I w godzinę śmierci naszej, amen!

— A ja upadłem na kolana i zawołałem z płaczem: «O Boże, czemu mnie tak karzesz!» A Pan Bóg rzekł do mnie: «Głupiś Mietlica, że za nią płaczesz. Mówiąc między nami, nie masz czego żałować.»

— I cóż ona przewiniła? zapytałem. Była wcale nie zła kobiecina, a chociaż czasem się pogniewała, toż przecież nie taki to ciężki grzech.» A Pan Bóg mi na to: «Nie za jej gniew ukarałem ją, ale za jej złe serce! Ubogiemu nigdy nie da ani kawałka chleba, a biednych podróżnych, którzy nocą na folwark przyjdą, nigdy nie przenocuje! To grzech śmiertelny!

— Jakto! — ozwała się nieśmiało biedna Małgosia — czyż dopiero wczoraj nie dałam dwom dziadom chleba, a jeźliby jaki podróżny przyszedł i o nocleg prosił, wszak kącik znalazłby się...

— I gdy tak klęczałem i płakałem, nagle zbudziłem się, a widząc, że to był sen tylko, ślubowałem zaraz dać na mszę świętą naszemu proboszczowi.

— Trzeba dać, trzeba... Ale ja nie przypominam sobie... a może... ale nie...

— To już nic, moja Małgosiu, nic... — pocieszał ją małżonek — trzeba tylko na przyszłość uważać. Dobre uczynki nigdy nie zalegną u Pana Boga. Rzetelnie on je wypłaca i to z lichwą nawet, jak mówi ksiądz proboszcz.

Zdawało się, że te słowa powinny były uspokoić zbyt tkliwe sumienie kochanej małżonki. Ale tak jakoś nie było. Rozbudziły one jakieś utajone grzechy nieszczęśliwej gospodyni, które jak nocne ćmy zaczęły latać koło zapalonej świeczki, zbudzonego sumienia. Zwiesiła głowę i zamyśliła się.

Uśmiechnął się stary ułan i pogładził wąsy. Korzystając z tak dobrej chwili, otworzył okno i donośnie, a nawet z kaloraturą wygwizdał: «Jechał Maciek od Szkalbierza», aż się po całem Radziejewie rozległo. Żona przyzwyczajona do podobnej fantazji starego ułana, nic na to nie mówiła, a nawet według wszelkiego prawdopodobieństwa, wcale go w tej chwili nie słyszała.

Teraz otwarły się drzwi.

— A goście, goście! — krzyknął Mietlica, ściskając Wojnę za rękę — a to podróżny, prawda podróżny!...

Kaszub skłonił się gospodyni i obrazom świętym, nie domyślając się wcale taktyki starego ułana. Gospodyni powitała grzecznie i po chrześciańsku przybyłych, a gdy do tego Mietlica, ścisnąwszy za rękę Kaszuba, jakiś dziwny, żabi głos z niej wydobył, kochana Małgosia była pewną, że Pan Bóg na pokusę przysłał jej dzisiejszych gości. A chcąc przyzwoicie wyjść z tej pracy, szepnęła do ucha mężowi:

— Zapewnie przenocują tutaj... Zgotuję kiełbasę z sosem... A może i piwa...

Mietlica kiwał głową na wszystko, uśmiechał się i głaskał wąsy. A gdy żona za wieczerzą z izby wyszła, przechylił się do ucha Wojny i szepnął:

— Niech tylko stary z młodą nigdy się nie żeni! Nie każda taka święta, jak nasza majorowa!

Wojna uśmiechnął się do przyjaciela, ale nic mu na to nie odpowiedział. Wszystkie jego myśli skierowane były do zielonej ropuchy, którą Kaszub na stole położył. W głowie jego dojrzewał jakiś ważny plan.

— Przychodzi mi na myśl — ozwał się po chwiil — że Grzanka tymczasem może u mnie mieszkać. Możecie go tam zaprowadzić i okazać mu, jak i kiedy zegary się nakręcają. Tylko ostrożnie, aby nie popsuł.

Kaszub skłonił się za tak wielkie dobrodziejstwo, przyrzekł pilnować święcie wszystkiego i nic nie ruszać. Wojna jeszcze przestrzegł go przed swoim niebezpiecznym sąsiadem, opisał mu jego sklep, jego uśmiech szyderczy, okrągłą czapeczkę i brzuch tłusty. Zaklinał go, aby mu się nigdy nie pokazał.

Kaszub przyrzekł wszystko święcie uczynić, a ekonom obiecał przez te kilka dni donosić mu nieco żywności.

Tymczasem przyszła na stół kiełbasa z sosem. Rozprawiano wiele o Kaszubach i o zargu, a gdy już około północy stary ekonom pod pierzynkę się wsunął, miał sny roskoszne, cudowne! Śniło mu się, że przy zdolnościach swoich, jakie dzisiaj okazał, mógłby być najmniej majorem, a gdy tym tytułem trochę się nacieszył, wyawansował na

pułkownika, potem na jenerała, wreszcie nad samym ranem został hetmanem jakiejś wielkiej armji, a tak głośno komenderował i szablą wywijał, że wszystkich ze snu pobudził i na ręce kilka sińców sobie nabił.

— Tam do kata! — krzyknął, przecierając oczy. — Mógłbym być Napoleonem, gdybym nie był Mietlicą!

---

## IV.

Gdy Jerzy od starego zegarmistrza do swego mieszkania powrócił i z gorączkową niecierpliwością przebierać się zaczął, podsunął mu służący spory pakiet pod rękę, który był właśnie przed chwilą z poczty odebrał. Jerzy rzucił okiem na pakiet, a domyśliwszy się jego treści, kontynuował dalej swoje ubranie.

Za kilka minut był już gotów. Do ósmej godziny brakowało jeszcze trzy kwadranse. Była to zwykła godzina, w której schodzono się w zamku na herbatę. Chcąc zatem ten czas czemś zapełnić, który wnosząc z jego niecierpliwości, zagrażał mu być strasznie długim, odpieczętował pakiet i zajął się przeglądaniem jego treści. Była to zwykła posyłka książek najnowszych z księgarni poznańskiej.

Na samym wierzchu leżało piękne album w żółtej okładce. Był to zbiór rycin, zdjętych z najnowszych obrazów znakomitych artystów. Jerzy przerzucił kilka kartek; na trzeciej stanął, patrzał na nią uważnie, a potarłszy ręką czoło, wstał i począł się przechadzać.

Była to kopja najnowszego obrazu Herbsthofera, przedstawiająca pokusę ś. Antoniego. Artysta pojął i po mistrzowsku oddał ten przedmiot. Z ciemnego tła jaskini występuje silna postać świętego. Widać, że silny duch wprowadził tego człowieka do tej jaskini, oderwawszy go od uciech i roskoszy światowych; ale widać także, że i ciało to silne, z którem duch staczać musi walki, i krew gorąca, trudna do ochłodzenia kontemplacjami o marnościach tego życia... Przed nim skała, silna jak jego wiara, a na skale krzyż, to godło jego życia... Z każdego cienia, z każdego półświata, wieje zimna, grobowa woń ascetyzmu... Święty modli się... Na błękitnym obłoku przypływa doń piękne, czarujące widmo... Dwie kobiety, splecione uściskiem, zbli-

żają się do niego... Ich szaty na pół przejrzyste, ich kształty śliczne, okrągłe... Jedna śmiała, wyzywająca, nęci wejrzeniem, uśmiechem i wzniesionem do uścisków ramieniem... Druga smutna, zadumana, spuszcza oczy, zdaje się cofać, ale jakaś senna omdlałość całej jej postaci nie zapowiada żadnego oporu.. Święty chwyta za krzyż, w jego twarzy maluje się straszna walka...

— Dziwny przypadek! — rzekł do siebie Jerzy, zatrzymując się przy stole i patrząc na rycinę — właśnie w tej chwili ma przyjść mi przed oczy taki obraz!

I odwrócił się szybko od stołu, a począł się znowu przechadzać.

— Tyle już życia za tobą — szeptała za nim piękna kusicielka — a jeszcze kwiat szczęścia nie zakwitnął dla ciebie! Powiedz, czy byłeś szczęśliwy w twoich szlachetnych pragnieniach! Bóg zapragnie i stanie się, a człowiek stworzony na podobieństwo Boga, ma w sobie tylko pragnienie jego! Na cóż mu to pragnienie, gdy do dzieła nie doprowadzi?... Bądź szczęśliwy, ona cię kocha!...

Jerzy spojrzał na zegarek: było dopiero wpół do ósmej. Wziął kapelusz i wyszedł.

Bohater nasz należał do rzędu owych nieszczęśliwych istot, które burza zbyt wcześnie wyrzuca z gniazd rodzinnych. Dzieci burzy noszą ją w sercu swojem po wszystkich ścieżkach życia i szukają burzy, aby w niej zginąć. Oprócz starego Dębicza nikt nie znał jego prawdziwej rodziny, a imię, które dzisiaj nosił, nie było jego. Młodzieńcem przybył do Poznania, dokończył nauk i poświęcił się literaturze. Kilka pieśni rzewnych, tęsknych, które wyszły w pismach poznańskich, odsłoniły duszę zranioną, bolejącą, co sama jeszcze nic nie straciła, a zastała już wszystko stracone!... Zdawało się, że poeta nie żyje własnem swojem życiem, że tak wcześnie zlał się z życiem całego rodu ludzkiego, dla którego już raj był stracony!...

Najmocniej zajmowały go dzieje ojczyste. Im poświęcał cały swój czas, rozpatrując się okiem poety po starych, olbrzymich pomnikach olbrzymiej naszej przeszłości.

Po niejakim czasie ukazał się plon tej cichej pracy. Był to poemacik pod tytułem: «Bolesław Wielki», który rozszerzając granice Polski, mieczem w złotą bramę uderza i w Dnieprze słupy żelazne wbić każe. Przyjęto z oklaskiem ten hołd, oddany przeszłości, a młody poeta tem większym rozgorzał ogniem.

Odtąd znany był Jerzy w całym zakątku ziemi wielkopolskiej. A był to właśnie czas, który mieszkańców tej ziemi więcej zbliżył do siebie, w którym ta ziemia przodkować chciała innym ziemiom polskim, stojąc na czele usiłowań

literackich. Każde goręt̨sze uczucie, każdy śmielszy duch znalazł tu swoje pole. Ludzi przodkujących na tem polu, znano w każdym dworku szlacheckim, a nawet w pałacach przyjmowano ich chętnie i gościnnie.

Młody, przystojny, ekscentryczny Jerzy stał się ulubieńcem towarzystw. Mężczyzni ściskali się z nim, jako z człowiekiem talentu i zasługi w dziedzinie literatury ojczystej, do czego nie mało przyczyniła się pewna aureola, której wprawdzie nikt oczyma nie widział, a jednak sercem i duszą przeczuwał, aureola, pod którą chowają się kolce cierniowe. Wprawdzie utrzymywali niektórzy, że od starego Dębicza mają najpewniejsze wiadomości o Jerzym, który pod pokrowcem zwyczajnego swego imienia, nosi imię tak wszystkim znane, żeby niem mógł niemniej wszystkich przestraszyć, jak Radziwiłł przestraszył swojem księdza Kanafasza. Ale wszyscy niby milczeli, chociaż w tym razie z potrzeby zrobiła się cnota, a Jerzy był serdecznie witany i ściskany, gdziekolwiek tylko się ukazał.

Rozumie się samo przez się, że płeć piękna nie pozostała w tyle. Młody człowiek z taką aureolą na głowie, a poezją w duszy, musiał wiele oczu ściągnąć na siebie. A gdy do tego przyłączyła się piękna, męzka postać, blada twarz, krucze włosy i ciemne, płomieniem gorejące oko, Jerzy stał się na długo ideałem wszystkich marzących dziewic, póki kapryśny los nie rzucił ich w objęcia łysych, pękatych mężów, którzy prócz wytwornego ekwipażu nie mieli ani aureoli na głowach, ani krzty poezji w sercach swoich.

Wspomnieliśmy, że Jerzy miał około dwadzieścia ośm lat. Czy przy tem swojem tak wyjątkowem położeniu kochał się kiedy? Czy przebolał pierwsze rozczarowanie snów młodzieńczych? O tem nic pewnego nie możemy powiedzieć. I z jego twarzy nie można więcej wyczytać. W koło ust pięknych wije się wprawdzie uśmiech lekkiej ironji, która zazwyczaj osiada tam po marnie przebytych zachwyceniach duszy, gdy ta szczęścia swego nie znalazła na ziemi. Z po za zimnej, lodowej skorupy wygląda ona łzawa i smutna, jak biedna muszka zastygła w bursztynie. Czy ten uśmiech bolesnej ironji na jego pięknych ustach jest nagrobkiem jakiej nieszczęśliwej miłości?... Są ludzie, którzy się rodzą z uśmiechem ironji na ustach, którzy z pierwszem uderzeniem serca czują żal do świata, jakby tęsknili za jakąś wyższą, piękniejszą ojczyzną!...

Życie na krańcach jednego i drugiego społeczeństwa, życie na krańcach stykających się z sobą dwóch narodów, wyrabia wyjątkowe pragnienia, tworzy ludzi wyjątkowych. Jeźli ten kraniec, stykający się z drugim, nie obumarł zupełnie, jak obumarło tyle plemion słowiańskich, to odbywa się na

nim straszna, zacięta walka, niewidzialna dla oka powszedniego, walka dwóch napływających na siebie żywiołów, dwóch oświat, dwóch narodów. W miarę siły jednego i drugiego rośnie i upada ta walka, zbliża się i cofa demarkacyjna linja zwycięztwa. Szeroka przestrzeń kraju czuje wstrząśnienia tej walki zaciętej i dostarcza ofiar do kontyngensu poległych! Kazi się język praojców, obyczaje dawne upadają, giną cnoty domowe i dziedziczne. Z krańców mienia narodowego odrywa się ziemi kawałek po kawałku; nieudolni wnukowie wydają w ręce obcych grobowce ojców swoich, których pomarszczone czoła okazują, że mają sny straszne i okropne!...

Każde gorętsze serce czuje na tych krańcach, że w koło niego bój się toczy, czuje pragnienie walczyć i szuka sobie stosownej broni. Cześć wam, rycerze kresowi! Kilka mogił, kilka pamiątek, zapisanych w sercach waszych braci, kilka starych map, okażą wnukom waszym miejsce, gdzieście walczyli! Wy, gladjatorowie granic narodowych, stoicie dzisiaj śród cyrku narodu i wołacie: «Morituri salutant te!»

Rozczytując się w dziełach Bolesława Wielkiego, ukochał Jerzy tego bohatera, który polskie granice rozciągnął aż do złotej bramy i Dniepru. A tymczasem za plecyma poety malała coraz więcej ziemia ojczysta, wpadały stare, szlacheckie dworki w ręce fabrykantów i przemysłowców obcych, a kolebka narodu polskiego zagrażała stać się wkrótce jego pierwszą mogiłą!...

Jerzy zasłyszał tę walkę cichą i milczącą. Obejrzał się po kraju i zatrwożył. Trzecia część ziemi polskiej była już w ręku obcych.

Szlachta podupadła, lud zbiedniał, miasta wynarodowiły się. W pięknej, poetycznej duszy Jerzego powstała myśl piękna i bohaterska. Chciał stanąć do szeregu walczących. Oświata ludu zdawała się mu najpierwszą potrzebą do bronienia kresów ziemi rodzinnej.

Jerzy był poetą w życiu. Szczerozłotą poezję chciał wprost w życie przenieść. Wszystko to, co kiedykolwiek wyśpiewał, chciał teraz życiem swojem stwierdzić.

Oglądnął się po społeczeństwie, szukając stosownego dla siebie miejsca. Zdawało się mu, że zawód lekarza najlepiej odpowiedziałby jego marzeniom. Bezpośrednie zetknięcie się z ludem i szlachtą, wielostronność stosunków takiego życia, miały dla niego urok poetyczny. Na takiem stanowisku chciał walczyć przeciw prądowi obcej cywilizacji, która wynaradawiając mieszkańców, każąc ich życie i obyczaje, wyrywała im z rąk puścizny ojcowskie.

Były to marzenia młodej, gorącej duszy; był to niewy-

śpiewany poemat życia, który sobie teraz zakreślił młody marzyciel.

Gdyby życie nasze składało się z samych pięknych, szlachetnych myśli, któreby nas najprostszą drogą do celu zaprowadziły, moglibyśmy każdą powieść zamknąć w kilku słowach, które możnaby pomieścić na kamiennym nagrobku każdego bohatera. Ale życie jest to walka. Idziemy, upadamy i znów podnosimy się, aby na nowo bój rozpocząć. A ta długa, niepewna droga nasza, to powieść życia.

Gorące, namiętne dusze tem więcej podlegają wrażeniom. Wszystko to, co ich w tej drodze spotka, wiąże ich i krępuje, a coby przeszło mimo piersi zwyczajnego człowieka, ich ściska i przygniata, jak węże Laokona. A jeśli w końcu uda się im dojść do celu z rozdartą piersią, z sercem poranionem; jeśli krwawe ślady śmiertelnej walki zostawią na ścieżce żywota; jeźli wreszcie bez sił i bez tchu upadną na wytkniętej mecie: świat nie oceni bynajmniej ich zasług; ich walkę z samym sobą, z namiętnościami gorącej duszy swojej, policzy im za grzechy i zimną, lodową miarą zmierzy przestrzeń drogi, którą ubiegli śród mąk piekielnych...

Jerzy wybiegł za bramę Dąbczyna. Chłodny wiatr owiał mu gorące skronie. Przed jego oczami stał nieszczęsny obraz Herbsthofera i przypominał mu własne jego dzieje.

— Ona cię kocha — szeptała za nim piękna kusicielka — kilka chwil szczęścia wystarczy ci na całe życie!

Jerzy obejrzał się, jakby chciał ujrzeć widmo, które za nim pędziło... A za nim już w mroku wieczornym czerniły się mury Dąbczyna; zamkowa wieża malowała się na majowem niebie jak czarny słup graniczny, a w kilku oknach błyszczało już światło,

Miasteczko Dąbczyn leżało na samym krańcu ziemi wielkopolskiej. Od niepamiętnych czasów było ono w posiadaniu rodziny, której potomek dzisiaj ją dzierży. Trudno o pewną datę do historji tego domu. Można tylko to powiedzieć, że Dąbczyn był niegdyś warownym grodem granicznym i że w wieku trzynastym zanotowany jest Jarost z Dąbczyna jako kasztelan tego rodu. Później ustały kasztelanje zamków i grodów, a Dąbczyńscy piszą się po prostu z Dąbczyna. Ponieważ zaś Dąbczyn cum attinentiis z dawnej tradycji zwie się «margrabczyzna», jako ziemia, należąca niegdyś pogranicznemu niemieckiemu markgrafowi, którą oręż Bolesławów do Polski wcielił, toż dziedzice Dąbczyna poczęli się później nazywać margrabiami. Wiadomo jednak, że podług przepisów rzeczypospolitej nie wolno było szlachcie polskiej nosić tytułów zagranicznych, a chociaż coś z nich per usum na niektóre rodziny milczeniem przeszło, to tytuł margrabiego,

oprócz Pinczowa, był w Polsce wcale nie praktykowany. Otóż i Dąbczyńscy zaprzestali później używać tego tytułu na wszystkich prawnych dokumentach; tylko w pożyciu towarzyskiem utrzymała się jeszcze ta tradycja, która jednak więcej tyczyła się samej posiadłości jako «margrabczyzny», niżeli dzisiejszego jej właściciela. Wreszcie tytuł ten stał się tylko czczym przydomkiem imienia Dąbczyńskich, nie nadając mu w hierarchji społecznej żadnego wyszczególnienia.

Wolno jednak było potomkom Jarosta z Dąbczyna wierzyć w ten klejnot rodowy, jeźli ta wiara mogła ich zagrzać do czynów, jakiemi ich ojcowie przysłużyli się rzeczypospolitej. Ale dzisiaj zasadzała się ta wiara na dumie i wyniosłości pańskiej, a oparta na wielkich i obszernych majętnościach, znalazła zawsze chętnych czcicieli pomiędzy ludźmi, którzy pobłażliwi są na ułomności drugich, jeźli z nich jaka korzyść da się osiągnąć.

Inaczej pojmowali zaszczyty swoje przodkowie Dąbczyńskich. Na bramie Dąbczyna, która niegdyś była obronną, dzisiaj w gruzy zapadająca, jest jeszcze napis, wprawdzie niezgrabnie i mozolnie w kamieniu wyryty, ale stokroć milszy sercu potomków, nad gładkie malowidło na lśniących drzwiczkach powozów. Napis ten był prosty: «Ad tuendum populum aedificavit Jarost. Anno 1245.» Więc gród ten, stojący na kresach ziemi polskiej, był ochroną dla ludu, gdy nieprzyjaciel kraj najechał. Dąbczyńscy bronili ludu, a z ludem bronili ziemi, nad którą mieli powierzoną opiekę.

Dzisiaj porozpadały się mury Dąbczyna, okopy zrównały się z ziemią i tylko kilka ruin wskazuje miejsce, na którem przeciw nieprzyjaciołom walczyli rycerze kresowi. A nawet zamek, owe castellum starego Jarosta, z którego murów śledził obroty i postępy Krzyżaków, postarzał się i przykląkł do ziemi, jak spracowany, bliznami okryty wojownik przyklęka na trumnie swojej, oparłszy się o tarczę, aby z czołem zmarszczonem patrzeć na czyny potomków przez długie wieki...

Wieża zamkowa ostała się jeszcze. Do niej przybudowano w późniejszych czasach duży, dwupiętrowy czworobok, któremu dano imię zamku. Reszta była już w gruzach, lub służyła na składy i mieszkania służby.

Najpiękniejszą ozdobą Dąbczyńskich była wspaniała kaplica zamkowa. Dzisiaj jednak obok tych gruzów, które ją otaczały, czyniła smutne, posępne wrażenie. Na okazałym froncie widać było dwa rzędy olbrzymich kolumn, dźwigających obszerną, ciężką galerję, która stanowiła pokrycie kaplicy.

Na tej galerji stał szereg kolosalnych postaci, wykutych z kamienia. Czy to była nieproporcja tych olbrzymów do małej świątyni, czyli tęskne wspomnienie tych olbrzymów świetnej naszej przeszłości, w obec których dzisiaj jesteśmy tak mali i nikczemni, smutna myśl nasuwa się podróżnemu, patrzącemu na tę starożytną kaplicę Dąbczyńskich. Zdaje się mu, że tym olbrzymim postaciom za ciasno było w tej małej świątyni, że wyszli na krużganek, aby w swoje piersi śpiżowe zaczerpnąć powietrza... I tęskno patrzą z krużganku w świat boży, i wyrzucają potomkom, że im tak ciasną, tak duszną zbudowali świątynię... I zdają się czekać na jakiś obłok przelotny, który ich ma zabrać z sobą, daleko, daleko... gdzieś w inne strony!...

Takiem poetycznem okiem przebiegał nieraz Jerzy te szczątki dawnej przeszłości. I dziwnym wydawał mu się przewrót dziejów, rozdających rolę nowym swoim aktorom. Kasztelan Jarost buduje zamek i gród obronny, aby bronić granic rzeczypospolitej, dostaje za to z rąk króla ziemie i zaszczyty, na których cięży dług i powinność dla wszystkich jego następców... A po kilku wiekach walą się mury grodu, potomkowie Jarosta zapominają o długu, który cięży na ich mieniu i imieniu, żyją dla dumy swojej i egoizmu, a na jego miejscu przychodzi nieznany, ubogi człowiek, aby na kresach kraju zająć stanowisko, z którego tamci zeszli. Nikt go nie zna, nikt nie wie nawet o jego przedsięwzięciu; a ten nieznany, ubogi człowiek nosi w swych piersiach obronny gród, który zbudowała miłość dla kraju. Jest to potęga ducha, która dzisiaj walczy i zwycięża; wszystko reszta próchno i gruzy!...

Jerzy wrócił się do miasta. Na wieży zamkowej wybiło trzy kwadranse.

Wieczór był piękny, majowy. Tysiącze muszek brzęczało jeszcze w powietrzu, szukając na noc ochrony. Stada krów i owiec powracały z błonia, a wesoły gwar robotników, idących na spoczynek po dziennej pracy, zalatywał go z dala jak dźwięczny akord w pięknej harmonji życia.

— To życie takie piękne i miłe — szeptała mu kusicielka z podniesionem do uścisków ramieniem — używaj go, pij z kielicha słodyczy!.. Ona cię kocha!...

— Ona cię kochać nie może! — mówił jego chłodny, ironiczny uśmiech — a gdy uwierzysz jej oczom, wejdziesz na bezdroże życia! Będziesz płakał nad samym sobą, nad życiem, które pójdzie krzywo.

— Ale ona cię kocha — woła znowu serce zbudzone — a miłość wszystko może uczynić! Patrz, oto otwiera się okno w jej pokoju, jej smutna twarz wychyla się ku tobie,

jej łzawe oko śledzi za tobą po niebie majowem, a serce jej powtarza słowa poety:

Wypłyń, wypłyń z za obłoku,
Po błękitnym przeleć niebie!
Ja, kochanka, wzywam ciebie!...

— Ona tylko bada — mówi jego chłodny, ironiczny uśmiech — jaka pogoda będzie jutro, jaką suknię weźmie i jakie ubranie do kapelusza, gdy jutro na przechadzkę wyjdzie...

Ósma godzina wybiła. Jerzy potarł czoło, jakby się chciał pozbyć jakichś myśli niemiłych, i szybko wszedł na kamienne schody, prowadzące do zamku Dąbczyńskich.

---

Wróciwszy z Czarnowód, weszła margrabina pobocznemi schodkami do swoich pokoi. Był to znak, że unika zwykłych przywitań z domowymi i chce być samą. Jakoż w samej rzeczy, zrzuciwszy kapelusz i zarzutkę na fotel, zadzwoniła na lokaja i rozkazała przenieść lampę do błękitnego pokoju. Sama zaś, zaświeciwszy biały, elegancki stoczek, udała się przez małe drzwi tapetowe wązkim, ciemnym kurytarzykiem, przeszedłszy w końcu przez małą galeryjkę, do tego samego błękitnego pokoju.

Tak zwany błękitny pokój był to wysoki, podłużny salonik, przypierający do samej wieży. Zdaje się, że ten pokój musiał jeszcze pozostać z dawniejszych czasów, do którego później przymurowano nowe skrzydło. Architektura tego pokoju, a nawet niektóre sprzęty nosiły na sobie cechę szesnastego wieku. Ściany były narzucone jakąś masą, naśladującą szary marmur z złotemi pręgami. W koło wisiały duże, olejne obrazy, przedstawiające dosyć niezgrabnie niektóre sceny z pisma świętego. Pułap podzielony był na różne pola, przedzielone złotemi, wypukłemi ramami, a w zagłębieniach wpuszczone były obrazy także olejne, przedstawiające różne wojenne sceny z życia dawnych kasztelanów na Dąbczynie. Na marmurowych oddrzwiach, między arabeskami, wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Niepospolitej także roboty był kominek marmurem obłożony, ale nie musiał snać w północnej strefie odpowiadać swemu przeznaczeniu, bo tuż obok niego postawiono w późniejszych już latach piec olbrzymich rozmiarów, z białych, błyszczących kachli, na których w wypukłej robocie widać było herby Dąbczyńskich. Pod oknem stał duży stół marmurowy, a dalej w samym rogu sali opierał się o ścianę stół trójgraniasty o skórzanym worku po

każdej stronie, który zapewnie dawnym kasztelanom Dąbczyna służył do gry w kostki. Starożytną tę komnatę osłoniono dzisiaj tu i owdzie błękitną draperją, która miała pokryć uszkodzenia czasu, i ztąd błękitnym pokojem nazwano.

Błękitny pokój służył teraz margrabinie za pracownię w chwilach smutnych i melancholijnych. Na marmurowym stole leżały różne przyrządy do pisania i rysowania. Jakaś starożytna atmosfera tej posępnej komnaty, światło przyćmione, połamane przez grube, żelazne kraty, i ta grobowa cisza, która w koło panowała, wpływały korzystnie na nerwy siedzącej tutaj samotnie i budziły w jej duszy łudzące obrazy wspomnień.

Już lampa dawno stała na stole marmurowym, gdy obraz ś. Jana Chrzciciela odsunął się zwolna od ściany, a przez drzwi za nim ukryte weszła margrabina ze stoczkiem w ręku. Zmierzywszy pustą przestrzeń komnaty, zdmuchnęła stoczek i usiadła przy stoliku. Na stoliku leżała przed nią gruba książka, oprawna w aksamit «sang de boeuf», mająca na czele złoty napis: «Confessions d'une femme.» Poniżej stała dewiza: «La passion est la vie.»

Nad tą książką usiadła margrabina, podparła ręką twarz okraszoną rumieńcem silnego wzruszenia i zamyśliła się głęboko. Oko jej patrzyło w ciemną, pustą przestrzeń, jakby tam widziało jakie ruszające się postacie. Wreszcie zakręciły się dwie łzy, rozjaśniły na chwilę przyćmione źrenice i spłynęły zwolna po zmarszczkach twarzy.

Margrabina była już wprawdzie dawno za progiem owych lat gorących, w których serce kobiety z gorączkową namiętnością chwyta ostatni puhar roskoszy i uniesień, zanim ją zmarszczki i włos biały lodowym okryją całunem; ale silna jej wyobraźnia umiała tak żywo reprodukować obrazy młodości, że samo wspomnienie napawało ją połową roskoszy, jakich używała za lat młodszych. To odżuwanie ubiegłego życia było dla niej dzisiaj jedynem zajęciem, jedyną namiętnością, której oddawała się z zachwyceniem. Zdawało się, że w tych ekstazach traciła połowę swego wieku, stawała się dziecinną, płakała z nadmiaru roskoszy, jak młoda dziewica, czując pierwszy uścisk miłosny.

Te sztuczne, nerwowe ekstazy stały się dzisiaj koniecznym warunkiem jej życia. Przez dewizę swoją, którą dopiero czytaliśmy na okładce jej pamiętników, straciła biedna kobieta grunt życia, którym religja i obowiązki, i jak wirem porwana łódka bez steru, chwiała się po bezgłębnych toniach. Nie widziała nawet tego, że zbyt często sztuczne jej uczucie sprzeciwia się własnemu jej życiu, które w rzeczywistości

było wcale innem, jak je potem widziała przez pryzmat swoich wspomnień sentymentalnych.

Rozmowa z Zuzanną w Czarnowodach rozbudziła jej wyobraźnię; dawne wspomnienia stanęły jej żywo przed oczyma. Korzystając z tego usposobienia, chciała jeszcze przed herbatą zapisać kilka kartek swoich pamiętników.

Otarła łzy, które coraz obficiej cisnęły się do jej oczów, otworzyła książkę i zaczęła pisać:

....Dla kobiety nie ma rzeczywistości; wszystko, co się staje rzeczywistem, przestaje być dla niej ponętą i roskoszą, bo jej przeznaczeniem jest pragnąć i tylko pragnąć, a w tych pragnieniach umierać! Gdyby mi wolno było wrócić do życia, najprzód bym marzyła, potem pragnęła; i z pragnieniem w sercu, z pragnieniem na gorących ustach, których się żaden nie dotknął śmiertelny, weszłabym w świat duchów, w dziewiczej na głowie koronie, i rzekłabym do Boga: «Pragnęłam miłości, pragnęłam szczęścia — ale nie byłam szczęśliwą, nie byłam kochaną!... Bo miłość, którą w duszy przeczułam, nie mieszka na ziemi, a szczęście, o którem marzyłam, uleciało jak mgła wiosenna... Raz tylko wybłysnął promień słońca i padł do mojej duszy, ale chmury zakryły go, a mnie zostały tylko łzy i łzy!... Ostatnie sny mojej młodości, gdzieście uleciały! Życie wasze było życie motyla — kilka kwiatków, kilka kropel rosy, a nie ma was o lube, złote sny młodości!...

W tej chwili ś. Jan Baptysta znowu musiał wraz z barankiem z miejsca swego się ruszyć i do starożytnej Dąbczyńskich komnaty wpuścić nowego przybysza.

Był to wysoki mężczyzna o siwych włosach, ale twarzy tak rumianej i gładko wygolonej, że siwe włosy wcale się do niej nie stosowały i wyglądały jak biała upudrowana peruka. Na szyi miał białą chustkę starannie zawiązaną, biała kamizelka i frak ciemnego koloru uzupełniały jego ubiór.

Gdy ś. Jan Baptysta znowu na swojem stanął miejscu, na którem przez tyle wieków wypełniał jak najsumienniej obowiązki wołającego na puszczy, zbliżył się nowy przybysz z cicha do stołu marmurowego i rzekł cichym głosem:

— Hermino, jeźli ci nie przeszkodzę —

Margrabina obejrzała się, a poznawszy swego męża, ozwała się:

— Zaraz, mój drogi, będę ci służyć, tylko dokończę tej kartki.

Margrabia przeszedł się kilka razy po marmurowej posadzce, a stanąwszy pod wyobrażeniem Samsona, walącego olbrzymią świątynię, począł się mu przypatrywać.

Tymczasem pisała margrabina dalej:

....Raz tylko błysnął mi promień słońca, a nim byłeś ty, kochany Artiurze!... Och! moje serce nigdy nie zapomni ciebie; tyś jeden tylko kochał mnie na tym świecie... Moje serce tylko dla ciebie biło... Prócz ciebie wszystko reszta było tylko więzami dla mnie, nieznośnemi więzami!...

Jeszcze chciała dalej pisać, ale margrabia krząknął kilka razy, a chodząc po komnacie, tak głośno suwał nogami, że wreszcie zdecydowała się położyć pióro, a dokończenie kartki na inny czas odłożyć.

Widząc to margrabia, opuścił Samsona, przeszedł mimo ś. Jana Baptysty i zbliżył się do krzesła żony. Margrabina siedziała rozmarzona i słysząc zbliżającego się do niej męża, wyciągnęła naprzeciw niemu rękę.

— Droga Mińciu — rzekł margrabia, ściskając ją z angielska za rękę — chciałbym z tobą tutaj na osobności pomówić.

Margrabina zatrzymała jego rękę w swojej białej, zgrabnej rączce, podniosła ją do ust i wycisnęła na niej gorący, namiętny pocałunek.

— O mój drogi Achilu — rzekła z wielkiem wzruszeniem — dobrześ zrobił, żeś przyszedł, gdybyś nawet żadnego nie miał interesu. Nie uwierzysz, czem dla mnie jest twoja obecność. Miewam takie smutne, okropne myśli — taki niepokój wre w mej duszy... Ale gdy ciebie widzę, to myślę sobie zaraz: «Nie jesteś sierotą na tym świecie — twój Achil kocha cię, on jeden mógł tylko uczynić cię szczęśliwą!» Tak jest, jestem szczęśliwą przy tobie — szczęśliwą towarzyszką twego życia!

Pan Achil poprawił końców białej chustki, musnął po twarzy ręką, czy gładko ogolona, a spojrzawszy z pod oka na biednego Samsona, dźwigającego na swych barkach całą olbrzymią kolumnę jakiejś kamiennej budowy, posunął kilka razy nogą po marmurowej posadzce i rzekł:

— Za często słyszę to od ciebie, droga Mińciu, abym mógł o tem wątpić.

— To było powiedziane z ironją, mój drogi — odparła żywo Hermina — czyż na to zasłużyłam?

— Bynajmniej. Ale tak często mówisz mi o tem, żeś ze mną szczęśliwa, jakbyś sama chciała w siebie to wmówić.

— Niewdzięczny! — szepnęła Hermina z dziecięcym kaprysem.

— Czy dopiero dzisiaj widzisz moją niewdzięczność?

— Nie, nie, tysiąc razy nie... To był tylko humor chwilowy, kochany Achilu. Ja bym była z tobą szczęśliwą nawet gdzieś w jakiejś ustroni bezludnej, bez świata, bez ludzi.

— Właśnie możesz tego złożyć próbę. Dąbczyn nie jest wprawdzie ani za światem, ani nie jesteśmy tu bez ludzi, lecz jest zawsze ustronie, w którem będziemy musieli na długi czas zamieszkać.

— Ach, co mówisz Achilu! W Dąbczynie długi czas zamieszkać!

— Tak jest.

— Ach to śmierć!

— Umrzemy oboje!

— Co ty mówisz!

— Mówię rzeczy bardzo romantyczne.

— To być nie może... to być nie może... w Dąbczynie długi czas mieszkać!

— Nie mamy innego wyboru.

— Wszak mówiłeś mi, że tylko lato tutaj przepędzimy.

— Boś nie miała wcale ochoty jechać tutaj.

Margrabina spojrzała z wyrzutem na męża. Dwie łzy zakręciły się w jej oczach.

— Tyś mnie oszukał, Achilu! — rzekła.

— Spodziewałem się, że mi przebaczysz, Hermino!

Margrabina przyłożyła rękę do czoła, milczała chwilę a zwracając się nagle do męża, ścisnęła go za rękę i rzekła.

— Przebaczam ci, jak zawsze tak i teraz, bo słaba kobieta tylko przebaczać może.

— A więc teraz «en ami» możemy pomówić między sobą o różnych interesach.

Rzekłszy to margrabia, oglądnął się za krzesłem, a przysunąwszy je do krzesła żony, usiadł na niem i tek rzecz zaczął:

— Dostałem dzisiaj listy od Warnera. Są one dla nas smutne, bardzo smutne.

— Jakto, czy kto umarł?

— Pisze mi właśnie, że długów naszych na żaden sposób umorzyć nie może — odpowiedział margrabia z dowcipnym uśmiechem na twarzy.

— I cóż ztąd? — zapytała z nieukontentowaniem Hermina.

— Nic ztąd — odpowiedział margrabia. — Czy będą długi, czy nie będzie długów, Dąbczyńscy zawsze będą tem, czem byli.

Rzekłszy to, wyciągnął nogi, odziane w popielate pantalony, i począł im się z upodobaniem przypatrywać. Szukał on zapewne owej pięty achilesowej, a nie znalazłszy jej, uśmiechnął się i rzekł:

— Długi nam wcale nie szkodzą, moja droga.

— I ja tak myślę.

— Ale jest jedna nieprzyjemna strona takiego stanu rzeczy.

— A ta —

— A ta jest, że długów już więcej robić nie można.

— A to dla czego nie?

— Dla tego, że kupcy i lichwiarze wcale inną miarą nas mierzą, jaką my sami siebie mierzymy. U nas złoty kołnierz, złota rękojeść u szpady, srebra stołowe, konie, zamek, etc., wszystko to jest tylko ozdobą naszej osoby. U nich nasza osoba nic a nic nie znaczy. Oni nasz złoty kołnierz, naszą szpadę, srebra i zamek zamieniają na wartość złota i według tej wartości mierzą nas.

— Pospólstwo!

— Tak samo, jakby wartość obrazu Rafaela chcieli oceniać według złotych ram jego!

— Ciemnota!

— Tak jest, ale cóż z nimi poradzisz? Oni siedzą na swoich workach i mówią, że nie dadzą!

— Wszak dobra nasze —

— Mówią że przedłużone.

Margrabina spuściła głowę i zamyśliła się. Margrabia wstał z krzesła, a przechadzając się po komnacie, spoglądał z pod oka na nieszczęśliwego Samsona.

— I nie ma na to jakiego sposobu, aby tych ludzi przekonać? — ozwała się margrabina.

— To są ludzie nadzwyczaj uparci, moja droga — odparł krótko małżonek.

— I cóż ja ci w tem poradzę, kochany Achilu! — rzekła margrabina, wstając z fotelu i kładąc białą rączkę na ramieniu małżonka — cóż ja, słaba kobieta, mogę w tem poradzić, która tylko ma serce, aby kochać i cierpieć!

— Właśnie od ciebie, kochana Mińciu, wszystko teraz zależy.

— Jakto?

— Dziś, jutro, przyjedzie do nas hrabia Leon.

— A wiem już, wiem! — krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie i biegając po pokoju jak małe dziecię.

— I cóż wiesz? — zapytał zdziwiony margrabia.

— Otóż przeczułam sercem wszystko... Widzisz, mój drogi, wszystko przeczułam kochającem sercem, odgadłam twoje myśli, twoje życzenia... Widzisz, jak ja cię kocham!

— Cóż odgadłaś?

— Że ty myślisz o hrabi Leonie, czyby nie mógł być mężem Janiny.

— Niech cię ucałuję, droga Mińciu!... Ale trzeba Janinę na to przygotować.

— O wszystkiem myślałam, o wszystkiem, a nawet już w tym celu byłam dzisiaj w Czarnowodach!

— W Czarnowodach, w tym jezuickim domie!

— Posłuchaj, posłuchaj, wszystko ci opowiem.

Mówiąc to, przyciągnęła męża do stołu marmurowego i posadziła go w fotelu. Sama usiadła przy nim na małym taboreciku. Jej wzrost mały, żywe, gorączkowe ruchy, nadawały jej w półcieniu pozór młodej wnuczki, klęczącej u nóg dziadka.

— Otóż najprzód, kochany Achilu, muszę ci powiedzieć, że Ninka nasza to szczególne dziecko. Uparta, a nadewszystko trudna do zrozumienia. Żaden mężczyzna jej nie zrozumie, oko matki zaledwie zdoła dojrzeć niektórych sprężyn, które jej sercem poruszają. Hrabia Leon był z nami tamtego roku w Ostendzie i wyobraź sobie, żadnego wrażenia na niej nie zrobił.

— Możnaby jakoś zgrabnie tę rzecz poprowadzić.

— Ale co gorsza, jak się z wszystkiego zdaje, ona na nim również najmniejszego nie uczyniła wrażenia. Dowiadywałam się postronnie — nawet mu się wcale nie podobała.

— Nie podobała? Janina z Dąbczyńskich? — zawołał margrabia, wyciągając swoje popielate nogi i przypatrując się im z upodobaniem, ale już nie takiem, jak pierwej.

— Tak jest, wcale się mu nie podobała. Nawet pisał w liście do ciebie, że krótki czas tylko zabawi w Dąbczynie.

— To prawda —

— Otóż wymyśliłam plan przytrzymać go tutaj, a tymczasem wszystko by się ułożyło.

— Jaki plan?

— Zaprosiłam do nas majorowę. To śliczna, młoda kobieta. Mąż stary... a ona ma coś w oczach tak pociągającego, tak miłego... a jakie serce! Czyste, dziewicze, jak anioła!...

— I cóż ztąd?

— On się musi nią zająć.

— A jakaż korzyść ztąd dla Janiny?

— Że trochę oboje poszaleją, wreszcie obaczą, że tak długo trwać nie może, a hrabia Leon chcąc się uleczyć i znowu przyjść do równowagi, pójdzie z pierwszą lepszą do ołtarza. Wtedy będzie mojem staraniem, aby to nie był kto inny, tylko Janina.

Margrabia przyłożył rękę do ręki i począł palcami obracać.

— Hm! — rzekł po chwili — ten plan może być nie zły, ale zawsze hazardowny, jeźli majorowa...

— O wcale nie, zbadałam ją doskonale. To opoka, na której pokruszą się wszystkie strzały —

— Czyż nie byłoby lepiej dać tę rolę Tereni?

— Ach nie, to idjotka. A zresztą pod tym względem jest to dziewczyna, od której, gdy kogo schwyci, już się pewnie nikt nie odczepi. To kotka z utajonemi szponami.

— A cóż na to Janina powie?

— Janina, mówię ci, jest to szczególne dziecko. Jej serce ma więcej kaprysów od wszystkich kobiet na świecie. Ona kochać nie zacznie z pierwszego, czystego popędu, ale to uczyni z zazdrości, z gniewu, z uporu. Jakiś kapryśny żart, jakaś niegrzeczność jej, mimochodem powiedziana, może w jej sercu rozdmuchać dziwną namiętność, która w końcu przechodzi w miłość szaloną, w miłość bez granic. Gdy pozna, że hrabia gdzieindziej się zwrócił, będzie za nim szalała i szaleństwem swojem zmusi go do wzajemności.

Margrabia słuchał z uwagą wykładu żony, obracając palec w koło palca, gdy dostatecznie jej słowa w głowie rozebrał, rzekł do niej:

— Wszystko to być może, kochana Hermino, ale zawsze jest to eksperyment i nic więcej. Może się udać, może się nie udać. A zresztą, jeżli Janina taką jest, jak mi ją malujesz, to obawiam się o nią.

— Ach, wy mężczyzni nie znacie kobiet — zawołała margrabina, załamując ręce — wy nie wiecie, czego wam do własnego szczęścia potrzeba. U was kobieta powinna być dobra na pierwsze wejrzenie — dobra po ślubie, zawsze dobra — nieznośnie dobra aż do śmierci. Wtedy piszecie jej nagrobek: dobra! Ach, to śmierć taka pewność na całe życie! Kobieta powinna być jak kameleon: powinna się mienić w tysiączne barwy, powinna niepokoić was i dręczyć niepewnością aż do ostatka. Tylko taka kobieta może być kochaną i pożądaną całe życie, bo dobra, wiecznie-jednako dobra kobieta staje się u was sprzętem domowym, którego jesteście najspokojniejszymi aż do znudzenia właścicielami!

— Jest w tem niezła filozofia, byle się tylko skończyło na pozorach — rzekł margrabia, kręcąc nieustannie palec koło palca.

— Może mi masz co do zarzucenia?

— Wcale nic... ale należałoby Janinie coś powiedzieć.

— Zaraz idę do niej i każę dawać herbatę.

Święty Jan Baptysta z białym barankiem u nóg nasłuchawszy się aż do znudzenia tajemnic domowych, ruszył się znowu z swego miejsca, aby odchodzących na herbatę wypuścić. Zbliżając się do drzwi, margrabia spojrzał jeszcze raz na nieszczęśliwego Samsona, którego na długi czas pozbawiła siły kochająca kobieta.

Podczas tej rozmowy poufnej, której świadkami byli św. Jan Baptysta, Samson i kilku patrjarchów sędziwych, toczyła się w drugim skrzydle pałacu nie mniej ciekawa konwersacja.

Był to mały pokoik z żółtem obiciem. Na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające wiosnę z wszystkiemi jej kwiatami. Posadzka zasłana była kobiercem o żywych, jaskrawych kolorach. Wszystko było tu pełne życia, drażniło oczy, zmuszało pierś do głębokiego oddechu. Mała kanapka, wybita czerwonym aksamitem i takież dwa fotele stały przy ciemnym, mahoniowym stoliku. Jak w tamtym pokoju miało wszystko na sobie barwę reminiscencji, tak tutaj było życie, była obecność. Zachodzące słońce rzucało różowe promienie w sam głąb pokoju i jakąś śliczną, przezroczystą mgłą otaczało dwie piękne, młode kobiety.

Janina chodziła szybko po pięknym kobiercu. Jej ruchy żywe i namiętne oznaczały niepokój, jej oczy biegały z przedmiotu na przedmiot, wydając z siebie jakiś dziwny, fosforyczny blask. Jasno-orzechowa suknia, z wyciętym wysoko gorsem, podnosiła lśniącą białość jej ciała i za każdem poruszeniem okazywała piękne kształty, wysmukłej, elastycznej kibici.

Na kanapie siedziała Terenia w białej sukni z niebieskiem ubraniem. Jej twarz śniada, chorowitej przezroczystości, odbijała jakoś demonicznie od białej sukni. Siedziała jak zazwyczaj: omdlała, znudzona, milcząca. Jej duże oczy patrzyły bezmyślnie przed siebie; żadnego nie było w nich wyrazu. Biedna była to i nieszczęśliwa istota. Daleka jakaś krewna margrabiny; nie miała ni ojca ni matki, ani majątku. Powszechnie miano ją za idjotkę.

Janina zatrzymała się nagle przed stolikiem.

— Czy sądzisz — rzekła szybko i dźwięcznie — że lepiej, żem wstała z łóżka?

— Nie wiem — odpowiedziała Terenia, patrząc ciągle przed siebie.

— Ty nigdy nic nie wiesz, moja Tereniu — mówiła Janina, a oczy jej ciemne zaświeciły fosforem — ty jesteś szczęśliwa, ty nie wiesz czy żyjesz, czy śnisz — a mnie już boli to życie?

— Dla czego cię boli? — zapytała powolnym głosem Terenia i podniosła głowę.

— Bo on mnie kochać nie chce; patrzy z ironicznym uśmiechem na mnie, gdy mu się prawie sama oświadczam.

— Nie musisz go dobrze kochać, inaczej nie oparłby się tobie!

Janina klasnęła w dłonie i przyskoczyła do Tereni.

— Pójdź, niech cię ucałuję! Zkąd tobie taka mowa! Nigdy nie mogłam nic podobnego od ciebie usłyszyć!... Powtórz mi, proszę cię, jeszcze raz. Może nauczyłaś się z książki?

— Moja książka to moje serce — odpowiedziała powolnym głosem Terenia, przykładając z pewnym wyrazem omdlenia drobną, kształtną rączkę do wzniesionej piersi.

— Tereniu, Tereniu! — krzyknęła Janina — ja cię nie poznaję! co się tobie stało? mówisz jak rozumna.

— Wczoraj, dzisiaj czuję się jakoś lepiej, zazwyczaj ciśnie mi coś na sercu.

— Ach, moja droga, nie uwierzysz, jak to boli, być wzgardzoną!

— Prawda, to boli! — odpowiedziała Terenia, a ożywiony na chwilę jej wzrok padł znowu bezmyślnie na ziemię.

— Nigdy jeszcze tego nie doświadczyłam.

— Ach, to boli!

— Dotąd miałam pogardę dla drugich, a dzisiaj on...

— On nie chce cię kochać?

— Nie, nie... obojętną mu nie jestem — zawołała Janina, chodząc szybko po pokoju — nie jestem mu obojętną. Spostrzegłam to, gdyśmy ostatnią razą rozmawiali ze sobą. Ale on się zmusza do obojętności... on chce mnie poniżyć... on chce, abym ja pierwsza przed nim się ugięła... Ale nie, to się nigdy nie stanie... On musi upaść przedemną, a wtedy zemszczę się!

— Zemścisz się? — krzyknęła Terenia i podniosła głowę.

— A jużci zemszczę się — odpowiedziała Janina, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie — zemszczę się strasznie i okrutnie, bo mu powiem... że go kocham!

Wymówiła to słowo głosem, w którym ozwały się wszystkie struny duszy namiętnej. Taki głos wciśnie się w każde serce i pozostanie tam na zawsze, jako urywek owej melodji niebieskiej, której przez długie wieki przysłuchują się aniołowie i wiecznie jej pragną...

Pobiegła szybko do stolika, na którym leżała biała, batystowa chustka; bo łzy puściły się z jej oczu.

— Ach, Tereniu! gdybyś ty kochała! — mówiła wśród łez Janina.

— Ja kocham! — odpowiedziała Terenia i utopiła wzrok gdzieś w powietrze.

— Ty kochasz? Któż jest twoim kochankiem?

— On.

— Co za on?

— Nie znam go.

— Ty go nie znasz, a kochasz?

— Bo bez miłości żyć nie mogę.

Janina otarła oczy i zdziwiona spojrzała na biedną idjotkę.

— I nigdy nie widziałaś go? — zapytała po chwili.

— Czasem widzę go.

— Gdzie go widzisz?

— Widzę go na niebie, gdy słońce wschodzi — wieczorem widzę go na kwiatach, gdy pada rosa niebieska!

— Ach, mówisz niedorzeczy!

— Widzę go na fali wody, gdy z mgłą poranną wstaje i wznosi się ku niebu.

— Bredzisz, moja droga!

— I często słyszę głos jego.

— Słyszysz go?

— Słyszę, gdy jest cisza w naturze... w sercu mojem rozmawia ze mną.

— Śnisz wtedy!

— Słyszę go w harmonji liści, gdy wiatr niemi porusza...

— Ach, moja Tereniu, tyś chora! — krzyknęła Janina.

— Słyszę go w kościele, gdy się modlę do Boga, który jest opiekunem sierot — odparła z wilgotnem wejrzeniem idjotka.

— Nie mów mi więcej — rzekła Janina — bo mi się straszno robi przy tobie.

— Ja się niczego nie boję, bo on jest przy mnie.

Janina wzdrygnęła się i spojrzała po ciemnych kątach pokoju. Słońce skryło się za ciemną chmurę wieczorną, tylko różowy odblask drżał jeszcze po żółtych ścianach i rysował na nich jakieś dziwne, fantastyczne obrazy. Biedna idjotka wlepiła wzrok swój w tę dziwną grę światła i cieni, a zdawała się odczytywać niezrozumiałe jej hieroglify. Jej duże, błękitne oczy ożywiły się; na jej blade, zwiędłe lica wystąpił żywy rumieniec. Janina uczuła trwogę, jaka zazwyczaj nas przenika na widok obłąkanych.

— Cóż ci to, Tereniu? — zapytała z trwogą Janina.

— Nic mi... jestem szczęśliwa — odpowiedziała idjotka.

— Szczęśliwa?...

— Bo on mnie kocha — czuję że się do mnie zbliża.

— Wszak go nie znasz.

— Nie znam go, ale go kocham, kocham całą duszą i wiem, że go zdybię w życiu.

— Może to będzie inny.

— Ja innego kochać nie mogę...

Oczy idjotki tak dziwnym zabłysły ogniem, taki dziwny wyraz ekstazy wystąpił na jej twarz, ukoloryzowaną w najżywsze barwy, tak nagły i gorączkowy był ruch jej ręki, że

Janina kilka kroków od stolika się cofnęła, wyciągając rękę po sznur od dzwonka — gdy się nagle drzwi otworzyły, a do pokoju wszedł najprzód służący, niosąc zaświeconą lampę, a za nim weszła margrabina.

Postawiwszy na stoliku lampę i osłoniwszy ją siną, z przezroczystego papieru wyciskaną koronką, oddalił się służący, zawiadomiwszy wprzód margrabinę, że już wszystko do herbaty przygotowane. Zaledwie zamknęły się drzwi za służącym, chciała Janina opowiadać matce całą swoją przygodę z Terenią, gdy ta nagle podniosła się z kanapki i rzekła do margrabiny:

— Pozwoli ciocia, ja pójdę i przyrządzę herbatę.

Mówiąc to, miała Terenia tak zwyczajny wyraz na twarzy, jakby przed chwilą żadnego silniejszego nie doznała wzruszenia. Ta sama obojętność i apatja w jej oczach, ta sama omdlałość i znużenie we wszystkich jej ruchach, które zawsze cechowały tę biedną, nieszczęśliwą istotę.

— Dobrze, moje dziecię — rzekła margrabina, całując ją w czoło — idź i przyrządź nam herbatę, a my tam zaraz przyjdziemy.

Terenia zwróciła się do drzwi, a matka i córka patrzały z różnem wzruszeniem za odchodzącą, której biała postać chwiała się jak widmo ducha i zniknęła śród ograniczających ją ciemności przyległego salonu.

— Ach, ta Terenia, droga mamo! — ozwała się Janina, tuląc się do łona matki — ta Terenia straszy mnie swemi dzikiemi konceptami.

— Musisz mieć wzgląd na to — odparła matka, patrząc z macierzyńską czułością w oczy jedynaczki — musisz mieć wzgląd na to, że Terenia jest biedne, upośledzone od natury dziecko... Cóż ci to, Nińciu, ty płaczesz?

— Coś mi smutno, droga mamo! — odpowiedziała Janina, przyciskając twarz do piersi matki.

Margrabina pocałowała w czoło szlochającą córkę, przyciągnęła ją do kanapki, a usiadłszy przy niej, rzekła do niej z macierzyńską pieszczotą:

— Uspokój się, moja Nińciu, będziesz miała oczy czerwone, a wiesz, że przy herbacie nie będziemy sami. Pan Jerzy...

— Droga mamo — przerwała córka, rzucając się jej na szyję — ja jestem nieszczęśliwą!

I gorącemi pocałunkami poczęła okrywać twarz margrabiny.

— Uspokój się Nińciu, moje drogie dziecię — mówiła margrabina, poprawiając jej włosy — właśnie chcę z tobą pomówić, jako matka, pragnąca szczęścia swojej jedynaczki.

Janina otarła oczy, a chociaż piękna jej pierś podnosiła się i zapadała wewnętrznym, spazmatycznym płaczem, twarz jej jednak miała pozór, że jako posłuszne dziecię chce z uwagą słuchać słów matki.

— W twoim wieku, droga Nińciu — zaczęła matka — może być tylko jedno nieszczęście. Wiem ja o tem nieszczęściu i dla tego mówię z tobą.

Twarz Janiny oblała się szkarłatnym rumieńcem. Z niepokojem zwróciła oczy na matkę. Ale margrabina nie patrzała w tej chwili na córkę. Zbierała ona w duchu myśli, których właśnie miała udzielić swojej jedynaczce.

— Każda panna w twoim wieku czuje się nieszczęśliwą — mówiła dalej margrabina. — I bardzo słusznie. Jest to przygotowanie do nowego życia, czyli innego jego okresu. Ty pragniesz miłości i jak samotna po wodach potopu latająca gołębica, oglądasz się za zieloną gałązką, za różczką szczęścia. Dotąd jeszcze nic nie widzisz przez mgły i wody. Ale miej cierpliwość, pod tą mgłą kwitnie tam dla ciebie palma szczęścia.

— Ja nic nie widzę — wyszepnęła Janina, wspomniawszy sobie biedną idjotkę.

— Ale oko matki kochającej widzi dalej i lepiej.

— I kogóż mama tam widzi? — zapytała z lekkiem nieukontentowaniem kapryśna jedynaczka.

— Hrabia Leon...

— Ach, to nieznośny człowiek, mamo! — przerwała Janina.

— Cieszę się, że tak mówisz, moja Nińciu!

— Cieszy się mama?

— Bo jestem pewna, że go będziesz kochała.

— Ja?... ja będę go kochała?... Jak to wiesz najprzód, kochana mamciu!

— Wiem, bo znam ciebie, moja ty kapryśna jedynaczko — odpowiedziała matka, całując ją w czoło.

Janina zamyśliła się. Słowa matki potrąciły coś w jej głowie, o czem nigdy nie myślała. A potrącenie to byłoby ją może naprowadziło na wielką, zbawienną prawdę, gdyby matka chciała jej zostawić więcej czasu do swobodnego rozmyślania. Ale margrabina pragnęła wcale innego szczęścia dla córki swojej, od tego, któreby mogło wypłynąć z jej pięknej teorji; zaraz więc rzekła do niej:

— Ale jako matka winnam ci dać kilka napomnień, kilka wskazówek, bez których można popaść w błąd, który się potem całem życiem nie da naprawić.

— Jakież są te wskazówki? — zapytała ciekawie córka.

— Najprzód trzeba uważać, który mężczyzna może być twoim mężem.

— A jeźli go znajdę?

— Jeźli go znajdziesz, przedewszystkiem nie trzeba się mu narzucać. Nie zaszkodzi wcale, jeźli na pozór będziesz trochę obojętną, a nawet zdawać się będziesz jego względy odrzucać.

— To sobie pójdzie z Panem Bogiem, a ja wraz z moją dyplomacją zostanę na lodzie — wtrąciła kapryśna jedynaczka, ocierając resztki łez.

— Tylko struny nie trzeba przeciągać — rzekła matka z miną wytrawnego dyplomaty — bo pęknie. A jeźliby on zrazu był obojętny, to w takim razie możesz pierwsza uczynić niektóre kroki zaczepne; ale gdy obaczysz, że on idzie za tobą, wtedy natychmiast musisz zmienić rolę i być dla niego zimną, obojętną. Bo gdy mężczyzna raz jest w zapędzie, to upór z twojej strony tem większą dla ciebie wzbudza w nim miłość. To miej sobie za regułę: Mężczyzna powinien sobie zdobyć ciebie; tyś powinna zejść do niego z swego tronu, zejść na jego usilne prośby i starania, bo tylko wtedy będziesz panią jego serca. A jeźli kobieta sama, zaślepiona szaloną miłością, mężczyznę zdobywa, to on jej nigdy cenić nie będzie. Ona będzie wtedy u niego wierną, przywiązaną, a nawet wygodną służebnicą — ale on jej kochać nie będzie jako królowę swego życia.

Janina pochyliła na piersi piękną, zamyśloną główkę i zadumała się. Z macierzyńską roskoszą patrzała margrabina na tę piękną, smukłą postać, na przecudne białe ramiona, które za każdem wezbraniem piersi zaokrąglały się do kształtu kuli.

Śród tej dla jej serca tak miłej kontemplacji wszedł służący, oznajmując, że herbata gotowa i że doktor Jerzy już czeka w salonie.

— Pójdźmy, mamo! — rzekła Janina, zrywając się szybko z kanapki i biorąc matkę za rękę.

— Jest tam Terenia — odparła margrabina.

— Pójdźmy! — przerwała córka, a twarz jej przybrała wyraz namiętnej niecierpliwości.

— Gdybym wiedziała, że ci będzie lepiej do wieczora, nie byłabym go prosiła... a tak —

— Spieszmy się, mamo! Terenia nie da sobie rady.

— Nie lubię towarzystwa ludzi, którzy nie należą do naszego koła. Z nimi tak trudna konwersacja. Nie wiedzieć, o czem mówić.

— Przecież pan Jerzy tyle ma wykształcenia...

— To prawda... Ale to zawsze żenuje mnie i fatyguje —

Tymczasem z wazonka, stojącego przy oknie, zerwała Janina piękną, rozkwitłą różę, a umocowawszy ją na piersi,

pociągnęła za sobą matkę do pobocznego salonu, z którego wnijście było do wielkiej, tak zwanej marmurowej sali.

Tam zastali już całe domowe towarzystwo. Margrabia siedział w białej chustce, w ciemno-tabaczkowym fraku i ze zwykłem upodobaniem patrzał na swoje kształtne, popielate nogi. Na jego twarzy był uśmiech spokojnego, niezachwianego szczęścia. Terenia nalewała herbatę, a za nią siedział nieunikniony przy wiejskiej herbacie ksiądz proboszcz i dużą, czerwoną chustką ocierał kroplisty pot z czoła.

Jerzy stał opodal, a trzymając w ręku jakieś album, patrzał ponad ryciny we drzwi, które się właśnie teraz otwierały.

## V.

Nazajutrz był dzień piękny, pogodny. Słońce schylało się już ku wieczorowi. W powietrzu była cisza uroczysta. Tylko na gładkiem zwierciadle Czarnowód ślizgały się duchy-psotniki i smuciły się potrwożone. Skakały po murach ruin klasztornych i chowały się pod gruzy i chwasty. Za to na gałązkach drzew świergotało ptastwo jakąś pieśń wesołą i z drzewa na drzewo podawało sobie wieści dobre. Kilka białych chmurek uwisło na wieży Dąbczyna; jedna spuściła się aż do okna starożytnej komnaty i zaglądała ciekawie i wesoło na herb starego Jarosta. Lipy i kasztany szeleszczą dziwnie przed zamkiem, smukłe trawki opierają się jedna na drugą i szepczą sobie coś do ucha, a cieszą się. Nad brzegiem Czarnowód orze rolnik — kilka razy spojrzał na fale jeziora, spojrzał na gałęzie drzew, na chmurki nad wieżą zamkową, spojrzał w około siebie — ale nic nie ujrzał, nic nie usłyszał. A przecież coś jest w powietrzu, coś zdaje się mówić i szeptać... Ale rolnik nic nie widzi, tylko słońce, które się zniża ku wieczorowi; widzi staw błękitny, drzewa i białe chmurki nad wieżą zamkową...

Od wschodu zabrzmiała trąbka pocztowa. Rolnik zatrzymał pług i spojrzał na dorożkę, która zwolna toczyła się po drodze piaszczystej.

W dorożce siedział mężczyzna, mający około lat trzydziestu. Miał jasne włosy, ciemne, gęste brwi, z pod któ-

rych strzelały bystre, ciemne oczy. Wyraz twarzy był męzki i silny; koło ust zarysował się lekki cień smutku, lecz z całą twarzą był jakoś w nieporozumieniu, która oznaczała wesoły, otwarty umysł. Patrzał przed siebie oczyma na pół zmrużonemi bez najmniejszego zajęcia, jak człowiek, który wiele już widział i dla którego nic nie ma nowego. Na koźle siedział stary sługa, którego twarz w tak dziwne ułożyła się fałdy, jakby od urodzenia milczał i swojej fizjonomji w żaden ruch nie wprawiał. Był to istny obraz wiecznego milczenia.

Droga szła ponad brzegiem stawu. Konie postępowały zwolna w grząskim piasku, a podróżnemu wcale nie chodziło o pośpiech. Oparł się wygodnie o poduszki dorożki, paląc z wszelkim konfortem amerykańskie cygaro.

— Cóż, Soroka! — zawołał za chwilę na służącego — obiecałeś się wyspowiadać tutaj... Rozstrząsłeś sumienie?

Ułożona w podłużne fałdy twarz starego Soroki zaruszała się trochę, z pod jego siwych, obwisłych wąsów wydobył się jakiś szmer, głuchy, niezrozumiały, i znowu wszystko ucichło.

— Cóż cię tam znowu napadło, Soroka! — ozwał się podróżny, który, jak widać, począł się nudzić z swojemi myślami.

— Napadło, napadło — mruknął stary — nie tylko mnie napada, napada i drugich.

Podróżny uśmiechnął się; widać było, że ta poufna konwersacja poczyna go bawić.

— Więc sądzisz, że mnie napadło, kochany Soroczko! — rzekł podróżny, wydmuchując całą chmurę dymu.

— A jużci nie mnie — odburknął Soroka — bo ja ot... Soroka, a panycz pan —

Podróżny rzucił cygaro i począł gwizdać arję z «Cara i cieśli». Soroka obrócił się półtwarzą, okazał grube fałdy milczącej swojej fizjonomji, pokiwał głową i mruknął:

— Już to ostatnie głupstwo, co robię! Będę miał rozum, będę — bo już czas.

Rzekłszy to, począł zwolna układać inaczej swoją twarz pomarszczoną. Spływające na dół wiecznego milczenia fałdy zaczęły się powoli podnosić, zaokrąglać; szerokie jego usta zwężały się coraz więcej, przeszły z elipsy w małe okrąglutkie kółko, z którego nagle wyleciała ulubiona jego melodja. Zrazu nieco ciszej, jednak w drugim i trzecim takcie już gwizdał Soroka na całe gardło, aż się po wodach stawu rozlegało.

Był to jakiś oryginalny, kapryśny djalog starego sługi ze swoim trzydziestoletnim «panyczem». Rozumie się, że arja opery musiała ustąpić silnej, stepowej dumie. Podróżny ro-

ześmiał się i zapalił świeże cygaro, gdy tymczasem Soroka, nie zważając wcale, co się za nim dzieje, zwiesił głowę i gwizdał sobie dalej. Gwizdał sobie niby bez celu, ot tak sobie dla rozrywki, a jednak myślał sobie w duchu stary:

Tam za horu dudka hraje
Diwcze mowczy, a wsio znaje!...

Więc gwizdał stary Soroka coś o Ukrainie, krasawicy, o siedmiu porohach, o mogiłach, gwizdał o starym swoim panu, o siwym asawule z białą nóżką, o stepie i o trzech krzyżach na cerkwi. Nieco ciszej wygwizdał jakąś piosnkę miłosną o czarnobrewie i o Kozaku Sołowiju, a wszystko to było smutne, rzewne. Wreszcie machnął ręką, zakończył jakimś rozpaczliwym, wysokim tonem, aż się pruski pocztylion przestraszył, a otarłszy oczy ręką, obrócił się znowu półtwarzą do «panycza», aby widzieć, jakie wrażenie zrobiła na nim jego «dumka». Ale «panicz» palił sobie jak w najlepsze cygaro i wcale nie zdawał się marzyć o krasnej Ukrainie, ani o stepach i trzech krzyżach na cerkwi. Soroka opuścił znowu fałdy swojej twarzy, obrócił się ku koniom i milczał, zgarbiwszy się jak wielbłąd, co zawsze jego zły humor oznaczało.

Podróżny uśmiechał się, patrząc na kaprysy starego sługi, który jakkolwiek miał twarz milczącego człowieka, lubił jednak, gdy do niego mówiono.

— Soroka! — zawołał po chwili podróżny.

Stary niby od niechcenia obrócił się półtwarzą.

— Coś to ty mi teraz wygwizdał stary?

— Ja... ot z nudoty, panyczu — mruknął Soroka, niby niechętny rozmowy, a wewnątrz biło mu serce z radości, że «panycz» jego dumkę zrozumiał. I pomyślał sobie w duchu stary Ukrainiec:

Tam za wodu dudka hraje
Diwcze mowczy, a wsio znaje....

— Słuchaj Soroko, ja ci powiem, coś ty mi gwizdał —

— Ja-bo paniczu nic sobie nie «dumał» —

— Kłamiesz stary — rzekł z uśmiechem podróżny. — Tyś mi chciał powiedzieć, że nie ma ziemi jak Ukraina, że Soroka*), na której cię mój ojciec dzieckiem znalazł, to najpiękniejsza mogiła na całej ziemi; że nie ma konia nad Asuwułę z białą nóżką, nie ma piękniejszego widoku nad step rozłożysty, i nie ma kościoła nad cerkiew

*) Soroka, mogiła na Ukrainie.

z trzema krzyżami!... Prawda, Soroka, że to chciałeś mi powiedzieć?

Stary Ukrainiec poczerwienił ze wstydu, jakby kto go złapał na złodziejstwie jakiem, a to tymczasem była tylko radość, że panicz jego «dumkę» zrozumiał. Ale jako prosty Kozak uznał za rzecz przyzwoitą, nie przyznać się do takiej dumki, i rzekł:

— Oj, panyczu, to ja tak nie dumał!

— Przyznaj się stary!

— Ta...

— Już ja widzę po twoim garbie —

— Ta, panycz wszystko znaje —

— No, no, nie frasuj się! Gdy przyjedziemy do wielkiego miasta, to zapomnisz o mogiłach i trzech krzyżykach.

— Takoj to panyczu będzie zawsze na «czudżyni».

— Kupię ci pole, wystawię chałupę i będziesz jak w ojczyznie.

— Ojczyznę daje Hospod-Boh! — mruknął stary Ukrainiec, obrócił się do koni i więcej ani słowa nie odpowiedział.

Tymczasem palił podróżny dalej swoje cygaro, uśmiechał się, patrząc na ruchomy garb starego Soroki, który sapał jak miech kowalski, i pluł na wszystkie trzy części świata, tylko do swego «panycza» ani razu się nie obrócił.

Teraz skręcała się droga aż na sam brzeg stawu. Na środku wody okazała się mała wysepka, ocieniona przecudnie wielkiemi drzewami, których zielone gałęzie odbijały się na jasnem tle wody. Z pomiędzy drzew wyglądały białe mury, ożywiając to ciche ustronie. Kilka kolumn starego kościołka zaglądało przez gęste liście, jak mury świątyni Wenery w poświęconym jej gaju.

Za każdym krokiem otwierał się coraz to inny widok. Tam gruzy murów zczerniałych i chwastem porosłych; tu wieża na pół rozwalona, dwa krzyże pochyło stojące; tu znowu biała ściana kościoła z jakimś obrazem na środku... A wszystko to ujęte było w przezroczyste ramy liścia, wody oraz nieba i tworzyło piękny, zachwycający widok.

W koło była cisza przyjemna, zwierciadło stawu było gładkie, spokojne, a z małej, zaczarowanej wysepki dolatywał głuchy, harmonijny świegot ptasząt i cichy szmer liści.

Nie podobna było nie użyć tego widoku, nie zatrzymać się w tem czarownem ustroniu. Jadącemu za granicę wydawał się ten kraniec ziemi rodzinnej jak ostatni, gorący pocałunek kochanki, żegnający nas na długo, a może na zawsze!

Podróżny kazał pocztylionowi zatrzymać konie. Zlazł z dorożki i puścił się ku brzegowi. Soroka patrzył za nim mokrem okiem i łzy połykał.

Tymczasem znikł podróżny w gęstych zaroślach. Przedarłszy się nad sam brzeg wody, szukał drogi, któraby mogła go zaprowadzić do tej zaczarowanej wysepki. Chciał z blizka przypatrzyć się ruinom klasztoru. Ale do wysepki nie było z tej strony przystępu.

Już chciał się wrócić do swego kapryśnego Soroki, gdy w ostoi za krzakami ujrzał łódkę, przywiązaną do wiosła, zatkniętego w grunt piaszczysty. Podróżny nie namyślał się wcale, wyjął wiosło z ziemi, odepchnął łódkę, a za kilka chwil kołysał się już na ciemnych falach Czarnowód.

W tej chwili zaszeleściały krzaki, zkąd łódka była odpłynęła, a z pomiędzy zielonych liści okazała się rumiana twarz starego ekonoma.

— Hej, hej! — wołał Mietlica, machając jedną i drugą ręką — proszę nazad, do brzegu, tu są państwo! Hola, hej!

Podróżny chciał improwizowanemu właścicielowi coś wytłumaczyć, a resztę jaką obiecanką dokończyć, gdy nagle za plecyma starego ekonoma okazały się dwa szerokie kobiece kapelusze, a za niemi służący w zielonej liberji, niosący jakieś dziwne stoliki i stelaże.

W obec takiej rekwizycji potrzeba było jak najpokorniej broń złożyć i czem prędzej poddać się na łaskę lub niełaskę tak licznemu nieprzyjacielowi.

Kilka ruchów wiosła, wykonanych z kawalerską zgrabnością, według wszelkich zasad nautyki, zbliżyło w oka mgnieniu zagrożoną łódkę do brzegu.

— Ah! monsieur Léon! — krzyknęła margrabina — co za dziwne spotkanie! Pan zawsze dziwakiem! Miłym, romantycznym dziwakiem.

— Pani margrabina! — rzekł zdziwiony podróżny. — Czyż godzi się — dodał po chwili, ściskając jej rączkę — czynić na biednych podróżnych tak niebezpieczne zasadzki?

— A godziż się dawać komuś tak złośliwą przestrogę, aby się nie zapędzać zbyt daleko, gdyż powrót, dajmy na to, do obowiązków naszych, mógłby się stać niemożliwym... Muszę pana zaraz zaprezentować mojej kochanej sąsiadce, a właścicielce tej łódki, którą pan sobie przyswoić chciałeś, tej wody i tych prześlicznych ruin, do których pan zapewne zmierzałeś... pani majorowej: Hrabia Leon, wielkie nic dobrego, ale obiecuje mieć dobre serce, gdy się postarzeje.

— Nie mogłaś pani lepiej mnie opisać.

— Ale nim się pan postarzejesz, to naszem staraniem będzie, to jest mojem i pani majorowej, uczynić z pana znośnego i grzecznego kawalera.

— Co do mnie — odpowiedziała zapłoniona Zuzanna — nie ufam sobie, abym tak prędko mogła dojrzeć wad jakich...

— Ach, proszę cię — przerwała margrabina — już pierwszą wadą pana Leona jest, że lubi brać to, co nie jest jego własnością...

— Pani pozwoli — poderwał z sarkastycznym uśmiechem hrabia Leon — nie chciałem brać tego na własność, chciałem tylko...

— Widzisz go — krzyknęła margrabina, klaszcząc w dłonie — sam się odsłania, jakim jest. Na własność, na wieczną własność, to broń Boże! Ale tak, pour passer le temps... Panie Leonie, gdyby na przykład ta łódka była sercem?...

— To bym ją odwiązał od lądu, do którego była przykuta, i puściłbym ją na fale. Zdaje się, że to jest właściwe przeznaczenie łódki serca?

— A sam?

— Sam zostałbym, jak zwykle, na brzegu.

— Ach, co za wspaniałomyślność! Bezprzykładne zaparcie się!

— Bynajmniej... to egoizm.

— Egoizm? Zrzekać się nagrody za swe uczynki!

— Nie lubię kołysać się, cierpię zawrót.

— Ah! lękasz się pan, lękasz! Musiałeś już kiedy wypaść z takiej łódki, albo pana niemiłosiernie wyrzucono!

Hrabia Leon uśmiechnął się z cierpkością, a spojrzawszy na towarzyszkę margrabiny, spotkał się z jej smutnem, melancholijnem wejrzeniem. Wydała się mu w tej chwili tak piękną i zajmującą, że oczu od niej oderwać nie mógł i nie zważał wcale, że winien był margrabinie odpowiedź. Spostrzegłszy to margrabina, uderzyła go z lekka ołówkiem, który w ręku trzymała, i rzekła:

— Panie Leonie, odwiązałeś pan jedną łódkę od brzegu, i na tem dosyć dzisiaj. Korzystajmy więc z pańskiej zręczności, którą dopiero co podziwiałyśmy. Odwieziesz nas pan na drugą stronę. Będzie to pierwsza grzeczność błędnego rycerza dla mojej pięknej sąsiadki.

Zuzanna zapłoniła się, chciała coś odpowiedzieć, ale jej myśli jakoś nie szykowały się dzisiaj. Tymczasem wprowadziła ją margrabina do łódki, a zręczny majtek w oka mgnieniu zaniósł je na sam środek stawu.

— Rysowałam te ruiny, panie Leonie — rzekła z melancholijnem wejrzeniem margrabina — wiele myśli budzą one we mnie... We wszystkiem, co nas otacza, we wszystkiem można się przejrzeć i widzieć, byle tylko myślą pochwycić... Ot na przykład teraz przychodzi mi na myśl ta łódka, którą

płyniemy po tych toniach bezgłębnych! Nie jestże to życie nasze? Tem milsze i pewniejsze, im milsza i pewniejsza jest dłoń naszego sternika. O! szczęśliwa kobieta, która z ufnością może się oprzeć o ramię swego sternika...

Podczas tej rozmowy na łódce, która coraz więcej cichła i głuchła, stał Mietlica na brzegu pod krzakami i coś z pod oka patrzył za podróżnym. Coś mu nie w smak było, coś poczęło go niepokoić. Spluwał co sekunda, stawał to na jednej, to na drugiej nodze, ale wszelkie te, inną razą z dobrym skutkiem praktykowane środki, nic mu dzisiaj nie pomogły.

Wreszcie obejrzawszy się, obaczył tuż za sobą starego Sorokę, który zgarbiony jak wielbłąd, sapał z gniewu i niecierpliwości, patrząc za odpływającą łódką. Twarz Soroki miała dla starego ekonoma tyle czegoś tajemniczego, że obszedłszy ją zwolna okiem do koła, zapytał cichym głosem:

— Czy wy z daleka?

Soroka kiwnął głową i ruszył prawem ramieniem.

— Od Moskwy? — powtórzył pytanie ekonom.

Ukrainiec wskazał ręką więcej na południe.

— Byliście w wojsku?

Soroka ruszył głową w znak zaprzeczenia.

— Ale w świecie nie mało! — dodał gadatliwy Mietlica.

Stary Ukrainiec otworzył gębę i prawą ręką zrobił szerokie koło ponad samą głową ekonoma. Miało to oznaczać, że cały świat w kółko przejechał.

— Tam do kata! — mruknął Mietlica, prowadząc w odwrotnym kierunku rękę do swojej głowy, aby złe jakie chęci nieznajomego odczarować. — Tam do kata! Czy gadać nie umie, czy co!... A wasz pan był zapewnie ułanem?

Soroka zaprzeczył głową.

— No, już tego nie rozumiem — mruknął stary wachmistrz — a przysiągłbym, że był ułanem. Tak gracko brał się do wiosła, jak do lancy.

Rzekłszy to do siebie, spojrzał jeszcze raz na twarz starego Soroki, zgłębił w duchu jej fałdy i zmarszczki, zmierzył pochyłe, garbate plecy, a zatrzymawszy się chwil kilka na białych, coś strasznie zamotanych wąsach, pomyślał sobie w duchu:

— Coś wiele ciekawych rzeczy jest w tych fałdach, w tym garbie i w tych wąsach pomotanych. Gdyby żona moja była kobieta, jak Bóg przykazał, wziąłbym go zaraz na folwark, a wiem, że do białego dnia byłoby co słuchać!

Gdy się to w Czarnowodach nad stawem działo, a rolnik, orzący z drugiej strony wody, na próżno patrzał to na drzewa wysepki, to na białe chmurki, czepiające się wieży Dąbczyna, a nic obaczyć, ani zrozumieć nie mógł, chociaż coś przecież latało mu po przed oczy i uszy: w dworcu Czarnowodzkim nie było także weselej. Tak zwane «spiritualia» wcale się dzisiaj nie udały. Margrabina wzięła z sobą majorowę na przejazdkę po stawie; major zapaliwszy sobie fajeczkę, milczkiem wysunął się w pole; ksiądz proboszcz sprzeciwił się zaraz z góry piątemu rozdziałowi poematu o Stefanie Batorym, w którym kilku Świętych pańskich, a patronów polskich, kłócą się między sobą o biedną Polskę, i dowodził, że w niebie nie ma podobnych kłótni, jak w zaściankach szlacheckich; a Jerzy siedział roztargniony, jakby sam jeden był na bożym świecie i nikogo nie słyszał. Widząc to wszystko staruszek, zamknął najprzód tekę, potem zamknął usta, a gdy «spiritualiści» z izdebki się wynieśli, zamknął biedny i oczy, używając wcześniej swego zwykłego snu poobiedniego.

Z Czarnowód do Dąbczyna prostą, polową drogą można było zajść za pół godziny. Jerzy lubił tę przechadzkę i prawie codziennie odbywał ją pieszo. Droga szła po największej części brzegiem stawu.

Dzisiaj jakoś było mu spieszniej, niż kiedyindziej. Nie zatrzymywał się nigdzie, a nawet ominął z dala graniczny kopiec, na którym zwykł był zawsze stawać i okolicy się przypatrywać.

W Dąbczynie nic nie zastał nowego. W ubogiej mieścinie było cicho i głucho. Przechodząc przez ulicę zamkową, spojrzał na pusty, zamknięty dom poczciwego zegarmistrza, spojrzał na jego mniemanego nieprzyjaciela, który stał w progu swego sklepu w okrągłej, aksamitnej czapeczce, głaskał się po tłustym brzuchu i uśmiechał się do przechodzących.

Wreszcie wszedł do swego mieszkania. Przystąpił szybko do stolika, na którym w małym, porcelanowym kubku stała róża blado-czerwona. Była to ta sama róża, którą wczoraj Janina zerwała i do piersi przypięła.

— Biedny kwiatku! — rzekł do siebie młody marzyciel — ty zwiędniesz i listki twoje opadną. Czy nie zapomni o tobie ta, która cię zerwała, ozdobiła tobą pierś swoją, a gdy tej piersi było za duszno...

Jerzy przychylił usta do róży i dotknął się jej bladych liści...

W tej chwili otworzyły się drzwi. Stary ogrodnik z zamku wszedł do pokoju.

— Cóż tam, Szymonie? — zapytał Jerzy, zarumieniwszy się, że ktoś go zeszedł w tak słabej chwili.

— Oj źle, panie — odparł ogrodnik, człowiek stary — ta i wszystko z nim starzeje.

— Jakże w ogrodzie będzie tego roku?

— Ot! pożal się Boże! Takie piękne linodendron tulpifera, com sam wypieścił własnemi rękami, kazał «jasny pan» wyciąć, a owo czerwono nakrapiane digitales rubicunde...

— A to z jakiego powodu?

— Ot prawdę powiedziawszy, grymas pański i nic więcej. Powiedział pan: «Szymonie, to wygląda jak na probostwie. Widzę, żeś się postarzał — trzeba mi będzie innego ogrodnika.» Niechże sobie szuka innego, bardzo dobrze, ale ciekawym, czy drugi wychowa taki linodendron tulpifera, a takie digitales ribicunde... Ale, ale, miałem panu powiedzieć, że pan margrabia, a właściwie kamerdyner kazał mi tutaj wstąpić, abyś pan koniecznie dzisiaj przyszedł do zamku.

— Dzisiaj? — zapytał Jerzy, a twarz jego okrył lekki rumieniec.

— Dzisiaj wieczór — odpowiedział ogrodnik, myśląc o swoim linodendronie.

— Czy będą goście?

— Będą państwo z Czarnowód, z Stasznicy i z Konaszewa.

— Nikt więcej?

— Będzie także jeden pan, co to z panną Janiną ma się ożenić.

— Z panną Janiną?... co za pan?...

— Nie widziałem go, bo dopiero co przyjechał. Radańska mówiła mi, że młody i bardzo ładny... Ot, kobiety!

Jerzy przeszedł się kilka razy po pokoju, lecz spostrzegłszy, że ogrodnik dziwnie za nim patrzy, zatrzymał się i udając obojętnego, mówił dalej:

— Cóż panna Janina na to?

— Panna Janina zawołała mnie do siebie, gdym się do miasta wybierał i rzekła do mnie: «No cóż, Szymonie, widziałeś tego pana, który chce, abym szła za niego?» I tak się cieszyła, tak do góry skakała, a nie czekając, co ja na to odpowiem, wykręciła się jak fryga na jednej nodze i znikła. Potem wyjrzała jeszcze raz oknem i zawołała za mną: «Spiesz się, Szymonie, a nie zapomnij!...» Otóż teraz muszę jeszcze iść po świece do tego Niemca, bo dzisiaj wszystkie pokoje mają być oświecone. Może będą zaręczyny.

Rzekłszy to, pokłonił się ogrodnik; jeszcze we drzwiach chciał coś o swoim linodendronie tulpiferze powiedzieć, ale wspomniawszy sobie świece i kupca, z którym nieco trudną będzie miał rozmowę, urwał śród słowa i wyszedł za drzwi.

Gdy Jerzy sam został, rzucił się na sofę i oczy ręką zasłonił. Tak siedział długi czas nieruchomy, a nawet nie było widać, że oddycha. Przed jego duszą przesuwały się różne znajome obrazy. Tam gdzieś daleko za Wisłą widział swój dom rodzinny. Dostatek i zamożność otaczały go zewsząd. Nad tym domem uwisła czarna chmura — zawyła burza — a z tej burzy wyszedł biedny młodzieniec i własną ręką włożył sobie na głowę wieniec cierniowy... Dalej widzi rzeszę, rzucającą mu laury pod nogi, a w jego ręku harfa siedmiostrunna... Ta droga prowadzi go do szpitalu, widzi chorych i kaleki, słyszy jęki boleści... A śród tych skarg i jęków z białego obłoku spuszcza się kwiat róży i cudną swoją wonią odbiera mu zmysły...

Jerzy obudził się, wstał i przystąpił do stolika.

Na stoliku stała ta sama blada róża, którą przed chwilą się pieścił. Tylko jeden listek odpadł i leżał na stole, niedaleko ryciny, przedstawiającej kopię obrazu Herbsthofera.

---

Prawie wszystkie okna zamku były już oświecone, gdy Jerzy wszedł na dziedziniec. Po dziedzińcu wałęsało się kilnaście liberji, kilka karet i powozów stało przed starą, rozwaloną bramą.

Zamek miał dzisiaj jakąś smutną, posępną postać. Stojące na krużganku kaplicy figury zdawały się rozwijać swoje szaty kamienne i z otwartemi ramionami czekać na daleki, zwolna posuwający się obłok, na którym miały ztąd ulecieć!... Po za jasno oświecone okna wyszczerzały się gruzy dawnych baszt i murów, a ten gwar wewnątrz nowego pałacu wydawał się jak cichy szept nieboszczyków...

Tak dziwne uczucia miotały sercem Jerzego. Wszedł na schody, prowadzące na pierwsze piętro. Na kurytarzu zaleciał go głos wesołej konwersacji, w którem odróżnić mógł dźwięczny, namiętny głos Janiny.

W tak zwanej sali marmurowej zgromadziło się całe towarzystwo. Kilka statecznych dam siedziało na kanapie, dalej przy fortepianie uformowało się kółko młodszych, najgłośniej szczebiocących, a mężczyzni ugrupowali się po kątach, opowiadając sobie różne nowiny.

Janina wyglądała prześlicznie. Jej piękna, zarumieniona twarz miała jakiś blask eteryczny. Zdawała się być wesołą i nadzwyczaj rozmowną, a jednak lekki, prawie nieznaczny fałdzik na czole, był oznaką, że tam w duszy nie była taka pogoda, jak na twarzy. Terenia siedziała przy oknie i jak

zwykle patrzała bezmyślnie przed siebie. Wszystkich zaś oczy zwracała dzisiaj na siebie majorowa. Jej piękną twarz umilał uśmiech łagodny, a zarazem bolesny; w niebieskich oczach drżało pragnienie ekstaz i zachwyceń, jakich jeszcze nie miała młoda jej dusza.

Margrabia stał niedaleko drzwi w białej chustce, w ciemno-tabaczkowym fraku, a układając w różne pozycje swoje popielate nogi, rozmawiał z jakimś wąsatym sąsiadem, który występując godnie, zwiesił był na atłasowej kamizelce kilka funtów breloków, złożonych z najrozmaitszych narzędzi.

Margrabia chciał przyszłemu swemu zięciowi ukazać swój dwór ze strony jak najświetniejszej. Otóż i goście jego musieli dzisiaj poawansować do stopni różnych znakomitości.

Poczciwy ksiądz proboszcz z kroplistym potem na czole, którego na żaden sposób pozbyć się nie mógł na czas dłuższy, był zaprezentowany jako znakomity kaznodzieja, wąsacz z brylokami został właścicielem najpyszniejszej stadniny w kraju; ów bawił się wzorowem gospodarstwem, tamten był od trzech lat kandydatem na posła; a poczciwy major, który tęskniąc za swoją krótką fajeczką, tylko widokiem żony jako tako się podtrzymywał, został bohaterem à la Sułkowski i przy wyprawie do Egiptu miał z Napoleonem ważne mieć rozmowy.

— Wszystko szlachetne, piękne i poczciwe — dodał w końcu margrabia, wodząc ręką po fizjonomjach kilku wąsatych hreczkosiejów, których tym ostatnim epitetem ryczałtem przedstawił — wszystko znajdziesz tutaj zgromadzone, mości hrabio.

Reprezentanci nieszczęsnej poczciwości polskiej ukłonili się z należytą uniżonością przybyłemu gościowi, gdy margrabia nagle rzekł do hrabiego:

— Otóż, mój hrabio, jeszcze jedna interesowna znajomość dla ciebie. Pan Jerzy — literat, poeta, lekarz i najprzyjemniejszy towarzysz. Gdy dłuższy czas u nas zabawisz, znajomość pana Jerzego będzie dla ciebie wielką rozrywką. Obadwa macie nieco ducha awanturniczego. Pan Jerzy awanturuje się wiele na polu tak zwanej idei, poezji i tym podobnych sentymentów, tak samo jak ty hrabio, uganiałeś po stepach arabskich i biłeś się z Mamelukami. Na jedno to wychodzi, prócz tej różnicy, że pan Jerzy odbywa swoje egzercycja przy stoliku i tam składa stosy nieprzyjaciół, a tobie potrzeba stepu i rzeczywistych głów Mameluków.

Jerzy na to nic nie odpowiedział, tylko się ukłonił nowemu swemu znajomemu. Jego myśli były gdzieś indziej. A hrabia wyciągnął do niego rękę, ścisnął go silnie bez wielkiej etykiety i rzekł:

— Bardzo się cieszę z poznania pana. Gdyby szanowny gospodarz nie był mi nic o panu powiedział, już samo imię byłoby dla mnie dostatecznem. Przy wszystkich moich awanturach, które na mój kark włożył gospodarz, bawię się czasami i książką, i lubię się rozpatrywać w indeksie dzieł nowych.

Na tak dziwaczny kompliment chciał właśnie Jerzy coś odpowiedzieć, gdy nagle zaszeleściały suknie, a do nich zbliżyła się szybko Janina, ciągnąc za sobą Terenię. Janina trzymała w ręku rulon nut.

— Panie doktorze — rzekła z miłym uśmiechem — dzisiaj musisz pan zwykły swój obowiązek wypełnić. Pan doktor — dodała, zwrócona do hrabiego — umie wybornie nuty przewracać. A na mnie padł wyrok nieszczęsny, abym zagrała, co właśnie posłuży panom do tem głośniejszej konwersacji.

Mówiąc to, podała Jerzemu rulon i tak jakoś stało się to niezgrabnie, że jej piękna rączka dotknęła się jego ręki i na żaden sposób od papieru oderwać się nie mogła. Do tego jeszcze na nieszczęście rozwinął się rulon i potrzeba było znowu z różnych stron go chwytać, aby nie spadł na ziemię. Przytem znowu kilka razy ich ręce spotkały się z sobą i tak jakoś dziwnie sympatyzowały, że biedny rulon straciwszy równowagę, musiał upaść na ziemię. Hrabia Leon przyszedł im w pomoc, za co otrzymał zgrabny, sylfidowy ukłon.

Jakkolwiek biedny Jerzy o tym swoim zwykłym obowiązku, jaki na niego w obec hrabiego włożyła Janina, wcale nic nie wiedział, udał się jednak do fortepianu, a rozkrzyżowawszy jak mógł najlepiej Szopena na kratce mahoniowej, stanął za krzesłem, na którem usiadła Janina.

Zrazu było cicho, ale tylko przez kilka taktów. Przepowiednia Janiny spełniła się co do joty. Od lewego kąta, gdzie stali reprezentanci poczciwości polskiej, dał się słyszeć głuchy szmer, który powoli wywiązał się w dość porządną i zrozumiałą konwersacyjkę. Kilka dam na kanapie poszło za tym chwalebnym przykładem, a chociaż zrazu udzielano sobie nieco uwag o muzyce, Szopenie i o grającej, wkrótce te artystyczne uwagi przeszły na pole strojów i niektórych sekretów domów znakomitszych. Gdy Jerzy pochylił się ku grającej, aby pierwszą kartkę odwrócić, było już w salonie tak gwarno i huczno, że panna Janina mogła z wszelką przyzwoitością szepnąć mu do ucha: O dziesiątej...

Na drugie słowo potrzeba było czekać aż do końca drugiej stronnicy. Ach! jakże nudny, nieznośny jest czasem ten Szopen w swojej koloraturze! Dla kilku pereł melodji, dla dwóch taktów miłej narodowej piosenki, trzeba przecho-

dzić przez chaos najrozmaitszych warjacji! Jakże on wiele na tem traci! Jakże nudny i nieznośny jest ten nasz genialny Szopen, mianowicie wtedy, gdy się czeka na spojrzenie, na słówko upragnione!...

Wreszcie skończyła się druga stronica. Reprezentanci polskiej poczciwości wyprawili właśnie jakieś polowanie, damy spierały się o szerokość sukni «à la Eugenie». Jerzy przechylił się znowu, zamiast jednej kartki obrócił dwie, a za to usłyszał teraz dwa słowa: w zielonym pawilonie... Ale zbytnia ciekawość została srodze ukarana. Przewrócenie dwóch kartek wprawiło Szopena w niemały ambaras. Poczęło się mu coś nie kleić, coś tu i owdzie mu brakowało, zaczął powoli omdlewać, a zsunąwszy się z kratek mahoniowych, padł jak długi na ziemię.

Wszyscy zbiegli się na ratunek, nawet reprezentanci poczciwości polskiej zatrzymali się na chwilę śród kniei, ale panna Janina już wstała, tymczasem przyjmując ze wszech stron jak najprawdziwsze wykrzyki szału i pochwał.

Utrzymywano, że Szopen nie miał lepszego egzekutora, nigdy nie był wymowniejszy i zrozumialszy, nigdy nie wyszła w takiej pełni cała harmonja tego utworu, jak się to stało pod piękną rączką niezrównanej artystki.

Hrabia Leon stał na uboczu i nic nie mówił.

— Czy pan żadnych komplimentów nie masz dla mnie za moją grę? — zapytała go Janina.

— Mam wiele pani do zarzucenia — odpowiedział krótko hrabia.

— Do zarzucenia?

— Szopen musiał się w grobie obrócić.

— Wszak pan patrzyłeś przez cały czas w inną stronę?

— A przecież widziałem, że przy pani można się stać niezgrabnym.

— Obawiam się pana.

— Jestem wcale nieszkodliwy.

Janina odbiegła z lekką chmurką na czole, a hrabia wziął Jerzego pod ramię i poszedł z nim do reprezentantów poczciwości, którzy właśnie skończyli byli swoje polowanie na borsuki. Po krótkiej z nimi rozmowie oderwali się znowu obaj i stanęli na uboczu, zkąd można było całe towarzystwo obserwować.

— Bardzo przyjemny i gładki człowiek — mówiła między sobą reprezentacja poczciwości.

— Ma być niezmiernie bogaty!

— Mówią, że trochę postrzelony.

— Cały rok koczował z Arabami pod gołem niebem.

— Był u Zuawów.

— Własną ręką zabił dziesięć Kabylów.

— Margrabia mówił, że Mameluków.
— Stara się o pannę Janinę.
— Ładna będzie para.
— Czas ostateczny, bo Warner et Compagnie zabiera Dąbczyn.
— I o Czarnowodach coś źle słychać.
— Mirski także szuka kupca.
— Znowu kupi jaki obcy.
— U mnie ozimina wygniła.
— U mnie grad wybił.
— Pójdziemy z torbami.

I tak dalej rozmawiała między sobą reprezentacja poczciwości polskiej, a przyszedłszy na tak bolesny temat, który wszystkich blizko obchodził, głuchła zwolna ich rozmowa, aż wreszcie nastała cisza smutna, grobowa. Szczęściem, że w tej chwili otworzyły się drzwi pobocznego salonu, a galonowany lokaj zaprosił zgromadzenie do smacznej, już zastawionej wieczerzy. Na widok kilkunastu ciemnego koloru butelek, które coś strasznie na reńskie wyglądały, poprawiła się jakoś ozimina reprezentacji poczciwości polskiej; a nawet ów straszny Warner et Comp. nie brał się tak skwapliwie do Dąbczyna, jak to sobie przed chwilą wyobrażano.

---

Na wieży zamkowej wybiła godzina dziesiąta. Dziwna to była rzecz i niesłychana, że arcydzieło starego Wojny było dzisiaj jako tako w zgodzie z młodszem pokoleniem.

Przy stołach w salonie było już trochę pusto, tylko tu i owdzie siedział jeszcze gość spóźniony i dopijał kieliszka. Większa część towarzystwa przeniosła się do małego gabineciku na cygara. Wszyscy byli już w jak najlepszym humorze, a ktoby widział te twarze ożywione, usta uśmiechające się, oczy roziskrzone, ktoby słyszał tę wesołą, dowcipną pogadankę, nie uwierzyłby, że jednemu przed godziną ozimina wygniła, drugiemu grad potłukł, a trzeci z torbami już iść zamierzał.

Był to właśnie czas sposobny dla Jerzego. Chociaż hrabia Leon jakoś fatalnie go polubił i zawsze jego towarzystwa szukał, zdarzyło się jednak, że wąsacz z brylokami, uwierzywszy sam w pyszną swoją stadninę, począł wszystkie swoje bachmaty i sułtany kolejno na scenę wyprowadzać. Hrabia Leon, jako wielki miłośnik koni, począł go słuchać. W tej chwili wymknął się Jerzy wcale niepostrzeżony.

Zielony pawilon, który w gorącej jego wyobraźni stał się już zaczarowanym kryształowym pałacem, był to letni domek, włoskiej architektury, położony na wschodzie do ogrodu, a z głównem skrzydłem pałacu połączony zgrabną, szklanną galerją. W lecie zastawiano zazwyczaj tutaj podwieczorek, albo herbatę, jeźli się ta ograniczała na koło familijne.

Jerzy wszedł do ogrodu.

Niebo było pogodne. Biała tarcza księżyca posuwała się zwolna po ciemnem, szafirowem sklepieniu. Gwiazdy iskrzyły się jak perły, rzucone ręką wszechmocną w siny przestwór, a kilka drobnych, białych chmurek igrały koło księżyca jak trzodka baranków. A za niemi srebrzyła się chłodna rosa, liście drzew zaszeleściały głucho śród ciszy nocnej.

A tam, z po za białego obłoku wyjrzała duża, biała gwiazda; po jej srebrnem promieniu spuściły się dobre duchy i patrzały ciekawie przez szyby pawilonu. I cieszą się dobre duchy i szepczą do siebie wieść radosną, że dwa serca, dwie dusze połączą się bratnim uściskiem... Ach, nie! To duchy-psotniki, co zlazły z liści starej gruszy, śmieją się i chichoczą... Cicho! nie płoszcie tych dobrych duchów, które przyszły z nieba, aby szczęście ludzkie oglądać na ziemi!...

Jerzy wszedł do pawilonu.

Tam głucho i pusto. Przez duże, szklanne okna zagląda księżyc, a tam ponad ciemny szczyt lipowej alei podnoszą się olbrzymie, kamienne postacie na krużganku kaplicy... Tam sterczy rozwalona baszta... a tam w dali... tam... jakaś postać... to cień z okna pałacu...

Z drugiej strony pawilonu ciemna, lipowa alea. Olbrzymie cienie drzew i konarów walą się na ziemi, słychać lekki szelest liści, które rosa porusza; tam mała ptaszyna zatrzepocze skrzydłami... a tam... tam w głębi... mały ognik... to robaczek świecący!...

Ktoś lekko we drzwi zapukał... słychać szelest jedwabnej sukni... tam przy ścianie... tam dalej... ach, to wierci robak!...

Jerzy wytężył wzrok swój, przycisnął ręką bijące serce, aby najmniejszy szelest zachwycić — oddech jego skonał na ustach rozpalonych — całe życie jego zbiło się w jedną myśl, w jedno pragnienie... Wtem u góry otwarły się małe drzwiczki, a na schodkach okazała się Janina.

Jerzy otworzył ramiona — serce jego biło głośno.

Janina zwolniła kroku i rzekła spokojnym głosem:

— Zapewnie to pana zadziwia, że na coś podobnego się odważam. Ale nagły interes zmusza mnie do tego.

— Interes? — wyjąknął młody marzyciel.

— Tak jest, mam bardzo ważny interes do pana, czyli raczej prośbę.

Jerzy opuścił ręce, w piersi zabrakło mu tchu. Janina zeszła ze schodów i zbliżyła się do okna.

— Okazuję panu tem moje zaufanie, jakie w nim pokładam — mówiła dalej.

Jerzy skłonił się, słowa zamarły mu na ustach.

— Jutro rano — bardzo rano — udasz się pan do Mogił —

— Do młodego Warnera?...

— Jeźli go tam nie będzie, pójdziesz pan do ojca.

— Do ojca?

— I tam odszukasz także pana Von der Mark!

— Von der Mark!

— I dołożysz pan wszelkich starań, aby pojedynek między nimi nie przyszedł do skutku —

— Pani! — zawołał Jerzy, a w tem jednem słowie ozwały się wszystkie struny duszy.

— Ach, jakżeś pan dziwny! — rzekła z uśmiechem Janina — czy to pana martwi?

— Warner i Von der Mark!...

— Pojedynkują się, a jam powodem tego pojedynku — dokończyła Janina z wielkim spokojem.

Jerzy cofnął się o kilka kroków i oparł się o żelazną balustradę. Janina wytrzymała chwil kilka biednego marzyciela w tym stanie. Poczem zaczęła:

Nie myśl pan, żebym sama stała się do tego powodem. Dopiero dzisiaj dowiedziałam się o tem. Pan Von der Mark miał coś niegrzecznie o mnie mówić — pomyśl pan sobie na przykład, że mówił, żem brzydka — wtrąciła z zachwycającym uśmiechem — i z młodym Warnerem o to się przymówili. Ot i cała straszna rzecz, która pana zmysłów pozbawiła. Idzie mi o to, aby do pojedynku nie przyszło, bo potem stanie się głośną ta ich sprzeczka i wszyscy się dowiedzą, żem brzydka, a może nawet i uwierzą wraz z panem. A zresztą choćbyś pan, a może kilku innych, temu nie uwierzyło, to sam pan przyznasz, że dla mnie podobny pojedynek, jak i dla każdej innej, nie jest wcale korzystny.

Janina mówiła spokojnie i z rozsądkiem. Skończywszy, zwróciła się do schodków, a wyciągając do niego białą, prześliczną rączkę, rzekła głosem, który gdzieś wprost z serca wychodził:

— I cóż? uczynisz to pan dla mnie?

Jerzy uczuł na swojej ręce miękką, aksamitną rączkę, a ta rączka zadrżała... Dreszcz ekstazy przebiegł po jego piersi — uścisnął tę rączkę, przyciągnął do siebie, a drugą objął ramiona dziewicy i silnie do serca przycisnął. Janina

nie opierała się wcale, tylko głowę w tył przechyliła i pełnem okiem wpatrzyła się w twarz Jerzego. Ale jej serce biło mocniej, a biło przy drugiem sercu... Któż wie, czem się serca porozumiewają? Ach, to nie to serce, które widzimy martwe — ono inne, zupełnie inne, gdy się w niem odbywa tajemnica życia! Tego serca nikt nie widział! Wy nie znacie serca, gdy mówi!...

W tem jakaś biała postać przesunęła się po przed okna pawilonu. Janina zadrżała, wywinęła się z objęć Jerzego i znikła w ciemnej galerji.

Jerzy wybiegł do lipowej alei i pospieszył za białem zjawiskiem.

W alei przechadzała się Terenia. Szła niepewnym krokiem, jak lunatyczka.

— Ach, ja go tak kocham! — mówiła do siebie biedna idjotka, wyciągając do błędnych, nocnych mar swoje omdlałe ramiona.

Jerzy spojrzał smutno za biedną sierotą.

— Jakże nieszczęśliwą jest ta idjotka! — pomyślał sobie szczęśliwy kochanek.

Wracając do zamku, potrącił o jakąś zgarbioną figurę przy oknie pawilonu.

# CZĘŚĆ DRUGA.

## I.

Już było dobrze po północy, gdy Jerzy do swego mieszkania powrócił. Nie rozbierając się wcale, usiadł na sofę, aby śród ciszy, której tak pragnął, uporządkować swoje myśli oraz uczucia i przed samym sobą zdać sprawę z wrażeń, których był doznał dzisiejszego wieczora. Lecz jakże trudne takie sprawozdanie, gdy serce w piersi się miota, gdy ręka drży, którą skroń chcemy ochłodzić, a przed oczyma staje nam postać w bieli eterycznej i zasłania nam drogę naszego życia!...

Ludzie, którzy w chwili zapału i natchnienia ślubowali poświęcić się jakiejś wyższej, szlachetniejszej myśli, podobni są do nadpowietrznych żeglarzy, szukających w obłocznej wysokości owej boskiej iskry, która ich ma zapalić i jasnym meteorem rzucić na ziemię. Ale podróż ta jest smutna i długa. W przestworzach mgły i chmur zimno i nudno. Oderwani od życia rzeczywistego, które mimo swych trudów i znużeń, ma jednak oazy do wypoczynku, ma chłodniki dla spragnionych pielgrzymów, brodzą po bezkreśnem oceanie wymarzonego swego świata, którego cudowne obrazy rozpływają się za ich zbliżeniem jak złudne fata morgana. Po każdem takiem rozczarowaniu opadają na siłach, w sercach budzi się żal za tem, czego w chwili natchnienia byli się wyrzekli, a wzgardzone roskosze życia przybierają w ich oczach tem świetniejsze kolory. Żal ten zrazu smutny i rzewny, jak łza sieroty za utraconą matką, przechodzi w gorące pragnienie, a w końcu staje się silną namiętnością.

Na tych kresach uczuć ludzkich stanął dzisiaj nasz bohater. Idąc do dnia wczorajszego drogą poświęceń, uczuł pierwszy cień rozczarowania, gdy lud biedny nie przyjął jego szczerych chęci i właśnie w chwili, gdy chciał dla niego pracować i poświęcić się, odwrócił się od swego nauczyciela i dobroczyńcy, wierząc niezłomnie w swoje fatalne, nieubłagane przeznaczenie, w swoją tragedję na ziemi. Biedny marzyciel ujrzał się zawiedzionym w swojej gorącej miłości, a myśl gorzka i cierpka przebiegła mu przez serce: czy życie jego nie poszło krzywo, czy wszystkie jego pragnienia, do których szedł tyle lat pracą i poświęceniem się, nie były fałszywe i wymarzone?...

W tej chwili zwątpienia i bolesnego pasowania się z sobą stanęła mu przed oczyma dziewica, a jej białe dłonie pchnęły samotną łódkę błądzącego marzyciela do cichej, zielonej przystani. Orzeźwiająca woń drzew i kwiatów napełniła chorą pierś jego, spoczął pod cienistym liściem cyprysu, a słodkie, roskoszne sny zstąpiły do jego duszy spragnionej...

Lecz dosyć tych poetycznych barw życia, które dzisiaj z każdym dniem idą w poniewierkę. Dzisiaj nie radzi patrzymy okiem wyjątkowem, nie radzi przypatrujemy się anatomji serca i duszy, i chcemy rzeczy widzieć tak, jak je wszyscy widzą. Nieszczęsny ten sposób zapatrywania się na świat powstał niezawodnie z zwyczajów parlamentarnych, gdzie każda myśl wtedy dopiero jest dobrą i potrzebną, jeżeli większość głosów ma za sobą. Dawniej jakoś inaczej przychodziła prawda na świat. Wypowiedział ją jakiś biedny, nieznany apostoł i miał cały świat przeciw sobie. Patrycjusze, gmin, wszyscy zakrzyczeli go, zabili, a przecież prawda została prawdą. Ale to były wieki ciemnoty i barbarzyństwa... Dziś nasze życie ujęte w karby przyzwoitości i trzeźwego wyrachowania, a wyjść po za nie, choćby w chęciach najszlachetniejszych, choćby w marzeniach tylko, jest śmiesznem, nienaturalnem... Dziś trzeba mieć koniecznie większość za sobą, trzeba iść razem z ludźmi, którzy nie lubią przodowników.

A że ludzie najzwyczajniejsi mogą siedzieć na sofie i według swego widzimisię układać myśli i uczucia, które ich nachodzą po takiej katastrofie, jaką właśnie odbył nasz bohater w zielonym pawilonie, toż i Jerzy siedział na sofie i w myśli odczytywał dość zawiłe hieroglify, które na jego piersi wypisało mu serce Janiny w przyspieszonym takcie. Poraz setny liczył te uderzenia serca, które był zasłyszał, i składał je w sens upragniony, jak niegdyś więzień Bastylji składał pojedyńcze znaki niewidzialnego sąsiada w upragnione słowa swojej wolności! A jeźli przypadkiem jaki inny sens

z tych hieroglifów złożył się, serce jego burzyło się i protestowało przeciw temu, opierając się na znanej formułce, że serce tylko sercem zrozumieć można.

I jak każdy najzwyczajniejszy człowiek byłby w takiej chwili uwierzył swemu sercu i chętnie przyjemnemu poddał się marzeniu, tak też i nasz biedny marzyciel uwierzył zapamiętale w swoją miłość, a co większa, uwierzył, że ta jego miłość nie jest bez wzajemności. A uwierzył tem snadniej w tej chwili, gdy jego rozczarowane serce pragnęło miłości, gdy bez tej miłości stałby się zwiędłą, wątłą rośliną, której nagle podporę odjęto. Przypominając sobie boleść wczorajszą, zdawało się mu, że Bóg zesłał anioła na ciemną ścieżkę jego żywota, który ją rozjaśni i dalej na niej go poprowadzi...

Tak myślał sobie biedny marzyciel, przysłuchując się sercu, które po owej katastrofie w pawilonie dotąd jeszcze uspokoić się nie mogło, gdy nagle myśl chłodniejsza owionęła mu skronie. Janina dała mu zlecenie, aby przeszkodził pojedynkowi między młodym Warnerem a panem Von der Mark, który za Dąbczynem posiadał obszerne majętności. Janina jest powodem tego pojedynku. W jakimże stosunku może być Janina do tych dwóch ludzi, którzy w tak stanowczej chwili weszli nagle w dramat jego życia?... Jerzy już kochał Janinę, a z pierwszym promieniem tego ogrzewającego uczucia wcisnął się chłodny cień zazdrości... Hrabia Leon przyjeżdża starać się o rękę tej, którą on właśnie dzisiaj całą duszą ukochał!...

Sytuacja, w jakiej się nagle Jerzy obaczył, jest zwyczajnym losem wszystkich ludzi niepraktycznych i marzycieli. Nie mając względu na rzeczywiste stosunki świata, toną w uczuciu, które ich duszę ogarnęło, a gdy po długiej walce i miotaniu się wreszcie zdecydują się do przyjęcia go za godło życia, obaczą nagle groźnych, a może już szczęśliwszych spółzawodników, których pierwej bynajmniej nie widzieli!

Ten los spotkał biednego Jerzego. Od dawna czuł, że piękna, namiętna Janina, jak ognisty kometa wchodzi w koło jego życia, a gdy ją już za swoje słońce przyjął, obaczył nagle, że to słońce i innym przyświeca, że i ci blizsi są jego promieniom ożywczym?... Może Janina posługuje się nim, aby od osób droższych jej sercu odwrócić grożące niebezpieczeństwo...

Myśl ta ukłuła go boleśnie jak żądło gadziny. Wstał szybko i począł przechadzać się po pokoju. Na twarz jego, na której przed chwilą malowało się jakieś błogie szczęście, wystąpił znowu nieodstępny mu uśmiech ironiczny i rozpoczął żwawą walkę z podszeptami serca, które na żaden spo-

sób zapomnieć nie mogło owych tajemniczych znaków, wypukanych do niego przez drugie serce w zielonym pawilonie. Do tej bolesnej, a jednak bezskutecznej walki serca z ironją wmięszał się chłodniejszy nieco rozjemca. Był to rozsądek, który stronom walczącym nakazał milczenie, a sam zasiadł do pokojowej konferencji.

Należało najprzód zbadać osoby, o które ten nieszczęsny spór był się rozpoczął. Pan Von der Mark był to szlachcic niemiecki, tak zwany «junker», który na samej granicy ziemi polskiej miał wielkie majętności, jeszcze większe stada koni i największe psy w całej okolicy. Przy tej swojej niezaprzeczonej wielkości miał długie nogi, długą szyję, a jeszcze dłuższy język, którego w każdym razie nie szczędził, gdy szło o potwarz polskiego imienia, polskiego gospodarstwa i polskich kobiet, które w najpospolitszej rozmowie mają odwagę wyjść po za sferę knedli z kapustą i sznycli wiedeńskich. Wyraz «Polska» było u niego jedno i to samo co Galimatjasz, Babilonja, słowem jakiś bigos hultajski, jakiś chwast, okrywający mapę Wielanda od Baltyku aż gdzieś po Czarne morze, który ekstyrpatorom kultury germańskiej z gruntu wyplenić potrzeba. A co najwięcej tej nieszczęśliwej Polsce miał do zarzucenia, to była ta barbarzyńska ciemnota, że wierzy w dzwony, ornaty i kadzidła, że wierzy w ludzi namaszczonych od Boga, i im z grzechów swoich się spowiada, słowem, że niezrozumiałym dla niego sposobem wyznaje wiarę katolicką. Z tego powodu czuł wściekłą odrazę do katolickich swoich sąsiadów, a wywodząc ród swój od jakiegoś komtura z czasów krzyżackich, poczuwał się do misji walczenia przeciw poganom w interesie oczyszczonej, racjonalnej swojej religji. Ale na jego nieszczęście założył Cobden towarzystwo wiecznego pokoju, a chciwy krwi pogańskiej Pomorzanin ograniczył się na walkę językową, którą w klubach, szynkach i piwnicach przy szklance wina lub piwa prowadził, godnie potomka krzyżackiego.

Rzecz jasna, że ta misja granicznego junkra miała swoje niedogodności. Potrzeba było nieraz oberwać guza, usłyszyć kulę przelatującą o ćwierć cala od ucha; ale na pochwałę tego bohatera kresowego musimy wyznać, że się nie lękał ani guza, ani kuli i zawsze śmiało dotrzymywał placu. Ta jednak jego awanturniczość czyniła go zbyt niemiłym sąsiadem, a szlachcic polski stronił od niego jak od powietrza. Wprawdzie razu jednego, gdy właśnie świeżą zaciągnął pożyczkę, wyrozumował sobie margrabia na Dąbczynie, że arystokracja właściwie nie należy do żadnego narodu i tylko między sobą na całym bożym świecie tworzy jeden pułk elity ludzkiej, a wszedłszy tym sposobem w Berlinie do domów najróżnorodniejszych nacji i kondycji, zaprosił był także

i granicznego junkra do zamku, który poczciwy Jarost kiedyś «ad tuendum populum» był wystawił; ale potomek komtura, dzisiaj lejtnant w pułku huzarów, przyszedł do sali marmurowej w ogromnych butach z ostrogami, w towarzystwie wyżła i przyniósł z sobą całą atmosferę stajni końskiej. W konwersacji salonowej był także piramidalnie dowcipnym; wszystko to, co polskie, było u niego tak piramidalnie niedorzecznem i głupiem, że damy z salonu wyszły, a nieszczęśliwy margrabia, obróciwszy tysiąc razy palec koło palca, dał mu tą manipulacją widocznie do poznania, że się serdecznie nudzi i czem prędzej gościa za próg wyprasza. Junker wziął szpicrut i wyżła, a zadowolony z roli, jaką w zamku polskiego grafa odegrał, wyjechał rozwaloną bramą z Dąbczyna. W klubie końskim opowiadał potem dziwy o «polskim zamku» i jego mieszkańcach, a jako potomek krzyżowego rycerza chełpił się, że ucztował na ziemi nieprzyjacielskiej. Po tem wszystkiem nastąpiła wielka nieprzyjaźń między dwoma granicznymi panami, a skutki ztąd były takie, że co kilka miesięcy ubito sobie wzajemnie parę wyżłów, które się po za kopce graniczne zapędziły.

W takim stanie rzeczy według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Von der Mark nie mógł wcale Jerzemu stać w drodze. A najprawdopodobniej było, że jakąś obelgę rzucił na dom Dąbczyńskich i z młodym Warnerem o to się przemówił.

Sprawiwszy się tym sposobem z jednym swoim spółzawodnikiem, który się mu teraz ani groźnym, ani szkodliwym nie wydał, przystąpił Jerzy do rozebrania drugiego fantomu, który mu upornie stał przed oczyma.

Był nim młody Warner, syn bogatego kapitalisty i bankiera z pogranicznej niemieckiej prowincji, stojącego z polską szlachtą w licznych stosunkach. Ten współzawodnik był już nieco zagadkowej natury, bo jak z wszystkiego widać, stanął w obronie Janiny, a przynajmniej domu Dąbczyńskich. Trudniejsza była z nim sprawa.

Ale po chwili namysłu wyjaśniła się ta zagadka w sposób nader spokojny. Otton Warner był to młody człowiek, mający lat dwadzieścia kilka; nosił bródkę à l'Henri Quatre i złotą lornetkę na czarnym, jedwabnym sznurku. Ojciec kupił mu Mogiły od Górnickiego, aby się zaprawił do gospodarstwa i z szlachtą w bliższe wszedł stosunki, czego wymagały interesa starego bankiera. Młody Otton był wprawdzie z wizytą w Dąbczynie, jako sąsiad najbliższy, i znalazł tam najserdeczniejsze przyjęcie, jako syn starego bankiera, najcierpliwszego wierzyciela margrabiego. Ale damy nie przeczuwały się wcale do tej, co margrabia, grzeczności, a młody Warner spędzał najczęściej cały czas swojej

wizyty na pogadance z margrabią w jego własnym, cygarowym gabineciku. Tym sposobem mógł młody Otton poczuć się do obowiązku bronienia domu, do którego w istocie miał przystęp; a to mogło się stać tem łatwiej, że z panem Von der Mark był w nienajlepszem porozumieniu, który nieustannie chełpił się swojem szlachectwem komturowem, nazywając wszystkich dorobkiewiczów kramarzami.

Więc i osoba Warnera nie wydała się tak groźną. Został jednak najtwardszy orzech do zgryzienia, a tym był nikt inny, jak hrabia Leon, ów śmiały towarzysz Żuawów, który własną ręką dziesięciu zabił Kabylów, przeszedł wszystkie pustynie świata i wszystkim na świecie kobietom się podobał. Do tego był młody, przystojny i bogaty.

Tutaj zadrżało Jerzemu serce na znak, że widzi wielkie niebezpieczeństwo, a gdy z podwojoną uwagą począł to niebezpieczeństwo rozbierać, z poza ciemnej, zamkowej wieży wystrzelił pierwszy promień wschodzącego słońca. Biedny marzyciel ocknął się jakby ze snu, potarł ręką po czole i przekonał się, że całą noc jakoś dziwnie przedumał. Prędko zrzucił z siebie ubiór, w którym był w zamku na wieczorze i zawołał na służącego, aby mu podał wody do umycia się.

Ale im więcej rozpalone skronie zimną wodą nacierał, tem groźniej stawał mu przed oczy szczęśliwszy spółzawodnik, z owym zimnym, dyplomatycznym uśmiechem, który na jego pięknych ustach zawisł jako trofea nie jednego zwycięztwa. Na szyi miał dziesięć głów pobitych Kabylów, a przy złotym łańcuszku od zegarka wisiał pęk bryloków, składający się z samych serc kobiecych, między któremi — Jerzy tem mocniej nacierał skronie zimną wodą — między któremi, o dziwy! widział także piękne, pełne, okrąglutkie serduszko panny Janiny!...

Jerzy zanurzał całą głowę w miednicę, aby się tego widma pozbyć, a przecierając oczy, dziękował Bogu, że te nieznośne łby Kabylów i nieznośniejsze jeszcze bryloki gdzieś w wodzie spłukał: gdy się nagle drzwi otworzyły i do pokoju wszedł hrabia Leon.

---

Przeprosiwszy najprzód gospodarza za tak ranną wizytę i uwolniwszy go z góry od wszelkich form grzeczności, prosił go hrabia, aby dalej swoją toaletę tak kończył, jakby nikogo z obcych przy nim nie było. Sam rzucił się na fotel, stojący przy biórku, a otworzywszy małą kasetkę, wyjął

z niej cygaro i z tak dobrą miną puszczał dym między książki gospodarza, jakby najdawniejszym był jego znajomym.

Jerzy patrzył z pod oka na tego szczególnego człowieka, a zawiązując chustkę, przypatrywał się w zwierciadle wszystkim jego ruchom. Dziwiło go to nie mało, że na jego szyi nie było ani łbów Kabylów, nie miał nawet złotego łańcuszka, ani bryloków, tylko kawałek czarnej wstążki, wychylający się z kieszeni od kamizelki, okazywał, że tam gdzieś w głębi schowany jest zegarek. A ten zimny, dyplomatyczny uśmiech, który niedawno tak go przeraził, był to jakiś szczery, serdeczny uśmiech, który z pod rzadkich, rozrzuconych wąsów dobywał się śmiało i otwarcie. Wszystko to nie mogło jednak uspokoić go, a serce jego drżało ustawicznie jak strwożona gołębica, która przeczuwa zbliżającego się jastrzębia.

Ale mniemany jastrząb z takim komfortem rozparł się w fotelu, tak szczerze i otwarcie, chociaż trochę pod wąsem uśmiechał się do zatrwożonego kochanka, z tak dziwną wprawą puszczał kółka sinego dymku, które jak nieszkodliwy arkan wpadały w rozszerzonych kręgach na głowę gospodarzowi, że Jerzy powoli zaczął się ośmielać i coraz swobodniej poglądał na swego nieprzyjaciela, który widocznie nie miał żadnych złych zamiarów.

Hrabia był ubrany po podróżnemu. Miał na sobie jakąś szarą, myśliwską kurtkę z zielonemi wyłogami, czarny szal na białej, wpół odsłonionej szyi i małą angielską czapeczkę. Na ręku trzymał wielką, szkocką chustkę, którą był wziął od chłodnej mgły porannej.

Jerzy wziął także na siebie szary, podróżny palto, a ukończywszy jak mógł najprędzej swoją toaletę, wyszedł do służącego, dając mu zlecenie, aby mu natychmiast koni gdzie zamówiono. Wróciwszy do gościa, przysunął sobie krzesło do biórka i zapalił cygaro.

Hrabia Leon nie myślał wcale usprawiedliwiać czemś swojej tak rannej wizyty, czego właśnie oczekiwał od niego ciekawy gospodarz. Oglądnąwszy się z uwagą po całem mieszkaniu, rzekł do niego:

— Ubierając się, zostawiłeś mi pan czas do kontemplacji, którą właściwie najszkodliwszą jest w towarzystwie ludzkiem!

— Jakto? — zapytał Jerzy.

— Oto zamiast zająć mnie jaką żywą konwersacją, dałeś mi pan sposobność badać jego charakter i usposobienie z tego, co pana tutaj otacza.

— Byłbym ciekawy.

— Ach, pańska ciekawość miałaby może złe skutki, zupełnie odmienne od tych, jakichbym sobie życzył.

— Wcale nie pojmuję.

— Oto, mówiąc krótko, pragnąłbym pańskiej — jeżeli nie można od razu, przyjaźni — to przynajmniej bliższej znajomości.

Jerzy wypatrzył się na mówiącego, który o wschodzie słońca przychodzi po przyjaźń. A skłoniwszy się nisko, z uśmiechem, z którego mimo najlepszych chęci nie mógł zetrzeć ironji, odparł:

— Wielce mnie to podchlebia, panie hrabio...

— Znajomość bliższa zaczyna się najprzód od opuszczenia wszelkich tytułów — przerwał hrabia.

Jerzy skłonił się powtórnie.

— A więc teraz możesz pan śmiało mówić o moim charakterze i usposobieniu — rzekł Jerzy, zapłoniwszy się mimowoli.

— Ale wypowiedziana prawda nie przyczynia się właśnie do zawiązania stosunków przyjacielskich — podjął hrabia. — Wiem o tem z doświadczenia, że prawdą utraciłem zawsze przyjaciela.

Jerzy zamyślił się, widząc, że rozmowa hrabiego do czegoś ważnego zdąża. Dziwnym wydał się mu w tej chwili ten człowiek, jeszcze dziwniejszy jak przed chwilą, gdy miał na szyi dziesięć łbów Kabylów i dwa funty serc kobiecych w miniaturach brylokowych. A nawet jego szczery i otwarty uśmiech schłodniał jakoś po tej przemowie i był podobny do uśmiechu Mazaryna, gdy z potentatami traktował.

— Zależy to wszystko od wypowiedzenia tej prawdy — rzekł po chwili Jerzy,

Hrabia Leon wydmuchnął kilka kłębów dymu, rozśmiał się à la Mazarin i rzekł:

— Może się panu dziwną wydaje moja natrętność, ale ja właśnie chcę z niej korzystać dla tego, że mnie zbyt rzadko nachodzi. Rzadko kiedy zastanawiam się nad tem, aby pojedyńczych ludzi zbadać. Wiem tyle z doświadczenia, że wszyscy mniej więcej do siebie są podobni i można nawet mieć na nich pewną algebraiczną formułkę, jak do reguły trzech. Nie lubię się zastanawiać, bo lubię ruch i rozmaitość życia. Mimo to muszę panu wyznać, że w starym kasztelańskim zamku przyszły mi w dzisiejszej bezsennej nocy dziwne myśli do głowy. Zdawało mi się, że po tem wszystkiem, cośmy wczoraj między sobą mówili, nastąpić musi bliższa nasza znajomość.

Jerzy skłonił się i rzekł z uśmiechem:

— Czekam owoców pańskiej kontemplacji.

— Patrząc pilnie na to, co pana tutaj otacza — mówił hrabia spokojnie — patrząc na książki rzucone w nieładzie, i czytając ich tytuły, tak różniące się od siebie — patrząc na tych kilka obrazów, na ten zegar, na te ryciny na pół zwinięte, zdaje mi się, żeś pan nie znalazł jeszcze w życiu swojem owego punktu, do którego wszystko cięży i w koło którego wszystko zwolna się układa.

Jerzy wypatrzył się dziwnie na swego gościa, który tak szczególnem badaniem rozpoczyna znajomość. Hrabia zaś odłożył z największą flegmą ogarek cygara na bok i mówił dalej:

— Dziwi pana moje spostrzeżenie, ale mimo to musisz pan przyznać, że jest prawdziwe. Co większa, opierając się na mojej formułce algebraicznej, powiem panu, że jak teraz nie widać u pana tego punktu, do któregoby ciążyło całe życie, tak i na przyszłość nie znajdziesz go pan nigdy.

Zdawało się Jerzemu, że te słowa hrabiego były wymówione z wyrachowanym podstępem. Miały one mimowoli zmusić go do jakiegoś wyznania, w któremby oczywiście wymienić potrzeba było Janinę. Ale szczęśliwy kochanek spostrzegł się zawczasu i z wielką dyplomacją ukrył tajemnicę swego serca wesołym, niby szczerym uśmiechem.

— Pan mnie wielce zasmucasz — odrzekł po chwili — odbierając mi na zawsze ów niezbędny punkt ciężkości, który przecież w astronomji pierwsze trzyma miejsce.

— To wcale nie przeszkadza panu być kometą, którym, jak mówią, do porządnego biegu jeszcze czegoś brakuje — odpowiedział hrabia z wesołym uśmiechem.

Jerzy zmarszczył brwi.

— Pańska obawa była słuszną, co do skutków wypowiedzenia tej prawdy — rzekł po chwili.

— Chciałem tylko powiedzieć, żeś pan poeta.

— Jakże pan pojmujesz poezję.

— Po swojemu. Będąc raz chłopcem jeszcze, na wyścigach konnych widziałem, jak niektórym dżokejom przywiązywano różne wagi. Pomyślałem sobie: Tych wszystkich ciągnie coś do ziemi, to są realiści, ludzie porządni; jak spadną, nie odlecą od ziemi. A ci, którzy żadnych wag nie mają i lada chwila przez łeb konia spadną, to są poeci.

— Prawda, że oryginalny obraz poezji — odparł Jerzy z szczerym uśmiechem.

— Ale przyznasz pan, że prosty i zrozumiały. Professor z Berlina inaczejby to powiedział, lecz czy wszyscy zrozumią?... Muszę jednak pana ostrzedz, że mój obraz tyczy się tylko poezji romantycznej, bo klasycy byli to ludzie po-

rządni, mieli jak każdy porządny dżokej swoje wagi. Oni widzieli jasno, czego im do poezji potrzeba było — trzynastu zgłosek i rymu na końcu. Przy tak małych potrzebach mieli dobry i zdrowy żołądek, wyglądali czerstwo i rumiano, podczas gdy dzisiejsza poezja każe mieć twarz bladą, cienkie nogi, a w dodatek suchoty.

Rzekłszy to, hrabia Leon roześmiał się szczerym, serdecznym śmiechem, w którym jednak zabrzmiał lekki dysonans ironji. Jerzy wpatrzył się z uwagą w jego zimną, spokojną twarz i rzekł:

— Szczególne dajesz pan definicje poezji, widać, żeś się pan nad nią zastanawiał.

— Nie, panie, zastanawiać się nie lubię. Nie lubię poetów z piórem w ręku. Ja szukałem poezji żywcem, szukałem po całym świecie, jeździłem po nią na ostatnie krańce świata.

— I nigdzie nie znalazłeś jej pan?

— Nigdzie. Dzisiaj szukam jej u pana.

Jerzy wypatrzył się znowu na swego gościa. Jego słowa widocznie zmierzały do czegoś, co bardzo blizko było tak świeżej tajemnicy jego serca. Nie rozumiałże on pod poezją miłości jego do Janiny? Nie chciałże mu przez to powiedzieć, że ta miłość jest bez celu?

— Pańskie życie — mówił dalej hrabia Leon — wnosząc z tego, cośmy wczoraj między sobą mówili, zdaje się być najkompletniejszym zbiorem poezji. Burza wypędza cię z domu rodzinnego, wychodzisz z pieśnią w duszy, kochasz... co? fantom, lud, dla niego stajesz się cyrulikiem... i cóż dalej?... poezja rozpłynęła się jak mgła.

Jerzy westchnął i zamyślił się. Hrabia Leon poruszył strunę zbyt dotkliwą.

— W życiu naszem przebywamy wiele złudzeń — rzekł po chwili Jerzy — ale zasługa nasza na tem zależy, że wytrwamy do końca.

— Ach, to mówmy o obowiązkach, ale nie o poezji! o dotrzymaniu danego słowa, etc. Według mnie, poezja i kobieta jedną chodzą drogą.

— Poezja i kobieta? — poderwał Jerzy, widząc, że gość jego coraz więcej do jakiegoś ukrytego celu dąży.

— Poezja i kobieta są to dwa główne tematy naszego życia. Każdy był kilka chwil w życiu poetą, każdy kochał. Oba te tematy nie są niczem innem, jak czemś niewyraźnem, nieokreślonem. Ta niewyraźność zarysów, która dozwala naszej wyobraźni śnić rzeczy najcudniejsze, wabi nas i zachwyca. Dopóki życia nie znamy, dopóki ono niewyraźnie z dala nam się przedstawia, póty jesteśmy poetami. Dopóki kobieta jest od nas oddalona barjerą towarzyską lub społeczną,

póty widzimy w niej bóstwo, wzdychamy do niej. Ale gdy się do niej zbliżymy, a ona zbyt szczerze nam się wyspowiada, nasza miłość, którąśmy chcieli wziąść za grób, ulata jak ten dymek z cygara. A trudnoż, aby każdy z nas miał ten rozum co Owid, który prosi swoją Korynnę, aby mu nigdy nic o sobie nie mówiła, gdy jego przy niej nie było!

— Ach, tak pan poniżasz kobietę! — zawołał Jerzy.

Hrabia Leon wstał z fotelu, a uśmiechając się jakby do własnych swoich myśli, przeszedł się kilka razy po pokoju. Uśmiech jego nie wyrażał żadnej boleści, jaką zazwyczaj czujemy przy lepszych wspomnieniach naszych; był to spokojny uśmiech męża, który ogląda się na te lata młodzieńcze, gdy igrał kolorowym balonem. Jerzy patrzył za nim z wyrazem nieufności.

Po chwili wrócił hrabia Leon znowu do swego fotelu, a usiadłszy wygodnie, z uśmiechem sybaryty rzekł do Jerzego:

— Mówisz pan, że ja kobietę poniżam. Bynajmniej, bom jej nigdy wysoko nie cenił.

— Przecież pan przyznasz, jak wysoko może się wznieść kobieta uczuciem.

— Do pewnego punktu, ale nad ten punkt nigdy. Gdybyś pan był bogaty, inaczej sądziłbyś o kobietach.

Jerzy westchnął. Smutna, zimna myśl przebiegła mu przez serce.

— Mógłbym panu nie jedno zdarzenie z mego życia opowiedzieć. Ale pomijam to wszystko, co mnie w Europie spotkało. Powiesz pan, że to zepsucie naszych dzisiejszych wyobrażeń i obyczajów. Opowiem panu przygodę z puszcz afrykańskich, gdzie kobieta, nieskalana żadną wykrzywioną cywilizacją, wychodzi z rąk natury.

Jerzy posunął krzesełko, a hrabia Leon zapaliwszy świeże cygaro, tak mówił:

— Brodząc przez kilka dni w piaskach afrykańskich, przyszliśmy przed wieczorem do pięknej, chłodnej oazy. Zastaliśmy tam karawanę Arabów. Był między nimi śliczny staruszek o siwych włosach, obok którego siedziała młoda, przecudnej urody Arabka. Nie mogłem od niej oczu oderwać. Zdawało się po tych pieszczotach, jakiemi starca obsypywała, że to była jego córka. Gdy mnie spostrzegła, utkwiła we mnie czarne swoje oczy, a gdym się do niej zbliżył i ją zapytał, czy poznaje we mnie jakiego znajomego, rzekła do mnie:

— Podobałeś mi się, bo jesteś jak ten, o którym zawsze marzę.

— O kimże marzysz? — zapytałem.

— O moim kochanku — odpowiedziała, nie spuszczając ze mnie ognistych swoich oczu.

Jerzy uśmiechnął się, słysząc hrabiego improwizującego jakąś powieść z tysiąca i jednej nocy.

— Nazajutrz ruszyliśmy dalej, a za mną czarne oczy Arabki. Gdziekolwiek spojrzałem, wszędzie były przedemną jak dwie nocne gwiazdy. Za kilka dni rzekłem do moich towarzyszów, że muszę nazad wrócić do oazy. Uśmiechnęli się, a jeden starszy Arab spojrzał na mnie i rzekł do drugiego: On zginie. W oazie koczowała jeszcze karawana. Arabka ujrzawszy mnie, rzuciła mi się na szyję i rzekła głosem pieściwym: «Wiedziałam że wrócisz, bo ja cię kocham.» Dwa dni zabawiliśmy w tej oazie. Były to dwie chwile szczęścia mego. Przy końcu drugiego dnia zbliżył się do mnie stary Arab i rzekł: «Ukradłeś mi serce mego dziecka, idź precz, niech ona i ja ciebie nie widzimy.» Ale córka rzuciła się na ziemię i przysięgła, że mnie nie opuści. Starzec zbladł i zachwiał się. Tymczasem gotowała się nasza karawana do podróży. Dżela uchwyciła się mego płaszcza i zalewając się łzami, szła przy mnie. «Zostań, wołał stary Arab, twój ojciec cię woła.» Dżela drżała cała, ale szła przy mnie dalej. «Chcesz mojej śmierci, córko wyrodna?» jęknął starzec, a szeroki nóż błysnął w promieniach zachodzącego słońca. Dżela zalała się łzami, kurczowo schwyciła mnie za rękę, a biedny starzec utopił tymczasem nóż w swoich piersiach. «Widzisz, jak ja cię kocham!» rzekła do mnie Dżela i padła zemdlona w moje objęcia.

— Spodziewałem się innego zwrotu — przerwał Jerzy z uśmiechem, który był oznaką, że improwizacji hrabiego słucha z grzeczności — spodziewałem się najmniej, że ten szeroki nóż przeznaczony był...

— Był to dzień świąteczny, a koran zabrania w dniu takim przelewać krew nieprzyjaciela — odparł hrabia, patrząc spokojnie na zegarek.

— Kilka dni, kilka tygodni minęło błyskawicą — mówił dalej hrabia Leon — a ja zamyślałem na serjo zapuścić brodę, wziąść biały burnus i zostać najwierniejszym Muzułmanem. Cywilizacja europejska nie dała mi żadnego szczęścia, mogłem się z nią rozstać bez bolu.

— Nie czułeś pan przywiązania do swego kraju? — poderwał szybko Jerzy.

— Ach, kraj jest to coś, jak idealna kochanka poety: można ją nosić z sobą po wszystkich krańcach świata.

— A przecież niektóre obowiązki...

— Urodziłem się na kresach. Dziad mój włożył na nas obowiązek bronienia ojczyzny od hajdamaków. Dzisiaj wraz z hajdamakami ustał nasz obowiązek. Na inne nie ma miejsca.

A widząc, że Jerzy jakimś morałem zamierza przerwać mu dalsze opowiadanie, mówił dalej:

— Kilka tygodni ubiegło błyskawicą, a jam był szczęśliwy. Gwiaździste niebo nocy zwrotnikowej było świadkiem mego szczęścia. Koczowaliśmy w pięknej oazie śród piasków gorących. Pewnego ranku przybyła do nas liczna karawana. Widziałem, że wszystkich oczy zwrócone były na moją Dżelę, która leżała na perskim kobiercu, oparłszy głowę o moje kolana. Byłem dumny jak król. Koło wieczora spostrzegłem jakiś ruch w obcej karawanie. Dwóch młodych Arabów zbliżyło się do nas. Trzymali w ręku krótkie, obnażone noże. «Czarodziejko, rzecze jeden do mojej Dżeli, oto dwaj pokochaliśmy twoje czarne, aksamitne oczy, twoje zęby jak perły białe, twoją smukłą kibić, jak kibić gazeli. Pozwolisz, że w dowód tego stoczymy tutaj walkę w twoich oczach, bo dwóch nas nie może żyć na świecie.

— Powieść pańska zaczyna być ciekawą — wtrącił Jerzy.

— Spojrzałem z obawą na moją Dżelę, ale ona tuląc się do mojej piersi, rzekła do mnie: «Pozwól im zmierzyć się z sobą. Jest to hołd oddany zwyczajem narodowym twojej Dżeli.» Obaj Arabowie rozpoczęli walkę, a za kilka minut leżał jeden trupem u nóg mojej czarodziejki. Dżela zawiesiła się na mojej szyi i rzekła: «Jestem godną twojej miłości.» Ale wnet z pomiędzy Arabów wystąpił drugi i z tąż samą przemową rozpoczął bój w hołd mojej kochanki. Szczególny ten hołd powtórzył się jeszcze kilka razy, a przed nami leżało już pięć trupów.

— Pięć trupów! — zawołał Jerzy.

— A każdy z nich starał się o względy mojej Dżeli i śmiercią dawał świadectwo swoich gorących uczuć. Dżela jednak pozostała stałą pierwszej swojej miłości. Za każdym krwawym hołdem tuliła się tem więcej do mnie, okazując mi swoją gorącą miłość.

— I jakiż jej koniec?

— Gdy piąty trup legł u jej nóg, zamyśliła się trochę, uścisnęła mnie już zimniej, a gdym po północy, po pięknym, roskosznym śnie oczy otworzył, ujrzałem ją siedzącą na kobiercu i zamyśloną. «Cóż ci to, Dżelo?» zapytałem z pieszczotą. «Myślę o tem, że ciebie opuszczę», odpowiedziała spokojnie. «Ty mnie opuścisz!» krzyknąłem z boleścią. «Porzucę cię, mój drogi, rzekła czarodziejka. Widzisz, pięć trupów leży tam pod palmami.» I cóż ztąd?» zapytałem. «Ztąd to, że jestem więcej wartą niżeli ciebie», odpowiedziała spokojnie córka natury. Pójdę do plemienia Ben Izmen, które ztąd niedaleko koczuje, a pewnie upodoba mnie sobie Emir, którego biały, złotem i srebrem wyszywany

burnus pewnie znany ci jest z opowiadań naszych.» Te były ostatnie słowa owej wypieszczonej córki natury, która porzuciła mnie dla Emira w białym, srebrem i złotem haftowanym burnusie. Otóż kobieta.... A teraz widzę, że pański służący niecierpliwie zagląda. Rozkaż mu pan bez ceregieli przynieść kawę z kożuszkiem, za którą już wzdychasz. Będzie ona zapewnie lepszą od mojej powieści, a może od tego wszystkiego, co ta powieść w sobie zawiera. Jesteśmy szczęśliwi, że przywiązujemy się do takich rzeczy, jak kawa z kożuszkiem, herbata z śmietanką, bifsztyk, lub cygaro amerykańskie.

— Więc pan nie wierzysz w stałe, szczere przywiązanie kobiety? — zapytał Jerzy, który dotąd nie mógł pojąć, do czego właściwie ta powieść dąży. — Czyż miałoby to być napomnienie, a może podstęp jaki? myślał sobie w duchu.

— Czuję zapach kawy — odparł hrabia Leon, śmiejąc się szczerze i serdecznie — a nie chcę panu psuć apetytu, gdybym powiedział, że nie wierzę. Wierzę w interes.

— Ach, toś pan nieszczęśliwy!

— Nie poeta!

— Mógłbym panu zaraz kilka przykładów przytoczyć.

— Na przykład.

— Najbliższy. Pani majorowa.

— Pani majorowa? — powtórzył hrabia Leon, strzepując cygaro.

— Piękna, młoda dziewica. Wychowana przez starego Dębicza, który w jej młodziuchne serce zaszczepił miłość do cnoty, do kraju i nauczył ją kochać tych, którzy się dla jakiej wyższej myśli poświęcali. Przychodzi stary żołnierz, o siwych włosach, a styranych siłach — dziadek wskazuje na niego i wylicza młodej wnuczce jego zasługi, a posłuszna wnuczka oddaje temu weteranowi w nagrodę za poczciwe życie rękę swoją i serce: kocha go dotąd z prawdziwem poświęceniem.

Oczy hrabiego zaiskrzyły się przelotnie, a dziwny uśmiech przebiegł po jego zimnej, spokojnej twarzy. Wstał szybko z krzesła, a kładąc poufnie rękę na ramieniu Jerzego, rzekł żartobliwie:

— Już widzę w drugim pokoju kawę na stole i śmietankę z kożuszkiem. Nie wątpię, że będzie smaczna, choć jej nigdy nie pijam. A co do pani majorowej, to muszę panu jeszcze przed kawą powiedzieć, że gdybym chciał być niedyskretnym, mógłbym panu za kilka tygodni okazać mały, słodki liścik, w którym by zapewnie więcej było sentymentów, niżeli ortografji i gramatyki!...

Zamiast wszelkiej odpowiedzi, zerwał się Jerzy z krzesła i pobiegł do zachwalonej kawy z kożuszkiem. Ale na żaden

sposób nie mógł w niej dopić się smaku. Zamiast kożuszka pływał po kawie hrabia Leon, potrząsając dziesięcioma głowami Kabylów i pękiem bryloków z samych serc kobiecych... Pływał po wierzchu, chodził po dnie szklanki, drapał się po ścianach, słowem, stał mu wszędzie przed oczyma. A tymczasem rzeczywisty hrabia chodził odmierzonym krokiem po pokoju, motając sobie coś na wąsy z największą swobodą. Tylko przychodząc na próg drugiego pokoju, zdawało się Jerzemu, że patrząc na niego, uśmiecha się sarkastycznie, jak ów mniemany nieprzyjaciel Wojny. I pomyślał sobie: Ten śmiały, przedsiębiorczy człowiek staje mi widocznie w drodze. Trudna będzie z nim walka.

Mimo tej dla niego tak smutnej myśli, wyszedł z odwagą do pierwszego pokoju i tak śmiało mniemanemu przeciwnikowi w oczy zajrzał, że się ten aż zdumiał, przypisując tak wielki skutek kawie narkotycznej. Jerzy tymczasem wyjrzał oknem, szukając na ulicy zamówionych koni. Mimo wszelkiej jego odwagi, jaką był wyniósł z drugiego pokoju, markotno mu jednak było w obec człowieka, który coś strasznie à la Mazarin zaczął się uśmiechać. Pocieszał się, że za chwilę z nim się rozstanie.

I właśnie nadeszła ta błoga chwila. Turkot powozu rozległ się po bruku ulicy. Jerzy wyjrzał z rozjaśnionem obliczem przez okno i już gotował się do przeproszenia hrabiego, że w pilnym interesie odjechać musi, gdy nagle przed oknem ukazały się dwa najpiękniejsze konie z stajni zamkowej, a na koźle pysznego fajetonu, obok galonowanego stangreta, siedział zgarbiony, stary Soroka i z dziwnym wyrazem wpatrywał się w okna Jerzego.

— Jeźli się nie mylę — ozwał się Jerzy z wyrazem zadziwienia na twarzy — to pański służący.

— Aha! — odrzekł hrabia Leon, rzuciwszy okiem na ulicę — otóż zapomniałem panu powiedzieć, z czem właściwie przyszedłem. Chciałem panu zaproponować, abyś był moim towarzyszem podróży.

— Ja właśnie wybieram się w pilnym interesie do miasta....

— To samo miejsce jest celem mojej podróży, a jeźli interes pana jest pilny, to lepiej wyjdziesz na mojem towarzystwie, gdyż nie lubię jechać powoli.

Jerzy nie miał na to gotowej odpowiedzi. Nie umiał sobie wytłumaczyć tego szczególnego zachowania się hrabiego i począł obawiać się go na serjo.

Widząc gospodarza nieco w kłopocie, rzekł hrabia Leon z wyrazem spokoju i obojętności na twarzy:

— Zapewnie znany jest panu dom negocjanta Warnera?

— Warnera? — powtórzył Jerzy, a mniemana odwaga jego opuściła go do szczętu.

— Mam kilka weksli na ten dom — odpowiedział hrabia Leon, zarzucając szkocki szal na ramię.

Jerzy przyszedł do siebie. Podejrzenia jego poczęły upadać. Mimo to nie mógł się pozbyć pewnej obawy, jaką czuł przed tym człowiekiem, a nie miał dosyć siły, aby się od niego oderwać. Kilka słów konwencjonalnej grzeczności i podziękowania nie uwolniło go bynajmniej od tego zagadkowego demona, który z każdą chwilą zdawał się brać górę nad nieszczęśliwym marzycielem.

Rad nie rad musiał przystać na propozycję hrabiego, począł jednak w głowie układać plany, jakiemi drogami oddali się w mieście od swego towarzysza, aby w zupełnej tajemnicy wykonać zlecenie panny Janiny.

W tej chwili odkrząknął ktoś silnie za drzwiami. W progu ukazała się mała, czarna fajeczka, a za nią uśmiechająca się twarz poczciwego majora.

— A! pan major! — krzyknął uradowany Jerzy, widząc w przybyłym swego sprzymierzeńca.

Ujrzawszy hrabiego Leona, zmięszał się trochę poczciwy weteran i dosyć niezgrabnie ukrył jakieś opieczętowane pismo za szerokie kresy białego kapelusza.

Po wzajemnem przywitaniu, rzekł major, ukrywając starannie pismo za kapeluszem:

— Mając rano interesik do miasta, wstąpiłem do pana, aby mu najprzód dzień dobry powiedzieć, a potem po wczorajszem zebraniu zapytać coś de politicis. Pan hrabia zapewne wiele nowości przywiózł ze sobą.

— Polityka według mnie — odparł hrabia — jest to najniewdzięczniejsza zabawka. Przy końcu gry okazuje się, żeśmy nic a nic nie wiedzieli!

— A przecież z dzisiejszych słów ministra angielskiego można wnosić na blizką jakąś zmianę...

— To są frazesy, panie majorze, i nic więcej.

— Pan, jak widzę, masz dziwną missję odbierania wszelkich złudzeń — wtrącił Jerzy, zbliżając się do swego sprzymierzeńca.

— Ach, złudzenia! złudzenia są naszą chorobą narodową — odparł krótko hrabia Leon.

— Zdaje mi się, że dzisiejszy stosunek Francji z Hiszpanią nie jest bynajmniej złudzeniem, z którego można sobie wróżyć korzystną zmianę... — wtrącił nieśmiało major.

— To pewnie mówi jakaś gazeta w interesie akcjonarjuszów przedsiębiorstwa, którego akcje dostała od niego al pari — odparł hrabia Leon.

— Czy i tu interes? — zapytał z uśmiechem Jerzy.

— Jeżeli kto zechce się przekonać o wartości gazet politycznych — mówił dalej hrabia Leon — niech tylko weźmie jeden z ubiegłych roczników do ręki i naraz go przeczyta. Z ostatnią kartką przyjdzie do przekonania, że wszystko to, co przeczytał, było nieprawdą, przypuszczeniem, czczem gadulstwem, niedorzecznością, wyjąwszy drobne anegdotki i ogisy uroczystości dworskich, które urządzają się dla oka publiki.

Poczciwy major zamilkł, patrząc ukradkiem na pismo pod kapeluszem. Stary, napoleoński żołnierz, przyzwyczajony był do tego, że w obec dzisiejszego położenia często mu milczeć przyszło. Jego poczciwe serce nie mogło sobie odmówić owych niewinnych złudzeń, które od dawna stały się potrzebą jego życia. A może miały przytem inny jeszcze grunt. Ludzie przygnieceni niepowodzeniem, którym urywa się w ręku wszystko, za cokolwiek chwycą, ratując się, radzi wierzą w najśmielsze przypuszczenia, zarzucając w nie ostatnią swoją kotwicę.

Idąc w pomoc swemu sprzymierzeńcowi, rzekł Jerzy:

— Złudzenia podobne i wyczekiwania z dnia na dzień jakich zmian pożądanych, mają wprawdzie szkodliwą swoją stronę. Znamionują one ludzi słabych i bezczynnych, którzy od bożego zmiłowania wszystkiego wyglądają. Przy tem dolce far niente tracą powoli grunt, na którym stoją, zaniedbują swoich obowiązków, a gdy przez to upadają, narzekają na złe czasy i fatalność nieubłaganą. Ale z drugiej strony wyzuć się z wszelkiego uczucia... zakreślić w koło siebie małe kółko, dokąd sięgają promienie wypływającego z nas egoizmu...

Hrabia Leon przerwał głośnym śmiechem mówiącemu, a podając majorowi rękę, rzekł szczerze i otwarcie:

— W panu Jerzym widzę talent kaznodziejski i wszechnicę niemiecką. Poddaję się na łaskę lub niełaskę. Za przyjazdem moim będę się starał zasłużyć sobie na łaskę u pana majora, chociaż teraz w niełasce odjeżdżam. Przywiozę z sobą wszystkie dzienniki niemieckie i będziemy politykować.

Major był jeszcze pod dziwnie smutnem wrażeniem, jakie na niego wywarła obrona Jerzego. To «dolce far niente» dotknęło go w jakąś utajoną ranę, chociaż w całej okolicy uchodził za najpracowitszego gospodarza. Wesoła przemowa hrabiego nie mogła go rozweselić. Szczerze jednak i serdecznie uścisnął podaną rękę i wynurzył swą radość, jaką mieć będą Czarnowody z odwiedzin hrabiego Leona.

Jerzy przypatrywał się temu uściskowi z wyrazem cierpkiej ironji.

Podczas gdy hrabia Leon szkockim szalem szyję sobie okręcał, dla ochronienia się od wilgotnej mgły porannej, przystąpił major do Jerzego, a wziąwszy go za rękę, zaprowadził do okna.

— Prosiłbym łaski pana — rzekł nieśmiałym i wzruszonym głosem, wyjmując z pod kapelusza opieczętowany pakiecik.

Jerzy rzucił okiem na pakiet i przeczytał napis: «Do kassy wdów.» Był to instytut, w którym dawniej zaciągała pożyczka szlachta wielkopolska.

— Ten pakiecik zechcesz pan oddać Warnerowi — mówił dalej major, a na twarz jego wystąpił rumieniec.

— «Do kassy wdów» — przeczytał Jerzy.

— Nie jest to mój dług — pochwycił prędko major — to coś z dawniejszych czasów — dodał nieśmiało, spuściwszy oczy w ziemię.

Jerzy schował szybko pakiet, aby przerwać majorowi dalsze tłumaczenie się, a zbliżywszy się do biórka, wyjął futeralik z pistoletami, który przed hrabią starał się ukryć.

Ale szczególny ten człowiek musiał spostrzedz zamiary Jerzego, bo zwróciwszy się nagle do niego, wziął mu z rąk futeralik, a oglądnąwszy pistolety, rzekł z największą obojętnością:

— Nie obciążaj pan tem niezgrabnem żelaziwem fajetona. Mam z sobą dwie pary angielskich pistoletów, które panu każdego razu ofiaruję, jeźli tego potrzeba będzie.

Jerzy nie mógł już sobie wytłumaczyć tego dziwnego człowieka, który w oka mgnieniu za pasma wszystkich jego myśli zdawał się chwytać. Mimo wszelkiej obawy, jaką miał przed nim, nie miał siły oprzeć się temu niewidzialnemu arkanowi, który wraz z kółkami dymu na jego szyję był zarzucił.

Z dziwnem przeczuciem, lecz oraz z rezygnacją największego nieszczęścia, jakieby spotkać go mogło, wsiadł do fajetonu jak w błędną łódkę, którą fale morza gdzieś unoszą!

Major smutny i zamyślony, szedł ulicą podzamczą, trzymając machinalnie w ustach fajeczkę, która mu dawno już była zagasła.

---

Jeszcze turkot fajetonu, uwożącego obu naszych bohaterów do pogranicznej niemieckiej prowincji, rozlegał się między staremi domami ulicy podzamczej, gdy stary Mietlica z koszem w ręku wyszedł zadyszany z pobocznej ulicy i ocierając pot z czoła, rzekł do siebie:

— Tam do kata! Żebym był o kilka minut wcześniej przyszedł, to bym go jeszcze był zastał! O! widziałem go dobrze z daleka. Siedział na koźle i uśmiechał się. Pewnie by mnie co powiedział o sobie i o swoim panu. A byłoby co słuchać, mój Boże! Cały świat zjechali, mówi pan major. A pani majorowa aż drży z ciekawości, gdy o nim kto mówi. Tam do kata! Kilka minut wcześniej, a daję gardło, że pojutrze byłby już na folwarku i gwarzyłoby się...!

Tak mówił do siebie stary wachmistrz, wracając nazad drogą, którą przyszedł. Na ulicy powoli otwierały się sklepy, tu i owdzie wychyliła się z okna głowa, obserwująca dzisiejszą pogodę, a stary ekonom uważał pilnie, czy na tej głowie nie było białej szlafmycy. W takim razie uchylał czapki, mówiąc: «pochwalony», i tak jakoś szczęśliwie mu się powodziło, że zawsze trafił na swego i na katolika.

Wreszcie przeszedł koło sklepu z złotą wystawą. Kupiec stał właśnie we drzwiach, w okrągłej, aksamitnej czapeczce, uśmiechał się do niego i gładził ręką po tłustym brzuchu. Ekonom przeszedł koło niego, nie uchyliwszy czapki. A uczynił to z afektu dla swego przyjaciela, który tego człowieka znieść nie mógł.

Naprzeciwko stał mały domek zegarmistrza. Smutno jakoś wyglądał, a nawet zdawało się, że czuwająca nad drzwiami Opatrzność boska zmrożyła tą razą wielką swoją źrenicę. Zapukał do drzwi — nikt się nie ozwał. Przyłożył do szpary usta i zawołał! Grzanku! — ale Grzanka nic nie odpowiedział. Tylko stuk zegarów dochodził do jego ucha, między któremi wyraźnie słyszał burmistrza i Paliwodę.

Nie mogąc się nikogo dowołać, obszedł dom na około i tylną furtką wlazł ostrożnie do sieni. W komorze na pół ciemnej między trzaskami siedział Grzanka i strugał jakąś żabkę.

— To wy, miłościwy Panje — zawołał z radością Kaszub — ja bo myślał, że znowu ten człowiek, o którym tak nie dobrze mówił pan Wojna.

Ekonom postawił na ziemi koszyk z wiktuałami, które był dla Grzanki przyniósł, a oglądnąwszy się po komorze, zapytał:

— Albo on tutaj był? I czegóż chciał?

Grzanka odłożył na bok swoje narzędzia, a wziąwszy Mietlicę za rękę, wyprowadził go do sieni z wielką ostrożnością. Tu ukazał mu we drzwiach mały otwór, przez który można było widzieć na ulicę, i opowiedział mu w krótkości, jakim sposobem ten otwór powstał. Mówił mu, że przyszedłszy do tego domu, myślał ciągle o tym złym sąsiedzie, przed którym ostrzegał go zegarmistrz. Pół dnia siedział cicho i nawet ani zakaszlał, aby nikt go nie usłyszał. Ale potem

pomyślał, że djabeł dla tego straszny, że nikt go nie widzi, i zaczął przemyśliwać, jakimby sposobem mógł widzieć tego złego sąsiada. Zresztą i nudziło się mu trochę i tak częścią z ciekawości, częścią z nudoty wydłubał tę dziurkę. Ale otóż nowa przybyła pokusa. Sąsiad wprawdzie wyglądał na jakiegoś złego człowieka, a nawet tak samo uśmiechał się i po brzuchu gładził, jak to Wojna mówił, ale w sklepie jego było tyle ładnych rzeczy, że oczu od nich oderwać nie mógł. Był tam Fryc stary w trójgraniastym kapeluszu, był jakiś opasły Niemiec, który zawsze język wystawiał, gdy go kto ruszył; było kilku huzarów z trupiemi głowami na kołpakach, chociaż ich do nogi wycięto w wojnie napoleońskiej. Widział tam także ptaki, barany, woły i krowy!...

— Otóż pomyślałem sobie — mówił dalej Grzanka — wyjdę na miasto tylną furtką, kupię klocek drzewa, a przypatrzywszy się w sklepie tym ładnym rzeczom, będę próbował, może i ja takie zrobię.

— Tam do kata — mruknął ekonom, który zaczynał już wierzyć w przeczucie swego przyjaciela — tam do kata, nie trzeba było wychodzić.

— Miłościwy panje, bieda nie chodzi po lasach, ale po ludziach. Otóż wyszedłem, kupiłem klocek drzewa, a wracając, długo przypatrywałem się Frycowi i huzarom. Na szczęście nawet nie było kupca, a ja myślałem, że wszystko dobrze pójdzie.

— A tymczasem niedowiarek był ukryty.

— Już tego nie wiem. Ale zaledwie do domu przyszedłem i klocek rozłupać chciałem, w tem słyszę, że ktoś puka do drzwi. Wyjrzałem ostrożnie tą dziurką i obaczyłem, że kilku panów stało przed drzwiami. Nie ozwałem się, choć oni kilka razy zapukali. Z tego, co mówili, poznałem, że między nimi był burmistrz, a przy nim stał ten kupiec. Strach mnie wziął, lecz się nie ozwałem słowem.

— Tam do kata! — zawołał ekonom i potargał wąsa.

— Oni tymczasem obeszli dom do koła, popukali po ścianach, pozaglądali do okien i słyszałem jak burmistrz mówił, że ten dom trzeba rozwalić.

— Rozwalić! — krzyknął Mietlica i ugryzł kawałek wąsa.

— Tak, miłościwy panje, rozwalić. Powiedział burmistrz, że ta stara klatka tylko szpeci ulicę. A kupiec na to, że Wojna nie ma pieniędzy, aby nowy wymurował, tylko ma długi. Więc niech burmistrz każe to pruchno oszacować, a on zakupi ten plac i wystawi kamienicę.

Ekonom postawił wąsy do góry jak odyniec kły swoje do napastnika i zawołał:

— Ho, ho, mospanie! już to domu nikomu wziąść nie mogą, choćby był najbiedniejszy! Do kata!...

Grzanka przypisał sobie całe to nieszczęście i zasmucił się jeszcze bardziej, gdy Mietlica nie pożegnawszy się z nim, jak to zawsze zwykł czynić, wziął próżny kosz i mocno zamyślony wyszedł przez furtkę. Będąc na ulicy, spojrzał raz jeszcze na ów dobrze mu znajomy ganek, na którym nie jeden wieczór w dniu świątecznym przegawędził z swoim przyjacielem, spojrzał na wiszącą u góry Opatrzność boską i zdawało mu się, że to opiekuńcze oko zalało się dzisiaj łzami nad losem biednego zegarmistrza. A to tylko z jego oczu wypłynęły dwie łzy i zawisły na siwych wąsach. Widu zawył przeraźliwie, a stary ekonom obrócił się i przyspieszył kroku.

— Na końcu ulicy, przy małym wózku, czekał już na niego major.

— Proszę pana majora — rzekł Mietlica z należytą subordynacją — czy mogą komu wziąść jego majątek?

— Jeźli jest jego własny, to nie mogą — odpowiedział major, patrząc dziwnie na ekonoma.

— Nawet choćby miał długi? — dodał Mietlica nieco ciszej.

— Wtedy mogą — rzekł major, a na poczciwą twarz jego wystąpił rumieniec.

Z jakiemś dziwnem uczuciem wypatrzył się na ekonoma. W oczach jego malowała się trwoga i przerażenie, ale Mietlica już nic nie widział. Odkąsiwszy kawałek wąsa, potrącił babę, która na targ spieszyła, i wskoczył na kozioł z takim zamachem, że omal go nie przesadził.

Smutno potoczył się wózek drogą do Czarnowód.

---

## II.

Podczas gdy mniemany mieszczanina nieprzyjaciel opukiwał dom jego, jak spruchniałą trumnę nieboszczyka i w duchu układał koszta nowej, murowanej kamienicy, szedł tenże prostą drogą do miasta pogranicznej, niemieckiej prowincji, nie myśląc wcale o tem, że tam ktoś na jego ubogi domek nastaje, poruczony opiece Kaszuba i jedynej biednych orędowniczce: Opatrzności boskiej. Własne jego

mienie nie obchodziło go wiele w tej chwili. Biedny zegarmistrz może po raz pierwszy w życiu oderwał się od towarzystwa starych swoich zegarów, oderwał się od arcydzieła swego praojca, nad które nie było mu nic milszego na świecie.

Utrata powierzonej mu szkatułki, o której treści najrozmaitsze powziął wyobrażenia, i święty obowiązek wydarcia jej z rąk cudzych, zmusiła go do tego ważnego kroku. Bez tego wydarzenia nie ruszyłby się po za kopce Dąbczyna, gdzie już dla niego zaczynała się obczyzna.

Z razu postanowił sobie przejść przez tę przestrzeń, która go od miasta prowincji niemieckiej oddzielała, z zamkniętemi oczyma, aby się nie nabawić jakiego grzechu. Ale jakoś nie powiodło mu się to postanowienie. Wyszedłby bowiem po za kopce Dąbczyna, zdawało się zegarmistrzowi, że nagle horyzont jego myśli wraz z horyzontem ziemi zaczął się rozszerzać. Przed nim było jakoś dalej i szerzej, a pod trójgraniastą czapką poczęły się dziwne wylęgać myśli. Mieszczanin poczuł się turystą, który podróżując, wszystko obaczyć musi i o wszystkiem potem opowiedzieć staremu ekonomowi.

Otóż idąc bitym gościńcem, patrzał przed siebie i w koło siebie, robiąc sobie w duchu różne uwagi. Zaraz za Dąbczynem miał dziwne zdarzenie. Wstąpiwszy do karczmy, zastał tam chłopów z różnych stron, którzy gdzieś z targu powracali. Siadł w kącie i począł się przysłuchiwać ich rozmowom. Jedni mówili po polsku, drudzy po niemiecku, a byli znowu i tacy, co te dwa języki jak najdziwaczniej mięszali.

Wybrawszy sobie staruszka, którego twarz najlepiej do smaku mu przypadła, zbliżył się do niego, a częstując go swoją szklanką, rzekł z ciekawością turysty:

— Proszę was, co to są za ludzie?

Staruszek obejrzał mieszczanina od stóp do głowy, przeszedł z uwagą wszystkie pętlice na jego granatowej czarmarce i coś z nieufnością zatrzymał się na czapce trójgraniastej. Ale w siwych oczach Wojny było tyle poczciwości, że nadpiwszy jego szklankę, odpowiedział:

— To ludzie z moich stron, z nad Noteci.

— Czemuż jedni mówią tak, a inni owak?

— To wszyscy Polacy.

— Polacy! — zawołał z zadziwieniem Wojna.

— Ot tamci, co siedzą przy samym szynkwasie i mówią po niemiecku, to są z Wojciechowa. Dawny ich dziedzic sprzedał wieś fabrykantowi z Szlązka, a odtąd nazywa się ta wieś «Witzehof», a ludzie przeszli na niemieckie.

Mieszczanin posunął czapkę na głowie i zanotował sobie w duszy: Gdybym miał wieś, nigdybym jej nie sprzedał obcemu.

— A ci, co tak mięszają różne języki? — zapytał znowu staruszka.

— Ci są z Brodny — odpowiedział stary — którą trzyma w posesji już dziesięć lat jakiś handlarz z brandeburskiego. Dziedzic tej wsi mieszka gdzieś za granicą.

— Jak się to stało, że oni tak mówią?

— Musicie wiedzieć, że u nas każdy obcy posesor przyprowadza z sobą swoich parobków, nadzorców, pisarzy i swoje dziewki do roboty. Otóż chłopi słyszą ich zawsze szwargocących innym językiem, a że często tamci nas dobrze nie rozumieją, więc tem sobie pomagają, że jedno słowo tak, a drugie owak powiedzą. I ztąd to przyzwyczajają się nasi do tej mięszaniny, że ich potem poczciwy katolik i zrozumieć nie może. A gdy długo taka posesja potrwa, to zupełnie swego zapomną.

Zegarmistrz posunął się na stołku, rozlał piwo, a mażąc palcem po stole, myślał sobie pod czapką trójgraniastą: Gdybym miał wieś, nigdybym jej nie wypuszczał obcemu w posesję, bo to jest herezja i obraza boska.

Pożegnawszy staruszka, wybiegł z karczmy, bo mu tam jakoś było markotno. Przed karczmą stał wóz chłopski, który jakkolwiek był pomalowany na niebiesko, a nawet okucie na sztelwadze miał karbowane w różne zygzaki, jednak coś strasznie pachnął polskim chłopem, bo na kołach miał błoto z przeszłej wielkanocy. Na wozie siedziała blada kobieta, a chociaż była ubrana w cyc i perkal, wprawne jednak oko mieszczanina odkryło w niej po jej dużych koralach na szyi i włosach nieco rozmierzwionych, że to jakaś polska kobieta. Tylko mąż jej był już kompletnym Niemcem z Pomorza, w siwym spencerku i okrągłym, cylindrowym kapeluszu.

Długo patrzył zegarmistrz na tę zagadkową parę małżeńską, ale nie miał jakoś odwagi zaczepić. Obszedł wóz kilka razy, przemówił coś do dereszowatej kobyły, którą głową wstrzęsła, że go nie rozumie. Ale chłop pomorzański zrozumiał go doskonale, przystąpił do niego, a pozdrowiwszy katolickim obyczajem Pana Boga, rzekł do niego.

— Czy wy z Polski?

— Z Polski, a wy? — zapytał ucieszony turysta.

— Ja z Prus — odpowiedział chłop.

— Z Prus — powtórzył smutno mieszczanin.

— A czy wy katolik? — zapytał po chwili.

— Nie, ewangielik — odpowiedział Pomorzanin.

— Lut.... ewangielik — powtórzył Wojna w samo ucho dereszowatej kobyły.

— A jest tam ksiądz proboszcz w Dąbczynie? — pytał znowu chłop.

— A na co wam księdza proboszcza? — odburknął Wojna, żałując w duchu, że się dał z niedowiarkiem w rozmowę.

— Moja żona od kilku lat chora, to chciałbym nająć kilka mszy świętych na jej intencję!

— Mszy świętych! — krzyknął Wojna, aż się kobyła przestraszyła — wszak wam nie trzeba kościoła, macie bethaus i pastora!

— Pastor u nas nie ma takiej władzy jak ksiądz.

— A co wam do księdza! wszak wy ewangielik.

— Ja ewangielik-katolik — odpowiedział spokojnie chłop pruski.

— Ewangielik-katolik! — krzyknął zegarmistrz.

— Tak, bo myśmy wszyscy byli pierwej katolikami, a teraz jesteśmy jeszcze do tego ewangielikami. Tak nam to dawniej wytłumaczył burmistrz z Westfelde.

Mieszczanin przeżegnał się krzyżem świętym od takiego dziwoląga, który jest ewangielikiem-katolikiem, i drapnął dalej krokiem przyspieszonym. Uszedłszy jednak jakie dwoje staj pola, poczuł z niemałem zadziwieniem, że pod czapką trójgraniastą rodzi mu się jakaś myśl szczególna. Nie była ona wcale tak strasznie mądra, jak Minerwa Jowisza, ale była prosta i prawdziwa. I zanotował ją sobie dobrze mieszczański turysta w ten sposób: Wiara wiernego katolika jest to jak marmur: można ją różnie zamalować, ale tylko draśnij, a obaczysz, że pod spodem kamień, gdyby nawet stu burmistrzów temu przeczyło. Chłop z Prus wschodnich jest katolik mimo bethausu, pastora i burmistrza, za co niech będzie Imię boskie błogosławione na wieki wieków amen.

Zrodziwszy tę myśl pocieszającą, zachwycił się samym sobą biedny mieszczanin, wyrósł na kilka cali w górę i z taką dumą stąpał po bitym, pruskim gościńcu, jakby zwycięzcą wchodził w bramy nieprzyjaciela. Kilka podróżnych śmiało potrącił, furmanowi nie ustąpił się z drogi mimo olbrzymiego dzwonka, który nieustannie przy dyszlu dzwonił, i pragnął z całego serca zdybać się z tą piekielną maszyną, która bezbożnych ludzi piorunem na różne strony świata rozwozi.

Tymczasem nadeszła pora obiadu i wypoczynku. Mieszczanin usiadł pod drzewem, wyjął z torby chleba i spory kawał szynki, który mu ekonom na drogę do kieszeni wtrą-

cił, a przeżegnawszy te dary boże, spożywał je z takim apetytem, z jakim niegdyś rycerz krzyżacki odbywał ucztę na ziemi nieprzyjacielskiej.

Posiliwszy tym sposobem ciało i ducha, po krótkim odpoczynku wstał zegarmistrz, a poczuwszy się zdolnym do wyrobienia jakiejś myśli niepospolitej, zaczął się znowu w koło siebie oglądać. Był to już kraj wcale inny. Białe, schludne domki bielały się na zielonym kobiercu, jak grudki rozsypanego sera. Ziemia dobrze uprawna wyglądała jak ogród, owocowe drzewa ocieniały każdą zagrodę. I wspomniał sobie na biedne chatki polskiego ludu, na stare, na pół rozwalone dwory szlachty i nędzne budynki gospodarskie, i rzekł w duchu do siebie: «Ten lud pracowity i zamożny. Gdyby tylko mówił po polsku i był katolickim, wcaleby nie źle wyglądał.» I tak idąc przez taką wioskę, wstąpił do jednego białego domku i prosił o wodę. Pyzata gospodyni z tłustemi, czerwonemi rękami wykrzywiła do niego twarz bez zębów i groźnym gestem wskazała na karczmę. Mieszczanin wyszedł za bramę, otrzepał proch z butów i zanotowaną w pamięci sentencję odmienił w ten sposób: Ten lud pracowity i zamożny, ale nie mówi po polsku i nie jest katolickim. Nie ma serca i nie zna, co to gościnność. Nie dziw, że ma białe domy. Żyje tylko dla brzucha i grosza. Kobiety są brzydkie i bez zębów.

Dalej na lewo widział ładne folwarki. To «hubiarze», mający zazwyczaj podwójny grunt chłopski. Jest tam porządek i dobre gospodarstwo. Pracują wszyscy, żona i dzieci, nie tak jak u szlachty polskiej, gdzie pani musi mieć zaraz ekwipaż i fraucymer. Tak i tym podobnie myślał zrazu zegarmistrz dąbczyński; ale gdy bliżej w te «huby» zajrzał, zanotował sobie pod czapką trójgraniastą następującą sentencję: «Hubiarz» jest wprawdzie stworzony na podobieństwo boskie. Ma nos i dwoje oczu, parę nóg i dziesięć palców. Ale «hubiarz» ma kurzą ślepotę jak każdy kolonista: po za kopce swojej «huby» dalej światu nie widzi. Nic go tam nie obchodzi, a gdy się go zapytasz, czy pójdzie na wojnę, aby kraj bronić, to ci odpowie, że płaci regularnie podatek. Wątpię nawet, aby miał duszę, chociaż i tak, gdyby ją miał, byłaby skazaną do piekła, jak dusza każdego niedowiarka.

Takie i tym podobne notatki układał sobie mieszczanin pod czapką trójgraniastą, aby mieć je gotowe, gdy się zejdzie z starym ekonomem. Nie przeczuwał biedny, że właśnie w tej chwili mniemany jego nieprzyjaciel pukał do starych ścian jego domku, namawiając burmistrza, aby je rozwalić kazał. Takie to dziwne figle nieraz los nam płata.

Obaczywszy wcześnie przed sobą miasto niemieckie, przeżegnał się polski mieszczanin na intencję rychłego wyszukania Linka i odebrania z rąk jego ukradzionej szkatułki. I śmiało i z odwagą wszedł w mury miasta jak człowiek mający czyste sumienie i Boga w sercu, a patrząc po wysokich oknach kamienic, nie zważał wcale, że właśnie koło niego przejechał fajeton z Dąbczyna, a tam z pobocznej ulicy wyszedł człowiek o rudych bakenbardach, niosąc pod pachą jakiś starannie owinięty pakiet.

---

Już to odwieczna jest prawda, że to czego w oddali szukamy, najczęściej tak blizko nas leży, żebyśmy je ręką uchwycić mogli. Ale temu sprzeciwia się znowu odwieczne prawo, które chce, aby ludzie jak najdalszą drogą szli do celów swoich, bo inaczej znudziłoby ich długie życie. Zegarmistrz potrzebował tylko mocno gwizdnąć i rękę wystawić, a niezawodnie chwyciłby Linka, lub za szkatułkę, jeżeliby mu na niej więcej, niżeli na Linku zależało. Ale snać przeznaczenie było takie, które go dalszą drogą miało zaprowadzić do domu ajenta, a jeszcze dalszą do upragnionej szkatułki.

Tymczasem ów człowiek o rudych bakenbardach, w białym, połamanym kapeluszu, trzymając w ustach rozmokłe cygaro, przeszedł przez sam środek głównej ulicy, prawie po pod sam nos zegarmistrza, i poszedł dalej wązką, boczną uliczką. Obaj nie spostrzegli siebie wzajem, chociaż drogi ich żywota tak się już z sobą poplątały, że jedna drugą przeciąć zagrażała.

Ajent miał przed sobą jeszcze spory kawał do swego mieszkania, ale na twarzy jego, czerwieńszej jak zwykle, nie było wcale widać ani znużenia, ani tęsknoty do rodzinnego ogniska. On zdawał się dzisiaj nieść w sobie albo z sobą całe szczęście swoje. Twarz jego uśmiechała się nieustannie, oczy mrużyły się w jakiejś nieodgadnionej ekstazie, i tak z całego świata, co go otaczał, niczego dzisiaj nie pragnął, że patrząc w słup przed siebie, na nic nie zważał, na nic się nie popatrzył. Tylko coraz mocniej gniótł pod pachą szkatułkę, jak rękę dozgonnego przyjaciela, który go uszczęśliwia na całe życie.

Tak szedł szczęśliwy ajent krokiem nieco chwiejnym przeszło godzinę, aż wreszcie wlazł w wązką i brudną uliczkę, w której już dalej ani kroku zrobić nie można było. To go wyrwało z jego marzeń szczęśliwych; zadarł do góry głowę,

przeglądnął szereg wysokich kamienic i dziwił się nie mało, jakim sposobem stanął u celu swojej podróży.

Wszedł do ciemnej, wilgotnej sieni i począł się drapać po schodach. Długo trwała ta nowa podróż jego w wyższe sfery ubóstwa i nędzy, aż wreszcie rozwidniło się przed jego oczyma, gdy stanął na czwartym piętrze, tuż pod samym dachem. Na tem piętrze były tylko jedne drzwi stare, spróchniałe. Przez liczne szpary biło światło z wewnątrz na kurytarz. Wszędzie było głucho i cicho. Ajent roztworzył drzwi z trzaskiem, aż się próchno posypało i z dobrą fantazją wszedł do izdebki.

W izdebce było największe ubóstwo. Czarny stolik stał pod oknami, zarzucony jakiemiś papierami; kilka połamanych stołków, dwa łóżka i stary, papierowy parawan, były to prawie wszystkie sprzęty tego ubogiego poddasza. Przy progu stała jeszcze konewka z wodą, koło niej stary, blaszany samowar, a nad kominkiem stała gruba flaszka z jakimś płynem przezroczystym.

Koło okna siedziała już niemłoda kobieta. Blada, nędzna, w ubogim ubiorze, trzymała w ręku jakąś szmatę i szyła.

— Katy! Katy! — krzyknął ajent, stawiając szkatułkę ostrożnie na stole — ty nie wiesz o niczem, siedzisz tutaj i szmaty łatasz, a ja mogę mieć teraz kapotrok za czterdzieści talarów, długi, po kostki, jak panowie noszą, kapelusz à la Gibus za cztery talary, pantalony za ośm, a westę za trzy... rozumiesz Katy?...

Blada kobieta odłożyła na bok jakąś brudną szmatę, a podparłszy ręką głowę, rzekła z uśmiechem bolesnym:

— Cóż ci to, Wilhelmie?

Link na to nic nie odpowiedział, tylko poszedł do kominka i z grubej flaszki sporo pociągnął. Kobieta westchnęła.

— Kapotrok, Gibus, pantalony, westa, wszystko jest tutaj — rzekł po chwili, przykładając z pieszczotą ręce do szkatułki.

— Cóż to masz? — zapytała kobieta.

— Co mam?... puszkę Fortuny, w której jest wszystko, co sobie zamarzyć możesz. Cztery pokoje, meble orzechowe, zwierciadła, suknia grodenaplowa, wszystko... rozumiesz? wszystko!...

Kobieta wypatrzyła się zdziwiona na ajenta, który znowu do kominka poszedł.

— Wszystko jest, Katy, wszystko — mówił dalej, oblizując otwór flaszki — tylko jednej rzeczy tam nie ma — dodał z strasznym wyrazem na twarzy — a to jest tylko tutaj w tej flaszce.

Łzy stanęły w oczach kobiety. Wzięła napowrót szmatę do ręki i chciała szyć dalej. Snać nie po raz pierwszy słyszała ajenta w ten sposób rozmawiającego. Ale na igłę upadły łzy, w oczach jej zaciemniło się.

Tymczasem z zaczerwienionemi już policzkami usiadł ajent przy stoliku i z twarzą dziwnie wykrzywioną rzekł do siebie:

— No, trzeba jeszcze raz to wszystko dobrze przejrzeć.

Kobieta z dziwnym niepokojem śledziła wszystkie jego ruchy. Ajent otworzył szkatułkę i począł przeglądać różne papiery. Twarz jego krzywiła się w miarę uczuć, jakich podczas tej manipulacji doznawał. I mruczał chwilami do siebie:

— Hm! to jak czyste złoto. Od pierwszej aż do ostatniej instancji można wygrać... Warner może nową dziurę wybić w zamku Dąbczyńskim... tylko przysięga... ba, przysięga... patent z roku 1823... a to... Saperment... to Linku może cię na nogi postawić... będziesz porządnym człowiekiem, pójdziesz do kasyna... Nie... Oto Warner grubo za to da... hoho!... grubo dać może... Panna Janina ładna panna... hm! a gdyby krzyż, Linku?...

Rzekłszy to, schował papiery, zamknął szkatułkę, a wstawszy od stołu, począł się przechadzać. Zdawało się, że biedny ajent nagle rozkochał się w swoich krzywych nogach. Tak się im bowiem przypatrywał, stawiając je z wielką siłą po podłodze, tak je na wszystkie strony wyginał i oglądał, jakby je miał wysłać na wystawę londyńską. Kobieta patrzyła za nim z jakąś trwogą.

Więcej jak pół godziny trwały te dziwne egzercycja ajenta. Zdaje się, że w tym czasie przechodził różne koleje życia. Miał najprzód kapotrok bronzowego koloru, kapelusz à la Gibus, jak go nazywał, westę w czerwone kwiaty i pantalony za ośm talarów. Potem zdawało się mu, że jest porządnym człowiekiem, że chodzi do kasyna Reubundu*), czyta gazety, gra w bilard i w karty, pali cygaro... To znowu podniósł pierś, na której był krzyż zasługi, a w kieszeni patent na ładną pensyjkę... Tu znowu zmienił nagle krok, jakby wszedł na woskowaną posadzkę czterech pokoi z meblami orzechowemi... Jego Katy była w sukni grodenaplowej, była tłusta i czerwona, jak każda kobieta, której na tym padole płaczu dobrze się powodzi; a on zaczesywał ogromne bakenbardy à l'Albert szyldkretowym grzebykiem, pił poncz i herbatę ze śmietanką...

Tutaj prysła wyciągniona struna marzeń, a ajent czem prędzej pospieszył do kominka, aby się likworem zakropić.

*) Patrjotyczne towarzystwo pruskie.

Na twarz jego wystąpiły trędy, oko zalało się białą flegmą. Z różnych kolei życia powrócił do swojej ubogiej izdebki i do brzydkiej, brudnej, jak mu się teraz wydawało, Katy.

— Widzisz — zawołał, machając ręką po przed oczy, jakby odpędzał cisnące się do niego widma — w tej szkatułce wszystko jest, czego dusza zapragnie, tylko jednej rzeczy brakuje... a ta jest tylko tam... widzisz tam! — dodał, wskazując na flaszkę nad kominkiem.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem — mówił dalej smutno — gdybym nie był tego głupstwa popełnił!

— Co za głupstwo? — zapytała kobieta.

— Już to pierwsze głupstwo, żem się z tobą ożenił — krzyknął ajent i uderzył w stół pięścią, a usta jego zapieniły się.

Kobieta westchnęła i szyła dalej.

— Gdyby nie ty, byłbym dzisiaj porządnym piwowarem, byłbym gruby jak beczka piwa. A tak poszedłem za tobą do tej przeklętej Galicji i aby zarobić na kawałek chleba, musiałem chłopom supliki pisać. Walałem się po wsiach i karczmach, jadłem i piłem z chłopami, cóż więc dziwnego, że potem razem z nimi...

Kobieta wzdrygnęła się, załamała ręce i krzyknęła:

— Na miłość Boga, Wilhelmie!...

— Na miłość Boga... Prawda, ja kocham Boga, bo on daje różne sposoby na to, gdy człowieka robak jaki wierci...

Mówiąc to, zbliżył się do kominka i mocniej niżeli kiedykolwiek pociągnął z flaszki.

— Widzisz — mówił — w tej oto szkatułce jest wszystko, co chcesz, ale nie ma tego, co w tej flaszce... Pieniądze?... cóż są pieniądze? Są one wszystkiem, Katy, wszystkiem. Tak świat mówi. Masz pieniądze, masz rozum, masz charakter, szlachetność, urodę — wszystko masz. Ale jeśli tu co brakuje — ajent wskazał na lewą stronę piersi — to za nic pieniądze! Tylko to, Katy, to — i poszedł znowu do kominka.

— Mógłbym być porządnym człowiekiem, mieć tutaj — naprzeciw drugiego guzika u góry — piękny, ładny krzyż, mógłbym pójść do kasyna, grać w bilard i czytać gazety... Ale cóż z tego, zawsze coś braknie, zawsze... — I znowu pociągnął flaszki.

Kilka chwil stał teraz nieruchomy na środku izdebki. Drżał cały, na jego czoło wystąpił pot kroplisty. Posunął kilka razy ręką po oczach, jakby je chciał przetrzeć i snujące się przed niemi mgły rozproszyć. I jakoś mu się to udało. Uspokoił się nieco, otarł pot i znowu począł się po izdebce przechadzać.

— Hm! — mówił znowu do siebie, patrząc z ukosa na szkatułkę — mógłbym być teraz porządnym człowiekiem, dostałbym urząd jaki przy cuchthauzie, lub przy kryminale, a wtedy łapałbym złodziei i oszustów, że aż miło! Rozumiesz, Katy, złodziejów, oszustów, łotrów i tym podobnych. A pewnie znalazłbym ich wszędzie! Znalazłbym ich tam, gdzie ich dzisiaj bynajmniej nie szukają!... Brrr... Katy, jabym ich wszędzie wynalazł! Najprzód Warner...

— Na miłość Boga, Wilhelmie! — krzyknęła kobieta — nie mów tego, jak kto usłyszy... Wszak masz chleb od niego...

— Chleb? prawda, mam chleb, gorzki, kwaśny, suchy chleb, a on zjada pieczone gołąbki i jest zdrów i wesół... Ja mu wyciągam pieczone kasztany z ognia, a on je zjada, śmieje się i zjada... A przecież on nie mało ludzi pozabijał!..

— Pozabijał! — zawołała kobieta, załamując ręce.

— Katy, ty jesteś głupia kobieta i nic więcej — krzyknął ajent, pociągnąwszy znowu z flaszki — ty nie wiesz, jak można ludzi zabijać. Człowiek, który nie ma na sobie białej koszuli i złotego łańcuszka od zegarka, tylko ma dwoje rąk i kij dobry, sękaty, ten człowiek zabija najprostszym sposobem, który jeszcze od syna Adama i Ewy przechował się w ludzkiej tradycji. Uderza między oczy, lub powyżej ucha, i na tem koniec. Żandarm prowadzi go potem do sądu, a ten dla przykładu i pokajania rodu ludzkiego, wiesza go z wszelką pompą na szubienicy!... ha, ha, ha! na szubienicy! Katy, ty jesteś głupia, prosta kobieta!

Kobieta patrzała łzawem okiem za człowiekiem, który jej świat zawiązał, a który przecież był jej mężem!

— Tamtego powieszą — mówił dalej ajent — bo użył zbyt prostego sposobu, aby zabić człowieka. Dzisiaj postąpił świat i cywilizacja, dzisiaj trzeba maniery i sztuki. Głupiemu cyrulikowi dają patent na pergaminie, aby zabijał ludzi jak najlegalniej; fabrykant kiełbas i pasztetów ma ten sam przywilej; winiarz płaci podatek za konsumcję trucizny; adwokat ma tak zwane «stallum agendi», a kapitalistom pomaga ustawa wekslowa, aby tem prędzej zabić mogli!... Któż jest większy zbójca?... Katy, ty jesteś głupia, prosta kobieta! Ty myślisz, że Link, który był tylko tam, gdzie krew na niego bryznęła, że Link gorszy, winniejszy od tych wszystkich? Katy głupia, prosta kobieto!

Jakoś smutniej spojrzał teraz ajent po krzywych swoich nogach. Nie marzył już o kapotroku, ani o pantalonach za ośm talarów, ale o pięknem, z jakiegoś brudu wypranem sumieniu, któreby było białe jak westa z piki saskiej.

— Byłem teraz w Poznańskiem — mówił dalej smutno i rzewno — byłem w służbie posłany od Warnera. «Linku, mówił do mnie Warner, nad Notecią jest ładna wieś z białym dworkiem. Tę wieś chcę mieć dla Waltera i Matyldy. Dziedzic tam jest mocno zadłużony. Teraz umarła mu żona, gospodarstwo w największym nieładzie. Idź, dowiedz się o wszystkiem. Negocjant nasz w Poznaniu zaproponował mu pożyczkę na lat cztery, wyrachowawszy, że za cztery lata ten dziedzic oddać na żaden sposób nie może. Wtedy postaramy się o subhastację, a wieś z białym dworkiem będzie nasza, Waltery i Matyldy...» Przyszedłem do tej wioski — na ganku stało czworo małych sierot, czarno i biało ubranych... brrr... co mówię... Katy wiele ich było?...

— Czworo mówiłeś, Wilhelmie — odpowiedziała kobieta.

— Czworo?... nieprawda, kto ci mówił, że czworo... ja nie mówiłem, że czworo... ja ci nigdy o nich nie mówiłem, nigdy... brrr... Katy, głupia, prosta kobieto, zkąd ty wiesz, że ich było czworo?...

I blizkim już był ajent zwykłego swego paroksyzmu, który od niejakiego czasu zbyt często go napadał, ale dziwne jakieś wspomnienie skierowało myśli jego w inną stronę.

— Przeklęty ten Wojna! — krzyknął siadając na stołku.

— Katy, znasz ty tego Wojnę?...

— Wojna? — zapytała kobieta, ciesząc się z tego zwrotu, który zazwyczaj oddalał od niego paroksyzm szaleństwa.

— Wojna jest to mieszczanin z Dąbczyna, głupi, prosty mieszczanin, a Paliwoda to prosty i głupi chłop z Radziejewa.

— I cóż oni ci zrobili?

— Opowiadali mi o wielkiem, młyńskiem kole... brrr... jak to koło chwyciło młynarza za ramię... jak go ciągnęło powoli... wyciągnęło mu rękę tu, z ramienia... brrr... Katy, daj mi się czem nakryć, położę się i prześpię... zimno jak w grudniu!...

Zaledwie biedny ajent oczy zmróżył i coś o długim kapotroku, weście i pantalonach za ośm talarów marzyć zaczął, gdy jakieś niepewne kroki dały się słyszeć na korytarzu. Kobieta wiedziona jakimś instynktem, rzuciła kilka szmat na szkatułkę. W tem otworzyły się zwolna drzwi, a mieszczanin dąbczyński wszedł z wszelką ostrożnością, jakby wchodził do jakiego gniazda zbójeckiego. Ajent podniósł głowę, a ujrzawszy Wojnę, równemi nogami zerwał się z łóżka. Zegarmistrz miał twarz spokojną, lekki uśmiech zadowolenia igrał koło jego wąsów. Widać, że wymyślił jakiś niezgorszy

planik postępowania z ajentem, i że z tego planu mocno był zadowolony.

— Dobry wieczór, panie Linkiewicz — rzekł do ajenta z największą pewnością, że polskiem zakończeniem jego imienia ujął sobie na wieczne czasy tego szczególnego człowieka. — Dobry wieczór... otóż przychodzę raz przecież do was w gościnę.

Link usiadł na łóżku, pociągnął ręką przez oczy, przed któremi migało mu jeszcze wielkie młyńskie koło, i z niemałem zadziwieniem spojrzał na mieszczanina.

— A cóż to pana do nas sprowadza? — rzekł po chwili, czując, że go mimowoli wszelka energja opuszcza i sen oczy mu skleja.

— Czyby nie lepiej było — mówił mieszczanin, brzęcząc w kieszeni drobną monetą — żebyśmy sobie najprzód posłali po lampkę wina...

Ajent pokręcił głową i wymówił się, że po tak dalekiej podróży czuje się trochę chorym. Mieszczanin posmutniał nieco, widząc, że najpewniejszy jego cios tak fatalnie odparty został. Poskrobał się w głowę, obejrzał po izbie, szukając konceptu, aby dalszą swoją operację zręcznie nawiązać. Ale Wojna należał do tych dodrych, poczciwych ludzi, którzy plan kampanji układają bez żadnej rezerwy, bez żadnych podstępów, licząc na to, że i nieprzyjaciel pójdzie drogą prostą i otwartą. Ci, nadybawszy najmniejszy szaniec, którego nie spodziewali się znaleźć, cofają się w nieporządku, widząc cały swój plan udaremniony.

To też długo kręcił mieszczanin wąsy to w tę, to w ową stronę, zanim znowu do słowa przyszedł.

— Panie Linkiewicz — zaczął nieśmiało — ja miałbym wprawdzie mały interesik, ale tak na sucho...

Link znowu ruszył głową na znak, że jest pacjentem, i mówił coś o potach i rumiaku.

— No, jeźli tak — mówił dalej Wojna — to choć to na sucho jakoś nie idzie... ale przy zdarzonej okazji...

— Niech pan od razu powie, co pan chce — rzekł zniecierpliwiony ajent, któremu obecność Wojny coś strasznie niemiłą była.

Mieszczanin potarł ręką po czole, zacząwszy od lewego ucha aż do prawego, i przeklął w duchu wszelką dyplomację, która nakazuje, aby nigdy tego naraz nie wypowiedzieć, co człowiek ma na wątróbce, jakto jakiś wielki polityk kiedyś był tam powiedział. Posunął się na stołku w prawo i w lewo, odkrząknął i rzekł:

— Już to człowiek przedewszystkiem powinien mieć przykazania boskie w sercu.

— Co mi pan prawisz o przykazaniach, co! — krzyknął niecierpliwie ajent — widzisz pan, żem chory i zmęczony...

Zegarmistrz uderzył się ręką w kolano i pomyślał sobie w duchu: Ślem zaczął, nie uważałem, że mam z bezbożnikiem do czynienia. Myślałem, że skruchą przygotuję jego sumienie. — I myśląc to o tem, to o owem, gryzł wargi i szukał konceptu.

Link począł się już widocznie niecierpliwić. W tem, już na schyłku wszystkich nadziei, na samej krawędzi rozpaczy, rozweseliła się twarz mieszczanina, z widocznem ukontentowaniem pogładził wąsy, brodę i pierś aż do kolan, i rzekł:

— Widzisz pan, bo u nas to lud niepoczciwy, sami złodzieje!

— U was, hm! to prawda — odparł Link, nie spodziewając się takiej sentencji od Wojny.

— Otóż znalazł się jeden taki bezbożnik, który naszemu doktorowi coś ukradł.

— Ukradł, hm! ukradł!

— Ukradł, za co jak każdy złodziej przed sądem Pana Boga, który katolików i niekatolików sądzi, strasznie będzie musiał odpowiadać!

Rzekłszy to, otworzył szeroko oczy i wlepił je w twarz ajenta, pewny jego wzruszenia i skruchy. Ale ajent był jak na złość nadzwyczaj spokojny. Założył palce między palce, a trzaskając niemi po kolei, bawił się tą szczególną melodją.

— Ale dzięki niebu — mówił dalej mieszczanin, uśmiechając się, że już zdąża do końca ze swoim dyplomatycznym djalogiem, który mu kilka kropel potu kosztował — dzięki niebu, że ta ohydna kradzież przeszkodzoną była przez tak poczciwego człowieka, jak jest pan Linkiewicz, którego wszyscy ludzie znają za porządnego negocjanta reputowanego domu Warnera i spółki.

Wymówiwszy to, zarumienił się po uszy poczciwy mieszczanin, wyrzucając sobie tak oczywiste kłamstwo. Ale zrobiwszy naprzód ślub świętemu Antoniemu, który według jego zdania ma być najskuteczniejszym patronem przeciw złodziejom i oszustom, że za to niewinne kłamstwo będzie przez cztery piątki suszyć i po pięć pacierzów odmawiać, uspokoił się w duchu i dosyć śmiało wyczekiwał odpowiedzi.

— Ja miałbym ze złodziejami mieć co do czynienia! — zawołał zdziwiony niby ajent.

— Nie, panie Linkiewicz, broń Boże, tego nikt nie mówił. Ale tę skrzyneczkę miał pan na drodze odebrać zło-

dziejowi, a nie wiedząc, do kogo ona należy, wziąłeś pan z sobą. Tak mówili ci, co to widzieli.

Dosadziwszy tym sposobem ajentowi, że dając mu wóz i przewóz, trochę w końcu niby zagroził, rozparł się z dumą na stołku, wielce uradowany dyplomatycznym swoim talentem. Uczynił on podobnie jak lekarz, który dając choremu na poty, domięszał także lekarstwa na powstrzymanie gorączki z obawy, aby zanadto wielkich potów nie sprowadził. Ale jak owemu ostrożnemu lekarzowi ta nienaturalna mikstura wcale inny skutek okaże, jakiej się był spodziewał, tak samo stało się naszemu nieszczęśliwemu dyplomacie, który tym razem jak najhaniebniej oszukany został we wszystkich swoich rachubach. Link bowiem zerwał się z łóżka, na którem dotąd siedział, i tak nagle wrzasnął nad uchem mieszczanina, że mu nagle tysiąc dzwonów zadzwoniło:

— Kto mnie widział! he! powiedz pan zaraz, kto mnie widział! Ja z złodziejami?...

Wojna uznał za rzecz konieczną, wystąpić teraz w właściwej swojej barwie. Zrzuciwszy więc obłudną maskę, najeżył wąsy, podgarnął czuprynę i krzyknął mu w odwet w lewe ucho;

— Linku, oddaj coś ukradł, widziałem cię i basta!

— Ja ukradł?... ty śmiesz... ty kołtunie...

— Złodzieju! wara! — krzyknął mieszczanin, podnosząc się ze stołka z tem zaufaniem, że po zerwanych dyplomatycznych stosunkach tylko groźną demonstracją może pozycję uratować.

Ale co się dalej z nim stało, tego nie mógł sobie przypomnieć. Wiedział tylko, że się nagle twarzą do drzwi obrócił, czołem zamiast ręką je otworzył, a gdy do siebie nieco przyszedł, zdawało mu się, że go zamieniono w zwierzę czworonożne, bo nie stał jak człowiek na dwóch nogach, ale i rękami się podpierał. Było to prawdziwe arcydzieło Linka, który w dziwnym jakimś paroksyzmie tyle siły i zręczności rozwinął.

Bądź co bądź, należało najpierwej uratować godność człowieczą. Mieszczanin podniósł się z ziemi i stanął na dwóch nogach. Potem obejrzał się, a nasunąwszy czapkę na uszy, rzekł do siebie:

— Źlem zrobił. Demonstracja była przedwczesną. Potrzeba było rzecz całą przeprowadzić dyplomatycznie. Ale człowiekowi nie stało cierpliwości, aby dłużej grać komedję. Zresztą są fizjonomie, do których nie można mówić spokojnie. Ręka swędzi w kieszeni, jakby djabeł po niej drapał.

Mówiąc to do siebie, postawił jedną nogę na schód, po-

stawił i drugą, a gdy to samo siedmdziesiąt razy powtórzył, spostrzegł się, że już jest na dole i stoi przed człowiekiem w dużej, białej szlafmycy, który go dziwnie na wszystkie strony ogląda. Mądry głupiemu ustąpić musi, pomyślał sobie zegarmistrz i drapnął z kamienicy co tchu, bo mu się jakoś markotno robiło przy tej długiej, chudej figurze z białą szlafmycą na głowie.

Są ludzie, o których mówią złośliwi Francuzi, że im dopiero na schodach przychodzą dobre koncepta do głowy. Jakkolwiek mieszczanin dąbczyński nie koniecznie do nich należał, jednak szczególnym przypadkiem wyniósł był z siedmdziesięciu pięciu schodów wcale nie zły koncept na ulicę. Rozumował sobie w ten sposób:

— Dałbym sobie głowę uciąć, że Link był pijany. Inaczej nie dałby mi rady i nie wyrzuciłby mnie tak łatwo za drzwi. W takim razie trudna z nim sprawa, a nawet wiele się już popsuło. Zresztą w jego domu, na jego śmieciu nie wypada człowieka napadać. Tę obelgę trzeba ofiarować św. Antoniemu, a jutro rano, gdy będzie trzeźwy, trzeba całą rzecz z góry na nowo rozpocząć. Nie zawadzi jednak i z tego wypadku wyciągnąć naukę, która i tak już w polskiem jest przysłowiu: Co nagle, to po djable. A ja tylko dodam do tego: Gdy idziesz do złego człowieka, to policz naprzód schody, bo nazad nie będziesz miał czasu.

---

Do nocy był jeszcze spory kawał. Mieszczanin przeszedł jedną i drugą ulicę, napatrzył się do sytu różnym esom i floresom, a obaczywszy wystawę zegarmistrza, stanął przed nią na czas dłuższy. Zrazu patrzył dosyć ciekawie na te drobne i płaskie zegarki, lecz powoli zaczął się uśmiechać, a widząc, że koło niego nie ma nikogo, rzekł do siebie półgłosem:

— Wszystko to wyrwigrosz i tandeta. Takie małe, niepokaźne, niech tylko jeden ząb się skrzywi, a już człowiek nie da temu rady. Nie ma to jak stary, dawny zegar, mospanie, z kukułką i kurantem! Człowiek już wiedział, co ma w domu. Była i wygoda i rozrywka. A teraz, pożal się Boże! I jakże to poczciwy kunsztmistrz może dzisiaj taką tandetę sprzedawać, oszukiwać ludzi, dawać zegarek o trzech kółkach! To mi zegar, że jak zajrzę do niego, to gęsto jak w lesie! Aż się ćmi przed oczami, a serce rośnie, gdy to wszystko ruszać się zacznie, jakby żyło! A teraz trzy kółka i basta!

Machnął ręką, nasunął czapkę i poszedł dalej szczeropolski konserwatysta, bolejąc nad światem, że wstecz idzie, że z każdym dniem coraz więcej się psuje! Ale żal jest krótki, a czas długi, więc pomyślał nad tem mieszczanin, jakby to ten czas uczciwie i pożytecznie do nocy przepędzić.

— Trzeba iść między ludzi i przypatrzyć się im — rzekł do siebie i zboczył z ulicy w wielką bramę, nad którą kołysała się w różne pieścidełka ustrojona wiecha.

W długiej, brudnej piwnicy siedzieli goście za stołem. Był gwar i krzyk, bo każdy miał w koło siebie znajomych i przyjaciół. Pili piwo dzbankami i palili fajki, aż duszno było.

Mieszczanin siadł sobie w kącie i począł się pijącym przypatrywać. Dziwiło go to, że każdy mówił tylko o zysku i o pieniądzach, a nikt nie mówił o żonie, o dziatkach, o krewnych i przyjaciołach. Nikt nie mówił o domku swoim, w którym zamyka się jego szczęście, nikt nie zwierzał się z cierpieniem swojem, nie mówił o kłopotach z złą żonką, jak to często nasłuchał się był od Mietlicy. I pomyślał sobie w duchu polski mieszczanin:

— Ci wszyscy muszą być czeladnicy, bo mówią tylko o zarobku. Nie ma między nimi żadnego majstra. Bo póki człowiek tylko dla zysku robi, to zawsze czeladnik. Majster robi dla żony i dziatek, a gdy mówi, to o sprawach swego cechu, albo o kraju, który jest jego ojczyzną. Z przyjacielem mówi o domu swoim i zwierza mu różne dobre i złe tajemnice. A to jakaś hołota i czeladź!

Zaledwie sobie to spostrzeżenie w głowie zanotował, aby staremu ekonomowi, który tak rad słucha, jak najlepsze o sąsiednim narodzie dać wyobrażenie, gdy nagle nowa sentencja wcisnęła się mu pod czapkę trójgraniastą. Widzi, jak do każdego z gości przychodzi kelner i każdemu z osobna podaje rachunek, a nawet tym, którzy przez cały wieczór serdecznie się ściskali. I zanotował sobie w pamięci polski mieszczanin:

— Tu każdy dla siebie tylko żyje, je i pije. Przyjaciel przyjacielowi ani kieliszka wódki nie kupi. Nie znają, co to wspólny dzban, co wspólna miska. Jest to dowód, że nie ma między nimi wspólnej miłości. Łączy ich tylko razem brzuch i zysk, a nie serca. Każdy za swoją gębę ma osobny rachunek. Na sądnym dniu będzie miał Pan Bóg wiele z nimi kłopotu i zachodu. Każdemu z nich trzeba będzie dać osobny rachunek. Z nami, gdzie wielu razem grzeszy, lub razem dobrze czyni, łatwiejsza będzie sprawa.

A że już jakoś późno się zrobiło, wstał zegarmistrz z tą ostatnią konotatką od stołu, a kupiwszy sobie za kilka groszy na noc łóżko w jakiejś dużej, ciemnej izbie, położył się szczęśliwie i usnął snem sprawiedliwego człowieka, którego włosy na głowie policzone są od boskiej Opatrzności. Tylko w pierwszym śnie niepokoił go trochę mniemany jego nieprzyjaciel z tłustym brzuchem. Zaglądał do nizkich okien jego domku i uśmiechał się szyderczo. Ale za drugiem «Zdrowaś Marja», znikł jak djabeł pokropiony święconą wodą. Za to pocieszył go Pan Bóg nad ranem snem prawdziwie wieszczym. Utwierdził go bowiem w tem mniemaniu, że Link istotnie tę szkatułkę ukradł. Mieszczanin widział ją we śnie leżącą na stole ajenta.

Zbudziwszy się więc rano, odmówił modlitwę za ten palec boży, a pokrzepiwszy się gorącem piwem, zaprawionem mlekiem i serem, wyszedł z lekkiem sercem na ulicę. Nigdy jeszcze nie było niebo tak piękne jak dzisiaj; kilka białych chmurek żeglowało gdzieś od wschodu. Mieszczanin spojrzał na nie i był pewny, że przed chwilą na te same chmurki patrzył się jego przyjaciel Mietlica, wstając do rannej pracy. Wietrzyk był ciepły i przyjemny, słońce ogrzewało łagodnie.

Spokojnie i lekko szedł mieszczanin długą ulicą prowadzącą do domu ajenta. Spodziewał się, że go zastanie trzeźwym, że pomówiwszy z nim dobre słowo, trafi z nim do końca. Nawet postanowił nie wspominać mu o wczorajszej obeldze, którą już i tak ofiarował ś. Antoniemu.

I tak w najlepszych nadziejach zbliżył się do znajomych mu dobrze siedmdziesięciu pięciu schodów. Ale żal mu jeszcze było ciepłego majowego słońca. Zawrócił się z ciemnej sieni, stanął na progu i pełną piersią zachwycił wiosennego powietrza. Jakoś mu nigdy jeszcze tak nie smakowało to świeże, wiosenne powietrze!...

Wreszcie wlazł na schody, a przeliczywszy je z uwagą, stanął na poddaszu. Powoli zbliżył się do drzwi ajenta, zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Pocisnął za klamkę — były zamknięte. Spojrzał przez szeroką szparę — w izdebce nie było nikogo — a na czarnym stole leżała ta sama, ciemnego koloru szkatułka, jak ją we śnie nad ranem był widział.

Mieszczanin zdjął czapkę i podziękował Bogu, że go tak dobremi poprowadził drogami. Popatrzył się jeszcze raz przez szparę, a ciemna szkatułka zdawała się uśmiechać do niego jak dobra znajoma. Zmrużył jedno oko — szkatułka uśmiechała się ciągle.

I szczególna myśl przyszła mieszczaninowi do głowy. Obejrzał się w koło — nie było ani żywego ducha. Jakiś dreszcz przeszedł po nim, zacząwszy od łysiny, aż do wielkiego palca w bucie. Obejrzał się jeszcze raz, i jeszcze raz nie było ani żywego ducha.

Zdjął czapkę i otarł spocone czoło. Szepnęło mu coś do lewego ucha:

— Link ukradł szkatułkę, czy to będzie grzechem, jeźli mu ją teraz bez jego wiedzy odbierzesz?

I znowu przeszedł dreszcz po nim, zacząwszy od wielkiego palca w bucie, aż do łysiny na głowie. A pod czapką trójgraniastą poczęły biegać różne myśli, jak mrówki po rozburzonem mrowisku. Przypomniał sobie słowa Jerzego, że ta szkatułka może bardzo coś ważnego w sobie mieścić, a w ręku ajenta mogłaby stać się jeszcze ważniejszą. Przypomniał sobie, z jaką wściekłością i siłą wczoraj ajent na niego się rzucił, z jaką bestjalską namiętnością za drzwi go wytrącił, a do tego godność jego człowieczą nogami zdeptał. Gdy sobie o tem wszystkiem wspomniał poczciwy mieszczanin, a gdy jeszcze do tego dodał owe siedmdziesiąt pięć schodów i tę długą, wychudłą figurę w szlafmycy, która wczoraj na dole widział, obaczył nagle pozycję swoją tak trudną i krytyczną, jaką się mu wprzódy nigdy nie przedstawiała. Był pewny, że ajent tej szkatułki za nic w świecie z rąk nie da, że może zawartych w niej rzeczy użyć na cudzą niekorzyść, że trudno w drodze sądowej o nią się upominać, gdyż nie wiedzieć, co w niej jest. Słowem, sytuacja mieszczanina wikłała się coraz więcej; coraz więcej niknęła jego nadzieja, że w drodze spokojnej przyjdzie do ukradzionej szkatułki.

Znowu obejrzał się na około, przyłożył oko do szpary, a szkatułka uśmiecha się i uśmiecha.

— Tylko trzy kroki, a miałbym ją w ręce! — pomyślał sobie mieszczanin i nacisnął silniej drzwi czołem.

Coś trzasło z cicha, a kilka szczypt próchna posypało się na ziemię.

— Nawet drzwi same się pruszą, stare puchno... — szepnął mieszczanin do szpary, przycisnąwszy głowę do piersi.

Znowu coś trzasło — jakiś stary gwoździ brzęknął na ziemię.

— Próchno i rdza! — pomyślał sobie mieszczanin — tylko pchnąć!

A ciemna szkatułka tak strasznie miliła się do niego! On widział swój tryumf, gdy z szkatułką pod pachą będzie wchodził w bramy Dąbczyna i to wszystko opowie staremu

ekonomowi, jak to mu się tam za granicą szczęśliwie powodziło!... Tylko trzy kroki naprzód, trzy kroki, to nie wiele!...

A na poddaszu nie było nikogo, wszędzie głucho i cicho. Ani żywego ducha.

Mieszczanin pochylił się, przyłożył oko do szpary, jakoś samo ramię przytuliło się do spróchniałej deski... coś zaczęło trzeszczeć... Wtem ktoś krzyknął za plecyma i porwał go za kołnierz.

Wojna obrócił się, a chudy, długi hausmajster z szlafmycą na głowie stał przy nim i strasznie coś szwargotał. Była to ta sama figura, którą widział wczoraj na dole. Postać mieszczanina z Dąbczyna wydała się mu dziwną, wylazł więc za nim na poddasze.

Mieszczanin chciał właśnie jakoś rozsądnie z tym człowiekiem pogadać, gdy nagle zbiegło się koło niego wiele ludu, krzycząc i hałasując. Jedni nazywali go złodziejem, drudzy rabusiem, co wysłuchawszy wszystko Wojna, tak się tem zafrasował, że prawie nic więcej o sobie nie wiedział.

Wiedział tylko jakby przez sen, że go sprowadzono przez owe siedmdziesiąt pięć schodów, przez które niedawno z tak lekkiem szedł sercem, jakby do komunji świętej; wiedział, że mnóstwo ludu otoczyło go i krzyczało mu do uszu różne haniebne przezwiska; nakoniec widział, że jakiś wysoki człowiek w pikelhaubie założył mu na ręce żelazną obróżę, wsadził w dorożkę i woził trochę po ulicy, jakby na okaz głupim ludziom, którzy oczy na niego wytrzeszczali. A gdy już na dobre do siebie przyszedł i szeroko oczy mógł otworzyć, ujrzał się w ciemnej, małej celi, której drzwi były zamknięte na trzy zamki!

O! jakże smacznem wydało się mu to świeże, majowe powietrze, którego dziś rano na progu tego nieszczęsnego domu po raz ostatni w pierś był zachwycił!...

Lecz jako prawy katolik zebrał się prędko na duchu i rozpatrzył się w całem swojem nieszczęściu. Trudny był tu ratunek. Potrzeba było rozpocząć od Boga.

Więc przeżegnawszy się, odmówił najprzód z pokorą modlitwę w «utrapieniu», którą umiał na pamięć, a do której «intra paranthesim» włożył kilka słów własnego konceptu o Danielu w jaskini dzikich zwierząt.

Podłożywszy tym sposobem fundament do wszystkiego tego, co się potem z woli bożej stać miało, zastanawiał się jeszcze raz nad całem swojem nieszczęściem i zanotował sobie w głowie następującą sentencję:

— Nie używaj nigdy złych środków, choćbyś miał niemi i najszlachetniejsze osiągnąć cele. Kto nieprawą rękę wyciąga, aby nią co dobrego zdziałać, tego Pan Bóg zawsze po palcach uderzy. Za co niech będzie błogosławione Imię Jego teraz i zawsze na wieki wieków. Amen.

---

## III.

Gdyby Wojna wiedział, że owa nieszczęsna szkatułka, którą nie tylko we śnie nad ranem, ale i na jawie widział przez szparę w izdebce ajenta, była zupełnie próżna, nie byłby się o nią pokusił, a tem samem uszedłby był tego nieszczęścia, w którem się teraz znajdował. Ale snać było to już takie zrządzenie boskie, które niezbadanemi drogami wiedzie człowieka do celu. I jako takie przyjął to z pokorą mieszczanin i z ufnością w Bogu poddał się swemu losowi.

Szkatułka w samej rzeczy była próżna. Wstawszy bowiem z rana ajent, przekonał się po trzeźwemu, że łacniej mu przyjść do długiego kapotroku i pantalonów za ośm talarów, jak stać się porządnym człowiekiem i w kasynie Reubundu czytać gazety. O krzyżu już nawet i mowy nie było, a cztery pokoje z woskowaną posadzką były dzisiaj tak niepotrzebnym luksusem, że nawet o nich długo nie myślał.

I pomyślał sobie, wybierając papiery z szkatułki:

— Życie człowieka jest to kupa czarnej sadzy, przykryta białem prześcieradłem. Kto raz w tem prześcieradle dziurę zrobi, już na zawsze będzie brudny i czarny, choćby jak najdalej od tej dziury uciekał.

A rozumując w tym duchu dalej, przyszedł między kawą a drugim kieliszkiem wódki do następującego zdania:

— Człowiek, który raz w tem prześcieradle dziurę zrobił, nie może już dalej sam chodzić, bo wszędzie zostawia za sobą ślady. Musi on trzymać się tego, który lepiej i ostrożniej od niego stąpał po tem głupiem prześcieradle, chociaż całą sadzę do gruntu wymięszał i nią handlował.

Posmutniał nieco po tem zdaniu poczciwy ajent, a pokrzepiwszy się drugim kieliszkiem wódki i powiedziawszy żonie, że jest głupią i prostą kobietą, wziął starannie pa-

piery pod pachę i wyszedł, aby je złożyć do rąk swego pryncypała.

Kantor pryncypała był w samym rynku, w dużej, starej kamienicy, na rogu ulicy Królewskiej. Szczególna była architektura tej kamienicy. Jakieś dachy i daszki piętrzyły się jeden na drugim, a okna były nieregularne i dziwaczne. Karjatydy, stojące po obu stronach bramy, miały twarze dziwnie pokrzywione, jakby się śmiały i szydziły z wchodzących. Głowy, dźwigające duży, kamienny balkon, wystawiały języki na patrzących i urągały się. Pod samym dachem, w zakończeniach gzymsów, umieszczone twarze śmiały się szydersko i z po za uszów okazywały przechodniom tak zwane figi. W zagłębieniach nad oknami były płaskorzeźby, przedstawiające same sceny obelżywe. Nawet klamki i ozdoby przy drzwiach nosiły to samo piętno, cechujące ten dom szczególny.

Zdawałoby się, że architekt w napadzie jakiegoś szaleństwa stworzył plan tego domu i ozdób jego, ale dawna miejska legenda wyświecała tę rzecz w kilku słowach. Jakiś starozakonny miał kiedyś kupić ten plac, aby na nim wystawić dom okazały. Burmistrz miasta, niewiedzieć z jakiego powodu, zabronił starozakonnemu postawienia domu. Wytoczył się długi proces, który się aż o króla oparł. Naturalnie, żyd wygrał, postawił kamienicę i aby dokuczyć mieszkającemu naprzeciw burmistrzowi, poumieszczał te figury i ozdoby, które szydząc z jego upadłych wyroków, wystawiały do niego języki, śmiały się, pokazywały mu figi i inne jeszcze sromotniejsze wyrządzały mu obelgi.

I tak chwilowa zemsta jakiegoś żyda, tycząca się burmistrza, przeszła w kamień, gips i żelazo, a dzisiaj tysiącom niewinnych ludzi urąga się z tą samą zapalczywością, jaka niegdyś prześladowała biednego burmistrza. Karjatydy tak samo szydzą z wchodzących do tej tajemniczej kamienicy, atłasy, dźwigający balkon, tak samo wystawiają długie języki każdemu, kto pod nie wejdzie, a z pod dachu patrzą wykrzywione satyry i okazują złośliwe figi z po za rogów.

W tej to szczególnej kamienicy był kantor pryncypała naszego ajenta. Zdawało się, że ją naumyślnie wybrał na to, jako odpowiadającą doskonale z wszystkiemi swemi ozdobami jego charakterowi i zamiarom.

Po lewej stronie był rzęd dużych okien, sztabami żelaza prawie szczelnie zakutych. Nad temi oknami był skromny napis białemi literami na dużej, czarnej tablicy: «Moses Goliat et Compagnie».

Była to jednak tylko filja tego znakomitego domu, którego głowa, pan Moses Goliat, gdzieś indziej mieszkał. W mieście nazywano powszechnie ten kantor kantorem

Warnera, który właściwie był tutaj tylko negocjantem i kompanionem Mojżesza Goliata.

Mimo to straszną była ta firma dwóch olbrzymów dla małych wekslarzy miasta, a żaden Dawid nie odważył się dotąd rzucić na nią choćby najmniejszym kamykiem. Od świtu snuły się tutaj roje drobnych negocjantów, czekając hasła do rozpoczęcia dziennej walki. Byli to rozsypani tyraljerzy, którzy na własną rękę rozpoczynali pierwsze operacje, debuszując silnemi oddziałami z pod śmiejących się karjatyd. Główna załoga tego nieśmiertelnego korpusu nie opuszczała nigdy fortecy swojej, obwarowanej żelaznemi sztabami, żelazną, do drzwi przybitą kratą. Tam był wieczny i głuchy spokój. Tylko czasem zabrzęczało złoto na stole marmurowym, zaszeleściały papiery w skrzyniach żelaznych, albo z ust bladego dyspozytora wyleciało kilka słów jednogłoskowych.

Za nim dalej w naszej powieści postąpimy, musimy się dobrze zaznajomić z domem «Goliat et Compagnie», który przeważnie ma wpłynąć na losy wszystkich naszych znajomych.

Dom «Moses Goliat et Compagnie», był to ogromny olbrzym Brjareusz, który sto ramion swoich położył na wszystkich częściach świata. Był to jeden z owych licznych potentatów czasów naszych, którzy pod każdym względem przypominają owych rozbójniczych grafów z czasów feodalnych. Naczelnik tego domu, «Sir Moses Goliat», miał wprawdzie mieszkać w Frankfurcie, ale ponieważ imię «Moses» było rodzinne imię wszystkich «Goliatów», i kilku ich po największych stolicach świata mieszkało, więc trudno było wiedzieć z pewnością, gdzie właściwie znajduje się głowa tej olbrzymiej machiny. Zdawało się, że cała ta machina, złożona jak soliter z tysiąca pierścieni, w każdym pierścieniu miała życie całkowite, z każdego odciętego pierścienia mógł się na nowo odrodzić ten robak olbrzymi. Wtajemniczonym jednak kapłanom tej instytucji wiadomo było, że prawdziwy «Sir Moses Goliat» mieszkał w Berlinie w dwudziestu szczelnie zamkniętych pokojach swojej kamienicy «pod lipami», gdzie z całym urokiem Padyszacha okazywał się swoim wspólnikom i negocjantom tylko raz w rok dla wyliczenia im dywidendy. Rozdzieliwszy swą zdobycz, cofał się znowu jak olbrzymi pająk do swojej kryjówki, patrząc ztamtąd na rozstawione sieci i pracującą czeladkę.

Z razu dom «Moses Goliat et Compagnie» robił tylko pieniądze. Ale w najnowszych czasach okazała się ta operacja nieco za nudna i mało zyskowna. Więc za przykładem innych, mianowicie angielskich i amerykańskich domów, wzięto się do lepszych i obszerniejszych spekulacji. Jak

tamci w Indjach i stepach amerykańskich poczęli zakupować ziemię, budować miasta i z wszystkich kątów świata sprowadzać osady, tak samo i wewnątrz Europy znalazły się różne pola do podobnych spekulacji. We Francji w tym celu zawiązało się bogate towarzystwo, znane pod imieniem «czarnej bandy». Skupuje ono na subhastacjach sądowych obszerne dobra i rozdrabnia je potem między drobnych właścicieli. Wiadomo, jak wielki zysk wypada ze sprzedaży parcelami wielkich obszarów. Może to pod względem ekonomji politycznej jest dobrze i zyskownie, ale pod względem moralnym są to duchy, zacierające to wszystko, cokolwiek w tylu wiekach uczyniła ludzkość, aby ślad po sobie zostawić. Dla piędzi ziemi, zdolnej pod uprawę marchwi, lub buraków, walą się pamiątki narodowe, padają stare zamki i parki, znikają mogiły i grobowce, okazujące potomności miejsce bohaterskich czasów jej praojców! Dewiza tych ludzi jest: «Wszystko dla zysku, nic dla serca!»

Podobną drogę wybrał sobie dom «Moses Goliat et Compagnie.» W Hamburgu miał parowe okręta, na których jego ajenci wywozili południowych różnemi obietnicami emigrantów do lasów Ameryki, lub pustyń Nowej Holandji, aby niemi pobudowane tamże miasta i plantacje zaludnić. W Wiedniu miał ajencję do kolonizacji dolnych Węgier; w Paryżu grał à la hausse z całą namiętnością zapaleńca, a w londyńskich dokach miał nieprzebrane składy towarów kolonialnych.

Odnogą tych przeróżnych spekulacji był kantor «Moses Goliat et Compagnie» w znanej nam kamienicy o śmiejących się wiecznie karjatydach. Był to wysuniony naprzód posterunek tej armji złowieszczej, która kroki swoje na wschód skierowała. A nie było Leonidasa, któryby stanął naprzeciw tym zastępom nowego Xerxesa?

Leonidasa nie było — ale były Termopile.

Wielkie księstwo Poznańskie, znękane i zrujnowane różnemi przygodami, wybrane zostało na miejsce nowożytnych podbojów. Zdawało się, że duchy pobitego pod Grunwaldem zakonu wstały mściwe z kilkowiecznego snu, weszły w ciała spokojnych negocjantów, ajentów i kolonistów, a biorąc za miecz godło dzisiejszej cywilizacji: «zysk i pracę», stanęły na dawnej swojej linji bojowej, aby na tem samem miejscu stoczyć bój z nieprzyjacielem, na którem przed kilkoma wiekami okryci wiekopomną niesławą, pokładli się stosami do mogił, oddawszy hołd wielkiemu zwycięzcy!... Na tem samem miejscu miały one odnieść tryumf, a na gruzach polskich zamków i dworów miały zatknąć swoje sztandary i rozwijać je do boju dalej, na wschód, na wschód!...

A zwycięzcy pod Grunwaldem mogli dzisiaj zaledwie w trzysta stanąć, mogli na kresach ojczyzny stworzyć tylko nowe Termopile!...

«Goliat» stanął tuż na samej granicy wielkopolskiej i wyciągnął nad nią olbrzymie swoje ramię. Uzbrojonemu od stóp do głowy olbrzymowi jakże mogła się oprzeć gromadka patryarchalnych Dawidów z drobnym kamykiem w procy, z kijem pasterskim w ręku?...

Rzućcie nieudolne radła wasze, wy poczciwi mieszkańce białych dworków polskich, wynijdźcie z zapadłych zamków waszych, wy potomkowie wojewodów i kasztelanów, porzućcie grobowce ojców, kij tułaczy weźcie do rąk i opuśćcie tę ziemię obiecaną, której nie umieliście kochać i bronić!... W worku pokuty, posypani popiołem, rozejdźcie się po całym świecie jako synowie Izraela, a narody wypalą znamię na skroniach waszych: «Oto są ci, którzy zbiegli z przedniej straży narodu, nie umiejąc walczyć, jak walczyli ich ojcowie! Hańba im!...» Ale naród wasz inaczej was osądzi, rycerze kresowi! Na waszą skroń tułaczą włoży koronę męczeństwa, wasze mogiły i gruzy domów waszych naznaczy w księgach pamięci: Tu legła w nierównej walce przednia straż nasza: cześć poległym bohaterom! Przechodniu, uczcij Termopile!...

«Goliat» rozpoczął straszną walkę i niejedno zwycięztwo uwieńczyło już jego skronie. Najprzód wszystkim mieszkańcom ziemi poznańskiej otworzył kredyt nieprzebrany. Był to fundament wszelkich innych operacji. Liczni ajenci przebiegali kraj w szerz i wzdłuż, mianując i namaszczając stałych negocjantów po miastach i miasteczkach. Obowiązkiem było każdego prowadzić rejestra dochodów i rozchodów wszystkich większych właścicieli ziemi, mieć dokładne wiadomości wszystkich ich słabostek, schlebiać im o ile można, popychać ostrożnie stylizowanemi radami do różnych wkładów i przedsiębiorstw; wchodzić w spółkę, pożyczać pieniędzy, póki w wyrachowanym naprzód okresie czasu nie stanie nad niechybną przepaścią. Wszystko to jest wyrachowane naprzód, wszystkie katastrofy obliczone co do sekundy, według najprostszej formułki algebraicznej, a w kalendarzu negocjanta są naprzód wpisane i oznaczone zaćmienia parcjalne i totalne — bankructwa, subhastacje. Są nawet wymienione osoby, na których imię dobra kupione być mają i kto będzie ich administratorem.

Wszystko to dzieje się z nadzwyczajnym porządkiem, z pozorami szlachetności i ofiary bezinteresownej.

Za egidą tego wszechwładnego sztandaru sypią się koloniści jak mrowisko i osiadają na olbrzymich szkieletach polskich posiadłości. Ogryzują do szczętu każdą żyłkę polską,

zacierają dawne nazwiska, cudzoziemczą lud, walą zamki i grobowce, i z każdym rokiem posuwają granicę narodów coraz dalej na wschód, a z ziemi utraconej rozchodzi się coraz więcej tułaczów i sierot bez progów rodzinnych!

Mimo to rzadko kto poznał postępującego naprzód nieprzyjaciela. Kredyt, który szedł przed nim, bardzo przypadł mieszkańcom do smaku. «Après nous le déluge», mówili jedni i brali pełną garścią z bezdennych skrzyń tego kredytu; inni mniemali swój majątek oczyścić i rozprzestrzenić go; drudzy wpisywali się do przedsiębiorstw, które miały im przynieść zyski dwukrotne. «Goliat» wszystkim dawał i uśmiechał się, bo miał już naprzód wyrachowaną subhastację, wiedział dzień i sekundę, w której kredyt jego musi zabić nieomylnie wierzyciela.

Kredyt w przedsiębiorstwach przemysłowych może być wielkiej wagi, ale rolnika kredyt zabija. Mianowicie rolnictwo polskie, nie podniesione jeszcze do przemysłu, najgroźniejszego ma nieprzyjaciela w kredycie. Prosty rachunek może to okazać. Rolnik pożycza w instytucie kredytowym pewną sumę. Jeźli policzy wszelkie poboczne wydatki i stratę na papierach, to procent pożyczki dojdzie do dwunastu, jak się to dzieje z pożyczką, którą zaciągają Galicjanie w banku wiedeńskim. Kapitał ten włożony w ziemię przy polskiem gospodarstwie możeż przynieść dwunasty procent?... Nie jestże to dobrowolne przyłożenie sobie noża do gardła? Nie możnaż tu jak najpunktualniej obliczyć czas koniecznego bankructwa?...

«Goliat» znalazł na polskiej ziemi bardzo dobry grunt do swoich spekulacji. Pomagała mu do tego pochopność nasza do gotowych pieniędzy, a wstręt do pracy i oszczędności, nieoglądanie się na przyszłość, i to życie z dnia na dzień, życie wyczekiwania jakiegoś zwrotu w dziejach ludzkości. Pomagały mu do tego nasze cnoty, gościnność i szlachetność polska, która brzydzi się najmniejszym brudem, kalającym dzisiejsze zyski, która dziś jeszcze ma wstręt od łokcia i lady kupieckiej. Pomagała mu do tego piękna wiara nasza, która chce, aby naród był świątynią, a nie jaskinią handlarzy i wekslarzy. Wszystko to sprzyjało potężnemu «Goliatowi», a z każdym dniem ubywało ziemi ojczystej na kresach wielko-polskich.

Takim był dom «Moses Goliat et Compagnie», owa niezłamana forteca, zkąd cicho i bez huku odbywały się nowoczesne podboje. Napróżno urągały się z wchodzących do kantoru szlachców polskich kamienne karjatydy, napróżno wykrzywiały do nich szydercze twarze, śmiały się z pod gzymsów złośliwe satyry; przyciśniony różnem niepowodzeniem szlachcic wychodził rad z pieniędzmi w kieszeni i zda-

wało się mu, że owe złośliwe karjatydy serdecznie uśmiechają się do niego, że atlasy mrugają mu najszczersze pozdrowienie, a niecne satyry pod dachem trzymają przy głowach zamiast fig i rogów koźlich, rogi obfitości, z których wysypie się szczęście i pokój na zagrożony jego domek biały!...

O! spiesz, spiesz co prędzej do tego białego domku, szczęśliwy człowieku! Żona i dziatki czekają cię niecierpliwie — sąsiedzi układają kulig staropolski! Żonie potrzeba nowych jedwabnych sukien — dzieciom zabawek i stroików — dla sąsiadów wina i pasztecików. Lekarz zaordynował ci kąpiele zagraniczne, twój sąsiad sprowadził z Berlina nowy ekwipaż, na który przecież stać i ciebie!... Żyjemy tylko raz, cóż ztąd, że za kilka, kilkanaście lat obcy kolonista zdmuchnie ślady twoje z tych progów, twoje dzieci pójdą w świat tułaczami — a kraj rodzinny straci kilka piędzi ziemi!... Spiesz się... karjatydy mrugają ci pozdrowienie, poczciwe satyry sypią na twą głowę kwiaty z rogów obfitości, i kwiatów tych wystarczy ci na resztkę życia, wystarczy aż do grobu... a za grobem nie usłyszysz skarg i wyrzutów, choć tam kiedyś obcy pług twoje kości wyrzuci!...

---

Było jeszcze rano. Sześć dolnych okien zasłaniały z wewnątrz czarne, żelazne okienice. Tylko siódme okno było już otwarte. Mali negocjanci krążyli nieustannie w koło tego okna i na zapruszonych szybach zdawali się wyczytywać najświeższe, z wszystkich części świata telegrafowane kursa.

Wreszcie okazała się w oknie mała, podłużna kartka. Tłum ludzi, najdzikszemi namiętnościami szarpany, przycisnął się do żelaznych łańcuchów, tworzących barjerę. Najżarliwszy katolik nie może z większem pragnieniem patrzeć na Przenajświętszą Hostję, z jakiem ta namiętna tłuszcza pożerała oczami ten świstek papieru, przysłany z ostatnich targów pieniężnych.

W oka mgnieniu poczyniono i rozebrano najzawilsze kombinacje, a z gotowym zyskiem w kieszeni rozbiegli się negocjanci, dla wyszukania swoich ofiar nieszczęśliwych.

Tymczasem w fortecy «Goliata» coraz większy ruch, coraz więcej życia. Brzęczą łańcuchy i żelazne zapory, otwierają się drzwi i okna. Kilku zgarbionych biuralistów wsuwa się w wązkie drzwi kantoru, a dwóch olbrzymich stróżów wytacza beczki monety, które pójdą gdzieś w świat jak rozpuszczone sokoły, aby po latach wrócić z łupem do swoich klatek żelaznych.

I znowu cicho i głucho w fortecy «Goliata». W ogromnej, ciemnej sali czernieje się pięć stołów z wysokiemi półkami, za któremi siedzą jakieś duchy niewidzialne. Tylko pięć piór widać, latających po papierze, i słychać ich skrzyp nieprzyjemny. Ogromny zegar stuka w długich odstępach, jakby z uwagą liczył miljony. Czasami z po za czarnego stołu niewidzialnego «dysponenta» wyleci jedna, dwie liczby, jedno, dwa słowa, a cztery piór stenografuje je w oka mgnieniu.

Tak cicho, tak spokojnie — nikt by nie uwierzył, że w tej chwili robią się miljony, a tysiące ludzi, rozproszonych po całym bożym świecie, schodzi na żebraków — że za kilka dni między drobnemi wiadomościami doniosą dzienniki o kilku samobójstwach, kilku nadzwyczajnych wypadkach śmierci...

Tak cicho i spokojnie... słychać brzęczącą złotą muszkę, która za promieniem bożego słońca wcisnęła się między te skrzynie żelazne, aby głosić chwałę Tego, który ją stworzył. Tak cicho i spokojnie... zdala, tam gdzieś pod niebem śpiewa ptaszek o boskiej Opatrzności, która mu dała prześliczne piórka, nakarmiła go i napoiła! Tak cicho i spokojnie... że sercem możesz usłyszeć jęk nieszczęśliwych, których niezbadanemi drogami prowadzi Bóg do wielkich celów swoich!...

Siódme okno, najpierwej otwarte, dawało światło małemu gabinecikowi, który właściwą był siedzibą namiestnika «Goliata». Był to mały, zewsząd żelazem obwarowany pokoik. Pod ścianą stało kilka dużych skrzyń żelaznych, przykutych do podłogi. Przy oknie stało biórko kunsztownej roboty, osłonione kratką żelazną, która w oddaleniu trzymała każdego niepotrzebnego natrętnika.

W tym to pokoiku zwykł przesiadywać sprzymierzeniec «Goliata», Ullrych Warner. Była to nizka figurka, z wiecznie ruchliwą głową i wiecznie mrugającemi oczyma. Na głowie bielała się resztka białych włosów; usta wązkie, złośliwie zakąszone, czyniły go podobnym do uśmiechającego się pod dachem satyra. Brwi jego, jeszcze dosyć ciemne, zniżały się ustawicznie i podnosiły, jak maszynka do rachowania.

Są w mieście ludzie, którzy pamiętają go jako małego negocjanta, co się pieszo wałęsał w Poznańskiem i z szlachtą drobne robił interesa. Z tych drobnych interesików uciułał zapobiegliwy ajent jakąś małą fortunkę i z nią przeniósł się do fortecy «Goliata», który w oka mgnieniu poznał w nim genialnego człowieka. I nie długo trwało, a poczciwy, między szlachtą wielkopolską powszechnie znany Warner, został namiestnikiem na pograniczu ziemi polskiej tej znakomitej firmy europejskiej. Odtąd zaniechał już owych

«drobnych interesów», które reputację jego na straszną próbę wystawiały, i spekulował tylko na wielką stopę. Mimo to wylazł czasem «drobny spekulant» z niego, jeżeli potemu trafiła się dobra sposobność.

Dzisiaj Warner ma dobrą reputację w całej ziemi wielkopolskiej. Szlachta ma u niego otwarty kredyt, jest nawet wspaniałomyślnym, nie jeden majątek chciał z duszy i z serca uratować, ale jakaś fatalność zawsze mu przeszkodziła. Ubolewa on nad tem, że trzecia część obywateli polskich z swoich ziem wywłaszczoną została i zachęca pozostałych do przemysłu i pożyczek we wszystkich instytucjach kredytowych całego państwa, dając na usługę wszystkich swoich krajowych ajentów za opłatą jak najmniejszą. Ubolewa on nad tem, że karjatydy jego kamienicy tak nieznośnie się śmieją, że jego atlasy wystawiają długie do przechodzących języki, i przysięga kilka razy do roku, że się szczerze zajmie radykalną puryfikacją swego domu z tych wszystkich błazeństw swego poprzednika. Ale w końcu myśli, że już za stary do tego i przekazuje tę puryfikację swemu synowi Ottonowi, który oczyści wszystkie te brudy, ciążące na domie Warnerów, i stanie się założycielem czystego rodowodu.

Stary Warner ma rodzinę, ale jakoś najmilej mu tu przebywać. Z pierwszego piętra prowadzą do tego pokoiku schody kręcone, a niemi zaraz z ciepłego łóżka schodzi tutaj i siada, choćby jeszcze nikogo z pisarzów nie było. Tu pije ranną kawę, tutaj każe sobie nakryć do herbaty, a kilku starych negocjantów starczą mu za wszelkie roskosze w kole rodziny. Jakieś dziwne powinowactwo jest między nim, a temi skrzyniami żelaznemi, między zakąszonemi jego ustami, a temi zamkami francuzkiemi, między uściskiem jego ręki, a tym płatniczym stołem marmurowym. Nie dziw, że tu go ciągnie, że tu radby strawić każdą chwilkę swego życia.

Dzisiaj rano zwykłym trybem zszedł z schodów kręconych, a czekając na kawę, wystawił tymczasem zgłodniałym lichwiarzom raport ostatniego targu na giełdzie londyńskiej. Patrzał niejaki czas z widocznem ukontentowaniem na zdziczałe wyrazy twarzy stojących za oknem negocjantów i uśmiechał się spokojnie, jak się uśmiecha stateczny ojciec, patrząc na zabawki kłótliwej swojej dziatwy.

Ta niewinna jednak roskosz poczciwego bankiera zatruta była jakiemś niemiłem zjawiskiem. Cofnął się od okna i poszedł w głąb gabinetu. A wodząc okiem po skrzyniach żelaznych, pomyślał sobie w duchu:

— Gdyby to człowiek mógł się raz pozbyć tych niepoczciwych ludzi i łotrów, którzy jak szydercze karjatydy stoją

przy moim domie! Otton musi to wszystko spuryfikować, ja już temu nie poradzę — dodał smutno po chwili.

I właśnie coś sobie o tych złośliwych, dom jego podpierających karjatydach myśleć począł, gdy się z lekka drzwi otworzyły, a do gabinetu wcisnęła się szydercza twarz satyra o rudych bakenbardach. Bankier zmarszczył brwi, a pomyślawszy jeszcze raz: że Otton dom jego z tych satyrów i karjatyd oczyści, uśmiechnął się dobrotliwie do wchodzącego swego negocjanta.

— No, cóż tam Linku? — zapytał z uśmiechem.

Link stanął z uszanowaniem przy progu, bo wielki miał szacunek dla człowieka, który tak doskonale umie chodzić po tej głupiej sadzy życia ludzkiego, że i prześcieradła nie przedrze i nigdy się nie powala.

— Wróciłeś już z drogi, i jakże ci się tam powodziło? — zapytał znowu ajenta.

— Dobrze i źle, jak to bywa — odpowiedział satyr o rudych bakenbardach.

— Jakie urodzaje?

— Ozimina wymarzła, deszcze ulewne nie dają w polu robić.

Warner zatarł ręce, usta jego zacięły się tem więcej.

— A jak tam karnawał poszedł, huczno?

— Gdzie najmniej było pieniędzy, tam najhuczniej.

— Cóż w Starochowie?

— Starochów pożyczył w komandycie banku berlińskiego. Thunsen za udzielenie podpisu jako osoby stale w Poznaniu mieszkającej i za risico wziął piętnaście procent. Za drugi podpis dano tylko pięć.

— Te karły — krzyknął namiestnik «Goliata» — tyle zarabiają!... A Hoczewo?

— Hoczewo ma na drugi miesiąc subhastę.

— Spodziewałem się tego. A Radziejewo cum attinentiis?

— Ledwo dyszy. Trzy lata był nieurodzaj; tamtego roku zbił grad, dzisiaj wszystko wymarzło, a resztę woda zalała z Czarnowód.

Warner zatarł znowu ręce i pogładził się po piersi na znak, że tak samo pogładziła po sercu jego mowa Linka.

— Rachmil bardzo wiele tam zarabia — mówił dalej ajent. — Pan major nie chce żadnego swego kłopotu wyjawić przed starym Dębiczem, aby mu nie przeszkadzać wiersze robić. Rachmil wie o tem i dobrze każe sobie płacić za to, że przed starym Dębiczem nic nie mówi i wekslem samego majora się kontentuje.

— Mogiły, Radziejewo i Czarnowody, to będzie ładna, okrągła majętność! — mruknął do siebie bankier.

— A margrabia? — zapytał z większą ciekawością i stanął z otwartą gębą.

— Margrabia chce dać dobry przykład swoim ziomkom — rzekł satyr z szyderczym uśmiechem — przyjechał z zagranicy i siedzi w Dąbczynie. Sam wziął klucze od spiżarni i sam dysponuje obiady.

Warnera twarz zbladła, dolna jej szczęka zaruszała się machinalnie.

— Przecież nie zechce pod koniec życia stać się oszczędnym? — rzekł bankier więcej do własnych myśli swoich, niżeli do ajenta.

— Objeżdża codziennie pola i rozpatruje się w gospodarstwie — mówił dalej ajent, a w oczach jego migotał jakiś szatański wyraz.

— Cóż jemu do pól i do gospodarstwa! — krzyknął Warner.

Namiestnik «Goliata» nie mógł opanować uczuć, jakie w tej chwili jego sercem miotały. Zapomniał nawet, że jeden z najpodrzędniejszych jego ajentów stoi przed nim i pilnie na niego uważa. Założył w tył ręce, przeszedł się kilka razy po gabinecie, a stając znowu przed ajentem, wypatrzył się na niego, jakby w złośliwym jego uśmiechu szukał jakiejś utajonej myśli. Link z największą otwartością patrzał w siwe oczy bankiera, a widząc, że tam w głębi śpi coś strasznie ciekawego, ułożył swoją fizjonomję do wyrazu obojętności i rzekł:

— Margrabia mówi, że dla córki musi się oszczędzać, aby jej w posagu zostawić dobra oczyszczone.

— Co mówisz, głupi Linku! — zawołał bankier, szarpiąc ajenta za guzik — on swoje dobra oczyści!

— Ja tego nie mówię, panie Warner — odparł spokojnie ajent.

— A cóż takie głupstwa powtarzasz!

— Ja tylko zdaję raport.

— Masz rację, ty zdajesz raport — mówił bankier, oddalając się od ajenta.

Znowu przeszedł się kilka razy po gabinecie, zaglądnął kilka razy do okna, a pod oknem nie było już żadnej twarzy «drobnych» negocjantów, tylko lud boży ciągnął na targ ulicą. W oknie była jeszcze karta kursów pieniężnych, ale nikt z przechodzących na nią nie zważał, nikt jej nie widział. Bankier uśmiechnął się i pomyślał sobie:

— Głupi gmin! Idzie do żmudnej pracy, lub na targ z garścią zboża, które tyle mozołu go kosztowało, i nawet nie śni się mu o naszym zysku, jaki mamy bez tak żmudnej

pracy. — On nie wie, że ta kartka więcej w tej chwili waży, niżeli dwa rozdziały z ewangelji Mateusza... Głupi gmin!

Gdy tak sobie szczęśliwy bankier myślał, stojąc przy oknie i patrząc na ten «głupi gmin», najpodrzędniejszy jego ajent, stojący przy drzwiach w jak najskromniejszej pozyturze, uśmiechał się złośliwie za jego plecami i mówił w duchu do siebie:

— Głupi Warner! Już go znowu mam w kieszeni. Gdzie idzie o zysk, tam nie może ukryć swoich myśli. Gorączka majątku trawi go nieustannie. On nie wie, że, aby być porządnym człowiekiem, trzeba czegoś więcej. Ja, gdybym to miał, tobym może także chciał więcej pieniędzy, a tak to tylko tyle pragnę, aby robaka zalać. Warner nie wie, że to co mnie i jemu brak, więcej warto, niżeli wszystkie te kartki kursów europejskich! Głupi Warner!...

Zaledwie ajent do swoich myśli zdołał dać wykrzyknik i kilka punktów, obrócił się bankier do niego i z miną nieszczęśliwego człowieka rzekł:

— Już to ja temu nie wierzę, aby margrabia coś podobnego miał mieć na myśli. To byłoby wielkie głupstwo z jego strony.

— Nie jednego uratowało głupstwo! — odparł sentencjonalnie ajent, uśmiechając się do zakłopotanego bankiera.

— Głupstwo, głupstwo — powtarzał bezmyślnie bankier, chodząc po gabinecie.

— Dziedzic z Marcinowa przed pięciu laty, gdy spostrzegł, że źle stoi, zamknął się na wsi, wyprzedał całą stajnię koni cugowych i wierzchowców, pięć lat nie był w mieście, ani nie dawał balu w zapusty, i stanął na nogi.

— To prawda, ale margrabia... margrabia tego nie zrobi, toby nie było dla niego przyzwoitem. Ja właśnie słyszałem, że chcą mu dać order... order nielada... a to wymaga, aby pojechać do stolicy i jakoś żyć z ludźmi... Ale nie, jemu już nie trzeba stolicy. Dąbczyn i tak już przedłużony!... — dodał do własnych myśli swoich bankier.

— Spodziewają się bardzo bogatego zięcia, który Dąbczyn oczyści — wtrącił z obojętnością ajent.

— Co, bogatego zięcia? — krzyknął bankier i odskoczył od ajenta — bogatego zięcia? Kto ci o tem głupstwie mówił? Dąbczyn mój, rozumiesz, Dąbczyn, jakbym go już miał w kieszeni!

Rzekłszy to, poskoczył do biórka za kratką żelazną, a otworzywszy ogromną księgę, począł w niej przewracać, aby naocznie przekonać się, że to, co wypowiedział istotną jest prawdą. Ale snać suma ogólna nie odpowiedziała jego nadziejom, bo czoło zmarszczył i książkę na bok odłożył.

— O bogatym zięciu bardzo wiele mówią — wtrącił znowu ajent.

Bankier na to nic nie odpowiedział, tylko się zamyślił.

— Ale ja mam tu coś ważnego w tej sprawie — rzekł ajent cichym głosem.

Warner założył okulary i wypatrzył się na ajenta.

— Gdym nocował w Radziejewie — mówił dalej ajent — znalazłem szkatułkę z papierami po... po...

— No.... po.... po.... — rzekł bankier z niecierpliwością.

— Po nie... nie... nieboszczyku Górnickim — dokończył ajent i zbladł znacznie na twarzy.

Bankier nie patrzał w tej chwili na ajenta, tylko czem prędzej wziął mu z rąk papiery. Z gorączkowym wyrazem na twarzy przebiegał je, a skończywszy przegląd, przybrał wyraz obojętności, zadzwonił na kawę i rzekł do ajenta:

— To są «drobne interesa», a ty wiesz, że już od dawna ich nie prowadzę.

— Te «drobne interesa« mogą jednak dopomódz do wielkich.

— To prawda... ale... nie mam ochoty do tego.

— Górnicki zarządzał majątkiem margrabiego. Pan kupując od niego Mogiły, kupiłeś oraz wszelkie jego pretensje.

— Tak jest... ale...

— Między temi papierami są kwity margrabiego, które brzmią: « Od pana Górnickiego wziąłem dwa tysiące dukatów, co stwierdzam moim podpisem.» To są prawomocne skrypta długu...

— Mówiłeś, że to są kwity... kwity z oddanych pieniędzy z zarządu dóbr.

— Ja tego nie mówię... i sąd tak nie powie.

I obaj zajrzeli sobie głęboko w oczy.

— Ktoś przecież upomni się o tę szkatułkę — rzekł po chwili namiestnik «Goliata».

— Nikt się nie upomni, bo w tej szkatułce były jeszcze papiery, które wielom ze szlachty nie byłyby na rękę...

Warner przejrzał je szybko i rzekł:

— Przed trzema laty byłyby te papiery co znaczyły, ale teraz są do niczego.

— Przecież...

— Ale interes jest zawsze... «drobny interes» — dodał szybko negocjant, przyciskając papiery żelaznym lwem, bo właśnie na kręconych schodach pojawił się służący z kawą.

Na drugiem piętrze tej szczególnej kamienicy było kilka pokoi umeblowanych z wszelką elegancją. Perskie kobierce zaścielały posadzkę, na ścianach wisiały sążniste zwierciadła, po kątach było pełno świecących małych sprzęcików. Mimo tak wytwornego gustu, znamionującego miękkie, kobiece usposobienie, które odbijało się w całem tem urządzeniu, był to apartament kawalerski.

Porozrzucane krzesła i fotele, tu i owdzie samopas leżące korki od butelek i duszna, mglista atmosfera, okazywały, że niedawno odbyła się tu jakaś zabawa towarzyska. Nawet widać to po samym właścicielu tego kawalerskiego apartamentu. Chodzi on wzdłuż wszystkich pokoi, blady i niewyspany, w rannem jeszcze ubraniu. Jest to przystojny, bladej twarzy młodzieniec. Jakaś miękka, tkliwa dusza obrała sobie to białe, przezroczyste ciało na mieszkanie doczesne. Patrzy ona w jakiemś melancholijnem roztargnieniu przez te duże, jasno-niebieskie oczy, a świat ten tak piękny i rozmaity zdaje się ją nudzić i dręczyć.

Kilka świeżo zapalonych cygar leży na stołach mahoniowych, kawa wychłodła i zsiadła się w szklance, a gospodarz zapomniawszy o jednych i o drugiej, chodzi smutny i zamyślony.

W tem otwarły się drzwi zwolna — do pokoju wszedł namiestnik «Goliata».

— Dzień dobry ci, Ottonie! — zawołał — dzień dobry, mój synu!

Ojciec i syn jakoś obaj dzisiaj zbyt czuli. Ojciec zapewnie rozczulił się, zrobiwszy «drobny interes»; czułość syna mieszkała gdzieś głębiej.

— Dziś miałem brzydki, bardzo brzydki sen! — rzekł bankier, całując syna w czoło.

Młody Warner zmięszał się, spojrzał na ojca badawczym wzrokiem i czekał z niecierpliwością, co dalej powie.

— Brzydki, bardzo brzydki sen. Śniło mi się, że te śmiejące się karjatydy, atlasy i satyry zeszły do mnie, do mego gabinetu i śmiały się ze mnie, śmiały tak długo, aż pot śmiertelny wystąpił mi na czoło.

— Od ich śmiechu? — zapytał Otton.

— Od śmiechu; to nie wiesz, co to jest śmiech, mój synu? Śmiech jest to coś, co zabić może, zabić, mój synu!...

Otton posmutniał i zamyślił się.

— Śmiech może być ostrzejszy od brzytwy... Gdyby wszyscy ci reformatorowie wiedzieli, co śmiechem zdziałać można, nie potrzebowaliby wcale krwi przelewać, ani buntów organizować!

— Do czegoż z tem zmierzasz, ojcze? — zapytał Otton.

— Do czego zmierzam?... Ot, sen opowiadam ci i nic więcej, sen, który mnie trochę uczynił niespokojnym, jak się to zazwyczaj ludziom w moim wieku zdarza.

Otton rzucił się na fotel, podparł ręką głowę i zamyślił się. Ojciec przechadzał się po pokoju i zawsze z pod oka patrzył na syna.

— Te śmiejące się satyry i nieznośne karjatydy, które nasz dom oszpecają, będziesz musiał oddalić, mój synu, gdy tutaj sam gospodarować zaczniesz. Ty musisz to wszystko oczyścić, mnie już na to czasu nie staje — dodał z smutnem westchnieniem.

— Wszak na to nie trzeba wiele czasu — poderwał syn.

— Nie, wcale nie — odpowiedział ojciec z wlepionemi w ziemię oczyma — wcale nie wiele, tylko jednego pokolenia.

— Jednego pokolenia?... o czem mówisz, ojcze?

— Mówię o naszym domu... i o naszem imieniu, mój synu!

— Cóż nasze imię?

— Będzie piękne i znakomite, nie lękaj się.

Otton wypatrzył się na ojca, którego twarz okryła się rumieńcem gorączkowym.

— Nie jesteś dzieckiem, mój synu — ozwał się negocjant — i wiesz, jak się dzisiaj tworzą imiona. Bo dzisiaj to tylko idzie w górę, co własną siłą z gminu się podnosi. Stare herby i szlachectwa upadają, a jeźli kto z gminu zacznie robić pieniądze i przychodzi do wielkiej fortuny, zaraz ludzie złośliwi zwracają na niego oczy i szukają plam na nim, aby się w swojem ubóstwie pocieszyć. U nich każdy, kto przyszedł do majątku, musiał do tego przyjść złodziejstwem, lub zabójstwem.

— Któżby śmiał i poważył się — rzekł Otton, wstając z krzesła.

— Nikt nie poważy się powiedzieć ci to w oczy, mój synu, ale za plecyma pokazują palcami i śmieją się, jak te szydercze satyry i karjatydy.

— Smutne mi rzeczy odkrywasz, mój ojcze, bo w takim razie wolałbym być biednym.

— Ty masz dziwnie głupie serce, mój synu; w tem jesteś kubek w kubek podobnym do nieboszczki matki twojej. Mówię ci, że na to potrzeba jednej generacji i nic więcej. Ze mnie śmieją się i pokazują palcami za mną, a ciebie będą prosić na kanapę; ty będziesz u nich świętym człowiekiem... gdy mnie na świecie nie będzie.

Ojciec i syn zasmucili się wzajem tym dziwnym zwrotem myśli. Po chwili rzekł znowu negocjant:

— Bo to jest już w charakterze ludzi. Gdybyś najpo-

czciwiej do fortuny przyszedł, to ludzie będą stronić od ciebie. A gdy odziedziczysz fortunę, choćby po rozbójniku jakim, to tamto będzie zapomniane, a ty będziesz poczciwym człowiekiem, karmiąc ich i pojąc za pieniądze swego antecesora. Ludzie nie lubią tylko zbrodni z pierwszej ręki, w drugiej ręce przestaje ona być zbrodnią. Rozumiesz mnie, mój synu? Czyli mówiąc po naszemu, ludzie nie lubią zbrodni, kiedy jest jeszcze surowym kapitałem; ale gdy zacznie nieść procenta, to te są już bez zmazy.

— Wszak nasz majątek...

— Nasz majątek — poderwał szybko negocjant — jest czysty jak łza, jak kryształ. Ale ja jestem pierwszy naszego imienia, który ten majątek zrobił. Mnie nie wolno postawić świątyni naszemu imieniu. Ja gromadzę tylko materjały, a ty będziesz budował. Jestem tylko małym Dawidem, a ty będziesz mądrym, pięknym, wysokim Salomonem! Ty zbudujesz świątynię!

Rzekłszy to, wyprostował się namiestnik «Goliata» i z taką dumą stąpał po perskich kobiercach, że nikt by w nim nie poznał owego małego Dawidka, do którego przed chwilą był się przyrównał. Otton jednak jakoś nie kontent był z tej wielkiej roli swojej, jaką nań włożył skromny ojciec. Rzucił się na kozetkę i marząc niby o swojem salomońskiem, oparł głowę o poręcz. Z roskoszą rodzicielską wpatrywał się ojciec w piękną, bladą twarz marzącego młodzieńca.

— Ze mnie mogą się dzisiaj ludzie śmiać — prawił dalej negocjant — mogą za memi plecyma wystawiać języki i figi, jak atlasy i satyry na mojej kamienicy, ale ty Ottonie, ty musisz być czystym jak łza, musisz mieć ładny, nieskazitelny honor i jak najlepszą opinję. Niczego ci nie żałuję. Trać pieniądze, ja tylko możesz, ja będę na nie pracować, a ludzie muszą mówić o tobie, że jesteś noble, jesteś gentleman.

— Już mnie nudzą te pieniądze i ta zgraja nieszczerych przyjaciół.

— To nic, musisz żyć — żyć jak wielki pan, wyrzucać wiele, wiele pieniędzy, aby świat mówił, to krew szlachecka. Prosty parweniusz nie żyłby tak okazale i z takim gustem. Zapraszaj artystów i literatów, każ im pisać wiersze i symfonje, obsypuj ich hojnie, czem możesz: słowami i pieniędzmi... Wszystko to nie jest stracone, jest to kapitał, który z czasem hojny wyda procent. Wejdziesz w modę po wielkich domach, będą cię czcili i szanowali... A to znaczy wiele, bardzo wiele! — dodał negocjant z smutnym wyrazem na twarzy.

Otton zmrużył duże, niebieskie oczy, a przed niemi szli

długim szeregiem artyści, literaci i poeci... szli z nutami oraz książkami w ręku i z skromnym ukłonem, w czarnych frakach i białych rękawiczkach ofiarowali mu dedykacje, utwory, obrazy...

— Tylko musisz się strzedz «drobnych interesów» — mówił dalej negocjant — bo te niepotrzebnie walają człowieka.

Westchnął stary bankier i zamyślił się na chwilę, poczem dalej mówił:

— W takim razie możesz ożenić się z panną znakomitego rodu, z kamienicy zrzucisz te nieznośne karjatydy i satyry, a dasz marmurową kolumnadę i napiszesz nad nią: Hotel Warnerów.

Młodzieniec, siedzący na kozetce, skrzywił się na tak łudzącą propozycję; zdawało się, że ta marmurowa kolumnada i ten napis nad nią krzyżowały mu coś, co sobie wewnątrz serca zapisał. Nie widział tego jednak stary negocjant, bo oszołomiony marmurową kolumnadą i napisem nad nią, tak z góry stąpał po perskim kobiercu, jakby istnym był Goliatem, depcącym gruzy rozwalonej świątyni, która go przed chwilą żywcem pogrześć chciała. Uczyniwszy zadość swemu wzburzonemu sercu, stanął przed kozetką, a wlepiwszy wzrok swój w twarz rozmarzonego młodzieńca, zawołał nagle:

— Ottonie!

Młodzieniec podniósł się z kozetki, głos ojca zapowiadał mu coś nadzwyczajnego. Jakby miał coś na sumieniu, spuścił oczy i począł się bawić poręczą kozetki.

— Ottonie! — mówił negocjant tym samym uroczystym głosem — Ottonie, wyznaj mi szczerą, świętą prawdę!

— Słucham cię, ojcze — odparł zmięszany nieco młodzieniec.

— Ottonie, czy twój honor jest czysty dotąd?

— Mój honor... nie czuję się winnym niczego.

— Wiem bardzo dobrze, żeś nic takiego nie uczynił, coby mogło twój honor splamić... Ale Ottonie, ja rozumiem pod honorem ten honor noblesy, który się plami, gdy się kto otrze o niego nieprzyzwoitem słowem.

Młodzieniec milczał.

— Nasz honor, honor kupiecki, honor negocjanta, jest to rzetelność w wypłacaniu i nic więcej. My na słowa nie zważamy. Ale ty, Ottonie, musisz okazać światu, że masz tak samo drażliwą krew jak i szlachta, bo ja... ja myślę o tytule dla ciebie.

Nawet promesa tytułu nie mogła młodzieńca wyrwać z dziwnego zamyślenia.

— Ottonie, powiedz mi prawdę, czy masz ty ten honor szlachetny, tę krew drażliwą?

— Nie wiem jakbym się znalazł, ojcze — odpowiedział nieśmiało młodzieniec.

— Czy nigdy jeszcze cię nie obrażono? — pytał dalej ojciec, wlepiwszy w syna duże, siwe oczy.

Młodzieniec patrzył w ziemię, na jego pięknej twarzy było widać jakąś walkę.

— Ottonie, twoje milczenie pali mnie jak ogniem.

— Ojcze!

— Mamże się wyrzec wszelkich moich nadziei?

— Ojcze kochany!

— Maż w tobie być krew «drobnego negocjanta», który za grosz dziesięć razy przysięgnie i da się wybić?

Młodzieniec podniósł z dumą głowę do góry, jego niebieskie oczy zaszkliły się wyrazem szlachetnym.

— Nie wiem, ojcze — rzekł — do czego zmierza dzisiaj twoja mowa. Lękam się, że właśnie może chcesz mi stanąć w drodze do obronienia mego honoru.

— Od dziesięciu dni słyszę o nieporozumieniach twoich z panem Von der Mark.

— Te nasze nieporozumienia, ojcze, zakończą się pojedynkiem — odrzekł młodzieniec z całą spokojnością.

— Pojedynkiem! — krzyknął negocjant, a na twarzy jego walczyły z sobą dwa sprzecznych uczuć wyrazy.

— Pojedynkiem — odparł młodzieniec, biorąc ojca za rękę i patrząc z obawą w siwe jego oczy — pojedynkiem, a spodziewam się, że ojciec więcej kochać będzie imię Warnera, niżeli syna.

Śmiesznie wyglądał w tej chwili poczciwy negocjant. W jego sercu za mało było miejsca dla takiego heroizmu, aby za przyszłość domu swego stawić na kartę życie jedynaka, a wiele było w niem żądzy poczciwości i dobrej reputacji tego imienia. Było to gorączkowe pragnienie chorego za czemś, co mu właśnie odjęto. Była to nieodparta żądza roskosznicy za świątobliwością przy kresie życia. Do tego i miłość rodzicielska siedziała jeszcze gdzieś tam w kąciku jak moneta miedziana w skrzyni żelaznej. Negocjant w strasznym był kłopocie. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi od syna; zaskoczyła go nieprzygotowanego. Otton zaś był tego mniemania, że ojciec chce od niego tem postępowaniem wyłudzić tajemnicę pojedynku, aby go potem udaremnić.

Powoli przyszedł negocjant do siebie. Otarł pot z czoła chustką jedwabną i usiadł na kozetce. Uczucie dumy imienia przemogło w jego sercu.

— Pójdź do mnie, Ottonie — rzekł do syna — pójdź,

niech cię ucałuję. Nie mam siły, abym wstał, bo mi nagle coś w nogi wlazło; kocham cię, mój synu, kocham cię, jak król swego następcę, i dla tego pragnę, abyś się strzelał jak szlachcic, abyś przed całym światem okazał, że w tobie nie ma krwi «drobnego negocjanta», ale krew piękna, szlachecka.

Młodzieńcowi puściły się łzy z oczu, przytulił twarz do tego serca, które firmę tak ukochało, że za nią nie wahało się postawić życia syna na kartę...

Kilka chwil trwało milczenie. Poczem przyszedł najprzód ojciec do siebie, a otarłszy oczy, rzekł:

— Ty musisz się strzelać, Ottonie, ja dam tysiąc talarów dla ubogich, dwa tysiące na szpital... dam wiele, dam, abyś wyszedł szczęśliwie z pojedynku. Ale nie myśl, że się strzelasz dla tej błahej mary, która ci od niejakiego czasu po głowie lata! Wiem ja o tem, wiem!

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem.

— Wiem ja Ottonie, wiem — mówił dalej negocjant — że panna margrabianka zajrzała ci w oczy, ale z tego nic nie będzie, nic!

— Ojcze!

— Margrabia jest człowiek dumny, a nie ma ani grosza. Jeźli ci się podobał Dąbczyn, to go będziesz miał. Zostaw to ojcu. Będziesz mieszkał w zamku polskim i będziesz panem. Ale ubogiej żony, a kapryśnej i dumnej nie potrzeba tobie. Ty możesz się ożenić z dziewczyną znakomitego rodu, dawnego, starego szlachectwa, z takiego domu, który jest w łaskach i dostojeństwie u dworu. I na ciebie w takim razie spadną zaszczyty. A margrabia z Dąbczyna jest dom upadający, a to, co upada, nie podnosi nigdy nikogo, tylko porywa w przepaść!...

W tej chwili wszedł galonowy służący do pokoju i dał znać bankierowi, że goście się schodzą i do obiadu już się nakrywa.

---

Pokoje, w których ojciec z synem tę poufną prowadził rozmowę, tworzyły tylko gościnny apartament Ottona, gdy z Mogił do miasta przyjeżdżał. Główne salony bankiera były na pierwszem piętrze. Składały się one z sześciu wielkich pokoi w amfiladzie, a kilku pobocznych saloników.

W samym rogu, z małym zaszklonym balkonikiem, z którego bucha woń kwiatów rozkwitłych, jest mały, lecz z wielkim przepychem urządzony pokoik. Wszędzie perskie kobierce, wszystko szkli się od srebra i złota. Jest to buduar młodej kobiety.

Gdzież ona? Szukamy ją na adamaszkowej kanapce w prześlicznej sukni à la bajadere, w czerwonych, złotem haftowanych pantofelkach, z najświeższą Edmunda About powieścią w ręku... szukamy ją z pędzlem w ręku i paletą, siedzącą przed trójnogiem i wpatrującą się okiem artystki w zawieszony przed nią oryginał gorącego Murilla... albo szukamy ją przy biórku misternej roboty, siedzącą z opartą na drobnej rączce głową, zamyśloną i dumającą nad jakimś listem treści zagadkowej, który po raz dziesiąty czyta i czyta... Ach nie, takiej kobiety nie znajdziemy tutaj.

Jest ona w tym cudownym buduarze, piękniejsza od wszystkich tych pięknych gracików, ale nie czyta «Tolli», nie kopjuje Murilla, ani nie marzy nad listem zagadkowym. Smukłej postaci, pełnych kształtów, rumianej, okrągłej twarzyczki, w której maluje się szczerość i dobroć serca jak na dłoni, stoi ona przy dużej, mahoniowej szafie i z ostrożnością systematycznej gospodyni wybiera z półek srebra. Na sobie ma suknię ze zwykłej szkockiej materji, w duże, trochę jaskrawe kraty; ładną główkę ujmują w czarne ramy gęste włosy, zaczesane à la Valois. Na sukni jest prowizoryczny fartuszeczek z ciemnej materji, aby chronić suknię od różnych przygód gospodarskich.

Koło niej stoi młody, piękny mężczyzna. Jego włosy śmiało w tył zarzucone i niedbale zagięty kołnierz od koszuli, jako też i proste zawiązanie chustki przy braku wszelkich innych błyścidełek, okazuje jasno, że do stanu kupieckiego nie należy, ani nie jest «drobnym negocjantem». Z oczu nieco wklęsłych, z kilku zmarszczkami na pięknem, otwartem czole, można wnosić, że ten młody człowiek obrał sobie daleko mozolniejszą drogę na tym nędznym padole płaczu, jak ją mają kupczykowie i «drobni negocjanci». Jest to jeden z zastępu tak zwanej inteligencji, doktor filozofji i docent na jakimś wydziale naukowym. Możnaby go podejrzywać, że jest literatem, a przynajmniej poetą bezimiennym. W piśmie perjodycznem «Thalia» pojawiają się od czasu do czasu ładne, tylko trochę nadto transcendentalne wierszyki, które piękna jego sąsiadka w sekrecie mu przypisuje. Ale poeta bezimienny wypiera się swoich wierszy, a pięknej narzeczonej zamyka usta pocałunkiem. I trudno nawet wiedzieć, dla czego piękna narzeczona tak zawsze o tych sierocych wierszach z nim mówi. Czy tak lubi literaturę, czy jego pocałunki?...

Ładna, młoda Matylda zagląda do szafy z całą systematycznością swego pochodzenia, wyjmuje i ociera różne srebra i stawia je na dużym stole. To zatrudnienie przypada jakoś do jej rumianej, okrągłej twarzyczki; wie ona dobrze o tem, i patrząc na pięknego młodzieńca, uśmiecha się filu-

ternie. Młody doktor podziwia jej śliczne dołki po obu stronach twarzy i z niemałem zadowoleniem spostrzega, że ma wszystkie zęby, co bardzo rzadko wydarza się u córek germańskiego szczepu.

— Matyldo — rzecze młody docent — dzień dzisiejszy jest dla mnie początkiem owej błogiej nieskończoności, która jest podstawą wszechświata, na której ów Nieskończony, Niepojęty i Niestworzony, owa nietyczna troistość, założył wielkie dzieło swoje...

— Walterze — odpowie piękna narzeczona — dzisiaj będziemy mieć licznych gości. Te srebra bardzo się dobrze wydadzą, kosztują ojca bardzo drogo i są przeznaczone na moją wyprawę.

— Ten srebrny blask przypomina mi owe przyćmione światło księżyca, które jest obrazem absolutnego rozumu. Nie ma w niem owego czerwonego gorąca, jakie jest w świetle fantazji i serca, ale za to ono nie spełznie, jak pełzną wszelkie barwy, pożyczone od ziemi; ono jest wieczne, czyste i trzeźwe, jak moja miłość dla ciebie, droga Matyldo!

— Czy znasz ty, Walterze, pana Tamimischel? Ach, to dziwny człowiek! Na obiad je tylko knedle z cynamonem. Musiałam osobno kazać dla niego zrobić knedle.

— Pan Tamimischel, Matyldo, to człowiek wielkiej erudycji. On pierwszy dowiódł dokumentnie, że Cyceron miał piękną wilę w Pompejach, niedaleko domu Djomedesa, na lewo od wili tragicznego poety. W jednej bowiem jego mowie przeciw Katylinie jest wspomniane o czarnym psie — a taki sam czarny pies namalowany jest na domie tragicznego poety, i niezawodnie musiał mieszkającemu w sąsiedztwie Cyceronowi dać pochop do użycia tego przyrównania...

— Tfe, mówisz dzisiaj o psach...

— Ba, ale to nie prosty pies, to pies Cycerona, a Cyceron to przecież?...

Jakoś nudnym wydał się dzisiaj pięknej Matyldzie jej narzeczony. Użyła więc zwyczajnego swego talizmanu, aby młodego docenta czem prędzej z wykopalisk Pompejów i z domu Cicerona wyprowadzić.

— W onegdajszym numerze «Thalji» czytałam znowu piękne wiersze — rzekła z filuternym uśmiechem, przy którym uczony doktor ujrzał dwa prześliczne dołki i dwa tuziny najbielszych ząbków.

— Co za wiersze? — zapytał zmięszany nieco docent.

— Umiem je na pamięć, choć mnie to nieco pracy kosztowało. Tytuł: «Trójca katolicka»:

Trzy epoki życia, to Bóg troisty,
Nikt nie rozumie dziś tego mytu —
Bóg-starzec-dziecię; Syn-młodzian skrzysty,

Duch święty, który u życia szczytu,
Wstępuje na nas jak gołębica —
To wiek, gdzie tylko rozum przyświeca.

Docent zarumienił się, wziął piękną deklamatorkę za pulchną rączkę i zamknął jej usta prozaicznym pocałunkiem. O ten może najwięcej chodziło pięknej Matyldzie, więcej jak o wyrecytowaną poezję i psa Cycerona. Była zbyt przekonaną o tym swoim talizmanie, że uczonego docenta sprowadzi na ziemię jak drut miedziany elektryką.

I w samej rzeczy nie zawiódł ją ten wyborny eksperyment. Uczony docent, dotknąwszy się różanych ust pięknej Matyldy, uczuł jakby iskrę z stosu galwanicznego, która wpadła nagle do jego szopy mozolnie uzbieranych cytat i różnych rupieci klasycznych i w oka mgnieniu wszystko do góry nogami powywracała. Jakiś przyjemny prąd przebiegł przez jego nerwy, a gdy jeszcze raz te piękne, różane usta pocałował i potem na świat spojrzał, wydał się mu ten świat tak piękny i przyzwoity, chociaż świat ten był bez Hegla i Szellinga, chociaż nie miał cytat uczonych i odnośników do autorów klasycznych.

Piękna Matylda cieszyła się rozpromienionem obliczem swego Waltera, i aby ową «troistość mityczną» jak najbliżej w życiu zaaplikować, pocałowała go po raz trzeci i tym ostatnim ciosem dobiła całą książkową erudycję biednego docenta, który na jutrzejszej prelekcji w niemałym ztąd będzie kłopocie.

— Za dwa miesiące będziesz moim mężem — szepnęła Walterowi do ucha zapłoniona dziewica.

— Za dwa miesiące! — westchnął biedny docent.

— Będziemy tymczasem mieszkać w Mogiłach.

— W Mogiłach! — powtórzył szczęśliwy kochanek, nie wiedząc znaczenia tego słowa.

— Bo ojciec zamyśla kupić Dąbczyn dla Ottona. Wtedy będą Mogiły nasze.

— Mogiły nasze!

— Nieprawdaż, będziemy bardzo szczęśliwi!

— W Mogiłach!

— Posadzki będą woskowane i nakryte kobiercami.

Docent uśmiechał się i zadumał.

— O godzinie ósmej będziemy pili kawę, z dobrą, wiejską śmietanką, którą ja sama zbierać będę.

Docent uśmiechał się ciągle.

— O godzinie pół do pierwszej przyjdzie na stół waza, a ja przyjdę do twego gabineciku i zawołam: «Doktorze, czas do obiadu!...» A na obiad będzie zupa piwna, paszteciki w naleśnikach, rozbratle z chrzanem i buchty z szodo.

Docent patrzył z wytężonem okiem w tę szczęśliwą przyszłość.

— O godzinie czwartej — szczebiotała dalej piękna Matylda — będziemy pili kawę, prawdziwą Mokka, a ty będziesz przy niej palił cygaro amerykańskie... i będziesz się pieścił ze mną, nie prawdaż?

Docent uśmiechnął się, lecz oczy jego patrzyły gdzieś po za dwa miesiące.

— O godzinie ósmej będziemy wieczerzać. Co ty lubisz na wieczerzę, kochany Walterze? — zapytała Matylda, przymilając się do zamyślonego narzeczonego.

Walter wziął ją za rączkę i po raz czwarty ucałował jej usta różane, ale o wieczerzy nic jej nie powiedział.

— Co ty lubisz na wieczerzę? — powtórzyła zapytanie Matylda.

Czwarty pocałunek nie był jakoś tak skuteczny jak pierwszy. Oszołomiony na niejaki czas docent, przyszedł znowu do siebie, jego transcendentalna jaźń odrodziła się znowu jak Fenix, tylko odrodziła się jako czysty duch filozoficzny, bez balastu cytat uczonych.

— Matyldo — rzekł uroczyście — idąc tam na wschód, bierzemy na siebie wielką missję. W kraj ciemny i barbarzyński idziemy jako pochodnie światła, aby jego ciemności rozświecić. W naszym pędzie, w tem naszem parciu na wschód wyraża się najpotężniejsza idea nasza, kwiat naszej germańskiej oświaty. Owe «excelsior», które dotąd wszystkich naszych wielkich filozofów w obłoki unosiło, zamienia się na «wszerz» i zajmuje coraz więcej miejsca. My pójdziemy w kraj ciemnoty i przesądów, pójdziemy skromnie jak kartagińska Dydona, która tylko o tyle prosiła ziemi, ile jedna skóra zajmie. I nam dadzą tam tylko kilka pól ornych, kilka łąk i drzew kilka. Ale jak owa skóra przemyślnej Dydony rozcięta na rzemyczki, zajęła cały obszar przyszłej Kartaginy, tak i kultura nasza rozszerzona w niezliczone pasma, powinna objąć ten kraj z końca do końca i uczynić go naszym wazalem. W czasach barbarzyństwa myśmy byli hołdownikami ich Jagiełłów i Zygmuntów — w epoce potęgi duchowej wejdziemy w ich kraj jako apostołowie cywilizacji, niosąc im dobrodziejstwo światła.... Tak, Matyldo droga, ta jest idea, ten jest cel naszego parcia na wschód.

Piękna Matylda zamyśliła się strasznie po tej szczególnej harandze kochanka. Spostrzegłszy to docent, ucałował ją raz jeszcze i zrozumialszym do niej rzekł językiem:

— Tak, piękna Matyldo. Będziemy dobrodziejami tego poczciwego, ale strasznie zaniedbanego ludu. Postawimy mu

szkółkę i zapłacimy nauczyciela. Na egzaminie będziesz rozdawała dzieciom nagrody. Będziemy pamiętać o ubogich, bo w obec Boga wszyscy są nam równi. Wieśniaka nauczymy uprawiać ziemię, nauczymy go oszczędności i pracy, czego nie nauczył go polski dziedzic. Z sąsiadami, Polakami, będziemy żyć w zgodzie i przyjaźni, pamiętając im te zasługi, które oddali całej ludzkości, oswabadzając Wiedeń od panowania tureckiego. Nie będziemy z tego dumni, że jesteśmy wyżsi cywilizacją, bo oni temu niewinni... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!...

Matylda przytuliła się do piersi kochanka, którego słowa były już zrozumialsze i łagodniejsze. Nie dziw, miłość łagodzi wszelkie namiętności i podaje słowa proste, zrozumiałe. Rozmarzony Walter mówił dalej:

— Rano, gdy jeszcze srebrna świeci rosa, wyjdziemy na ganek przed naszym domkiem. I będziemy przysłuchiwać się budzącej naturze, będziemy słuchać jak jej wdzięczne akordy rosną i rosną... do szeptu liści, do szmeru traw przybywa piosnka skowronka... tam kruk się ozwie, tam kukułka, a liczną trzodę uderzy wielkie, okazałe «tutti»... Nieprawdaż Matyldo, będziemy szczęśliwi!...

— W Mogiłach! — wyszepnęły drżące usta dziewicy.

W tem służący zapowiedział przybyłych na obiad gości.

---

Matylda odpięła prowizoryczny fartuszek, spojrzała do zwierciadła, czy niegodziwy Walter nie zostawił na jej różowych ustach jakiego zapomnianego pocałunku, a przygładziwszy włosy, podała ramię narzeczonemu i bardzo rozsądnym krokiem weszła do salonu. Walter tylko w przelocie uporządkował swoją doktorską czuprynę, bo podróż do salonu wydała się zbyt krótka, aby cały swój ubiór przeglądnąć.

W salonie przyjmowała już gości stara ciotka, jak ją powszechnie w domu nazywano, a na której, prócz starych i nieco defektowych zębów, wcale jeszcze starości nie było widać. Była to okrąglutka, czerwona jejmość i jak Matylda słynną była z dołków swoich, ale nie z dołków na twarzy, lecz z wybornych dołków z powidłami, na które miała własny sekrecik i zawsze je własnoręcznie robiła.

Miał to być obiad okazały, na którym zgromadzonym znakomitościom miał stary Warner zaprezentować przyszłego męża Matyldy.

I w samej rzeczy zgromadzenie było okazałe. Szlachta nie dostawiła wprawdzie swego kontyngensu, ale też stary

negocjant nie miał nawet do tego pretensji. On to wszystko przekazał synowi; Otton miał dopiero z krwią szlachecką się pobratać. Negocjant korzystał z tego swego położenia i wszystkim prawił do ucha, że on tylko osobistą zasługę ceni i ją proteguje.

Otóż z ludzi czysto osobistych zasług byli: Jakiś radzca byłej marynarki niemieckiej. Przedtem był redaktorem jakiegoś pisemka. Wywansowawszy na radzcę floty, pokochał strasznie morze i mówi o niem dniem i nocą. Ubolewa on, że do floty związkowej nie przyszło, ale ma nadzieję, że to prędzej, czy później koniecznie nastąpić musi.

Za nim stoi intendent ewangelicki, mąż pełen racjonalnej pobożności. Pisze on dzieła uczone przeciw katolicyzmowi i obciąża je na okładkach dokumentami, branemi wprost z biblioteki watykańskiej. Jest on tego zdania, że zakon krzyżacki dopiero w wyznaniu ewangielickiem znalazł prawdziwą swoją misję i jako taki odżyje duchowo, jeźli się na wschód zwróci.

Dalej: W długim, czarnym fraku, białej chustce i białych żabotach, a czarnych rękawiczkach, to emeryt, profesor filozofji, który będąc «burszem», mieszkał razem z Heglem i z nim fajkę palił. Z nim rozmawia także emeryt łysy, z długą twarzą, kubek w kubek do księdza Alby podobny. To były profesor historji powszechnej, dzisiaj właściciel skromnej kamieniczki, którą wziął ze żoną. Pamięta on dobrze Rotteka, lecz rzadko o nim mówi, bo wydział publicznego bezpieczeństwa i porządku miał z tego powodu nie jedną z nim konferencję. Stary emeryt bowiem uchodzi tam za zapaleńca i dla tego nie dobrze jest notowany. Mówią nawet, że w skutek tej energji młodzieńczej dostał przed czasem emeryturę.

Ten z pełną, okrągłą, gładko ogoloną twarzą coś na Anglika zakrawa. To ekonomista, zasiadał w konferencjach związku cłowego. Przy nim, jakby dla kontrastu, stoi blady, melancholijnej twarzy młodzieniec. Włosy ma w tył zarzucone w długich, połyskliwych kędziorach. Postawa jego jest tragiczna, chustka pod szyją na pół rozwiązana. To tenor liryczny i pierwszy kochanek opery.

Tam nizki, pękaty człowiek z ruchomą fizjonomją wysuwa się z kąta i ukośną linją zbliża się do intendenta ewangielickiego. Ściskają się za ręce i mówią z sobą poufale, jakby byli z jednego cechu. Gdzie tam! To pierwszy komik sceny tutejszej, komedjant jakich mało!

A ten w wytartym żołnierskim mundurze? To ofiara nieporozumień narodowych. Poszedł on za głosem narodu i rządu, poszedł do Szlezwiku i przyniósł ztamtąd dwie kule w boku, stary mundur i patent na skromną pen-

syjkę, jako niełaskę dworu. Bohater szlezwicki wałęsa się dzisiaj po dobrych obiadkach, bo w jego domu głód i nędza.

W perspektywie widać jeszcze kilku «drobnych negocjantów». Wyglądają dobrze i rumiano, a nawet są dobrej tuszy. Uciuławszy sobie po kilkakroć sto tysięcy, stanęli u kresu marzeń swoich, uspokoili się na duchu i roztyli się na ciele. Brzuchy swoje, którym dzisiaj najwięcej poświęcają czasu, okrasili rajskiemi jabłkami i złotemi brylokami. Pysznie i okazale wyglądają w oddaleniu, na tle czerwonych tapetów salonu. W salonie obok inteligencji lub szlachty czują się jakoś żenowani, ale za to na ulicy, to panowie całą gębą. Tam to widział ich Heine i napisał o nich:

Cigarren tragen sie im Maul',
Und in der Hosentasch' die Händ',
Auch die Verdauungskraft ist gut,
Wer sie nur selbst verdauen könnt'.

Jeszcze «dysponent» z po za czarnego stołu i kilku poufniejszych przyjaciół Warnera, a będziemy mieli cały obraz tych znakomitych gości, zgromadzonych w kamienicy o śmiejących się karjatydach.

Stary negocjant uwija się na wszystkie strony. Każdemu szepnie coś do ucha, tego za rękę ściśnie, tamtemu głową przesyła swoje powitanie.

Otton tylko chodzi po kątach salonu smutny i zamyślony. Jakaś złowieszcza mara snuje się za nim i niepokoi go. Tam w dali, w białej, przezroczystej szacie miga przed nim postać pięknej dziewicy... wychylającej się ku niemu z okna dąbczyńskiego zamku... a ojciec przechodząc koło niego, uderza go po ramieniu i szepcze mu do ucha:

— Ottonie, to mary i nic więcej! Ona nie będzie twoją żoną!...

Młodzieniec się wzdryga, ucieka do innego kąta salonu, jego serce chce rozbić pierś bolejącą... I widzi tę samą postać, oddalającą się od niego, widzi zamek dąbczyński, który coraz więcej niknie w mgle białej... a za jego plecyma znowu ojciec, znowu szepce mu do ucha:

— Ottonie, Dąbczyn będzie twój, kupię ci Dąbczyn!

Otton ucieka do drugiego salonu i tam jakaś mara złowieszcza ciągnie się za nim. Widzi przed sobą zamek dąbczyński, widzi Janinę, widzi bogactwo i dostatki... a tuż przed nim staje szlachcic niemiecki — mierzą kroki, biorą pistolety... któż padnie?...

Młodzieniec się wzdryga, patrzy do drugiego salonu i widzi tam ojca, uśmiechającego się i szczęśliwego, który mruga do niego i zdaje się mówić:

— Musisz się strzelać, abyś okazał światu, że w tobie nie ma krwi «drobnego negocjanta»... aby firma Warnerów ztąd chwałę odniosła!...

Otóż i pan Tamimischel! Poczciwy, uśmiechający się staruszek. Ma on przed sobą długą, czarną, atłasową kamizelkę z drobniutkiemi, zielonemi kwiateczkami, i długi fontaż z białego batystu; za nim widać długi, bronzowy frak; pod nim chwieją się długie nogi, a na jego poczciwej twarzy rozparł się długi, złośliwy nos, jak greckie Y. którego wielkim jest nieprzyjacielem uczony filolog. Pan Tamimischel był przyjacielem Tauchnitza i razem z nim pracował nad stereotypowem wydaniem klassyków. Ale przyjaźń ta rozerwała się. Niedawno krytyk polski powiedział zbyt naiwnie, że autor nie może nic innego stworzyć nad to, co w nim samym jest z urodzenia. Pan Tauchnitz był tego samego zdania; uczone bowiem noty pana Tamimischel były wszystkie tak długie, jak jego frak bronzowy, jego fontaż, westa, nos i nogi.

Pan Tamimischel dał hasło do obiadu. Usiedli wszyscy, odkrząknęli, położyli serwety na kolana, prócz starych emerytów, którzy je na szyi zawiesili.

Obiad szedł zwykłym trybem. Półmisek za półmiskiem, jedno wino za drugiem, a konsekwentnie także lokaj za lokajem. Goście jedli według systematu przyjętego przez cywilizację europejską, używając łyżek, noży i widelców; tylko starzy emeryci i kilku «drobnych negocjantów» w zbyt zawiłych sytuacjach dopomagali sobie palcami, przeciw czemu wcale nic nie miała jedząca powszechność. Wyznawano bowiem absolutną wolność każdego indywiduum w zakreślonych sobie granicach. A że wolność i granice nigdy z sobą w parze nie chodzą, mimo wszelkiego filozoficznego ich orzeczenia, dał jasny tego przykład pan Tamimischel, autor niedrukowanych notat do wydań Tauchnitza. Obracając bowiem swoje knedle z cynamonem na talerzu, w taki wprawił je wir szalony, że jeden z nich umknąwszy z talerza, przeleciał po nad sznycel sąsiada i tuż jak bomba uderzył przed nosem radzcy-marynarza, który właśnie marząc o flocie zjednoczonej, prowadził rozlaną wodę aż po za talerz starego emeryta, aby dla tej floty utworzyć morze przyzwoite i spokojne. Otóż okazało się, że człowiek bez ustaw, ograniczających jego wolność osobistą, ani obiadu zjeść nie może, i okazało się niemniej, że absulutna wolność każdego z osobna jest wprost niemożliwą, bo każdym ruchem wkrada się w terytorjum sąsiada, jak tego dowiedli pp. Tamimischel i radzca marynarki. Pan Tamimischel jednak, myśląc nad swoim knedlem i absolutną wolnością, pocieszył się reminiscencją z swoich materjałów klasycznych. Przypominał on

sobie, że Katon i Cyceron byli gorliwi miłośnicy wolności absolutnej. Gdy jednak Cezar tę wolność z Rzymu wyrugował, Katon z boleści za nią brzuch sobie rozpruł, a poczciwy Cyceron, stojąc w antyszambrze Cezara, uspokoił swoje sumienie tem rozumowaniem: że jakkolwiek wolności absolutnej już nie ma w Rzymie, nie przeszkadza to jednak prawemu Rzymianowi, aby się w sobie i dla siebie czuł absolutnie wolnym.

Tak myślał sobie pan Tamimischel, uchwyciwszy zbiega przed talerzem radzcy marynarki i przeniosłszy go na swój talerz z niebieskiemi kwiatkami, na którym posiadał absolutne jus gladii.

Gospodarz był rad gościom, mimo to przestrzegał starannie granic każdego z osobna, aby cała uroczystość odbyła się przyzwoicie i bez polemiki w czasopiśmie «Thalia». Po raz dziesiąty przedstawiał zgromadzeniu swego Waltera, a przyszłego męża Matyldy i rozgadał się przy tej sposobności, jak wysoko ceni naukę i doktorat, jak wielką potęgę całej narodowej przyszłości widzi w owych łysych, okularami opasanych głowach doktorów uniwersyteckich, którzy jako kapłani egipscy stoją na straży przy piramidalnych systematach rozumu ludzkiego. A zapomniawszy się nieco i podpiwszy sobie, mówił dalej, że tylko w synie całą swą nadzieję pokłada, że w nim widzi moralnego restauratora firmy i założyciela przyzwoitego rodowodu Warnerów... Że córka w każdym większym domie handlowym nic nie znaczy, jak n. p. u arystokracji angielskiej, że chętnie wydałby ją i za bednarza, byle tylko firma i majątek niepodzielnie przy synie pozostały.

Szczęściem, że rozochocony gospodarz mówił to tylko «drobnym negocjantom», którzy przy nim na szarym końcu stołu siedzieli, bo inaczej poczciwy docent bardzo by się tem zasmucił.

A gdy rozmowa stawała się powszechniejszą w miarę tego, jak który już zaspokoił swój głód i pragnienie, opowiedział szczęśliwy gospodarz w kilku sumarycznych rysach powodzenie firmy «Goliat et Compagnie», co do interesów w pogranicznej, polskiej prowincji. Mówił, wiele w przeciągu ostatnich lat majętności polskich przeszło w posiadanie gospodarzy niemieckich, wiele było dobrowolnych sprzedaży, a wiele subhastacji sądowych. W tem wszystkiem wielki udział miała firma «Goliat et Compagnie», i przez wszystkich swoich ajentów pomagała rozszerzeniu porządnej cywilizacji i kultury w ziemi tak zaniedbanej! Opowiadał dalej, jak dobre interesa można robić w kraju, w którym drobne namiętności niesłychanie są wygórowane. Jak tam każdy dziedzic na małej wiosce żyje jak pan wielki i we wszyst-

kiem naśladuje dwory wielkich panów. Jak łatwo można go namówić do kupna ładnego ekwipażu i kosztownych koni, a jeźli pożyczysz mu pieniędzy, to i dziesięć razy do roku pojedzie za granicę. Jak się tam kobiety stroją, a o kuchni i piwnicy nic nie wiedzą, jak wielki ton panuje u nich! Słuchając je, zdaje się, że damy z dworu Ludwika XIV. przebrały się nagle i w niskich, szlacheckich dworkach grają jakąś przecudną bukolikę. Mówił dalej, jak każdy porządny negocjant, każdy tutaj najskromniejszy agronom, może tam zarobić złote góry, bo sam pracuje i jest oszczędny. Jak łatwo może tam nabyć ziemię, bo może więcej za nią dać, niżeli daje polski szlachcic. Polski szlachcic musi więcej łożyć na życie, a agronom z Pomorza i taniej żyje i przemysłem swoim więcej produkuje. Ostatecznie wyciągnął z tego wszystkiego ten pocieszający rezultat, że tym sposobem polski szlachcic nie wytrzyma nigdy konkurencji z kolonistą, jeżeli się w żywot matki nie wróci i zupełnie nie odrodzi.

A że to ostatnie przyrównanie żywcem z biblji wyjęte było, więc pierwszy na to odpowiedział intendent ewangielicki, że ów frazes należy tylko w przenośnem brać znaczeniu, i że ztąd nie ma obawy, aby polski szlachcic na niekorzyść ewangielików pomorzańskich miał zamiar na serjo się odrodzić. Uspokoił on szanowne zgromadzenie, że szlachcic polski jest petryfikacją wieków kilkunastu i nie tak łatwo rozłoży się pod wpływem nowej, postępującej oświaty. Na długi czas pozostanie on dla pracowitych Pomorzan wyborną kopalnią złota, którzy przez długie wieki będą mogli wygodnie piłować na tym pogańskim, złotym bałwanie, i jeszcze nic innego z niego nie zrobią. Dopomoże im do tego ów wyborny fanatyzm polski, trzymający się starych, odziedziczonych przesądów i pogardzający wszystkiem co nowe, nie tylko w wyobrażeniach, ale i w gospodarstwie. Dla tego przyłącza się i katolicyzm, który o jutro starać się nie każe, ale pozwala modlić się, pościć i płakać, licząc na wszystkie procenta, które za grobem przynoszą cierpienia ziemskie.

I zapalił się przy harandze swojej racjonalny chrześcianin, wziął kielich do ręki i zaproponował zgromadzeniu, aby rannemu wojownikowi wypić jednogłośne pereat! A że nie wszyscy wiedzieli, o co mu idzie, więc sformułował ją w następujący toast:

— Olbrzymi jest duch naszego narodu! Jest on ruchliwy jako morze piaskowe i rozszerza się na wschód, na ziemię czarną, jak Sahara w zagony Egiptu. Nic go tam nie wstrzyma w tem parciu jego, bo najbliższa jego zapora, szlachta polska, owa kamienna sfinga, stojąca na straży do ziemi czarnej, to głaz bez duszy, bałwan przesądów azja-

tyckich. Jego religja mówi mu, że ziemia jest to tylko szpital dla pielgrzymów, w którym wolno mu było jęczyć i skonać. Rozum, ów budowniczy świata i narodów, jest tam wyklęty! Nam przypada misja rozorać ten odłóg ludzkości, zasadzić go nowemi latoroślami i przyłączyć do winnicy Pańskiej!

Na ten toast, prawie z ogólnym zapałem przyjęty, nie zgodził się jednak emerytowany filozof i zaproponował, aby go wziąść nieco pod rozwagę. Nie zgadzał on się w tem, aby szlachta polska z całą swoją religją, przesądem i fanatyzmem konserwowania tego, co sama sobie przez długie wieki uciułała, aby ta szlachta polska była tak kruchą i słabą przeszkodą dla postępu nowej cywilizacyi. Przeciwnie, twierdził on, że jeżeli szlachta jest pertyfikacją, to pokłady takie najtrudniejsze są do przejścia. Ale właśnie tu się okazuje potęga absolutnej idei w najpiękniejszej glorji! Nie koloniści, nie firmy bankierskie, nie racjonalizm ewangielicki, zwalą ową skamieniałą potęgę, opartą na fanatyzmie i przesądach, ale zwali ją i skruszy absolutna idea narodu, która silniejsza jest od idei narodu polskiego. Jest to zwykłe prawo mocniejszego, któremu w naturze wszystko podlega. A najmocniejszą od wszystkich jest idea! Ona to wywłaszcza właścicieli polskich, ona sprawia subhastacje i zabory — ona podbija.

I skończywszy na tem swoje uwagi, zaproponował zmianę powyższego toastu w ten sposób:

— Niech żyje idea, wielka, absolutna idea, która w dziejach ludzkości jest owem ziarnem gorczycznem, co góry przenosi! Idea wyrosła z dziejów i rozumów naszych, jest tak silna, że się jej nic oprzeć nie zdoła. Ona jest ów słup ognisty, idący zawsze przed arką narodu, a jej prąd jest na wschód!

Temu toastowi sprzeciwił się drugi emeryt, ów potajemny przyjaciel Rotteka. Zażywszy tabaki i uśmiechnąwszy się dobrodusznie, uczynił tę uwagę, że w taką wszechmocność absolutnej idei nigdy nie wierzy. Jako były profesor historji powszechnej, cytował z niej różne przykłady. Najbliższy zaś przykład był ten, że jeźli idea germańskiego narodu jest wszechmocna i niezwyciężona, dla czego idąc na wschód zwycięzko, przegrała sprawę za plecyma, w własnym domu swoim? Dla czegoż dała się pobić przez ideę francuzką i zostawiła jej Alzację? Czyż to dobry wódz, który idąc w kraj nieprzyjacielski, zostawia swój własny na pastwę drugiemu nieprzyjacielowi?...

Stary emeryt, jako były profesor dziejów powszechnych, nie miał do żadnego narodu specjalnej predylekcji, a więc żadnego toastu nie wzniósł.

Wziął po nim słowo były radzca floty zjednoczonej. Zaczął od morza, o którem marzył dniem i nocą. Bo też nie małe to zadanie dla radzcy marynarki zjednoczonej było to morze. Francuzi, Anglicy, Duńczycy i Rosjanie wzięli wszystkie morza w posiadanie, a gdzież to teraz pomieścić flotę zjednoczoną! Poczciwy radzca myślał nad nowem morzem dla swojej floty!

Otóż zaczynając od morza, jak każdy katolik wszystko od pacierza zaczyna, mówił poczciwy radzca, że naród jest to jak morze, które podług jeografji Rittera ciągle prze na wschód. Raz tylko, podczas powszechnych wędrówek narodów, stał się w zamięszaniu ten wyjątkowy porządek. Odtąd wszystko powraca na wschód, a tem samem zostawia dawne swoje miejsce na zachodzie innym. Kubek w kubek jak morze, albo jaka bądź inna podlejsza woda. Tym sposobem zostawili Niemcy na zachodzie Alzację, a za to jak ekwiwalent muszą wziąść Poznańskie. Gdyby Poznańskie było państwem lub przyzwoitym narodem, to by znowu szukało powetowania swojej straty gdzieś za Kaliskiem lub dalej. I tym sposobem, według zdania byłego radzcy floty, odbywa się rotacja w sposób najprzyzwoitszy. Jest to nic więcej, jak prosty płodozmian państw i narodów, jak jest znowu płodozmian ziemi i morza. Pan radzca tak wierzy w tę swoją teorję rozpierania się narodów i morza, że niezawodnie wyczekuje owego czasu, w którym zrodzi się nowe morze dla jego wymarzonej floty! A że ze zdań jego żaden patrjotyczny toast nie dałby się ułożyć, toż zaniechał tego poczciwy radzca marynarki in partibus.

Teraz przyszła kolej na ekonomistę. Poprawiwszy z angielska wykrochmalonych kołnierzyków, ozwał się głosem donośnym:

— Panowie!

— Nie śmiej się, Mufke! — krzyknął gospodarz na lokaja, który coś przez okno zobaczył.

— Panowie! — mówił ekonomista — słyszałem tutaj bardzo wiele ładnego i dobrego co do potęgi narodowości. Wszystko jest to prawdziwe, zależy od stanowiska, z jakiego się na przedmiot zapatrujemy. Więc do licznych orzeczeń tej siły niewidomej, która bucha z piersi żyjącego narodu, pozwólcie, niech i ja moje zdanie dorzucę.

Tutaj zatrzymał się na chwilę szanowny mówca, z czego nie zaniedbali korzystać «drobni negocjanci» na szarym końcu stołu, załatwiając tymczasem drobne, nosowe interesa. Poczem, gdy się już cicho zrobiło, a nawet «dysponent» chustkę pod stół schował, zaczął mówić:

— W organizmie narodu, gdy jest zdrów i krwisty, wyrabiają się zbytnie siły. Te najostrzejsze soki swoje, te siły

zbytnie musi on gdzieś wyrzucić. A jako organizm zwierzęcy obiera sobie na ten cel najbliższe i oraz najsłabsze, jeźli to być może, chore miejsca, tak i zbytnie siły narodu prąd swój obierają w najsłabszą społeczność. Ale biada i najmocniejszym, na które trafi ten prąd silny, niepowstrzymany! Jakież to siły wychodzą na zewnątrz narodu? »Z jakich żołnierzy jest złożona ta straż przednia narodu? Któż są ci koloniści, których tysiące wychodzi co roku w ziemie Szląska i Poznania?... To są ochotnicy, to jest elita, to gwardja narodu!... Im za ciasno było między nami! Ich duch przedsiębiorczy zapragnął obszerniejszego pola, ich ręce żylaste zapragnęły cięższej pracy, twardszej, stepowej ziemi! W ojczyznie siedzi się i pracuje, aby żyć i wyżyć, a oni wyszli z ojczyzny, aby mieć zysk! Słowo «zysk» staje im tam za ojczyznę, za religję, za ustawy! Oni tam zyskać muszą, oni tam na wszystkiem zyszczą, bo to jest jedyny nerw ich życia. Dla tego oni muszą zdobyć kraj, na który się rzucą; mieszkańcy tamtejsi nie podołają im! Przed szturmem tej przedniej, wyborowej kolumny sił narodowych wszystko pryśnie, i pół wieku nie minie, a o dawnych posiadaczach majątku tamże zostaną takie same wieści, jakie dzisiaj mamy o sławnych Actekach w Ameryce!... Niedawno rozprawiano wiele o linji demarkacyjnej w polskiej sąsiednej prowincji. Chciano położyć kres i powiedzieć: dotąd, a nie dalej! Niedorzeczne marzenia! Granica naszego rodu jest tak ruchoma, z każdą godziną zajmuje więcej ziemi, a przyjdzie czas, że ją łzawem okiem będziemy szukali po za granicą państwa sąsiedniego... w ziemi obcego nam rządu!... Cóż więc zwycięża i podbija dzisiaj w naszych kolonistach? Praca i zysk! Wnoszę toast:

«Praca i zysk!»

Szary koniec stołu zaruszał się wprawdzie, ale doktorowie uznali to stanowisko za nizkie, aby się wziąść do toastu. Potrzebne były jeszcze niektóre porozumienia i poprawki.

Pan Tamimischel nic na to wszystko nie mówił, tylko się uśmiechał, jak człowiek dojrzały, patrząc z góry na igraszki berbeciów. Muskał nieustannie po swoim długim nosie, bawił się zielonymi kwiatkami atłasowej westy, a gdy go jeden z emerytów o jego zdanie zapytał, odpowiedział krótko i węzłowato, że całą dyskusję uważa za zwichnioną. Opuszczono bowiem w niej najgłówniejszą podstawę, o którą wszystkie doczesne i wieczne opierają się rzeczy, to jest: filologję i etymologję. Każdy bowiem przyzwoity filolog wie, że Slavus tyle znaczy co Sclavus, zkąd wypływa,

że Słowianie muszą być niższymi od innych. Nie trudno więc zwyciężyć tych, co się rodzą zwyciężonymi.

Krótka tą razą mowa filologa tak wszystkim przypadła do smaku, że jedni na serjo, drudzy ze śmiechem podnieśli kielichy do góry i jednogłośnie zdrowie pana Tamimischla wypili.

Aby ten chaos zdań i wyobrażeń jeszcze bardziej zamącić, usiadł tenor liryczny do klawicymbała i dziwnie melancholijnym głosem zaśpiewał ów prześliczny hymn narodowy, ową smutną pieśń Arndta, który śród swoich pyta się:

«Was ist des Deutschen Vaterland?»

Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych miłych, bolejących tonów, ale nikt poecie nie odpowiedział, gdzie jego ojczyzna. Tylko ów gość w wytartym żołnierskim mundurze, który dotąd milczał, otarł wielką łzę z siwych wąsów i mruknął z cicha:

«Schleswig-Holstein meerumschlungen!»

---

Wśród tej wrzawy i krzyku wymknęły się cztery osoby z szanownego zgromadzenia. Walter i Matylda wyszli do znajomego buduaru. Matylda chciała zapewnie być obecną przy chowaniu srebra i swemu narzeczonemu przy tej sposobności zarecytować kilka jego wierszy, a docent przyszedł za nią zapewnie w tym celu, aby się swego autorstwa po raz setny wypierać. Starą ciocię, która innemi drzwiami wyszła, można było podejrzywać, że poszła na poobiedne dołki z powidłami, które tak lubiła, że je o każdej porze dnia jeść mogła.

Czwartym, który wyszedł, był młody Otton.

Biedny młodzieniec zdaje się wiele cierpieć. Nic nie jadł przez cały obiad i do nikogo ani słowa nie przemówił. Wstał wcześnie i powolnym krokiem udał się na drugie piętro.

Rzuciwszy się na kozetkę, westchnął i rzekł do siebie:

— To być nie może, żebym się łudził. Gdy ostatnim razem byłem w Dąbczynie, weszła pierwsza do salonu, gdy jeszcze nikogo nie było. Wprawdzie zarumieniła się, jakby wcale nie spodziewała się mnie tam ujrzeć. Ale widziałem ją dobrze z dziedzińca, gdy na mnie przez okno patrzyła... Biedna! Ona chciała mówić ze mną, a nie mogła tego inaczej uczynić!... O nie, ja się nie łudzę. W tem ciemnem oku tyle uczucia, ten głos jak dźwięk struny metalowej,

uderza aż na dno serca. Kamień odżyłby na ten głos i drżałby jak listek brzozy!... Jak słodkie były jej słowa! Co za luby niepokój ogarnął ją całą przez tych chwil kilka, gdyśmy byli sami!... O nie, wrażenie to nie zatrze się w sercu mojem, a jeźli pozostanie tylko jednem mojem uczuciem na całe życie, to zamknę je w głębi duszy mojej, jak kochanka perłę, a świat cały będzie dla mnie wielkim, pustym grobem!...

Tak dumał sobie nieszczęśliwy młodzieniec, a dwie łzy zakręciły się w jego pięknych, niebieskich oszach. Piękna, niewieścia dusza jego wyciągała co prędzej drżące, słabe ramiona swoje, aby się oprzeć, aby się jak powój owinąć koło mocniejszej gałązki.

— Nie — rzekł do siebie, wstając z kozetki — nie mogę dłużej cierpieć bezczynnie. Kobiety nie lubią kochanków, którzy, jak się nasz Göthe wyraża, śpiewają im pieśni szpitalne. Mężczyzna powinien dać dowód siły swego uczucia... Niech ojciec myśli sobie, że ja za firmę naszą strzelam się... o nie, ja strzelam się za ciebie i za ciebie chcę zginąć, droga, piękna Janino, ubóstwiony mój ideale! A jeźli zwyciężę... z twoich rąk, czysta królowo, odbiorę nagrodę... muszę ją mieć, muszę...

Iskra szlachetnego zapału zabłysła w oczach młodzieńca. Zbliżył się do stolika, napisał kilka słów, zadzwonił na służącego, a wręczywszy mu dwie małe kartki do ręki, wysłał go na miasto.

Za kilkanaście minut otworzyły się drzwi z łoskotem, a dwóch młodych oficerów z srebrnemi epoletami na ramionach weszło do pokoju.

— Ach, Ottonie! myśleliśmy, żeś zapomniał o nas! — zawołali na raz.

— Bierzcie cygara... oto są cabanos, lanzas, trabucos.

Dwie szczęki odgryzły na jedno tempo dwa grube lanzasy, jak dwa patrony prochu.

— Czy Madery, czy Gabinet?

Dwa języki wymówiły w jednym czasie słowo: «gabinet», ale tak miękko i pieściwie, że *g* przeszło zupełnie na *j*.

— Spodziewam się, że jesteście moimi przyjaciołmi.

Dwie pary oczu błysnęło na znak przychylnej odpowiedzi.

— Otóż miałbym do was prośbę.

Para wąsów zaruszała się uśmiechem ironicznym, który miał mówić: Co za prośbę może mieć syn bankiera do biednych lajtnantów piątego pułku!

— Ale to rzecz trochę drażliwa!

Obaj lajtnanci otworzyli usta i oświadczyli znakomitemu swemu przyjacielowi, że dla niego, dla jego lanzasów i Madery, są w stanie poświęcić się, gdyby nawet i życie dać!.. Na dowód czego wspomnieli o historycznej swojej energji roku pańskiego 1850, kiedy to Austrję chciano zgnieść z kretesem. I byłoby się to stało, gdyby nie stanęła w drodze Rossja...

— Panowie, mam pojedynek!

Na to ani jeden, ani drugi przez długi czas nic nie odpowiedział. Poglądali tylko po sobie. Lanzasy jakoś nie były najlepszego gatunku, «gabinet» coś nie wysadził korka a był istotnie kwaskowaty i dosyć lichy.

Po niejakim czasie ozwał się jeden:

— Nie tłumacz sobie na złe naszego milczenia, kochany Ottonie. Rzecz ta wymaga wszechstronnego poglądu. Wprawdzie r. 1850 niktby się z nas nie zastanawiał, ale dzisiaj, gdy już pół roku od tego czasu minęło —

— I musisz wiedzieć — dodał drugi — to wcale co innego sprawa publiczna, a sprawa jednostki...

— Ale mimo to — mówił pierwszy.

— I ja nie jestem absolutnie od tego — mówił drugi.

Lanzasy pogasły, gabinet do szczętu skwaśniał.

— Otóż słuchajcie — rzekł młodzieniec. — Moim adwersarzem jest pan Von der Mark!

— To piramidalne głupstwo! — wyrzekli obaj naraz.

— Von der Mark! — powtórzył Otton.

— Wybornie strzela!

— Trafia muchy na ścianie.

Młodzieniec spuścił głowę i zamyślił się.

Lanzasy jakoś się znowu roztliły, «gabinet» poprawił się i zgoła był nie zły.

— Opowiedzże nam przedewszystkiem, jak to było — rzekł jeden — może sprawa więcej nie warta jak butelki szampana.

— Może wcale żadnej nie ma obrazy! — rzekł drugi.

— «Pod czarnym łabędziem» jadłem obiad — mówił Otton. — Pan Von der Mark siedział przy tym samym stole i według swego zwyczaju głośno i z pretensją rozmawiał.

— W tem nie ma jeszcze żadnej obrazy. Wolność zdania zabezpieczona jest ustawą.

— Mówił dalej, że każda Polka dla wąsów «en hussard», dla złotych epoletów i długich butów z ostrogami, gotową jest porzucić męża, dom i dzieci, jeźli to wszystko nie da się gładko oszukać.

— Pan Von der Mark jako «cavalier» musi mieć na to dowody, bo właśnie nosi długie buty z ostrogami.

— Gdym stanął w obronie Polek...

— Saperment! Co tobie do Polek!

— Gdym stanął w obronie Polek i dom Dąbczyńskich za przykład wziąłem, roześmiał się pan Von der Mark bardzo nieprzyzwoicie.

— To jeszcze nie obraza.

— I mówił długo o samej margrabinie, która przez kilka lat szalała za pułkownikiem od dragonów dla tego, że miał łokciowe wąsy, a pięć stóp i ośm cali wysokości!

— I cóż dalej?

— Mówił, że za takiemi matkami i córki idą w ślady.

— Temu przecież nie przeczyłeś?

— Przeciwnie, mówiłem, że córka margrabiny, którą znam osobiście... że panna Janina jest godną dziewicą.

— Piramidalne głupstwo!

— A pan Von der Mark wstał na to i w obec wszystkich dał słowo honoru, że za kilka miesięcy będzie miewał z nią «rendez-vous», gdzie i kiedykolwiek zechce, a nawet wykradnie ją i wywiezie do jednego z swoich zamków, jak to dawniej praktykowano. Na tę bezczelność powstałem.

— A pan Von der Mark uderzył cię szpicrutem... bo on zazwyczaj tak się obchodzi z nieszlachtą.

— Nie, tego nie uczynił. Ale zwracając się do mnie, rzekł słodko: «Miło mi, słyszeć cię broniącego prześladowanych, młody człowieku. Jako Von der Mark wyznawałem dotąd tę zasadę, że z krwią odziedzicza się przymioty rodziców i antenatów. Dzisiaj, mój młody przyjacielu, jestem w wielkim ambarasie z tą moją zasadą. Słyszę bowiem syna największego na całem Pomorzu szachraja i łotra, mówiącego uczciwie i wspaniałomyślnie. Lecz mojej zasady dotąd nie cofnę, póki mi nie dasz dowodów, że to co mówisz, nie jest tylko w gębie, ale we krwi twojej.

— Tysiąc elementów! Kiedy się to stało?

— Przed tygodniem.

— Hm, czyby to nie było przedawnienie — mówił jeden z lajtnantów.

— Dla czegoż na gorąco nie załatwiłeś tej rzeczy?

— Możebyście w takim razie nie pili dzisiaj u mnie «gabinetu».

— Masz słuszność — rzecze pierwszy.

— Bez wątpienia — wtrąca drugi.

— Pan Von der Mark wyjechał był tego samego dnia za pilnym interesem — mówił dalej Otton.

— I zapewnie z rok tam zabawi? — rzekł pierwszy.

— Może i dwa lata — wtrącił drugi.

— Wrócił przedwczoraj! — ozwał się Otton.

— Przedwczoraj!

— To być nie może!

— Tak jest w istocie!... Więc proszę was jako moich przyjaciół...

— Hm, trudna rada!

— Najlepszy strzelec na całem Pomorzu.

— Zastrzeli każdą muchę na ścianie!

Gdy jednak drugi i trzeci «gabinet» pękł z przyzwoitym hałasem, a wino nie tylko do głowy, ale i do serca się wkradło, obaj przyjaciele ucałowali serdecznie Ottona, a poprawiwszy epoletów, wspomnieli jeszcze po raz trzeci «intra parenthesim», że pan Von der Mark najlepszym jest strzelcem na całem Pomorzu, że jest typem prawdziwego germańskiego junkra, który sobie w kaszę napluć nie da, i że zastrzeli każdą muchę, którą mu na ścianie wskażesz. A że to wszystko rozmarzonego młodzieńca z terminu zbić nie mogło, więc czyniąc zadość prośbie przyjaciela, westchnęli razem, spojrzeli po sobie i nic nie mówiąc, z dyplomatycznym wyrazem na twarzach udali się pod «czarnego łabędzia», w którym przeszedłszy schody Nr. 3, na pierwszem piętrze pod Nr. 12 mieszkał ów straszny pan Von der Mark.

---

Już było nad wieczorem. Goście obiadowi porozchodzili się lub porozjeżdżali, jak kogo stać było. Dom o śmiejących się karjatydach był znowu tak cichy i spokojny, jakby mieszkańcy jego posnęli lub wymarli.

Przekonawszy się, że po chwilowej rozterce wszystko w dawne karby powróciło, że lokaje pozdejmowali suto srebrem i złotem obszyte liberje, że spiżarnia i piwnica szczelnie na dwa zamki zamknięta, odetchnął swobodniej stary negocjant i po wązkich, kręconych schodkach spuścił się do ulubionego swego gabineciku. Zastał tam wszystko w dawnym porządku. Żelazne skrzynie stały jak zawsze na szynach żelaznych, przykute łańcuchami do muru i podłogi; to samo biórko ogrodzone kratką żelazną; ten sam stół zimny, marmurowy, na którym każdy fałszywy kruszec zdradzał się podłym dźwiękiem... wszystko to było jak wczoraj, przedwczoraj, jak zawsze.

Uśmiechnął się stary negocjant do stałych swoich przyjaciół; jakoś milej, jakoś swobodniej było mu tutaj, niżeli tam na pierwszem piętrze, między ludźmi, którzy nie są tak zimni i milczący, jak te skrzynie żelazne, jak ten stół marmurowy. Nawet ów zegar długi, mosiężny, który tak powoli i tak akuratnie stukał, był jego dobrym przyjacielem i za każdem regularnem uderzeniem godziny przypominał

mu owych punktualnych dłużników, którzy w należytym terminie płacili swoje procenta.

Tak błogo było negocjantowi między temi ciemnemi, wilgotnemi murami, tak mu nic tutaj do jego szczęścia nie brakowało, tylko tej głupiej szczypty opinji ludzkiej i kilka kropli krwi szlacheckiej, którą chciałby jak ospę zaszczepić nowemu swemu rodowi. Ale to wszystko da się zrobić, trzeba tylko cierpliwości i pieniędzy.

Tak myślał sobie stary negocjant, przechadzając się po swoim kantorze, w którym ani «dysponenta», ani pisarzy nie było. Zacierał ręce i uśmiechał się, myśląc o tem wszystkiem, co podczas obiadu napletli jego goście szanowni. I teraz oczekiwał on gości, ale nie na pierwszem piętrze w amarantowym salonie, tylko czekał ich w gabineciku swoim, w którym na stole marmurowym, owym ołtarzu nowej, brzęczącej religji, postawi im flaszkę Jamajki. Owi goście wieczorni byli to «drobni negocjanci», którzy się jeszcze nie roztyli, albo mówiąc innemi słowy, którzy jeszcze za lubym groszem po świecie się uganiali. Byli to po większej części jego sprzymierzeńcy i tajni ajenci, z czem jednak ukrywał się przed światem namiestnik «Goliata», aby to reputacji firmy uszczerbku nie przyniosło. Tacy goście nie wchodzili nigdy do niego na pierwsze piętro, przyjmował ich w swoim gabineciku o zamkniętych okiennicach. I milej i swobodniej było staremu negocjantowi w tem towarzystwie, niżeli pomiędzy doktorami i profesorami, którzy na bieg świata z jakiejś mglistej zapatrywali się sfery, przyczem prostemu negocjantowi zawsze mdło się robiło.

Na zimnym, marmurowym stole stało już kilka butelek i kilka talerzy z zimnemi przekąskami. Ozory na zimno, rulada na zimno, z drżącą od zimna galaretą, pekeflajsz na zimno i ryż z konfiturami na zimno, wszystko to stało na zimnym, marmurowym stole. I negocjant miał jakieś zimno w członkach swoich, bo się zgarbił i sine ręce zatarł. Spojrzał na termometr: było niespełna dziesięć stopni ciepła — a przecież tam za oknem brzęczały złote muszki, tam na rynnie przeciwległej kamienicy świegotał wesoło wróbel, oblany czerwoną strugą ciepłego, majowego słońca, i trzepotał skrzydłami do małego okienka na podwórzu, z którego o tym czasie wychylała się sucha ręka jakiegoś biedaka i rzucała mu pokarm...

Negocjant zatarł ręce i skulił się, a ubrawszy się cieplej, usiadł w fotelu przy biórku swojem.

— Trochę zimno — pomyślał sobie — ale to pochodzi z trawienia, nic więcej. Wiele jadłem na obiad.

I założywszy ręce w szerokie rękawy surduta, pochylił się na poręcz krzesła.

— Link przyniósł mi nie bardzo dobre wieści — dumał sobie — mianowicie o Dąbczynie wcale nic dobrego. Dąbczyn musi być moim, mój syn musi mieszkać w zamku. Człowiek jest to jak obraz. Mało jest prawdziwych znawców, aby na pierwszy rzut oka rozeznali rękę mistrza. Ale niech ten obraz ma pyszne złote ramy, to gawiedź stanie przed nią z rozdziawioną gębą i krzyknie: Musi to znakomity być obraz, kiedy ma takie ramy! Człowiek potrzebuje ram, pysznych, złotych ram, inaczej zniknie i nikt na niego nie patrzy!... Mój syn musi mieć zamek i miasto, musi mieć klucz cały, musi się zbratać z szlachtą, być ty a ty, a imię Warner będzie wtedy lubione, będzie imię znakomite!...

I lekkka chmurka osiadła na czole marzącego negocjanta.

— Ale margrabia oszczędza się... zechce sam gospodarować... Ale nie, nie, to być nie może, dla niego nie ma ratunku. Więcej dzisiaj wynosi procent, niżeli dochód; a życie?... A gdyby się uparł i jakie sześć, ośm lat przesiedział kołkiem w Dąbczynie i cicho siedział... Ale nie, to być nie może! Tego głupstwa nie uczyni margrabia, ani margrabina. Podupadłby w opinji u wszystkich swoich znajomych... A jeźli zięć bogaty...

Tu nagle zerwał się negocjant: uczuł, że ciepły, gorący prąd przeleciał mu przez piersi. Twarz jego zarumieniła się, oko zabłysło. Nawet wyprostował się i śmiałym krokiem począł się po kantorze przechadzać.

Dziwne jest to serce. Cóż je żywi, cóż je rozgrzewa? Oto ten biedak w podartej odzieży, tam na poddaszu przeciwległej kamienicy wychyla rękę do wróbla i rzuca mu ostatki jadła swego... do jego drzwi kołace żebrak, a on daje mu ostatni może grosz... na co?... dla iskierki owego ciepła, które mu serce ogrzewa... A stary negocjant miał ciepło w temże samem sercu, gdy mu nagle przyszła do głowy myśl genjalna, jakim sposobem najkrótszą przyjść drogą do cudzej własności!... «Ciało wasze jest to naczynie Ducha świętego, mówi jeden z ojców kościoła, a w miarę tego, czem je ogrzewać będziecie, będzie was sądził Bóg na dniu ostatecznym...»

Ciemne, wilgotne mury kantoru rozjaśniły się; jakoś ciepło, a nawet duszno zrobiło się staremu negocjantowi. Zdjął ciepły surdut, a przechodząc koło stołu marmurowego, na którym zimne stały zakąski, zdawało mu się, że wszystkie są gorące, że widzi parę buchającą z zimnej rulady i drżącej galarety.

— Tem raźniej trzeba się brać do dzieła — rzekł do siebie, zacierając ręce — aby jaki bogaty zięć nie przeciął mi drogi. Jeźli margrabia zabierze się do robienia majątku

na stare lata, trzeba mu w to grać. Nic tak prędko nie zajmuje ludzi, jak przedsiębiorstwo na wielką skalę. «Drobne interesa» to złoto, a wielkie plany to nóż na własne gardło... Trzeba przed wszystkiem ludzi popchnąć dalej w ich zamiarach; gdy się na górę wydrapią, trzeba im odbierać sen w nocy, a pokarm we dnie, znudzić ich, zmęczyć, a reszta sama się dokona. Jeźli się nie mylę, mój plan musi się udać — zakład fabryczny posłuży mi wybornie do tego.... Otton musi mieszkać w zamku, w Dąbczynie!...

Tutaj skrzypnęły drzwi, a kilku wychudłych, brudnych negocjantów wsunęło się tylnemi drzwiami do kantoru. Gopodarz serdecznie uścisnął im ręce i szczęśliwszym zdawał się być w ich gronie, niżeli w gronie doktorów i illuminatów.

— Chodźcie, siadajcie, jedzcie — rzekł do nich — opowiem wam pocieszne rzeczy.

Przy zimnych ozorach, zimnej ruladzie i przy zimnym, marmurowym stole jakoś zimno było poczciwym negocjantom. Ich nosy posiniały, ich palce zgrabiały.

— Słuchaj Pifke! — ozwał się znowu gospodarz, klepiąc po ramieniu wysokiego, chudego negocjanta o zyzowatem oku i krzywych nogach — słuchaj Pifke, gdybyś był dzisiaj u mnie na obiedzie, pękłbyś ze śmiechu, co za głupstwa gadała ta uczona hołota!

Pifke wystawił półtora zęba, to jest, wszystko co miał w gębie, i rzekł:

— Tych panów wcale nie lubię. Oni dobrze niby mówią, ale źle płacą.

— Masz słuszność, Pifke — odparł gospodarz — ale ja muszę z nimi żyć, firma «Goliat et Compagnie» —

— Oczywiście, naturalnie, bez wątpienia — odpowiedzieli chórem negocjanci.

Nastąpiła chwila milczenia. Na wspomnienie «Goliat et Compagnie» posmutnieli jakoś negocjanci. Pifke spojrzał melancholijnem okiem na ów stół marmurowy, na owe duże, żelazne skrzynie, owe sześć czarnych stołów; spojrzał po wszystkich kątach kantoru i pomyślał sobie wraz z obecnymi «drobnymi negocjantami»: Gdyby to mieć firmę własną, taki stół marmurowy, takie skrzynie żelazne, taki kantor... a nad drzwiami «Pifke et Compagnie»!...

— Pifke! — zawołał gospodarz — nie uwierzysz, co za głupstwa plotła ta uczona czereda!

— Oni nawet nie wiedzą, co to «drobne interesa»!

— Nic zgoła nie wiedzą! Im się zdaje, że jakiś duch niewidomy kieruje tą głupią machiną świata!... Gdyby wie-

dzieli, ile ty sam, Pifke, odebrałeś ziemi właścicielom polskim przez twoje procenta!...

Pifke wystawił półtora zęba, potem wystawił język i oblizał je od ucha do ucha, jak gdyby go najlepszy spotkał kompliment.

— Jeden ekonomista mówił jeszcze jako tako — prawił dalej gospodarz — a nawet powiedział kilka rzeczy bardzo ładnych. Ale reszta to pożal się Boże!... U jednych była jakaś absolutna, narodowa idea, która rozszerza granice państwa; u drugich była to potęga oświaty naszej, która sąsiedni podbija naród; inni znowu utrzymywali, że Słowianie są na to stworzeni, jak mszyce u pracowitych mrówek, abyśmy ich doili i ich mleko jedli; a poczciwy radzca floty powiedział, że naród to jak morze, które na wschód się ciśnie... a nawet ktoś nas przyrównał do piasków Sahary, która coraz więcej Egiptu zabiera... A wszystko to ma się dziać błogosławionym pędem cywilizacji... na korzyść ludzkości...

— O naszych uczonych można to samo powiedzieć, co powiedział Napoleon podczas bitwy — ozwał się młody, blady negocjant.

Negocjanci spojrzeli na mówiącego. Był to renegat inteligencji. Porzucił doktorat, którego już był blizko i zaciągnął się w szeregi negocjantów. Jego towarzysze szanowali w nim zawsze naukę, bo ją zawsze na ich korzyść wykładał.

— Aha, słyszałem coś o tem — rzekł gospodarz — mówił, że to są ideologowie i nic więcej!

— Nie o tem myślałem — mówił młody negocjant. — Napoleon miał zawsze uczonych przy armji. Wszystko to ciągnęło się w tyle wraz z osłami, objuczonymi różnym pakunkiem. Podczas jednego niespodziewanego napadu krzyknął Napoleon mimo woli: Osły i uczeni do środka!

Pifke wystawił półtora zęba i roześmiał się tak przeraźliwie, że aż gospodarz na niego się wypatrzył.

— Bardzo słusznie powiedział Napoleon — mówił dalej gospodarz — moi goście pletli i nic rozsądnego nie powiedzieli. Jeżeli sąsiednia polska prowincja już prawie w naszem jest ręku, jeźli co roku mniej jest właścicieli polskich, a koloniści coraz więcej ziemi nabywają, to się wcale nie dzieje za pomocą jakiejś idei, ani cywilizacji; nie jest to żaden idealny prąd narodu, ale po prostu: są to nasze pieniądze i nic więcej...nasze pieniądze! My jesteśmy producenci pieniędzy, a szlachcic polski jest konsumentem pieniędzy. U nas pieniądz robi na pieniądz — tam pieniądz jest dla wygody i fantazji. Im większy szlachcic polski ma kredyt, tem pewniej wieś traci... Tak Pifke, ty

to wiesz najlepiej, czem weźmiemy całą prowincję polską w posiadanie: Pieniędzmi, kredytem i tem, co ztąd wypływa: procentami!

— Kredyt publicznych instytucji najwięcej zabija polskich gospodarzy — rzekł młody negocjant — mianowicie jeźli ich tylko pośrednio dochodzi. Wiele pisali nasi patrjoci o tem, jakimby sposobem można tę prowincję zgermanizować. Ja mówię: dać jej w banku kredyt nieograniczony, kredyt wyrównający wartości dóbr — a za kilka, kilkanaście lat cała ziemia będzie w naszem ręku.

Pifke na to nic nie mówił, tylko się trochę zamyślił. Herszt lichwiarzy poznańskich myślał sobie w duchu:

— Wszystko głupstwo, co tamci przy obiedzie mówili i co ci przy zimnych zakąskach mówią. Ani idea, ani potęga oświaty, ani przyrodzony prąd narodu na wschód, ani kredyt, nie zdobywają w Poznańskiem ziem polskich, ale rzecz drobna, najdrobniejszy nasz interes: l i c h w a, którą pobieramy od pożyczki, od podpisów, zaręczeń, i t. d., i t. d.

Ale Pifke tego głośno nikomu nie powiedział, tylko tak sam sobie w duchu myślał.

W tem z trzaskiem otworzyły się drzwi, a do kantoru wleciał Otton.

— Kochany synu, czy masz jaki interes do mnie? — zapytał ojciec, nie rad, że syn wchodzi w to towarzystwo.

Otton był mocno czerwony na twarzy, włosy miał rozburzone, oczy jego tryskały ogniem.

— Synu mój, co ci jest? — powtórzył pytanie zniecierpliwiony ojciec.

Otton roztrącił zdziwionych negocjantów i rzucił się na krzesło, zasłaniając twarz rękoma.

— Ojcze — zawołał — jam zhańbiony!

— Zhańbiony! — krzyknął negocjant.

— V o n d e r M a r k strzelał się dzisiaj i jest śmiertelnie ranny!

— Strzelał?.... z kim się strzelał? — zapytał negocjant, a krew uderzyła mu do głowy.

— Z jakimś panem z Dąbczyna!

— Jak się nazywa?

— Hrabia Leon.....

— Hrabia Leon..... — stęknął negocjant, a twarz jego zbladła jak chusta — hrabia Leon..... młody, przystojny człowiek...

— Ty go znasz, ojcze? — krzyknął Otton i zerwał się z krzesła.

— Młody... przystojny... — jąkał się stary negocjant — przystojny... bogaty... miał wysokie weksle na nasz dom...

dziś rano wymieniał je... dwa kroć sto tysięcy... margrabia da mu córkę...

— Ojcze! — zawołał młodzieniec i rzucił się w boleści na pierś ojca.

— Precz mi z oczu! — krzyknął negocjant i odepchnął syna od siebie.

— Odpychasz mnie? — zawołał zdziwiony młodzieniec, a łzy stanęły mu w oczach.

— Precz! W twoich żyłach jest krew «drobnego negocjanta», podła krew i nic więcej!

Negocjanci wpatrzyli się na siebie — w kantorze było zimno, strasznie zimno.

---

## IV.

Blady i cały drżący wrócił Otton do swego mieszkania. W jego oczach gotowała się rozpacz, usta paliły się gorączką. Rzucił się na fotel i zacisnął ręce.

— We mnie jest podła krew negocjanta! — rzekł do siebie — jam jej nie godzien!

Dwa Lanzasy buchnęły z kanapy gęstym dymem, dwie pary wąsów zaruszały się z wielką sympatją.

Młodzieniec nie widział tych oznak współczucia swoich przyjaciół, martwym wzrokiem patrzył przed siebie. A przed jego oczyma przesuwała się zwolna piękna kobieca postać, patrzyła nań okiem pełnem uczucia, dotknęła się jego ręki swoją białą, drżącą rączką!... A za nią krok w krok postępował srogi, nieznany rywal jego, śmiałą ręką uchwycił szatę, przyciągnął do siebie i w jego oczach na ustach pięknej dziewicy wycisnął gorący, długi pocałunek!... I rzekł do płaczącej: On nie był godzien ciebie, on nie chciał bronić twojej sławy, w nim podła krew negocjanta! Jam ją obronił!...

I zerwał się biedny młodzieniec i z obłąkanym wzrokiem stanął przed kanapą, na której siedzieli obaj jego przyjaciele.

Dwa Lanzasy buchnęły znowu dymem do niego jak dwa zapalone lonty, gotowe na jego rozkaz.

— Opowiedzcie mi, jak to było? — rzekł młodzieniec rzewnym głosem.

— A czemu słuchać nie chcesz, tylko zaraz głowę tracisz — odpowiedział jeden Lanzas.

— On zapewnie rzekł do niego, żem ja nie godzien stanąć w jej obronie! — mówił młodzieniec z wzrokiem obłąkania.

— Co my tam wiemy, w czyjej ty obronie stawać miałeś — ozwał się drugi Lanzas — przy pojedynku o nikim mowy nie było.

— Jakto? ani o mnie? — zapytał syn negocjanta.

— O tobie nikt nic nie wie i nikt nic nie mówił — rzekły oba Lanzasy naraz.

Młodzieniec spuścił głowę, jego drżące usta szepnęły:

— Jam syn prostego negocjanta, któż o mnie mówić będzie?...

Tymczasem zaczął jeden z Lanzasów:

— Wczoraj wieczór do szlacheckiego kasyna wszedł gość prawie nikomu nieznany. Wprowadził go książę Thurn!

— Książę Thurn! — zawołał syn negocjanta.

— Polski graf nie wiele czasu tracił na rozmowie, tylko zaraz zapytał się o pana Von der Mark.

— I powiedział mu, że ja jako nie szlachcic nie mogę...

— Nic mu o tobie nie mówił. Ale mu się przedstawił i zaprosił go do gry.

— O pannie Janinie nic nie mówił?

— Grał jak najspokojniej pół godziny i jak najspokojniej przegrał tysiąc talarów.

— Tysiąc trzysta — wtrącił drugi Lanzas.

— Tak, tysiąc trzysta przegrał, zapłacił i na pana Von der Mark krzywo się popatrzył, a potem z uwagą począł wszystkie karty przeglądać.

— Dając do poznania, że pan Von der Mark mógł mieć znaczone karty — dodał drugi Lanzas.

— Von der Mark naturalnie tem się uraził, a jako człowiek popędliwy i nie lubiący Polaków, zapytał się groźno, co to wszystko znaczy. Polski graf z zimną krwią i jak najgrzeczniej odpowiedział, że to czyni tylko dla czczej zabawki i dalej karty przeglądał.

— A trzeba wiedzieć, że Von der Mark jako awanturnik i przechwałek nie jest w kasynie lubiony — wtrącił znowu drugi Lanzas.

— Dla tego powstały śmiechy i wszyscy zaczęli dziwnie poglądać na pana Von der Mark. Polski graf z jak najzimniejszą krwią kontynuował swoją dziwną zabawkę. Von der Mark nie mógł się powstrzymać, powiedział kilka słów niegrzecznych; polski graf wstał od stołu, a wziąwszy księ-

cia Thurn pod ramię, powiedział swemu przeciwnikowi, że każdej godziny jest na jego żądanie gotowym.

— Wszyscy myśleli, że polski graf nie dożyje dwóch dni — wtrącił znowu drugi — a on tymczasem dzisiaj w południe jak najspokojniej grał w karty i wygrał nie mniej ni więcej jak to, co stracił: tysiąc trzysta talarów. Z tem wstał i pożegnał kasyno.

— Dziś rano miał się odbyć pojedynek. Wszyscy myśleli, że polski graf zginie, bo pan Von der Mark najtęższy strzelec na całe Pomorze!... Strzelano do barjery — graf zaledwie wziął pistolet do ręki — nie zniżył się ani kroku, tylko mierzył — a mierzył w kolano — i w kolano trafił — na trzydzieści kroków! Potem zapalił cygaro i odjechał.

Syn negocjanta opuścił głowę, a głos wewnętrzny rzekł mu:

— On ją obronił, obronił dzielnie! Ona za to będzie go kochać, bo on jej godny! A w tobie podła krew negocjanta... Czemuż zaraz nie wyzwałeś go? Twoja zimna, podła krew nie zawrzała od razu jak krew szlachecka... tyś jej nie godzien!

Dwa Lanzasy buchały teraz gęstym dymem, jak świeżo nałożone ognisko. «Gabinet» zaszumiał w dwóch szklankach i powoli znikał pod gęstemi wąsami. Przyjaciele uszanowali nieszczęście młodego swego przyjaciela i postanowili zostawić go niejaki czas jego nieutulonemu żalowi. Lanzasy dymiły się nieprzerwanie, «gabinet» szumiał w szklankach i znikał pod wąsami. A gdy się wreszcie na dnie flaszki okazała okrągła, szklanna wyspa, ozwał się jeden Lanzas:

— I czemuż tak smutnym jesteś, Ottonie? Uczyniliśmy wszystko, czegoś od nas żądał.

— Dziękuję wam, przyjaciele. Ale ja jestem zhańbiony!...

— Zhańbiony? Jakto? — zapytały dwa Lanzasy.

— Całe miasto wie o tem, że mnie Von der Mark publicznie obraził, ojca mego nazwał największym szachrajem i łotrem, a ja — stchórzyłem!

— Wszak nie stchórzyłeś — miałeś chęci —

— Ale świat tak będzie sądził!

— Zresztą, gdy Von der Mark wyzdrowieje, za jakie pół roku, bo kości potrzaskane na miazgę —

— Ale dotąd świat mnie potępi i zabije! — zawołał młodzieniec i z rozpaczą załamał ręce.

Obaj Lanzasy przestały dymić na chwilę, potrzeba było szukać dla przyjaciela jakiejś innej rady. Okrągła, szklanna wyspa na dnie butelki stawała się coraz większą.

— Więc jest i na to rada! — krzyknął z radością jeden Lanzas i uderzył w stół ręką.

Młodzieniec z wytężonem okiem wypatrzył się na mówiącego.

— Będziesz się strzelał z pierwszym lepszym, który się krzywo na ciebie popatrzy! — mówił dalej Lanzas.

— Wyborna myśl, warta jednej butelki szampana! — zawołał drugi Lanzas i zadzwonił na służącego.

— Jakto? — zapytał młodzieniec.

— Na ulicy, w teatrze, «pod czarnym łabędziem», w kawiarni, lub gdziebądź, nastąpisz komu na nogę, szturkniesz go łokciem, wytrącisz mu cygaro i powiesz mu przy tem grubiaństwo, lub coś podobnego — i sprawa gotowa! My pójdziemy z tobą!

— Pójdziemy z tobą! — zawołał drugi Lanzas — tymczasem każ służącemu... bo gardła wyschły.

Świeża butelka stanęła na stole.

— Jeszcze mi nie jasna wasza rada — odrzekł młodzieniec — nie wiem, jakim sposobem człowiek zupełnie nieznany, niewinny...

— Jesteś strasznie młody, Ottonie, strasznie młody! — mówił pierwszy Lanzas, wyciągając korek z butelki.

— Strasznie młody! — mówił drugi, podstawiając szklankę.

— Na świecie tak prostą drogą nie daleko zajdziesz! — rzekł pierwszy, lejąc pienisty trunek do szklanki.

— Nie zajdziesz daleko tak prostą drogą na świecie! — rzekł drugi, przykładając szklankę do wąsów.

— Trzeba się różnym sposobem ratować! — mówił pierwszy, biorąc za szklankę.

— A my tymczasem rozniesiemy po całym świecie, że Otton Warner strzelał się, walny chłopiec, krew nie lada! — mówił drugi, lejąc do szklanki.

Młodzieniec stał jak posąg, nie wiedział co się z nim dzieje.

— A teraz — rzekł pierwszy, wpychając mu do rąk ogromną szklankę — teraz pij z nami zdrowie tego, z którym jutro strzelać się będziesz!

— Pij z nami! wieczorem pójdziemy szukać awantury!

Młodzieniec trzymał machinalnie szklanicę w ręku. W uszach mu szumiało, przed oczami latały jakieś widma złowieszcze.

Wreszcie podniósł szklankę, przyłożył ją do ust i jednym tchem wypił co do kropli.

Gorący strumień przebiegł go od stóp do głowy, krew zawrzała mu w żyłach. Z przed jego oczu uchyliły się mary złowieszcze, a jakieś rajskie, roskoszne obrazy stanęły przed nim. Zdawało się mu, że stoi w ogromnym cyrku, ubrany jako rycerz dawny w kiras i hełm, z piórem czerwonem

i groźną potrząsał kopją, wzywając zapaśnika. Wstęga ulubionej barwy kochanki spływa na jego ramieniu, na jej cześć stoczy dzisiaj walkę śmiertelną!... A ona patrzy na niego z kamiennego balkonu, przed nią uklęknie po walce, a jej białe rączki uwieńczą jego skronie...

— Hej! — krzyknął i rzucił szklankę aż w tysiące rozbryzła się kawałków — gdzież jest ten; co śmie powiedzieć, że we mnie podła krew negocjanta! Pierwszy, którego dzisiaj ujrzę...

W tem otworzył drzwi służący i zapowiedział nieznajomego gościa.

Lanzasy przestały się dymić — do pokoju wszedł Jerzy.

---

Jerzy miał na sobie ubiór podróżny, dosyć zaniedbany. Na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie. Ręce jego drżały, oddech miał słaby, urwany.

— Jeźli to być może — ozwał się do Ottona — prosiłbym pana na chwilę sam na sam.

Syn negocjanta zmierzył go pogardliwie od stóp do głowy i rzekł, wskazując na dwa obłoki dymu:

— Są to moi najlepsi przyjaciele, nigdy się z nimi nie rozstaję i żadnej przed nimi nie mam tajemnicy.

— Więc mogę zacząć — mówił dalej Jerzy, oglądając się za krzesłem.

Otton zrozumiał wzrok Jerzego i machinalnie wskazał na fotel. Zdawało się mu, że w twarzy nieznajomego gościa ujrzał złośliwy uśmiech tryumfu. Zmarszczył czoło i z pańska rzucił się na stojący obok stołu balzak. Zdawało się Jerzemu, że w tem zachowaniu się syna negocjanta jest coś szyderczego.

— Jestem Jerzy... lekarz z Dąbczyna.

— I przyjechałeś pan, aby w razie potrzeby opatrzyć rany hrabiego Leona... — rzekł z gestem arystokraty syn negocjanta.

Spojrzeli sobie obaj w oczy i obaj jednocześnie odsunęli krzesła od siebie. Jakaś dziwna, nieodgadniona antypatja powstała w tej chwili w ich sercach.

— Jeźli pan tak rozmowę zaczynasz — rzekł Jerzy, siląc się na wyraz obojętności — to ona może się urwać przed czasem.

— Nie wiem, mój panie, czy wiele zyskam na czasie — odparł syn negocjanta — ale słucham pana.

— Cierpkie słowa pana okazują, jakbyś miał jaką urazę do mnie — zapytał Jerzy, a twarz jego czerwieniła się z gniewu.

— Nie znam pana!

— Obecność tych panów i ich ranga jest mi rękojmią, że rozmowa nasza toczyć się będzie w karbach przyzwoitości.

— Słucham pana!

— Pan miałeś spór z panem Von der Mark.

Otton ruszył głową.

— Przy tym sporze wymienione zostało imię pewnej damy.

— Pan powtarzasz stare rzeczy — odparł młodzieniec z niecierpliwością.

— Dopókąd te rzeczy jeszcze nie załatwiły się...

Twarz młodzieńca oblała się rumieńcem. Był to pierwszy policzek wstydu, pierwszy głos nieubłaganej opinji!

— Któż mi dzisiaj odebrał sposobność załatwienia tej sprawy na drodze honoru? — zawołał żywo młodzieniec.

— Myśl pan, że to przypadek, czysty przypadek.

— Przypadek? O nie, mój panie, to nie był przypadek. Bo przypadek nie przyjeżdża z Dąbczyna, nie idzie wprost do kasyna i nie pyta się wprost o pana Von der Mark, nie proponuje mu wprost gry azardowej! A przegrawszy naumyślnie tysiąc talarów, nie patrzy się krzywo na pana Von der Mark, nie zarzuca mu szalbierstwa. Przypadek nie postępuje sobie tak systematycznie, nie przywozi z sobą lekarza; słowem, nie był to wcale przypadek. Było to wymierzone przeciw mnie, aby mnie poniżyć, aby okazać, żem nie godzien obronić cudzej sławy, bo nie mam tarczy herbowej, bom syn prostego negocjanta!

Z za chmury dymu ozwały się dwa głosy.

— Który doskonale się strzela i przed każdym polskim grafem się ostoi!

Jerzy spojrzał na kanapę, ale prócz gęstych kłębów dymu nic nie widział. Słowa młodzieńca obudziły w nim kilka myśli, które mu często do głowy przychodziły, a nigdy dojrzeć nie mogły. Było jakieś pokrewieństwo między nimi obydwoma; mimo to jakaś niepojęta antypatja trzymała ich z daleka od siebie.

— Nie znam powodu — rzekł Jerzy po chwili — dla czego pan w tym przypadku, czy raczej zdarzeniu, widzisz dla siebie jakieś poniżenie. Jeźli chodziło panu o honor damy, to rzecz obojętna, kto kopję skruszył.

— Nie, mój panie — odparł syn negocjanta — są dobre, szlachetne uczynki, które radzi sami spełniamy. Jest to

wrodzona nam próżność, od której żaden człowiek wolnym nie jest.

— Ale ta próżność powinna nam w takim razie przynieść niejaki procent — rzekł Jerzy z uśmiechem ironji.

— Nikomu nie przystoi zaglądać do moich rachunków — odparł syn negocjanta w widocznym gniewie.

— Nie przychodzę tutaj — rzekł Jerzy, powstrzymując się w gniewie — abym żądał od pana rachunku, czy stawanie w obronie tak znakomitej damy przyniosłaby panu korzyść jaką, czy żadną. Do tego nie mam bynajmniej upoważnienia. Ale przychodzę z tem, do czego mam upoważnienie.

— Słucham pana — zawołał Otton i przygryzł usta. — Ale najprzód powiedz mi pan, od kogo masz pan kredytywę? Zapewne od hrabiego Leona —

— Bynajmniej.

— No, to już dobrze, bo inaczej nie mógłbym jej akceptować.

— Moje upoważnienie pochodzi wprost od damy.

— Od panny Janiny! — zawołał młodzieniec i zerwał się z balzaku na równe nogi.

— Tak jest, od niej samej — odparł Jerzy, patrząc z pod oka na chmurę dymu przed kanapą.

— Mówiła, żem nie godzien.

Jerzy wypatrzył się na syna negocjanta. Jakoś za tragicznie wyglądał mu w tej chwili, aby całą tę sprawę wziąść za przemijającą awanturę. Jego twarz przybladła, duże, niebieskie oko drżało, jakby przemocą ukrywało łzę, cisnącą się z głębi duszy. Jerzy uczuł, że jego serce przeszyła nagle myśl bolesna, że ów stojący przed nim młodzieniec jest jego nieprzyjacielem.

— Tak jest — mówił z cierpką determinacją — od niej samej mam upoważnienie.

— To mi w oczy powiedzieć! — krzyknął młodzieniec, a krew uderzyła mu do twarzy.

— Powiedzieć panu —

— To jest bezczelnie ze strony pana.

— Powiedzieć panu — kontynuował z wymuszoną spokojnością Jerzy — że ona sobie wcale nie życzy tego, aby jej imię wmięszane było do awantury pojedynkowej.

— Dla tego przysłała swego narzeczonego — mówił z ironją syn negocjanta.

Twarz Jerzego oblała się rumieńcem. Usta jego zadrżały, ale słowo zamarło i nie wyszło przez nie.

— Przysłała swego narzeczonego — ciągnął dalej z ironją młodzieniec — aby maskowatym przypadkiem udaremnił pojedynek, któryby mi dał sposobność okazania pannie Janinie

i całemu światu, że mam taką samą krew jak i każdy szlachcic... żem jej godzien jak każdy inny!...

— Milcz pan! — krzyknął Jerzy, któremu nagle przed oczami wszystko chodzić poczęło.

Chmura dymu przed kanapą rozdzieliła się na dwa obłoki, z po za których wyszły dwa mundury, dwie pary epoletów, dwa Lanzasy i dwie pary wąsów. Wszystko to stanęło między Jerzym i Ottonem, a dwa głosy ozwały się jednocześnie:

— Hola! już ani słowa. Już więcej nie macie z sobą nic do czynienia, tylko z nami!

— Jestem gotowy w każdym czasie — rzekł Jerzy, a twarz pałała mu ogniem.

— Czem prędzej, tem lepiej — odparł młodzieniec, a jego błękitne oczy zaszły łzami.

— Oto są nasze bilety — ozwały się dwa Lanzasy do Jerzego. — Pośrednicy pana mogą się z nami rozmówić.

Jerzy chwycił za dwie karty i wybiegł na ulicę.

Syn negocjanta rzucił się na szyję przyjaciołom, obcałował ich wąsy, z nim sympatyzujące i zawołał w radośnem uniesieniu:

— Jestem szczęśliwy, moi przyjaciele! Będę się strzelał, świat dowie się o tem, że nie jestem tchórzem — a ona się dowie, że ją kocham!

— Jeźli cię nie zakłuje ten Polak! — mruknął jeden Lanzas.

— Głupi interes — mruknął drugi — wleźliśmy w błoto!

Ale uszczęśliwiony młodzieniec nie słyszał ich mowy — jednym zamachem zbiegł dwa piętra i wpadł do kantoru.

Pifke zaledwie do siebie był przyszedł, usłyszawszy wcale dziwne zdanie, jakoby krew «drobnego negocjanta» miała być podlejszą od krwi każdego innego bankiera, i zaledwie sam stary negocjant jakoś się był udobruchał i z młodym negocjantem szeroko rozmawiać począł, jakimby to sposobem podnieść akcje kolei żelaznej, i jakie po temu dzienniki przekupić potrzeba — gdy nagle z twarzą rozogniona, z rozburzonemi włosami stanął przed nimi młody Otton.

— Ojcze! — krzyknął, rzucając mu się na szyję — będę się strzelał jutro i okażę przed całym światem, że we mnie nie ma krwi «drobnego negocjanta» i że ją ko....

Pifke się skrzywił i odstawił szklankę, którą był właśnie do półtora zęba swego przyłożył. Powziął w duchu to chwalebne przedsięwzięcie, aby najprędzej zaniechać «drobnych interesów» i postarać się o własną firmę: «Pifke et Compagnie».

Namiestnik «Goliata» przyciskał w tej chwili swego jedynaka do piersi, nie dając mu ani słowa więcej powiedzieć.

---

Gdy Jerzy do hotelu powrócił, w którym obaj z hrabią Leonem mieszkali, zastał tegoż siedzącego spokojnie na kanapie i nucącego sobie pod nosem jakąś arję z «Marty». Hrabia wyglądał znudzony, a ujrzawszy wchodzącego Jerzego, rzekł z niecierpliwością:

— No cóż, szanowny panie, jedziemy?

— Nie dzisiaj jeszcze — odpowiedział Jerzy.

Odpowiedź Jerzego miała tak dziwny akcent, że hrabia mimowolnie na niego się wypatrzył. Na twarzy Jerzego malowało się jakieś dziwne, nieodgadnione szczęście. Jego oczy uśmiechały się i tak szybko biegały jak jaskółki przed burzą. Często musiał zaczerpnąć głębszego oddechu, bo mu jakoś zanadto pełno było w piersi.

Usiadł w drugim rogu kanapy i z wyrazem tryumfu spojrzał na bladą, zimną twarz hrabiego. I w samej rzeczy miał z czego tryumfować nasz bohater, według najlepszego swego przekonania. W zagadkowym swoim towarzyszu, pomimo wszelkiej ku niemu sympatji, widział zawsze w końcu swego nieprzyjaciela, który mu stanął na drodze szczęścia. Czuł jego wyższość nad sobą, która go gniotła do ziemi jak ciężka, ołowiana atmosfera. Czuł jego siłę demoniczną, która go ciągnęła za sobą, aby był świadkiem jej tryumfów i przekonał się, jak daleko od marzeń poety do praktycznego człowieka! Wszystkie te boleści przechodził nieszczęśliwy marzyciel, a jednak nie miał odwagi, zdobyć się na krok stanowczy i rozciąć ten węzeł gordyjski. Jemu zdawało się, że zdobywszy serce, już dosyć uczynił — że na tem polu koniecznie zwyciężyć musi.

Tymczasem adwersarz jego coraz więcej cisnął go do ziemi. Już samą pozycją swoją miał nad nim wszelką przewagę, a cóż dopiero teraz, gdy w obronie Janiny postawił życie na kartę? Cóż Jerzy uczynił, aby dowieść swoich uczuć?... Jego przeciwnik wziął mu z przed nosa jedyną próbę, która się mu nadarzyła, i odbył tę próbę na swoją korzyść!... A może Janina naśladując dziewicę wieków rycerskich, wystawiła ich obu na próbę miłosną?...

W takim stanie rzeczy zdarzenie z synem negocjanta było dla Jerzego bardzo korzystne.

Strzelając się z drugim spólnikiem udaremnionego pojedynku, stanął na równi z hrabią Leonem. Zrównał się więc

ze swoim przeciwnikiem i okazał się godnym miejsca, jakie już miał w sercu panny Janiny.

Więc z uczuciem tryumfu spojrzał na swego towarzysza i uśmiechał się nie bez pewnej zarozumiałości, gdy tegoż blada, zimna twarz poczęła się ożywiać wyrazem ciekawości.

— Jeźli się nie mylę — ozwał się hrabia Leon i tak przenikliwym wzrokiem spojrzał w twarz Jerzego, że ten był pewny, że już wszystko odgadł — jeźli się nie mylę, spłatałeś pan znowu jakiegoś figla.

Jerzy pokrył swą twarz maską żartu i odparł z wejrzeniem jakiejś myśli ubocznej:

— Nie, figla nie spłatałem... był to prosty przypadek.

— Jaki przypadek?

— Że się strzelać będę.

Hrabia Leon rzucił się na kanapie.

— Obawiałem się tego — odparł cierpko.

— Ale to prosty przypadek, nic ułożonego najprzód... taki sam przypadek, jaki pan miałeś z panem Von der Mark — odparł Jerzy z ironją w spojrzeniu.

Hrabia wypatrzył się na niego i rzekł z cierpkim uśmiechem:

— Kto się wyższej myśli poświęcił, kto pragnie służyć ludzkości, ten nie powinien tak życiem igrać w rzeczach podrzędnych.

Jerzy uczuł, że mu twarz oblała się rumieńcem. Ale wnet serce odniosło zwycięztwo. Wyprostował się i rzekł z dumą:

— To jest tylko dowodem, że zdolny jestem do każdego poświęcenia się, do każdej walki z tem, co mi na drodze staje.

— Ale nie z marami, które do niczego nie prowadzą! — odparł hrabia z widoczną niecierpliwością.

Jerzy wlepił oczy w bladą, zimną twarz hrabiego, ale na niej prócz jakiejś kapryśnej, pańskiej niecierpliwości, żadnego innego nie dostrzegł wyrazu.

— Myślałem, że pana od nierozważnego kroku ochronię — mówił dalej hrabia.

— Jakto? — wtrącił Jerzy — więc ów prosty przypadek w kasynie szlacheckim był najprzód obmyślony?...

— Tego nie mówiłem — przerwał szybko hrabia — tylko myślałem, że mój wypadek ochroni pana od wszelkich podobnych...

Jerzy roześmiał się, chociaż w tym śmiechu było więcej bolesnego uczucia jak wesołości.

— Więc pan chciałeś mi jak żakowi wyprawić odstraszający widok, jak człowiek z roztrzaskaną nogą po

pojedynku wygląda... a tymczasem zbudziłeś tylko pragnienie krwi.

— Widzę, że pan musisz być swoim własnym lekarzem — odparł zimno hrabia.

— Są choroby, które tylko samemu leczyć można — odrzekł mu na to również zimno Jerzy.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju, poglądając z pod oka na Jerzego. Jerzy jak najspokojniej zapalał sobie cygaro. Widać podobało się to hrabiemu, zatrzymał się przed kanapą i począł się mu z uwagą przypatrywać. Po chwili rzekł:

— Dotąd myślałem, że potrzeba życiem pogardzać, aby je stawiać na kartę. Teraz widzę, że można to uczynić w chwili, gdy się nam ono najpiękniej uśmiecha!

— Ta między nami zachodzi różnica — odparł Jerzy z bolesnym uśmiechem.

— Temu nie przeczę... może się kiedy zbliżymy do siebie... tak na pół drogi przynajmniej — rzekł hrabia i pospieszył do stolika, na którym był przyrząd do pisania.

Napisawszy kilka wierszy, zadzwonił na służącego hotelu.

— Ten list odniesiesz do księcia Thurn — rzekł do niego — a z tym udasz się do pana R., u którego kupiłem dwa konie. Oraz proszę o rachunek, gdyż zaraz wyjeżdżamy.

Jerzy czekał właśnie niecierpliwie odejścia służącego, aby hrabiego zapytać się, co znaczą tak dziwne rozporządzenia, gdy tenże rzekł do niego:

— Muszę panu oczywiście sekundować. Znasz pan sekundantów swego przeciwnika?

Jerzy oddał mu karty.

— A wiesz pan, z kim się strzelam? — zapytał hrabiego.

— A jużci z młodym Warnerem! — odparł tenże z uśmiechem.

— Pan zgłębiasz wszystkie tajemnice.

— O mnie mniejsza... ale żeby tylko ktoś inny wypadku tego nie zgłębił, a niesmacznem byłoby mi to pensylwańskie więzienie. Wypadek pana Von der Mark narobił tutaj hałasu. Jakieś dziwne figury snują się od rana w koło hotelu. Dla tego dobrze będzie, jeźli my zaraz ztąd wyjedziemy. Konie pójdą z moim służącym do Dąbczyna, a my tymczasem z innego hotelu wyjedziemy innemi, które właśnie kupiłem. Czysta krew angielska, milę biegną piętnaście minut. A teraz idę do sekundantów; tymczasem możesz pan wygotować na przypadek dokument samobójstwa i coś na kształt testamentu.

Rzekłszy to hrabia Leon, uśmiechnął się z największą obojętnością, zapalił świeże cygaro, a nucąc arję z «Hugonotów»

wyszedł z najlepszą w świecie fantazją, jakby szedł dla swego towarzysza po kartę na kolej żelazną.

---

Jerzy zbliżył się do stolika i wziął za pióro, aby napisać ów fatalny dokument samobójstwa. Ale ręka mu zadrżała, pióro wypadło na ziemię. Oparł się o poręcz krzesła, podparł ręką głowę i zamyślił się.

Na wieży, tam gdzieś daleko, wybiła dziewiąta godzina. Wrzawa na ulicy uciszała się coraz więcej. Tylko jakiś głuchy, zmącony szum, jak szum walczących pod gwiazdami wichrów, dolatywał do jego uszu.

A w tym szumie było przecież coś zrozumiałego. Jakieś dziwne głosy wybijały się z tego powszechnego akordu miasta i trącały o jego serce. I zdawało się młodemu marzycielowi, że słyszy mówiących w tym szumie:

— I myśmy wszyscy marzyli, i myśmy chcieli iść odmiennemi drogami, jakiemi zwyczajni ludzie nie chodzą, ale w przedsięwzięciach naszych nie stało nam siły. Póki ognia w sercu, póty marzeń! Przeminęła doba zapału, nasze serca ochłodły. I jedni z nas stali się kupcami i ajentami sklepów korzennych; inni dla grosza pobrali żony, których nigdy nie kochali; a tamci zniżyli harde karki, katońskie cnoty swoje zamknęli do puszki blaszanej, jak dziecko zamyka swój grosz oszczędzony, a tymczasem stali się sługami i narzędziami występnych! I myśmy chcieli poświęcić się, gdy serce żywiej biło, gdy wiatr gorący zawiał od zachodu i głowy nam zapalił; a gdy przeminął, wróciliśmy do naszych garkuchni, do naszych piwnic wybornych, i na tym padole płaczu pijemy piwo bawarskie i palimy fajki z długiemi wassersakami! Żyjemy g'woli ciała, bo ono tylko nam zostało; reszta uleciała, jak ulatuje dym z fajek i znikła, jak znika piana w piwie bawarskiem!...

Pośród tego chaosu głosów wielkomiastowych brzmiała jakaś odosobniona, smutna melodja. Gdzieś z poddasza wychodził ten głos, a słowa jego były:

— Ubogi byłem, nic mnie do życia nie wiązało. Wzleciałem nad to życie codzienne i z wysokości, gdzie orzeł lata, ujrzałem rany ludzkości. I zapragnąłem być jej lekarzem. I całe moje ubogie życie chciałem jej poświęcić. Ale dwoje pięknych oczu ujrzałem na ziemi. Dla tych oczu wyrzekłem się snów i ślubów moich: to mnie już wiązało do ziemi. Byłem bogaty miłością, a cała ludzkość była taka zdrowa, uśmiechająca się!... Jam kochał więcej ciebie, jak

ludzkość, a całą ludzkość widziałem w tych pięknych oczach, które na mnie patrzały!... Ale wkrótce odwróciły się ode mnie te dwoje pięknych oczu, w koło mnie smutno i pusto, upadłem jak kamień, który nie doleciał do mety, w kałużę mętów i błota!...

Jerzy wzdrygnął się i spojrzał po pustym pokoju. Nie było nikogo, wszędzie głucho. Jakiś przeciąg wiatru przybiegł od drzwi i zdawało się, że się drzwi otwarły, że jakiś stary żołnierz w podartym mundurze stanął na progu.

— Młody człowieku — rzekł do Jerzego i wystawił wyschłą rękę po jałmużnę — gdym był tak młody jak ty, latałem wysoko i marzyłem o wielkich zaszczytach. Tymczasem jako prosty żołnierz zbiegłem ze straży, na której mnie postawiono. Młody człowieku, i ty marzysz o stopniu bohaterstwa, a tymczasem nie umiesz ostać się na straży, gdzie cię jako prostego żołnierza postawiono!...

Wiatr przeciągnął znowu po pustym pokoju, widmo zniknęło, a Jerzy został znowu sam jeden. I przyszedł mu przed oczy gdzieś tam daleko biały domek rodzinny, w którym dzieckiem bawił się tarczą i zbroją dziadka... Przypomniał sobie wszystkie swoje sny i śluby, wypowiedziane spiekłemi usty w chwili szału i natchnienia — spojrzał za siebie i ujrzał, że spory kawał drogi już uszedł do założonego celu — i nagle upadł, upadł głęboko...

W tem jasne widno mignęło mu przed oczy. I słyszał ten głos, który całą wstrząsał duszą: Ty mnie nie kochasz!... I widział ów piękny, włoski pawilon w ogrodzie — ową pogodną, majową noc, w której tak cichy przyświecał księżyc... Ów ciemny, lipowy szpaler i świecącego w nim robaczka... Słyszał przy swojem sercu bijące drugie serce i te oczy ciemne, palące, patrzały na niego tak dziwnie, tak słodko!... A te białe, okrągłe ramiona tak drżały, jak dwie gałązki brzozy, oplatające gniazdo ptasze!...

Jerzy schylił się po pióro i zaczął pisać.

W pokoju było cicho i smutno. Tylko pióro skrzypiało przeraźliwie i bryzgało po białym papierze, a piszącemu zdawało się, że ono ustraja jego słowa w najpiękniejsze arabeski!...

Około dziesiątej godziny otworzyły się drzwi — hrabia Leon wrócił z swego poselstwa.

— A cóż tam z dokumentem samobójstwa i testamentu? — zapytał, biorąc ze stolika świeże cygaro.

Jerzy w milczeniu okazał mu dwa złożone papiery.

— Jakoś zbyt krótko zbyłeś pan ciekawość świata! — rzekł hrabia Leon z uśmiechem.

— Spodziewam się, że i tego będzie za wiele — odparł Jerzy dosyć obojętnie.

— Ach! wy dusze poetyczne, zakrawacie strasznie na Faryzeuszów. Dla świata skromność mnicha, a wewnątrz duma najdumniejszych patrycjuszów!

— Tak jest, bo myśmy dumni z tego, czem według naszej boskiej iskry być powinniśmy, a skromni, żeśmy tak mało zrobili!

— Przy tej skromności naszej myślimy jednak sobie, jak gorzko ktoś za nami płakać będzie, gdy nam życia nie stanie!... — poderwał hrabia z ironicznym uśmiechem.

— Tę wiarę wolno przecież wziąść z sobą każdemu nieboszczykowi.

— A wolno, wolno... ale nie wolno mu wracać do życia, bo przekonałby się, że nie warto z taką wiarą umierać... Jest to najrozsądniejsza myśl w urządzeniu społeczeństwa, że umarłym nie wolno wracać do swoich przyjaciół, żon, kochanek... Wyjeżdżajmy.. o piątej godzinie w lasku królewskim...

---

Właśnie w tym czasie wychodził Pifke z kamienicy o śmiejących się karjatydach i myślał sobie w duchu:

— Mój przyjaciel Warner musiał bzika dostać. Nie dałbym za to i feniga, że mu się szlachectwo po głowie roi. Do tego głupstwa nie jeden poczciwy negocjant na starość przychodzi. Całe życie będzie porządnym negocjantem, a gdy skrzynie mu się napełnią, to głupstwa robi. Pifke! strzeż się dumy, bo ta nie prowadzi do królestwa niebieskiego.

Tak mówił w duchu do siebie porządny negocjant, idąc nieco w zygzak po szerokim trotoarze, gdy w gabinecie jego przyjaciela właśnie światło zagasło i głucha cisza zaległa te zimne, wilgotne mury. Stary negocjant wyszedł przez schody kręcone na pierwsze piętro i prosto udał się do swego pokoju.

Myśli jego były dzisiaj jakoś nie w najlepszym porządku. Tyle się różnych rzeczy stało, tyle nasłuchał się przy uczonym obiedzie, i tyle zjadł i wypił, że na to wszystko i miejsca nie było w jego wyschłem ciele. Mianowicie myśl pojedynku strasznie dwała się mu w znaki. Jakoś nie przystawała ona do jego mózgu i wylatywała z niego jak groch z dziurawego worka za każdem ruszeniem głowy. Wziął szlafmycę, naciągnął na same uszy, ale i to nie wiele pomogło. Wreszcie położył się do łóżka, włożył głowę pod poduszkę i na-

krył się pierzyną. Ale myśl nieswojska wylazła przez szlafmycę, poduszkę i pierzynę, i latała po nim jak czarna szczypawka.

— Dużo dziś jadłem — mówił do siebie negocjant, przewracając się na drugi bok, a z nim przewracała się myśl czarna i kąsała go jak szczypawka.

I chciał tę brzydką myśl odpędzić jakiem błogiem marzeniem. Marzył o wielkiej herbowej tarczy nad bramą swojej kamienicy; w salonach na pierwszem piętrze widział długi szereg gości znakomitych; imię jego błyszczało w jakichś dziwnych symbolach na guzikach liberji domowej... a w tem ukazał się syn jego — we krwi — konający — syn jedynak!...

Negocjant zerwał się z łóżka, zrzucił poduszkę, pierzynę i szlafmycę na ziemię i przestraszony spojrzał w duże zwierciadło, z którego przy świetle nocnej lampy wyszczerzała się jakaś mara okropna!... Zbliżył się do zwierciadła, przypatrzył się tej brzydkiej marze — był to on sam! Tak brzydkim jeszcze nigdy siebie nie widział!

— Czego się niepokoję — mówił do siebie — wszak tysiące pojedynkują się, a nikt nie ginie!

I znowu spojrzał w zwierciadło i zdawało się mu, że jest brzydki i stary jak nigdy!... A tam w kącie, tam... leży trup siny, skrwawiony — to syn! jedynak!

— Przecież to jeszcze nic pewnego — mówił do siebie — Otton dopiero mi coś napomknął...

W drugim pokoju coś gwizdnęło — za piecem ktoś się zaśmiał!

Włosy stanęły mu kołkiem do góry. Obejrzał się — był sam, sam jak palec.

— Moja krew widać nie jest do tych rzeczy! — rzekł do siebie — mam słabe nerwy.

Znowu ktoś się zaśmiał tuż za jego plecyma i coś mu gwizdnęło pod samym nosem. Negocjant wykręcił się w koło, potarł po nosie, a wszędzie znowu cicho i głucho.

— Do takich głupich rzeczy jak pojedynek, trzeba się, jak widzę, urodzić — mruknął niezadowolony negocjant — aż nogi podemną dygoczą... A co tam biedny mój Otton robi! On pewnie poci się ze strachu! Trzeba pójść dodać mu ducha... tak, tak, dodać mu ducha...

I wziąwszy do ręki nocną lampę, wysunął się stary negocjant cicho i ostrożnie ze swego pokoju. Na korytarzu było pusto i głucho. Zbliżywszy się do schodów drugiego piętra, ujrzał nagle przed sobą jakąś postać olbrzymią. Ale negocjant nie chciał w tej chwili z nikim mieć do czynienia i czmychnął czemprędzej napowrót do swego pokoju. Tam znowu było mu samemu jakoś nudno, a nawet trochę

i straszno. Trup siny leżał ciągle w kącie, pod nosem ktoś mu świstał, a nad karkiem śmiał się jakiś duch-psotnik, że aż włosy stawały na głowie!...

— Trzeba iść do Ottona, trzeba mu dodać ducha, niech się nie boi!... — rzekł do siebie i znowu wyszedł z pokoju. Ta sama czarna, olbrzymia postać leżała tuż przed nim na progu!...

Negocjant zamknął oczy, rzucił lampę i wybiegł na korytarz. Pędem przeleciał schody i wpadł do pokoju syna.

— Ottonie, Ottonie! — zawołał z progu — nie bój się niczego, szlachcic także człowiek z gliny jak wszyscy, a nie boi się...

Ale Otton nie ozwał się, w pokojach nie było nikogo. Łóżko jego było nietknięte — tylko nocna lampa świeciła się jak zwyczajnie! Negocjant przyrósł nagle do ziemi, włosy stanęły mu kołkiem... A trup siny leżał i tu w kącie, i tu ktoś mu gwizdał pod nosem, a na karku siedział już oczywisty djabeł i śmiał się, aż po kiszkach darło!

— Nie pojmuję, jak się można pojedynkować! — szepnął w sekrecie do siebie negocjant — ale nie, ja mam słabe nerwy i nic więcej — dodał zaraz potem.

Na stole leżał jakiś papier opieczętowany. Negocjant rozerwał pieczęć — było to tkliwe pożegnanie syna, gdyby zginął w pojedynku!

Negocjant zadrżał cały — kolana ugięły się pod nim. Wybiegł z pokoju, biegł po schodach i korytarzu, nie widząc wcale owej olbrzymiej postaci, która tuż za nim biegała. Wpadł do swego pokoju — ale jakaż rada!... Gdzież Otton? A to noc, północ... wszędzie głucho, wszędzie pusto!... Tam w narożnym pokoju śpi Matylda i marzy o swoich srebrach wyprawnych, ale cóż ona poradzi!... A zresztą jakże tam iść przez dziesięć ciemnych pokoi!...

— Mam słabe nerwy, jabym się nigdy nie pojedynkował... to głupstwo... hm, głupstwo i kaprys... Nic głupszego szlachta nie mogła wymyśleć, jak te pojedynki, gdzie kogoś zabić można... Ja bym się nie strzelał, nie... ale tak na pałasze... no, to jeszcze pół biedy... Otton musi na pałasze się bić... a nie strzelać!...

Tak mówiąc do siebie nieszczęśliwy negocjant, chodził po ciemnym pokoju, klapał rękami i patynkami, a usiadłszy na krześle, sam nie wiedział, co się z nim stało. Popadł w jakieś szczególne delirium, ale co w tem delirium widział, o tem i sam Cefizes nie umiał by nic powiedzieć.

Była godzina czwarta z północy, gdy negocjant na serjo przyszedł do siebie. Zerwał się na nogi, zadzwonił na służącego i czemprędzej się ubrał. Jak szalony wybiegł na ulicę. Ottona jeszcze nie było.

Na niebie wschodziła jutrzenka i różowem światłem malowała wązkie, wysokie kamienice.

Negocjant uderzył piersią o jakąś długą, porządnie ubraną figurę.

— Linku, Linku kochany, niebo mi cię zsyła!

Link miał na sobie długi kapotrok, pantalony perłowego koloru za ośm talarów, zieloną westę z czerwonemi kwiatkami i prawdziwy «Gibus» na głowie. Jednak to wszystko było już pomięte, powalane.

— Linku! Otton się chce strzelać! — krzyknął mu negocjant do ucha.

— To głupstwo! — mruknął ajent, siląc się do pionowej pozycji.

— I ja sam tak myślę, ale cóż robić... gdzie go szukać, Linku? Biegnij do policji —

— Właśnie ztamtąd idę — odrzekł ajent — niegrzecznie się ze mną obeszli.

Rzekłszy to, z taką zatoczył się energją, że swego patrona z nóg zwalił, a sam dalej ukośną linją podążył.

Za kilka minut pukał nieszczęśliwy negocjant do małego domku na przedmieściu. W oknie ukazała się brudna szlafmyca i włosy rozczochrane.

— Pifke, drogi Pifke! ratuj mnie! — krzyknął negocjant do brudnej szlafmycy.

— Warner!

— Otton chce się strzelać!

— Coś już słyszałem o tem głupstwie — wyrzekł głos z pod szlafmycy.

— Sądzisz, że to głupstwo?

— Wierutne głupstwo!

— Ba! ale szlachta zazwyczaj strzela się...

— Ale krew porządnego negocjanta nie strzela się, rozumiesz?

— Ba...

— Naszym honorem i szlachectwem, to p i e n i ą d z e i nic więcej! Gdy będziesz miał pieniądze i porządną firmę, masz wszystko! Cały świat stoi ci otworem — i szlachectwo i zaszczyty, jeźli ci one koniecznie po głowie skaczą!

— Pifke, słowo w słowo i ja tak myślę!

— Idź i weźmij syna za uszy!

— Ba, ale go nie ma... a teraz może już się strzela... a może już zabity!...

— To biegnij na policję i weź żandarmów —

— Pifke, z ciebie Pan Bóg mówi!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Z ciemnej, porannej chmury wynurzyło się złote, majowe słońce. Ku laskowi królewskiemu spieszyło kilku żandarmów, za nimi toczyła się stara dorożka.

W tem padły dwa strzały — z pomiędzy drzew wzniosły się dwa obłoki białego dymu.

Żandarmy puścili koniom wodze, dorożka ruszyła raźniej, a za kilka minut stanęli wszyscy na miejscu.

Na otwartej polance, z pistoletem w ziemię spuszczonym, stał Otton, martwy jak posąg. Kilkanaście kroków przed nim, gdzie stał jego przeciwnik, była kałuża krwi. Więcej nie było nikogo, tylko daleko między krzakami przedzierały się dwie pary epoletów.

— Bierzcie go, to mój syn, bierzcie i wiążcie! — krzyknął stary negocjant i upadł jak nieżywy na ziemię.

Żandarm w imieniu ustawy przytrzymał przestępcę, drugi obiegł cały lasek do koła, ale nigdzie nie było ani żywego ducha.

Władza miejscowa porozsełała ajentów na wszystkie części miasta, ale żaden z nich nie przyniósł pożądanej wieści. Jeden tylko przyniósł raport, że właśnie o tej godzinie odbywał kurs zakładowy książę Thurn z jakimś polskim grafem na drodze, prowadzącej do Dąbczyna.

A po całem mieście gruchnęła wieść, że syn negocjanta, chcąc się ocalić od pojedynku z jakąś wysoko położoną osobą, sam miejsce pojedynku władzy denuncjował.

---

## V.

Na drugi dzień po tem szczególnem zdarzeniu dosyć wesoło było w zamku dąbczyńskim. W małym saloniku o żółtem obiciu siedziała Janina na amarantowej kanapie i pieściła się z prześliczną papugą, która jej coś do ucha szeptała. Koło niej siedziała Terenia, trzymając z pewnem omdleniem swe białe, przezroczyste ręce na rogu stoliczka.

Janina miała oczy wilgotne, jakby płakała, ale na jej pięknej twarzy malowała się pusta wesołość.

— Tereniu, Tereniu, ja jestem szczęśliwa! — mówiła do biednej idjotki — ach! ty nie znasz tego szczęścia, co to jest, być kochaną!

— Jam szczęśliwsza, gdy sama kocham! — odrzekła z westchnieniem idjotka.

— Bo ty nie jesteś kobietą, moja Tereniu, ale dziwaczką! — szczebiotała piękna Janina.

— Moje serce mi mówi, że tak lepiej —

— Twoje serce jest chore, nudne, sentymentalne —

— To prawda, bo nie jest całe —

— Cóż znowu mówisz?

— Brak mi pół serca, pół duszy... dla tegom chora!

— Któż ci je wziął?

— Nikt — kobieta tak się już rodzi.

— A któż ma drugą połowę?

— On!

— Ach, jakaś ty pocieszna z twoją sentymentalną filozofją! — zawołała Janina, pieszcząc się z białym Kakadu — na taki sposób jabym już zanadto miała tego serca — aż dwóch dla mnie się strzelało!

Blada idjotka na to nic nie odpowiedziała. Skrzyżowała na piersi swoje białe, przezroczyste ręce i stała się tak nieruchomą, jak biała, marmurowa statua. Całe jej życie zbiegło gdzieś w głąb — do serca, do tego biednego, chorego serca nieszczęśliwej sieroty.

— Pampo! pampo! — szczebiotała Janina do białej papugi — ja cię dam komu innemu, tylko bądź grzeczną i nie gadaj zbyt wiele. Będziesz stała w oknie na słońcu, a gdy przez ulicę pojadę, pozdrowię cię, prześlę ci pocałunek, moja droga Pampo! A ty mi powiesz, że mnie kochasz! Nieprawdaż?...

Pampa otworzyła dziób krótki i przeszła całą konjugację słowa «kochać», w formie czynnej i biernej, a chociaż najmniejszego nie zrobiła błędu, przecież Terenia skrzywiła się jakby ją uderzył jakiś ton fałszywy.

W tej chwili z ołówkiem w ręku weszła margrabina do pokoju.

— Cóż tu Pampa robi? — zapytała.

— Ach, mamo! żegnam się z Pampą — odparła Janina — a tak mi ją żal?

— A komuż ją dajesz?

— Przegrałam zakład z doktorem.

— Zakład?

— Mówiłam, że wczoraj deszcz będzie padał!

— To mu ją odeślij... biedny, będzie miał z nią rozrywkę!

Janina spłonęła lekko, a kryjąc swą twarz, przycisnęła swoje piękne różowe usta do białego pierza Kakadu. Nigdy biedna Pampa nie odebrała gorętszego pocałunku.

Tymczasem margrabina przyłożyła dyplomatycznie ołówek do czoła i rzekła do córki:

— Niniciu, trzeba żebyście wyszły do ogrodu na spacer. Hrabia Leon już od chwili chodzi z szalem na ręku. Może się nudzi — może chce już odjeżdżać.

— Ach! to taki nieznośny człowiek, kochana mamo! — ozwała się z kapryśną miną Janina.

— Tem więcej trzeba na niego uważać — odparła matka, a wziąwszy córkę pod ramię, wyszła na kurytarz. O kilka kroków za niemi szła wolnym, omdlałym krokiem, biedna idjotka.

W alei przechadzał się hrabia Leon. Patrzał w ziemię z roztargnieniem i coś sobie motał na wąs.

— Ach! hrabia coś na wylocie! — zawołała margrabina.

— Tylko na kilka chwil — odpowiedział tenże.

— Zapewne do Czarnowód...

Hrabia Leon zmięszał się trochę, a gdy Janina lekko i z wdziękiem jak sarneczka pobiegła z Terenią na gazon za pięknym motylem, dodała margrabina z figlarnym uśmiechem:

— Niezawodnie do Czarnowód... Majorowa, słyszałam, zasłabła trochę, dowiedziawszy się o pojedynku.

— Zgadłaś pani — odparł hrabia z wymuszoną obojętnością — a słabość gospodyni tym razem nawet na rękę mi będzie, gdyż wiozę dla majora cały pęk gazet, które razem przeczytać mamy!

— Pan tak dobrze umiesz czytać! — szepnęła z melancholijnym uśmiechem margrabina.

Stary Soroka zbliżył się w tej chwili do alei i mrukliwym głosem oznajmił panu, że konie gotowe.

— Pan jedziesz do Czarnowód — rzekła Janina z dziecięcym roztargnieniem, trzymając motylka za złote skrzydła — zapewne po drodze wstąpisz pan do doktora.

— Na rozkaz pani —

— Weźmiesz pan z sobą moją Pampę —

— Prześliczną Pampę?...

— Wyobraź pan sobie, jakie dziecko ze mnie. Założyłam się z nim o Pampę, że wczoraj deszcz będzie!

— W której osobie i w jakim czasie kazałaś pani Pampie to fatalne słowo «kochać» wymawiać? — zapytał żartobliwie hrabia Leon.

— W każdym czasie i w każdej osobie... ale tylko w trybie warunkowym! — odparła śmiejąc się piękna Janina.

— Voila, elle est bien femme! — rzekła margrabina, podając margrabiemu rączkę do pożegnania.

---

Gdy hrabia odszedł, a Janina pobiegła na górę, aby Soroce dać mosiężną klatkę z papugą, patrzała długo za nią margrabina i rzekła do siebie:

— Nińcia ma dobry spryt kobiecy. Za długo wydała się jej obojętność hrabiego, chce go trochę zazdrością podrażnić. Na jego ręce posyła ulubioną swoją papugę doktorowi. Biedna Nińka! Gdyby stosunki na to pozwoliły, mogłaby za granicą zrobić znakomitą partję. Umie się podobać i panuje nad sobą. — Ah! pan Warner! — zawołała do wychodzącego z bramy negocjanta.

Negocjant był blady i jakoś strasznie pomięty. Na twarzy miał dziesięć razy więcej zmarszczków jak zwykle, oczy w głąb mu zapadły, zgarbił się i skurczył. Przez dwa dni najmniej o dziesięć lat się postarzał. Ujrzawszy margrabinę, pobiegł szybko drobnym krokiem, a całując ją w rękę, jak to zwykł czynić w każdym polskim domu, rzekł z pokorą:

— Pani margrabina słyszała zapewnie o moim synu...

— O synu pana? — powtórzyła z pańskim kaprysem margrabina.

— Strzelał się, strzelał! — dodał szybko negocjant.

— Jakto, chciał się zabić?

— Nie, miał pojedynek, pojedynek!

— Pojedynek! Z kimże?

Negocjant przymróżył jedno oko i skrzywił się na znak milczenia. Do tego zaruszał głową i uśmiechał się, chcąc okazać, jak wiele byłoby o tem do opowiadania, gdyby milczeć nie potrzeba było.

— O cóż im poszło? — zapytała margrabina, szanując tajemnicę negocjanta.

— Ot, o bagatelę... jeden mówił, że tak, a drugi, że nie tak. Dzisiaj honor to rzecz bardzo delikatna.

— Ale zawsze pan jako ojciec —

— Krew, krew gorąca, krew dobra, wielmożna pani margrabino, i szlachcic...

— Pan zapewne w interesie do mego męża... właśnie jest w swoim gabinecie — przerwała margrabina.

— Tak jest, i to wielkiej wagi interes... inaczej po tak wielkim wypadku...

Margrabina ukłoniła się ręką i weszła do pawilonu, zkąd

prowadziła galerja do zamku. Negocjant został się sam w ogrodzie. Nie czuł on bynajmniej tego upokorzenia, które go spotkało, bo wszystkie swoje pretensje, jakie zazwyczaj ma człowiek bogaty, zlał na swego syna i czuł się szczęśliwym w nadziei, że w drugiej generacji imię jego przyjdzie do tego wzięcia, jakie nadaje bogactwo. Dla tej nadziei wszystko dzisiaj zniósł chętnie i na żadną nie zważał obelgę.

Mimo to uderzyła go dziwna różnica, jaka zachodziła między jego domem i domem margrabiego. On zliczył każdą nitkę na tej damie wielkoświatowej, zliczył każdą cegłę w tym zamku starożytnym, i najprostszym rachunkiem przyszedł do tego przekonania, że ci ludzie już zgoła nic nie są warci, bo nic majątku nie mają. Gdyby on był w tem położeniu, byłby najskromniejszym na świecie człowiekiem, walałby się gdzieś w najciemniejszych kątach i niktby może nie spojrzał na niego! A tu widzi jeszcze dumę i wyniosłość, widzi dobrą fantazję, jakby pełne kieszenie były złota!

— To wszystko robi szlachectwo — pomyślał sobie negocjant. Otton musi zostać szlachcicem. Szlachectwo zmienia krew i wzmacnia nerwy. Ja mam słabe, bardzo słabe nerwy.

A gdy ze szlachectwem zawsze Dąbczyn i zamek szły w parze, toż chciwem okiem począł się oglądać po starem zamczysku, w którem miał już rezydować pierwszy jego potomek. Patrzał na te grube, kolosalne mury, zmierzył wieżę zamkową, policzył na dachu kaplicy stojące posągi, przebiegł oczyma długą, lipową aleę, a nawet odchylił drzwi zielonego pawilonu, aby tajemnicze jego wnętrze obaczyć.

— Jak to wszystko po pańsku będzie, gdy mój syn tu zamieszka! — szepnął z cicha do pawilonu. — Ale trzeba mu przygotować ścieżkę, trzeba prędko wziąść się do dzieła, aby ten młody, bogaty hrabia...

Rzekłszy to, zamknął pawilon i szybko wybiegł na schody, prowadzące do gabinetu margrabiego.

Margrabia miał dzisiaj jak zawsze twarz rumianą, gładko ogoloną, miał białą chustkę na szyi, ciemno-bronzowy frak i popielate pantalony. Siedział w dużym fotelu, założył na krzyż popielate nogi swoje i zdawał się im z zadowoleniem przypatrywać. Koło niego leżały jakieś listy i gazety.

— Pan margrabia pozwoli, że złożę moje uszanowanie... — rzekł negocjant pokornie przy drzwiach.

— Ah Warner! Panie Warner, proszę... co za gość miły i rzadki!... — mówił margrabia, przekładając nogę na nogę.

— Słyszałem, że margrabia powrócił...

— Siadajno, mości panie Warner, dobrze żeś przyjechał; opowiesz mi, jak tam właściwie stoją nasze interesa. .

— O tem mówić nie warto, tak drobne rzeczy! — mówił negocjant, siadając na krawędzi krzesełka.

— Jakto drobne rzeczy, jeźli ci procentów nie płacę — odparł z uśmiechem margrabia.

— Gdyby wszyscy moi dłużnicy byli tacy jak pan margrabia, czegobym chciał!

— A jednak daję gardło, że tam w zanadrzu masz subhastę! — rzekł żartobliwie margrabia, zapalając cygaro.

— Jak pan margrabia widzi, że ja mam coś w zanadrzu! Co jabym dał za takie oczy! — ozwał się negocjant ze złośliwym uśmiechem.

— No! cóż tam, okaż! — rzekł margrabia, niekontent z swego planu, którym wilka z lasu wywołał.

— Pan margrabia słyszał zapewne o moim synu — mówił niby od niechcenia negocjant, rozwijając jakieś twarde papiery.

— Strzelał się?

— Strzelał się, strzelał!

— Niepotrzebnie to zrobił.

— Krew, panie margrabio, krew dobra.

— Lepiej, gdyby się zaprawiał do kantoru.

Negocjant spojrzał z ukosa na margrabiego i rzekł po chwili z udaną skromnością:

— Zapewnie, żeby to lepiej było. Ale cóż robić, gdy się komu dobrze dzieje, to zaraz patrzy wyżej.

— Powinieneś mu przecież wytłumaczyć, że kto w kantorze wekslarskim zrobił pieniądze, ten nie powinien nigdy z kantoru wychodzić.

Negocjant przygryzł usta, błysnął złośliwem okiem na popielate nogi margrabiego i rzekł:

— Przystąpmy do interesu.

— Słucham cię, mości Warner.

— Pan margrabia zamyśla trochę zająć się gospodarstwem.

— Chciałbym wglądnąć w moje interesa.

— Dzisiaj gospodarstwo nie rentuje się.

— Dowody tego masz w swoich rachunkach.

— A szkoda by było pozbywać się tak pięknego majątku.

— O tem jeszcze dotąd nie myślę.

— I bardzo dobrze robi pan margrabia... Ale myśleć potrzeba zawsze coś.

— Na przykład!

— Jabym tu miał mały planik — rzekł negocjant, rozkładając przed margrabią duży papier — jak się to panu margrabiemu podoba?

Margrabia wziął papier do ręki i począł się mu przypatrywać. Był to plan jakiegoś okazałego budynku, który coś na młyn zakrawał. Dołem płynęła woda z szumem i obracała ogromne koła; górą, długim, wysokim kominem waliła się biała para jak z paszczy piekielnej!... Cały rysunek był tak ślicznie wykonany, tak regularne były linje! Różowy kolor karminu tak chwytał za serce, a błękitny upajał oko jakąś dziwną roskoszą!...

— Cóż to jest? — zapytał margrabia.

— To jest fabryka przędzalni i robienia płótna!... A to olejarnia.

— A to? — mówił margrabia, wskazując na drugi papier.

— To jest plan do kopalni węgla i założenia kolei drewnianej z Mogił do...

— Jaki procent może nieść to przedsiębiorstwo?

— Czterdzieści!

— Czterdzieści! — zawołał margrabia i spojrzał smutno na swoje popielate nogi.

— Nie zły interes.

— Dla tych, co mają pieniądze — odparł potomek Jarosta z westchnieniem.

— Pan margrabia może być do spółki...

— Do spółki? A pieniądze?

— Mniejsza o pieniądze... można pożyczyć. Pan margrabia zrobi tylko kontrakt o siew lnu i konopi... a ja wystaram się pieniędzy.

— U mnie gospodarstwo podupadło.

— Ja dam ludzi naszych.

— Ale ja nie mógłbym tego przedsiębiorstwa wziąść na moje imię?

— I ja także nie, bo jestem w spółce. Ale myśmy już tę rzecz ułożyli. Najlepsze miejsce dla wody i węgla jest w Mogiłach. Mury starego dworu bardzo się przydadzą, a nawet już tam zacząłem przed rokiem coś budować. Firma tego przedsiębiorstwa będzie: «Pifke et Compagnie». Pifke ma pieniądze i ma głowę do tego.

— Pifke et Compagnie! — powtórzył potomek kasztelana grodzkiego i skrzywił się.

— Pan margrabia weźmiesz tylko dwakroć sto tysięcy.

— A procent?

— Procent będzie się tylko opłacać przez pół roku — potem wydadzą się akcje.

— «Pifke et Compagnie» — szumiało w uszach margrabiemu.

— A tym sposobem możesz margrabia oczyścić swój majątek.

Margrabia wyjrzał oknem, a tam na rozwalonej baszcie zamkowej usiadła wrona i strąciła kawał cegły z muru, rozsypującego się w gruzy!... Spojrzał na kaplicę zamkową, a tam na krużganku rozwijają kamienne posągi szaty swoje, aby odlecieć z domu, który się w gruzy rozpada!... Pifke et Compagnie! brzmiało mu w uszach jakimś fałszywym akordem, stało mu przed oczami wypisane jakiemiś krzywemi literami... A tam w dali czarniała stara brama Dąbczyna z wyrytym na kamieniu napisem: «Ad tuendum populum aedificavit Jarost»... Było to jakieś dziwne, straszne zetknięcie się tych dwóch napisów, litery walczyły z sobą, wiązały się i splątały wzajemnie...

Margrabia wstał i począł się przechadzać. Negocjant z ukosa patrzył na niego i śledził wszystkie jego ruchy.

«Pifke et Compagnie», «Goliat et Compagnie», to bohaterowie dnia dzisiejszego. To duchy pobitych Krzyżaków, to potęga niezłomna, to nowe możnowładztwo dzisiejszej społeczności.

Zrzućcie wasze tarcze herbowe z nad bram walących się zamków, wy bohaterowie miecza... Spełniły się czasy bohaterstwa, w których krew była monetą... Nie straszcie nas dzisiaj waszą zbroją żelazną, mężowie przeszłości naszej... dziś pieniądz, lichy pieniądz walczy i zwycięża wasze grody i zamki, budowane niegdyś ad tuendum populum... Dzisiaj nowe grody i nowe zamki powstają na was, a nad bramą kładą napis: «Pifke et Compagnie», «Goliat et Compagnie!» Te zamki i zastępy walczą i zwyciężają!...

---

Musiał dobry interes zrobić poczciwy negocjant, bo za kilka godzin wychodził z zamku z twarzą rozpromienioną i serdecznie zacierał ręce. Został mu jeszcze jeden interes do załatwienia, ale miał już dobrą otuchę, że i ten dobrze się skończy.

Przebiegłszy ulicę podzamczą, stanął przed mieszkaniem Jerzego. Jakoś niesmaczno mu było wejść do człowieka, do którego wczoraj jakby do tarczy strzelał jego Otton. Lecz przezwyciężył się, otworzył zwolna drzwi i oglądając się z wielką ostrożnością na wszystkie strony, wszedł do pokoju.

Jerzy leżał na łóżku, blady jak chusta. Kula przeszła

mu przez ramię i nadwerężyła pierś. Do tego szalona jazda hrabiego Leona wyczerpała jego siły. Ale na twarzy miał spokój nadzwyczajny. Słodki jakiś uśmiech igrał na jego bladych ustach.

Na oknie stała prześliczna «Pampa» i szczebiotała mu całą konjugację słowa «kochać». Zdawało się Jerzemu, że nigdy słodszej nie słyszał wymowy, nigdy czulej nie wypowiedziano tego słowa!

Tak go zastał stary negocjant. Patrząc na młodego, tak łagodnie uśmiechającego się człowieka, przeklął w duchu wynalazek pojedynków i ozwał się z widoczną trwogą:

— Zapewnie niemiłym jestem gościem...

Jerzy uśmiechnął się, podał lewą rękę negocjantowi, który drżał na całem ciele, i rzekł:

— Nieprzyjaźń wszelka kończy się wraz ze strzałem — taki jest zwyczaj przy pojedynkach.

— Może być, ale ja prosty negocjant nie pojmuję tego — jabym takiego człowieka, co do mnie strzelał, koniecznie zabił.

— Nie lękaj się pan, ja syna nie zabiję.

— Ja wiem, pan masz ładny, delikatny honor.... I mój syn Otton ma taki sam; otóż dla tego, jak dwóch takich ludzi się zeszło, jak stal i krzemień, to zaraz ogień łysk!

— Pan masz zapewne interes do mnie?

— Interes?... prawie żaden... ot tak, chciałem się dowiedzieć, jak się pan ma.

— Mam się nie najlepiej, ale w Bogu nadzieja.

Negocjant słuchał z wielkiem natężeniem — na jego pomiętej twarzy malowało się uczucie trwogi.

— W Bogu nadzieja — poderwał szybko — w Bogu nadzieja, ja będę Boga prosić... Otton i Matylda będą go także prosili...

— Oświadcz im pan moje podziękowanie za współczucie.

— Otton i Matylda bardzo cieszyć się będą.... ale pan nie umrzesz? — dodał negocjant z wyrazem największej trwogi.

— Nie umrę, nie — odparł z uśmiechem Jerzy, patrząc na zatrwożonego negocjanta.

— No, proszę pana, nie umieraj pan! — zawołał negocjant, załamując ręce na znak zaklęcia.

Jerzy wypatrzył się na negocjanta. Na jego twarzy był wyraz jakiegoś konwulsyjnego rozdrażnienia. Nie mógł pojąć, coby to była za przyczyna tak gwałtownego uczucia.

— A gdybym umarł? — rzekł z uśmiechem i spojrzał głęboko w oczy negocjanta.

— Ja dam panu tysiąc talarów... nie umieraj pan! — krzyknął prawie w konwulsji negocjant.

— Tysiąc talarów, abym nie umarł? — powtórzył Jerzy, podziwiając tak szczególną propozycję.

— Dam dwa tysiące! — zawołał negocjant w myśli, że Jerzy chce się targować.

— Dwa tysiące!... — powtórzył z niedowierzaniem Jerzy.

— No, dwa tysiące, czy nie dosyć? — rzekł negocjant, któremu mimo wszelkiej gorączki, jaka nim w tej chwili miotała, wydała się ta suma dostateczną, aby biednego człowieka przy życiu utrzymać. — Dodam jeszcze pięćset — rzekł po chwili.

— Ale co pan mówisz! — zawołał Jerzy — pan jesteś w roztargnieniu, może jaki interes masz pan na myśli.

— Nie, nie, żaden inny interes, tylko żebyś pan nie umarł! — powtórzył stanowczo negocjant.

— Ale zważ pan, co pan mówisz!

— Ja wiem, co ja mówię... dla mego syna wszystko to zrobię.

— Chcesz pan kupić mi życie... życie, które nie jest w naszym ręku...

— Prawda, prawda! — zawołał negocjant i z wyrazem rozpaczy uderzył się w czoło. — Ja życia nie kupię!... Ja głupi, prosty negocjant! Biedny Otton!

Jerzy uczuł, że mu serce żywiej uderzyło. Świat ten tak brzydki, tak samolubny, okazał mu w tej chwili piękne oblicze swoje, które tylko niekiedy odsłania na pocieszenie strapionych. On widział w tej chwili sympatję obcych mu ludzi, widział jak uległszy na chwilę przesądom towarzyskim, podnosi się człowiek w całym blasku pięknej swojej natury i przywiązuje się do swego nieprzyjaciela — wypełnia najwyższą chrześciańską cnotę!

Z wielkiem wzruszeniem wyciągnął lewą rękę, a podając ją negocjantowi, rzekł szczerze i serdecznie:

— Powiedz pan Ottonowi, że mu wdzięczny jestem za jego przywiązanie i że go szacuję i kocham. Ja żyć będę i pragnę życia — ofiarowane mi pieniądze możesz pan na intencję moją i syna dać ubogim, którzy w nędzy i ubóstwie pragną śmierci, a umrzeć nie mogą!

— Dobrze, zgoda... ale te pieniądze będą u mnie do dyspozycji. Ja prosty negocjant, ja nie wiem, kto tam chce umierać, a nie może — rzekł uradowany negocjant. — A Ottonowi tymczasem przyniosę wieść radosną, że pan nie umrze.

— Nie umrę, nie —

— Bo to widzisz pan, jego sprawa jest w sądzie!

— W sądzie!

— Ale on dotąd nie wydał pana... zresztą i ja zrobiłem swoje. A w sądzie mówiono mi, że to wszystko jest niewielkiej wagi, wyjąwszy jeżeli ten, do którego Otton strzelał, umrze... wtedy będzie to jako zabójstwo podług kodeksu sądzone...

Jerzemu zapiekła rana — wyjął gorącą swoją rękę z zimnej ręki negocjanta i oparł głowę o poduszki. Jakże brzydki wydał mu się teraz ten świat cały! Zamiast uczucia, zamiast gorącego serca, był to tylko interes, czysty interes! Negocjantowi i jego synowi zależało na jego życiu, aby sąd w swoim wyroku nie oparł się na paragrafie o zabójstwie!... A w napadzie trwogi myślał negocjant tysiącem talarów kupić to życie jego...

Jerzy odwrócił się od negocjanta.

W tem turkot powozu odbił się o jego uszy. Był to dobrze znany mu turkot — to Janina jechała na przejażdżkę po mieście.

Im bliżej okien jego był ten turkot, tem wolniejszy zdawał się być bieg koni — wreszcie słyszał wyraźnie, że powóz zaledwie się toczy, że konie stępo idą.

Spojrzał w okno — a przed oknem zwolna sunął się otwarty koczyk z amarantowem obiciem. Janina siedziała po lewej ręce bliżej okna, koło niej była Terenia.

— Patrz Tereniu, «Pampa», moja Pampa kochana — rzekła Janina, wskazując na okno, w które Jerzy patrzył — Comme sta mia cara! — zawołała Janina do białej, trzepiącej się do niej papugi i białą, drobną rączką posłała jej kilka serdecznych pocałunków. Konie ruszyły raźniej, a koczyk z amarantowem obiciem zniknął z przed okna.

Żywy rumieniec wystąpił na twarz Jerzego — on zrozumiał, komu te pocałunki przesłane były.

— Ale pan na serjo nie umrze? — pytał negocjant, który tej sceny wcale nie widział.

Jerzy wyciągnął gorącą rękę, chwycił za rękę negocjanta, która mu się także gorącą być zdawała, i rzekł z twarzą rozpromienioną:

— Nie umrę, nie umrę!

Ach, jakże to umierać, kiedy ten świat tak powabny! A to serce, to biedne, kapryśne serce, które tak często nas zwodzi i bałamuci, to serce woła dziś jak najwyraźniej: życia! życia! bo życie takie piękne, tyle w niem szczęścia i roskoszy!...

---

Negocjant wyszedł na ulicę i wyprostował się jak człowiek, który doskonałe zrobił interesa. W tem go ktoś silnie

potrącił, aż się zatoczył. Spojrzał za siebie — był to Mietlica, stary ekonom.

— Czekaj ptaszku — szepnął do siebie negocjant — nie długo będziesz tak brykał. Radziejewo i Czarnowody jakbym miał już w kieszeni!

Nie słyszał tego stary ekonom, bo jakoś strasznie był zajęty. Siwe wąsy jego sterczały do góry jak kły odyńca, twarz miał czerwoną jak piwonja, a jeden róg czapki wysunął się naprzód aż na samo czoło, jak groźna reduta. Ekonom biegł szybko i machał rękami w jakimś dziwnym ferworze. Szedł prostą drogą od burmistrza, a oglądając się co kilka kroków, miął pięście i strasznie coś odkazywał. Nikomu nie ustąpił się z drogi, rozpychał, rozbijał, co mu w drogę wlazło. Nawet owego kupca z tłustym brzuchem i aksamitną mycką na głowie nie spostrzegł dzisiaj, chociaż tak widocznie uśmiechał się do niego.

Wreszcie stanął przed małym domkiem zegarmistrza. Odsapnął i marsowym wzrokiem spojrzał na wiszącą nad drzwiami Opatrzność boską. Zdawało się mu, że ta Opatrzność musi w tej chwili do niego przemówić, a przynajmniej górną powieką mrugnąć. Stał chwilę, wpatrywał się uważnie w rozchodzące się od tego oka promienie, czy który prawdziwem światłem nie zajaśnieje... bo jużci według przekonania starego ekonoma musiał się teraz jakiś cud stać... Ale Opatrzność boska nie przemówiła do niego; czarne, duże oko nie mrugnęło ani razu, ani żaden z siedmiu promieni nie rozświecił się w gwiazdę opiekuńczą nad domkiem nieszczęśliwego mieszczanina!... Stary żołnierz już miał jakieś bluźnierstwo pod wąsami, już chciał nakląć... ale zawczasu opamiętał się, uderzył ręką w usta i jednym tchem połknął na powrót kilka kroć tysięcy dj...ów.

— Grzanka, otwieraj! — krzyknął niecierpliwie.

Grzanka otworzył drzwi. W sieni przyrządził sobie Kaszub już jakiś warsztacik, na którym leżało mnóstwo małych klocków, zakończonych u góry w szpic trójgraniasty. Ekonom chwycił jeden taki klocek i zapytał się Kaszuba, co to z tego będzie. Kaszub uśmiechnął się z zarozumiałością artysty i odpowiedział, że to będzie Fryc stary w trójgraniastym kapeluszu.

— Fryc stary z tego nieforemnego klocka, który jak kociuba wygląda! — mruknął zadąsany ekonom. — A tak, tak, będzie z tego Fryc. Ale mógłby być i Napoleon!

Grzanka ruszył głową, że to wszystko jeszcze być może.

— No, to niechże będzie Napoleon! — zawołał ekonom — ale z Mietlicy już Napoleona nie będzie, nie prawdaż! Ej! Grzanka, gdyby to być mogło! Dałbym się w znaki tym szołdrom... najprzód burmistrzowi z Dąbczyna kazał-

bym wlepić sto bizunów... Grzanka ty nie wiesz, co się stało?

— A cóż, miłościwy panje! — zapytał Kaszub, gotując nóż, aby z Fryca zrobić Napoleona.

— Wojna siedzi w kozie, jako złodziej, urwisz i rabuś. Wojna najpoczciwszy człowiek w całem mieście!

— Dla Boga!

— Doktorowi wystrzelili żebro, aż płakać musiałem, patrząc na biedaka!

— Mój Boże!

— Szołdry! Jeszcze ten burmistrz mówi mi, że dom Wojny rozwalić każe, bo jest ubogi!

Grzanka westchnął. Ekonomowi zakręciła się łza w oku, spadła i uwisła na siwym wąsie wiarusa. Otarł ją kułakiem, tupnął nogą dla odpędzenia smutnych myśli i wszedł do izdebki zegarmistrza.

W izdebce zegarmistrza było wszystko w dawnym porządku. Burmistrz stukał regularnie, Basia odzywała się chrypliwym głosem, a Paliwoda od czasu do czasu bił sobie dla fantazji, nie zważając wcale na burmistrza regulatora. I tak jakoś spokojna była ta cała gromadka, taka jakaś pogoda odbijała się w tych białych, świecących cyferblatach, tyle cichego szczęścia było w tych długich, rzymskich liczbach, że patrząc na nie stary wiarus, pokiwał głową i rzekł z cicha, aby go żaden z zegarów nie słyszał:

— One takie spokojne, jakby o niczem nie wiedziały! Nie wiedzą biedne, że ich gospodarz gdzieś jęczy w kałauzie, że ta izdebka, że te ściany, na których wiszą, runą wkrótce pod ciosem ręki bezbożnej, a biedny zegarmistrz wróciwszy do domu, nie znajdzie miejsca, gdzie się urodził!...

A w tej chwili leciał duży, czarny kruk po nad zamek dąbczyński i krakał długo i głośno. Nikt go nie rozumiał, nikt go nie słuchał — tylko Widu podniósł pysk do góry i zawył przeraźliwie...

— Słyszysz Grzanka, jak psisko wyje? — zawołał Mietlica — a wyje pod samą Opatrznością. Są rzeczy, które zwierzęta prędzej widzą od człowieka... Grzanka, ten dom wkrótce rozwalą!

Grzanka przeżegnał się, bo żałosne wycie psiska jakoś wskroś go przeniknęło.

Stary wiarus wybiegł na ulicę i jeszcze raz spojrzał na Opatrzność boską. Tak mu żal było przyjaciela i tych kilka łokci ziemi polskiej! Ale Opatrzność patrzała suchem okiem.

Na granicznym kopcu Dąbczyna stała figura z ukrzyżowanym Chrystusem. Była to ostatnia figura ziemi wielkopolskiej, ostatnia katolicka cześć Syna bożego.

Stary wiarus ukląkł i długo i gorąco się modlił. Patrząc w rozkrzyżowanego Chrystusa, zdawało mu się, że te sine usta zaruszały się... że ocierniona głowa pochyliła się więcej ku ziemi, jakby jej nowej przybyło boleści... że krew z ran ciec zaczyna... ale to było tylko złudzenie, gra światła! Wszędzie cicho i głucho! Tylko białe obłoczki pomykają po niebie, a wiatr zachodni szeleści w liściach topoli!... Tylko tam gdzieś nad dworkiem w Czarnowodach krąży kruk i kracze...

# CZĘŚĆ TRZECIA.

## I.

Minęły dnie pięknej, majowej pogody, a nad ziemią wielkopolską zawisły szare, jednostaje chmury. Deszcze lały nieustannie, a strapiony rolnik napróżno wzywa «Boga Abrahama», aby się ludzkiej ulitował niedoli. Zasiewy pogniły, łąki wymokły, smutno odzywały się głodne trzody. Wylały rzeki, stawy rozpuściły wody swoje, a przez kilka tygodni nie widział rolnik pracy swojej. Wreszcie opadły wody, czarna opona nieba przedarła się na dwoje i odsłoniła jasne, gorejące słońce. Z okrzykiem radości powitano pierwszy dzień pogody, obejrzano straty, obliczono i z ufnością w nieprzebrane miłosierdzie Boga wzięto się napowrót do pracy, aby uratować, co woda nie zniszczyła.

Nadzieja zagrzewała wszystkich, wesołe śpiewki rozlegały się po polu — ostatnie ziarno, ostatni grosz rzucono w ziemię. Ale niebo było nieubłagane. Ziemia chwyciła ziarno, otuliła je i ogrzała, wychuchała z niego małą, zielonawą trawkę, gdy nagle zabrakło jej pokarmu. Wyschła i stwardniała jak opoka. Biedny rolnik załamał ręce, podniósł wzrok do nieba i tą samą modlitwą, którą niegdyś o pogodę prosił, błagał dzisiaj o kroplę deszczu «Boga Abrahama». Ale Opatrzność boska patrzała suchem okiem na nieszczęsną krainę. Zdawało się, że jakiś gniew boży cięży nad ziemią nieszczęśliwą.

Wreszcie minęły upały, liście poczęły żółknieć na drzewach, jesienne mgły toczyły się po pustej, wypalonej ziemi, a w stodołach było pusto i przestrono. Gdzieś tam w kącie

leżało kilka, kilkanaście kup zboża, na które kilkadziesiąt wysiano. Starzy narzekali na złe czasy, twierdzili, że coraz gorzej na świecie i w głębi duszy tęsknili za grobem, który ich ochroni od nieurodzaju i głodu.

Najbardziej dotknęła ta straszna klęska Czarnowody. Czego nie zalały wody z czarnego stawu, to wypaliła posucha, a na dobitek tego wszystkiego spadł grad i zniszczył wszystko do nogi.

Jakaś złowieszcza chmura zawisła nad domem Dębiczów. Nikt nie wiedział, zkąd się to bierze, a jednak każdy czuł, że mu coś duszno w piersi, że mu coś jak kamień na sercu leży.

I różnie tłómaczono sobie te oznaki nadciągającej burzy. Mietlica widział każdego piątku o północy jasny, czerwony krzyż na niebie od zachodu i był święcie przekonany, że to cud Pański okazuje się nad domkiem biednego mieszczanina, którego osądzono za kradzież i rabunek. Stara gospodyni wyznała na spowiedzi, że idąc koło familijnego grobowca Dębiczów, słyszała cichą rozmowę nieboszczyków. Byli coś nie radzi dzisiejszym mieszkańcom Czarnowód i groźnie uderzali po rękojeści mieczów swoich. A gdy w skutek jej mowy grobowiec otworzono i jedno uszkodzone sklepienie naprawić chciano, zdjęto przypadkiem wieko z trumny Sebastjana Dębicza, który towarzysząc Jagielle w bitwie pod Grunwaldem, poległ śmiercią bohaterską, i ujrzano z niemałym przestrachem, że Sebastjan w trumnie się obrócił. Leżał twarzą do dna trumny, ręce miał w tył założone jak niewolnik...A w lamusie słyszał stróż nocny jakieś dziwne, śmiejące się głosy, aż włosy na głowie kołkiem mu stanęły. Przez wieś po zachodzie słońca biegł co dnia duży, kudłaty pies czarny i wył przeraźliwie. Nikt nie śmiał ręki na niego podnieść, bo coś strasznie wyglądał na złego ducha. Niektórzy nawet wyraźnie czuli maź i smołę.

Te i tym podobne rzeczy widziano i opowiadano sobie w Czarnowodach przy rozłożonem wieczornem ognisku w kuchni czeladniej. W dworku nie mówiono wprawdzie o tych dziwnych zjawiskach, ale każdy czuł, że coś cięży nad nim, że lada chwila błyśnie piorun i uderzy w ten cichy, spokojny domek szlachecki. Zkąd jednak uderzy i kiedy? o tem nikt nie wiedział i każdy różnie to sobie tłumaczył.

«Spirytualia» odbywały się wprawdzie dawnym trybem, ale już nie z tą samą, co niegdyś swobodą. Dawniej była to chwila wytchnienia dla wszystkich, chwila, w której oderwani od trosk codziennych mieszkańcy, podnosili się duchem ponad świat ziemski, a zaczerpnąwszy żywego zdroju praw boskich, wracali do swoich obowiązków, bogatsi w siły i cier-

pliwość, jeźli ich życie było cierpieniem. Dzisiaj czynili to samo na pozór, ale w istocie był to tylko skutek przyzwyczajenia, a owa myśl bogobojna, która ich tutaj po raz pierwszy zgromadziła, uleciała już na zawsze z pomiędzy nich.

Staruszek pracował ciągle nad poematem swoim, ale z każdym dniem jakoś trudniej było mu o prawdziwe natchnienie. Zuzia siedziała jak zawsze na taboreciku obok staruszka, a oparta o jego ramię, zdawała się słuchać z uwagą, gdy staruszek mówił, lub czytał. Ale twarz jej mocno zbladła i posmutniała, jej oczy były często z płaczu czerwone i nabrzmiałe, a jakaś mgła nieprzejrzysta zasłaniała czasem jej świat cały, w który na pozór patrzyć się zdawała. Ksiądz Maciej nie zmienił się wprawdzie ani na duchu, ani na ciele, ale z każdym dniem więcej potrzebował tabaczki, tak mu nieraz jakieś dziwne myśli dokuczały. W ostatnich rozdziałach poematu o Stefanie Batorym już było mnóstwo bogów sławiańskich — ksiądz Maciej ich nie zauważył. Major najwidoczniej nudził się tą pogadanką poobiedną. Siedział jakby na węglach i czekał tylko sposobności, aby się za drzwi wymknąć. Jerzy nie wygoił się był jeszcze ze swojej rany.

Szczupłe grono «spirytualistów» powiększyło się o jedną osobę. Hrabia Leon polubił także te pogadanki poobiedne i rad na nie przychodził. Stary Dębicz kochał go, przekonawszy się, że obeznany jest dokładnie z pismem ojców kościoła; a poczciwy major wyglądał przyjścia jego jak bożego zbawienia, bo hrabia Leon zazwyczaj przynosił z sobą pęk gazet i najpyszniejsze wyczytywał z nich kombinacje polityczne. W takim razie major dosiedział aż do ostatniej chwili i ściskając odchodzącego gościa, mawiał zawsze do niego, że go zrestaurował na dni kilka.

Ale ksiądz Maciej z uwagą przypatrywał się wszystkiemu i coraz to częściej zażywał tabaczki. Z każdym dniem stawał się więcej milczącym i podczas powszechnej konwersacji zakręcał i odkręcał swoją tabakierkę szylkretową. Patrząc z ukosa na hrabiego Leona, zdawało się mu, że tenże pobożnej rozmowy wcale nie słuchał, a majorowa tak jakoś dziwnie przy nim wyglądała! Jakieś niedobre przeczucia trapiły poczciwego plebana.

Wreszcie jednego dnia, już nad wieczorem, gdy sędziwy kapłan odmawiając wieczorne pacierze, przechadzał się po izdebce swojej skromnej plebanji i w głowie rozbierał sobie przedmiot do jutrzejszego kazania, otworzyły się drzwi, a wysoka, pochyła postać starego Mietlicy wsunęła się do izdebki.

Pełne, rumiane policzki poczciwego ekonoma zapadły się, liczne zmarszczki pokrzyżowały mu czoło, a w oczach malowała się widocznie jakaś tajemna zgryzota sumienia. Skłonił się nisko, odgarnął włosy, które w nieładzie spadały mu na czoło i z uszanowaniem zatrzymał się u progu.

Ksiądz Maciej spojrzał na niego z jakimś dziwnym niepokojem, a spodziewając się smutnej wieści, którą od dawna przeczuwał, zapytał nie bez trwogi:

— Cóż tam, Jakubie, z czem Bóg cię przysyła?

— Coś nie dobrze, proszę Jegomości — ozwał się stary ekonom — sam nie wiem, co za licho w koło nas się kręci!

— Jakto, czy jakie nieszczęście? — poderwał ksiądz Maciej i zamknął oddech, czekając odpowiedzi, która wszelkie jego smutne domysły sprawdzić miała.

— A juźci Pan Bóg nie mówi do mnie samego, ale mówi do wszystkich —

— Cóż mówi?

— Że za coś srogo karać nas będzie!

— Zkądże to wiesz, kochany przyjacielu? — zapytał kapłan i drżące palce włożył do szylkretowej tabakierki.

— Co piątek, to jest w tym dniu, w którym skonał Zbawiciel na krzyżu, okazuje się nad Dąbczynem o północy krzyż czerwony, jakby krwią cały opłynął!...

Ksiądz Maciej odetchnął wolniej i z widocznem ukontentowaniem zażył tabaczki. Stary wiarus zachmurzył się i mówił dalej:

— Nieboszczyk Sebastjan Dębicz, co to najpierwszy był z Dębiczów, obrócił się w trumnie!...

Ksiądz Maciej począł się dobrotliwie uśmiechać. Ekonom targnął za wąs, wywrócił czapkę podszewką do góry i rzekł znowu:

— Po zachodzie słońca widzę codziennie czarnego, kudłatego psa, jak biegnie przez wieś i znika koło figury pod Dąbczynem.

Ksiądz Maciej uśmiechnął się znowu i z widoczną radością puknął palcami po tabakierce, jak to zwykł czynić, gdy był w dobrym humorze.

— Ludzie ze wsi mówią, że wyraźnie czuć za nim zapach smoły i siarki — kontynuował dalej ekonom — wywracając czapkę to na tę, to na ową stronę.

Teraz już w głos roześmiał się ksiądz Maciej, uderzył ekonoma kilka razy po ramieniu i rzekł do niego:

— Przestraszyłeś mnie, poczciwy Jakubie, twoją miną zafrasowaną, jakby ci kto łan pszenicy ukradł lub spalił. A teraz dzięki Bogu, cieszę się, że to tylko płonna była obawa. Myślałem, że Bóg wie, jakie nieszczęście się stało!

Bóg daje czasem znaki, to prawda — mówił ksiądz Maciej z właściwą mu słodyczą — ale najprzód trzeba prawdziwe znaki rozróżnić od fałszywych.

Mietlica wypatrzył się na proboszcza, nie mogąc pojąć, jakim sposobem mogą na niebie okazywać się bez woli Boga znaki fałszywe, albo jakim sposobem może po wsi biegać fałszywy djabeł, który jak najwyraźniej cuchnie siarką i smołą.

Jakoś to wszystko nie kwadrowało do jego siwej głowy. Po chwili milczenia rzekł do proboszcza:

— A wylew wody, posucha, nieurodzaj i głód?

— Masz w tem słuszność, kochany przyjacielu — odparł ksiądz Maciej — że podobne dopuszczenia boskie, jak jest wylew wody, posucha i nieurodzaj, za kary od Boga zesłane powinniśmy uważać — ale z drugiej strony nie mamy się wcale obawiać, aby za przestępstwa pojedyńczych chciał Bóg wszystkich karać.

— A potop świata? — poderwał stary ekonom, ciesząc się, że księdzu Maciejowi klina w głowę bił.

— Potop świata był karą dla wszystkich, bo wszyscy źli byli, jak o tem świadczy pismo święte — odparł spokojnie ksiądz Maciej.

— Przecież w Sodomie i Gomorze musieli tu i owdzie być porządne ludziska — zarzucił ekonom, ale już nie tak śmiało.

Ksiądz Maciej uśmiechnął się, zażył tabaczki i rzekł:

— Jak widzę twardo się trzymasz, mój bracie, nie lada z tobą sprawa. Wiesz, że Bóg za występki niszczył i palił całe miasta, ale zapomniałeś, co Bóg odpowiedział pobożnemu patrjarsze, gdy prosił, aby całego miasta nie niszczył! Oto rzekł mu Bóg, że dla piętnastu sprawiedliwych uratowałby całe miasta od zguby i kary zasłużonej.

Mietlica poruszał głową to w tę, to w ową stronę, wywrócił czapkę jeszcze raz podszewką do góry i rzekł:

— Już to ja prosty jestem człowiek i tych rzeczy wiele nie rozumiem. Ale tak myślę sobie czasem, osobliwie gdy w nocy spać nie mogę, że wszystkie te nieszczęścia, te znaki na niebie i na ziemi tyczą się pewnych ludzi i to z pośród nas!

— Pewnych ludzi z pośród nas! — zawołał staruszek i stanął z szczyptą tabaczki przed nosem.

Twarz jego posmutniała, jakieś niedobre przeczucie, które go opuściło śród rozmowy, owładnęło znowu jego serce.

— Tak jest, to wszystko tyczy się pewnych ludzi pośród nas! — powtórzył Mietlica, kontent, że ksiądz Maciej tym

razem nie uśmiechnął się na jego słowa, tylko coś na serjo się zamyślił.

— I którzyż by to byli ci ludzie? — zapytał po chwili proboszcz, ale tak cichym głosem, że go zaledwie ekonom dosłyszał.

Ekonom pokręcił wąsa, odwrócił napowrót czapkę i rzekł:

— Pierwszy jest... burmistrz z Dąbczyna.

Ksiądz Maciej westchnął głęboko, jakby mu ciężar jaki spadł z serca. Potem otworzył usta, w koło których zaigrał uśmiech wewnętrznego uspokojenia i rzekł:

— Bój się Boga, bracie! Znowu mnie przestraszyłeś! Cóż tam znowu z burmistrzem!

Już teraz otwarcie rozgniewał się stary wiarus. Odkąsiwszy kawał wąsa, wyprostował się z dumą, jakby rażonym czuł się tak dziwnem postępowaniem księdza Macieja, o którym dotąd wysokie miał wyobrażenie, i zachmurzywszy się sromotnie, rzekł z wyrazem największej indygnacji:

— Jegomość za żarty bierze to, co mi w nocy sen odbiera, a we dnie i łyżki strawy zjeść nie daje. Widocznie coś dzieje się w koło nas, a czasami zdaje mi się, że czuję siarkę, którą Pan Bóg zwykł palić miasta bezbożne. A ten czerwony krzyż nad Dąbczynem, to wyrok boski na burmistrza, który najpoczciwszego człowieka kazał do kozy wsadzić jako złodzieja i rabusia, aby w niebytności jego wziąść mu domek, rodzinny domek i rozwalić go!

Ksiądz Maciej poczuł łzę pod drgającą powieką i czemprędzej zażył tabaczki.

— A co to jest domek rodzinny! — kontynuował dalej Mietlica z nadzwyczajnym ferworem — ten kącik, w którym się człek urodził, gdzie się wychował — te ściany, w których ubiegło mu tyle życia — wszystko to ma runąć, a biedny zegarmistrz gdy wróci, będzie jak u obcych, nie będzie miał gdzie głowy położyć!... Ha! więc to wszystko nie warto cudu od Boga, jednego mizernego cudu, których tyle ma w swojej wszechmocnej dłoni Bóg sprawiedliwy!

— Bluźnisz, kochany bracie, bluźnisz — przerwał mu ksiądz Maciej, ocierając łzę ukradkiem. — Nie powinniśmy nigdy badać dróg boskich.

— Ja też przez pięć miesięcy nic nie mówiłem nikomu, odpędzałem grzeszne myśli i połykałem słowa, które gwałtem cisnęły mi się z po za zębów.

— Wojna popadł wprawdzie w nieszczęście niezrozumiałym dla mnie sposobem, ale Bóg nie zatrzyma porządku całego świata dla jednego nieszczęśliwego.

— Jakto! — przerwał stary wachmistrz, któremu nagle głowa się zapaliła — jakto! Nie stoisz napisano, że Bóg wie o każdym wróblu, co z dachu spadnie, a miałżeby oczy za-

mrużyć na widok człowieka, który jest najniewinniejszą ofiarą zdrady i podstępu, na co zaraz dzisiaj przysięgnę!... Już to ja tak sobie w głowie ułożyłem, że dla jednego grzesznego człowieka może Pan Bóg nas wszystkich karać, a i Paliwoda, o którym w Radziejewie mówią, że jest niedowiarek, kubek w kubek tak samo myśli jak ja...

Długi czas spierał się jeszcze uparty wiarus z księdzem Maciejem, któremu w końcu nawet smutno było odbierać mu tę piękną, chociaż nieco egzaltowaną wiarę w opiekę boskiej Opatrzności. Pożegnawszy więc ekonoma słowami pociechy i ukojenia, usiadł sędziwy staruszek w dużem krześle i głęboko się zamyślił.

Słowa poczciwego prostaczka potrąciły mu kilka myśli, które mu już nieraz przychodziły do głowy. Od niejakiego czasu przeczuwał on jakąś ciężką, straszną chmurę, wiszącą nad dworkiem w Czarnowodach. Zdawało się mu, że w tej dusznej, ciężkiej atmosferze coś dojrzało, za co zazwyczaj karze Bóg w dalekie pokolenia. I przyszło mu teraz na myśl: ażaliż te wszystkie złowieszcze chmury, które zdają się zewsząd gromadzić, nie sąż to groźby boże? Nie jestże to ręka wszechmocna, trzymająca niewidomie rózgę nad nami, którą cięży na głowach naszych?...

I widząc w tem wszystkiem, co mu dzisiaj w prostocie serca swego nagadał stary Mietlica, widoczny palec boży, zebrał się pobożny staruszek, a chociaż już późno było z wieczora, udał się prostą drogą do dworu.

---

W Czarnowodach było dzisiaj smutno i głucho. W izdebce starego Dębicza świeciła się lampka na stole. Rozłożone przed nią papiery i pióra okazywały, że staruszek chciał dalej kontynuować swój poemat bohaterski, ale stare, skrzepłe ciało nie dospiało myśli gorącej, białym szronem obsypana głowa pochyliła się na poręcz krzesła, a sen znużenia skleił omdlałe powieki.

Z słodkim uśmiechem zasnął staruszek: W ręku trzymał jeszcze ołówek, którym przed chwilą skreślił zwycięztwa króla Stefana, a radość z narodowej sławy malowała się jeszcze na tej pięknej, bladej twarzy. Po chwili zmienił się nagle wyraz śpiącego. Rozjaśniona jego twarz zasępiła się, jakiś ból wewnętrzny skrzywił mu usta, czoło okryło się zmarszczkami. Coraz ciemniej było po kątach izdebki, obrazy, pozawieszane na ścianach, jakoś dziwnie spoglądały na śpiącego.

Cicho otworzyły się drzwi. Zuzanna weszła na palcach, niosąc w ręku przygotowaną dla staruszka herbatę. Postawiwszy ją na stole, spojrzała na twarz śpiącego. A ta twarz była tak piękna i szlachetna, tyle dziejów można było z niej wyczytać! Zdawało się, że ten starzec, stojący nad grobem, pozbierał teraz wszystkie kartki swego żywota i je w jedną związał książkę. A tą książką była twarz jego!

Zuzanna stała i z jakiemś dziwnem rozczuleniem wpatrywała się w staruszka. Wreszcie pochyliła się przed nim ostrożnie i na jego pięknem, poradlonem czole złożyła gorący pocałunek. Dwie łzy wymknęły się z jej oczu i upadły na twarz śpiącego.

— Kto tu jest? — zawołał nagle przebudzony staruszek, zasłaniając się ręką, jakby jakie widmo odpychał od siebie.

— Ja jestem, kochany dziaduniu — ozwała się Zuzia.

— To ty, Zuzienko, złote dziecię moje? — mówił staruszek, wytężając wzrok swój, jakby na coś w powietrze patrzył.

— Tak jest...ja jestem...może kochany dziadzio...

— Cyt, cyt — przerwał staruszek — a tam, tam kto taki?

— Tam nie ma nikogo — odpowiedziała Zuzia, patrząc w ciemny kąt pokoju.

— Jakto nie ma? Czy nie widzisz? Tam to.... zakonnica —

— Wszak to tylko portret prababki.

— A portret...portret tylko został, a ona już odeszła

— Dziadunio miał zapewne sen jaki.

— Jakto sen...wszak jeszcze ot tu, tu na czole, kochana Zuzienko, palą mnie jej łzy, które wylała nademną!...

I zasmucił się staruszek i spojrzał martwym wzrokiem przed siebie. Zuzia oparła się o poręcz krzesła i łzawemi oczyma patrzyła na twarz jego. Po chwili podniósł nagle staruszek głowę, a wlepiwszy wzrok swój w twarz Zuzi, rzekł:

— Zuzienko moja, czy nie ma w domu naszym jakiego grzechu?

Twarz Zuzi zbladła, jej usta zadrżały. Ale wkrótce uspokoiła się i pewnym odpowiedziała głosem!

— Przynajmniej nic o nim nie wiem, kochany dziaduniu!

— A serce twoje, a myśli twoje, drogie dziecko moje?

— Nic mi nie mówią takiego — szepnęła Zuzia, ale jej głos drżał widocznie.

— Czy stary Paweł dostaje łaskawy chleb?

— Dostaje.
— Czy ojciec kowala ma ten grunt do swego użytku?
— Ma.
— Czy ksiądz proboszcz dostaje należycie co roku za odczytanie mszy świętych?
— Dostaje.
— Może jaki ubogi odszedł z tego domu bez zapomożenia?
— Nie przypominam sobie.
— Więc cóżby to było?
— To sen był, kochany dziaduniu, i nic więcej.
— A sen, prawda sen — odpowiedział staruszek — ale przecież —

I zamilkł nagle, patrząc na portret kobiety w ubraniu zakonnem, który wisiał tuż przed nim na ścianie. Po chwili ozwał się, jakby do własnych myśli mówił:

— Tak jest, to ona była. Ta sama twarz smutna, surowa... Patrz, Zuzienko, jaka pogoda, jaka pobożność w jej twarzy. Nieboszczka starościna była bardzo bogobojną kobietą. Pamiętam ją dobrze, ale była już wtedy starą, bardzo starą. W młodości swojej utraciła męża, ale drugi raz za mąż nie poszła. Zaraz po pogrzebie męża przywdziała ten strój, a wychowując swoje dziatki, oddaliła się od świata. Bo musisz wiedzieć kochane dziecię moje, że nasze matrony miały dawniej ten zwyczaj chwalebny, że po śmierci mężów poświęcając się pobożności i obowiązkom macierzyńskim, brały na siebie strój zakonny, chociaż zakonnicami nie były. Świat już nie miał dla nich żadnego powabu, gdy ich całe kochanie w grobie legło. Dzisiaj nie ma już tych cnót na świecie. Dzisiaj miłość jest to jak suknia. Gdy się jedna zedrze i zużyje, to bierzemy inną, nową. Nasze prababki miały tylko jednę, i tę brały do grobu.

Młoda kobieta westchnęła.

— A jacy to mężowie byli! — mówił dalej staruszek — piękna kresa na czole dodawała uroku — a dzisiaj zgrabne maniery, służba galonowa, tytuł nieswojski, wyżebrany w antykamerze obcego potentata, pieniądz, marny pieniądz!...

— Przecież, kochany dziaduniu — wtrąciła Zuzia — z tego wszystkiego, com dotąd o kobietach w dawnych naszych czasach słyszała, okazuje się, że kobietę bardzo nizko stawiano, że nie zawsze miano względy na skłonności jej serca.

— To wszystko prawda — poderwał staruszek — i jeszcze więcej ci powiem. Nieraz skojarzono małżeństwo, aby spór graniczny zakończyć, lub wywiązać się z zaciągnionego długu, ale myślisz, moje dziecię, że to złe miało skutki?

Gdzie tam! Bo nie mówiono wówczas o potrzebach serca, ale widziano przed sobą obowiązki, zaprzysiężone obowiązki. Więc nie było żadnych chorobliwych zachceń, żadnych innych marzeń, które w końcu zawsze się przejedzą jak każda wykwintna, nienaturalna strawa. Gdybyś dzisiaj spojrzała na te małżeństwa nasze, zawierane wedle potrzeb serca i sentymentu! Co się z nich dzieje za rok, za lat kilka! Nie dziw. Serce kobiece jest to jak ten lokomotyw, co dzisiaj wozi ludzi po świecie. Jeźli go nie chwycisz w żelazną kolej, to na oślep poleci i szaleć będzie, póki się na prask nie rozbije... Ale gdzież to jest Tadeusz?

— Od południa nie widziałam go — odpowiedziała z westchnieniem Zuzia.

— A tak...zapewnie poszedł do Jerzego. Poczciwy Tadeusz! chorego nawiedzać, to uczynek chrześciański.

Staruszek zamilkł, jego wzrok padł znowu na portret kobiecy w stroju zakonnym. Zuzia odwróciła twarz, w jej oczach zabłysły dwie łzy.

— Tak jest, to ona była — mówił do siebie staruszek. — Ta sama twarz smutna, surowa... Zuzienko droga, to coś znaczy ten sen — a było jakby na jawie! Coś nie podobało się u nas nieboszczce.

— Może nasze przewinienia! — szepnęła z cicha Zuzia.

— Nie, nie, drogie dziecię — poderwał spiesznie staruszek — wy wszyscy dobrzy, sprawiedliwi, bogobojni...ale ja...to mnie się tyczy.

— Dziaduniu!

— Już daj pokój, moje dziecię, znam ja lepiej siebie... ot zostaw mnie samego, bo chcę z sobą pomówić. Przeczytaj sobie kilka rozdziałów z żywotów Świętych Pańskich... Tadeusz wkrótce powróci. Dobra noc ci, drogie dziecię moje!

Zuzanna pocałowała staruszka w rękę i właśnie do drzwi się zbliżała, gdy za kotarą zaskrzypiała szylkretowa tabakierka i słychać było krząkanie księdza Macieja. Zuzanna zatrzymała się, aby gościa powitać, ale staruszek rzekł:

— Idź, droga Zuzieńko, idź, a księdzu Maciejowi przyślij tutaj herbaty. Mam z nim kilka słów do pomówienia.

---

Była to niezwykła godzina do odwiedzin staruszka. W niemałym więc był ambarasie ksiądz Maciej, jakby zaraz na wstępie rzecz zaintrodukować. Ale na nieszczęście bardzo jakoś trudno było o koncept w tej chwili, bo mówiąc prawdę, sam nie wiedział, dla czego mu tak spieszno było do

starego Dębicza. Lecz będąc już na progu, nie mógł się cofnąć. Zażywszy więc za kotarą tabaczki, która na szybszy bieg myśli wpłynąć miała, wystąpił śmiało, poruczywszy się Duchowi świętemu, który w trudnych okolicznościach życia oświeca nieraz głowę biednego człowieka.

Ale jakoś inaczej złożyło się wszystko, jak to sobie wyobrażał ksiądz Maciej. Staruszek bowiem, zaledwie go zoczył, aż mało na nogi nie powstał, tak się ucieszył, i zawołał:

— Otóż to mi wielkie wyświadczyłeś dobrodziejstwo, księże Macieju, żeś do mnie przyszedł. Nie wiem, czy ci kto powiedział, czy Duch święty natchnął cię tak wybornym konceptem. Właśnie myślałem o tobie i rzekłem w duchu do siebie: Gdyby to teraz ksiądz Maciej był przy mnie, mógłbym jeszcze z pokojem pójść spać, a tak trzeba niecierpliwie czekać aż do jutra. Otóż Bóg usłyszał, com w duchu mówił do siebie, i ciebie tutaj przysłał.

— Zaprawdę — odparł ksiądz Maciej, uderzając palcami po tabakierce i uśmiechając się z widocznem zadowoleniem — zaprawdę, jeźli w samej rzeczy, panie Stanisławie, jesteś tak łaknącym i spragnionym, to ja jestem jak ów Habakuk, którego aniół wraz z przygotowaną dla żeńców strawą pochwycił i zaniósł do głodnego sługi bożego.

— Otóż siadaj teraz, księże Macieju, i nie szczędź mi pokarmu, który z sobą przyniosłeś, bo jestem mocno głodny twojej rady i pociechy.

Ksiądz Maciej usiadł na krześle i odkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Był to znak, że wywinąwszy się z jednego, w nowy popadł kłopot. Twarz jego posmutniała, ale prędko pokrył swój smutek energicznem zażywaniem tabaki.

— Najprzód muszę ci powiedzieć, kochany Macieju, że od niejakiego czasu coś mi strasznie cięży na sercu.

Szyldkretowa tabakierka znowu zaskrzypiała, ale ksiądz Maciej wcale się nie ozwał.

— Jakoś mi duszno, jakbym nie był między swymi.

Ksiądz Maciej odkrząknął, posunął się na krześle, ale nic nie odpowiedział.

— Myślałem zrazu, że to śmierć zagląda mi w oczy.

— Śmierć nie straszy nigdy człowieka bogobojnego — przemówił wreszcie ksiądz Maciej — przychodzi ona do niego jako posłanka Boga z uśmiechem na ustach, z kwiatami we włosach, aby go zabrać na ucztę, którą mu Bóg zgotował.

Staruszek zamyślił się. Obraz śmierci bogobojnego człowieka stanął mu żywo przed oczyma. Uśmiechnął się i rzekł:

— Właśnie dzisiaj przyszło mi na myśl, żem nie godzien tej uczty, którą Bóg dla cnotliwych przygotował — i zdaje mi się, że to właśnie cięży mi na duszy.

Ksiądz Maciej posunął się na krzesełku, zażył tabaczki, a zakręciwszy tabakierkę, rzekł:

— Nie nam tutaj na ziemi wyrokować o zasługach naszych. Ale już to samo wielką jest zasługą, jeźli się do błędów i grzechów poczuwamy.

— Grzech mój, który mam na myśli, nie jest bowiem moją winą.

— I jakiż to grzech, jeźli o niego zapytać można? — ozwał się ksiądz Maciej z wyrazem tajemnej trwogi na twarzy.

Staruszek poprawił się na krześle, podparł ręką zamyślone czoło i zaczął:

— Układając dzisiaj przedostatnią pieśń mego poematu o Stefanie Batorym, musiałem z kolei opisać wzięcie Pleskowa. A właśnie przy tej potrzebie zginął Marcin Dębicz, ot ten w czerwonej delji, z tym wąsem sumiastym — raniony w piersi oszczepem. I dziwna myśl przyszła mi do głowy. Przebiegłem dzieje wszystkich Dębiczów i okazało się, że żaden z nich nie zginął śmiercią naturalną. Co większa, żaden z nich nie zginął w przegranej, tylko każdy przy odniesionem zwycięztwie. Ztąd też nawet poszło w przysłowie w naszym rodzie. «Dębicz na marach, ojczyzna w laurach.»

— Jest to piękna tradycja...niejeden ród pragnąłby podobnej pamiątki — wtrącił ksiądz Maciej z uspokojoną nieco twarzą.

— Otóż tej tradycji wierni byli wszyscy moi antenaci. Sebastjan Dębicz zginął pod Grunwaldem w chwili, gdy się już szala zwycięztwa na naszą stronę przechyliła; Mateusz zginął pod Morawą, gdzie Turków na głowę pobito; Wojciech pod wodzą młodego królewicza Olbrychta bije się pod Kopestrzyniem i pada. Pod Wiśniowcem ginie Łukasz... i tak wszyscy koleją, jak tutaj ich widzisz na ścianie, mają u dołu napis: occisus ad — i bądź pewny, że to była nasza wygrana.

Ksiądz Maciej przeszedł okiem długi szereg Dębiczów, wiszących na ścianach izdebki, i w samej rzeczy słowa staruszka były prawdziwe.

— I cóż ty na to, księże Macieju? — zapytał stary Dębicz.

— Co ja na to — odparł ksiądz Maciej, odkręcając tabakierkę — cóż ja na to mam powiedzieć, gdzie sam Bóg tak pięknie przez tych ludzi mówi do nas, którzy Jego i kraj swój kochali.

— Otóż słuchaj, księże Macieju — rzekł z powagą stary Dębicz. Nie należę ja wprawdzie do tych ludzi dzisiejszych, co to na to wartują księgi stare i pargamina, aby w jakim almanaku dać swój ród szumnie opisać, lub jego herb namalować na karecie, aby się od gawiedzi odróżnić. Ale wierzę w misję imion dawnych, znakomitych, które czy to in bello cum hoste, czy to na krzesłach obrad publicznych, zawsze były górą in republica. I tak każdy ród taki ma swoją misję, a tradycja zakreśla mu drogę, jaką iść ma.

— Ba, ale gdy czasy nie są po temu! — wtrącił ksiądz Maciej — bez wojen trudno o zwycięztwo!

— Otóż dla tego karłowacieją podobne rody i wyradzają się. A często sam Bóg uderza gniewną ręką w dom taki i każe wiatrom roznieść szczątki jego na wszystkie części świata, aby ludzie nie mieli zgorszenia.

— Bóg jest największą mądrością, ale oraz i sprawiedliwy i bez grzechu nigdy nie karze — rzekł ksiądz Maciej, naginając nieznacznie rozmowę do swego celu.

— Grzechy, jakież grzechy? — poderwał szybko staruszek. — Czyż nie lepiej, aby drzewo, które miało być filarem świątyni, runęło pod ciosem piorunu, niżeli miałoby powoli spróchnieć i służyć plugawemu robactwu za mieszkanie?

Ksiądz Maciej uśmiechnął się, zażył tabaczki i odparł:

— Są to słowa bardzo piękne i mogą brylować w poemacie przy wzięciu Pleskowa. A gdy się w piersi uderzymy i spokojnie na dno serc naszych spojrzymy, cóż tam obaczymy? Oto dumę i pychę, a nic więcej. Zostawmy Bogu kierunek świata, a gdy nam dzisiaj próżne pozostały dłonie i daleko sięgnąć nie możemy, to rozszerzajmy chwałę bożą, pokąd nasze ręce dosięgną.

— Uchowaj Boże! — zawołał staruszek — apage satanas! Ja pychy w życiu nie znałem.

— I na cóż narzekać na zrządzenia boskie —

— Ot, chylę się do grobu — przerwał mu staruszek — i jakoś na myśl mi przyszło, że każdy z moich antenatów umarł pro republica, a jego śmierć była dobrą wróżbą dla jego towarzyszów —

— I cóż ztąd? — zapytał zniecierpliwiony nieco ksiądz Maciej

— A moja śmierć będzie podobną do upadku spróchniałego drzewa, które nie doleciawszy do ziemi, w próchno się rozsypie.

— Nikt nie wie, do czego śmierć jego posłuży! — zawołał ksiądz Maciej głosem uroczystym. — Niezbadane są drogi pana i ciemne są wyroki Jego, odpowiem na to z psalmistą.

Słowa te, wypowiedziane głosem uroczystym, sprawiły na staruszku silne wrażenie. Zamilkł i oczy w ziemię spuścił. Jakiś dziwny spokój wstąpił mu do duszy, na ustach osiadł słodki uśmiech zadowolenia. Z chrześciańską ufnością patrzył przed siebie, na blizki grób swój, i nie szemrał więcej, że mu zabrakło drogi do lepszych uczynków.

Tymczasem przyniósł służący herbatę, której wielkim amatorem był ksiądz Maciej. Przyznał on jej pierwsze miejsce obok tabaczki i był tego zdania, że ten specjał pomaga do konceptu.

Otóż rozgrzawszy się nim należycie i widząc, że dzisiaj nad staruszkiem nie małe odniósł zwycięztwo, wziął się z wielką otuchą do słowa, z którem właściwie tutaj naumyślnie przyszedł.

— Podejmując jeszcze raz przedmiot naszej rozmowy — zaczął ksiądz Maciej — nie od rzeczy będzie zastanowić się dobrze nad tem, co właściwie nasze serce smutkiem niepojętym obciążać może. Przyczyną tego niepojętego smutku są zawsze nasze przewinienia, albo tych, co nas najbliżej otaczają.

— I sprawiedliwy siedm razy na dzień upadnie...

— Ale podnosi drugich, gdy ich widzi śpiących nad brzegiem przepaści...

Ksiądz Maciej wymówił to z takim akcentem, że stary Dębicz zdziwiony wypatrzył się na niego. Ksiądz Maciej nie zmięszał się jednak tem spojrzeniem, tylko śmiało znowu się ozwał:

— Bóg błogosławi dom, jeźli w nim mieszka pokój i zgoda, ale niewidzialna ręka sędziego zacięży nad nim, jeźli szatan pokusy znalazł w nim chętne ucho...

— W tym domie jest pokój i zgoda — odparł spokojnie staruszek — przyłóż rękę do serc naszych, a przekonasz się; wytęż słuch twój, a usłyszysz w ogrodzie pełzającego robaczka.

— Czy wszyscy mają ten pokój w duszy?

— Inaczej nie odpowiadałbym słudze bożemu tak spokojnie.

Ksiądz Maciej zakręcił tabakierkę aż zaskrzypiała i niecierpliwie czekał nowego konceptu. Jakoś nie szła mu w ład rozmowa. Za daleko był jeszcze celu swego. Spojrzawszy więc ukradkiem na zegarek, potarł się po wysokiem czole i rzekł:

— Jakże tam pani majorowa?

— Zuzanna? — poderwał ciekawie staruszek.

— A tak, Zuzanna — powtórzył ksiądz Maciej, bawiąc się tabakierką z widocznem nieukontentowaniem, że tak od razu wyjechał.

— Cóż Zuzanna? — zapytał z tem większem zdziwieniem staruszek.

— Chciałem się zapytać, czy Zuzanna szczęśliwa? — wyszepnął bardzo cicho ksiądz Maciej.

— Czy Zuzanna szczęśliwa? Jak to rozumiesz, księże Macieju?

Ksiądz Maciej był już teraz w sromotnym kłopocie. Tabakierka jakby na złość otworzyć się nie chciała, krzesło stało nie równo, a stary Dębicz tak dziwnie patrzył na niego, że poczciwy proboszcz podyktował sobie w duchu karę za to, że całą sprawę tak jakoś źle poprowadził.

— Pytałem się — rzekł po chwili milczenia — czy szczęście Zuzanny jest zupełne.

Jakkolwiek to zapytanie księdza Macieja wcale nie różniło się w niczem od pierwszego, ani żadnego nie dało wyświecenia, staruszek poprzestał już na niem i rzekł:

— Szczęście Zuzanny jest tak zupełne, jak je tylko na ziemi mieć możemy. Kochamy ją wszyscy, a ona wzajem nas kocha.

— Ba! — odparł ksiądz Maciej, posuwając się na krześle — my możemy cały świat kochać, ale kobieta...kobiece serce...

Tutaj zaskrzypiała z nienacka tabakierka, ksiądz Maciej czem prędzej włożył palce po swój specjał, w którym w tak krytycznej sprawie ostateczny widział ratunek, ale uprzedził go stary Dębicz, podejmując ostatnie jego słowo:

— Serce kobiece, chcesz powiedzieć, księże Macieju, musi mieć kogoś, komu całe się oddaje...

— To właśnie chciałem powiedzieć...

— Wszak Zuzanna ma męża — odparł Dębicz, patrząc dziwnie na proboszcza.

Księdzu Maciejowi zrobiło się gorąco, zaczerwienił się po same uszy. Była to według niego rzecz tak delikatnej natury, że trudno mu było przyjść z nią do końca. Ale zawezwawszy po cichu pomocy boskiej, odkrząknął silnie i rzekł:

— Otóż to wiedzieć chciałem, czy Zuzanna szczęśliwa jest w pożyciu małżeńskiem?

— Dla czegóż to pytacie? — zapytał zdziwiony staruszek.

— Wszak lekarz i na zdrowej ręce może puls badać — odparł ksiądz Maciej, ucieszony, że się jakoś mu klei.

— Masz słuszność, księże Macieju — rzekł po chwili staruszek — lekarz boży ma prawo wglądania w serca powierzone jego opiece.

Ksiądz Maciej zatarł ręce, posunął krzesło i kontent z siebie, czekał dalszej odpowiedzi. Jakoż po krótkim namyśle ozwał się staruszek:

— Zuzanna jest szczęśliwą w pożyciu swojem, szczęśliwszą od wielu innych kobiet.

— Jednak jej smutek w ostatnich czasach —

— Jest oznaką pięknej, szlachetnej duszy, która czuje, że nad to życie na ziemi jest jeszcze inne, szczęśliwsze życie...

— Ale kobieta jest podobna do dziecięcia, które idąc po łące, chętnie zrywa na niej kwiaty...

— I cóż ztąd?

— A smuci się, jeźli na tej łące żadnych kwiatów nie ma! Dajmy na to, że ta łąka jest życiem naszem...

Staruszek rzucił się niecierpliwie na krześle.

— Sądzisz, księże Macieju — poderwał szybko — że w życiu Zuzanny brak tych kwiatów...

— Nie sądzę wcale, ale —

— Ona wie o każdem chorem dziecku na wsi, o każdem bydlęciu, co padnie; a gdy przyjdzie sobota, to widząc ją wtedy na ganku pośród biednych, którzy jak rój pszczół cisną się do jej rąk — tak sobie wyobrażam ową chrześciańską charitas, o której tak pięknie pisze ś. Augustyn... Księże Macieju, to najpiękniejsze chwile w naszem życiu, to prawdziwe kwiaty, nieśmiertelniki, które i za grobem nie zwiędną w rękach naszych.

Ksiądz Maciej poprawił się na krzesełku, zaczynał być z siebie niekontent. Tabakierka nie chciała się otworzyć, a w głowie urwał się koncept i nie można było dojść do końca.

— O tem nie mówię wcale — ozwał się po długiej chwili milczenia — są to zaprawdę piękne kwiaty, ale to kwiaty duszy; a ja mówiłem o sercu, czy raczej o tej połowie serca ludzkiego, której potrzeba tutaj szczęścia na ziemi, aby je miało jak dziecię kwiaty...

— Ale kto wyrósł nad wiek dziecięcy...

— I cóż ztąd?

— Ztąd to, że stosowny dla swego serca musi mieć pokarm...i kwiaty, które mu się podobają...Czyli mówiąc krótko a węzłowato — dodał ksiądz Maciej, ocierając pot z czoła — kobieta musi kochać coś, do czego jej serce przylgnąć może.

— Jej serce przylgnęło całą siłą do męża, do —

— Otóż o to zapytać się chciałem — rzekł z wielką rezygnacją ksiądz Maciej, mając tylko to wewnętrzne zadowolenie, że już raz rzecz na czysto wytoczył.

— Dla czegóż o to się pytasz? — zawołał staruszek — czy masz jakie powody?

— Uchowaj Boże! Ale tak mi się coś zdawało?

— Cóż ci się zdawało?

— Zuzanna ma lat dwadzieścia i cztery, jest młoda i ładna kobieta...

— Cóż to znaczy?

— Serce kobiety najbardziej w tym czasie pragnie odpowiednich sobie uczuć.

— Tadeusz ją kocha.

— Pan major ma lat sześćdziesiąt i kilka, jego miłość dla żony jest piękna, czysta, spokojna — ale czy zrozumie takie młode serce...

Staruszek uśmiechnął się, wziął poczciwego proboszcza za rękę i rzekł do niego z łagodnym wyrzutem:

— Straszysz mnie niepotrzebnie, księże Macieju, a ja trzebuję pociechy i ukojenia. Zapewnie przeczytałeś na starość jaki romans francuzki i chcesz go zaaplikować do mieszkańców poczciwego domku. To nie godzi się, księże Macieju!

Ksiądz Maciej odsunął z widocznym gniewem krzesełko od starego Dębicza, a zakręciwszy tabakierkę, aż przeraźliwie skrzypnęła, rzekł:

— Francuzkich romansów nigdy nie czytałem i na starość czytać ich nie będę. Nie z książki moje doświadczenie. Siedząc przez lat pięćdziesiąt w konfesjonale, miałem czas zbadać serca ludzkie i poznać najskrytsze ich choroby.

Twarz staruszka posmutniała, ciekawie patrzył na mówiącego.

— I wiele już miałem pacjentów na chorobę serca — mówił dalej z ferworem ksiądz Maciej — ale czy wszystkich uzdrowiłem, to tylko Bogu wiadomo! Bo też to straszna jest ta choroba, ta choroba serca. Słyszeć tych pacjentów mówiących, to aż się dobrze spocić potrzeba, szukając argumentów, aby zbić to, czem oni się bronią. Już to często przychodzi mi do głowy, czyby nie lepiej było, aby człowiek serca nie miał. Ale znowu mówię sobie: Bóg sercem świat zbawił — miłością cały świat stoi. I tak jest to serce jak ów dwulicowy bożek pogański, nazwany Janus, który na jednej stronie miał pokój, a wojnę po drugiej.

— I cóż ztąd wnosisz, księże Macieju? — zapytał cicho zamyślony staruszek.

— Że z sercem trzeba jak najostrożniej sobie postępować — odpowiedział ksiądz Maciej, który miał już wenę do gadania — nie trzeba mu nic narzucać, ale powoli śledzić jego przyrodzone skłonności i sakramentem wzmacniać tylko jego powzięte postanowienia. A gdzie sakrament ściąga do-

piero dwa serca jak wić łoziny, lub jest prawną pieczęcią spisanego przez notarjusza kontraktu, tam szczęścia nigdy nie będzie, a biedny spowiednik traci głowę w konfesjonale, gdy mu przychodzi święty sakrament bronić, na który nie ma żadnej apelacji.

Staruszek słuchał zamyślony, jego czoło okryło się zmarszczkami. Nastąpiła długa chwila milczenia. Poczem wypogodziła się twarz staruszka, jego ciemne brwi rozsunęły się daleko od siebie. Z nieznacznym uśmiechem na twarzy rzekł do proboszcza, który ciekawie patrzył na niego:

— Myślisz, księże Macieju, żem źle uczynił, wybrawszy Zuzannie majora za męża?

— Tego nie myślę, ale gdyby...dajmy na to...serce Zuzanny —

— Serce Zuzanny utonęło całe w sercu poczciwego majora.

— Daj Boże, ale gdyby...tak z czasem...

— Więc to chciałeś mi za grzech poczytać — przerwał mówiącemu staruszek — żem Zuzię wydał za najpoczciwszego człowieka w świecie? Wszak ja to za zasługę sobie przed Bogiem biorę! Zuzię wychowałem na własnych rękach, tu ot w tej izdebce, w obliczu tych oto Dębiczów! Zuzia z krwi Dębiczów; ona pokochała to, co wzniosłe i szlachetne, nie przywiązując się wcale do marności światowych. Ona w swoim mężu pokochała tę piękną, wzniosłą przeszłość naszą, która jej całe serce zapełnia. A ty myślisz, księże Macieju, że moja Zuzia to jak zwykła, wielkomiastowa kobieta, której podoba się frak kusy i halsztuk zgrabnie zawiązany u lada jakiego młokosa?

— Tego wcale nie myślę, ale wiem, że czasem serce kobiety —

— Słuchaj, księże Macieju! — przerwał staruszek, podnosząc się w krześle i kładąc rękę na ramieniu proboszcza — Zuzanna tak kocha swego męża, że miłość jej często przechodzi granicę i staje się bałwochwalstwem. Ja na to wszystko patrzę, i to jest, co mnie jeszcze przy siłach i życiu utrzymuje.

Starzec mówił to z takiem przekonaniem, jego ręka tak drżała na ramieniu księdza Macieja, że poczciwy proboszcz strasznie się zakłopotał, wlazłszy w matnię, z której w żaden przyzwoity sposób wywinąć się nie mógł. Gniewał się na siebie, że się dał uwieźć jakimś przywidzeniom i w ferworze dobrego uczynku zrobił ogromne głupstwo. Dębicz był widocznie rozdrażniony jego gadaniną, a gdy jeszcze Zuzanna i major o tem się dowiedzą, wyśmieją poczciwego starowinę, którego dręczyły jakieś mary złowieszcze.

Ksiądz Maciej odkręcał tabakierkę i zakręcał, szukając konceptu, który mógłby go z honorem i salva conscientia z tej głupiej sprawy wyprowadzić, gdy nagle otworzyły się drzwi, a do pokoju wszedł poczciwy major. Za nim, usłyszawszy rozmowę, weszła i Zuzanna z robótką w ręku. Ksiądz Maciej błagającym wzrokiem popatrzył na starego Dębicza, aby na miłość Boga nic o jego głupich przywidzeniach nie wspominał, i uspokoił się, widząc pobłażający uśmiech na twarzy staruszka.

— Muszę się oskarżyć dziaduniowi i księdzu Maciejowi — rzekła Zuzanna z uśmiechem, pełnym słodyczy — że Tadeusz już mnie kochać przestaje. Minął moje drzwi i wszedł tutaj, aby się ze mną nie przywitać.

— To na to, kochana Zuzienko — odparł major z figlarnym uśmiechem — aby dziadunio i ksiądz Maciej byli świadkami naszego przywitania i...i mojego szczęścia — dodał, całując żonę naprzód w rękę, a potem w czoło.

Zuzia objęła białemi ramiony siwą głowę i przycisnęła do piersi.

— Niedobry jesteś — rzekła, całując go — coraz więcej się rozpuszczasz; uwiążę cię na sznureczku u siebie.

Ksiądz Maciej z największą trwogą patrzył w oczy starego Dębicza, bo zdawało się mu, że major i Zuzanna o wszystkiem już wiedzą. Pot wystąpił na jego czoło, nie mógł sobie darować swojej nierozsądnej popędliwości. Do tego stary Dębicz tak dziwnym na niego patrzył wzrokiem, tak jakoś dziwnie się uśmiechał i tak widocznie szydził z jego przewidzeń nieszczęsnych, że biedny ksiądz Maciej pokornie głowę schylił, w piersi się nieznacznie uderzył i szepnął:

— Peccavi!

Ani major, ani Zuzanna nie widzieli tej szczególnej skruchy księdza Macieja, bo byli zbyt zajęci wzajemnemi pieszczotami. Poczciwy major nie mógł się napatrzyć na swoją młodą żonę. Ściskał jej ręce i całował, przykładał je do piersi, gdzie mu serce tak głośno biło! A Zuzanna patrzyła z anielską słodyczą w twarz męża i całowała z dziecięcą pieszczotą jego siwe włosy. Stary Dębicz wyglądał z rozjaśnionem obliczem jak tryumfator rzymski; a biedny ksiądz Maciej z pokorą błądzącego człowieka pochylił głowę, widząc w tem wszystkiem zasłużoną karę swoją.

Gdyby ksiądz Maciej uważnie na kochające się małżeństwo był patrzył; gdyby przyćmiony wiekiem wzrok jego dozwolił mu był śledzić na ich twarzach odcienia uczuć, które w tej chwili w ich sercach się paliły: ujrzałby może coś, coby na korzyść jego przywidzeń złowieszczych mówić mogło. W pieszczotach kobiety było coś gorączkowego, co nienaturalny stan jej duszy malowało. Chwytała męża tak nagle za ręce,

z takim niepokojem cisnęła głowę jego do piersi, jakby się czegoś lękała, jakby go od niej jakaś niewidoma odrywała siła. I taki pośpiech, taka dziwna gwałtowność była w jej pieszczotach, jakoby te chwile były policzone, a wkrótce miała nastąpić godzina, w której z wstrętem tę głowę od siebie odepchnie...A nawet major był dzisiaj w stanie nienaturalnym. Jego oczy biegały szybko i niepewnie; kilka razy zamiast czoło Zuzanny pocałował klapę swego surduta i tak silnie trzymał żonę za ręce, jakby jakiś ciężar niewidomy ciągnął go w przepaść, nad którą właśnie oboje stali.

Ale ksiądz Maciej nic z tego wszystkiego nie widział. W sercu czuł gorzkie wyrzuty, że myślą bezbożną grzeszył, i ze skruchą winowajcy patrzył na starego Dębicza, który coraz więcej tryumfować się zdawał nad poczciwym proboszczem.

Wreszcie usiadł major na krzesło, a Zuzanna obok staruszka na swoim taboreciku. Major począł coś opowiadać, a żona jego ułożywszy włóczkę w różne stopnie barw na kolanach, podniosła oczy i z takiem zajęciem patrzała w twarz opowiadającego, jakby po długim czasie upragnionego oglądała kochanka.

Major opowiadał, że był w Dąbczynie u Jerzego, który już się miał lepiej; że tam przyszedł także i hrabia Leon i tyle nowych gazet przyniósł z sobą, że aż serce się radowało. Nie mógł poczciwy żołnierz księcia Józefa przenieść na sercu, aby z wyczytanych z gazet wiadomości nie udzielił coś szanownemu zgromadzeniu. Mówił więc szeroko i z nadzwyczajnym zapałem o nieporozumieniach w Chinach i buntach na wyspie Korsyce, o powstaniu jednego plemienia Kabylów przeciw załoczze francuzkiej, o niebezpiecznej chorobie cesarza Soulouque i królowej wysp marjańskich — a dołączywszy do tego mimochodem krótki rys ostatnich zajść parlamentarnych w Anglji i nieporozumienia ministra z królową hiszpańską, tak hazardowne począł ztąd czynić wnioski, i tak oczywistą wyprowadził z tego wojnę całego świata, że każdy inny słuchacz byłby w jego słowach dostrzegł coś gorączkowego, co go tam gdzieś na dnie serca pali. Ale ksiądz Maciej tylko jednem słuchał uchem, a stary Dębicz nacieszywszy się tryumfem, patrzał ukradkiem na portret swojej babki, której twarz smutna i surowa zdawała się marszczyć brwi i zaciskać usta. Major miał więc wyborną sposobność pływania po pełnem morzu najhazardowniejszych kombinacji politycznych; nikt bowiem nie dostrzegł owej tajnej myśli, która go na to morze pędziła, porywając go coraz dalej w olbrzymie swoje objęcia.

Wreszcie począł się wyczerpywać przedmiot rozmowy, bo chociaż major na wszystkich czterech częściach świata pożogę

wojny powszechnej rozniecił, gdy mu jednak żaden sukurs ani ze strony starego Dębicza, ani księdza Macieja w pomoc nie przyszedł, ucichła jakoś wrzawa wojenna, a w izdebce staruszka zaczęło się już cicho robić. I ksiądz Maciej z wielką ostentacją na zegarek popatrzył i na drogę należycie tabakierkę zakręcił — gdy nagle od dziedzińca zaszedł ich jakiś szmer głuchy, podobny do licznych głosów ludzkich.

Major pospieszył na dziedziniec, aby się czegoś dowiedzieć i pozostałych w izdebce staruszka uspokoić. Ale to właśnie niemałe było zadanie. Na dziedzińcu stało bowiem kilkunastu ludzi i z takim zapałem podawano sobie jakieś dziwne wieści do ucha, że trudno było majorowi, aby dla siebie coś z tych wieści zachwycić.

W samym środku stał Mietlica i z wielkim zajęciem opowiadał coś staremu kucharzowi. Klucznica zaś przysięgała się na swoją uczciwość, że przed chwilą wcale inaczej opowiadał jej całe zdarzenie stary ekonom, i że ani słówka nie opuściła, powtórzywszy to wszystko staremu Jędrzejowi, do którego miała szczególne zaufanie. Jędrzej znowu położył dwa opowiadania w jedno i tak je zagmatwał, że ani klucznica, ani stary ekonom nie przyznali się do tego, aby mu coś opowiadać mieli. Słowem, rozgardjasz był tak wielki między dworską służbą i czeladzią, że wiele upłynęło czasu, nim major mógł powziąść języka o zaszłem wydarzeniu.

Okazało się, że Mietlica wpadł pierwszy z dziwną wieścią na dziedziniec. Uchwyciwszy zaraz przy furtce starą klucznicę, opowiedział jej na prędce, że przed chwilą widział jakiegoś jeźdźca na czarnym koniu, który przesadziwszy płot ogrodu, wpadł między klomby i znikł jak kamfora. Trafiwszy kilka kroków dalej na Wojciecha, stangreta, powtórzył mu to opowiadanie z tym dodatkiem, że nie tylko koń, ale i jeździec był czarny jak węgiel i coś za nim cuchnęło jak smoła. Zeszedłszy się dalej z Mateuszem, starym lokajem, dodał do tego, co mówił Wojciechowi, jeszcze tę drobnostkę, że jeździec miał nogi podobne do capa, zakończone w długie pazury, których zamiast ostrogi używał. Kucharz który najpóźniej przyszedł, usłyszał jeszcze do tego wszystkiego, że jeździec z gęby wyrzucał palące się węgle i kwiczał jak wieprz. A w końcu, gdy jeszcze kilku parobków z piekarni wyszło i wszyscy w koło opowiadacza uszykowali się, wpadł stary wiarus w taki ferwor opowiadania, że swojej i tak już gorącej wyobraźni zupełnie wodze popuścił i niestworzone opowiedział im rzeczy. Według ostatniego warjantu jego powieści, miał ten czarny jeździec przez klomby jak ptak przelecieć, a wpadłszy na wody stawu, suchą nogą

na drugą stronę przejechał. Tylko pod ognistemi kopytami konia woda nieco syczała. Potem nie zapomniał dodać, że to wszystko dzieje się z rozkazu Boga, który mści się za biednego mieszczanina, i że ten czarny jeździec zapewnie burmistrza z Dąbczyna z sobą do piekła weźmie. A wszystko to mówił Mietlica w najświętszem przekonaniu, że mówi prawdę, bo w zapale opowiadania sam w końcu w swoją powieść uwierzył.

Zebrawszy więc tę powieść z różnemi warjantami, wrócił major do izdebki, gdzie nań niecierpliwie czekano, a gdy o czarnym jeźdzcu na czarnym koniu mówić zaczął, nachyliła się szybko Zuzanna do swojej robótki i ułożoną według barwy włóczkę przez niezręczność pomięszała. Jej ręce zadrżały, na twarzy znacznie zbladła. Ale wkrótce uspokoiła się, a układając napowrót włóczkę w różne odcienia barw, rzekła z pogodą na twarzy:

— Stary Jakób ciągle miewa teraz przywidzenia. Od czasu jak zegarmistrza Wojnę, z którym był w ścisłej przyjaźni, do więzienia wsadzono, stracił biedny rozum i widzi rzeczy, o których innym ani się śni. Dobrze byś zrobił, kochany Tadeuszu, abyś mu zakazał pleść czeladzi podobne androny, bo ztąd powstają tylko baśnie i zabobony.

Majorowa mówiła to z nadzwyczajnym spokojem, układając z największą skrupulatnością odcienia włóczki. Stary Dębicz był tego samego zdania co i Zuzanna, a ksiądz Maciej obiecał w następującej niedzieli powiedzieć kazanie w tej materji i staremu gadule dobrze za to rogów przytrzeć. Major zaś prosił za Mietlicą, który nie czynił tego w złej chęci, tylko snać mu się coś przywidziało.

I tak zakończono dzisiaj pogadankę serdecznem uściśnieniem, a ksiądz Maciej z taką pokorą się żegnał, jakby największym był winowajcą. Idąc do plebanji wzdłuż grobli ponad stawem, łajał siebie głośno za swoje głupstwo, które był popełnił, poszedłszy za jakiemś fałszywem natchnieniem. A mając jeszcze przed oczami obraz szczęścia, który przed chwilą widział w domku Dębicza, nie spostrzegł wcale, że ten sam czarny jeździec, o którym opowiadał Mietlica, tuż przed nim groblę i fosę jednym skokiem przesadził i gdzieś w stawie jak kamień utonął.

## II.

Następnej niedzieli miał ksiądz Maciej długie kazanie o fałszywych przywidzeniach. Wyliczał wszystkie złe skutki, które ztąd na lud boży i jego wiarę spadają, i zbyt często wskazywał ręką na obraz Przemienienia Pańskiego, pod którym stał stary ekonom.

Mimo wszelkiej erudycji, którą za kazanie był włożył, jakoś nie szły mu w ład cytaty rozdziałów i wierszów pisma świętego, imiona ewangelistów często mu się mięszały, nie mówiąc już o listach ś. Pawła, pisanych do różnych nacji i kościołów.

Ksiądz Maciej bowiem mówił dzisiaj więcej z obowiązku, jak z wewnętrznego swego przekonania. Mimo odbytej pokuty, jaką sobie był wyznaczył za nieszczęsną popędliwość swoją, słyszał jednak ustawicznie, że mu coś szepcze do ucha; widział rzeczy, które z każdym dniem więcej utwierdzały go w jego przeczuciach złowrogich. A nie mogąc wreszcie ani modlitwą, ani jałmużną odpędzić od siebie tych mar natrętnych, które mu dniem i nocą przed oczami stawały, uwierzył był znowu w swoje dziwne natchnienie, które mu czuwać kazało nad duszami, jego opiece powierzonemi.

I tak znowu powoli rosła w jego sercu trwoga o pokój i szczęście białego dworku, w którym tyle przyjemnych chwil życia z mieszkańcami przepędził. Ale nie chcąc tym razem grzeszyć popędliwością swoją, jak to przed kilkoma dniami był uczynił, rozebrał sobie dobrze w głowie, jak w tej mierze postąpić trzeba.

Chodził więc co dnia na poobiedne «spiritualia» i pilnie wszystkich obserwował. Stary Dębicz był tak spokojny co do szczęścia Zuzi, że nawet nigdy nie przypomniał księdzu Maciejowi jego nieszczęsnego powątpiewania. I ksiądz Maciej był z tego bardzo kontent, bo zawsze ów wieczór był dla niego nieprzyjemnem wspomnieniem.

Tymczasem w zgromadzeniu «spiritualistów» zachodziła z każdym dniem widoczniejsza zmiana. Dębicz mówił wiele o grobie; kazał nawet w grobowcu Dębiczów wybić nową framugę między pierwszym i ostatnim Dębiczem, i ją dla siebie przygotować. Utyskiwał, że jego śmierć podobną będzie do upadku spruchniałego drzewa, które nie doleciawszy do ziemi, w proch się rozsypuje, podczas gdy każdy z Dębiczów dawał życie za zwycięztwo rzeczypospolitej. Ksiądz Maciej odsyłał go w takim razie do niezbadanych wyroków

boskich, a niewiadomości ludzkiej, która pojąć nie może, do czego może Bogu posłużyć śmierć człowieka.

Major z każdym dniem stawał się młodszym i ruchliwszym. Ani chwili nie mógł wysiedzić na jednem miejscu — jakaś gorączka paliła go wewnątrz. Marzył jak młodzieniec o dniu jutrzejszym, a gdy ten minął, nie spełniwszy jego nadziei, major odkładał swoje ekspektoracje na dzień następny. Gazety już z ręki nie wypuścił, a gdy jaki celnik w Sycylji na przemytnika wystrzelił i do tego jeszcze spudłował, major widział w tem iskrę pożogi, która lada dzień zajmie świat cały z końca do końca! Wreszcie tak mu jakoś obmierzł powolny i prozaiczny bieg świata, debaty parlamentarne tak go już nudziły, a konjunktury polityczne tak długiego do sprawdzenia wymagały czasu, że począł wierzyć w jakieś nadzwyczajne, nieprzewidziane wypadki, w siły nadnaturalne, których człowiek do swoich celów użyć może, i w ukrytych demonów, którzy w ostatecznym razie mogą ludziom dopomódz. I tak bogobojny, stary żołnierz, nasłuchawszy się na tych «spiritualiach» najrozmaitszych pism ojców kościoła, zaszedł najprostszą drogą do jakiejś wiary pogańskiej, która go od dziennej oderwała pracy i nadzwyczajnym zdarzeniom kazała mu poruczyć wszelkie swoje nadzieje. Ta nowa wiara poczciwego majora doszła wkrótce do tego, że pewnej nocy samowtór z Mietlicą, który za biednym zegarmistrzem już na piękne bzika dostał, rozkopał w ogrodzie gruzy pałacyska, szukając tam ukrytego skarbu!

Ksiądz Maciej widział to gorączkowe usposobienie majora i przypisywał je niepewności, która szarpie jego poczciwe serce na widok żony, oddalającej się z każdym dniem sercem od niego. Ta zmiana majora utwierdzała go w jego przeczuciach fatalnych.

Zuzanna zaś była na pozór spokojną. Rzadko kiedy się roześmiała, a prawie zawsze miała oczy od łez czerwone. Twarz jej pobladła, usta zbielały i jasno było, że jakiś robak toczy jej młode serce. Nawet domowe zatrudnienia, które niegdyś jedyną były dla niej rozrywką, nudziły ją teraz widocznie i coraz więcej od nich się uchylała. Przy «spirytualiach» siedziała smutna i zamyślona, i widać było po jej twarzy, że wiele cierpi.

Wszystko to widział ksiądz Maciej, ale bynajmniej się tem jeszcze nie trwożył. Dziwne miał on jakieś doświadczenia serca ludzkiego z pięćdziesięcioletniej swojej praktyki w konfessjonale. Coraz głębiej rysujący się na twarzy smutek Zuzanny, który ją z każdym dniem więcej pożerał, cieszył go widocznie, a gdy ją ujrzał z zapłakanemi oczyma, uderzył z akcentem palcami po tabakierce i uśmiechał się nieznacznie. Razu jednego nawet, gdy mu zasmucony major

na ganku powiedział, że jego Zuzienka dzisiaj nagle zasłabła, ksiądz Maciej puknął w tabakierkę z widoczną uciechą i rzekł bez wszelkiej ogródki zdziwionemu mężowi.

— I owszem, niech będzie chorą!

Za kilka dni przyszedł ksiądz Maciej jak zwykle na poobiedne «spiritualia». Zaraz w ganku przywitał go major serdecznym uściskiem i szepnął mu do ucha, że dzisiaj jest szczęśliwszym niżeli kiedykolwiek. Zuzanna bowiem jest dzisiaj weselszą, a nawet wesołe melodje grała na klawikorcie.

Ksiądz Maciej na to nic nie odpowiedział, tylko zakręcił tabakierkę aż zaskrzypiała. Skwapliwie wszedł do izdebki starego Dębicza. Na jego twarzy malował się jakiś przestrach.

— Otóż i w mglistych dniach smutku daje nam Bóg dnie pogodne — rzekł do niego zaraz na wstępie stary Dębicz, którego twarz jaśniała dzisiaj nadzwyczajną pogodą.

Ksiądz Maciej zaczął coś mówić o miłosierdziu bożem, ale jakoś wnet język mu się poplątał i zamilkł.

— A wiesz, księże Macieju — mówił dalej staruszek — przez kogo nam Bóg ten piękny dzień dzisiaj daje? Oto przez naszego anioła stróża, jak niegdyś nazwałeś Zuzię. Od kilku tygodni cierpiała jakąś niemoc duszy; dzisiaj przyszła do siebie i jest znowu wesołą i świeci nam w domu pogodą duszy swojej, aż nam wszystkim i jaśniej i cieplej.

Ksiądz Maciej w widocznym był kłopocie, posuwał się na krześle, któremu dzisiaj nie mógł znaleźć równowagi.

W tem gdzieś z ogrodu ozwał się piękny, wesoły głos Zuzanny. Kończyła zwrotkę jakiejś wesołej piosenki. Niemiłe wrażenie sprawił ten głos na księdzu Macieju.

Major wszedł z cicha do pokoju. Położywszy palce na ustach na znak milczenia, wskazał drugą ręką do ogrodu, zkąd było słychać nucącą Zuzannę. Szczęście malowało się na jego twarzy.

— Zuzienka nuci dzisiaj dzień cały — rzekł po chwili — i jest tak przy dobrej fantazji, jak ją już dawno nie widziałem. Jest to dla mnie roskosz prawdziwa przy wszelkich moich utrapieniach —

— Nie obrażaj Boga, Tadeuszu! — twoje utrapienia są urojone, a szczęście twoje jest rzeczywiste. Zuzia kocha cię i jest szczęśliwą, czegóż ci więcej potrzeba?

Mówiąc to, spojrzał staruszek na księdza Macieja, przypominając mu tym wzrokiem jego dziwne przywidzenia przed tygodniem. Ale ksiądz Maciej był dzisiaj jakoś w tak kwaśnym humorze, że na to spojrzenie ani zważał, ani nawet nie widział, jak smutno spojrzał major na starego Dębicza, gdy mu ten o jego utrapieniach wspomniał.

W tem weszła Zuzanna. We włosach miała prześliczną kamelję, czego pierwej nigdy prawie u niej nie widziano. Nawet i staranniej była ubrana. Twarz jej zarumieniła się, wyraz szczęścia i zadowolenia malował się w jej oczach.

I z taką dziecięcą pustotą weszła do pokoju, tak serdecznie witała się z wszystkimi, księdzu Maciejowi tyle dowcipnych powiedziała żarcików, że stary Dębicz i major z zachwyceniem wpatrywali się w jej piękną twarzyczkę, na której dzisiaj najjaśniejsze igrały kolory. Widać było, że serce młodej kobiety przepełniło się jakąś nadzwyczajną roskoszą, jej ramiona otwierały się do objęcia całego świata; ona czuła jakiś nadmiar szczęścia, którem chciała się podzielić z całym światem.

Ksiądz Maciej tylko strasznie posmutniał. Przewracał tabakierkę to na tę, to na ową stronę i milczał.

— Kochana Zuzienko — ozwał się stary Dębicz — patrz no drogie dziecię na księdza Macieja! Zazdrości nam tej pogodnej chwili, której właśnie używamy i zachmurzył się, gotując pewnie dla nas jakąś perorę. Rozweselasz nas wszystkich swoim humorem, spróbójże tej sztuki i na księdzu Macieju!

— Jakto, księże Macieju — przemówiła dziwnie brzmiącym głosem Zuzanna — to dla drugich są recepty, a dla siebie nie ma? Kilka dni temu, gdym była smutną, mówił ksiądz Maciej, że wesołości nie wzbrania pismo święte, że i przenajświętsza rodzina cieszyła się na godach w Chanaan —

— Zaproszeni na gody powinni mieć szaty świąteczne — odparł sentencjonalnie ksiądz Maciej — a jam może nie godzien — dodał prędko, aby tej aluzji wszyscy nie zrozumieli.

I tak mimo wszelkich usiłowań Zuzanny nie mógł się rozweselić ksiądz Maciej, a gdy mu już dłużej nie podobna było wytrzymać, zmyślił ból głowy i przed czasem towarzystwo opuścił.

Spory kawał drogi już uszedł, gdy nagle spostrzegł, że miał głowę odkrytą, a kapelusz niósł w ręku. Jakaś bolesna myśl owładnęła całe jego serce. Wyszedłszy na groblę stawu, obrócił się do białego dworka, który jak młody psotnik skrył się przed nim między lipy i kasztany, a tylko przez gałęzie i liście mrugał do niego. A taka cisza, taki spokój był nad tym białym dworkiem! Mógłbyś słyszeć aniołów w niebie, biorących błogosławieństwo z rąk Boga dla ludzi i spieszących z niem na ziemię...

I ksiądz Maciej wyciągnął rękę i pobłogosławił mieszkańcom tego dworku — nie, on był w tej chwili egzorcystą, zażegnywał burzę nad nim wiszącą!...

I szybko zwrócił się na drogę do plebanji, do swojej samotnej izdebki.

Pierwszą myślą, gdy się ujrzał w swojej izdebce, był brewiarz i modlitwa. Jego zasmucona dusza pragnęła rozmowy z Bogiem. Wziął więc do ręki dobrze znajomą mu książkę, towarzyszkę swego życia, z którą mógłby już złote wziąść wesele, i począł stosownej szukać modlitwy. Ale tym razem zawiodła go jedyna towarzyszka życia. Ksiądz Maciej przewracał i przewracał kartki, ale znajomej mu dobrze modlitwy nie mógł znaleźć. Wreszcie poprzestał na innej, podobnej, a założywszy okulary, począł ją czytać z uwagą i nabożeństwem. I tu mu się jakoś nie kleiło. Przeczytawszy całą stronę, nie wiedział w końcu sam, co przeczytał. Widział przed sobą wprawdzie czarne litery i czerwone inicjały, ale sensu nie mógł złożyć. Coś mu latało między książką a oczyma i zasłaniało ustawicznie modlitwę. Odłożył brewiarz, wziął Tomasza à Kempis, ale i tu ten sam nieład w literach i sensie. I pomyślał sobie poczciwy kapłan:

— Snać nie miłą jest Bogu modlitwa moja w tej chwili. On nie chce, abym się modlił, gdy potrzeba myśleć nad ratunkiem.

I odłożywszy wszystkie książki na bok, usiadł w dużem krześle, aby swobodnie wszystko obmyśleć, co w takim razie czynić wypada, aby znowu przez popędliwość jakiego głupstwa nie zrobić. Ale nie lada było to zadanie. Ksiądz Maciej myślał i myślał, a jakoś do żadnego nie mógł przyjść rezultatu. Wreszcie począł jego myślom przeszkadzać pająk, który sobie spokojnie siatkę naprawiał. Ksiądz Maciej obrócił się, a tu wpadło mu okno w same oczy. Podniósł głowę do góry i patrzył na powałę. Jeden sztukowany belek gniewał go i drażnił ustawicznie. Wstał i począł się przechadzać. Ale tu wszystko jakby się sprzysięgło na niego: krzesła stały na samej drodze, na stole brzęczała butelka z wodą, a podłoga tak nieznośnie była nierówną, że ksiądz Maciej nie mógł na żaden sposób swoich myśli w kupie utrzymać. Wziął kapelusz i wyszedł do ogródka.

Ogródek plebana ciągnął się długim, wąskim wygonem ponad brzegiem stawu. Zasadzony był wprawdzie drzewami owocowemi, ale mimo to można było z niego daleki mieć widok. Drzewa bowiem sadził sam ksiądz Maciej w tak symetrycznych linjach, że na cztery części świata można było pomiędzy nie daleko widzieć. Na samym końcu ogrodu była mała glorjetka, zkąd był daleki widok na staw i wysepkę z ruinami klasztoru bożogrobców. Na dębowej ławeczce lubił

tutaj często ksiądz Maciej siadywać i utrzymywał, że najlepsze kazania, które był kiedy powiedział, układał sobie na tej ławeczce, patrząc daleko przed siebie po nad sine wody stawu i błękitną gazą obleczone ruiny klasztoru.

Wyszedłszy więc z izdebki i rozmyślając nad tak ważną rzeczą, zbliżał się już z nałogu ksiądz Maciej do ulubionej swojej ławeczki, a doszedłszy do niej, usiadł spiesznie, nie zdmuchnąwszy wprzód prochu, jak to zawsze zwykł był czynić.

Słońce zbliżało się już dobrze ku zachodowi. Dzień był jesienny, lekki wietrzyk szeleścił po żółtych, uschłych liściach, ale słońce grzało jeszcze przyjemnie. Tam daleko snuli się pilni robotnicy po zagonach; jedni zbierali ostatnie snopy bożych darów, a inni rzucali już nasienie na rok przyszły. Ochocze pieśni rozlegały się do koła, a dźwięk dzwonów pasącej się trzody wtórował im z daleka. Jakaś piękna melodja była w całej naturze. Tylko jeden ciemniejszy punkt malował się czarno na błękitnem niebie — były to lipy i kasztany przy białym dworku.

Ksiądz Maciej myślał właśnie o tym białym dworku, myślał o jego mieszkańcach, którzy dzisiaj byli tak weseli, tak szczęśliwi! A on właśnie w tej wesołości, w tem szczęściu słyszał złowrogi śmiech szatana, który po długiej walce zwyciężył. Ale z drugiej strony trapiła go znowu ta myśl, której rad udzielał ucha, że to wszystko może być tylko przywidzenie, złudzenie!

I gdy tak walcząc ze swemi myślami, coraz więcej przychylał się do tego przekonania, że za stary dla świata dzisiejszego, nie pojmuje go i napróżno fałszywem trapi się przywidzeniem — nagle tentent konia wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał na drugi brzeg stawu, którędy polna prowadziła droga, i zadziwił się nie mało, widząc pomykającego szybko czarnego konia z jeźdzcem, o którym tyle hałasu narobił owego wieczora stary ekonom. Ksiądz Maciej wytężył wzrok, przyłożył rękę do czoła, a widząc szalone, nienaturalne skoki czarnego rumaka, począł już był na serjo wierzyć, że zły duch mu się przywidział; gdy jeździec zwrócił się nagle twarzą na drugi brzeg stawu, jakby kogoś tam szukał oczyma, a ksiądz Maciej z niemałym przestrachem poznał w nim — hrabiego Leona.

Przestrach opanował starego kapłana, pot wystąpił mu na czoło. Szeroko otwartemi oczyma prowadził jeźdzca po zakrętach drogi, póki mu tenże nie znikł zupełnie za drzewami, otaczającemi ruiny klasztoru bożogrobców. Ruiny te, jak już powiedzieliśmy, były na małej wysepce, do której z tamtej strony był przystęp.

Ksiądz Maciej utopił wzrok w tę ciemną grupę drzew, czerniącą się nad błękitnem zwierciadłem stawu, i sam nie wiedział, o czem właściwie w tej chwili myślał, gdy na jasnem tle fali przezroczystej pojawiło się przed jego oczyma jakieś nowe widmo. Z ciemnych zarośli ogrodu, który od białego dworku ciągnął się aż po brzeg stawu, wymknęła się mała łódka, na której siedziała jakaś postać kobieca. Po jasnym kolorze sukni poznał ksiądz Maciej Zuzannę.

Słońce zniżyło się już do ziemi. Biała mgła wieczorna spuszczała się na wody jeziora, a mała wysepka brała powoli na siebie błękitną, nieprzejrzystą szatę, aby się przed ludzkiem zasłonić okiem. Tylko jedna gwiazdka wymknęła się śmiało naprzód i ciekawie patrzyła między drzewa, otaczające ruiny klasztoru.

Ksiądz Maciej nic już przed sobą nie widział. Mgły, osiadające na wodach jeziora, kłębiły się przed nim w jakieś dziwne, straszne kształty: widział olbrzymów, idących po fali suchą stopą, słyszał ich dziwne, piekielne głosy. A tam za drzewa ogrodu, z gorejącą twarzą zapada słońce, świadek boży, i niesie Stwórcy dzienny rachunek dobrych i złych spraw ludzkich.

W tem ozwał się dzwonek na «Ave Maria». Ksiądz Maciej ocknął się jakby z jakiego snu strasznego, padł na kolana i z niepraktykowaną dotąd gorącością pozdrowił przeczystą Bogarodzicę, opiekunkę serc młodych, pragnieniem miłości gorejących.

A gdy powstał, była już noc ciemna. Tylko tam w dali, w oknach białego dworku błyszczały światła i tak spokojnie mrugały do niego, jakby najszczęśliwszym przyświecały mieszkańcom. Ksiądz Maciej spojrzał jeszcze raz w okna tego dworku, którego mieszkańcy tak byli spokojni i szczęśliwi, gdzie przed chwilą tyle cieszono się wesołością i uśmiechem młodej kobiety, a w którym on przeczuwał śmiech strąconego z nieba anioła!

Smutny i zgarbiony, jakby jaki ogromny ciężar spoczął na barkach jego, wrócił ksiądz Maciej do samotnej swojej izdebki.

---

Przez całą noc nie mógł oczu zamknąć sędziwy kapłan. Tyle różnych myśli, jakto teraz sobie postąpić należy, przychodziło mu do głowy, a wszystkie te myśli tak jakoś niestosowne wydawały się mu po bliższem rozpatrzeniu, że zdawszy wszystko na wolę bożą, przedsięwziął przespać noc bez żadnego powziętego postanowienia, a nazajutrz rano

spodziewał się, że w świeżej głowie łacniej mu będzie wynaleźć sposób przyzwoity postąpienia sobie w tak trudnej sprawie.

Ale sen uciekał od niego jak ptak spłoszony. A gdy nad ranem zasypiać począł, jakieś straszne widmo przestraszyło go. Równemi nogami stanął na ziemię, a zapaliwszy świecę, wziął się do brewiarza.

On widział we śnie ten biały, spokojny dworek. Lipy i kasztany tuliły go między sobą, boża gwiazda świeciła nad nim. W tem nadciągła chmura czarna, z jej piersi wyleciał grot piorunu i roztrzaskał ten biały domek i powalił chroniące go lipy i kasztany. Z grobowca Dębiczów wyszły jakieś olbrzymie, w śmiertelne całuny zawinięte postacie i wzięły staruszka ze sobą do swoich ciemnych, spróchniałych trumien! Major stał pode drzwiami grobowca i płakał, ale go tam nie wpuszczono. W ziemi nieświęconej, jak poganin lub samobójca, wykopał grób sobie i legł... A Zuzanna ubrana w kwiaty, śpiewała jakieś dziwne pieśni...

Odczytawszy modlitwę, uspokoił się po tym śnie strasznym ksiądz Maciej, a że już świtać zaczęło, począł na serjo myśleć o tem, co mu jako kapłanowi i przyjacielowi teraz czynić wypada.

Najprzód wartując wszystkie swoje doświadczenia, zgodził się na to, że błądzącego człowieka przedewszystkiem nie trzeba poniżać we własnych oczach jego. Trzeba przed nim skrzętnie naprawić ścieżkę żywota, aby sam nią na bity gościniec wyszedł; ale nie trzeba go zawracać w chwili najciemniejszej jego ślepoty. Zawrót tak nagły byłby tylko nową do błędu podnietą. Samej więc Zuzannie nie chciał nic mówić. Ale teraz nowe przychodziły trudności. Stary Dębicz, stojący nad grobem staruszek, nie mógł także wchodzić w rachubę księdza Macieja. Sama wieść mogłaby go zabić. On tak wierzył w szczęście Zuzanny, wierzył, że to szczęście jedynie jego zasługą! a ta wiara utrzymywała go tylko przy życiu. Bez tej wiary rozpadłyby się stare kości jego, jak kości szkieletu, gdy im wiążący je drut odbierzesz. Stary Dębicz nie mógł o niczem wiedzieć.

Miałże więc wprost udać się do męża Zuzanny? Miałże przyjść do tego szczęśliwego i poczciwego człowieka i rzeknąć:

— Oto szczęście twoje jest marną ułudą! Żona nie kocha cię, stary człowieku, jej serce przylgnęło do innego! Oto w tej chwili, gdy się nią zachwycasz, oni tam sami...tam złorzeczą tobie, liczą dni twoje, jak długo będziesz im jeszcze zawadzał na tym świecie!...

Miałże to wszystko powiedzieć człowiekowi, którego kochał jak brata, któremu radby nieba przychylił za do-

bre poczciwe serce jego i za żywot pełen cnót obywatelskich!

A przecież rozmyśliwszy tę rzecz dokładnie, był to jedyny środek, którym mógł odwrócić daleko większe nieszczęście. Najprzód zdawało mu się, że lepiej będzie przygotować człowieka na cios niechybny, niżeli miałby go trafić w chwili, gdy tenże ani się go spodziewał. Powtóre, ksiądz Maciej sądził, że może apelować do wyrozumiałości majora, który powinien był naprzód przewidzieć możliwą tę katastrofę, gdy z Zuzanną, młodszą o trzy części swego wieku, przystępywał do ołtarza. Apelacja ta nie gruntowała się wprawdzie ani na boskich, ani na ludzkich przepisach, mogła jednak posłużyć do podparcia upadającego pod nieszczęściem człowieka i skłonić go do pobłażania i ratowania z pobłażaniem upadającej.

I ta myśl tak się podobała księdzu Maciejowi, że budując jeszcze na swoją elokwencję, był pewny, że całą sprawę jak najlepiej poprowadzi. A zacierając ręce, słyszał już w duchu radujących się w niebie aniołów, o których napisano, że się cieszą nad poprawą grzesznych ludzi.

Nie chciał jednak tak nagle do tego ważnego przystąpić dzieła, jak to był przed tygodniem uczynił. Nie zawadzi jeszcze kilka godzin pomyśleć nad tem, aby mieć potem wszystko pod ręką. Więc przeszedł jeszcze raz w głowie cały możliwy djalog z nieszczęśliwym mężem i na prędce zanotował sobie cytaty z pisma świętego, jeżli tego okaże się potrzeba. I żeby już wszystko mieć w porządku, ułożył sobie, o której godzinie wyjdzie z plebanji, któremi drzwiami wejdzie do izdebki majora i na którem krześle usiędzie, aby rozmowy jego nie słyszano w sąsiednim pokoju.

Zreasumowawszy to wszystko jeszcze pokrótce, wyszedł do kościołka, aby na intencję swego powodzenia w tak trudnej sprawie mszę świętą odczytać. I tak jakoś pokrzepiony na duchu, powrócił do swojej izdebki, że w dobry skutek ułożonych kroków swoich święcie uwierzył.

Do tego ważnego aktu naznaczył sobie ksiądz Maciej godzinę poobiedną, między drugą a trzecią. Ale już o pierwszej zaczął się przygotowywać. Wziął nową sutannę i pozapinał ją na wszystkie guziki aż do dołu, bo zdawało mu się, że dla lepszej impresji powinien wystąpić z pewną uroczystością. Nawet nowy kapelusz zdjął z kołka, a wygładziwszy włos na nim, włożył go dla spróbowania na głowę. Do tabakierki nasypał świeżej tabaczki, i tak już cały ubrany, stanął na środku izdebki, aby jeszcze tę godzinkę przeczekać, a tymczasem jeszcze raz wszystko z góry przemyśleć — gdy się nagle drzwi otworzyły i do pokoju wszedł major.

Nie mógł większego zmartwienia zrobić księdzu Maciejowi poczciwy major, jak to, że w tej chwili przyszedł i cały jego plan do góry nogami wywrócił. Ksiądz Maciej osłupiał, chciał zażyć tabaczki, ale tabakierka wypadła mu z ręki, a wysoko ceniony specjał zmięszał się z prochem. Wszystko się popsuło. Najprzód, była to dopiero pierwsza godzina, a potem nie działo się w białym dworku, w izdebce majora, w szerokiem, zielonym safjanem wybitem krześle, jak to sobie już był ułożył ksiądz Maciej. Ale bądź co bądź, żołnierz na każdem miejscu i o każdym czasie powinien walczyć, gdy tego jest potrzeba, pomyślał sobie ksiądz Maciej, a wezwawszy Boga na pomoc, zdjął z głowy kapelusz, przywitał gościa i usiadł tuż obok niego.

Major był dzisiaj strasznie zmieniony. Twarz miał bladą, licznemi okrytą zmarszczkami, oczy czerwone, nabrzmiałe, jakby płakał; usta zaciśnięte kurczowo, jakby go wewnątrz szarpał jakiś ból utajony. Ubiór jego był zaniedbany; na czarnej, pomiętej czamarce były ślady, jakby jej od wczoraj nie zdjął z siebie. Resztki siwych włosów spadały w nieładzie na kołnierz i jeżyły się za każdym jego oddechem.

Ksiądz Maciej westchnął i spuścił oczy w ziemię. Widok nieszczęśliwego przyjaciela odbierał mu odwagę i mięszał do reszty i tak bezładne już myśli jego. Czekał na pierwsze słowo majora. Ale gdy major zamiast coś mówić, wyjął chustkę i do oczu ją przyłożył, jakby łzy nią ocierał, ksiądz Maciej poczuł z niemałym przestrachem, że i jemu łzy się puściły i jak groch padały na sutannę. Czem prędzej więc zażył tabaki i otarł oczy, aby ułożonego sobie planu do szczętu nie popsuć.

Jakoż w tej chwili podniósł major oczy, a patrząc w twarz księdza Macieja, rzekł do niego:

— Niech cię to nie dziwi, księże Macieju, że stary żołnierz musi dzisiaj łzy ocierać. Wielkie bowiem nieszczęście zawisło nad głową moją.

Ksiądz Maciej szybko rozkręcił tabakierkę, wymiótł resztki pozostałej tabaczki, a ocierając oczy, odparł:

— Bóg Joba zasmucił i Bóg go pocieszył.

Major spojrzał zdziwiony na proboszcza.

— To wiesz o wszystkiem, księże Macieju? — zapytał smutno.

Ksiądz kiwnął głową i westchnął.

Długi czas patrzeli obaj na siebie w milczeniu. Ich serca rozmawiały z sobą, jak serca kochanków. Poczem rzekł major:

— Straszne jest to nieszczęście, a dla mnie tem straszniejsze, że je tak długo znosiłem w milczeniu.

— Więc to już dawno! — poderwał ksiądz Maciej z przestrachem na twarzy.

— Dawno, dawno! — westchnął major — a dzisiaj już nie ma ratunku!

— Nie ma ratunku! bluźnisz człowiecze! Nie rozpaczaj o boskiem miłosierdziu! — krzyknął ksiądz Maciej.

Major potrząsł głową i rzekł smutno!

— Nie, księże Macieju, byłoby to grzeszyć zbytniem zaufaniem w miłosierdzie Boga.

Znowu nastąpiło milczenie; ksiądz Maciej napróżno szukał pociechy dla nieszczęśliwego przyjaciela. Tymczasem przysunął major krzesło swoje bliżej, wziął go za rękę i zaczął:

— Co się stało, już się odstać nie może. Nie idzie mi w tej chwili o siebie, bom ja na to zasłużył, aby mnie Bóg ukarał, ale trzeba od tego ciosu zasłonić drugich, którzy go bynajmniej nie przewidują, albo przynajmniej przygotować ich, aby niespodzianie ich nie zabił!... O, poczciwy przyjacielu! Gdybyś w tej chwili widział moje serce, ile tam kolców w nie się wpiło!...

— Nie, nie, broń Boże! — przerwał z przestrachem ksiądz Maciej — Dębicz nie może na teraz nic o tem wiedzieć —

— I Zuzanna! — dodał major, ocierając łzy z oczu.

— I Zuzanna? — powtórzył z zadziwieniem ksiądz Maciej.

— Tak jest, i Zuzanna — odparł z determinacją major. — Ta słaba, anielska istota nie zniosłaby tego ciosu.

Ksiądz Maciej włożył palce do próżnej tabakierki i koniecznie szukał w niej tabaki. Posunął krzesełko w tył i wprzód, odkrząknął kilka razy i w rozpaczliwem jakiemś uczuciu wlepił swój wzrok w sztukowany belek na powale. Tymczasem mówił major dalej:

— Otóż przychodzę do ciebie po radę i pociechę, drogi przyjacielu —

— Jaką radę, w czem? — zapytał dosyć obojętnie ksiądz Maciej, patrząc ciągle na sztukowany belek w powale.

— Najprzód, abyś jako kapłan i przyjaciel przygotował ich do tego ciosu... bo ja nie mam odwagi.

— Do jakiego ciosu? — zapytał znowu ksiądz Maciej z tą samą obojętnością.

— Dziś... jutro... pojutrze tracimy Czarnowody i Radziejewo! — krzyknął major, miotany rozpaczą i niecierpliwością.

Ksiądz Maciej skoczył do góry, jakby go coś ukąsiło, i rzucił się aż pod okno, jakby sztukowany belek nagle upadł na niego.

— Co mówisz, majorze! — zawołał przestraszony — straciłeś głowę i bredzisz!

— Tak jest w samej rzeczy! — odparł smutno major.

Biedny proboszcz zapomniał o swoich siedmdziesięciu latach, a załamawszy ręce, począł biegać po izdebce. W głowie mu szumiało, przed oczami latało wszystko i kręciło się jak w młynie. Wszystko, co był sobie ułożył, pomięszało się, a co się zostało, nie było już do zaaplikowania. Jakiś zły duch popsuł mu szyki, a on był dzisiaj tak pewny zwycięztwa!

— Usiądźże, księże Macieju i wysłuchaj mnie — rzekł major — bo niewiele pozostaje nam czasu.

Ksiądz Maciej postrącał książki z krzesła i usiadł po drugiej stronie majora. Widząc jak poczciwy proboszcz na samą wiadomość głowę stracił i języka w gębie zapomniał, wyciągnął major rękę do niego i ozwał się ze łzami w oczach:

— Moje nieszczęście przygniata cię, kochany bracie... a jam chciał od ciebie rady i pociechy! Jeźli ty upadasz, któż się z nas ostoi? Cóż się stanie z biednem, wątłem sercem Zuzanny? Ach! ono pęknie z bolu, to serce anielskie, które nas tak kocha!...

— Mów, mów, opowiadaj! — zawołał szybko ksiądz Maciej z ropaczliwem wejrzeniem na sztukowany belek.

Major otarł oczy, spojrzał w koło siebie, czy ich nikt z obcych nie słucha, i zaczął:

— Abyś całe moje nieszczęście zgłębił, kochany bracie, muszę się w opowiadaniu cofnąć o lat kilkanaście. Urodziłem się w szlacheckim, ale ubogim dworku. Zaledwie pierwszy włos wysypał mi się na twarzy, poszedłem za odgłosem trąby wojennej, która wówczas po całej rozlegała się Europie. Pokochałem ten zawód życia i pokochałem marzenia, które ono w nas budziło. Wiesz jak się to wszystko skończyło. Zostałem nagle jak bankrut, któremu firmę z nad progu zdjęto. Ale do mego konia i do mojej baterji już przyrosłem duszą, z niemi nie mogłem się rozstać... Ej! gdybyś ty wiedział, drogi bracie, co to u żołnierza znaczy koń jego, a u artylerzysty jego wypróbowana baterja, która go nigdzie nie zawiodła!

Ksiądz Maciej posunął się niecierpliwie na krześle, widząc że żołnierskie wspomnienia majora poczynają go odwodzić od właściwej materji. Co spostrzegłszy major, uciął nagle, a po chwili mówił dalej:

— Nie będę cię długo trapił marami mojej przeszłości. Upłynęło wiele czasu, a jam nie rozstał się z moim koniem i z moją baterją. Służyło się wraz z swymi i jakoś to nie źle było człowiekowi. Wreszcie potrzeba było rozstać się

z swą baterją, a nawet mundur złożyć. Zapłakałem, pożegnałem się i odszedłem.

Major zamilkł tutaj. Snać łza cisnęła się mu do oka, którą jednak zmusił do odwrotu.

— Na karku było już sporo lat — mówił dalej — w kalecie nie było ani grosza, a żadnego nie umiało się rzemiosła. Poszło się do jednego, drugiego kolegi, przesiedziało się jedną, dwie zimy, ale w końcu jakoś niesmaczne było mi takie życie. Starzy ludzie, co to jaką taką zasługę szanować umieli, pokładli się powoli do grobu, a młode pokolenie zapomniało o trudach starego żołnierza, popychało go łokciami i trącało, jak zwykłego jakiego pieczeniarza. Figury, podobnego co i ja kalibru, zeszły w końcu do tego, że im po dworkach szlacheckich kazano marszałkować, w pałacach błaznować i szambelanować, a na każdym kęsie chleba było napisane: gratis! Ej, mój Boże! pomyślałem sobie nieraz, patrząc na młokosa, który spiesząc do swojej, herbami z trzech stron pomalowanej karety, potrącił starego żołnierza, gdybyś to ty był ze mną pod Berezyną, albo pod Lipskiem, gdzie sam książę Józef przybiegł do mnie...

Ksiądz Maciej ruszył się znowu na krześle, a chociaż tego bynajmniej nie uczynił z braku cierpliwości, major jednak nie dokończywszy ostatniego zdania, mówił dalej:

— Otóż wtedy pomyślałem sobie: Nie będę nikomu siedział na karku, chcę sam na chleb pracować. Ale co to jest brać się do czegoś człowiekowi, który miał już na karku lat czterdzieści i kilka, a do tego przez te wszystkie lata lgnął tylko do jednej myśli i cały w niej się strawił! Ale bądź co bądź, jakkolwiek to trudno mi przychodziło, postanowiłem jednak wytrwać w raz powziętym zamyśle. W Poznańskiem zaczęto wtedy więcej myśleć o powiększeniu dochodów z gospodarstwa, bo podatki były wysokie, zastosowane do produkcji innych ziem pruskich, z któremi nie mogła wytrzymać konkurencji szlachta polska. Otóż wtedy postawiono mnóstwo gorzelni w Poznańskiem; lada szlachcic sprowadzał maszynę i kotły. I pomyślałem sobie: «Schowam krzyż do kieszeni i będę wódkę pędził.

Ksiądz Maciej westchnął, ale się nie ruszył na krześle.

— Z tą myślą i z wszystkiemi memi uczuciami, które jej towarzyszyły, zwierzyłem się staremu Dębiczowi, który siedząc w Czarnowodach jak zakonnik, zerwał z całym światem i tylko ze mną rad rozmawiał. Na to obruszył się stary Dębicz i rzekł do mnie: Grzeszna myśl, majorze, przyszła ci do głowy; uderz się w usta, które potwarz rzuciły na naród. Włosy zbielały ci na usługach obywatelskich, masz krzyż waleczności, a teraz chcesz z tem wszystkiem iść do kotła i wódkę smarzyć, która lud nasz w takiej trzyma cie-

mnocie! Zgrzeszyłeś, majorze, zgrzeszyłeś, za co w wielki tydzień musisz się zapisać do kapników i srodze się biczować! — A ja mu na to: Wszak lepiej przy kotle stać i coś robić, niżeli cudze kąty wycierać i krzyż hańbić insynuacją, że się jest prostym pieczeniarzem! — Jakto, odparł na to, czy kraj już nie ma ludzi, którzyby cenili dawne zasługi? — A gdy na to ani tak, ani owak odpowiedzieć nie chciałem, patrzał na mnie przez czas niejaki Dębicz, a potem rzekł nagle: Ożeń się, majorze!

Ksiądz Maciej skręcił się na krześle, zawiesił znowu wzrok swój na belku sztukowanym i westchnął.

— Bój się Boga bracie, odpowiedziałem poczciwemu Dębiczowi, a gdzież mnie, styranemu żołnierzowi i człowiekowi bez fortuny do żeniaczki! A przecież starej baby, co to blizką już jest metarmofozy w djabła, jak mówi Mietlica, stary wachmistrz, a dzisiaj mój sługus, nie wezmę dobrowolnie sobie na kark jak psa wściekłego. Nie pragnę bowiem za życia zostać świętym. — Dębicz rozśmiał się i rzekł: No, no, jakoś to będzie. Wyszukam ja młodej żonki dla ciebie, jeźli ci się koniecznie taka po głowie roi. Mam ja blizką krewnę, gdy podrośnie, zwiążę wam ręce i kwita. Tymczasem zostań u mnie.

Zdawało się księdzu Maciejowi, że sztukowany belek rozchodzi się i grozi upadkiem. Z taką trwogą wypatrzył się w niego.

— Zrazu myślałem, że stary Dębicz stroi żarty — ciągnął dalej major — a żem sercem do niego przylgnął, więc zostałem, pomagając mu w gospodarstwie. Zuzanna była wtedy jeszcze młodą dziewczyną, bawiła często w Czarnowodach, bo była sierotą. Ach, księże Macieju, co to za złote dziecko już wtedy było! Bywało, iż po całych dniach siedziała przy starym Dębiczu, który jej czytał kroniki i pismo święte, a tak zawsze miała oczęta wzniesione ku niebu, jakby świętą zostać chciała!...

Ksiądz Maciej przetarł oczy, ale ciągle patrzał na powałę,

— Ani mi w myśli nie było, żeby ten aniołeczek miał kiedy zostać moją żoną!...Otóż razu jednego, gdy ukończywszy nauki, przyjechała do Czarnowód, a stary Dębicz na nogi zaniemógł, zawołał mnie do siebie, do tej samej izdebki, w której dzisiaj mieszka, i rzekł do mnie: — Tadeuszu, oto twoja żona — bierz ją, Radziejewo i Czarnowody, a ja niech umieram spokojnie!... Łzy puściły mi się z oczu, nie wiedziałem sam, co na to powiedzieć...Wierzaj mi, księże Macieju, gdyby mi kto był powiedział: Weź tę redutę — ani bym drgnął powieką i poszedłbym za rozkazem. Ale patrząc na tego młodego aniołka, na te śliczne oczęta, z których

zaledwie dusza na świat wyjrzała, tak mi się markotno zrobiło, tak nogi podemną zadygotały, jakby mnie kto tchórzem podszył!...A ten anioł tak słodko uśmiechnął się do mnie — a gdy, już sam nie wiem jak się to stało, zgiąłem przed nią kolano i w głos się rozpłakałem, Zuzanna przytuliła głowę moją do piersi i z taką czułością w oczy mi zajrzała, żem omal zmysłów nie postradał!...

Major zamilkł. Świeże jeszcze wspomnienia stanęły mu żywo przed oczy. Twarz jego rozjaśniła się, jakby w tej chwili miał tę całą scenę przed sobą. Korzystając z tej pauzy ksiądz Maciej, chciał przy wydarzonej sposobności przygotować majora do tego, co z nim miał później do pomówienia. Posunąwszy się więc na krzesełku, rzekł:

— I w samej rzeczy straciłeś zmysły, kochany bracie. Bo czyż to rozum był, w twoim wieku brać takiego aniołka, któremu jeszcze skrzydełka nie wykluły się! Zapewne myślałeś, że mu nigdy nie odrosną! O mój bracie, znam ja kobietę z konfesjonału! Każda ma te skrzydełka motyla, choćby je jak najlepiej schowała przed tobą! Dla tego wara od kobiety, gdy z nią trochę po jej niebie polatać nie możesz! A gdy myślisz, że jej wystarczy kuchnia i spiżarnia, że jej wystarczy szacunek dla ciebie, dla cnót twoich, dla przeszłego twego żywota, to się srogo omylisz. Prędzej czy później rozwinie ukryte skrzydełka i furknie od ciebie, a wtedy patrząc za nią, możesz machać jak struś skrzydłami, ale nie polecisz!...Otóż grzeszy ten, kto wiedzie ludzi na pokuszenie, przyznając im takie doskonałości, które tylko aniołom i świętym w niebie przysługują!

Rzekłszy to, lżej się zrobiło księdzu Maciejowi na sercu, bo «intra parenthesim» przygotował już majora do tego, co później nastąpić miało. Ale na nieszczęście jego major mało co z tego słyszał, a jeszcze mniej zrozumiał. Zajęty wspomnieniem ubiegłego szczęścia swego, patrzył przed siebie, jakby proboszcza wcale nie słuchał. Musiał jednak coś z tego zachwycić, bo westchnąwszy głęboko, mówił dalej:

— I ja tak zrazu myślałem, kochany bracie, ale wkrótce musiałem uwierzyć w szczęście moje. Zuzia tak mnie wszędzie oczyma szukała i z taką roskoszą patrzyła na mnie, gdym jej opowiadał moje przygody wojenne — oczy miała pełne łez, gdym w opowiadaniu przyszedł na jakie niebezpieczeństwo...Słowem, kochała mnie... i jak to sama tobie wyznała, gdyś nam ręce stułą wiązał, tak i do dziś dnia została wierną przysiędze —

Ksiądz Maciej włożył palce do próżnej tabakierki i szukał znowu oczyma stukowanego belka na powale.

— Po ślubie zawołał mnie Dębicz do swojej izdebki i rzekł do mnie: Dałem ci Zuzienkę, daję ci Radziejewo

i Czarnowody. Nie jest to wielki, ale ładny okrągły majęteczek. Ale słuchaj dobrze, co ci teraz powiem. Dzisiejszy świat idzie nowemi drogami. Może źle idzie, a może ja go nie rozumiem. Są ludzie, którzy wierzą, że doktryny i idee zbawiają narody. Może jest to i prawda, ale dla prawdy dalekiej nie trzeba nigdy zaniedbać najbliższej. Oto z każdym rokiem jest nas mniej w Poznańskiem. Szlachta nasza traci jeden zagon po drugim ziemi ojczystej, której granice znaczyli orężem nasze Bolesławy. Z każdym rokiem garstka ludu polskiego traci dziedzicznego od wieków opiekuna, przechodzi w ręce obce, porzuca wiarę oraz język i odumiera dla narodu. Już kilka plemion sławiańskich znikło dzisiaj z karty, a dzisiaj już znikają imiona naszych miast i wiosek, nasze dworki i grobowce ojców naszych zamieniają się na stajnie i fabryki! My tutaj stoimy jakby na przedniej straży ziemi sławiańskiej, mamyż haniebnie opuścić nasze stanowisko, mamyż zbiedz z ziemi, którą kochamy jak matkę naszą! Tadeuszu! Radziejewo i Czarnowody są to jak pierwsze czaty ziemi naszej. Gdy byłeś żołnierzem, nie wzięto ci żadnej reduty. Dziś w Poznańskiem każda wieś nasza, każdy majątek szlachecki, to reduta. Bądź więc dobrym gospodarzem, jak dobrym byłeś żołnierzem. Niech ja mam pokój, niech mnie ta myśl nie trapi, że w ziemi Dębiczów osiędzie kiedyś jaki kolonista. Ale zważ oraz, że jeźli lekkomyślność jaka to gniazdo Dębiczów odda w ręce obce, a ja jeszcze przy życiu będę, wtedy wnijdę do grobowca ojców moich i tam z nimi w ich ciemnych komnatach mieszkać będę, póki mnie między trumny swoje nie przyjmą!— I oto przysięgam w obec nich wszystkich wiszących tutaj na ścianach, że słowa mego nigdy nie cofnę!

Major zamilkł i załamał ręce, a ksiądz Maciej schylił się do ziemi i zebrał z niej prędko szczyptę tabaki.

— I cóż się stało, cóż się dalej stało? — zapytał z wielką niecierpliwością.

— Wglądnąwszy w rachunki, okazało się, że nie dosyć warowna była ta nieszczęsna reduta. Były dawne długi i legata, kasa wdów miała kilkanaście tysięcy zanotowane, a z Klugiem, później z Lewinem, nie można było dojść do końca. Procenta zaległy, w polu nie było czem robić. Z każdym dniem przychodziły do mnie różne pretensje, bo poczciwy Dębicz rad był wszystkim. Ale Dębiczowi nic o tem nie mówiłem. Zakasałem ręce i pomyślałem sobie: Bóg da, jakoś to będzie, na co mu koniec życia kwasić. Oboje kochaliśmy naszego dobrodzieja, który śród nas jakby odżył. Miał on już za młodu pasję składania wierszy. Otóż uspokoiwszy się, zamknął się w swej izdebce, otoczył się pamiątkami ojczystemi, rozłożył książki i postanowił sobie

opisać wierszem żywot i rządy króla Stefana Batorego, dla którego miał szczególną predylekcję. Ach, kochany bracie, było go widzieć, jak szczęśliwym on się czuł w tej lichej izdebce swojej, jak nas usilnie zaklinał, abyśmy życiem naszem nie mącili mu tego drogiego pokoju duszy, który zawitał do niego na schyłku życia!

— Patrzałem i ja na to i widziałem — wtrącił ksiądz Maciej.

— Otóż z dworku szlacheckiego zrobiliśmy klasztor, zakazaliśmy niepotrzebnym ludziom wchodzić do niego, strzegliśmy go dniem i nocą, aby mu tego pokoju duszy nie mącić, w którym tak roskoszował biedny staruszek. Zresztą znasz nasze całe życie domowe: jeden dzień drugiemu podobny. Ale ja nie miałem wcale tego pokoju. Zaraz pierwszego roku potrzeba było coś spłacić, coś oddać — zaufałem pięknej oziminie, pożyczyło się na lichwę. Grad wybił plon, słońce wypaliło. Odłożyłem nadzieje na rok przyszły i znowu coś się pożyczyło. W polu wymokło, wody wylały. I tak z roku na rok, z deszczu pod rynnę brnął człowiek coraz dalej, ręka boża ciężyła nad nami; lichwa pożerała cały nasz zarobek, aż wreszcie przerosła nas całych. Ach, księże Macieju, ty nie wiesz, co to lichwa! To hydra, która zacząwszy od małego palca, w oka mgnieniu owinie cię całego, że się nie spostrzeżesz, i nie spocznie póki ci serca nie wydrze!...

Ksiądz Maciej spojrzał po ubogich ścianach swojej plebanji i westchnął. Starowina nie miał żadnego majątku, aby przyjacielowi dopomódz.

— Miałżem daremnem utyskiwaniem zamącać staruszkowi pokój duszy, o który nas tak błagał? Nie, nie miałem odwagi. Zresztą jakieś dziwne nadzieje, których dzisiaj sam się wstydzę, wstrzymywały mię od dnia do dnia, od roku do roku. Zdawało się mi, że koniecznie coś nadzwyczajnego stać się musi, co nas wyratuje; a to moje przekonanie było tak silne, że każdego dnia, biorąc gazetę do ręki, spodziewałem się coś wyczytać. A nawet widzę teraz, że człowiek w nieszczęściu, gdy mu już ziemia z pod nóg się usuwa, może się stać poganinem i heretykiem. Wierzy w siły nadnaturalne i wyczekuje cudu!

Major westchnął i potarł ręką po czole, jakby chciał się ochronić od nowych marzeń, które rojami latały w koło jego głowy. Ksiądz Maciej coraz smutniej patrzył w ziemię. Przeczuwał, że jego powołanie stanie mu się nader trudnem.

— I tak ośm lat przeżyłem w tej wierze, a przez te lata ciągle nawiedzał nas Bóg zagniewany. Były już pozwy i egzekucje, banki wypowiedziały sumy swoje, lichwiarze

cisnęli się zewsząd do dworku, ale jakoś wszystko uśmierzałem dotąd, chociaż drogo kosztowała mnie każda taka przewłoka. Dopóki miałem do czynienia z kilkoma kredytorami, jeszcze to szło jakoś — pojedynczo ucierałem się z nimi. Ale teraz wszystkie te sumy nabył Warner, a mając w bankach różne wpływy, wyrobił subhastę, o której mnie właśnie dzisiaj zawiadomiono! Nie ma ratunku! Bóg wysoko, a ludzie — ludzie dzisiaj daleko!

Po raz pierwszy w życiu wyrzucał sobie ksiądz Maciej swoją szczodrobliwość. Przez lat pięćdziesiąt służby bożej mógłby był sobie jaki taki majątteczek uciułać, ale on wiedział, że stoi napisano: Nie troszcie się o jutro, albowiem samo jutro o was starać się będzie. — I rozdawał swój grosz zbytni każdemu, kto rękę wyciągnął, a nawet często wiedział, że daje człowiekowi niegodnemu. Bez tej jego jałmużny byłby się nie jeden obszedł, a on składając grosz do grosza, mógłby dzisiaj wybawić od rozpaczy ten dworek biały, w którym tyle szczęśliwych dni przesiedział! Ale dzisiaj pustki i chudota u starego plebana. Zaledwie gdzieś tam w skrzyce tyle leży, ile na trumnę i pogrzeb potrzeba!... Ksiądz Maciej zakręcał i odkręcał z gniewem tabakierkę, żałując dobrych swoich uczynków, które uczyniły go ubogim!

Wkrótce jednak inaczej zaświtało mu w głowie. Przypomniał sobie słowa starego Dębicza, który mówił, że ręka Boga uderza często w dom, którego mieszkańcy znikczemnieli na duchu. W tem grożącem nieszczęściu widział on prawicę zagniewanego Boga. I znowu przypomniał sobie proste słowa starego ekonoma, który był tego zdania, że za przewinienia pojedyńczego człowieka może Bóg wszystkich karać. A gdy mu na myśl przyszły ruiny klasztoru bożogrobców, ów jeździec czarny i owa łódka biała — ksiądz Maciej westchnął ciężko, jak człowiek, który nagle w niemoc zapada — bo jużciż nie mocen jest człowiek sprzeciwiać się sądom Boga sprawiedliwego! Chcąc jednak swemu powołaniu zadość uczynić, ozwał się po długiej chwili milczenia:

— Bóg wielki i niedocieczony jest w sądach swoich! Człowiek to garść prochu, rozsypie się, a nie znajdziesz go, gdzie się podział. Ale dusza jego uleci przed tron Boga, a On weźmie ją na łono swoje, gdy będzie czysta i biała jako szata niewinności.

Ksiądz Maciej zatrzymał się, patrząc na twarz majora. A gdy na niej prócz niezaspokojonej ciekawości nic więcej nie wyczytał, pogniewał się w duchu na siebie, że przy wszelkiej swojej elokwencji jakoś za górno, czy raczej za ciemno rzecz rozpoczął. Poprawiwszy się więc, mówił dalej:

— Jeżeli nieszczęścia na nas spadną, jeźli dom nasz ziemski wali się nad nami, to trzeba przynajmniej na to baczyć, aby dusza nasza wydobyła się czysta i biała z pod gruzów i rumowiska.

I teraz nie był jeszcze kontent z siebie ksiądz Maciej. Major bowiem ciekawie patrzył na niego i niczego się nie domyślał. Posunąwszy więc krzesło, rzekł jasno i dobitnie:

— Stary Dębicz ma czystą duszę. Jest to biała, stęskniona za niebem gołębica. Ale czy Zuzanna...

Ksiądz Maciej wstrzymał oddech i ścisnął tabakierkę, jakby ją chciał zgnieść na miazgę. Major uśmiechnął się z wyrazem wewnętrznego bolu na twarzy, a biorąc proboszcza za rękę, rzekł:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, kochany bracie. Obawiasz się, aby to nieszczęście Zuzanny nie złamało. Ale ten słaby aniołeczek ma w sobie serce bohatera, jakie tylko mieć może nasza kobieta. Posłuchaj mnie.

Biedny ksiądz zacinał usta, aby mu z bolu i utrapienia nie wymknęło się jakie słowo przedwczesne. Czemprędzej szukał znowu sztukowanego belka na powale. Tymczasem mówił major:

— Zuzanna także o niczem nie wiedziała, bo pokój jej serca był mi również drogi jak staruszka. Zresztą ta sama wiara, z którą nadzieje moje z dnia na dzień, z roku do roku odkładałem, zamykała mi i przed Zuzanną usta, która była tak szczęśliwa! I jakże miałem odjąć jej to szczęście!... Ale wreszcie spostrzegłem, że jakiś smutek zaczyna kołatać do jej serca. Często widziałem ją niespokojną; zatrudnienia domowe już jej nie bawiły, zaniedbywała wszystkich rozrywek swoich. Tylko więcej nabożną się stała i więcej jałmużny rozdawała między biednych. W końcu i to ustało — widocznie wszystko ją nudziło.

Ksiądz Maciej posunął nogami po podłodze, jakby chciał wstać z krzesła. Namyślił się jednak inaczej i rozkręcił próżną tabakierkę.

— Wtedy to przyjechali margrabstwo do Dąbczyna, a Zuzanna poczęła często bywać u margrabiny, która ją wielce pokochała. I zapewnie tam od kogoś musiała dowiedzieć się o grożącem nam nieszczęściu. Ztąd więc pochodził jej smutek i niepokój.

Ksiądz Maciej obrócił się nagle do majora i już usta otworzył, aby coś powiedzieć, gdy w jego oczach spostrzegł dwie łzy, ukryte pod białą rzęsą. I prędko uciekł z oczyma na powałę, do swego sztukowanego belka.

— I coraz więcej pogorszał się stan jej duszy — mówił dalej major — widocznie poczęła więdnąć jak kwiatek zła-

many. Zmieniła się do niepoznania. Płakała często bez żadnej widocznej przyczyny; czasami dręczyła ją jakaś nieodgadniona niecierpliwość, nikt jej nie mógł dogodzić, coraz mniej była rozmowną, szukała samotności i nieraz widziałem ją siedzącą po całych dniach w altance nad brzegiem stawu i osłupiałym wzrokiem wpatrującą się w wody jeziora, lub ruiny rozwalonego klasztoru.

Już dusz o było księdzu Maciejowi, ale zacisnął usta i nic nie powiedział.

— Wtedy pomyślałem sobie: Zuzanna już wie o wszystkiem i trapi się biedna. Ale przecież ma ładne serce; ani mnie, ani Dębiczowi nic o tem nie mówi. Tem nieznośniejsze jednak było moje położenie. Patrząc na tego usychającego z każdym dniem anioła, na tego niewinnie cierpiącego baranka, który i ust do skargi nie otworzy, i myśląc sobie, że kiedyś go nieszczęśliwą wieścią zabiję, zdawało mi się, że cierpię już za życia katusze piekła, na które słusznie zasłużyłem.

Ksiądz Maciej zbladł na twarzy, ale usta miał ściśnięte.

— I wyobraź sobie, drogi bracie, moją pociechę, gdy wczoraj nagle zmieniła się Zuzanna. Radość i wesołość wróciły do jej duszy, rumieniec okrasił jej twarz. Stała się napowrót moim aniołkiem wesołym, wszędzie jej pełno — wszystko ją bawi i zajmuje! A wiesz, księże Macieju, zkąd jej ta wesołość?

Biedny kapłan przygryzł usta, dwie łzy stanęły mu w oczach.

— Oto spostrzegła moją okropną boleść i zapewnie dowiedziała się o subhaście. A chcąc ulżyć mi w boleści mojej, aby ten srogi cios mnie nie zabił, stała się wesołą, aby mnie upadającego na duchu podnieść przykładem swego męztwa! I nigdy jej miłość ku mnie nie była gorętszą jak teraz, gdy wszyscy w przepaść upaść mamy!... Księże Macieju, ta kobieta jest dla mnie od Boga stworzona, abym w nieszczęściu mojem nie stał się samobójcą! Gdybym dzisiaj nie miał jej miłości, gdybym nie miał tego anielskiego serca na tym świecie, które ostatek skłopotanych dni moich jeszcze rozgrzewa, jabym już dawno żyć przestał!

Ksiądz Maciej szybko wstał z krzesła, a wzniosłszy oczy do nieba, rzekł w duchu do Boga:

— Nie, nie... jabym go zabił!

Kilka łez zbiegło po bladej twarzy kapłana.

— I czegóż chcesz bracie odemnie? — zapytał majora.

— Abyś dziś wieczorem przyszedł i Dębicza na to przygotował. O Zuzannę jestem już spokojny.

— Wolałbym przyjść na wasz pogrzeb! — zawołał w boleści ksiądz Maciej.

Nad dworkiem w Czarnowodach było tak czyste niebo, jakby szczęśliwym jego mieszkańcom najmniejsze nie groziło niebezpieczeństwo. Powietrze, które rankami już jesienią trąciło, ogrzało się koło południa i było ciepłe jakby śród lata. Stary Dębicz kazał się wytoczyć na ganek i postawić przed siebie stoliczek z książkami.

Kilka razy zapędzał się do książek, brał do ręki to pióro, to ołówek, ale książka, pióro i ołówek wypadały mu z rąk, a wszystkie lepsze rytmy i końcówki tak się gdzieś pochowały, że i trzech wierszy skleić nie mógł. Nie gniewał się jednak staruszek, że mu dzisiaj ani literatura, ani poezja w ład nie idą. Jakieś przyjemne uczucie rozjaśniało jego twarz sędziwą; uśmiechał się do siebie z najzupełniejszem zadowoleniem.

I jakże to nie czuć roskoszy na widok tej przecudnej natury! Jakże to oderwać oczy od tego przeźroczystego szafiru, od tych lip i kasztanów, już gdzie niegdzie malowniczo pożółkłych, od tego daleko rozciągającego się błonia, które tam gdzieś na końcu widnokręgu przecina błękitny rąbek jeziora! A tam znowu, z gałęzi na gałąź skaczą wesołe ptaszęta i szczebioczą staremu jakieś powieści z tysiąca i jednej nocy. Oto żółtobrzuszek rozparł się szeroko jak bankier i trzęsąc złotym trzosem, z pogardą patrzy na pośmieciuszka, który niby «drobny negocjant», wala się po śmieciu, zbierając skrzętnie ziarnko do ziarnka. A tam wróbel grubopłaski, prawdziwy typ mieszczański, podskakuje z arogancją dorobkiewicza i ćwierka na wszystkie cztery części świata, aby go słyszano i widziano. Z klombu odzywa się gil, czerwony jak jenerał, i od czasu do czasu daje hałastrze jakieś bardzo ważne sygnały, ale hałastra nie słucha go wcale, jak zazwyczaj korpus ochotników.

Na to wszystko patrzał stary Dębicz i uśmiechał się, jakby rozumiał ich swary i dąsy. Po chwili, jakby sobie coś przypomniał, wziął mały kalendarzyk, który miał zawsze pod ręką, aby się dowiedzieć, który to święty Pański udarował go dniem tak przyjemnym. Później zadzwonił na służącego i kazał mu Zuzannę zaprosić do siebie.

Wkrótce nadeszła Zuzanna. Była wesoła jak wczoraj, ten sam rumieniec szczęścia krasił jej piękne lica. Przyszła z kwiatkiem w ręku, któremu połowę liści już oskubała w jakiejś sekretnej intencji.

— Zuzieńko moja! — zawołał staruszek z nieukontentowaniem na twarzy — czy ci serce twoje nic nie mówi?

— Serce moje? — zapytała zdziwiona Zuzanna.

— Wszak kochasz Tadeusza? — mówił dalej stary Dębicz z tą samą zmarszczką na czole.

Zuzanna zarumieniła się lekko i spuściła w ziemię oczy. Ale po chwili podniosła głowę i śmiałym odrzekła głosem:

— Kocham, drogi dziadunio!

— A widzisz, że go za mało kochasz, jeźli dzisiaj nic nie przeczuwasz! Ja stary, a przecież nie omyliło mnie przeczucie.

Zuzanna zmięszała się. Dębicz mówił dalej:

— Jakoś mi duszno było dzisiaj w mojej izdebce. Kazałem się wytoczyć na ganek. Ale i tutaj ani czytać, ani pisać nie mogłem. Lekko mi na sercu, a w duszy czuję taką pogodę, jakbym odmłodniał. Ciekawy więc byłem, do którego świętego dzień dzisiejszy należy. I wiesz, moje dziecię, czego dowiedziałem się w kalendarzu?...Ej, Zuzieńko! zapominasz o tych kilku dniach w roku, które dawnym obyczajem były zawsze wielką uroczystością w kole rodziny!

— Już wiem, wiem! — zawołała Zuzanna z dziecięcą wesołością, klaszcząc w dłonie — a nawet zaraz dziadunia przekonam.

Pobiegła do swego pokoju i wnet powróciła z śliczną czworograniastą czapeczką. Major był amatorem podobnych czapeczek.

— Widzisz, kochany dziadunio! Tu jest wieniec niezabudków, a te trzy kolory najlepiej lubi Tadeusz, choć są trochę za jaskrawe.

— Wszystko dobrze i ładnie, moje dziecię, ale dla czegoż zapomniałaś?

— Omyliłam się tylko o dwa dni.

— Mietlica lepiej pamiętał o swoim panu. Dzisiaj kończy roboty w polu i gotuje się na wieczór z wieńcami zboża i oracją. Trzeba ludziom sprawić obżynek. I tak zdaje mi się, że może to w mojem życiu będzie ostatni.

Cień smutku przebiegł po twarzy staruszka. Portret kobiety w zakonnym stroju mignął mu przed oczy. Ale wkrótce rozjaśnił znowu twarz i rzekł do zasmuconej Zuzanny:

— Nie smuć się, moje dziecię, bo ja dzisiaj smutnym być nie mogę. Pan Bóg na schyłku życia rad słudze swemu, daje mu dzisiaj pogodny dzień życia. Ja chcę dzisiaj być wesołym...i wy bądźcie weseli.

Zuzanna ucałowała rękę staruszka, dziękując mu za tak dobrą myśl zrobienia dzisiaj Tadeuszowi miłej niespodzianki. A korzystając z nieobecności majora, wzięto się zaraz do narad nad tą improwizowaną uroczystością.

Uradzono więc gromadzie suty sprawić obżynek, do którego dodano obchód urodzin majora. Kuchnię oddano natychmiast pod zarząd kucharki, a stary kucharz musiał na

prędce wykoncypować okazały transparent, któryby potem nagle rzęsiście oświecono. Stary kucharz był kuchcikiem, gdy malowano kościół w Czarnowodach. Mając więc wiele zbytniego czasu, przypatrywał się malarzom, a że był chłopiec sprytny, toż zachwycił coś z tego kunsztu, którego dowody składał na każdym torcie, który z jego pieca wychodził. Zawołany teraz do narady, narzekał na czas tak krótki i dzień jeszcze krótszy; a szukając między różnemi swemi konceptami, zdecydował się wreszcie na anioła z trąbą, za którego sumiennie mógł zaręczyć, że z wszystkich jego konceptów najlepiej mu się udaje. Panna służąca miała uwić festony, a dodane jej w sukurs baby utyskiwały, że w ogrodzie nie ma już piwonji, która tak pięknym i okazałym jest kwiatem. Starego Wojciecha chciano wyprawić po proch do Dąbczyna, ale ten po długich ceregielach wyznał wreszcie pod sekretem, że już Mietlica sam o to ma się postarać i w tym celu zniósł się już z Paliwodą. Paliwoda bowiem, według jego zdania, najlepiej umiał się obchodzić z bronią palną, jak tego dowiódł zeszłej wielkanocy, wystrzeliwszy kowalowi z pomiędzy nóg połowę płaszcza, ani jednej mu kostki nie naruszył.

I gdy już wszystkie role należycie rozdane były, pobiegła Zuzanna do śpiżarni, aby się z swemi zasobami obliczyć. Staruszek tymczasem siedział na ganku i tak był jakoś wesół z swego konceptu, tak się uśmiechał do szczebiocących przed nim ptasząt, że nawet wróble śmielej do niego się zbliżały i jak drobne wnuczęta szukały w rękach jego ukrytych bakaljów. A Dębicz droczył się z niemi, pokazując im figi i rzucając na nie gałkami z papieru, przez co tak powszechne wywołał nieukontentowanie, że dwa najokazalsze wzrostem wróble, usiadłszy na bzie, wyrecytowały mu długą perorę.

Tymczasem mijała godzina po godzinie, a w dworku na pozór było cicho i głucho. Stary kucharz siedział w oficynie zamknięty na trzy klucze, przed ogromną, z papieru wyklejoną tablicą, z pędzlem w ręku, i jak święty Łukasz medytował nad nosem anioła, który mu coś strasznie był podobny do nosa starego Wojciecha, zaglądającego ciekawie przez szyby do jego pracowni. Panna służąca w największym sekrecie wiła prześliczne festony i z największą pasją prostowała opowiadania starej klucznicy, która mniemała, że się to dzieje dla starego Dębicza. I tak niebawem cały dwór i cała gromada wiedziała o tej tajemnicy, jednak każdy kładł palec na usta, chcąc przez to okazać, że tajemnicy powierzonej nie zdradził. Czeladź dworska ze zbytniej radości poodchodziła od roboty, a korzystając z powszechnego niedozoru, poszła milczkiem do karczmy, aby sobie fantazji

przysporzyć. Nawet jednooki koń, woziwoda, wyprzągł się sam z nieodstępnego wózka i najprostszą drogą poszedł w ogród warzywny, dokąd nęciły go od dawna zielone głowy kapusty.

I tak radość powszechna i oczekiwanie rozprzęgły wszystko we dworze, a patrząc po tych twarzach milczących, trudno było zgadnąć, na co się tam zanosi: czy na wesele, czy na pogrzeb?

Wróciwszy od księdza Macieja, spostrzegł major, że coś we dworze się zmieniło. Nieład jakiś i rozprzężenie było widoczne. Że twarze, które na dziedzińcu zdybał, tak dziwnie na niego patrzały, a gdy przyszedł, szeptano sobie do uszu jakieś wieści ciekawe. Z kapusty chciał spędzić ślepego woziwodę, ale woziwoda był dzisiaj tak butny, że tyłem obrócił się do niego, a nawet miał szczere chęci wierzgnąć na swego chlebodawcę, gdyby stare jego nogi temu się nie sprzeciwiły.

Zdawało się biednemu majorowi, że już wszyscy odwracają się od niego, że niepamiętni na jego dobrodziejstwa, jak ten ślepy woziwoda, którego dziesięć lat własną żywił ręką, stronią od człowieka, który wkrótce przestanie być ich panem! A gdy do tego ulubiona Djanka w sieni na niego się rzuciła, a stary Dębicz, siedzący na ganku, udał za jego zbliżeniem się, że śpi i ani słowa mu nie odpowiedział, strapiony major wpadł ze łzami do pokoju żony i z takim szałem całował jej ręce, z takiem gorączkowem uczuciem cisnął ją do swego serca, że Zuzanna w objęciach jego nagle posmutniała i spazmatycznie płakać zaczęła.

— To jedno serce kocha mnie w nieszczęściu mojem! — pomyślał sobie biedny major.

---

## III.

Dniem przedtem w kamienicy o śmiejących się karjatydach wcale inna panowała atmosfera. Stary Warner, ubrany w granatowy frak z świecącemi guzikami, krzątał się od rana, aż mu pot na czoło występował. Całe piętro ozdobione w świeże kobierce, zapowiadało jakąś niezwykłą uroczystość. Suto galonowana służba uwijała się około rozstawio-

nych mebli, a na ulicy przed bramą nieustanny rozlegał się głos zajeżdżających ekwipaży. Kantor był dzisiaj zamknięty na siedm zamków, bankier wypoczywał dzisiaj i używał. «Drobni negocjanci» napróżno stali od samego rana przed dobrze zdanem im oknem, ale za kratą nie pojawiła się żadna dobroczynna ręka, któraby im podała droższe od ewangielji cyfry. Smutni rozeszli się, że dzień dzisiejszy był dla nich stracony!

Tymczasem po całem mieście rozchodziła się wieść o tej nadzwyczajnej uroczystości w domu o śmiejących się karjatydach. Wielki Michel, stróż domowy, przebrany w okazałego portjera, z olbrzymią szarfą na ramieniu, był już od świtu mocno czerwony na twarzy i z nadzwyczajną grzecznością opowiadał zgromadzonej między kolumnami gawiedzi, że pan jego wyprawia dzisiaj córce wesele, jakiego jeszcze świat nie widział. Mówił o miljonach posagu, o złotych karetach i ogromnych dobrach, które dla niej kupił gdzieś tam w polskiej ziemi. Dzisiejszy numer «Thalii» przyniósł w «inseratach» dość obszerny poemat na cześć nowożeńców, którego inicjały złożone tworzyły słowa: «Matylda i Walter». O autorstwo tego wiersza podejrzywano bladego «dysponenta» z kantoru «Goliat et Compagnie»; a z samej sentymentalnej poezji, w której poeta z płaczliwą miną cieszy się szczęściem Matyldy, wnoszono powszechnie, że blady «dysponent» z poza czarnych półek swego stolika musiał wzdychać do pięknej córki swego pryncypała i tem wylaniem się elegijnem swoje serce od przepełnienia salwował.

I gdy tak różne wieści po ulicy samopas biegały, na pierwszem piętrze kamienicy o śmiejących się karjatydach było już liczne zgromadzenie, były mowy i toasty, gwar i krzyk, nieodstępne żaby przy kwileniach słowików.

Matylda i Walter siedzieli obok siebie. Oboje młodzi, oboje piękni. Matylda miała suknię z ciężkiej, białej mory, miała bogaty, brylantami wysadzany naszyjnik, ciężkie, szczero-złote manele. Ale co dla bladego «dysponenta» było dzisiaj najnieznośniejsze — Matylda miała najpiękniejsze dołki w różowych swoich policzkach, miała uśmiech zachwycający i tak prześliczne oczy, jakich nigdy jeszcze u niej nie widział biedny «dysponent». Walter był skromnie ubrany. Nie miał na sobie nic świecącego, prócz świecących mocno oczu, które także nie podobały się dzisiaj autorowi madrygału w inseratach «Thalji».

Zgromadzenie składało się po największej części ze znajomych już nam znakomitości, które zaszczycały dom o śmiejących się karjatydach wysoką swoją przyjaźnią. Ten sam intendent ewangielicki, który nam wtedy tyle racjonalnych powiedział rzeczy, związał dziś ręce dwojga szczęśliwych

ludzi. Miał przy tej sposobności szeroką do nich przemowę, a że w tej przemowie, wyrecytowanej w obec licznej publiczności, mógł tylko mówić ze stanowiska czysto ludzkiego, podjął więc teraz ten przedmiot jeszcze raz na nowo, aby w mniejszem kółku rozszerzyć go i uzupełnić.

Dowiedziawszy się, że nowożeńcom wyznaczył ojciec majątek gdzieś tam w polskiej ziemi, pomiędzy papistami, począł szeroko mówić o ich powołaniu; przyrównał ich do do dwóch błędnych owieczek, które idą między wilki — to znowu do gwiazd bliźniaczych, które świecić mają na horyzoncie ciemnoty i przesądów. I za obowiązek położył im, aby oczyszczone, racjonalne prawdy rozszerzali, aby wybierając się z kraju, wzięli z sobą kadry przyszłego, nowego społeczeństwa, to jest: sługi, oficjalistów i nauczycieli do szkółki, za pomocą których zorganizuje się nowe ogniwo ludzkości i do wielkiej przyłączy się ojczyzny.

I nim skończyć zdołał, powstał jeden z emerytowanych profesorów ze swoją «absolutną ideą», która według niego poprowadzi nowożeńców na wschód, aby dać o sobie świadectwo. Matyldę i Waltera nazwał dziećmi tej idei absolutnej, która ich bierze pod swoje skrzydła opiekuńcze.

Drugi emeryt znowu mu się sprzeciwił jak pierwszym razem, pytając się, dla czego ta idea absolutna nie prowadzi dzieci swoich do Alzacji, którą tak bezczelnie wzięli Francuzi, a która przecież nie jest ziemią francuzką. Przerwał mu ten spór były radca marynarki, przyrównując nowożeńców do błękitnej fali morza, która coraz więcej wciska się w ziemię wschodu, aby tam kiedyś nowe utworzyć morze, a przynajmniej jaką spokojną i zaciszną odnogę.

Malutki, z ogoloną twarzą ekonomista, nie dał dokończyć byłemu radcy marynarki, nazywając jego słowa zbyt poetyczne, nierealne. On nie widział w młodej parze, idącej na wschód, nic więcej, jak nową filję wielkiego, przemysłowego warsztatu narodowego, która ma obowiązek przedstawiać u obcych tegoż ajencję. Jej staraniem ma tam być, aby surowe produkta od tambylców jak najtaniej nabyć, a w zamian przemysł narodowy jak najdrożej sprzedać. Gdy na to pan Tamimischel w długiej weście o zielonych kwiateczkach na całe gardło się roześmiał i dowodzić zaczął, że slavus tyle znaczy co sclavus, podochocony już nieco gospodarz powstał z miejsca i zawołał:

— Panowie! Mufke, mój najwierniejszy służący śmieje się ot tam. O zakład idę, moi panowie, że się z was śmieje. Bo też prawdę powiedziawszy, wasza uczona paplanina i trzech groszy nie warta. Jeden mówi o jakichś gwiazdach bliźniętach, które jak um i rozum idą na wschód — trzeciemu morze po głowie hula, a co kochany mój przy-

jaciel pan Tamimischel mówił, tego już nawet nie dosłyszałem, albo prawdę mówiąc, nie zrozumiałem. Ja jestem sobie prosty negocjant i nic więcej. A ja swoim rozumem inaczej to wszystko widzę. Matyldzie i Walterowi daję Czarnowody i Radziejewo, a Dąbczyn będzie dla Ottona. To wszystko kupię dla nich i dla tego oni tam pójdą. Nie zaprowadzi ich tam ani wasza «idea absolutna», ani ów straszny przez Gervinusa okrzyczany «popęd na wschód», ta epidemja dzisiejszych czasów, ani żaden inny wasz wymysł mózgowy, tylko prowadzą ich tam moje pieniądze: moje pieniądze!

A wychyliwszy dla lepszej fantazji szklankę wina, które mu od razu w twarz poszło, mówił dalej:

— Wam się zdaje, że Szyller i Göthe et Compagnie, że ta niepoczesna bazgranina, którą literaturą zowiecie, podbija obce narody. Wszystko przypisujecie sobie, a to tymczasem jest fałsz wierutny. U was pieniądz negocjanta, który co roku przymnaża państwu ziemi, nic nie znaczy. A przecież nasza to zasługa, żeśmy połowę Poznańskiego księstwa zakupili i do naszej wcieliii ojczyzny! Niegdyś nasi monarchowie używali zawsze przydomku «Augustus», co tłumaczyli na język ojczysty słowem: «mnożyciel państwa», jak mi to raz przy lampce wina pan Tamimischel powiedział. I dla tego obowiązkiem było każdego, przymnażać państwa, bądź to kupnem, bądź wojennym zaborem. Dziś wojennych zaborów nie ma, a monarchowie nie kupują. Obowiązek więc pojedyńczego przeszedł na poddanych. Otóż poddani są dzisiaj mnożycielami państwa, zakupując coraz więcej ziemi sąsiedzkiej... Uczeni nasi już dosyć sobie namozolili głowy nad tem, jakimby to sposobem dla zaokrąglenia państwa ten kawał ziemi poznańskiej sobie przyswoić. A przecież prosty na to jest sposób. Oto wywłaszczyć szlachtę polską i rzecz skończona. Gdy oficerów nie stanie, z szeregowymi łatwa sprawa. A któż to dzisiaj praktykuje ten jedyny, praktyczny sposób pomnażania państwa, jeźli nie my? Każdy z nas jest dzisiaj ów «Augustus»; nam należy się ta wielka zasługa rozszerzania granic państwa, bo bez naszych pieniędzy ani wasza idea, ani wasz «pęd» na nic by się nie zdały! Otóż tedy powiadam wam, moje dzieci, Matyldo i Walterze, wy idziecie tam na wschód nie jako posłańce jakiejś tam idei, ale po to, bo tam najłatwiej dzisiaj robić pieniądze!

Skończywszy, stary negocjant postawił szklankę na stole i spojrzał z tryumfem po zgromadzeniu. Bolało go od dawna, że ta chudzizna mólów książkowych, pijąc jego wino i jedząc jego pieczenie, tak górne o sobie miała wyobrażenie. Wszystkie zasługi przypisywała wymarzonym swoim ideom, których wcale nie akceptował poczciwy negocjant. Dzisiaj

więc, przy sposobności powiedziawszy im «verba veritatis», a przy tem wtrąciwszy coś «pro domo sua» wesołem okiem, do którego blasku i winko się przyczyniło, spoglądał po pysznym swoim salonie. Ale doktorzy coś strasznie na to mruczeć poczęli i gotowali się właśnie do jakiejś jednogłośnej demonstracji, gdy liryczny tenor nagle do klawikordu usiadł i na całe gardło zaśpiewał pieśń z «Roberta djabła»:

Złoto jest to marna złuda!...

Wszyscy mu przyklasnęli za ten koncept wyborny. Stary zaś negocjant napominany od swego najbliższego towarzysza, że za wiele pił wina i za wiele mówił, jak na gospodarza przystoi, zamilkł zadąsany, że ta uczona czereda zawsze nad prostym człowiekiem górę bierze.

Kilku jednak siedzących przy stole nie słyszało wcale, co się koło nich działo. Matylda i Walter patrzali tylko na siebie i nic nie mówili. Spojrzenia te jednak były jakoś takie dziwaczne, że im słuch odbierały i wszystko resztę zasłaniały. Marzyli o sobie — marzyli o nowym pałacu w Czarnowodach, który tam z wiosną wystawić mieli na miejsce ciemnego, szlacheckiego dworku!

Blady «dysponent», na końcu stołu siedzący, nie słyszał także tych sporów uczonych. Gniewały go ustawicznie te przecudne dołki na policzkach Matyldy i błyszczące oczy młodego jej męża. Myślał on nad nowym madrygałem, który w inseratach jutrzejszego numeru «Thalji» zapewnie się okaże, a który niezawodnie różnić się będzie od pierwszego i treścią i formą.

---

Nowy szereg strasznie długich kieliszków udobruchał rozdąsanych doktorów. Pifke, który przestawszy być «drobnym negocjantem», jako właściciel fabryki miał już przystęp do wszystkich uroczystości swego kolegi, przyprowadził go w kącie do opamiętania, demonstrując mu, że swoich zdań tak otwarcie wyjawiać nie trzeba. Stary negocjant uścisnął za to przyjaciela i hojnym szafunkiem wina i usługi swojej tak dalece błąd swój naprawił, że wychodzący z domu jego doktorowie najserdeczniej go ściskali i żegnali.

Zaledwie ostatni gość drzwi za sobą zamknął, pozamykał stary negocjant wszystkie salony na klucz, aby służba z pozostałych butelek co nie chwyciła, a sam czem prędzej zbiegł po wązkich, kręconych schodach do ulubionego swego ga-

binetu. Ujrzawszy się między skrzyniami żelaznemi i stołem marmurowym, usiadłszy przed biórkiem, żelaznemi opasanem kratami, rzekł do siebie z wyrazem nieukontentowania na twarzy:

— Ja tutaj tylko jestem mądry. Tu mi nikt nie zaprzeczy ani rozumu, ani przyzwoitości. Tam na pierwszem piętrze jestem głupi, prosty człowiek. Otton mój i tam będzie mądry.

I obejrzał się po tych zimnych, wilgotnych ścianach, przesunął zwolna swoje oczy po żelaznych, do muru przykutych skrzyniach, po tym milczącym stole marmurowym, na którym tyle brzęczało srebra i złota, opowiadając mu dzieje swoje!... I weselej zrobiło się staremu negocjantowi; on widział te skrzynie otwierające się cicho i bez hałasu, a z nich wychodziły zwolna jakieś przecudne obrazy. Najprzód wyszedł ogromny jak forteca z dachem miedzianym zamek dąbczyński — za nim długim szeregiem, w czarne przybrane szaty, szły owe olbrzymie postacie z krużganku kaplicy. Z kamiennych ich oczu lały się łzy, z ich ust wychodził śpiew pogrzebu. I obeszły w koło skrzynie żelazne i niemy oddali pokłon swemu panu, który do nich uśmiechał się z za krat żelaznych, i z taką na nie spoglądał dumą, z jaką niegdyś Jagiełło patrzał na rycerzów krzyża, składających u jego nóg swoje żałobą okryte sztandary... A tam z drugiej skrzyni wypłynął biały jak mgła jesienna, dworek szlachecki. Stary, zgarbiony szlachcic, z siwą w pas brodą, w łupanie i kontuszu, szedł sam jeden za tym dworkiem jak grabarz, aby go własną pochować ręką. U boku miał kord bogaty, pradziadowski — ten kord odpiął, zapłakał i wraz ze swoim dworkiem w jednej pogrzebał go jamie. A na jego miejscu nowy wystrzelił pałac, na balkonie stali: Matylda i Walter, i śmiali się ze starego szlachcica, nie rozumiejąc jego pogrzebu!...

I już na piękne począł sobie drzemać stary negocjant, gdy nagle ktoś silnie do drzwi kantoru zapukał.

— Kto tam? — krzyknął negocjant i zerwał się na równe nogi.

Ja, ja, Pifke! — odpowiedział głos.

Negocjant odsunął żelazny rygiel. Przeraźliwy odgłos rozległ się po pustej sali kantoru. Ale jeszcze bardziej przeraziła go twarz kochanego kolegi.

Pifke miał twarz czerwoną jak karmazyn, oczy jego paliły się. Dolna szczęka ruszała się i kłapała machinalnie o półtora zęba. W ręku trzymał jakiś list rozdarty i zmięty.

— Cóż ci to, Pifke? — zawołał namiestnik Goliata, a w jego oczach błysło coś szatańskiego.

— Łotrze, złodzieju! — krzyknął Pifke, a piana okryła mu wykrzywione usta.

— Jeźli tak zaczynasz — odparł spokojnie stary negocjant — to chodź tutaj bliżej, bo dłuższa będzie między nami rozmowa.

Rzekłszy to, zasunął znowu rygiel żelazny i powoli poszedł do swego biórka, którego kratka żelazna ochraniała go od nierzetelnych zamiarów przyjaciela i spólnika.

— Łotrze! — krzyczał Pifke za nim — zabiłeś mnie!

— Pifke, nie bądź głupim! — odparł spokojnie stary negocjant. — Wino moje z ciebie mówi. Widzisz, jam już trzeźwy.

— Tu łotrze czytaj! — wrzeszczał Pifke, aż mu oczy na wierzch wylazły.

— Co mam czytać! Powiedz mi krótko, o co ci chodzi!

— Oszukałeś mnie! Wciągnąłeś mnie w interes, który trzy razy więcej wymaga pieniędzy, jak powiedziałeś!

— Można się omylić.

— To był twój podstęp... jam dzisiaj bankrutem!

— Któż ci winien, że mało miałeś pieniędzy? Wszak wiesz, że w naszym interesie, to jak przy kartach. Kto ma więcej pieniędzy przy sobie, gdy siada do gry, ten wygrywa w końcu.

— Dałeś mi akcje, które teraz są po niczemu! Czytaj!

— Jakto, akcje kolei żelaznej w południowej Francji? Wszak brałeś podług kursu... w książce zapisano.

— Wykupiłeś wszystkie akcje i trzymałeś kurs wysoko. A gdym się z niemi na giełdzie pokazał, nie chciał nikt i szeląga dać za nie. Przedsiębiorstwo zbankrutowało.

— Jesteś dziwny człowiek, kochany Pifke. Nie rozumiesz gry à la hausse i kwita. Cóż ja winien, że akcje spadły?

— Złodzieju, okradłeś mnie!

— Któż to powie? Ludzie, co znają kursa, powiedzą, że Pifke oszalał i nic więcej. Wypłaciłem ci podług kursu.

— Okradłeś mnie, zabiłeś mnie! — krzyczał nieszczęśliwy spekulant.

— Pifke, jak widzę, oszukałem się na tobie — mówił z flegmą stary negocjant — ja myślałem, że ty do większych interesów, a ty prosty, drobny negocjant! Idź z Bogiem i daj mi pokój!

Rzekłszy to, posunął sprężynę na biórku, a żelazne drzwiczki wysunęły się gdzieś z ziemi i w oka mgnieniu zasłoniły go przed oczami nieszczęśliwego spekulanta. W tymże samym czasie z poza pieca odsunęła się wielka, w starożytną

rzeźbę przyozdobiona szafa, a kolosalny Michel, jeszcze czerwony jak upior na twarzy, pojawił się tuż za plecyma biednego bankruta. Był to tajemny przyrząd zabezpieczenia się od niespodzianego jakiego napadu.

Pifke chciał właśnie z wściekłością rzucić się na żelazną klatkę, w której spokojny jak lew siedział jego spólnik i kolega, gdy kolosalny Michel za kołnierz go w samą porę pochwycił.

— Pan Pifke za wiele pił wina — wyszedł z klatki spokojny głos pryncypała — zaprowadź go do pierwszej izby, niech się prześpi.

Pifke wydarł się z nadludzką siłą z objęć olbrzyma i z wyrazem szaleństwa krzyknął do klatki swego przyjaciela:

— Warner! Słuchaj łotrze i złodzieju! Jam krwawo na mój grosz pracował. Nie jadłem i nie spałem. Stało się, okradłeś mnie, bom wdał się w rzecz nie swoją. Z «drobnych interesów» nie byłem kontent, a wielkie mnie zabiły! Ale ja jeszcze żyć będę. Zostanie mi tysiąc, dwa tysiące talarów — pójdę tam nad Noteć i Wartę, i będę czem byłem: drobnym negocjantem. Bóg mi dopomoże, moje pieniądze tam znajdę. Ale jak ty upadniesz, już nie wstaniesz, rozumiesz...nie wstaniesz!

Rzekłszy to, podarł list, który w ręku trzymał, na drobne kawałki i rzucił je między kratki, w twarz swemu spólnikowi. Odepchnął sążnistego Michla, który przyszedłszy do siebie, właśnie rękę po niego wyciągnął, i wybiegł jak szalony z kantoru.

Stary negocjant pocisnął znowu sprężynę, drzwi żelazne zapadły się w ziemię. Z wypogodzoną twarzą spojrzał po próżnym kantorze, a zacierając ręce, rzekł do siebie:

— Pifke zbankrutował, głupi Pifke! Jemu do lichwy, a nie do wielkich interesów! A teraz dalej!

Wyjął papier listowy, a napisawszy na prędce kilka wierszy, złożył, przypieczętował i zaadresował do hrabiego Leona. Zawołał na Michla i kazał mu natychmiast Linka przyprowadzić.

Gdy zadyszany ajent przed nim stanął, pryncypał uśmiechnął się łaskawie do niego i rzekł:

— Linku, wielkie moje dzieło jest na ukończeniu. Będę pamiętał o tobie. A teraz bierz konie pocztowe do Dąbczyna i ten list oddasz według adresu.

Link skłonił się pokornie, z pod oka spojrzał na płonącą twarz pryncypała i wyszedł.

Negocjant zatarł ręce i spiesznie pobiegł ku schodom kręconym. Za chwilę był już w apartamencie Ottona na drugiem piętrze.

— Ottonie, Ottonie! — wołał z progu — przynoszę ci bardzo dobrą wiadomość.

Otton był smutny i znużony. Uroczystość dzisiejsza utrudziła go. Podczas obiadu musiał śmiać się i rozmawiać, a to wszystko jakoś nie było mu wcale do twarzy. Piękna Janina migała mu nieustannie przed oczyma — biedny młodzieniec kochał nieszczęśliwie.

— Ottonie! — wołał ojciec — ja cię tak kocham, żebym ci rad nieba przychylić, a ty...ty nawet mnie nie słuchasz!

— Zapewne jaka szczęśliwa spekulacja — odparł obojętnie młodzieniec — majątek nasz może większy o pół miljona —

— I ty tak zimno to mówisz?

Otton ruszył ramionami.

— Słuchaj, Dąbczyn już nasz!

— Dąbczyn! — krzyknął młodzieniec i poskoczył ku ojcu.

— Aha! widzisz go! Przecież raz powiedziałem ci coś niespodzianego! — zawołał negocjant z radością na twarzy.

— Dąbczyn! — powtórzył nieszczęśliwy kochanek i stanął nagle jakby do ziemi przyrósł.

— A tak, tak...Dąbczyn cum attinentiis! — wołał mu do ucha szczęśliwy negocjant.

Otton stał jak niemy. Ojciec przypisał to niespodzianej radości. A chcąc tę nowinę tak hazardowną czemś ugruntować, ozwał się po chwili:

— Musisz wiedzieć, kochany synu, że Pifke, głupi Pifke zbankrutował!

— Zbankrutował!' — powtórzył machinalnie młodzieniec.

— Więc całe nasze przedsiębiorstwo zagrożone jest stagnacją, która jest straszna w tym względzie.

— I cóż ztąd? — zapytał machinalnie Otton.

— Margrabia nie wytrzyma tej stagnacji, bo płaci wysokie procenta. A nim Dąbczyn pójdzie na subhastę, to woli sprzedać go z wolnej ręki. Cóż ty na to? — zapytał z pieszczotą szczęśliwy ojciec.

— Czy chcesz ojcze wiedzieć, co ja myślę? — zawołał uroczystym głosem młodzieniec. — Oto sądzę, że to była spekulacja nieuczciwa, która na nas ściągnie karę Boga, a pogardę w opinji ludzi.

— Masz strasznie głupie serce...kubek w kubek jak twoja nieboszczka matka..,

Młodzieńcowi na wspomnienie matki stanęły łzy w oczach.

— Głupie masz serce — mówił dalej ojciec — o Bogu nie wiemy, co na to powie...a o ludziach to mniejsza. Powiedzą, że stary Warner był szachraj i kwita; a do ciebie, gdy będziesz panem na Dąbczynie, będą karety zajeżdżały: ty będziesz czysty jak łza.

— Ojcze!

— Zresztą jest to czysta spekulacja i uczciwa. Czyż ja winien, że Pifke zbankrutował? Bankructwo Pifkiego zabija margrabiego, ale nie ja!

— Wszak można mu dopomódz.

— Obowiązkiem naszym jest nie czynić nic złego; a któż nam nakazuje ofiary?

— Ojcze! — zawołał młodzieniec, biorąc ojca za rękę — jeżeli trochę czujesz miłości dla dzieci swoich, jeźli miły ci jest szacunek u świata i pokój własnego sumienia: nie czyń tego! Bądź miłosiernym i nie daj upaść tym ludziom!

Stary negocjant odstąpił kilka kroków od syna, spojrzał na niego szyderczym wzrokiem i rzekł:

— Wiem ja, zkąd ci się ta miłość bliźniego bierze! Ale już raz mówiłem ci, że to są mary i nic więcej!

— Ojcze!

— Janina jest młoda, ładna dziewczyna i nic więcej. Tysiąc takich masz w mieście. Dotąd nęciło cię tylko to, co ją otaczało. Zamek, pańskość, służba, to i nic więcej. Zaczekaj kilka tygodni, gdy te wszystkie złote ramki od niej odlecą, będzie tak pospolitą dziewczyną jak każda inna. A tytuł bez fortuny cóż znaczy?...Ty się ożenisz z panną starego, szlacheckiego rodu, ładną, majętną, która cię na dwór zaprowadzi. Szlachectwo nasze już gotowe.

Młodzieniec spuścił głowę.

— A margrabia czem jest dzisiaj? — mówił dalej negocjant. — Dumny bankrut! A wiesz, co to jest za obrzydłe stworzenie, człowiek dumny, który upada! Widziałeś kiedy pałac w gruzach, w którym gnieżdżą się sowy i wrony? Czyż nie milszy biały, świeżo wystawiony domek?

— Twoje słowa mogą mój rozum przekonać — odparł młodzieniec — ale mego serca niczem nie zaspokoisz. Kocham Janinę, bez niej nie ma szczęścia dla mnie ani w zaszczytach, ani w miljonach!

— Głupie masz serce, Ottonie. Tak mówi każdy młokos w pierwszym tomie romansu. Pojedziesz do Paryża, do Londynu, to i zapomnisz o wszystkiem.

Rzekłszy to, stary negocjant wyszedł z pokoju, mrucząc sobie pod nosem, że syn jego ma takie głupie serce, kubek w kubek do swojej matki podobne!

Biedny młodzieniec rzucił się na sofę. Wiadomość, że wybranej jego sercu grozi tak wielkie nieszczęście, dotknęła go do żywego i wszelkiej pozbawiła nadziei. Długi czas był w tem otrętwieniu. Nagle jakby jakaś zbawienna myśl zabłysła w jego młodej duszy; zerwał się na nogi i szybko kilka razy przebiegł po pokoju. Twarz jego rozpromieniła się, oczy zaświeciły nadzwyczajnym blaskiem.

I w samej rzeczy była to myśl szczęśliwa, chociaż bardzo prosta. On mógł teraz stać się zbawcą nieszczęśliwej rodziny, ochronić ją od grożącego upadku, a w nagrodę za to uzyskać wzajemność Janiny. Gdy jeszcze chwil kilka nad tem pomyślał, zdawało mu się, że ta katastrofa koniecznie do spełnienia jego nadziei potrzebną była, że bez niej nie miałby sposobności okazania swoich uczuć dla tak drogiej mu istoty. I jak z razu zabolało go to nieuczciwe postępowanie ojca, tak teraz widział w tem jakieś dziwne drogi Opatrzności boskiej, jakieś wyższe zrządzenia, prowadzące ludzi ciemnym szlakiem do upragnionych ich celów.

I w szale radości swojej chciał właśnie wznieść ręce do nieba, aby Bogu za ciemne jego wyroki podziękować, gdy się drzwi z lekka otworzyły i Link okazał się na progu.

Ajent miał na twarzy wyraz tajemniczy, a pod pachą jakieś starannie zawinione papiery. Wszedł ostrożnie do pokoju i oglądał się na wszystkie strony.

— Mam kilka ważnych słów do pomówienia — rzekł z miną tajemniczą — czy jesteśmy sami?

Otton ruszył głową na znak, że są sami.

— Ale lepiej, gdybyśmy poszli do drugiego pokoju — ozwał się znowu ajent.

Otton wypatrzył się zdziwiony na ajenta, a widząc z jego twarzy, że pewny jest siebie i że coś ważnego mu przynosi, postąpił naprzód, dając znak ajentowi, aby szedł za nim.

Przeszło godzinę trwała ich tajemna konferencja. Wreszcie wyszedł ajent. Jego twarz rumieniła się uczuciem szczęścia, oczy błyszczały mu jak dwie muszki świętojańskie. Niskim ukłonem pożegnał młodzieńca, który stał blady i zamyślony, i wzrokiem pogardy odprowadzał ajenta aż na kurytarz.

Gdy się drzwi za nim zamknęły, poszarpnął młodzieniec konwulsyjnie za dzwonek. Wszedł służący.

— Dla kogo dysponowano konie? — zapytał z niecierpliwością.

— Dla starszego pana — odparł służący.

— Gdzież ojciec pojedzie?

— Do Dąbczyna.
— Mój Johan niech także zaprzęga! — zawołał Otton z wyrazem jakiejś dziwnej energji.

---

## IV.

Nazajutrz rano zeszło nad Dąbczynem jasne, pogodne słońce. To samo słońce wrześniowe zeszło, które siedzącemu na ganku staremu Dębiczowi tak błogo serce rozgrzewało. Jerzy otworzył okno i wyjrzał na ulicę. Chciał on dzisiaj po raz pierwszy po długiej chorobie opuścić swoją izdebkę.

Bohater nasz był mocno blady na twarzy. Rana, która przez kilka miesięcy zgoić się nie chciała, wyczerpała jego siły. Mimo to w pięknych jego oczach tryskało młode, pełne nadziei życie, na bladych ustach igrał uśmiech skrytego szczęścia.

Był to pierwszy dzień, w którym miał opuścić tę cichą, samotną izdebkę. Lubimy miejsca wspomnień naszych, na których przeżyliśmy różne wypadki życia. W krainie ducha uczucia są wypadkami. Ileż to uczuć, ileż to słodkich i gorzkich chwil życia przebył tutaj biedny marzyciel! Jakże to nie obejrzeć się po tych ścianach z uczuciem jakiegoś żalu w sercu, jakże nie pożegnać choć jednem westchnieniem tych ciemnych kątów izdebki, w których gorąca wyobraźnia nasza widziała nieraz tak cudne, tak urocze obrazy! Czy wyszedłszy z tych czterech ścian, znajdziemy tam to wszystko, cośmy tutaj wyśnili?...

Tu nam tak wszystko było przyjaźne! Ten wielki, krzyżowy pająk, który tam pod belką siatkę sobie naprawia, spuszczał się często nam na głowę, zwiastując upragnionego gościa. Tych kilka muszek, uchodzących tutaj przed jesienią, brzęczały nam do ucha jakieś radosne wieści o drogich nam osobach. Myśmy je rozumieli, a wieści te były takie, jakich pragnęło biedne serce nasze. A ta pieszczoszka czarnogłowa, szczebiotliwa jaskółka, ileż to razy usiadła na tem oknie i kokietowała nas swemi czarnemi oczkami! W samotności naszej zaludniliśmy tę małą przestrzeń; wszystko tu miało życie i mowę, i było tak przyjazne naszemu sercu, naszym marzeniom! Czyż to serce nie zzięb nie tam,

za oknami tej izdebki, na zimnym, rzeczywistym świecie?...

Jerzy spojrzał smutno po czterech kątach izdebki. Jego serce trwożyło się czegoś. Lecz cóżby była za przyczyna tej trwogi? Janina go kocha, co kilka dni przejeżdża pod jego oknem i Pampie, drogiej swojej Pampie, stojącej na oknie, posyła tak serdeczne, tak gorące pocałunki. Jerzy czuje zawsze płomień tych pocałunków, jego twarz zarumieni się rumieńcem szczęścia i zachwycenia, jego serce wyrywa się wtenczas z piersi i woła: Ona cię kocha! I cudne, dziwne światy stwarza sobie wtedy biedny marzyciel, światy z tak wątłej i delikatnej tkanki, jak ta siatka pająka, którą co rana musi naprawiać tkacz nieszczęśliwy. I nasz bohater naprawiał prawie codzień te wymarzone swoje światy, które niszczył mu ladajaki, mało znaczący wypadek.

Najstraszniejszym dla jego marzeń był z razu hrabia Leon. Ale wkrótce oswoił się jakoś z tym dziwnym, nieodgadnionym człowiekiem. Hrabia Leon, wyczekując jakichś ważnych familijnych wiadomości, bawił przez ten czas u margrabiego. A chociaż cała okolica inaczej sobie o tem na ucho mówiła, Jerzy poznał w nim tylko dziwaka, który w gruncie duszy był poczciwym człowiekiem. Te dziwactwa tłumaczył sobie wrodzoną jego dobrą, nawet szlachetną skłonnością, na której jak rdza gryząca osiadły jakieś cierpkie doświadczenia życia. Ztąd wyrodziła się jakaś dziwna dwoistość duszy. Uśmiech zimny rozczarowanego we wszystkiem człowieka, występywał na jego twarz po spełnieniu czynu, który wymagał gorącego serca, a nawet poświęcenia się. I tak pojedynek z panem Von der Mark nie był niczem innem jak tylko zasłonięciem niedoświadczonego marzyciela od zgubnego ciosu.

Ale człowiek w pierwszej dobie uczucia jest zawsze w sprzeczności z samym sobą. Miłość jest niepokojem. Otóż innym razem niepokoiło Jerzego jakieś zagadkowe postępowanie hrabiego Leona, który tymczasem w poufną wszedł z nim przyjaźń. Zdawało się mu, że ten człowiek powoli, ale rozsądnie do celu dąży! Chce spokojnie wyczekać zwykłego przebiegu namiętności, przykłada mu codziennie rękę do pulsu, kiedy ta dziecinna ustanie gorączka. Wtedy uspokojoną i wolną od wszelkich przyszłych kurczów sercowych, poprowadzi Janinę przed ołtarz i z pokojem Anglika używać będzie dozgonnie swego assekurowanego skarbu.

Tak sobie nieraz myślał biedny marzyciel, gdy hrabia Leon z zimnym jak lód uśmiechem, pochylił się nad jego łóżkiem i bystrem okiem śledził tętna serca, jak długo potrwa ta gorączka młodości.

Jeszcze jedna, daleko groźniejsza mara dręczyła naszego biednego bohatera. Jakieś dziwne obrazy dawnych jego marzeń stawały mu przed oczyma. Z ciemnych kątów samotnej idebki występowały do niego jakieś groźne postacie. Jedne miały na twarzy wyraz gniewu, ręce ich były do góry wzniesione — inne zakryły twarze w szaty żałobne i ze złożonemi na piersiach rękami stanęły przed nim jak posągi smutku i żałoby. I zdawało mu się, że słyszy z ich ust słowa:

— Tyś nas dawniej tak kochał! Dałeś nam ogień twego serca na wieczną ofiarę, a dzisiaj stałeś się nam niewiernym! Myśmy cieszyli się naszym wyznawcą na tej biednej, nieszczęśliwej ziemi, a tyś sobie wybrał innego boga, któremu oddajesz cześć bałwochwalczą! Ten nowy bóg sprowadzi cię z drogi, na którą wszedłeś z cierniowym wieńcem na głowie — bo on może ci dać tylko wieniec z róż wonnych, których woń nie jest dla nas!

A gdy się bliżej tym poważnym postaciom przypatrzył, poznał w nich posągi Mieczysławów, Bolesławów i Batorych, które niegdyś tak gorącem umiłował sercem. Przypomniał sobie wszystkie swoje marzenia z dni młodocianych, a gdy dzisiaj na siebie się popatrzył, zdawało się mu, że się stał odstępcą, że egoizm jego rozniecił mu w sercu te uczucia, któremi dzisiaj serce swoje napełnił; że dla pierwotnych ślubów swoich powinien uczynić ofiarę z tego, co zwyczajni ludzie zowią najwyższem szczęściem na ziemi.

Takie dziwne, chorobliwe mary straszyły go prawie co dnia, zacząwszy od rana aż do godziny czwartej z południa. W tym to czasie zazwyczaj turkotał ekwipażyk Janiny po bruku ulicy, a śliczna jak anioł dziewica drobną swoją rączkę przyciskała do ust różanych i ukochanej Pampie swojej posyłała serdeczne pocałunki. W takim razie uciekały w nieładzie owe kamienne, żałobne posągi i kryły się po kątach, a na tronie złocistym, z pękiem strzał w ręku, wjeżdżał do samotnej izdebki ów bożek maleńki, któremu skromna matka oczy zawiązała, aby się nie patrzył na szały jej serca. Była to zazwyczaj najszczęśliwsza chwila w tem samotnem życiu naszego bohatera. Był on święcie przekonany o miłości Janiny — hrabia Leon był wtedy najszczerszym przyjacielem — a pająk krzyżowy, rozstawiając sieci pod belkiem, nie miał żadnych złych zamiarów na biedne muszki, prócz tego, aby swoją kochankę-kokietkę tem silniej do siebie przywiązać!

Dzisiaj miał on wyjść z tej izdebki, miał widzieć Janinę, z nią mówić — jakże to za wiele na jedno serce! Jakże drogi byłby mu w tej chwili przyjaciel, któremu mógłby całą swą duszę odsłonić! A marzyciele nie tak łatwo

odsłaniają swą duszę! Hrabia Leon, mimo wszelkiej swojej przyjaźni, tak widocznie unikał spowiedzi biednego pacjenta!

Słońce było czyste i pogodne. Jerzy wróżył sobie, że to będzie dla niego dzień szczęśliwy. Ale zaledwie zdołał się ubrać, gdy do pokoju w ubiorze podróżnym wszedł hrabia Leon.

Hrabia był na twarzy znacznie zmieniony. W jego oczach, które zazwyczaj tak zimno, tak trzeźwo na świat patrzyły, było coś nieodgadnionego, coby jakiś żal lub smutek oznaczać mogło. Widocznie malował się we wszystkich jego ruchach jakiś przymus, jakby trudno mu było panować nad sobą. Tego nigdy nie dostrzegł pierwej na nowym swoim przyjacielu nasz bohater. Podawszy mu więc rękę, czekał niecierpliwie pierwszego słowa.

— Otóż mniej smucić mnie będzie nasze pożegnanie — ozwał się Leon z wymuszonym uśmiechem, że cię pożegnam zupełnie zdrowego.

— Pożegnasz mnie! — zawołał zdziwiony Jerzy.

— Tak jest, pożegnam cię... w zamku już się pożegnałem — odparł zimno Leon, który już nieco pokoju odzyskał.

— W zamku się pożegnałeś! Cóż to wszystko znaczy?

— Nic, wcale nic. Warner doniósł mi poufnie, że bankier, u którego w Berlinie znaczne mam kapitały, jest w niebezpieczeństwie bankructwa.

— I to cię tak zasmuciło! — zawołał z szczerością marzyciel.

— Innego możeby zmysłów pozbawiło... sto tysięcy i coś — odrzekł z zimnym uśmiechem hrabia — ale mnie to tyle obeszło, że wyjeżdżam, aby się na miejscu o tem wywiedzieć. I w samej rzeczy chciałbym czasami, jak ów Grek, zostać biednym.

— Biednym! — westchnął Jerzy.

— Wierzaj mi, mój ty kochany poeto — poderwał Leon z tym samym zimnym, bajrońskim uśmiechem — wierzaj mi, ubóstwo ma swoje korzyści.

Twarz Jerzego zarumieniła się; jakieś dziwne przeczucie owładnęło jego serce. Ciekawie wypatrzył się na Leona.

— Smutne są te korzyści! — rzekł po chwili z westchnieniem.

— Jakto smutne?

— Bo życie ubogiego zaczyna się i kończy na marzeniu!

— A marzenie nie jestże szczęściem? Przed kilkoma miesiącami dałbym ci był połowę mego majątku, gdybym mógł był choć chwilkę pomarzyć!

— Dla czegoż nie mogłeś?

— Bo bogaty nie może marzyć. On ma wszystko, czego zapragnie. Aby czuć smak potrawy, trzeba być głodnym... a bogaty nigdy nie jest głodnym.

— Mówisz jak kochanek w tragedji! — zawołał Jerzy z uśmiechem, w którym było więcej ciekawości jak humoru.

Hrabia Leon przeszedł się kilka razy po pokoju. Coś widocznie miał na sercu, czego wyjawić nie chciał. Ciekawość Jerzego doszła do najwyższego stopnia. Miałże się oświadczyć Janinie i odmowną dostać odpowiedź?...Serce Jerzego uderzyło żywiej.

— Wydaję ci się dziwnym — mówił po chwili Leon, chodząc po pokoju — ja sam dziwię się sobie. Przeczuwam w sobie wielką metarmofozę. Lękam się, abym się nie zmienił w gruchającą synogarlicę! Ha, ha, ha!...Tutaj ostatni cypel ziemi polskiej przytrzymał mnie za poły surduta i dał mi wcale nową naukę, jakiej pierwej nigdy nie słyszałem. Jerzy, wierzaj mi, ten kąt wasz jest fatalny!

— Nie rozumiem cię! — odparł Jerzy, patrząc w zamyśleniu na hrabiego.

— Głupstwo, wierutne głupstwo i nic więcej — mówił z wesołym uśmiechem Leon. — Ha, ha, ha! wprawiłem cię w ciekawość, a to tymczasem i mówić o tem nie warto!... Tyś nigdy nic o podobnych rzeczach nie mówił...i miałeś słuszność.

— Ale przecież możeby korzystniej było rozmówić się — zaczął Jerzy, a twarz jego zaczęła blednąć.

— Ej! co tam, szkoda czasu na podobne androny — zarzucił Leon z wyrazem niecierpliwości na twarzy — lepiej prowadźmy jaką uczoną rozmowę...na przykład: co to jest miłość?

— Co jest miłość, ty mnie się pytasz? — zawołał zdziwiony Jerzy.

— Więc ci odpowiem. Miłość jest to punkt, w którym łączy się egoizm dwojga ludzi i staje się potęgą. Zbij mi to zdanie, tylko prędko.

— Natychmiast. Egoizm tych dwojga ludzi musi się wzajemnie zrównoważyć.

— Prawda.

— A jeźli ona jest piękna, a on brzydki, ona młoda, a on stary...ona bogata, a on biedny...cóż wtedy stanowi miłość?

— Tam miłości być nie może! — zawołał z gwałtownością Leon, jakby chciał sam w swoje zdanie gwałtem uwierzyć. — Miłość jest to śliczne, złote pudełeczko, w którem schowany leży starannie zrobiony rachuneczek. Jedno drugie

może łudzić i żyć nawet długo w tem wzajemnem złudzeniu. Ale nieszczęśliwy jest ten, któremu dano wzrok, patrzenia aż na dno życia!

Hrabia Leon przeszedł się po tych słowach kilka razy po pokoju. Oczy miał w ziemię spuszczone i widocznie nie był z siebie kontent. Jerzy wziął go za rękę i rzekł:

— Kochany Leonie, dzisiaj wcale ciebie nie rozumiem.

— Chcesz mnie zrozumieć? — odparł Leon, wyrywając mu rękę i chodząc szybkiem krokiem po pokoju — chcesz mnie zrozumieć? To rzecz łatwa. Wyobraź sobie człowieka, który najprzód rodzi się pod niefortunną konstelacją koziorożca i ryby, rodzi się pod dziwną klątwą pradziada, który przy najlepszej fantazji najgłupszy zrobił testament, aby każdy z jego potomków żenił się dopiero po odbytej szczęśliwie wyprawie na kresach ojczyzny przeciw jej nieprzyjaciołom. Hajdamaków nie było, a jam przyszedł na świat bez tej nieszczęśliwej wyprawy; za to koziorożec i ryba, moje planety opiekuńcze, nie są ze mnie kontente i obchodzą się ze mną jak z pasierbem.

— Cóż ci złego dotąd uczyniły? — zapytał Jerzy, rozweselony humorem Leona.

— Najprzód zaraz na krzyżmo do kołyski dały mi majątek znaczny!

— I to całe nieszczęście!

— Niekoniecznie całe, ale jest w tem trochę nieszczęścia. Wyobraź sobie młodego chłopca, który z gorącem sercem, z duszą poetyczną wybiega w świat i goni za wymarzonem szczęściem.

— I nie znachodzi go! — wtrącił z westchnieniem marzyciel.

— Przeciwnie, znachodzi je...ale znachodzi za wiele. Wszystkie serca otwierają się przed nim; on nie zna, co to jest pragnąć, co to jest walczyć z przeciwnym losem, i wszystko go kocha, i wszystko mu sprzyja! A przecież szczęście liczy się tylko na chwile — a życie tak długie i nudne! I czemże zapełnić to długie, nudne życie! Ubogi do tej jednej chwili szczęścia idzie daleką drogą. On marzy najprzód, potem tęskni i walczy, pracuje i pragnie, a gdy stanie u mety tej chwili szczęśliwej, która uwieńcza wszelkie jego nadzieje, używa jej jak smacznej potrawy, na którą tak długo czekał i którą własną zasługą sobie zdobył. Jeźli tem szczęściem jest miłość, wtedy wierzy w nią, bo ona jest jego własnem dziełem. A jam tej miłości, tych czystych uczuć, o których marzyłem chłopcem, nigdy nie znalazł!

— I nie wierzysz w czyste, bezinteresowne uczucia?

— Ty jesteś dzieckiem, kochany Jerzy; patrzysz na świat z rąk mamki, od której piersi jeszcze nie odłączyłeś się.

Zazdrościłem ci twego szczęścia i ciekawy byłem, dokąd ta dziecięca wiara może cię zaprowadzić. Bo też tylko podobna dziecięca wiara może stworzyć wielkie cnoty. Nie próżno stoi w biblji, że Chrystus lubił dzieci i chętnie brał je na swoje łono. Bóg poezji powinien być wyobrażony jako małe dziecię. Apollon, piękny, wysmukły młodzieniec, z błękitnem okiem, a ciemnym włosem, najmniej może mieć wiarę w poezję. A dodaj do tego majątek i świetniejsze piętno urodzenia, bóg poezji stanie się bogiem rozczarowania, bo zagląnie w dno życia i ujrzy tam tajemne sprężyny dekoracji, które łudzą stojących z dala. Bo gdy n. p. parter w kobiecie aktorce widzi bohaterkę i do łez ją rozczula, on, stojąc za kulisami, widzi tylko róż i bielidło! Przyznajże sam, komu z czasem dawne zachcenia dziecięce w duszy się odzywają, czyż ten może kochać to życie, które tak naiwnie odsłoniło przed nim wszelkie ukryte swoje sprężyny?...

— Nie, nie! — przerwał mu Jerzy, a na twarz jego wystąpił rumieniec — tyś poznał tylko połowę życia, brudną połowę, która się okazuje każdemu za pieniądze, jak panorama w budach jarmarcznych; ale drugiej połowy, która jak perła w konchach na dnie morza, kryje się głęboko na dnie życia... nie ujrzysz jej okiem niegodnem!...

— O! wy kapłani niewidomego bóstwa! Cieszycie się waszą ślepotą i dobrze wam z tem. Jerzy, naucz mnie być ślepym!

— Wolałbym, abyś widział lepiej... abyś świat z pięknej strony.

— Tego mnie nie nauczysz!

— Kochaj!

— To jest najkrótsza droga do rozczarowania.

— Kochaj sercem, a nie głową!

— To jest, dobrze jeść i smaczno, a nigdy nie rachować się z garsonem... Jerzy, zróbmy układ między sobą. Czy ty kochasz?

Jerzy uczuł, że mu serce w piersiach zadrżało. Śmiało jednak i spokojnie wyrzekł:

— Kocham.

— Otóż słuchaj. Ja od stóp do głów byłem dotąd rozczarowany, ty zakochany. Gdy ty się rozczarujesz, ja kochać zacznę. Cóż, dobrze? Dotąd ty jesteś szczęśliwszy.

Jerzy pobladł nagle na twarzy. Dziwna, niemiła myśl wpadła mu nagle do głowy. Ale lękał się usta otworzyć, aby się od przyjaciela nie dowiedzieć tego, coby go zabić mogło. I Leon chciał się jakoś uchylić od widzenia bolesnej jego walki, bo uścisnąwszy mu rękę, zapalił świeże cygaro, a zawoławszy w progu krótko: «Do widzenia!» — wybiegł

na ulicę, gdzie już na niego zgarbiony jak wielbłąd czekał stary Soroka.

Jerzy wybiegł na ulicę, aby jakoś serdeczniej pożegnać się z tym dziwnym, nieodgadnionym przyjacielem swoim, gdy na ulicy ujrzał tylko tuman kurzu, który odjeżdżający powóz za sobą zostawił. Powoli z białej chmury wynurzyła się znajoma dobrze postać starego ekonoma.

Mietlica miał twarz mocno zarumienioną i był jakoś kontent z siebie. Ujrzawszy Jerzego, przybiegł do niego, a wyprostowawszy się jak świeca, rzekł:

— Dzięki Najwyższemu, że wielmożny pan stoi już na nogach. Bo mówiąc prawdę, te szołdry —

— Jesteś coś wesół, Jakubie?

— Ot Soroka odjeżdżał, potrzeba było pożegnać poczciwego Kozaka i jeden kieliszek więcej wypić. Dziwny to człowiek ten Soroka.

— Dla czego? — zapytał Jerzy, wiedząc o tem, że staremu gadule zrobi tem zapytaniem niezmierne ukontentowanie.

— Oto ojciec czy tam dziad pana Leona znalazł go dzieckiem na mogile ukraińskiej, która się zowie Soroka. Bo trzeba wiedzieć, że na Ukrainie są tak wielkie mogiły, jak ten zamek.

— I cóż dalej? — przerwał gadule Jerzy, któremu to przyrównanie mogiły do zamku jakoś niemiłe było.

— Więc go nazwano Soroka od tej mogiły. I Kozak dzisiaj powiada, że tak kocha tę mogiłę, iż bez niej do nieba się nie dostanie.

— Jakto?

— Mówi, że tam u nich jest taka wiara, że jeźli kto nie umrze na tem samem miejscu, gdzie się urodził, to nie pójdzie do nieba. Dla tego u nich jest to miejsce świętem, jak kościół, i nad to miejsce nie powinien człowiek nic innego w świecie kochać.

Jerzy spojrzał na starego gadułę i chciał mu właśnie o tej pięknej wierze ukraińskiego ludu coś powiedzieć, gdy stary gaduła z innej zaczął beczki.

— Ja tutaj jestem w sekrecie dzisiaj — rzekł ciższym głosem — przyjechałem po proch!

— Po proch!

— Paliwoda będzie dzisiaj strzelał u nas, Paliwoda to strzelec jakich mało. Zeszłej wielkanocy, strzelając z moździerza, podarł kowalowi cały płaszcz na szmaty i ani go zadrasnął!

— Cóż to będzie u was?

— Będzie oracja i muzyka... pana majora urodziny. Paliwoda zrobi fajerwerk, który ma dwadzieścia i siedm razy strzelić.

I jeszcze coś więcej chciał opowiadać stary gaduła, gdy nagle lud zaczął się z wszystkich stron schodzić, a na rogu ulicy stanął w imponującej postawie woźny urzędu miastowego, aby zgromadzonej publice odczytać jakiś długi zapisany papier. Musiało to być coś strasznie ciekawego, sądząc po rozdziawionych gębach kilku gaminów dąbczyńskich, którzy z widoczną niecierpliwością poszturkiwali przechodzących Żydków. Mietlica urwał dyskurs w pół słowa, skłonił się Jerzemu i czemprędzej posunął do woźnego, który jakby go czekał z arkuszem papieru w ręku.

Jerzy odszedł w innym kierunku. Chciał on jak najprędzej wyjść z miasta, aby być samotnym. Słowa Leona: «Ty jesteś szczęśliwszym odemnie», brzmiały mu jeszcze w uszach. Cóż mogły innego te słowa oznaczać, jak to, że Janina go kocha!...I wyszedłszy po za bramy miasta, uśmiechał się szczęśliwy marzyciel, który w tej chwili nie mieniałby się z bogaczami świata! Ta szczęśliwa, słodka myśl wyrugowała z jego serca wszelkie inne wątpliwości, jakie wzbudzić w niem mogła dzisiejsza rzzmowa z hrabią Leonem.

Już było południe, gdy Jerzy do domu wrócił. Wesoły, szczęśliwy, oczekiwał niecierpliwie chwili, w której obaczy tak gorąco ukochaną Janinę, obaczy ten stary, tak dobrze znany mu zamek, który podczas swojej choroby tyle razy miał przed oczyma duszy. I już właśnie zbliżała się ta chwila upragniona, gdy do pokoju wszedł stary ogrodnik.

Stary ogrodnik miał oczy czerwone, minę nadzwyczaj rzadką i z nieśmiałością stanął przy progu. Jerzy uczuł woń spirytusu.

— Jak widzę — rzekł z uśmiechem człowieka szczęśliwego — wszyscy żegnaliście Sorokę!

— Wypiło się z Soroką tylko kieliszek — odpowiedział pokornie ogrodnik — a reszta to już było na zmartwienie!

— Zmartwienie?... zapewnie r o d o d e n d r o n...

— Ej! gdzie tam, wielmożny panie, nam to teraz w głowie! Ot człowiek na stare lata musi się gdzieś wlec jeszcze w świat za oczy!

— Cóż to się stało... zapewnie nowy ogrodnik —

— Zapewnie i nowy ogrodnik przyjdzie wraz z nowym panem!

— Z nowym panem? — powtórzył Jerzy, patrząc ciekawie na ogrodnika.

— A tak, wielmożny panie... wielkie nieszczęście na biedne, stare sługi! Myślałem, że wysłużę sobie jaką chałupę i kawał gruntu...

— Dla Boga, cóż takiego? — zawoł zdziwiony Jerzy i przyskoczył do ogrodnika.

— Był dzisiaj Warner na zamku i mówił mi kamerdyner — tu oglądnął się ogrodnik — że pan nasz sprzedaje Dąbczyn!

— Pan wasz sprzedaje Dąbczyn!

— A tak... Oj! ja to zaraz powiedział kucharzowi jeszcze na wiosnę: «Mateuszu, obaczysz, że lutry, co tu przyszli z Pomorza, wypędzą ztąd i pana i nas z kretesem.» Bo to była obraza boska! Wszystkich ekonomów poodprawiać, oraz parobków i dziewki, a natomiast nabrać tej hałastry, która kazała się nazywać to amtmanem, to ferwalterem, to znowu czemsić! Mieli oni nibyto lepsze gospodarstwo zaprowadzić, pomalowali wozy i pługi... ale też zmalowali i djabła! Dzisiaj oni będą tu panować, a dziedzic z pradziada i sługi z pradziadów w świat z torbami pójdą. Jeszcze panu to nic, bo mówią, że panom i w pickle źle nie będzie, ale człowiekowi...

Stary chciał tutaj łzę z oka strącić i właśnie w tym celu rękę do góry podniósł, gdy nagle w ręce obaczył list, z którym z zamku go wysłano.

— Cóż to za list? — zapytał Jerzy, któremu nagle wszystko chodzić zaczęło przed oczyma.

— Ot wielmożny panie — odparł ogrodnik. kłaniając się nisko — i w takiem nieszczęściu i jeszcze obraza boska!

— Jaka obraza?

— A jużci obraza, aby do bezdusznej bestji pisać cedułkę i jeszcze katolika z nią posyłać. Co to panom! Albo im bieda, czy co?

— Do kogoż ten list?

— A jużci nie do kogo innego — odparł ogrodnik, pokazując z ukosa na Pampę — jak do tej zamorskiej bestji! Panna Janina kazała mi tu zanieść.

Jerzy wydarł list z ręki ogrodnikowi i przeczytał na adresie: «Do mojej drogiej Pampy». Rozerwał pieczątkę i czytał:

«Moja najdroższa Pampo! Gdybyś mi w tej chwili powiedziała, że mnie kochasz, byłabym szczęśliwą ze łzami memi, które teraz wylewam. Ale ja od ciebie tego drogiego słowa, za którem tak tęsknę, już nie usłyszę. Dzisiaj jeszcze wyjeżdżam z mamą daleko — oh! daleko od ciebie! Nawet pocałunku już ci dzisiaj nie prześlę, chociaż serce moje tak tego pragnie!... Pampo moja! Tyś mnie kochała, gdym była wesoła,

gdym się śmiała do ciebie... ty nie zapomnisz o mnie, gdy z dala od ciebie będę płakać, będę smutną, nieszczęśliwą!... Kochaj mnie, mój drogi ptaku, bo mi dzisiaj koniecznie potrzeba miłości, abym dalej żyć mogła! Twoja na zawsze Janina.»

Gdy Jerzy oczy od tego szczególnego listu mógł oderwać, już ogrodnika nie było przy progu, a nawet woń spirytusu, którą biedny chciał uśpić robaka zmartwienia, znikła gdzieś bez wieści.

Jerzy spojrzał na zegar — on ten list czytał przeszło godzinę! Pochwycił za kapelusz i wybiegł na ulicę, szukając czem prędzej oczyma tego starego zamku, który zamykał w tej chwili całe jego szczęście:

---

Dzisiaj już od rana smutno było w zamku dąbczyńskim. Niespodziany wyjazd hrabiego Leona, który wcale na pewne nie przyrzekał powrócić, wszystkich zasmucił i pokwasił. Tak upragnione nadzieje spełzy na niczem i tem większy zostawiły po sobie żal i smutek, im więcej zbliżała się jakaś smutna, nieodgadniona katastrofa, która jakkolwiek niewidzialna, ciężyła już gdzieś w atmosferze nad głowami mieszkańców.

Rumiana, niegdyś gładko ogolona twarz margrabiego pomarszczyła się w kilku miejscach; biała chustka pod szyją już nie była zawiązana z taką jak niegdyś fantazją, tylko frak tabaczkowy i popielate pantalony w niczem się nie zmieniły. Niemały bowiem ciężar spoczął na barkach margrabiego. Budowa zakładu fabrycznego w Mogiłach ogromny sprawiła mu kłopot. Potrzeba było pieniędzy, materjałów in natura. Tu znowu Warner, chcąc gospodarstwo dąbczyńskie na lepszą stopę postawić, sprowadził z Pomorza całe stado oficjalistów, parobków, dziewek, krów i baranów, porobił z folwarków istne kancelarje, w których wprawdzie wszystko porządnie było na papierze zapisane, ale które dotąd żadnego nie wykazały dochodu, tylko bajeczne niedobory. Gospodarstwo zaczęto bowiem od wielkich wkładów, które mogły za lat kilka obfitą przynieść korzyść, ale majątek wcale w pieniądze niezasobny musiał przed tym czasem zrujnować. Pozakładano sztuczne łąki, sprowadzono wodę, mokre pola osuszono rowami i drenami, poczyniono plany na nowe budynki gospodarskie — wszystko to pochłonęło ogromne sumy, za które wysoki opłacało się procent. Termin zaś do wypłaty tych sum był tak krótki, że niepodobna było, spodziewać się do tego czasu z poczynionych wkładów

znaczniejszych korzyści. Było to wszystko jakby wyrachowane na wywłaszczenie margrabiego, i jemu samemu nie tajne było to niebezpieczeństwo; ale nadzieja złotego runa, które spodziewał się wkrótce znaleźć przy rozpoczęciu fabryki, na tak ogromną skalę założonej, utrzymywała go jeszcze przy wcale niezłym humorze.

Już jeden plan jego, ożenienia Janiny z hrabią Leonem, spełzł prawie na niczem. Do wczoraj wierzył jeszcze margrabia w zręczność swojej żony, która całą tę rzecz wzięła na siebie. Dzisiaj jednak rozczarował się dosyć niemile, gdy hrabia Leon z nim grzecznie się pożegnał, ale o powrocie swoim bardzo zagadkowo wspominał. Odczytawszy więc raporta swoich amtmanów i ferwalterów, i popsuwszy sobie nimi i tak kwaśny już humor, wyszedł z gabinetu, i ciemną, wąską galerją udał się wprost do «błękitnego pokoju».

Margrabina siedziała już od rana w tej świątyni marzeń i wspomnień swoich. Gorącego serca kobieta, o licznych zmarszczkach na twarzy, a płonącem jeszcze oku, siedziała zamyślona nad książką, w czerwony safian oprawną, której znana nam dewiza: «la passion c'est la vie», wydała się jak uśmiech szyderczy na twarzy konającego człowieka. Większa część tej książki była już zapisana. Autorka «wyznań kobiety» złożyła tam połowę swego życia drżącą ręką, ale gdy jej przyszło dać temu wszystkiemu jakiś koniec piękny i wzniosły, nie umiała sobie już dać rady. Wszystko to, co dotąd w hołd namiętności ludzkich była spisała, było pstre i jaskrawe, jak szmatki i odcinki różnokolorowe, które odcięte od jakiegoś pięknego dzieła, walają się wyrzucone na śmiecisku. Biedna autorka myślała, że utworzy jakieś przecudne dzieło, a ona pozbierała tylko te odcinki na śmiecisku życia!

Margrabina przewracała kartki jednę po drugiej; były to chwile i dni jej życia. Jakże bolesną jest ta burzliwa przeszłość dla kobiety o twarzy pomarszczonej! Każdy jej zmarszczek, który jak siatka misterna okrąża jej smutne, zamyślone oko, jest dla niej smutnem pismem, że jej życie, któremu trzeba już odjąć namiętność, stanie się tylko powolnem konaniem!

W tych smutnych pogrążona kontemplacjach, usłyszała jakiś szelest za sobą. Niegdyś na taki szelest biło jej serce, krew farbowała lica, jak farbuje jutrzenka niebo poranne, a dzisiaj tylko uczucie jakiejś trwogi zadrgało w jej lękliwem sercu, które tyle przebyło uniesień, a żadnego z nich nie schowało w sobie na czasy smutku i żałoby!...

Margrabina spojrzała za siebie, a ś. Jan Baptysta z bia-

łym u nóg barankiem odsłonił jej pomiętą już nieco troskami postać dozgonnego towarzysza.

— Jakie ty szczególne miewasz przeczucie, mój drogi Achilu! — zawołała margrabina, zamykając książkę w czerwony safian oprawną.

— Ale twoje przeczucia, kochana Hermino, oszukały mnie! — odparł smutno margrabia.

— Jakie przeczucia?

— Hrabia Leon odjechał, nie spojrzawszy nawet na Janinę!

— Ach, ty jesteś okrutny! Przeczuwając, co się w mem sercu dzieje, do kielicha cierpień moich dolewasz jeszcze goryczy!

Margrabia nic nie odpowiedział. Obrócił się do ściany i wpatrzył się na Samsona, któremu kobieta włosy ucina.

— Nie uwierzysz, wiele ja na tem cierpię! — mówiła dalej margrabina.

— Niepotrzebnie wplątałaś hrabiego Leona w miłostki z majorową — odparł margrabia, nie odrywając oczu od Samsona.

— Któżby się spodziewał, że do tego przyjdzie! Opierając się na doświadczeniach serca —

— Popsułaś los Janinie.

Margrabina przyłożyła chustkę do oczu i poczęła płakać. Usłyszawszy to margrabia, odwrócił się od Samsona, do którego jakąś szczególną miał sympatję, a zbliżywszy się do żony, rzekł:

— Już się stało, kochana Hermino, musimy sobie wzajemnie wybaczać.

— Mnie do tego kroku wiodło serce matki — mówiła śród łez margrabina — ja chciałem dla Janiny jak najlepiej!

— Nic tak bardzo złego się nie stało — odparł spokojnie margrabia, patrząc z upodobaniem na popielate swoje nogi. — Janina może się zawsze podobać, jeźli nie ten, to inny!

— Ach, ona strasznie cierpi!

— Nie spodziewałbym się tego. Janina, widać było, nie lubiła go.

— Ty nie znasz serca kobiety. Janina z razu nie lubiła go, bo była przekonaną, że on dla niej przyjechał. A gdy spostrzegła, że on tylko grzecznością ją zbywa, a gdzieindziej swój afekt zwraca, biedna dziewczyna ledwie nie oszalała i nawet dosyć widocznie chciała go do siebie przyciągnąć. Zresztą rozsądek nakazywał jej nie lekceważyć tak dobrej partji. Ale gdy wczoraj wieczór hrabia Leon dosyć obojętnie z nią się pożegnał i wszystkie jej nadzieje zawie-

dzione zostały, biedna Janina aż spazmów dostała, tak ją to zmartwiło. Obrażona duma kobiety jest coś strasznego. Janina była pewną swego — zawiedziona dzisiaj byłaby w stanie zrobić z siebie ofiarę! Czy wiesz, co mi dzisiaj, gdym ją reflektowała, powiedziała? Mówiła: «Mamo, czy ja koniecznie mam iść za księcia lub hrabiego? Jabym poszła za naszego doktora. Il est très bien! Ja go bardzo lubię!»

— Dziecko! — ozwał się margrabia, posuwając ręką spokojnie po gładko ogolonej brodzie.

— A wiesz, to tylko rozpacz mogła jej takie słowa podyktować — mówiła dalej margrabina. — To może ci służyć za miarę jej cierpień.

Nieszczęście córki zelektryzowało popielatę nogi margrabiego. Wstał z krzesła, na którem przed chwilą był usiadł, i szybko zbliżył się do okna. A do bramy zamkowej wjeżdżał właśnie angielski powóz starego negocjanta. Jakieś niedobre przeczucie opanowało jego serce. W milczeniu zbliżył się do ś. Jana Baptysty, który skwapliwie odsłonił mu drzwi do wązkiej, ciemnej galerji.

Margrabina została sama w świątyni swoich wspomnień i marzeń. Rozłożyła znowu książkę w czerwony safjan oprawną, spojrzała smutno na dewizę, w którą od pierwszego zmarszczku z każdym dniem poczynała tracić wiarę, i zamyśliła się głęboko nad losem biednej, rozpaczającej jedynaczki, w której sercu jednak nie umiała czytać!

---

Margrabia posadził bankiera na kanapie w swoim gabinecie, jak to zawsze od czasu spółki zwykł był czynić. Ale złoty jego humor opuścił go dzisiaj. Mimo wszelkiego wysilenia miał minę kwaśną. Stary negocjant spostrzegł to, a szybki jak błyskawica uśmiech przebiegł po jego zżółkłej twarzy.

— Pan margrabia utraciłeś gościa — zaczął bankier, poprawiając sztywnych kołnierzyków — a ja córkę...

— Pieniężne interesa wezwały go do Berlina — odparł margrabia. — A pańska córka... aha, już po weselu!

Stary negocjant znowu się uśmiechnął. Jego plany udawały się mu wybornie.

— Jestem w ciągłych kłopotach, panie Warner — mówił dalej margrabia, porzucając niemiły mu przedmiot rozmowy — nowe gospodarstwo bardzo wiele kosztuje, a nic nie przynosi.

— Tego roku powszechny nieurodzaj.

— I fabryka nie mało mi trosków sprawia... pół roku już na schyłku, a dotąd nie ma ani nadziei —

— Właśnie w tym interesie przybyłem, trzeba coś stanowczego uradzić.

— A cóż jest więcej do uradzenia? — zapytał zdziwiony margrabia. — Wszak nic nam nie trzeba, prócz tego czasu, w którym fabrykę w ruch puścimy!

Negocjant skrzywił się, jakby mu kto octu do gęby nalał, i rzekł:

— Daleko jeszcze do tego, panie margrabio, bardzo daleko.

— Jakto, daleko?

— Okazało się, że potrzeba więcej pieniędzy i większej skali, abyśmy jaki zysk mieć mogli.

— Co mówisz, panie Warner! — zawołał margrabia z wyrazem trwogi na twarzy.

— Tak jest — odparł spokojnie bankier — wiadomość ta popsuła mi radość wesela, które właśnie mojej Matyldzie sprawiałem.

Margrabja milczał czas niejaki, poczem ozwał się cichym głosem, w którym przebijała się trwoga:

— I wieleby jeszcze brakowało?

— Dwie trzecie części — rzekł spokojnie bankier, wlepiwszy swój wzrok w twarz margrabiego.

— Dwie trzecie części! — krzyknął margrabia i wstał z krzesła.

Negocjant śledził pilnie wszystkich jego ruchów, a gdy margrabia, chodząc po pokoju, plecyma do niego się obrócił, szatańska radość strzelała mu z oczu. Nie mógł być panem uczuć swoich i z niepokojem kręcił się na krześle.

Gdy margrabia napowrót na swojem krześle usiadł, miał już twarz spokojną, jakby się wcale nic nie stało.

— Dwie trzecie części, mówisz panie Warner — rzekł powoli i z uwagą — to będzie dla mnie z niemałym kłopotem.

— A tem większy kłopot — mówił dalej negocjant — że te dwie trzecie części tylko z dwóch rąk wypłynąć mogą.

— Dla czego z dwóch?

— Bo Pifke zbankrutował!

— Pifke zbankrutował! — zawołał margrabia i równemi nogami wstał z krzesła.

— I wprowadził nas w wielkie nieszczęście — dodał stary negocjant z westchnieniem.

Był to niespodziewany cios dla margrabiego. Wszystkie jego nadzieje opierały się jedynie na tem przedsiębiorstwie. Ostatni ratunek spełzł na niczem. Chciał według zwyczaju

poprawić sobie chustką, chciał posunąć ręką po gładko ogolonej twarzy, ale ręka jego zadrżała, odtrąciło ją coś od chustki i od twarzy.

— I cóż robić w tym razie? — zapytał głosem bez dźwięku.

— Nic nie robić... zaniechać całego przedsiębiorstwa.. przynajmniej na niejaki czas.

— Nie, nie, nigdy...mnie by to zgubiło — poderwał szybko margrabia.

— Innej rady nie ma na to — odparł zimno bankier. — Najprzód bankructwo Pifkiego rzuca nadzwyczaj złe światło na całe przedsiębiorstwo. Opinja już źle uprzedzona... żadnego innego spólnika nie dostaniemy. A dla mnie samego jest to za wiele. Dwoje rąk nie wystarczy tutaj.

— Jabym odstąpił komu moje akcje — rzekł margrabia cichym głosem.

— A któż je weźmie? — poderwał negocjant. — Ja dałbym pół straty!

Margrabia spojrzał smutno na swoje nogi popielate, spojrzał smutno na ścianę, gdzie w żelaznej zbroicy wisiał kasztelan Jarost, zabity w potrzebie przeciw Krzyżakom, i zdawało się, że w tej chwili żałował, że urodził się w czasach nieszczęsnych spekulacji. Jakoś przyzwoicie było mu stracić życie, niżeli majątek.

— O nową pożyczkę trudno — rzekł po chwili.

— Ani myśleć! — podjął szybko negocjant — do tego... mimo mojej wiedzy i woli zanotował mój prawnik dziesięć tysięcy dukatów...ale to nic...tylko że dla pożyczki...

— Jakie dziesięć tysięcy dukatów? — zapytał z zadziwieniem margrabia.

Warner odkrząknął, uśmiechnął się pod chustką do nosa i zaczął:

— Zapewnie przypomni sobie pan margrabia, że kupując Mogiły od pana Górnickiego, wziąłem od niego cesję wszystkich jego pretensji. Mówił on mi o należytościach u pana margrabiego, ale że na nie skryptu nie mógł znaleźć, więc przyjąłem je ryczałtem za pewną dodatkową sumę. Dzisiaj między pozostałemi papierami odszukał mój prawnik własnoręczne skrypta pana margrabiego —

— Moje skrypta...nie prawda! — zawołał margrabia — to jakieś krętarstwo...

— Mam tu wierzytelny odpis — rzekł margrabia, wyciągając długi papier z zanadrza.

Margrabia szybko przebiegł go oczyma.

— To moje kwity! — krzyknął — Górnicki administrował mój majątek!

Negocjant ruszył ramionami.

— Sąd przyjął je za skrypta długu — odparł spokojnie.

— Ale nie przyjmie za dług. Wszak Górnicki, o którym nie wiedzieć, gdzie się znajduje, gdy się go powoła —

— Górnicki już nie żyje. Niejaki Link, który jest teraz u nas, a który wtedy był w Galicji, widział na własne oczy jego śmierć r. 1846 i w sądzie zaprzysiągł.

Margrabia z trudnością znalazł krzesło i rzucił się na nie.

— Cóż to wszystko znaczy, mój panie Warner? — zapytał po chwili.

— To nic a nic nie znaczy — poderwał szybko negocjant, widząc, że margrabia blednieje — wszak mówiłem, że to wszystko stało się mimo mojej wiedzy i woli. Ja wiele rzeczy uczyniłem dla pana margrabiego; takie drobnostki nie powinny waśnić między sobą spólników.

Kasztelan grodzki Jarost zachmurzył się i gniewnie spojrzał na ostatniego swego potomka, który w taką wszedł spółkę. Ale potomek jego nie myślał w tej chwili o fundatorze Dąbczyna, nie myślał o jego napisie na bramie, który wyraźnie mówił, że «ad tuendum populum» te mury wznosi — margrabia myślał w tej chwili nad tem, jakby to z tych smutnych zawikłań wyjść z przyzwoitością.

— Dla czegoż pański prawnik...

— Mój prawnik pospieszył się — przerwał szybko negocjant — ale ja napisałem mu, że cała ta rzecz ułoży się między nami w cztery oczy. To bagatela.

— Ale ja nic nie winien panu Górnickiemu!

— A gdyby nawet i na tem poprzestać trzeba, to cóż robić? Mamyż się procesować?

Margrabia spojrzał na bankiera. On nie miał wiary w przyrodzoną szlachetność serca ludzkiego. Według niego interes, przyzwoitość i to, co nazywamy honorem w obec ludzi, były to jedyne sprężyny życia. Wszystko resztę było tylko frazesem. Dla tego postępowanie negocjanta było dla niego zagadkowe.

— Jakto, pan nie chcesz użyć tych papierów na moją niekorzyść? — zapytał po chwili.

— W tym razie, jeźli od daleko większych uchylę się niekorzyści — odparł spokojnie negocjant.

— I w jaki sposób może się to stać?

— Jeźli pan margrabia zachowa się od grożącego mu upadku.

— Jakto, mnie grozi upadek? — zawołał z dumą margrabia.

— Tutaj, na tej pozycji, niezawodnie — odparł negocjant z nadzwyczajną spokojnością.

Margrabia przygryzł usta. Jakieś złowieszcze cyfry stanęły mu przed oczyma. Powoli upadała w nim ta wiara tradycyjna, że potomek tak świetnego rodu nigdy upaść nie może i z mniejszą już dumą ozwał się do negocjanta:

— Zdaje mi się, że to zawcześnie jeszcze mówić o tem.

— Ale nie zawcześnie, aby mówić o sposobie ratunku! — wtrącił negocjant.

— Jakiż byłby sposób ratunku, jak pan powiadasz? — zapytał cichym głosem.

— Najprzód mówmy o najgorszem — zaczął negocjant, posuwając się na kanapie. — Zebrawszy dzisiejsze pasywa razem, okaże się z nich, że pan margrabia jest insolwentem. Stagnacja fabryki narobi hałasu — banki ześlą komisję do zbadania dóbr i wypowiedzą pożyczki. A przecież to nie z honorem dla pana margrabiego, trącić majątek przez subhastę.

— Nie....nie, nigdy! — zawołał margrabia — coby świat na to powiedział! Mówiliby, żem zbiedniał do koszuli!...

— Otóż temu trzeba będzie zaradzić.

Margrabia założył ręce i bezmyślnie patrzył przed siebie. Negocjant odkrząknął, uśmiechnął się i mówił dalej:

— U nas tutaj cena ziemi jest nadzwyczaj wysoka. Przemysł i porządna praca kolonistów jest tego przyczyną. Możnaby dość dobrze Dąbczyn sprzedać —

— Sprzedać! Nie, nigdy! — zawołał margrabia i przełożył nogę na nogę.

— Możnaby rozgłosić, że to dzieje się w celu przesiedlenia się w jakich familijnych widokach. Ze sprzedaży zostałaby się zawsze jakaś sumka, za którą możnaby gdzieś na Podolu lub Wołyniu kupić kawał obszaru. U nas ziemia i człowiek w takiej cenie, a tam dusze za bezcen! — dodał z sarkastycznym uśmiechem. To kraj jakby stworzony dla panów!

Margrabia nie słyszał tych dodatków uszczypliwych, bo myśl przesiedlenia się, która jego upadek tak szczęśliwie pokrywała, owładnęła wszystkie jego zmysły. Widząc to negocjant, zatarł ręce i mówił dalej:

— Aby uniknąć subhasty sądowej, jabym wziął kupno Dąbczyna na siebie. Dałbym nad sumę ostatniego oszacowania...

Margrabia wytężył ucho — suma wcale nie była do odrzucenia. Powoli zaczął się mu świat rozjaśniać — on myślał, że z hańbą i wstydem trzeba będzie kiedyś wyzuć się z majątku, a tu poczciwy człowiek ratuje go tak niespodzianie! A wstyd ubóstwa w obec świata, to hańba niezmazana, to śmierć!... A do tego taka ładna suma!

— Rozumie się — mówił dalej negocjant — że to czynię w nadziei, że na Dąbczyn potem kupca znajdę, lub folwarki pojedyńczo odprzedam kolonistom, bo naturalnie na takie dobra nie stać biednego negocjanta — dodał z uśmiechem hipokryty.

Margrabia nic na to nie odpowiedział. Liczył w duchu zakupione na Wołyniu dusze i z dumą wydął policzki, że znowu będzie panem, jak przystało na potomka Jarosta. Ów napis na bramie, owe «ad tuendum populum» ani mu na myśl nie przyszło! Po chwili, jakby się ze snu obudził, posunął ręką po twarzy, przełożył nogę na nogę i rzekł:

— Wierzaj mi, panie Warner, że już mnie znudziło to przeklęte nasze Poznańskie. Wielkie familje upadły lub wymarły — tylko drobna szlachta i dorobkiewicze. Nie ma nawet z kim żyć przyzwoicie. Gdybym miał jakie takie, godne towarzystwo, nie bawiłbym po za granicach, co mnie tyle kosztowało. W takich okolicznościach koniecznie zrujnować się trzeba. Więc wcale nie byłbym od tego, aby się przesiedlić. Tam, to jeszcze są większe majątki, można jakoś żyć z ludźmi. U nas to sama hołota. Trzeba się nad tem zastanowić.

— Nie można odwlekać.

— Trzeba przecież wykazów —

— Mam wszystko przy sobie...bo i nademną się pali. Pifke wiele mi zaszkodził.

Margrabiemu podobała się ta sprężystość negocjanta. Chciał on bowiem jak najprędzej rozstać się z majątkiem, który mu tyle co dnia przynosił kłopotów, a żadnych nie dawał dochodów.

Uradzono więc jak najprędzej skończyć ten interes, a tymczasem udał się margrabia do rodziny, aby ją o tym niespodziewanym wypadku zawiadomić.

Margrabina siedziała jeszcze w swojej świątyni marzeń, oraz wspomnień i przewracała karty książki czerwonej. Czytała właśnie stronicę, gdy była młodą i szczęśliwą, gdy wszystko paliło ofiary jej młodości i drżało na jej ogniste spojrzenia. Dzisiaj prócz kolców nie pozostało nic z tych kwiatów wiosennych — żaden z nich nie dotrwał do jesieni, do późnej jesieni! I gdzież teraz szukać odwagi, gdy chmura nieszczęścia zawiśnie nad głową? Na czem oprzeć zemdlałe ramiona, gdy podróż życia zaczyna być smutną i bolesną! Którąż namiętność weźmiemy wtedy w tę podróż?

— Kochana Hermino! — zawołał margrabia, zasuwając szczelnie ś. Jana Baptystę — mówiłem ci przed chwilą, że sobie wzajemnie wybaczać musimy. Przychodzę z nowiną, która na pozór jest niemiła, przy zimniejszej jednak rozwadze wcale jest dobrą.

Margrabina zamknęła karty swojej młodości i zwróciła się do męża. Margrabia opowiedział jej powoli wszystko, co zaszło. Skreślił jej stan obecny majątku i widoki swoje na przyszłość.

Margrabina słuchała na pozór z wielką obojętnością. Ale przy ostatniem słowie zbladła — jej głowa upadła bezwładnie na poręcz krzesła.

— Uspokój się, Hermino! — zawołał margrabia, biorąc ją za rękę — to jeszcze wcale nie źle dla nas wypadło!

— Ach, wyzuci z majątku! — krzyknęła spazmatycznie nieszczęśliwa kobieta.

— Nasze imię wystarczy nam dotąd za wszystko!

— Biedna Janina!

— Z tem imieniem znajdzie zawsze męża, który odpowie jej urodzeniu!

— Dzisiaj świat taki brzydki — dzisiaj każdy szuka majątku!

— Na Dąbczynie, który właściwie był do niczego, a w końcu po uregulowaniu stosunków włościańskich ani szeląga dochodu nie niósł, nic nam wcale nie zależy. Niech sobie tutaj koloniści gospodarują. Dla nas jeszcze pole na Podolu i Wołyniu. Że tam nasz majątek przenosimy, cóż na tem tracimy? Może to stare zamczysko, co się wali?

— Ja nie mogę z tem się oswoić! — mówiła z płaczem spazmatycznym margrabina. — Ja tutaj umrę!

— Chcę, abyście z Janiną jak najprędzej wyjechały do Drezna.

Po spłakanej twarzy margrabiny mignęło jakieś weselsze uczucie.

— Do Drezna mówisz? — powtórzyła spokojniejszym głosem.

— Do Drezna. Jest to tanie i ciche miasto. Ja sam ukończę tutaj interesa, a przez to uchylimy się od pytań natrętnych. Co zaś w interesie opinji trzeba będzie zrobić, to uczynię. Terenia zostanie ze mną.

— Terenia zostanie?

— Widzę, że ta biedna idjotka codzień więcej ma dziwactw, które Janinę trwożą. Pomyślę nad jej umieszczeniem w jakim przyzwoitym klasztorze.

— To bardzo rozsądnie zrobisz... bo dla niej tylko klasztor może być azylem na tym świecie! — rzekła z głębokiem westchnieniem margrabina.

— A teraz powiedz coś o tem wszystkiem Janinie — kończył margrabia, zwracając się do ś. Jana Baptysty.

— Kiedy odjedziemy do Drezna? — zapytała jeszcze margrabina.

— Dziś, jutro...kiedy chcesz, kochana Hermino — odparł margrabia i zniknął w ciemnym kurytarzu.

Jasne promienie słońca, które wysokiem, gotyckiem oknem spłynęły z pogodnego nieba na kamienną posadzkę, zatrzymały nagle margrabiego, który zamyślony wychodził z ciemnej galerji. Powiódł okiem po tych ciepłych promieniach, zajrzał w pogodne, szafirowe niebo, i zdawało się mu, że jakaś stęchlizna grobowa naciska na jego piersi. Zbiegł po schodach i wyszedł na dziedziniec.

Na dziedzińcu walało się kilka odłamanych z muru kamieni, na których wyobrażony był herb Dąbczyńskich. Tam kupa gruzów, czerwoną posypanych cegłą, dawała schronienie żabom i płazom — wszędzie zniszczenie i ruina. Kamienny krużganek na lewym rogu zamku pochylił się i groził upadkiem, dach miedziany pośniedział i załamał się na samym środku, a na wieży zamkowej wskazuje zegar godzinę jedenastą już od kilku miesięcy, jakby chciał wołać na mieszkańców: już czas ostateczny! Margrabia zwrócił się na prawo. Przed nim stała kaplica zamkowa. Na kamiennym progu, w pokorze ducha, kazał wyryć fundator imię swoje, prosząc wchodzących przez ten próg o modlitwę dla duszy swojej. Przez małe, żelazną kratą opatrzone okno padało światło w podziemia kaplicy. W tych podziemiach były groby Dąbczyńskich. Margrabia zaglądnął przez to okno — woń pleśni i próchna odrzuciła go. Jakieś niemiłe uczucie opanowało jego serce. Spiesznie postąpił naprzód, aby jak najprędzej prochy ojców swoich za sobą zostawić. On chciałby w tej chwili jak najprędzej od nich się oderwać — on chciałby pójść tam, gdzie nie ma żadnych smutnych wspomnień, żadnych smutnych pamiątek! I nie słyszał wcale, że na krużganku kaplicy zapłakały głośnym płaczem olbrzymie, kamienne postacie, które «ad tuendum populum» kasztelan Jarost tam był postawił, i rozwinęły szaty swoje, aby ztąd odlecieć daleko, daleko!...I rzekł w duchu do siebie margrabia:

— Urojone jakieś uczucie przywiązuje nas do miejsc dawnych. Dla czegoż nie zostawić gruzów za sobą, gdy ich nie można przerobić w gmach okazały? One nas tylko przygniatają i niepokoją. Dla czegoż nieustannie straszyć się widmem przeszłości? Niech śpią umarli — przeszłość pogrzebana — a dla nas życie! Dąbczyńscy i bez tych gruzów i bez tych kilka obszarów mokrej ziemi będą zawsze tem, czem byli!

A gdy do zamku powrócił, był już tak spokojny, tak niecierpliwie czekał negocjanta, któryby jak najprędzej wziął mu ten nieznośny ciężar z serca — tę kupę gruzów i tych

kilka garści prochów i kości, które z podziemia kaplicy tak niemile go zawiały!

Chciał jeszcze przeglądnąć wszelkie swoje mobilja, aby je ocenić i jakąś sumkę za nie negocjantowi położyć. Wszedł najprzód do błękitnego pokoju. Starożytna komnata przyjęła go w swoją duszną atmosferę, ścisnęła go za piersi i serce, ale margrabia odkrząknął i spokojnie szedł dalej. Na ścianie wisi wielki obraz, przedstawiający hołd Krzyżaków po odniesionem zwycięztwie. Po drugiej stronie mistrz Albert zrzuca habit zakonny i z rąk Zygmunta odbiera godność książęcą jako pierwszy książę pruski i lennik polski. W obu obrazach figurują Dąbczyńscy na pierwszym planie — ale pędzel gruby, układ figur wcale nie artystyczny; dla kupca nie mają te obrazy żadnej wartości. Margrabia minął je, nie położywszy na nie żadnej ceny.

Przy oknie stoi mały, trójgraniasty stolik, ze skórzanemi po bokach workami. Zapewnie służył on do gry w kostki. Dla kupca to grat stary — chyba w piecu go spalić!

Z tego pokoju prowadzą do wieży zamkowej tajemne drzwiczki. Margrabia pocisnął sprężynę — duszna atmosfera uderzyła mu na piersi. To skarbiec Dąbczyńskich. Pełno dziwnych, dawnych sprzętów. Świeczniki z drzewa toczone i jaskrawemi malowane barwami. Tam roztruchany potłuczone, dziwnych kształtów, kilkanaście sztuk zardzewiałej zbroi, tuzin kopji i kilka skrzydeł husarskich, a w kącie porzucone na ziemię leżą księgi i papiery — to archiwum Dąbczyńskich. Mól i robak roztoczył te stare graty — margrabia zamknął drzwi; dla kupca nie ma to rupiecie żadnej wartości!... Nad kominem wiszą trofea Dąbczyńskich: Buńczuki, chorągwie, kindżały, zbroice krzyżackie, miecze cesarskie — sama rdza i łachmany! Kupiec wyrzuci je oknem!...

Nie znalazłszy nic takiego, na coby jaką cenę położyć można, wrócił margrabia do swego gabinetu w kwaśniejszym nieco humorze.

— Ekonom z Czarnowód chce z jasnym panem mówić — ozwał się lokaj przy drzwiach.

— Czego chce, może i w kredensie powiedzieć! — odparł z niecierpliwością margrabia.

— On chce tylko z jaśnie panem mówić.

— Nie mam czasu.

Za chwilę jakiś łoskot dał się słyszeć w przedpokoju, a do gabinetu margrabiego wpadł zapyrzony Mietlica. Za nim z rozczochraną fryzurą wsunął się lokaj.

— Niech jaśnie wielmożny pan daruje — rzekł Mietlica, odsapując głęboko — ale te kutasy nie chcieli mnie tu wpuścić.

— Czego chcesz, człowieku? — zawołał margrabia, a lokaj tuż nad kołnierzem Mietlicy wstrzymał rękę.

— Najprzód niech jaśnie wielmożny pan odpędzi tę obrzydłą małpę, która ma kark tak twardy jak u dzika, a potem będę prosił łaski jaśnie wielmożnego pana o kilka słów na osobności w bardzo ważnym interesie. Jam z jeneralami mawiał nieraz.

Mietlica mówił to z największą determinacją i wyprostowany, jak przystało na wiarusa drugiego pułku ułanów, czekał odpowiedzi. Margrabia dał znak służącemu, aby się oddalił.

— Cóż to za ważny interes? — zapytał ekonoma.

Mietlica miał twarz tak dziwnie czerwoną, że trudno było z niej wyczytać, czy płakał, czy kilka kieliszków wódki nad zwykłą miarkę wypił. Zdaje się, że jedno i drugie razem się złączyło, bo pod oczami widoczne były ślady łez, a w koło głowy unosiła się jakaś anyżowa atmosfera, w której topił swego robaka stary wiarus. Margrabia zmarszczył brwi i niecierpliwie patrzył na suplikanta. Mietlica zaczął z uśmiechem jakiegoś zadowolenia:

— Daleko lepiej skończyła się ta sprawa, jak się obawiałem. Bo też jam nie miał pokoju i dniem i nocą. Zawsze mi Mateusz stał przed oczyma, jak święty Piotr w okowach. Ale ja sam nie podołam — bez łaski jaśnie wielmożnego pana —

— Co chcesz? mów jasno! — zawołał margrabia. — Ja cię nie rozumiem.

— Wszak wiadomo jaśnie wielmożnemu panu, że Mateusz Wojna, wnuk prawowity tego Sebastjana Wojny, który ten zegar na wieży składał, podstępem i zdradą człowieka niepoczciwego, którego cały Dąbczyn zna, że ma myckę na głowie i brzuch tłusty — wszedł do kałauzu, a jest niewinny jak święty Piotr w okowach?

— Cóż mnie do tego? — zawołał niecierpliwie margrabia.

— Jaśnie wielmożny panie! — odparł Mietlica. — Pradziad, dziad i ojciec Mateusza Wojny służyli w tym skarbie, a Mateusz nawet do ostatniej godziny, nim z miasta odchodził, nakręcał zegar na wieży zamkowej, i bywało, nieraz opowiadał mi, jak łaskawy był zawsze jaśnie wielmożny pan dla wnuka Sebastjana, który układał własnoręcznie ten zegar. Do kogoż mam się więc udać po pomoc dla biednego Mateusza, który teraz jęczy —

— Cóż ja mu pomogę? — przerwał margrabia.

— Bo to jest taki interes — mówił dalej Mietlica, uśmiechając się dowcipnie. — Zły sąsiad i burmistrz tutejszy usadzili się na biednego Mateusza, wywiedli go za granicę i tam

do kozy wsadzili. A tu tymczasem chcą mu rozwalić jego domek, który z łaski dziedziców Dąbczyna wystawił pradziad jego Sebastjan, ten sam, co to układał ten kunsztowny zegar na wieży.

— To być nie może — rzakł margrabia z miną, która coś niedobrego wróżyła Mietlicy.

— I jam tak z razu myślał...kubek w kubek — odparł ekonom, ośmieliwszy się podnieść rękę do wąsa — ale przecież inaczej się stało. Dom jego chcą mu wziąść i rozwalić, bo jest stary i krzywy, a Wojna nie ma pieniędzy, aby nowy wystawić. Otóż pisali tam do niego o tem i teraz kazali go otaksować. I właśnie dzisiaj zapowiedziano publiczną tego domu licytację, a zły sąsiad jego już się uśmiecha i głaszcze po brzuchu —

— Powiedz krótko, co chcesz!

Mietlica uśmiechnął się, podkręcił wąsa, z którego coś anyżowej wymknęło się woni, a pociągnąwszy kilka razy po nosie na znak, że teraz dopiero coś dobrego nastąpi, mówił dalej:

— Bylibyśmy z kretesem sprawę przegrali, gdyby nie wysoki rozum burmistrza! Taksatorami tego domku mianował jednego kolonistę, a drugiego szlufierza! Ha! ha! ha!

— I cóż ztąd?

— Alboż kolonista i szlufierz, co to z kółkiem na każdej ulicy stację ma, alboż to tacy ludzie wiedzą, ile wart jest domek rodzinny! he!... Domek rodzinny, w którym to człek się wychował, gdzie każdy kołek, każdy sęk coś nam przypomina!...Hej, mój Boże!...

Margrabia zmarszczył brwi i widocznie począł się niecierliwić.

— Otóż ten domek rodzinny Wojny oszacowali na trzysta talarów. Ha! ha! ha! na trzysta talarów! Jakże szlufierz i kolonista mogą wiedzieć, że domek rodzinny, że ojcowizna to skarb nieoszacowany dla człowieka!...Otóż zaraz pomyślałem sobie: Ten domek trzeba kupić, a gdy Wojna wróci, niech jakoś sobie z nim radzi. Boć to zawsze w mieście jeden grunt polski i tak coraz mniej jest tam naszych!

Margrabia miał coś w ustach, co wcale nie sprzyjało staremu gadule, ale nic nie powiedział.

— Mam uskładanych sto talarów — mówił dalej Mietlica, z coraz większą poufałością pokręcając wąsy — a gdybym jeszcze żonkę trochę poszturkał, tobym z niej wydusił jakie pięćdziesiąt, bo ręczę gardłem, że baba ma coś we wezełkach między bielizną. Ale to wszystko za mało. Braknie mi jeszcze połowa. Panu memu nic nie mówiłem, bo dalibóg pustki w stodołach. A tak jeźli jaśnie wielmożny pan da

połowę, to takiego figla wypłatamy temu szołdrze z tłustym brzuchem, który dzisiaj widocznie śmiał się ze mnie —

Chciał jeszcze coś więcej mówić rozochocony Mietlica, ale już mu czasu zabrakło. Margrabiał zadzwonił i z gniewem rzekł do lokaja:

— Zkądże ten zwyczaj, wpuszczać do mnie pijanych ludzi!

Służba czekała tylko tego rozkazu. Mietlica sam nie wiedział, jakim sposobem znikł mu margrabia z przed oczu, a gdy oczy szerzej mógł otworzyć, ujrzał wielki kawał nieba i boże słońce na niem, ale służby zamkowej już przed nim nie było.

Margrabia jeszcze nie uspokoił się z tego dziwnego zdarzenia, gdy służący zapowiedział Jerzego.

— Przeprosić — odpowiedział — jestem zatrudniony, i margrabina nie przyjmuje.

---

Słowa te słyszał stojący w przedpokoju Jerzy. Idąc do zamku, zdawało się mu, że wypełnia uczynek chrześciański, że smutnych i bolejących pocieszy współczuciem. Jego współczucia nie przyjęto — pół serca, które niósł w ofierze, odrzucono jak jałmużnę niegodną. On nie wiedział, że duma wynioślejszą jest w nieszczęściu.

Wychodząc z dziedzińca, spojrzał na ten stary, wspaniały zamek — spojrzał na te kamienne, olbrzymie posągi, stojące na krużganku kaplicy, spojrzał oczyma duszy i na tych, co tam w podziemiu leżą w grubych, ołowianych trumnach, leżą w pełnej zbroi, z prawicą na rękojeści szabli, która tę ziemię zdobyła, a którą dzisiaj oddaje do rąk obcych ostatni ich potomek!

I zdawało mu się, że traci część swego dziedzictwa które całą duszą ukochał, że te kamienne posągi, z któremi tak często o dawnych czasach rozmawiał, strąci ztamtąd obca ręka kupca, albo ozdobi niemi parkan ogrodu. Smutek ścisnął mu serce, a gdy do okien zamku oczy podniósł, ujrzał Janinę, która trzymała chustkę przy oczach i zasełała mu pożegnanie!

Biedny marzyciel zapragnął samotnej swojej izdebki.

Jakże wiele tu się zmieniło w tej izdebce! Pająk rozszerzył siatkę swoją i nałapał much, z których krew wysysał. Z ciemnych kątków wystąpiły do niego te same postacie, na które patrzał z zamkowego dziedzińca, ale były potłuczone i zgruchotane. Ich twarze patrzały smutno na niego, że je

oddano do rąk obcych! Ziemia ojczysta straciła kilka zagonów — kilka pamiątek narodowych spróchnieje i rozsypie się!...

Śród tych smutnych obrazów jasna twarz Janiny mignęła jak błyskawica przed duszą marzyciela. W jego sercu powstała dziwna walka. Zdawało mu się, że jakaś fałszywa struna tam się nagle ozwała. Z zamku odprawiono go — jego współczucia nie przyjęto. Różne myśli poczęły mu chodzić po głowie.

W tem drzwi się otworzyły — do pokoju wszedł Otton.

Jerzy wypatrzył się zdziwiony na gościa i w milczeniu wskazał ręką na fotel.

Otton miał twarz bledszą jak zwykle, oczy zamglone, jakby bezsenną noc przepędził. Jego usta drżały; jakieś wielkie, stanowcze słowo miało wyjść przez nie. Ale Jerzy tego wszystkiego nie widział. Przed jego oczami stały owe kamienne postacie z krużganku kaplicy i przelękłe cisnęły się do jego samotnej izdebki. Krawędź ziemi ojczystej, na który stali, odłamał się i pochylił w przepaść, aby zginąć na zawsze. A przecież to była myśl, która go tu zapędziła, aby na brzegu obcego lądu zaciągnąć się pod sztandar rycerzy kresowych! I cóż uczynił dla tej pięknej myśli swojej? On chciał się poświęcić, a tymczasem marzył o samym sobie! Czyż nie lepiej zerwać tę nić, którą serce swe obmotał, i wrócić napowrót do uczynionych ślubów swoich?

— Nie śmiem podać tej ręki, która do pana mierzyła — rzekł młodzieniec drżącym głosem.

— Krew jest symbolem dobrych uczuć — odparł Jerzy z uśmiechem, bo coś go ciągnęło do tego biednego młodzieńca.

— A więc z ufnością mogę się panu zwierzyć —

— Słucham pana — rzekł Jerzy, podając mu rękę.

— Wyobraź sobie pan najprzód, że pewnej osobie wiele zależy na względach panny Janiny.

Jerzy posunął się na krześle i wypatrzył się na Ottona.

— O te względy jednak jest mu bardzo trudno, bo te względy pan posiadasz.

Jerzy uczuł rumieniec na twarzy. Kamienne postacie z krużganku kaplicy stanęły gniewnie przed nim i zmarszczyły brwi.

— Nie wiadomo tej osobie, jakie są zamiary pana w tej mierze.

— Moje zamiary? — odparł Jerzy, który do tej chwili tak jasno jeszcze nigdy siebie nie zapytał — moje zamiary?... Ja żadnych nie mam zamiarów.

A kamienne postacie coraz bliżej okrążały go, coraz więcej ściskały go między sobą.

— Więc jeźli pan żadnych, pewnych nie ma zamiarów — mówił dalej młodzieniec, a blada twarz jego ożywiała się coraz więcej — to nie będziesz pan stawał na przeszkodzie innemu, który szczerze zajęty jest szczęściem Janiny i całej rodziny.

Jerzy uczuł, że mu serce zadrżało. Chciał wstać z krzesła i coś groźnego powiedzieć temu nieszczęsnemu posłowi — ale dziwna bezwładność opanowała go. Pochylił głowę jak winowajca, którego schwytano na uczynku, i słuchał dalej.

— Wiadomo panu, że margrabia traci cały swój majątek — mówił dalej Otton — że po spłaceniu długów prawie mu nic nie zostanie. Cała rodzina zejdzie na nędzę — dom tak okazały upadnie!

Kamienne postacie otworzyły usta, a Jerzy słyszał je mówiące, że wkrótce runą z krużganku, obcą strącone ręką! Cofną się granice ziemi ojczystej, zakreślone niegdyś orężem Bolesława!

— Jakiż los czeka biedną Janinę?...A ta osoba pragnie i jest w stanie odżegnać to nieszczęście od domu Dąbczyńskich, ocalić ten zamek starożytny i cały majątek zatrzymać przy rodzinie, byle tylko względy Janiny przychyliły się na jej stronę. A to tylko pan możesz uczynić. Tylko pan możesz być zbawcą tak znakomitego domu!

Kamienne postacie wzięły się za ręce i otoczyły Jerzego. Poczęły pląsać z radości, że jest ktoś, który je ocali!

— Jakim sposobem mogę ja być zbawcą tej nieszczęśliwej rodziny? — zapytał po chwili Jerzy, na którego twarzy malowała się wewnętrzna walka.

— Jeźli pan przez zerwanie stosunków swoich z Janiną dopomożesz tej osobie do jej względów...

— Jakże to być może, mój panie? — rzekł na to zdziwiony Jerzy, któremu w tej chwili przyszła na myśl propozycja starego negocjanta, aby nie umierał!

— Jeźli pan, jak sam mówiłeś, żadnych nie masz zamiarów, to nawet obowiązkiem jest każdego szlachetnego serca...

Jerzy zarumienił się — uczuł prawdę tych słów.

— Ale czy tak można traktować o uczucia serca? — rzekł po chwili.

— Janina ma piękne, szlachetne serce. Ona dla uratowania rodziców wiele uczynić może. A potem, gdy pozna

bliżej tę osobę, która dzisiaj do niej nie może się zbliżyć, przekona się o jej zupełnem poświęceniu dla niej.

— To będzie miała dla tej osoby szacunek — ale miłość ...

— Ugruntowany na takiem uczuciu szacunek stanie się wkrótce miłością — Janina ma piękne, wzniosłe serce!

Ogień zapału zamigotał w pięknych oczach młodzieńca. Silne uczucia rozwinęły dziwnie słabą, miękką jego duszę. Jerzy nie patrzył w tej chwili na młodzieńca; on myślał dziwnym sposobem — o Leonie! A kamienne postacie coraz groźniej otaczały go w około, wołając głośno: ratunku! ratunku!

— Osoba, w której interesie tutaj przemawiam — mówił dalej Otton — miała jeszcze wydane do rąk swoich papiery, które wielu rodzinom mocnoby zaszkodziły. Radzono jej złożyć te papiery w ręce pana, pod warunkiem, abyś pan za to zrzekł się swoich zamiarów. Miała to być spekulacja na pańską szlachetność i gotowość do poświęcenia się. Ale podobne postępowanie byłoby nieszlachetne. Otóż ta osoba powierza te papiery panu bez wszelkich warunków. Jeźli pan przychylisz się do jej prośby, to w nagrodę tego szlachetnego uczynku możesz pan mieć wewnętrzne przekonanie, żeś tyle rodzin od nieszczęścia ochronił.

Rzekłszy to młodzieniec, dobył z pugilaresu dość spory pakiet i położył na stole. Jerzy przebiegł go szybko oczyma, widoczny przestrach malował się na jego twarzy.

— Któż był tak nierozsądny? — zapytał dziwnie pomięszany.

— Te papiery mają być po panu Górnickim...

— Górnickim! — zawołał Jerzy i oczy w ziemię spuścił. Wszak on to mógł być sprawcą tego nieszczęścia. Były to papiery z wykradzionej mu szkatułki.

Czas niejaki milczał, nie mogąc żadnego powziąść postanowienia. Tysiączne myśli krzyżowały się w jego głowie, przed oczami snuły się jakieś dziwne, złowrogie mary. Konwulsyjnie ścisnął papier w ręku, jakby mu kto chciał go wydrzeć; w duszy odbywała się walka ofiary!

Widząc to młodzieniec, nie chciał w tej chwili czekać na odpowiedź Jerzego; chciał go zostawić samego, aby ta bolesna walka odbyła się bez świadka. Ścisnąwszy go więc za rękę, rzekł do niego:

— Niech pan to wszystko rozważy i według tego niech sam potem zastosuje swoje postępowanie. Więcej nie mam panu nic do powiedzenia. Przyjaźń pańska będzie dla mnie zaszczytną.

A gdy Jerzy z krzesła powstał, Ottona już nie było w pokoju.

Nie miał przyjaciela, przed którym mógłby do gruntu serce otworzyć. Jego samotna izdebka już mu nie wystarczała. Za kilka chwil był już w drodze do Czarnowód.

---

## V.

W Czarnowodach gotowano się właśnie do wielkiego festynu. Nic jednak o tem nie wiedział ksiądz Maciej. Rozszedłszy się przed chwilą z majorem, wziął się do brewiarza, aby w tak trudnem położeniu wymodlić sobie od Boga potrzebnej pomocy. I gdy się zmierzchać poczęło, wziął na siebie tę samą, nową sutannę i ten sam lepszy kapelusz, w którym przed kilkoma godzinami miał odbyć wcale inną misję; a wyszedłszy z izdebki, puścił się drogą do białego dworku. Zawiodłszy się dzisiaj na wszystkich swoich rachubach, już nic nie układał naprzód, co będzie mówił i gdzie usiędzie, tylko wszystko zdał na Boga, który wyraźnie powiedział, że będzie w ustach sług swoich, gdy im mówić będzie potrzeba. W dodatek do tej pobożnej ufności wziął z sobą tabakierkę szyldkretową i co kroku zaglądał do niej, czy nie ubyło z niej potrzebnego mu dzisiaj specjału. A chcąc się w pobożne wprawić natchnienie, zanucił sobie po cichu: «Dies irae, dies illa».

Słońce zachodziło prześlicznie, a jedna gwiazdka po drugiej wytryskiwały z błękitnego tła niebios. W całej naturze było tak cicho, tak spokojnie! Wody jeziora wyglądały jak jedna szklanna szyba, i nie było ani śladu na nich owej wczorajszej łódki, która o tym samym czasie mknęła tędy, do tych grup drzewa...A ta sama gwiazdka, która tak ciekawie wczoraj z nieba patrzała, patrzy dzisiaj tak spokojnie, tak serdecznie mruga do poczciwego kapłana!

Ale cóż to się nagle stało? Ksiądz Maciej stanął, wytężył ucho, przyłożył rękę do czoła. Jakieś dziwne tony zalatują go od dworku. Nad dachem goreje łuna złowieszcza! Przeżegnał się, rozkręcił tabakierkę, słuchał i patrzał, i coraz wyraźniej przynosi mu tony jakiejś muzyki wiatr południowy, a nad dachem dworku coraz jaśniejsza bije łuna!

Ksiądz Maciej odmówił krótką modlitwę, obejrzał się w około, czy zły duch jakich figlów mu nie płata, i dalej sporym ruszył krokiem.

Wszedłszy w dziedziniec, stanął nagle jak wryty. Światła zaświeciły mu się w oczach; jakieś dziwne, czarne postacie wyprawiały pląsy szalone, z pod lip grzmiała ochocza muzyka, a stary Dębicz, znaczny między wszystkimi, na ganku uśmiecha się do tańczących.

W oczach proboszcza pociemniało, potem zrobiło mu się za jasno, a po chwili znowu zdawało mu się, że widzi we śnie ucztę Sardanapala, że widzi ową ścianę pałacu, na której olbrzymia ręka właśnie pisała słowa: «Mane, tekel, fares!...» I czuł, że się pod nim nogi zginają, że szylkretowa tabakierka na ziemię mu upada, że nagle jakaś zmora sturamienna chwyta go i targa na sztuki, a gdy oczy wzniósł do nieba, ujrzał strasznego anioła sądu bożego, który na dniu ostatecznym głosem trąby ma pobudzić wszystkich umarłych!...

Po chwili przyszedłszy do siebie, spostrzegł ksiądz Maciej, że jakimś dziwnym sposobem wpadł w sam środek tańczących, a gdy na dwór spojrzał, obaczył w oknie olbrzymi transparent, przedstawiający anioła już w niemłodym wieku, dmącego z całą siłą w ogromny puzon. Z puzona wylatywały w różnych pozyturach litery, które złożone razem brzmiały: Vivat! Przekonawszy się także, że i szylkretowa tabakierka w jego jest posiadaniu, wymknął się ksiądz Maciej z szalonego koła rycerzy i do ganku pospieszył.

Na ganku rzęsisto oświetlonym siedział Dębicz i siwą brodą oraz całem otoczeniem przypominał dawne, dzisiaj bajeczne czasy patrjarchów. Z roskoszą wpatrywał się w pląsające grono wieśniaków, z starszymi rozmawiał, jak to dawniej bywało, a hożym dziewczętom rozdawał przygotowane od Zuzanny upominki. I tak był szczęśliwy ten staruszek, tak mu jakoś dobrze było dzisiaj na świecie, tak jasnemi w około spoglądał oczyma, że potrzeba było serca z kamienia, aby go w tej chwili zasmucić tak nieszczęsną wieścią, z jaką właśnie przybył ksiądz Maciej.

W koło niego siedziało kilku sąsiadów, którzy dawnym obyczajem przybyli powinszować koledze swemu. A sam solenizant stał na uboczu i osłupiałym wzrokiem patrzył przed siebie. Tańczący na dziedzińcu wieśniacy wydali mu się jak mary złowieszcze, urągające się jego nieszczęściu. Zuzanna nie była także wesoła; snać smutek męża nie uszedł jej oka. Jerzego jeszcze nie było.

Gdy major księdza Macieja na dziedzińcu obaczył, pospieszył do niego, a chwyciwszy go w ramiona, długo trzymał twarz przy jego piersi. Ksiądz Maciej uścisnął mu tylko rękę i żadnych innych powinszowań w tym dniu mu nie powiedział.

— Nie możemy się ciebie doczekać, księże Macieju — zawołał stary Dębicz, wyciągając rękę do niego. — Musisz nam uroczystość dzisiejszą pobłogosławić, żebyśmy zbytnią wesołością nie grzeszyli przed Panem Bogiem. Bo że jesteśmy aż do zbytku weseli i szczęśliwi, to sam widzisz, patrząc na nas.

Ksiądz Maciej uścisnął podaną mu rękę i czemprędzej rozkręcił tabakierkę. Chciał coś odpowiedzieć, ale czuł łzy pod powieką i nie chciał swego bolu zdradzić. Podniósł tylko rękę i zgromadzonym przed gankiem wieśniakom pobłogosławił.

— A nam nie błogosławisz, księże Macieju? — rzekł Dębicz z wyrzutem. — Błogosław i nam, abyśmy na rok przyszły tak samo jak i teraz, tu na tym ganku siedzieli przy krzepkiem zdrowiu i szczęściu spokojnem.

Ksiądz Maciej podniósł rękę, ale łzy zasłoniły mu tych, którym miał błogosławić.

— I chleb przeżegnaj... chleb żytni, polski! — zawołał Dębicz. — Przeżegnaj te wieńce żyta i pszenicy, aby na rok drugi stokrotnie rozmnożył ją Bóg w ziemi naszej i nakarmił biedny lud nasz, jak niegdyś nakarmił rzeszę, słuchającą słów jego.

Księdzu Maciejowi już się łzy jak groch puściły z oczu. Przeżegnał te wieńce żyta i pszenicy, i spiesznie odwrócił się od zgromadzenia. Szylkretowa tabakierka zaskrzypiała, podniósł głowę do góry, jakby się z uwagą przypatrywał misternie uwitym festonom. A gdy po chwili na majora popatrzył, wyczytał z jego oczu tak wymowną prośbę, aby sędziwemu staruszkowi tych kilka jasnych chwil życia dzisiaj nie odbierać. Ucieszyło go jakoś to wejrzenie majora, a na znak, że je dobrze zrozumiał, puknął kilka razy w tabakierkę i nową z niej wziął szczyptę.

I w samej rzeczy, widok tej uroczystości miał w sobie wiele rozczulającego. Na zielonym trawniku przed gankiem kręciły się pary ogorzałych wieśniaków. Nie było tam strojów błyszczących: wprost od pracy wzięto się do zabawy. Kosy i sierpy pozawieszano na gałęziach lip, w dali pod szopą ustawiono pługi i inne narzędzia gospodarskie. Była to najpiękniejsza dekoracja sali balowej. Szerokie liście lip i kasztanów splatały się w jakieś arabeski po nad głowami tańczących, a z jasnego tła nieba migały gwiazdy, płynęły białe, światłem księżyca osrebrzone chmurki.

Tam gromadka starych wieśniaków gwarzy coś sobie o tegorocznych urodzajach i patrzy z roskoszą na hasającą młodzież. Jedni drugim szepcą do ucha, że ta lub owa para jakby dobrana dla siebie, że w zapusty trzeba sprawić weselisko, dać dwie krowy, pług, wózek i coś grosza... Tam

kupka starszych kobiet może to samo podaje sobie do ucha. A z po za gałęzi lipowych strzela hoży parobczak na Kasiunię czarnooką, która najlepiej wywija obertasa. Tu znowu chichoczą młode dziewczęta, wesołe i puste, jak stadko kóz roskosznych. Każda z nich niby to nie patrzy na taniec, niby zmordowana, ociera fartuszkiem pot z czoła i z brwi czarnych, a tu z ukosa rzuca okiem na swego tancerza i mało serce nie wyskoczy jej z pod rąbka koszuli, że tak długo w taniec jej nie bierze! A muzyka tak skocznie gra, aż same nogi się plączą! Tylko Paliwoda siedzi pod kasztanem smutny na próżnym moździerzu. Mietlicy z prochem jeszcze nie ma.

Stary Dębicz wodzi okiem po wszystkich grupach i uśmiecha się jak ojciec rodziny. Równego z nim wieku wieśniak, co to jeszcze nieboszczyka Dębicza pamięta, siedzi teraz koło niego i opowiada mu, jak to on był dzieckiem i jak dobrze przypomina sobie taki sam obrzynek w tem samem miejscu. A będzie temu lat ośmdziesiąt — były to lepsze czasy! mówi stary dziadek. A muzyka pod lipami gra tak skocznie, tak wesoło.

Rozstąpiła się grupa starszych wieśniaków: przed ganek wyszedł Maciejaszek, najbogatszy i najrozumniejszy wieśniak z całej gromady. Muzyka ucichła, tany ustały. Maciejaszek odgarnął włosy z czoła i zaczął mówić jakąś długą orację. Zwróciwszy się do Dębicza i majora, mówił wiele o dobrych panach, co to w gromadzie świecą się jak świeczniki w kościele, pomogą biednemu i pocieszą w nieszczęściu. Wprawdzie dzisiaj odłączono gromadę od pana i obiecano jej pomoc króla, ale przysłowie stare mówi, że Bóg wysoko, a król daleko — a pan przecież jest blisko, tylko zapukać. Mówił dalej, jak gromada zawsze była rada dziedzicom swoim, bo dziedzice zasłużyli sobie na to przywiązanie. I jak wiele szczęśliwszą jest od gromady Mogił, gdzie nikt się nią nie opiekuje, gdzie dwór luterski nigdy o nią się nie pyta, a nowy pan nigdy z człekiem nie pomówi.

Tutaj przerwał mówiącemu szelest pod lipami. Najbliżsi zwrócili tam oczy i ujrzeli stojącego jakiegoś nieznajomego człowieka, który nagle skrył się za drzewa. A że Maciejaszek tem wydarzeniem przerwał sobie swadę i dalej oracji prowadzić nie chciał, więc zakończył silną apostrofą do starego Dębicza, któremu życzył jeszcze lat drugie tyle, do majora i Zuzanny, którym cała gromada przez jego usta zasełа podziękowanie za ich dobre uczynki.

Stary Dębicz rozczulił się aż do łez, major spojrzał na księdza Macieja jak człowiek, który wyroku śmierci oczekuje; a Zuzanna westchnęła i zamyśliła się. Ksiądz Maciej rozkręcił tabakierkę aż zaskrzypiała i na pułapie ganku szukał

nadaremnie owego sztukowanego belka, który w kłopotach jego tak wielką robił mu przysługę.

A czeladź dworska podochocona aż do zbytków, żartowała przy piekarni ze starego kucharza, krytykując jak jaka gawiedź literacka dzieło mistrza. Polny szedł w zakład o flaszkę wódki, że nos anioła większy od nosa Wojciecha, a stangret przymawiał trąbie, która według niego podobną była do rondla, w którym wysmarzyły się w różne litery wyrabiane ciasteczka. Stary kucharz przyjmował z pokojem ukończonego artysty wszystkie te złośliwe krytyki, opowiadając zoilom swoim, że konterfekt anioła byłby daleko lepiej wypadł, gdyby mu nie zabrakło błękitnej farby.

Stary Dębicz był tak wesoły, tak szczęśliwy!

Muzyka po krótkiem milczeniu zaczęła nowego tańca. Ale stało się to z takim jakimś hałasem, że wszyscy spojrzeli pod lipę, gdzie siedzieli muzykanci. Śmiech powszechny rozległ się po liściach lip i kasztanów. Między muzykantami stał stary kucharz, z białą czapką na głowie i pełnemi policzkami dął na klarynecie. Złośliwa krytyka pod piekarnią wytrąci mu może na zawsze pędzel z ręki, a że to człowiek muzykalny, więc wziął stary swój klarynet i mimo różnicy nastroju, dał się słyszeć nagle na nowem polu sztuki.

Stary Dębicz śmiał się, aż mu łzy w oczach stanęły. Z wielką biedą odpędzono kucharza od trzody Apolina i na nowo grać zaczęto. Zawołany do Dębicza kucharz, skarżył się na stangreta i polnego, którzy anioła jego krytykowali, a którym on chciał na złość pokazać, że nie tylko malować, ale i grać potrafi, jeźli to afekt dla tak dobrych dziedziców nakazuje.

Podziękowano chórem staremu kucharzowi za jego afekt, za anioła i za klarynet, a stary Dębicz podał mu szklankę wina. Kucharz wypił, ale niekontent z dzisiejszych laurów, odszedł do swojej izdebki, z której w intermeccach zabawy wypuszczał jakieś dzikie, rozpaczliwe melodje na swoim klarynecie.

Stary Dębicz był w złotym humorze. Przysunął krzesełko księdza Macieja do siebie i rzekł do niego:

— Lękam się, aby Bóg mnie nie skarał za zbytnią wesołość moją. Tyle radości, tyle szczęścia już dawno nie zaznałem.

A gdy major, sąsiedzi i Zuzanna do niego się zbliżyli, słuchając co staruszek z takim zapałem opowiada, mówił tenże dalej:

— Patrzcie na ten cały obraz, od tych kasztanów aż do izdebki kucharza, z której słyszę jego wzgardzony klarynet. Tyle ludzi, a jestże między nimi choć jedna dusza, któraby dzisiaj uśmiechu na twarzy nie miała?

Pod kasztanem znowu dał się słyszeć szelest — a postać nieznajomego człowieka skryła się znowu po za drzewa.

— Niech mówią co chcą o dzisiejszej cywilizacji! — mówił dalej Dębicz. — Niech tam ślęczą sobie na giełdach, niech suszą mózgi na spekulacje, niech tworzą nowe systemata społeczeństwa ludzkiego w tem uprzedzeniu, że to, co jest stare i niedołężne... a ja przecież mówię wam, nie ma nad żywot szlachcica na wiosce rodzinnej! Kto ten żywot dla jakichś spekulacji opuszcza, lub żyjąc dla własnych namiętności, kto tę glebę ojczystą oddaje za weksle i inne grzechy swoje, ten zabija sam siebie i staje się zabójcą tej garstki ludu, która bez pasterza, jakim być powinien każdy prawy szlachcic, staje się pastwą wilków drapieżnych.

Pod kasztanami okazał się znowu ów człowiek nieznajomy, jakby chciał iść do ganku, ale wnet cofnął się i ukrył za drzewa. Dębicz mówił dalej:

— Było obyczajem przodków naszych, żyć śród tej młodszej braci. A kto ją porzuca, ten jest jak ów syn marnotrawny, który z groszem dziedzictwa poszedł w świat i marnie go stracił. Ale syna tego, gdy wrócił, przyjął w dom swój ojciec przebłagany i nawet ucztę dla niego uczynił. A my nie mamy ojca — gdy syn marnotrawny zapragnie wrócić w dom ojczysty — znajdzie go zamieszkały przez obcych, którzy rzekną mu: Nie znamy cię!

Gałęzie kasztanów zaszeleściały, najbliżsi spojrzeli w to miejsce, ale tam nie było nikogo. Dębicz ciągnął dalej:

— Niedawne temu lata, jak tu w około znałem wioski i miasta, które od wieków dzierżyła szlachta nasza. Dzisiaj nie ma już tej szlachty, koloniści zamieszkali te dworki białe, domy boże przerobili na bethauzy, a lud biedny tak biedny, jak sierota bez ojca, zapomniał imienia swego!

A odetchnąwszy głęboko, mówił dalej:

— Niegdyś zabierano ziemię orężem — dzisiaj dzieje się to pracą i spekulacją. Na oręż mieliśmy oręż, przeciw pracy postawmy pracę. I miejmy sobie to na uwadze, że na tym krańcu ziemi naszej, na którym mieszkamy, każdy uroniony zagon jest wziętą redutą, której bronić byliśmy obowiązani.

A podniósłszy oczy do nieba, zawołał uroczystym głosem:

— I dla tego dziękuję ci, o Boże, że mi żyć tak długo pozwalasz między swymi. I tobie wdzięczen jestem, Tadeuszu, żeś jako żołnierz-gospodarz stanął przy mnie i pracą swoją zabezpieczyłeś pokój duszy mojej. Pójdźcie tu, dzieci moje, niech was ucałuję. Gdyby mi kto to dzisiejsze szczęście odebrał, jabym żyć przestał!

Major schylił się, aby ramię staruszka ucałować. Potok łez puścił mu się z oczu. Zuzanna usiadła na taboreciku i pieściła się ze staruszkiem. A ksiądz Maciej dwie szczypty tabaczki raz po raz wziął z tabakierki i cicho odmówił modlitwę, aby nie popadł w pokusę, wątpiąc o dobroci boskiej. Odwrócił oczy od tej prześlicznej grupy, którą tworzyli starzec, major i Zuzanna. O! szczęście ludzkie, czem jesteś w obec wyroków mądrości boskiej!...

Tymczasem już znacznie pochłodniało. Staruszek kazał się wtoczyć do sali, dokąd i obecni goście za nim zdążyli. Młodzież wioskowa, zostawiona własnej swojej ochocie, poczęła jeszcze więcej wycinać i wyśpiewywać.

Śród tej powszechnej radości nikt nie zważał na nieznajomego widza, który stojąc za kasztanami, przypatrywał się tej uroczystości. Snać nie chciał, aby go widziano, bo za każdym głośniejszym śmiechem, za każdym jaśnieszym promieniem, które z ganku się rozchodziły, usuwał się w głąb cieni, między liście i gałęzie.

Teraz, gdy młodzież cała zatopiona w tańcu, nic w koło siebie nie widziała, wysunął się zwolna z po za drzew i ciemniejszą stroną ganku wszedł do sieni dworu.

W sali właśnie zrobiła się cisza, bo stary Dębicz coś chciał opowiadać, gdy nagle u drzwi pojawił się nieznajomy. Wszyscy spojrzeli ku niemu, a zadziwienie i przestrach malował się na wszystkich twarzach.

Nieznajomy ten człowiek był wysokiego wzrostu, miał postawę butną, ale już trochę nachyloną. Twarz jego była ogorzała i zmarszczkami okryta, długa broda spływała aż po pas, a resztki bielejących już włosów spadały w nieładzie z obnażonej głowy. Ręce miał ciężkie, spracowane, ubiór zaniedbany.

Stał chwilę przy progu, smutnem okiem patrzył po zgromadzonych, ale nic nie powiedział. Wreszcie jakby ze snu obudzony, zawołał Dębicz, żegnając się wielkim krzyżem:

— Wszelki duch chwali Pana Boga!

— Górnicki! — zawołał major i stanął jak wryty.

— Znaki na niebie...umarli wstają! — rzekł z cicha ksiądz Maciej i przetarł oczy, aby lepiej obaczyć.

Tymczasem kilku sąsiadów zbliżyło się do drzwi, obmacali nieznajomego i zawołali chórem :

— Górnicki!

Nieznajomy postąpił naprzód, podał wszystkim rękę, wszystkich serdecznie uścisnął i rzekł:

— Tak, jestem Górnicki...jestem ów syn marnotrawny...

— Zkądże przybywasz? — przerwał mu Dębicz, nie kontent w duchu, że na ganku czynił aluzje do Mogił.

— Przybywam z Nowej Holandji — odparł zapytany.

Zuzanna ze łzami w oczach przerwała ciekawość pytających i nowego gościa prosiła, aby usiadł i wziął jaki posiłek do siebie. Górnicki usiadł, ale potraw ani się tknął. Tłumaczył się słabością, która od kilku dni trapi jego ciało. Na co rzekł Dębicz:

— Nie ciało to chore, ale duch, kochany bracie, duch choruje, bo poczuł woń rodzinnego powietrza!... Z Nowej Holandji!... A myśmy wszyscy opłakiwali śmierć twoją!

— Tak jest — odparł Górnicki — śmierć wisiała nad moją głową, ale Bóg zachował mnie na większe katusze!

I sięgnął do oczu i roztarł dwie łzy. Wszyscy milczeli. Jerzy wszedł teraz do sali, a nie chcąc przeszkodzić jakiejś uroczystej scenie, schował się za księdza Macieja, który w milczeniu rękę mu uścisnął.

— Ciekawi zapewnie jesteście dziejów moich — mówił dalej Górnicki — są one krótkie, nie dłuższe od ewangielicznej powieści o synu marnotrawnym, jak to pan Stanisław bardzo trafnie na ganku opowiedział. Trafiłem wprawdzie na ucztę, ale ta uczta nie dla mnie! W moim dworku rodzinnym powiedzą mi: Nie znamy cię!...

— Wszak jesteś między nami jak w domku rodzinnym — przerwał mu Dębicz — każda strzecha szlachecka to twój domek rodzinny!

Tułacz westchnął i ruszył głową na znak zaprzeczenia. W sieni okazała się dziwnie rozogniona twarz Mietlicy i widać było po jego mocno wystających oczach, że coś strasznie ciekawego miał na języku. Ale ktoś ze służby przytrzymał go za poły kurtki i zreflektował go, że teraz przeszkadzać nie może. Górnicki mówił dalej:

— Wszędzie góra i dolina, dolina i góra, i nic więcej, powiedział poeta niemiecki, ale nie powiedział tego dla nas. Dla nas jeden tylko domek może być ojczystym domkiem!

Mietlica mrugnął oczyma w sieni i uśmiechnął się na znak, że tę sentencję absolutnie pochwala.

— Ale jakże zaszedłeś do nowej Holandji? — zapytał Dębicz, chcąc nieszczęśliwego tułacza odwrócić od smutnych myśli jego.

— Otóż krótka moja historja: Wiecie, co mnie zmusiło opuścić te strony. Ale przyczyniła się głównie do tego moja próżność. Majątek mój był na schyłku, mogłem jednak coś z niego uratować. Ale wstyd mi było mieszkać na mniejszej zagrodzie między swymi, a gdy do tego jeszcze znajome wam przyczyniły się okoliczności, sprzedałem Mogiły i wyjechałem do Galicji do mego brata Kajetana, który mieszkał pod Tarnowem. Kilka dni bawiłem u niego dosyć spokojnie.

Ale czwartego dnia zabłysła na niebie wielka łuna — krzyk mordu rozległ się na około — w nieszczęsnej ślepocie popełniono na tej ziemi grzech Kaimowy!... Kajetan miał żonę i czworo dzieci. Siedzieliśmy właśnie po wieczerzy i mówiliśmy o tej strasznej łunie na niebie. Na ręku matki posnęły dziateczki jak aniołki. W tem otoczono nagle dwór — czerń rozjuszonego chłopstwa wtargnęła do sieni. Wyskoczyliśmy z Kajetanem do nich i poznaliśmy między nimi niejakiego Linka, który włócząc się jako pismak pokątny po karczmach i chłopów do procesów namawiając, odniósł był za to na skargę Kajetana jakąś karę.

— Link! — ozwało się echo z sieni — Link! powtórzyło kilka głosów w sali.

— Kajetan odgadł zaraz, że zemsta tego niegodziwca sprowadziła na dwór rozjuszone chłopstwo. Gdy mowa nasza nic nie pomogła, wzięliśmy się do broni. Widząc to napastnicy, cofnęli się. Słyszeliśmy głos Linka: zapalić! Z czterech węgłów buchnął naraz płomień, a dziatki — czworo dziatek spało jeszcze!... Za godzinę runął dach, a gdym oczy otworzył, leżałem na śniegu pokaleczony, a przedemną dymiła się kupa gruzów — na świecie już nie miałem nikogo z mojej rodziny!... Za kilka tygodni wyszedłem daleko — daleko — szedłem, dokąd mnie oczy prowadziły!

Górnicki odetchnął, otarł pot pot z czoła i po chwili mówił dalej:

— Znane wam są smutne koleje tułacza! Bez rodziny, bez rodzinnego domku, bez przyjaciół, przechodzi przez świat żyjących jak cień upioru. Twarz jego odwyknie od uśmiechu, oczy wyschną od płaczu, a usta nauczą się bluźnić Bogu, bluźnić samemu sobie!... Ach! wy jesteście szczęśliwi! Wyście nie zaznali tego gorzkiego uczucia, gdy człowiek utraci kąt rodzinny, gdy za kilka srebrników odstąpi ten kawał ziemi, na której żyli jego ojcowie!... O, domku rodzinny! tyś jako zdrowie; ile cię cenić potrzeba, ten tylko się dowie, kto cię utracił!...

Twarz opowiadającego okryła się rumieńcem, a w oczach jego zamigotał płomień gorączkowy.

— Przeszedłem wiele krajów i narodów. Widziałem, jak dla marnego zysku opuszczają ludzie miejsca rodzinne i przenoszą się za morza. Niczem u nich zagroda ojczysta, a wszystkiem zysk i pieniądze! U nas zaś czego innego potrzeba do życia. Szlachcic bez dziedzictwa jest jak człowiek, który nie stoi na nogach. Głowa mu się kręci, w sercu mu nudno — życie go nudzi! Doświadczyłem tych wszystkich chorób — bo jak to mówią, Polak mądry po szkodzie. Swiat był tak wielki, tak szeroki, a ja na tym wielkim,

szerokim świecie nie miałem ani włoki ziemi, ani garści piasku, ani kropli wody własnej — wszystko było cudze!... O, wy szczęśliwi! wy posiadacie część tej ziemi rodzinnej, część jej wód i jej kwiatów, a jam ją puścił z rąk jak syn marnotrawny!

Major westchnął głęboko, a ksiądz Maciej posunął krzesłem, aby to westchnienie zagłuszyć. On chciał staremu Dębiczowi dać jeszcze tych kilka chwil szczęśliwych. Po chwili wytchnienia mówił Górnicki dalej:

— Wreszcie rzekłem sobie: Za złotem idzie dzisiaj świat cały, pójdę w kraj złota. I zapłynąłem do Nowej Holandji. Za kilka tygodni byłem szczęśliwy. Wykopałem bryłę złota, wszyscy wychodźcy zazdrościli mi jej. Położyłem ją przed sobą i ległem koło niej jak głodny pies koło kości. I myślicie, żem był w istocie szczęśliwy?... Nocą położyłem ją pod głowę i usnąłem. Miałem jakiś sen straszny. Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą nóż jakiegoś wychodźcy. «Co chcesz odemnie?» zapytałem dosyć obojętnie. «Daj mi twoje złoto!» rzekł tenże do mnie. I wyjąłem bryłę z pod głowy i rzuciłem mu pod nogi. Czy myślicie, że byłbym to samo uczynił, gdybym zamiast tego złota miał jedną skibę z obszaru Mogił pod głową? Opuściłem kraj złota i rzekłem do siebie: Pójdę do mego kraju, ujrzę ten domek rodzinny, ujrzę te pola, które uprawiał pług ojców moich, te drzewa sadzone ręką pradziada! Tam w ich cieniu prześnię kilka chwil szczęścia, kilka łez poświęcę pamiątkom ojczystym i umrę!

Grobowe milczenie panowało w sali. Cierpienia biednego tułacza wzruszyły wszystkich. Major tylko patrzał tak martwym wzrokiem przed siebie, jakby wcale nie wiedział, co się w koło niego dzieje. A ksiądz Maciej kręcił się na krześle, jakby się czego niecierpliwił. Po chwili rzekł Dębicz:

— Dziedzictwo ojczyste jest to conditio vitae każdego prawego szlachcica. Widzimy w dziejach naszych, że dzieci wracały napowrót do dziedzictwa, które ojciec lub dziad z ręki wypuścił. Niestłumiona żądza parła je do tego. Szlachcic jest podobny do zwierza, który wypłoszony przez psy, wraca zawsze na miejsce swego legowiska. Otóż obowiązkiem jest naszym trzymać się tego dziedzictwa, a mianowicie my na kresach.

Tu spostrzegł się staruszek, że podobna materja Górnickiego rozżala, a chcąc rozmowę na weselszy tor przenieść, rzekł zwrócony do drzwi:

— Coś tam Jakób strasznie we drzwiach się wierci... niezawodnie ma dla nas jakąś nowinę!

Mietlica ucieszył się, że go przecież obaczono. Przystąpił do Górnickiego, dotknął się ze czcią jego kolan i właśnie coś chciał bardzo ważnego powiedzieć, gdy go uprzedził służący domowy. Opowiadał on krótko i węzłowato, że jakiś czarny jeździec na koniu porwał kogoś z zamku tego wieczora, jak mu to przed chwilą szepnął do ucha Mietlica. A gdy jeszcze kilka podobnych warjantów tu i owdzie opowiedziano, okazała się cała sprawa tego czarnego rycerza tak zagmatwana, że Mietlica kilka razy musiał swoją powieść powtórzyć, co jednak jeszcze gorsze sprawiło w niej zamięszanie.

Najprzód zaczął Mietlica od prochu i Paliwody, wszedł na obwieszczenie licytacji domku zegarmistrza, przyczem nawet kilka łez otarł, a skreśliwszy krótko swoją fatalną audjencję u margrabiego, doszedł do wieczora, gdy w ciężkim smutku swoim błądził po Dąbczynie i koło zamku się kręcił, szukając jakiegoś konceptu, aby domek zegarmistrza ocalić. W tem jakiś rycerz czarny jak węgiel przeskoczył fosę do ogrodu — porwał jakąś kobietę i z nią w cźwał uciekł. A gdy jeszcze raz tę powieść powtórzył, dodał, że to była panna Janina i że za uciekającym jeźdzcem wyraźnie czuł smołę i siarkę. Spojrzawszy lękliwie na Zuzannę, dodał, że to był ten sam jeździec, który wtedy w tutejszym ogrodzie —

— Stary Jakób miewa przywidzenia — przerwała mu Zuzanna, której twarz jednak trochę zbladła.

Ksiądz Maciej rozkręcił szybko tabakierkę i odkrząknął głośno.

— A wszak jest i nasz doktor — zawołał stary Dębicz — on nam coś o Dąbczynie powie...Ale czemuż to tak późno przychodzisz, i to po raz pierwszy po słabości!

— Chorzy stanęli mi w drodze — odparł Jerzy, ściskając za ręce znajomych i witając się z gospodynią. — Spóźniłem się, chociaż szedłem z wielką i smutną nowiną!

— Ach, tych mamy dość! — westchnął staruszek — a ja chciałem dzisiaj być szczęśliwy!...Co za nowina?

— Margrabia sprzedaje Dąbczyn — już przedugodna umowa zrobiona!

— Dąbczyn! — krzyknął staruszek — Dąbczyn! a komu?

— Warnerowi, który rozdzielić ma folwarki między kolonistów.

— A cóż margrabiego do tego skłania?

— Bankructwo!

Stary Dębicz siedział przez chwilę spokojny, jakby wcale nic nie słyszał. Potem ożywiła się twarz jego, rzewny wyraz wystąpił na nią.

— Jest nas o jednego mniej — rzekł z boleścią — kawał ziemi polskiej urwał się z lądu i utonął!...Oto ten dworek jest dzisiaj ostatnia straż narodu...Tadeuszu, pamiętaj — ostatnia straż!...

A otarłszy łzy z oczu, mówił dalej:

— Hej, Dąbczyńscy! kasztelanowie grodzcy! Mój mocny Boże!...Lecz cóż ja słyszę? Muzykę?...Tadeuszu, każ przestać — wieść taka powinna być żałobą narodową!...Dobra noc wam, niech mnie zatoczą do mojej izdebki — chcę być sam — chcę się pomodlić Bogu...

Smutek malował się na twarzach obecnych. Gdy Dębicza z sali wytoczono, zbliżyła się Zuzanna do Jerzego i cichym rzekła głosem:

— Opowiadanie Mietlicy niepokoi mnie. Zapewnie będziesz pan potrzebnym w zamku, jeźli się tam co stało. Każ sobie pan konie zaprzęgnąć i donieś mi pan, bo jestem mocno niespokojna.

— Nim odjadę — odparł Jerzy — pozwoli pani, że zbadam wprzód jednego pacjenta, który jest śród nas.

Rzekłszy to, przystąpił do Górnickiego, który siedział z wypieczonemi rumieńcami na policzkach i prawie był bezprzytomny. Pomówiwszy z nim chwil kilka, zwrócił się do Zuzanny i rzekł:

— Niech się położy i wypocznie. Choroba tęsknoty przesila się — może nastąpić gorączka nerwowa.

Zuzanna załamała ręce, a Jerzy wybiegł z sali, bo jakieś smutne przeczucie ciągnęło go do zamku. A drugą stroną sieni przesunęła się właśnie jakaś ciemna postać i z cicha weszła do izdebki starego Dębicza.

Był to Link.

Jerzy nie widział go, bo całą duszą swoją był już w Dąbczynie, o którym tak dziwne rzeczy opowiadał Mietlica.

---

Przed kilkoma godzinami, gdy się to w Czarnowodach działo, było cicho i smutno w zamku dąbczyńskim. O zachodzie słońca wyjechało z bram kilka powozów. Nikt jednak w mieście nie wiedział, kto był w tych powozach i gdzie one pojechały. Po ulicy miasta chodził Otton smutny i zamyślony. Ojca nie zastał, bo ten odjechał do Mogił, aby rozpoczętą fabrykę oglądnąć. Margrabia kazał go przeprosić, bo był zatrudniony, a damy także nie były do widzenia. Biedny młodzieniec cierpiał wiele. Tysiączne myśli przychodziły mu do głowy, a żadna z nich nie zbliżała go do szczę-

ścia. Więc sam nie wiedząc co czyni, wałęsał się po mieście i z wszystkich stron je obchodził. A gdy się zmierzchać poczęło, odważył się zbliżyć do zamku, aby choć w te okna patrzyć, które zamykają całe szczęście jego życia.

I tak obszedł zamek kilka razy do koła i właśnie mijał fosę ogrodu, gdy w krzaku akacji obaczył coś błyszczącego. Przystąpił bliżej — był to człowiek; zajrzał mu w twarz i zawołał!

— Fryderyk!

— Pst! — odrzekł zagadniony i położył palec na ustach.

Był to jeden z tych przyjaciół Ottona, których widzieliśmy u niego, gdy się miał strzelać z panem Von der Mark.

— Na miłość Boga, co tu robisz? — krzyknął Otton.

— Jeźliś ciekaw bardzo — odparł z flegmą amator Lanzasów — to chodź kilka kroków dalej, a opowiem ci.

Dziwny niepokój opanował Ottona. Postąpił kilka kroków w milczeniu.

— Musisz wiedzieć — zaczął cichym głosem Lanzas — że pan Von der Mark, który już zdrów jest jak ryba, wyprawił wielkie polowanie u siebie. Popiliśmy się do stu katów! Same garsony, co się zowie! Mówiło się to o tem, to o owem, a więc i o kobietach. Von der Mark był tego zdania, że do «amours passagères» nie ma jak Polki, że każdą Polkę można brzękiem ostróg dragońskich i wąsami «en houssard» oderwać od domu, od męża, od dzieci i jak kozę solą, zaprowadzić na koniec świata! A gdy temu jeden i drugi się sprzeciwił, utrzymując, że prędzej można Niemkę sentymentem opanować, jak Polkę ostrogami zdobyć, Von der Mark zapalił się, broniąc swego zdania; a że w głowie wszyscy już sporo mieliśmy szumu, więc Von der Mark dał w obec wszystkich słowo honoru, że jeszcze dzisiaj wykradnie z zamku córkę margrabiego.

— Co mówisz! — zawołał Otton, a serce zadrżało mu w piersi.

— To było głupstwo, wielkie głupstwo — mówił dalej Lanzas — i awantura niepotrzebna. Ale cóż robić, słowo honoru, w głowie szumek i ja niepotrzebnie w to wlazłem!

— I ty, mój przyjaciel, ty dałeś rękę przeciw tak godnemu domowi — przeciw mnie?

— No, wybacz przyjacielu — dałem słowo honoru, że w tej wyprawie towarzyszyć mu będę — głupia, piramidalnie głupia wyprawa — ale cicho, bo słyszę szelest — odejdź!

Otton stał chwilkę jak przykuty do ziemi, potem ocknął się nagle i pobiegł w ciemną aleę ogrodu.

W alei ujrzał stojącego mężczyznę, owiniętego szerokim płaszczem. Skrył się za drzewo, aby być świadkiem sceny, która nadzieje jego nagle zniszczyć miała.

I nie długo czekał. Od zielonego pawilonu wyszła zwolna jakaś postać kobieca w bieli ubrana. Szła chwiejnym, niepewnym krokiem, ręce wyciągała naprzód i tuliła je potem do piersi, jakby jakieś mary chciała przycisnąć do serca. Nagle zbliżył się do niej mężczyzna w czarnym płaszczu. Coś przemówił do niej z francuzka, wziął ją za rękę, przytknął do niej usta — a kobieta zarzuciła białe ramiona na jego szyję i przycisnęła się do jego piersi.

Biednemu młodzieńcowi znikło wszystko z przed oczu — księżyc i gwiazdy pogasły na niebie, a w koło niego była noc — czarna noc. Gdy po chwili przyszedł do siebie, już nie było w alei ani białej kobiety, ani czarnego rycerza, tylko jakiś śmiech szyderczy, okropny został po nich i brzmiał w uszach nieszczęśliwego kochanka. Otton potarł ręką po czole, gwiazdy i księżyc świeciły znowu na niebie. Obejrzał się w koło i pobiegł szybko w kierunku, gdzie jakiś szelest usłyszał.

Na końcu alei stały dwa konie osiodłane. Na ręku mężczyzny leżała pochylona biała postać kobiety. On ją wzywał do przytomności i zaklinał ją, aby się opamiętała. W tej chwili przybiegł Otton.

— Precz, niegodziwy człowieku! — zawołał przytłumionym głosem — precz od niej...

Junker spojrzał zdziwiony na młodzieńca, pomyślał chwilę, radośny uśmiech strzelił z jego oczu.

— Ah! przepraszam! — odrzekł spokojnie — uprzedziłem pana — proszę mi darować — a za słowa niegrzeczne —

— Jestem zawsze na rozkazy.

— Cieszę się z tego...a tymczasem oddaję w pańskie ramiona piękną dziewicę, która, jak pan widzisz, już przylgnęła do mnie.

Kobieta w samej rzeczy objęła ramię swego rycerza i z trwogą wypatrzyła się na młodzieńca. Ale rycerz zgrabnie wywinął się z objęć kobiety, a złożywszy ją w ramiona szczęśliwego młodzieńca, siadł na konia, Lanzas na drugiego i obaj czwałem wybiegli z ogrodu.

Młodzieniec drżał cały i z zachwyceniem wpatrywał się w twarz omdlałej kobiety. Księżyc zaszedł właśnie za chmury — w alei było ciemno.

— Uspokój się pani — błagał głosem serca — jesteś bezpieczną, niegodziwy człowiek już odszedł!

— Jam go tak kochała! — mówiła jakby przez sen kobieta.

Bryła lodu wpadła w serce młodzieńca.

— On pani nigdy nie kochał! — jęknął nieszczęśliwy.

— On mnie nie kochał? — krzyknęła dziwnie zmienionym głosem kobieta. — On mnie nie kochał?... A któż mnie kocha!

— Ja cię kocham, tyś skarbem duszy mojej! — zawołał młodzieniec w ekstazie.

Kobieta podniosła się z ramion nowego swego rycerza i spojrzała uważnie w twarz jego.

— To ty, Ottonie, kochasz mnie? — zawołała po chwili — a jam myślała, że on... o! daruj mi, daruj... moje serce chore, tak chore!...

Mówiąc to, zarzuciła mu na szyję ramiona i gorące, spiekłe usta swoje przytknęła do jego ust... Ale snać nie chciało przeznaczenie, aby biedny młodzieniec użył w tej chwili roskoszy, do której tak gorąco wzdychał! Księżyc bowiem wyjrzał z za obłoku i siném światłem oświecał twarz kobiety. Była to Terenia, biedna idjotka.

Młodzieniec zadrżał z przestrachu, a białe ramiona biednej sieroty tem silniej przyciskały go do siebie.

Od zielonego pawilonu okazały się liczne światła. Biedny młodzieniec stał na miejscu, ofiara tak dziwacznego przypadku. Idjotka nic nie wiedziała — ona była szczęśliwą. Może tylko ta ułudna chwila szczęścia była przeznaczona biednej sierocie?...

Światła zbliżały się coraz więcej. Otton wziął Terenię pod ramię i sam zbliżył się do szukającej ją służby. Wszyscy wypatrzyli się z zadziwieniem na tak szczególne zjawienie. Ale młodzieniec nabrał nagle odwagi i kazał się zaprowadzić do margrabiego.

Margrabia zadziwił się nie mało, widząc Terenię w takiem towarzystwie. Zmarszczył brwi i urażony spojrzał na Ottona. Ale Otton dał mu znak, aby Terenię odprowadzono do jej sypialni. Biedna sierota drżała cała i była jakby w obłąkaniu.

Gdy Otton sam na sam z margrabią został, opowiedział mu wiernie całe zdarzenie. Ale margrabia wierzył i nie wierzył, a ciągle miał czoło zachmurzone. Prosił wprawdzie syna negocjanta, z którym tak wielki miał interes, na herbatę, ale był małomowny i zamyślony. Przy końcu wszedł Jerzy. Margrabia i Otton opowiedzieli mu całe zdarzenie. Jerzy odwiedził sierotę, która właśnie w gwałtownej leżała gorączce i wiele o swojem szczęściu mówiła. Wróciwszy do salonu, rzekł do margrabiego:

— Szczególne to zdarzenie jest bardzo naturalne. Panna Teresa choruje na pragnienie miłości i przywiązania. Są to zwyczajne choroby sierot. W tej chorobie stworzyła sobie mary i ugania za niemi. Pierwszy człowiek, który w tym paroksyzmie do niej się zbliży, posiędzie serce i całą jej duszę!

— Dla takich serc chorych klasztor tylko jest asylem — rzekł margrabia z sentencją Hamleta. — Klasztor, albo wieczna ułuda warjatów.

Jerzy i Otton spojrzeli po sobie i westchnęli. Janiny już nie było w Dąbczynie.

---

## VI.

Nazajutrz rano krwawo zeszło słońce nad dworkiem w Czarnowodach. Zuzanna już od świtu miała oczy czerwone z płaczu, major chodził siny jak bez i łamał ręce. Górnicki leżał w gorączce i śnił o swoim domku rodzinnym. Służba snuła się milcząca i smutna.

Major kilka razy podsuwał się na palcach pod drzwi Dębicza, ale tam było głucho jak w grobie. Był to dzień, w którym miała nadejść obwieszczona w gazecie subhasta. Nie można było odwlekać. Uradzono posłać po księdza Macieja i Jerzego, bo jeden dla duszy, drugi dla ciała mógł się stać potrzebnym.

Jerzego przeraziła ta wiadomość — ksiądz Maciej przyszedł z modlitwą na ustach, której jeszcze nie dokończył. Usiedli wszyscy w pokoju majora, ale nikt nie ośmielił się przemówić. Milczenie ich było wymowne, było straszne. Zdawało się, że ci ludzie gotują się do jakiegoś pogrzebu i niecierpliwie wyczekują skonania.

Wreszcie wysunął się major na kurytarz i wrócił z przestrachem na twarzy. Stary Dębicz zawołał służącego. Już blizka była chwila okropna!

Staruszek był jakoś dzisiaj w niezwykłem usposobieniu. Przyniesioną kawę odesłał, mówiąc, że jej pić nie będzie. Potem modlił się dłużej jak zwykle. Po odbytych modłach kazał sobie przynieść żupan biały, jedwabny kontusz orzechowy, pas złoty i czapkę białą aksamitną z popielatym ba-

rankiem. Wszyscy z zadziwieniem spojrzeli po sobie, ale nikt słowa nie powiedział.

Wreszcie o godzinie wpół do dziewiątej kazał przywołać księdza Macieja i oznajmił mu, że się chce spowiadać. Potem przywołał Zuzannę oraz majora i pytał ich, czy nie mają do niego jakiego gniewu. To samo uczynił z wszystkimi domownikami.

Wszystko to odbyło się w głuchem milczeniu. Nikt nie miał odwagi zapytać go o powód tak nagłej spowiedzi. Smutek i trwoga ścisnęły im usta.

Wreszcie po ukończonej spowiedzi prosił wszystkich do siebie. Zuzanna, major i Jerzy weszli w milczeniu; ksiądz Maciej kończył właśnie swoje modlitwy, a w jego oczach, do nieba wzniesionych, błyszczały dwie łzy.

Stary Dębicz był bledszy jak zwykle, ale twarz miał spokojną. Rzewny uśmiech igrał koło ust jego, a w oczach malowała się jakaś błoga cisza po przebytej boleści.

Nie mógł dłużej powstrzymać wzruszenia swego biedny major. Przystąpił do krzesła, wziął rękę staruszka i oblał ją łzami. To samo uczyniła z drugiej strony Zuzanna.

Staruszek z jakąś wzniosłą radością patrzył na oboje. Powoli zakręciły się dwie łzy w jego oczach.

— Wstańcie, dzieci moje! — zawołał drżącym od wzruszenia głosem — wstańcie i pójdźcie do moich piersi.

Przycisnął oboje do siebie i ucałował ich głowy.

Major w głos się rozpłakał. Staruszek uśmiechał się słodko, a położywszy rękę na jego ramię, rzekł:

— Cyt! Tadeuszu, nie bądź dzieckiem! Stało się — rozpacz nie zbawi nas.

Wszyscy wpatrzyli się z zadziwieniem na staruszka, który uśmiechając się, mówił dalej:

— Byłeś nieraz komendantem i kazałeś kolumnie iść do szturmu. Czy gniewałeś się na tych, którzy pokaleczeni bezskutecznie wracali — lub na tych, którzy pod ciosem polegli? — dodał z wyrazem smutku na twarzy. — Żądamy od ludzi wiele, ale nie trącamy ich nogą, gdy śród drogi upadną! Tadeuszu, bądź mężnym — oto kobieta stoi przy twoim boku, która twojej potrzebuje podpory!

Milczenie głębokie panowało w izdebce. Nikt nie miał odwagi ust otworzyć. Tylko łkanie majora i Zuzanny przerywało tę ciszę, tylko tabakierka księdza Macieja skrzypiała smutno. Po chwili ozwał się znowu staruszek:

— Był wczoraj u mnie ajent Warnera. Chciał imieniem swego pryncypała traktować ze mną o kupno Czarnowód i Radziejewa.

Tu się zatrzymał staruszek. Widać było po nim, że walczy wewnątrz z wielką boleścią. Spokojnie mówił dalej:

— Powiedziałem mu, że za żadne pieniądze obcemu koloniście majątku nie damy, że wolimy niżej ceny sprzedać rodakowi... Zostawił mi spis ciążących na tym majątku długów i kopją wyroku sądowego. Rzecz jasna, nie ma ratunku. Jesteśmy narodem rycerskim, zwalczą nas spekulanci.

Znowu nastąpiła długa pauza. Ksiądz Maciej już w duchu cieszył się, że staruszek z takim pokojem przyjął nieszczęście, ale Jerzy z widoczną trwogą patrzył na niego. Jeden widział mocnego ducha — drugi słabe ciało.

— Otóż to ci tylko powiem jeszcze, Tadeuszu, abyś ten majątek rodakowi do rąk oddał — niech ja spokojnie śpię w grobach ojców moich!

To rzekłszy, prosił wszystkich, aby go samego zostawili. Jerzy sprzeciwił się temu, ale staruszek miał twarz tak spokojną, tak z każdą chwilą stawał się weselszym, że wszyscy przemogli Jerzego i z izdebki wyszli.

W pokoju majora czekał jakiś szaraczkowy jegomość. Miał surdut długi z szaraczku, głowę łysą, twarz chudą, kościstą, na której migotało dwoje ukośnych oczu.

— Jestem Czerepańkowski Djonizy — rzekł do majora — jurysta z profesji, do usług pana dobrodzieja. Dowiedziawszy się w sądzie, że Radziejewo cum attinentiis na subhastę wystawiono — pospieszyłem więc do pana dobrodzieja, aby w tym względzie jakie słowo pomówić.

— Czegóż pan żądasz? — zapytał major.

— Bo to widzisz pan — mówił dalej szaraczek — u nas jest to teraz rzeczą nader ważną, kto ziemskie dobra posiada. Kolonistom bowiem nie chodzi o dobro kraju, tylko o zysk.

Major omal, że się nie rzucił w objęcia palestranta. Anioł boży mógł tylko w tej chwili przyprowadzić tego człowieka.

— Otóż słuchaj pan dobrodziej. Uciułałem sobie z wielkim mozołem nieco grosza. Własną pracą dorabiałem się, bo jakkolwiek z dobrej szlacheckiej pochodzę familji, jednak ubogi przyszedłem na świat. Otóż zważywszy te wszystkie rzeczy, zechce pan dobrodziej mi powiedzieć, czy nie mógłbym tak ciepłą ręką tentować kupna?

— O, mój panie! — zawołał major — prawdziwą przysługę czynisz nam, bo my pod żadnym warunkiem obcemu koloniście nie chcemy powierzyć tej ojczystej gleby, tego poczciwego ludu.

— To już wszystko dobrze, panie dobrodzieju — u mnie chudzizna — kolonista dałby więcej — a ja — ot więcej dla przywiązania do naszych pamiątek to czynię...

Ale major nie dał poczciwemu dokończyć, tylko chwycił go za rękę i zaprowadził do izdebki Dębicza.

Staruszek porządkował właśnie swój poemat o Stefanie Batorym. Brakło mu kilka pieśni do końca.

— Patrz, nie dośpiewałem — mówił do księdza Macieja, który wraz z majorem przyszedł — tchu mi zabrakło.

A dowiedziawszy się, o co chodzi, uścisnął rękę szaraczka i z widocznem ukontentowaniem z nim rozmawiał. O cenę nie było targu, chodziło tylko o pokrycie długów. Po chwili rzekł Dębicz do szaraczka:

— Tylko ja chciałbym zaraz to zakończyć, bo mi jakoś spieszno.

Jerzy zadrżał na te słowa, a ksiądz Maciej uśmiechnął się, że staruszek tak prędko dobry interes chwyta.

Czerepańkowski Djonizy miał jakoś wszystko przy sobie, i wykazy i dokumenta — a będąc jurystą, jednym zamachem napisał kontrakt, który Jerzy i ksiądz Maciej jako świadkowie podpisali. A jako człowiek uczciwy, dobył zaraz trzosa, małą zwyżkę, która od długów pozostała, na stole położył i wszystkich uprzejmie pożegnał.

Staruszek był jakoś weselszy po tym akcie, mówił o Dąbczynie, żałował, że hrabia Leon w tak krytycznej chwili odjechał — potem przeszedł na Augustyna i mówił długo o jego wyznaniach. Ale w głosie staruszka było coś nienaturalnego, jego uśmiech był czasem tak bolesny, jakby go wewnątrz kto za serce szarpał.

W południe przyjechał sąsiad, ubolewał nad nieszczęściem Czarnowód i wymówił nieuważnie, że Warner nabywa ten majątek za pośrednictwem niejakiego Czerepańkowskiego. Major zbladł, Zuzanna zapłakała, ksiądz Maciej uciekł prędko do swojej tabakierki, a Jerzy z trwogą patrzył na twarz staruszka.

Po twarzy staruszka przemknęło uczucie boleści, ale wnet wypogodziło się jego oko, jego usta poczęły się znowu uśmiechać.

— I cóż pomożesz — ozwał się do majora — oni i na nasze cnoty spekulują i na nich zarabiają!

Potem wszystkich wyprosił od siebie i długi czas sam był w izdebce.

W południe wypił filiżankę rosołu i kazał krzesło swoje toczyć przez wszystkie pokoje. W każdym kącie zatrzymywał się chwilę i mówił do obecnych:

— Na to nie ma ceny! — To można tylko sercem widzieć! Tanio sprzedaliśmy domek ojczysty.

W sali przed drzwiami zatrzymał się i rzekł do Zuzanny:

— Widzisz Zuzienko ten szczerb na tych oddrzwiach? Ach, to było tak dawno! Byłem dzieckiem i bawiłem się w króla

Bolesława. Uderzyłem blaszanym pałaszem!... Czy za to kto zapłaci?...

Potem wytoczono go na dziedziniec. Oglądał drzewa i o każdem coś powiedział. Wszędzie miał pamiątki staruszek. Wiedział, którego dnia jakie drzewo sadzone. A w twarzy jego był taki spokój głęboki, taka pogoda duszy, że wszyscy, prócz Jerzego, cieszyli się, że staruszek tak łatwo przebolał tak wielkie nieszczęście.

Wreszcie kazał się zatoczyć do ogrodu, naprzeciw kościołka bożogrobców. Niebo wypogodziło się, jasne słonko świeciło na ziemię. Wody jeziora były czyste i spokojne. Staruszek patrzył na nie z uśmiechem wewnętrznej roskoszy.

Nagle zmarszczył brwi. Przy kościołku snuli się jacyś robotnicy z różnemi narzędziami. W dali stał lud zgromadzony.

— Cóż to jest? — zawołał starzec i pokazał ręką na ruiny klasztoru.

— To robotnicy z fabryki — odparł ksiądz Maciej. — Kościołek groził upadkiem, więc nakazano go rozebrać. Warner zakupił materjał z niego.

— Z domów bożych stawiają fakryki! — zawołał staruszek i westchnął.

Po chwili ozwał się znowu:

— Patrz, księże Macieju! Już krzyż pod młodem upada!... Czemuż to nie miało się stać jutro?...

Otarłszy łzy z oczu, rzekł:

— Już pójdę, bo mi tu duszno... A ty, Zuzienko, nie czujesz tego pyłu z domu bożego?

Ksiądz Maciej wypatrzył się na Zuzannę, która z wielkiem wzruszeniem mówiła:

— Czuję, drogi dziadunio, czuję! Ten obraz Matki bolesnej cudownie ozdrowił mnie, gdy byłam w wielkiem utrapieniu. Odtąd zwykłam codziennie na «Ave Maria» przed nią się modlić.

Ksiądz Maciej zamyślił się, ale staruszek przerwał mu, mówiąc:

— Księże Macieju, nie opuszczaj mnie dzisiaj. Zaprowadzisz mnie do grobowca Dębiczów. Dawno już tam nie byłem.

Wszyscy sprzeciwiali się temu, ale staruszek błagał, aby jego woli zadość uczynić.

Groby Dębiczów były w piwnicy pod małą kapliczką, która stała na najwyższym punkcie w okolicy. Ostrożnie zaniesiono tam staruszka w krześle. Długi czas był w kaplicy i gorąco się modlił. Poczem kazał się spuścić do grobów.

Każdą trumnę oglądał i o każdym Dębiczu opowiadał coś ciekawego. Wszyscy słuchali go ze łzami — jakieś dziwne przeczucie opanowało wszystkich serca.

Już się prawie zmierzchać zaczęło, gdy jakiś szmer głuchy zaszedł z daleka. Jerzy wyjrzał oknem i obaczył liczne światła przy kościołku bożogrobców. Stary kucharz nadbiegł z wiadomością, że lud okoliczny zgromadził się w kościołku, pozapalał ofiarne świece i robotników z fabryki poodpędzał.

Rozjaśniła się twarz staruszka i wszystkich obecnych. Staruszek mówił:

— Wiara jest to klejnot ludu. Mędrcy chcą go zbawić swoją teorją, a nie wiedzą, że to wszystko jest we wierze! Dla tego tylko wiarą trafisz do niego!

Jerzy zamyślił się głęboko. Od wód jeziora zabrzmiała pieśń «Bogarodzico-dziewico». Staruszek słuchał chwilę z uśmiechem na twarzy, a potem rzekł:

— Stara to pieśń nasza! Tę pieśń śpiewali nasi ojcowie przy każdej uroczystości!

Nastąpiło długie milczenie. Wszyscy słuchali z rozrzewnieniem tych pięknych, choralnych głosów. Staruszek upuścił głowę i zdawał się zasypiać. Nagle podniósł się w górę i zawołał:

— Co tam za światło?...widzicie? Aniołowie zstępują z nieba...słyszycie ich hymn niebieski?... Jak miły, jak słodki...dusza się rozpływa...płynie...płynie w błękitne podwoje niebios.....

I zamilkł, jakby nagle usnął.

Krzyk przerażenia rozległ się po ciemnych ścianach. Wszyscy rzucili się do Jerzego, aby go ratował. Ale Jerzy stał na miejscu i nie ruszył się. Po chwili rzekł:

— Serce pękło!

---

Przeszła noc straszna i okropna, nastąpił dzień pełen łez i boleści. Żałoba i niema rozpacz ścisnęła wszystkim usta — poglądano tylko po sobie, ale nikt słowa nie powiedział. Górnicki w coraz gorszą zapadał gorączkę. Jerzy i ksiądz Maciej nie odstępowali smutnych i strapionych. A nad wodami jeziora coraz liczniejsze wznosiły się głosy, coraz więcej z okolicy zgromadziło się ludu — zapalono świece, wybierano składki na odbudowanie kościołka. Staruszek z twarzą spokojną leżał na katafalku i zdawał się uśmiechać, słysząc pieśń «Bogarodzico-dziewico»!...

Inaczej mijał ten dzień w Mogiłach. Robotników moc, krzyk i hałas, kupy kamieni i cegieł, jakby drugi Babylon budowano. Już kilka kominów, wysokich jak wieża, wznosi się po nad ziemię, a z jednego buchają białe kłęby pary, jak z czeluści piekła. Jest to pierwszy oddział fabryki, przerobiony z dawnego dworu.

Szczęśliwy negocjant obchodzi warsztaty wszystkich rzemieślników i zaciera ręce, że robota tak szybko postępuje. Liczy w duchu ogromne zyski i śmieje się z dwóch bankrutów, których tak zgrabnie w łapkę złapał i krew z nich wyssał. Liczy intraty Radziejewa i Czarnowód i rozmyśla nad projektem zawiązania wielkiego towarzystwa na akcje, którego celem ma być zakupywanie dóbr większych w Poznańskiem i sprzedaż drobnemi kawałkami. Gdy w dali na widnokręgu ujrzy wieży Dąbczyna, uśmiecha się do siebie i głaszcze po sercu.

Na obiad przyjechał Otton. Był bardzo smutny i zamyślony. Stary negocjant pogniewał się trochę na niego i powiedział mu, że ma głupie serce, kubek w kubek podobne do nieboszczki matki, która była rodem z Poznania. Później nadjechali Walter i Matylda. Negocjant cieszył się nimi, opowiadał im wiele o Radziejewie i Czarnowodach, które dla nich przeznacza. Przyobiecał za kilka dni zawieść ich do Czarnowód i dobra oddać w ich ręce. Śmiał się ze starego Dębicza, który mu nie chciał dóbr sprzedać, a sprzedał najętemu od niego palestrantowi o kilka tysięcy talarów niżej ceny.

I taki szszęśliwy, taki wesół był stary negocjant! Opowiadał dzieciom o olbrzymich planach na przyszłość, co za miljony zostawi im po śmierci, jeźli jeszcze dziesięć lat popracuje na tym padole płaczu. Pogniewały go trochę raporta robotników z klasztoru bożogrobców, że lud nie da im zakupionych przez niego materjałów rozebrać; ale napisawszy do władzy o asystencję, uspokoił się i wnet przy swoich planach górnolotnych zapomniał o tej bagatelce.

Po obiedzie użył przechadzki, rozmawiał z dziećmi, a gdy się zmierzchać zaczęło, odszedł do swojej kancelaryjki, tymczasowo urządzonej, w której miał jeszcze tego dnia poczynić niektóre ekspedycje w interesach bankierskich.

Już dobrze było z wieczora, gdy maszynista dał mu znać, że właśnie na próbę puszczono w ruch ogromne koło zębate, którego przeznaczeniem było rozdzierać włókna lnu na małe strzępki.

Negocjant zamknął stolik i poszedł za maszynistą długim, ciemnym kurytarzem. Zeszli po schodach do podziemnego sklepienia, w którem widną była część tej ogromnej, piekielnej machiny!

Widok tego ruchu, przy którym żadnej ludzkiej ręki nie było widać, miał w sobie coś przerażającego. Jakaś tajemna siła poruszała te koła olbrzymie — mrowie przeszło po ciele negocjanta. Maszynista postawił światło na ziemi i odszedł na piętro, aby tam coś poprawić. Negocjant sam jeden został w podziemiu. A w koło niego wszystko się ruszało i żyło, a przecież nie było ani żywego ducha!

Jakaś dziwna trwoga opanowała jego duszę. Światło, wychodzące od ziemi, tak dziwnie oświecało te koła olbrzymie i nieustannie się krzyżujące!

W tem ktoś wszedł po schodach. W pół cieniu poznał negocjant swego rudego satyra. Jakieś nieprzyjemne uczucie wstrząsło nim.

— Co jabym dał za to — pomyślał sobie — gdyby te satyry i karjatydy z mego domu znikły. One mi zatruwają życie!

I w samej rzeczy Link wyglądał dzisiaj jak prawdziwy satyr. Twarz miał mocno czerwoną, kapelusz na bakier, ubiór obwalany, a usta wykrzywiły się jakimś szatańskim uśmiechem. Oddawszy pokłon pryncypałowi, rzekł do niego głosem niezwykłym:

— Wielkie dzieło skończone — spółpracownik spodziewa się sowitej nagrody.

Dziwnym wydał się ten ton negocjantowi. Wstrząsł się z gniewu, ale nic nie powiedział.

— Z Czerepańkowskim skończono — wziął odstępnego tysiąc.

— Dobrze...czegóż stoisz...czego chcesz?

— Czego ja chcę? — odparł Link, a woń wódczana buchnęła na całe podziemie — hm! czego ja chcę?...Ja chcę być porządnym człowiekiem. Chcę pić dwa razy na dzień kawę, jeść pieczeń cielęcą z mięszaną sałatą, palić z Hawanny cygara, chodzić w długim kapotroku à la mode, i czytać codziennie «Kreuzzeitung». Już mi się sprzykrzyło to psie życie!

— Czyś oszalał? — krzyknął negocjant.

— Bynajmniej — odparł spokojnie ajent. — Nigdy nie miałem więcej rozumu, jak w tej chwili.

— Nie chcesz już służyć?

— Chcę być «małym kapitalistą».

— A pieniądze gdzie?

— Będę miał nieśmiertelnych dziesięć tysięcy talarów. To bardzo skromnie. Do tego rentę tysiąc dwieście talarów, to jest tyle, ile potrzeba na porządne życie: na kawę, pieczeń z mięszaną sałatą, kapotrok, Havanna i «Kreuzzeitung».

— A gdzie masz te pieniądze?

— W żelaznej skrzyni kantoru «Goliat et Compagnie»... bardzo dobrze ulokowane.

— Pijaku, upiłeś się! — krzyknął w złości negocjant!

— Ależ nader rozsądnie mówię! Co? tysiąc dwieście renty dożywotniej i dziesięć żelaznego funduszu!

Stary negocjant wstrząsł się ze złości, przystąpił do ajenta i chwycił go za klapę surduta.

— Pijaku! Co mówisz! Idź, aby nikt głupiej mowy twojej nie słyszał!

Ajent odparł z wielkim pokojem:

— Dotąd nikt naszej mowy nie słyszy. Jesteśmy w piwnicy i koła do tego warczą. Nawet obaj powinniśmy sobie życzyć, aby nas nikt nie słyszał!

Jakaś dziwna myśl przebiegła przez głowę negocjanta. Odsunął się od olbrzymiego koła i podejrzliwem wejrzeniem zmierzył pijanego ajenta.

— Idź precz! — rzekł do niego dziwnym głosem.

— Tak, teraz mam iść precz, gdy pieczeń gotowa? — odparł ajent, zataczając się aż pod same koło.

— Milcz, pijaku — krzyknął negocjant i cały poczerwieniał.

— Właśnie dla tego, abym milczał, chcę dziesięć tysięcy żelaznego funduszu ze skrzyni żelaznej i tysiąc dwieście renty.

— Łotrze! Ja ci dam dożywocie w kryminale! — wołał chrypliwym głosem negocjant.

— To ja łotrem, a ty, stary szachraju, czem jesteś? — krzyknął oburzony ajent, aż piana usta mu okryła. — Ja łotr, prawda, bom przysiągł, a któż mi zapłacił za tę przysięgę? Mnie w kryminale źle nie będzie, ale ty — pan miljonowy!...

Trupia bladość okryła twarz negocjanta. Podniósł wyschłe ręce, skurczył palce na kształt pazurów i krzyknął:

— Milcz, przeklęty łotrze! Jutro się rozmówimy!

— Ja zaś mam wielką ochotę dzisiaj interes ukończyć. Chcę już od jutra być porządnym człowiekiem. Tu mam wszystko gotowe, tylko podpisz.

Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po papier i tak mocno się zatoczył, że głową uderzył o koło, które obracało się zwolna, ale z ogromną siłą. Oczy negocjanta zaświeciły dziwnym blaskiem, usta jego zadrżały dzikim uśmiechem.

— Idź precz! — rzekł z cicha, jak człowiek, który walczy z jakąś straszną zmorą. — Idź, łotrze!

— Ja łotr, ja? — krzyknął wściekle ajent — ja, który tylko dla ciebie pracował! A ty, który lichwą i naprzód

wyrachowaną spekulacją zabijałeś ludzi, sierotom odbierałeś ostatni przytułek...ty mnie łotrem nazywasz!...

Twarz ajenta paliła się, na usta wystąpiła piana. Stary negocjant z piekielnym uśmiechem patrzył na koło, które tylko na kilka cali obracało się od głowy ajenta z głuchym szumem. A w podziemiu nie było ani żywego ducha!...

W tem na schodach pokazała się jakaś straszna, blada mara. Negocjant zbladł, kurcz przestrachu wykrzywił mu usta: Wyciągnął rękę do widma i krzyknął:

— Górnicki!

— Ha, ha, ha! — piekielnym wrzasnął śmiechem ajent, który widmo miał za plecyma — ha, ha, ha! toż i ty już widzisz go! Ja go widuję codziennie, co nocy, rozumiesz, co nocy! O północy przychodzi do mnie i kładzie się na mnie trup zimny jak lód! brr...

— Precz! — wołał negocjant z obłąkanemi oczyma, odtrącając ajenta i marę od siebie.

— Ha, ha, ha! Otóż ze mną łatwiejsza sprawa. Zapłać, a pójdę. Ale on...on nigdy od ciebie nie odejdzie... tak samo jak i odemnie...rozumiesz?...nigdy nie odejdzie!...

Negocjant wytężył oczy, patrzał na stojącą na schodach marę, a przestrzeń podziemia zaczęła się napełniać jakiemiś strasznemi marami, które coraz więcej zbliżały się do niego! W powietrzu latały jakieś gady skrzydlate, plugawe, a gdy oddychał, wciągał je w siebie, w piersi...krew paliła się w nim!...

— Skończmy interes! — wołał ajent — zanim się wszyscy schodzą, których zabiłeś! Za chwilę przyjdzie i Dębicz!...

Na kurytarzu ozwały się jakieś dziwne głosy, wołające: Warner, Warner!

Pot śmiertelny wystąpił mu na czoło.

— Słyszysz? — zawołał z szatańskim śmiechem ajent — to oni przychodzą!

— Milcz! — wrzasnął w śmiertelnej trwodze negocjant i pchnął ręką przeciwnika.

Pijany ajent — zatoczył się — ciężka żelazna kolba dotknęła się jego głowy...chwyciła...zgniotła...

Biała mara znikła nagle ze schodów — negocjant wybiegł na kurytarz. Tam mnóstwo ciemnych postaci ciśnie się do niego...chwytają go za poły, wołają po imieniu...negocjant rzuca się jak wściekły i ucieka.

Była to deputacja ludu, która chciała kościołek ocalić. Ale negocjant widzi same piekielne mary, słyszy ich dzikie, szalone głosy i ucieka. Skrył się pod krzakiem bzu. A tam widzi ogromne, żelazne koło, widzi krew i tułow bez

głowy — widzi mary piekielne Liść zżółkły upadł — negocjant skoczył i dalej ucieka! Oglądnął się po za siebie, a tam z olbrzymiego komina bucha para, a w białych olbrzymich kłębach unosi się ku niebu tułow bez głowy!... Negocjant uciekł, aby to wszystko jak najprędzej za sobą zostawić!

Wyszedł na drogę. Droga ładna, równa, wysadzona topolami. Negocjant idzie tą drogą i macha rękami, bo coś za nim goni. Wiatr zimny, jesienny, a jego krew pali się w żyłach. Tam daleko widzi dworek jasno oświecony. Tam go coś ciągnie — tam spocznie i wolen będzie od mar. Zbliża się, patrzy przez okno... a tam... leży Dębicz na katafalku!... Koło niego palą się świece... a tam z daleka od jeziora brzmią jakieś dziwne, stłumione głosy!... Krzyknął i upadł na ziemię.

Z dworku wybiegli major, Jerzy, ksiądz Maciej i Zuzanna. Poznali negocjanta. Jerzy uratował mu życie — ale rozumu już mu nie uratował. Negocjant obłąkanem okiem patrzył przed siebie.

Wkrótce przybyli Otton i Walter. Opowiedzieli całe zdarzenie. Link przypatrując się maszynie, nieostrożnie zbliżył się do koła i głowę srtacił. Na ten widok okropny stracił zmysły biedny negocjant.

Górnicki wrócił z nocnej wycieczki, którą był w gorączce uczynił z tęsknoty za swoim domkiem rodzinnym, ale nic z tej wycieczki nie pamiętał. Mówił tylko, że miał sen okropny.

---

W kilka dni po tych smutnych wydarzeniach, zgromadzili się osieroceni «spiritualiści» wieczorem w pokoju majora. Ksiądz Maciej czytał coś z księgi Joba i stosowne do tego czynił objaśnienia. Major uśmiechał się do swoich myśli; zdawało się, że wcale nie uważa na to, co się czyta. Zuzanna, czarno ubrana, siedziała ze złożonemi do modlitwy rękoma. Jerzy stał w najciemniejszym kącie pokoju i był mocno zamyślony.

Wreszcie skończył ksiądz Maciej czytanie, a rozmowa przeszła na ostatnie wypadki. Mówiono o kościołku bożogrobców, który od zatraty uratowano. Uczyniono bowiem składkę, kilku obywateli i kilku mieszczan z Dąbczyna zajęli się tą sprawą i uzyskano od władzy pozwolenie restauracji. Dopiero wtedy odstąpił lud i rozszedł się spokojnie.

Ksiądz Maciej mówił wiele, jaką potęgą jest wiara u ludu. Jerzy z wielką uwagą mu się przysłuchiwał. Jakieś piękne, błogie uczucie rozjaśniło mu twarz.

Major uśmiechał się ciągle do siebie. Zabolało to jakoś księdza Macieja. Zapytał się, o czem teraz myśli, że taki kontent?

— A jużci nie będę taką babą, jak wszyscy jesteście — odpowiedział z uśmiechem. — Trzeba coś robić, o coś się postarać. Wszak za kilka tygodni wypędzą nas z tego domku!

Gdy go ksiądz Maciej zapytał, co robić zamyśla, opowiadał długo i szeroko o wszystkich swoich planach, do których już w duchu się uśmiechał. Najprzód zdecydowany był zaciągnąć się do jakiego autoramentu. Całe swoje nieszczęście przypisał temu, że zawód wojskowy porzucił, w którym spodziewał się dobić jeneralstwa. Bił się tylko z myślami, czy ma się zaciągnąć do jakiego europejskiego potentata, czy popłynąć do Brazylji. Potem był znowu za legją cudzoziemską w Algierze, ale wkrótce i to mu się nie podobało, wolałby służyć w Hiszpanji. A gdy się wszyscy dziwnie na niego wypatrzyli, rozgniewał się, że go mają za starego, za inwalidę, a on jeszcze taki krzepki, taki zdrów! Na dowód tego wyzwał wszystkich, aby się z nim na rękę próbowano.

Humor ten poczciwego majora wszystkich zasmucił. Major jednak rozdąsał się na serjo, że go uważają za inwalidę. Zaczął mówić o swojej młodości, jak to on umiał pannom głowy zawracać, jak jedna Francuzka szalała za nim, jak książe Józef brał go zawsze ze sobą, bo obaj byli najprzystojniejsi żołnierze w całej armji.

Ksiądz Maciej uśmiechnął się na to, a major tak się tym śmiechem obraził, aż Zuzanna musiała tę sprawę załagodzić. Ale major nie zapomniał urazy. Mówił, że wprawdzie teraz wygląda trochę na mazgaja, ale temu winne te szmaty cywilnego ubioru. Zapewniał wszystkich, że w mundurze wcale mu lepiej. I aby dowieść tego, poszedł do swojej garderóbki, dobył stary mundur, który starannie przechowywał, i od stóp do głowy ubrał się po dawnemu.

Gdy wszedł do pokoju, wyprostował się jak świeca, wyciągnął szyję, spiętą szerokim, włosiennym halsztukiem i począł z marsowym akcentem przechadzać się po pokoju. Pukał po piersiach wysoko sklepionych i gniewał się, że go uważają za niezdolnego do służby wojskowej.

Wszyscy patrzali po sobie z boleścią. To dziwne zachowanie się majora trwożyło ich.

Wreszcie mówił cichym głosem, że się na wielką wojnę zanosi. Właśnie czytał dzisiaj w gazecie o tem. W takim razie spodziewał się, że w jakim autoramencie umieści się i jeszcze do wysokich doprowadzi stopni.

Zuzanna ze łzami w oczach patrzała na niego.

Wreszcie pożegnano się do jutra. Major ucałował żonę i powiedział jej dobranoc. Został w swoim pokoju, mówiąc jej, że ma dzisiaj wiele jeszcze pracować.

Za kilka godzin wszedł służący, aby mu świecę odmienić. Major siedział w starym swoim mundurze przy stoliku. Jedną ręką podparł głowę, drugą trzymał na mapie i palcem wskazywał na Brazylję. Ale był siny i zimny. Śród rojeń młodocianych tknęła go apopleksja.

---

Gdy się o tem ostatniem wydarzeniu dowiedziano w kamienicy o śmiejących się karjatydach, zamyślił się nagle Walter, a po chwili rzekł do żony:

— Kochana Matyldo, my tam nie będziemy szczęśliwi, my zostaniemy tutaj. Niech Otton weźmie sobie ten majątek.

A gdy piękna Matylda z zadziwieniem na niego spojrzała, mówił tenże dalej:

— Z razu myślałem, że my, idąc tam na wschód, niesiemy im błogie światło naszej cywilizacji. Tymczasem oni tam u siebie mają święty ogień, który ich może wyżej stawia nad sztuczne teorje i systemata. Oni mają miłość pamiątek rodzinnych i strzechy ojczystej, a na tej miłości gruntują się wszystkie cnoty tak pojedynczych ludzi, jak i całych narodów. Nie odbierajmy im tego kęsa ziemi, bez którego nasza ojczyzna będzie zawsze wielką i wspaniałą, a byłaby pierwszą na świecie, gdyby ich cnoty miała!... Matyldo, my zostańmy tutaj, ja będę czytał ich książki i będę o nich pisał dla naszych. Piękną i wzniosłą musi być ich literatura, jeźli takie cnoty są między nimi.

Piękna Matylda ucałowała zamyślone czoło młodego uczonego i rzekła ze słodkim uśmiechem:

— Tyś odgadł moje myśli, mój drogi Walterze. My zostaniemy tutaj i będziemy pielęgnować naszego nieszczęśliwego ojca.

---

## VII.

Jakże smutną, jakże nudną była teraz samotna izdebka naszego bohatera! Tak bolesne wypadki wstrząsły jego duszą, która zwolna zasnuła się w kłębku swoich marzeń i świat rzeczywisty z oczu straciła. Zdawało mu się, że się budzi z jakiegoś długiego snu i powoli oczy otwiera.

Wszystkie jego marzenia wydały mu się mrzonką dziecięcą. Marzył o poświęceniu się, ale nie myślał o tem, że każde poświęcenie się musi przynieść korzyść tym, dla których poświęcamy się. On myślał, że gdy wejdzie w birecie i w płaszczu doktorskim między lud, tenże go zaraz otoczy i słuchać będzie mądrej jego nauki. Tymczasem próba ta, która tyle lat mozołu kosztowała, nie udała się — lud nie uznał nauki i cofnął się przed nią do swoich odwiecznych tradycji. A biedny marzyciel pozostał sam, jak głos wołającego na puszczy.

W koło niego łamały się brzegi ziemi ojczystej i ginęły w toni bezdennej. Miasta, wsie i lud odrywały się od łona matki i wszystko ginęło w odmęcie obcego żywiołu. On chciał stanąć na tej strasznej linji, chciał walczyć, jak walczyli niegdyś rycerze kresowi. Całe życie swoje włożył w tę myśl piękną, wzniosłą: i cóż ma dzisiaj czynić, gdy w koło niego łamie się wraz z ludem ląd ziemi rodzinnej? A ten lud tak obojętny na wszystko!

I stanął mu przed oczami kościołek bożogrobców i widział lud mnogi, który z murów świętych nie dał upaść krzyżowi. I przypomniał sobie ostatnie słowa starego Dębicza, że we wierze ludu jest wszystko, że to klejnot jego.

I długo, długo myślał nad tem.

Przyszło mu na myśl, że pół serca, pół duszy nie można poświęcać. Kto rozgorzał ogniem szlachetniejszych uczuć, ten powinien z serca swego uczynić Bogu całopalenie, powinien duszę swoją wznieść do ofiary, podobnej tej na górze Horebu.

Jerzy marzył o swojej miłości i zdawało mu się teraz, że idąc do szlachetniejszych celów swoich, zboczył z drogi. Serce całą siłą było przeciw temu, ale wewnątrz duszy odzywał się głos: Poświęć uczucia serca twego, bo w moim zakonie jam tylko jest miłością!

Miałże zrzec się serca Janiny? Miałże dla swojej wyśnionej mrzonki czynić nieszczęśliwą tę biedną, słabą istotę?...

Przyszło mu na myśl posłannictwo Ottona. On mógł zrzeczeniem się swojej miłości uczynić tę rodzinę szczęśliwą, przywrócić jej utracony majątek, a tem samem zadość uczynić szlachetnym swoim przedsięwzięciom, że ziemia rodzinna nie utraciła nic z swego brzegu!... Wszak Leon wyraźnie mu powiedział, że wtedy kochać zacznie, gdy on przestanie!...

Ach, biedna Janina! Jakże to słabej i sercem tylko żyjącej kobiecie wytłumaczyć, że dla wyższych, szlachetniejszych celów można oderwać się od jej serca, można jej nie kochać! Jakże ona temu uwierzy, jakże wytrzyma ten cios bolesny?...

Długo bił się z podobnemi myślami nieszczęśliwy marzyciel. Ludzie, którzy długi czas oderwani od świata, rozpałali serce swoje wyższem, szlachetniejszem pragnieniem, nie mogą już wrócić do mętnej, chłodnej rzeczywistości. Dla nich tylko czysta, eteryczna atmosfera. Szczęśliwi, jeźli znajdą taki zawód życia, w którym oddychać mogą tą czystą, eteryczną atmosferą. Biada im, jeźli jej szukają przy kwiatach ziemskich!

Jerzy wstał z dumań swoich z twarzą wypogodzoną. Snać musiał znaleźć dla siebie tę czystą, duchową atmosferę.

On poświęcił swoją miłość.

Pozostała jednak druga część do spełnienia tego poświęcenia. Potrzeba było Janinę z tą myślą zwolna oswoić i wymódz na jej sercu drugą część tego poświęcenia się. Trudne to było zadanie z sercem kobiecem, które pęka, gdy się mu miłość odbierze!

Jerzy wyjechał do Drezna.

Był wieczór pogodny. Na ulicy jeszcze pełno życia, pełno ruchu. Przed jasno oświeconym hotelem stanął Jerzy i spojrzał w okna pierwszego piętra. Jakże smutne czeka go tam spotkanie! Ona otworzy mu swoje ramiona, jej serce uderzy do niego — a on ma dla niej słowa lodu, ma jej powiedzieć, że dla niej w tej miłości nie ma szczęścia, bo ta miłość byłaby samolubną!

Serce biło mu głośno w piersi, ręce jego drżały, gdy drzwi otwierał.

W salonie jasno i wesoło. Liczne zgromadzenie bawi się wesołą rozmową. Margrabina wita go uprzejmie — Janina cudownie piękna! Nigdy nie była tak piękną w Dąbczynie. Rumieniec szczęścia jaśnieje na jej twarzy — oczy, to dwie gorejące pochodnie. Jerzy zbliża się do niej — jej oczy spoczywają na jego pięknej, bladej twarzy. Ale ten ogień jej oczu jakiś zimny. Pyta go, czy czas słabości wydał mu się długi, czy się nie nudził, a gdy on odpowiada, ona odwraca

się i słucha wesołych dowcipów tam z drugiego kąta salonu. Biedny marzyciel zebrał wszystkie promienie swojej duszy gorącej i rzucił je długiem, wymownem spojrzeniem w te czarne, niby gorejące oczy. Zrozumiała to spojrzenie, spuściła oczy, a lekki uśmiech zadowolenia mignął koło jej ust różanych. Ale wkrótce przybrała wyraz obojętności i zimnej grzeczności; z tym wyrazem oddaliła się od niego.

Zaraz okoliło ją grono młodych kawalerów. Byli to ludzie świetnego urodzenia i wielkich majątków, Wesołą, żartobliwą prowadzili rozmowę. Janina jaśniała między nimi świeżością twarzy i umysłu. Biedny marzyciel pomyślał sobie, że w obec tak licznego zgromadzenia Janina tai swoje uczucia, i czekał sposobności, aby ją widział taką, jaką ją widział w snach swoich.

Janina miała coś zagrać. Wybrała ten sam utwór Chopina, który niegdyś Jerzego w taki wprawił kłopot i tyle szczęścia mu zwiastował. Chciał korzystać z tej sposobności. Zbliżył się do Janiny i ofiarował jej jak niegdyś swoją usługę. Janina uśmiechnęła się, podała mu ten sam arkusz nót, który wtedy tak niezgrabnie z ręki się zawsze wysuwał, ale podała mu dzisiaj tak zręcznie, że ich ręce bynajmniej się nie dotknęły. Przy odwracaniu kart nachylał się Jerzy aż do jej ślicznych warkoczy, ale tym razem nic nie usłyszał od niej! Sztukę odegrała Janina z wielką precyzją, jak wytrawiona artystka.

Jerzy stanął na boku. Na jego twarzy malował się smutek. Janina spojrzała kilka razy z ukosa na niego. Korzystając z sposobności, zbliżyła się i rzekła głośno:

— Pan jeszcze nie mówiłeś mi nic o biednej Tereni.

Odstąpiła kilka kroków i usiadła. Jerzy wziął krzesło i przysiadł się do niej. Serce zadrżało mu w piersi.

— Chciałam z panem na osobności mówić — zaczęła Janina cichym głosem — ale mi się nie udało.

Jerzy obejrzał się w koło i gniewał się, że w tej chwili nie są sami.

— Najprzód muszę pana bardzo ładnie przeprosić za to, jeźli kiedy bawiąc się z panem, byłam zbyt roztargnioną. Już to jest w moim temperamencie, nie taić nikomu moich przyjaznych uczuć. I często i otwarcie to okazuję, czy to spojrzeniem, czy ściśnieniem ręki. Jest to niedobry zwyczaj, przyznaję się do tego, ale ja już siebie nie odmienię,

Jerzy obejrzał się znowu w koło — ale tym razem z innem wcale uczuciem.

— Dla tego proszę pana — mówiła dalej głosem błagającym — gdy się już może na zawsze rozłączamy, abyś nie chciał mieć jakiego żalu do mnie, bo mnie by to bolało.

— Ja, żalu do pani? — jąknął nieszczęśliwy marzyciel, który na inną odpowiedź nie miał konceptu w tej chwili.

— Tak jest, abyś pan nie miał żalu do mnie. Bo panowie to zaraz inaczej wykładacie sobie podobne zachowanie się kobiety, nie prawdaż?...A ja tylko przyjaźń mogę panu ofiarować.

Tu przerwał im rozmowę jakiś młody człowieczek z lornetką u szyi, odprowadzając Janinę do grupy matron starszych, między któremi toczyła się jakaś ważna debata.

Jerzy został sam na krzesełku. Siedział jak przykuty, aż zrobiono mu uwagę, że siedzi na drodze i wszystkim zawadza. Wstał nagle i wymknął się z salonu. A za nim wyszła myśl smutna i zabijająca: Ona cię nie kochała!

Przed bramę zajechał właśnie jakiś pyszny angielski ekwipaż. Wszystko błyszczało od srebra. Na drzwiczkach jaskrawemi farbami namalowane były herby.

— Czyj to ekwipaż? — zapytał Jerzy stangreta.

— Pana barona — odpowiedział z dumą stangret.

— Jak się nazywa ten baron?

Stangret zmierzył dziwnie Jerzego, jakby chciał powiedzieć: Jak można tak głupio się pytać! Ale wnet namyślił się i rzekł:

— Pan baron Otton Warner.

---

Tego samego wieczora w ciemnym dworku Czarnowód siedział ksiądz Maciej i z wielką siłą rozkręcał swoją tabakierkę, co zawsze oznaczało, że jest w kłopocie. Przy nim siedziała Zuzanna z zapuchniętemi od płaczu oczyma. Była czarno ubrana, a w ręku trzymała złoty ołtarzyk, z którym właśnie zastał ją ksiądz Maciej.

— Wspomniałaś mi pani o swoich zamiarach — mówił ksiądz Maciej, biorąc sporą szczyptę tabaczki.

— Ślubowałam sobie przywdziać sukienkę Tercjarki — odparła młoda wdowa.

— Tercjarki! — zawołał ksiądz Maciej i upuścił tabakierkę na ziemię.

— Czy ten ślub jest nierozsądny z mojej strony?

— Nie, o tem nie mówię...ale dla młodej osoby takie ślub są zawsze niebezpieczne. Kto się poświęca, ten powinien być pewnym siebie. Od ludzkiej natury mocniejszą jest zawsze pokusa świata.

— Ksiądz Maciej zna mnie od dziecka.

Ksiądz Maciej podjął tabakierkę i zaczął się nią bawić. Chciał on coś na to odowiedzieć, ale jakoś nie mógł z samym sobą się zgodzić. Po chwili rzekł:

— Otóż najlepiej, jeźli nad naszem przeszłem życiem zastanowimy się, czy mamy dosyć siły w duszy do poświęcenia się, czy kiedy powziętych ślubów nie złamaliśmy. A to będzie miarą naszych ślubów na przyszłość.

Zuzanna zarumieniła się i spuściła głowę. Ksiądz Maciej pilnie w nią się wpatrywał. Na jego twarzy malowała się trwoga. Drżącym głosem mówił dalej staruszek:

— Bóg bowiem nie pragnie od nas poświęcenia się. On zna, że jesteśmy słabi i ułomni. Dla tego w chwili uniesienia nie trzeba przysięgać, nie trzeba ślubować. Serce nasze zbyt często pragnie żyć na ziemi. Bóg mu tego wcale nie wzbrania. Ale są chwile, w których ono zasypia. W takich chwilach nie trzeba czynić żadnych ślubów. Bo gdy się serce zbudzi, wtedy łamiemy śluby nasze i stajemy się grzesznikami. W smutku i żalu często zasypia to serce — czekajmy, może ono się zbudzi i zechce jeszcze użyć świata.

— Nie, nigdy! Moja dusza przebolała tak wielkie nieszczęścia, tyle w życiu zaznała uczuć, że to niczem nie da się zatrzeć — kochałam najgodniejszego człowieka, którego obraz zostanie aż do grobu między mną a światem!

Ksiądz Maciej rozkręcał tabakierkę, a przed jego oczami mignęła łódka biała i ruiny klasztoru.

— Mąż pani był najgodniejszym na świecie człowiekiem — ozwał się po chwili — ale dajmy na to...pani byłaś tak młodą, a on wiekiem nierówny...

Szkarłatny rumieniec okrył twarz biednej wdowy, łzy puściły się z jej oczu. Przeląkł się ksiądz Maciej i chciał zboczyć.

— Hrabia Leon przyjechał — rzekł w nadziei, że rozmowę na inny przedmiot zwróci — hrabia Leon przyjechał i...nawet, jak słyszałem, był z kondolencją...

Zuzanna otarła łzy, złożyła ręce na piersi jak pokutnica i rzekła:

— Księże Macieju! Zgrzeszyłam, że przed spowiednikiem moim tak długo kryłam się z mojem sercem. Dzisiaj wyznam wszystkie winy moje.

Ksiądz Maciej otworzył tabakierkę, ale z bojaźni, aby jakiego słowa nie uronił, nie sięgał do niej. Zuzanna mówiła:

— Wielką prawdę powiedziałeś, księże Macieju, że z sercem i ślubami musi być kobieta bardzo ostrożną. Wychowana w zasadach nieboszczyka dziadka, przyjęłam rękę mego męża, bo zdawało mi się, że godniejszego nad niego nie było

człowieka. I tak też było w istocie. Ale nadszedł czas, w którym poczęłam coraz większy w sercu mojem czuć niepokój. Modliłam się i płakałam. Mój mąż ubóstwiał mnie, czcił mnie jak świętą, ale jego serce nie mogło żyć razem z mojem, które zapragnęło gorętszej, młodzieńczej miłości, pragnęło szałów i uniesień. Przybyła do tego i pokusa, i grzecznemi słowami rozgrzano serce moje. W końcu zjawia się człowiek, który od razu robi na mnie dziwne, niezatarte wrażenie! Pokusa szepcze mi do uszu: Z nim byłabyś szczęśliwsza! A te słowa jak gady wsysają się w serce moje i męczą i szarpią je!... W tej ciężkiej boleści mojej przyszedł mi na myśl cudowny obraz Bogarodzicy w kościołku bożogrobców. Kazałam się zmierzchem zawieźć na łódce — modliłam się długo i gorąco, i nagle gdy żadzwoniono na «Ave», uczułam się spokojną, a nawet szczęśliwą. Odtąd codziennie modlę się przed tym obrazem, gdy dzwonią na Ave Maria.

Twarz księdza Macieja zajaśniała dziwną radością. Wstał z krzesła, wzniósł ręce ku niebu i uroczystym zawołał głosem:

— O! dziękuję ci, wielki Boże, że w ostatek życia mego pocieszyłeś mnie! Spokojnie umrę, bo wiem, że ta dusza jest czysta jak anioł!

Młoda kobieta nie zrozumiała tej gorącej modlitwy księdza Macieja i mówiła dalej:

— Dzisiaj był u mnie hrabia Leon i ofiarował mi szlachetne serce swoje. Nie przyjęłam jego ofiary.

— Jakto, pani odmówiłaś mu? — zawołał spiesznie ksiądz Maciej. — To była przedwczesna odpowiedź.

— Postanowienia mego nie zmienię — odparła ze spokojem młoda kobieta. — Wybierając Tadeusza na męża, poświęciłam dla cnót jego ziemską część serca. To poświęcenie złamałam późniejszem pragnieniem. Dzisiaj należy je uzupełnić — i całe serce aż do grobu poświęcić temu, od którego za życia chciało się odwrócić!

— Tego ani kościół, ani Bóg nie wymaga — wtrącił ksiądz Maciej.

— Ale przyjmie łaskawie ślub biednej sieroty i przebaczy jej.

Zuzanna wzniosła oczy do nieba. W tej twarzy pięknej, młodej kobiety nie było już nic ziemskiego. Był to anioł boży, którego opiece porucza Bóg biednych i sieroty.

Gdy Jerzy do swojej samotnej izdebki powrócił, zastał tam Leona, który niecierpliwie czekał na niego.

— Straszne rzeczy podziały się tutaj! — zawołał Leon, ściskając mu rękę. — Wieść o moim bankierze była fałszywą.

— Do tego, co wiesz, dodam ci jeszcze, żem się rozczarował — odparł Jerzy z bolesnym uśmiechem. — A więc podług układu, masz się zacząć kochać!

— Cóż, kiedy na nieszczęście dostałem odkosza! — rzekł Leon w cierpkim humorze.

— Odkosza?...Od kogóż?

— Od wdowej!

— Oświadczyłeś się majorowej? — zawołał zdziwiony Jerzy.

— I najniezgrabniej w świecie. Powinien bym był przecież to przewidzieć!... Ale nie, takiej kobiety nie znałem nigdy — nie miałem o niej wyobrażenia. Takiej kobiety szkoda na tak mglistą planetę, jak nasza ziemia!

Jerzy zapomniał o swojej boleści i zdziwiony wypatrzył się na Leona. Ów zimny Leon był dzisiaj w jakiejś gorączce. Chodząc szybko po pokoju, mówił dalej:

— Tę jedną kobietę mógłbym kochać...ale nie, nie byłem jej godzien. Gdybyś ją widział modlącą się! Patrzyłem na nią z po za drzew, gdy się modliła przed kościołkiem bożogrobców! To był anioł!

— Leonie! — zawołał szybko Jerzy — Bóg odsłonił ci duszę tej kobiety na to, abyś uwierzył w czystą, wzniosłą miłość kobiecego serca!

Leon zatrzymał się nagle przed Jerzym i rzekł do niego:

— A ty, który dotąd byłeś aż nadto wiernym, czy po twojem rozczarowaniu się nie staniesz się sceptykiem? Czy będziesz kochać jeszcze?

— Będę kochał — odparł spokojnie Jerzy — tylko z tą różnicą, że będę kochał więcej ludzi!

— Jakto? Zapiszesz się do filantropów?

— Zmienię mój zawód po raz drugi — pójdę na teologję do Rzymu.

— Na teologję!

— Dziwi cię to? Gdybyś to wszystko widział i uczuł, co ja w tych dniach widziałem! Wierzaj mi! Gonimy za mrzonkami; marzymy, że znajdziemy gdzieś daleko za pomocą idei i różnych systematów! A tymczasem tutaj gubimy coraz więcej ziemi, którą wraz mieszkańcami pochła-

nia obcy żywioł! Cóż nas tutaj ocalić może? Oto wiara nasza, wiara, która jest drogą tak nam, jak i ludowi, na wszystko inne obojętnemu!

Leon myślał chwil kilka nad tem, co mu Jerzy powiedział, i rzekł po chwili:

— W samej rzeczy, gdy się nad tobą zastanawiam, to widzę, że nie mogłeś lepszego wyboru stanu zrobić. Dla tak niepraktycznych marzycieli, jakim cię poznałem, którzy pragną gorzeć płomieniem ofiar i poświęceń, jest to jedyny stan, w którym szlachetniejszą część tego ognia w swojem sercu wypalić można. Prawdziwie, kapłaństwo jest to wielki, wzniosły, idealny zawód życia, w którym może znaleźć pokarm tyle dusz poetycznych, walających się nieraz ze złamanemi skrzydłami w kale rzeczywistości, od której oderwać się nie mogli.

Twarz Jerzego pokraśniała natchnieniem. Uścisnął Leona i rzekł:

— A teraz ty musisz się kochać!

— Kochać? Mógłbym kochać — ale nie ma kogo!

— Janinę!

— Janinę?... Na pierwszym wieczorze poznałem was oboje do gruntu. Wiedziałem, że się to tak skończy, ale nic nie mówiłem, bo zakochany musi się sam wyleczyć.

— A twój pojedynek?

— Soroka opowiedział mi waszą rozmowę w pawilonie. Poznałem cię jako człowieka niepraktycznego i chciałem cię zasłonić. Janina należy do rzędu tych kobiet, które tylko wtedy kochają, gdy są w złym humorze, mają jakieś zmartwienie, kaprys, lub spazmy sercowe. Ich dusza zimna i spokojna nic o tem nie wie. Czasami wzniosą się nawet do namiętności, gdy wybrana przez nich ofiara jest obojętną na ich wdzięki. Ale stygną nagle, gdy ją ujrzą u nóg swoich.

Jerzy spojrzał po za siebie, na tyle marzeń i snów daremnych! Leon mówił dalej:

— Kochać mówisz?... Nie mam kogo kochać. W kraju mi smutno i nudno. Spieniężyłem cały mój majątek, wyjadę za granicę i będę się bawił pieniądzmi, jak się dzisiaj bawią.

— Jakto, wyjeżdżasz z kraju?

— Coś cięży nademną, coś mi duszno tu. Muszę zaprawdę wierzyć w przekleństwo dziadka. Na kresach w Ukrainie nie mogę uczynić żadnej wyprawy, bo nie ma przeciw komu!

Jerzy myślał chwilę, a potem rzekł:

— Posłuchaj mnie, Leonie. Nasze kresy zmieniły się. Od Dniepru i stepów ukraińskich przeniosły się nad Wartę i Noteć. Tu stać i o posiadłość naszą walczyć należy. Gdy tu zatkniesz sztandar twojej wyprawy, dziad zdejmie przekleństwo swoje i będziesz szczęśliwym!... Kup Dąbczyn, kupuj co możesz!

— A tobie dać prezentę na probostwo! — dodał z uśmiechem Leon i zaczął chodzić po pokoju.

Długi czas chodził zamyślony. Słowa Jerzego poczęły nabierać wielkiej wagi. Wreszcie zatrzymał się i rzekł:

— Myśl bardzo szczęśliwa... ale do zupełnego szczęścia daj mi żonę, daj mi kochankę!

Jerzy był w jakiemś dziwnem natchnieniu.

— Dać ci żonę? — odrzekł — i ta by się znalazła. Wiesz całe zdarzenie z biedną Terenią. Ale czy wiesz, co to za istota? Jaka jest jej choroba?... Ta sierota nigdy nie zaznała miłości, ani przywiązania. Jej dusza marzyła od kolebki o tem uczuciu, wyrobiła w sobie to uczucie w ogromne, ludzkie serce przechodzące pragnienie i to poróżniło jej ducha z sercem, poważniło rozum z uczuciem. Ale miłość może ją ozdrowić.

— Ależbo ona kocha Warnera!

— To jest złudzenie, a nic więcej. Kochała junkra, kocha Warnera, a gdy ty do niej się zbliżysz, odda ci całą duszę.

— Ta idjotka, jak widzę, nie jest niczem innem, jak tylko kobietą bez maski! — odparł z cierpkim uśmiechem Leon.

— Wszak twoje doświadczenia nie stanowiły całej prawdy o kobietach?

— Masz słuszność, masz słuszność — poderwał szybko Leon — będę jeszcze dalej doświadczał.

---

Za kilka dni wyjechał Jerzy do Rzymu. Jego serce nie mogło jeszcze przeboleć tyle marzeń i snów udaremnionych. Podróż i nowy zawód życia może go zupełnie uleczą. Sąsiedzi różnie tłumaczyli sobie to szczególne dziwactwo Jerzego. Kobiety przypisywały je zawiedzionej miłości, mężczyzni fałszywej bigoterji, a byli nawet i tacy, którzy w tem widzieli pychę i dumę. Z wszystkich przyjaciół i znajomych odprowadzali go najdalej hrabia Leon i Mietlica.

Hrabia Leon wrócił do Dąbczyna i zaczął traktować z margrabią o kupno jego majątku. Przytem prosił go, aby

mu wolno było odwiedzać samotną idjotkę, której stadjum było dla niego nader ciekawem zadaniem.

Przy pierwszem widzeniu się mówiła mu biedna sierota o swojej gorącej miłości dla junkra, ułożyła z tego cały romans i opowiedziała w końcu ze łzami, jak ją kochać przestał i nieszczęśliwą od siebie odepchnął. W opowiadaniu biednej sieroty było tyle zapału dla junkra, tyle uczucia dla jego długiej, wychudłej figury, że dla Leona ani najmniejszej nie było nadziei. Pożegnał ją uprzejmie, odszedł do swego pokoju i całą noc spał jak najspokojniej.

Nazajutrz odwiedził znowu biedną idjotkę. Opowiadała mu znowu o Ottonie, którego całą duszą ukochała, i znowu długi z tego ułożyła romans. Płakała rzewnemi łzami i przyciskała rękę do piersi, aby serce z niego się nie wydarło. Jeszcze mniej było dzisiaj nadziei dla Leona. Mimo to zjadł wieczerzę z dobrym apetytem i spał tak smacznie jak nigdy.

Przez cały tydzień słuchał z cierpliwością spowiednika wszystkich wyznań biednej sieroty. Dowiedział się przytem od niej, że nie ma szlachetniejszej duszy na świecie od junkra, który tylko nie rozumiał jej dobrze — a gdy z kolei o Ottonie mówić zaczęła, wpadała w zachwycenie, wyliczając jego dobre przymioty. Hrabia Leon słuchał to wszystko z zimną krwią, przyznawał jej wiele — a przytem miał wcale dobry apetyt i spał spokojnie.

Gdy się wszystkie wyznania idjotki wyczerpały i konwersacja nudną być zaczynała, zaproponował jej Leon, że jej coś przeczyta. Terenia lubiła książki. Leon czytał jej jeden i drugi wieczór, na trzeci opowiadał jej coś o swoich przygodach w świecie — na czwarty pytał się troskliwie o jej zdrowie, mówił coś o nudotach życia, jeźli je człowiek sam jeden przebywa.

Za tydzień już nic nie mówiła idjotka ani o junkrze, ani o Ottonie. Z coraz większem zajęciem wpatrywała się w twarz Leona, jej oczy z każdem jego słowem nabierały większego blasku.

Pewnego dnia przyszedł do niej Leon. Biedna sierota była blada i zmęczona, a cały czas patrzała na niego jak w tęczę. Przy pożegnaniu wspomniała mu z zarumieniem, że miała noc bezsenną.

Leon wrócił do swego pokoju — ale wieczerzy nie jadł — i miał także noc bezsenną.

Za kilka miesięcy pisał do Rzymu:

«Kochany Jerzy! Zdanie twoje o biednej sierocie było prawdziwe. Jestem szczęśliwym. Aniół nawrócił mnie i zniknął odemnie — a ziemska istota otworzyła

mi serce i ramiona swoje. Kocham i jestem kochany, jak tylko kobieta kochać może. Dąbczyn kupiłem — przyjeżdżaj na probostwo.

Post scriptum: Janina idzie w zapusty za mąż — za «barona» Ottona Warnera. Poczciwy to chłopiec i ma miljony. Polubiłem go.»

---

# EPILOG.

Najbardziej z wszystkich ugiął się pod ciosem tych smutnych wypadków poczciwy Mietlica. Biedny prostaczek nie miał się na czem oprzeć. W szale boleści zwątpił o Bogu, bluźnił samemu sobie, wybił żonkę i byłby może na luterską wiarę przeszedł, gdyby ksiądz Maciej nie był go w samą porę zgromił. Potem postanowił zostać pustelnikiem, jak to w dawnych czasach praktykowano. Uciekając tym sposobem od świata i żonki, wybrał już był sobie śród błot wielpolskich mały ostrów, gdzie chciał sobie szałas z chrustu wystawić. Ale domek zegarmistrza nie dał mu potrzebnego do takiego życia pokoju. Na nieszczęście kupił go na licytacji na spółkę z Jerzym. Do tego młody Warner, porządkując papiery ojca, znalazł w nich zapisane dwa tysiące talarów Jerzemu do znajomego mu użytku. Stary negocjant w jakiejś szczęśliwej chwili zapisał to, ale dla okrągłości liczby urwał pięćset talarów. Jerzy nie chciał tego przyjąć i po długich targach przeniósł wreszcie tę sumę na rzecz domku zegarmistrza. Taki skład rzeczy wywołał Mietlicę z błot dąbczyńskich i pogodził go ze światem i żonką. Wziął się zaraz do murowania nowego domu. I gdy już właśnie przy pomocy Grzanki mury na piąterko pociągnął, wrócił zegarmistrz w tej samej granatowej czamarze i czapce trójgraniastej, i tak jakoś zdrów i wesół wyglądał, jakby dopiero wczoraj się rozstał ze swymi przyjaciołmi. Dwa dni płakali przyjaciele za tymi, którzy pomarli, a trzy dni następnych cieszyli się, że ich Bóg wszechmocny znowu razem sprowadził.

— Wierzaj mi Jakubie — mówił zegarmistrz, ocierając łzy — nie bardzo to źle się stało, że człowieka przytrzymali. Już to Bóg tak zrządza, że nie ma złego, coby na dobre

nie wyszło. Dotąd myślałem, że wszystko to, co dawne i nasze, jest już najlepsze na świecie. Jest trochę w tem prawdy, ale nie zupełnie. Powinniśmy kochać to, co ojcowie nasi kochali — ale nie powinniśmy zamykać oczu, gdy nowe rzeczy widzimy. Myślałem dotąd, że nie ma nic nad nasze zegary z kukułką. Otóż siedząc we więzieniu z tamtejszym zegarmistrzem i rozprawiając z nim o naszym kunszcie, przekonałem się, że i oni mają wiele dobrych i pożytecznych rzeczy i wymysłów. Ich zegarki nowoczesne są lepsze od naszych gratów. Otóż jeżeli nieszczęście jakie między nich nas zaprowadzi, powinniśmy z tego korzystać i ich dobre wymysły sobie przyswoić. Obaczysz, jaki ja teraz sklep ze zegarami założę! A ty Grzanka — mówił dalej mieszczanin — musisz w tym domku także mieć sklep porządny na twoje żaby i baranki. Mój nieprzyjaciel z tłustym brzuchem może zbankrutować.

— Ba! — ozwał się Mietlica — a ja co będę robił? Ja nic nie umiem!

— Ty, Jakubie — odparł zegarmistrz — musisz być razem z nami. Ten domek należy do nas trzech. Jest na rogu ulicy, Grzanka wystruga ci misterną wiechę, będziesz miał szynk!

— Szynk! — krzyknął Mietlica — ba, ale wachmistrz od ułanów —

— Każda praca jest poczciwa i nie hańbi człowieka! — odpowiedział mieszczanin, a wiarus podkręcił wąsa i uśmiechnął się do złotej wiechy, którą widział przed oczyma duszy.

Nazajutrz przyprowadził Mietlica Sorokę i zapoznał go z Wojną. Po kilku tygodniach wysypał Soroka własnemi rękoma na granicznym kopcu Dąbczyna kilkanaście taczek ziemi, przeżegnał kopiec i nazwał go mogiłą Soroką. Na tym szczególnym chrzcie byli: Wojna, Mietlica i Grzanka.

---

Kilka lat minęło od tego czasu. Hrabia Leon krząta się koło gospodarstwa, a gdy zmęczony do zamku powraca, wychodzi mu naprzeciw piękna, młoda kobieta z dwojgiem dzieci na ręku, podobnych do aniołków. Leon całuje żonę oraz dzieci i pisze co tydzień do Rzymu, że jest najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Słabe serce Tereni oparło się na silnem ramieniu męża — sierota odzyskała zdrowie i jest bardzo rozsądną matką, oraz najtkliwszą żoną.

Na odnowionej wieży zamkowej powiewa chorągiew kresowego rycerza. Von der Mark sprzedaje swoje posiadłości. Hrabia Leon dopomaga mieszczanom dąbczyńskim i właśnie

myśli o zawiązaniu na akcje wielkiego towarzystwa obywateli poznańskich, któreby miało na cel skupować na subhastach dobra ziemskie i wydzierżawiać je podupadłym dawnym właścicielom ziemskim. Górnicki, który szczęśliwie przebył gorączkę nerwową, jest u niego rządzcą.

Otton zatrzymał Czarnowody i Radziejewo, wystawił pałac i przywiózł z Drezna Janinę. Wszedł w spółkę z Leonem i dokończył fabrykę w Mogiłach, z której spodziewają się znacznego dochodu. Przeszedł na wiarę Janiny i liczy się do polskich obywateli ziemskich.

A w kamienicy o śmiejących się karjatydach smutno i głucho. Z nad okien zdjęto napis «Goliat et Compagnie», brama prawie zawsze zamknięta, negocjantów nie widać przed nią, tylko lud przechodzący widzi czasem za kratą wykrzywioną twarz nieszczęśliwego obłąkańca.

Matylda kocha Janinę jak siostrę i często odwiedza ją w Czarnowodach. Kilka rzeczy tylko nie może zrozumieć. Dziwi ją, jak kobieta może być szczęśliwą bez kuchni i śpiżarni, i jak może mieć przyjemność w towarzystwie ospowatego pułkownika od dragonów, który jest tak nieznośnie wysoki. A gdy dziwny wypadek zrządził, że u wód w X**, dokąd z Janiną przybyła, pojawił się także ów ospowaty pułkownik, nie mogła Matylda tego przenieść na sercu, aby bratu swoich uwag w tym względzie nie udzielić. Ale szczęśliwy mąż uśmiechnął się na te uwagi siostry swojej z pobłażaniem, nazywając je zabytkami mieszczaństwa.

Na ulicy podzamczej są w nowym domku dwa porządne sklepy i szynk pod złotą wiechą. Na jednym stoi napis: Wojna, zegarmistrz, a nad nim Opatrzność boska. Z drugiego sklepu, z pomiędy żabek i baranków, wychodzi co wieczora, gdy dzieci ze szkoły idą, mieszczanin w porządnej kapocie, wepchnie żakowi grosza do ręki i każe mu sobie napis nad tym sklepem przeczytać. Żak chowa grosz do kieszeni, czyta: «Grzanka» i ucieka. A mieszczanin stoi w zachwyceniu i mówi do siebie:

— Hej, Grzanka! Gdyby to Zwejbak i Butterbrod widzieli ten sklep twój!

Słychać, że sąsiad z tłustym brzuchem bankrutuje. Hrabia Leon często gęsto idąc ulicą podzamczą, wstąpi do domku zegarmistrza. Zegarmistrz kilka razy dał się z tem słyszeć, że mu jakoś nudno bez gospodyni w domu. Ale Mietlica odradza mu zawsze, że jeźli Bóg dobry wziął do swego przybytku jego Basię, to nie trzeba drugi raz tentować miłosierdzia bożego.

A tymczasem śpią umarli spokojnie i cieszą się z tego, co się tam nad nimi dzieje. Przybył do nich margrabia i radzi przyjęli go między siebie. Zginął on potem w po-

jedynku, gdy mu honor nakazywał, stanąć w obronie zelżonej naszej przeszłości.

Margrabina, wyczerpawszy wszystkie namiętności serca i duszy, przywdziała sukienkę Tercjarki. Zeszły się z Zuzanną u jednej mety, chociaż tak różnemi szły drogami. Czarna szata okrywa ich serca, w których tylko Bóg czyta. A wierzymy, że jest sprawiedliwy i miłosierny.

I z różnych stron, gdy ozwie się dzwonek na «Ave Maria», wznoszą się naraz z trzech serc, pragnących wielkiej, gorącej miłości, trzy pieśni do Przeczystej Panny — jedna z nad Tybru, gotującego się do służby bożej kapłana, druga nad Wartą duszy pokutującej, a trzecia nad Notecią, czysta i wzniosła, jak pieśń anioła.

A Bóg z radością patrzy z nieba na tych, którzy dobrą, i na tych, którzy lepszą część życia sobie obrali.

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

Nakład F. A. BROCKHAUSA w Lipsku:

# BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

1. **Garczyński.** Poezye.
2—5. **Słowacki.** Poezye. 4 tomy.
6. **Gordon.** Obrazki caryzmu.
7. **Borkowski.** Wyprawa partyzancka 1833 r.
8—12. **Mickiewicz.** Pisma. 5 tomów.
13—20. **Czajkowski.** Pisma. Tom. I—VIII.
Tom I. Wernyhora. — II. Kirdżali. — III. Powieści Kozackie i Gawędy. — IV. Owruczanin. — V. Stefan Czarniecki. — VI. Hetman Ukrainy. — VII. Koszowata i Ukrainki. — VIII. Anna.
21. **Norwid.** Poezye.
22. **Siemieński.** Poezye.
23—25. **Krasiński.** Poezye. 3 tomy.
26. **Gosławski.** Poezye.
27. **Zienkowicz.** Wieczory Lacha z Lachów.
28—31. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne. 4 tomy.
Tom I. Alcyata. Rzecz o rozumie stanu. — II. Polska w kraju i za granicą od 1831 do 1848 r. — III. Rewolucyoniści i stronnictwa wsteczne. — IV. Polska w kraju w 1848. r.
32. **Czajkowski.** Pisma. Tom IX. Dziwne życia Polaków i Polek. Dzieło po pierwszy raz wydane.
33. **Gordon.** Sołdat, czyli sześć lat w Orenburgu i Uralsku. Wydanie drugie.
34. **Gordon.** Kaukaz, czyli ostatnie dni Szamyla. Powieść historyczna.
35. **Heltman.** Demokracya polska na emigracyi.
36. **Zmorski.** Poezye.
37. **Hoffmannowa.** Jan Kochanowski w Czarnolesiu.
38. 39. **Witwicki.** Wieczory pielgrzyma. 2 tomy.
40. 41. **Giller.** Podróż więźnia etapami do Syberyi w r. 1854. 2 tomy.
42. 43. **Ujejski.** Poezje. 2 tomy.
44. **Jasieńczyk.** Dziesięć lat niewoli moskiewskiej.
45—47. **Giller.** Opisanie krainy zabajkalskiej. 3 tomy.
48. **Gordon.** Podróż do Nowego Orleanu.
49. **Zacharjasiewicz.** Na kresach. Powieść.
50. 51. **Zienkowicz.** Wizerunki polityczne literatury polskiej. 2 tomy.

8°. Cena każdego tomu 1 Talar, oprawnego w płótno angielskie z tytułem złoconym 1 Talar 10 Ngr.

**Lutnia.** Piosennik polski. Wydanie drugie. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
——— Zbiór drugi. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
**Malczewski.** Marya, powieść ukraińska. 10 Ngr., opr. 15 Ngr.
**Mickiewicz.** Ballady i romanse. 15 Ngr., opr. 25 Ngr.
——— Farys i Grażyna. 15 Ngr., opr. 25 Ngr.
——— Konrad Wallenrod. 15 Ngr., opr. 25 Ngr.
**Tecza.** Zbiór poezyi. 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
**Z "Wiosny.** 1 Tal., opr. 1 Tal. 10 Ngr.
**Zaleski.** Duch od stepu. 15 Ngr., opr. 25 Ngr.
**Lacha z Lachów** malowniczy podarek ludowy. 10 Ngr.

Drukiem F. A. Brockhausa w Lipsku.

3 2044 010 352 615

THE BORROWER WILL BE CHARGED AN OVERDUE FEE IF THIS BOOK IS NOT RETURNED TO THE LIBRARY ON OR BEFORE THE LAST DATE STAMPED BELOW. NON-RECEIPT OF OVERDUE NOTICES DOES NOT EXEMPT THE BORROWER FROM OVERDUE FEES.

CANCELLED
DEC 15 1990